CAPREÄ I ROMA.

OBRAZY

Z PIERWSZEGO WIEKU.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Magnus ab integro saeclorum nascitur ordo.
Virgilius. Ecl. Pollio.

Tom I. i II.

DAR ZE ZBIORÓW dr Stefana Grzybowskiego w Warszawie

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1875.

WARSZAWA.
W księgarni Michała Glücksberga.

Ze Zbiorów Aleksandra Stefana Grzybowskiego

61

MUZEUM
JIK
W KOMANOWICE
MC/M1 4368

Nakładem Pillera i Gubrynowicza et Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

AUTOROWI

LISTÓW Z KRAKOWA

Dr. KREMEROWI

W DOWÓD GŁĘBOKIEGO SZACUNKU

przesyła

AUTOR.

Drezno 1875.

Na stosunki z czytelnikami i krytykę nie zwykł się autor uskarżać, boć to do niczego nie prowadzi a słabości jest tylko dowodem. Raz w życiu zabolała go mocno obojętność z jaką ta praca — *Capreä i Roma*, przyjętą została. W r. 1858 odbywszy dla niej podróż do Włoch, prawie umyślnie, aby na miejscu studja poczynione dopełnić — poświęciwszy jej wiele pracy, miał może prawo spodziewać się ocenienia ściślejszego i—sprawiedliwszego. Krytyka milczała, czytelnicy przyjęli ją ze współczuciem i zajęciem, które raczej przedmiotowi, treści niż zużytkowaniu jej przypisać należało. Niema w bliższych nas dziejach epoki, która by żywiej, gorącej zająć mogła, większą obudzić ciekawość, któraby mniej w tysiąc osiem set lat zestarzała. Dziś ona jeszcze pełną jest świeżości, życia, blasku; dziś ona niemal współczesną. Żyjemy w świecie który te wieki stworzyły, jeszcze dobrze pojąć nie mogąc, jak zdołał się on rozwinąć, przekształcić społecznie, nowy wprowadzić — porządek, który przeczuwał Virgili. Z pozostałych szczątków i tradycyj pierwszego wieku złożyło się to opowiadanie, barwą swą i głównemi rysy ściśle historyczne.

Niech nam tu wolno będzie dodać, że nie wyczerpawszy zadania, jakieśmy sobie założyli w Caprei, powtórzyliśmy próbę malowania tych czasów w *Rzymie za Nerona*, a na ostatek w inny sposób pisali o tem w historji katakumb rzymskich, której część znaczną drukowała Kronika Rodzinna. Tę ostatnią pracę, mamy zamiar dopełnić jeszcze, tak dla nas ta epoka narodzin chrześcjaństwa pozostała zawsze ponętną. Nie chcemy się przechwalać z mozolnych studjów przedmiotu. Każda

powieść historyczna wymaga ich daleko więcej, daleko głębszych niżby się czytelnikom wydawać mogło. Niknie później w stopionej massie kosztowny ten materjał jak w bronzie Perseusza, niewidoczne są owe srebra drogie, które w nim Benvenuto Cellini utopił, a nie każdemu dano stworzyć Perseusza i pocieszać się dziełem kunsztu. My też za wartością artystyczną powieści naszej przemawiać nie możemy; ale pociechą dla nas wielką było niegdyś wspomnienie o niej prof. Kremera. Dla tego to nowe wydanie jemu na pamiątkę tych pocieszających wyrazów, któremi nas ożywił — sercem wdzięcznem przesyłamy. W r. 1858 odbywszy podróż do Włoch, w następnym dokończyliśmy Capreą i Romę. Drukowana najprzód w odcinku Gazety Warszawskiej, wydaną była w Wilnie r. 1860. Przygotowuje się jej tłumaczenie niemieckie, które ma się wkrótce ukazać.

Drezno, 1875 r.

SŁÓWKO WSTĘPNE.

W Capri, na zwaliskach willi Tyberjuszowych, powziąłem pierwszą myśl tego opowiadania, które (przejąwszy się epoką, na gruzach jej widomych jeszcze), ułożyłem ze wszelkich dostępnych mi źródeł, z tą przyjemnością, jaką sprawia badanie odległych a mało nam znanych czasów i pełnych życia postaci, których imiona brzmią jeszcze do dziś dnia wspomnieniami niezatartemi. Nie przedsiębrałem powieści; chciałem tylko w szeregu obrazów charakterystyczniejszych odmalować tę chwilę, dla całej ludzkości stanowczą, która przedziela dwa zupełnie odmienne światy, dwie wielkie epoki żywota dziejowego. Nie ośmieliłem się też porwać na historję, którą już raz skreśliło energiczne pióro Tacyta z siłą niezrównaną.

Z dzisiejszego naszego stanowiska, te pierwociny chrześcjaństwa, wśród rzymskiego świata, przedstawiały mi nad wszystkie zajmujący moment, nadzwyczajnym przyciągający urokiem. Na nieszczęście, szczupła garstka imion i podań została nam z tej epoki. Akta pierwszych męczenników prawie nic nie dostarczają do tego czasu; trochę w Filonie i Józefie, w aktach Apostolskich, w późniejszych pisarzach, Euzebiuszu, Tertulianie, w żywotach świętych i tradycjach miejscowych — oto wszystko co pozostało z tej tajemniczej chwili. Historja kościoła w pierwszym wieku pełna jest cudów i mroku; strona też ta obrazu naszego jest równie tajemniczą i epizodyczną..... kolebkę osłania ciemność, której fantazja

rozdzierać nie ma prawa. Pogański natomiast świat maluje się nam jasno, z rzeczywistością ziemskich zjawisk, z najdrobniejszsmi swojego żywota szczegółami, w Tacycie, Swetoniuszu, Pliniuszu, Senece, w Dionie Cassiuszu i mnogich pism ułamkach, pomnikach, napisach, odnoszących się do tej epoki. Tu znowu wybór tylko był ciężki, a artystyczne połączenie tej rzeczywistości jaskrawej z ideałami mglistemi, nieskończenie trudne. Czerpaliśmy na odtworzenie całości ze wszystkich znanych pomników, użyliśmy wszystkiego co wspomódz mogło, najwięcej jednak opieramy się na źródłach współczesnych, lub jak najbliższych epoki. Zwiedzenie miejsc dało nam gotowe tło i niemal widzenie jawne przeszłości, której tu jeszcze mnóstwo pozostało śladów żywych i wybitnych.

Chcieliśmy rzecz naszą dokonać sumiennie — przedsięwziętą z miłością prawdy, zaczętą z zapałem, rzucamy z żalem prawie, życząc czytelnikom, aby tyle znaleźli przyjemności w czytaniu tego studjum, ileśmy, kreśląc go, doznali; prosimy ich jednak, by nie zapominali, że im wcale nie obiecujemy powieści....

D. 8. Czerwca 1859
z Żytomierza.

KSIĘGA 1.

CAPREA.

I.

Wśród najpiękniejszego morza w świecie, jakby z roztopionych ulanego lazurów, pod najczystszem niebem południa, u brzegu okrytego drzewy pomarańczowemi, na których świecą wiecznie złociste owoce, leży jak olbrzymi sarkofag na grobowisku przeszłości, wyspa skalista, ostremi szczyty wspinając się ku niebu, stromemi ściany kamiennemi zanurzona w wodach, przyglądająca się niedbale z jednej strony Tyrrhenieńskiemu morzu, z drugiej Cumańskiej zatoce.

To Capreä.... uroczy kątek ziemi, oderwany od lądu umyślnie, aby swobodniej mógł dumać i sam być panem sobie. Jakże mu tam ślicznie na tej płycie szafirowej, gdy się cały zarumieni od zachodzącego słońca, a złociste promienie, wskróś przenikając powietrze, otoczą go aureolą jasności!

Wyspa ta stoi z daleka, jakby na straży cudnej zatoki, którą starożytni Craterem, to jest c z a r ą, zwali; jak czara bowiem zatacza się kolisto i jak ona poi najpiękniejszym w świecie widokiem. Brzegi całe Krateru okrywają gmachy, portyki, świątynie i piękniejsze nad nie drzewa zielone. Na starem tem, od wieków zamieszkanem wybrzeżu, przed tysiącem ośmiuset laty jeszcze może wdzięczniej niż dziś śmiało się niebo nagromadzonym tu przepychom.

Po wzgórzach i dolinach bielały o jasnych i purpurowych kolumnach wille rzymskie, z rozkosznemi perystylami, obwieszone winem i bluszczami, świątynie ze złocistemi dachy, koliste amfiteatrów stopnie, zawieszone nad morzem łaźnie i kosztownym kamieniem wykładane pieczary.

Jeszcze naówczas groźny wybuch śpiącego od wieków wulkanu, nie rozerwał starego Wezuwiusza na dwoje i nie wyszczerbił boków jego, gruzami i ruinami góry zasypując miasta, tamując rzeki, równając doliny.

Na wyniosłych brzegach, spokojnej góry, od dawna wystygłej, zielone rozkładały się gaje i winnice, bielały domki i dwory rzymskich wyzwoleńców i lubiących wieś starców, którym się Rzym uprzykrzył... pod sam prawie wierzchołek ciągnęły się budowy, zielenią poprzedzielane, galerje, kolumnady i wschody, w tajemnicze zakątki wiodące.

W pośrodku zatoki, pod wzgórzem, które się wznioślej dźwigało, między górą Gaurus a Wezuwiuszem, stara Sirene, późniejsza Parthenope, królowa Campanii wesoła, wznosiła się różnobarwnemi mury swemi.

Jak naszyjnik pereł, rozsypane brzegiem morza gmachy marmurowe, tworzyły owe miasto rozkoszne, do którego wzdychali rzymscy patrycjusze, mieniając tu rzymską togę i powagę na grecką suknię i lekkość.

Paleopolis i Neapolis, złączone w gród jeden, zabywszy dawnych sporów, koronowały się ogrodami i palmami, i uśmiechały do siebie, słuchając śpiewu syren, na szumiących ognistych falach przypływających do brzegów. Wśród wspaniałych willi, połączonych z sobą, wśród ciasnych ulic, ostawionych kolumnami z afrykańskich marmurów, wśród ogródków ocienionych drzewy pomarańczowemi, rozłożystemi figami i morwami, poobwieszanemi winną macicą, gdzie niegdzie z białemi, do pasa w purpurę odzianemi słupami, o złocistych kapitelach misternych, wznosiły się świątynie Neptuna, Diany, Merkurego, Cerery, Dioskurów... Na najwyższym szczycie królowała miastom maleńka,

pięknych kształtów greckich, Sacella, którą żeglarz zdala witał, obiecując ofiarę po wesołem do brzegów przybiciu.

Około Augustale, skupiały się bazylika, fontanna, forum, teatrzyk i votalne ołtarze i posągi opiekuńczych Bogów Grecji i Rzymu.

Inaczej tu wszakże było niż w starych miastach, w których od wieków Tuskowie tylko się gnieździli i gdzieś rzucił okiem, wszędzie znać było ślad przejścia Greków, piętno jońskich wychodźców, którzy tu z sobą swą sztukę, umiłowanie piękna i nieśmiertelny wdzięk geniuszu swego przynieśli. Naczynia, z któremi niewiasty szły po wodę do marmurowych fontan i studni i te, które stały na murach u wnijścia ogrodów, posągi w wyżłobieniach domostw, kolumny u drzwi skromnych budowli, miały ten kształt prosty a wytworny, ten rysunek wdzięczny a młody, których tajemnica z Hellenów życiem umarła... Każdy słup, każdy marmuru złomek powiadał, że Grek go rozmierzył, ustawił, wyciosał, dobrał barwę do otaczającego nieba i ziemi.

I nic nie było wdzięczniejszego nad to miasto półgreckie na ziemi rzymskiej, pod tem niebem cichem, ukryte w koszu liści i kwiatów, szczęśliwe, pijane, na którego horyzoncie zdala rozbiegłe góry Taburnus, Gaurus, Vesuvius i dalsze Lactarius'a ramiona, błyszczały wszędzie domy, świątnicami, portykami i wieczną zielenią drzew cienistych.

Chciało się wierzyć, poglądając na to wybrzeże rozkoszne, na kraj pełen kadzideł i pieśni, że z wieczorną falą wypłyną białe syreny z niebieskich topieli i zaśpiewają tęskną pieśń wiodącą do morza głębi.

Jakby dla podchwycenia tego śpiewu uroczystego bóstw morza, które na świecących falach w księżycową noc widywali już tylko majtkowie, spoczywający w łodziach u brzegu — wszędzie do koła Krateru cisnęły się aż na piasek miasteczka i ville.

Miejsca tu brakło rzymskim rozpieszczeńcom, tak każdy z nich musiał tu koniecznie mieć gdzie odpo-

cząć; łaźnie ich i domki i spelunki chłodne występowały aż w morze, niemal na falach pływając.

U stóp zielonego Wezuwiusza, strojnego w winnice, leżała, w gajach i ogrodach cała, rozkosznisia Pompeja, miasto kupców i handlarzy, wesoło używających żywota; na jej przedmieściach Pagus Augustus Felix, wieś wyzwoleńców, ulubieńców, sług i weteranów Augusta, była przytułkiem dworu starego Cezara.

Bliżej brzegu morskiego Hercules Porticum, kąpało się w samych wodach zatoki, z Retiną, portem swym, wspaniałym teatrem, bazyliką i świątyniami...

Dalej postępując ku Surrentum, miastu Syren, bieląły mury Stabii, u stóp Lactariusowej góry, kasztanowemi lasy pokrytej, rozrzucone były domki wesołe wśród gajów pomarańczowych, a świątyńki wiejskie gdzie niegdzie podnosiły się, to przeglądając w morzu szafirowem, to na tle ciemnej gór zieleni malując...

Minąwszy Surrentum i Herkulesowy ołtarz, na najwydatniejszym cyplu ziemi od strony Caprei, na skałach wstępujących w wody cieśniny, wznosiła się świątynia Minerwy.

Wszędzie zresztą, gdzieśkolwiek rzucił okiem, dymiły ołtarze bóstw rozlicznych, bieląły słupy małych owych a wdzięcznych, poświęconych bogom świątyniek, które każdy dzień mnożył ku czci coraz nowych mar tysiąca zaludniających sponiewierane Olympy.

W drugą stronę od Neapolis, długo po za miastem ciągnące się, i jedna przy drugiej nagromadzone zalegały wille pnąc się na góry, zstępując ku morzu, zwieszając po nad falami, w których dla rozpalonych życiem sybaritów szukały kąpieli rozkosznej.... Był to las portyków i kolumn i murów pietrzących się jedne nad drugie, to chowających kapryśnie w głębie gór, w pieczarach, skały i groby, by ich zazdrośne nie dojrzało oko.

Droga wiodąca ztąd od Neapolis do Baii, cała, rzec można, była ulicą pańskich pałacyków podmiejskich, na których stworzenie i ozdoby wysilały się wyobraźnie i dziwaczne chętki zniewieściałych potomków dawnych Rzymian, dziś przez rozpustę i znikczemnienie przysposobionych do niewoli i uśmiechających upodleniu.

Jedne za drugiemi szeregiem, wśród palm, kaktusów, aloesów, winnic i wdzięcznie strzelających z gęszczy ciemnych sosen, z rozpiętemi dachy swych gałęzi, stały owe tajemnicze patrycjuszów i wyzwoleńców przytułki, całe z marmurów, drogich kamieni, muszli perłowych i bronzów... w pół na morzu, pół na lądzie... Dalej, już za Pausilippem, ku Puteolom rozpoczynały się spalone pola Campi phalaegrei, pełne widowisk strasznych, buchające podziemnemi ogniami, po których poetyczne latały wspomnienia...

Za to ku morzu jasno było i dla oka wesoło.

Samo nazwanie Pausilippu (rzuć smutek) powoływało pielgrzymów, przybywających aby tu o troskach Rzymu zapomnieli i całkiem miękkiemu spoczynkowi się oddali. Każdy też tu przybywał tylko odetchnąć powietrzem wonnem, skąpać się w morzu lazurowem, posłuchać nocą tajemniczego głosu śpiewnej fali, zjeść ostryg Lucrińskich, napatrzeć się greckich dziewcząt i skryć przed ludźmi i światem.

I domki te, z cegieł różnobarwnych, z marmuru, porfyrów powznoszone, nosiły na sobie piętno jakieś swawolne, które niedozwalało wziąć je za poważne schronienie senatorskie; tu się ciężką zrzucało togę i koturn surowy, a w sukni lekkiej, której Rzym nigdy nie widział, szło po zielonej murawie lub wysłanej mozajką ścieżynce, żyć pomarańczowych kwiatów oddechem i rzeźwiącą atmosferą morza.

Wszyscy mieszkańcy tych wybrzeżów zgreczonych, aż do Baii,

Brzegów czystym nieprzyjaznych dziewicom [1])

tchnęli samą rozkoszą i weselem.... do rozkoszy i wesela posługiwali. Dzieci jońskich wychodźców, ludzie tutejsi, ani swej sztuki, ani zniewieściałego nie nabyli obyczaju, i dobrze im było jako nauczycielom wśród

[1]) Littora quae fuerunt inimica puellis. Virgilius.

Rzymian, uczących się już godność człowieczą sprzedawać za kroplę ziemskiej ambrozji.

Te wille, które poeta zamkami raczej niż wiejskiemi domki nazywa [1]) zalegały często wielkie przestrzenie, ze swemi ogrodami, łaźniami, długiemi ulicami, portykami, teatrami i odeonami... z sadzawkami, w których bawiono się tucząc ukochane rybki i ergastulami, w których zamykano okutych niewolników, z celami wyzwoleńców, flecistów, niezliczonej dworni otaczającej pana....

Z góry na górę rzucane łuki, przeprowadzały rozpieszczonego starca bez znużenia po grzbietach marmurami wykładanych, ku ciepłemu morzu, które na jego posługi do ciemnej wchodziło groty. Wolną pochyłością, litostrotem wzorzystym usłaną, posypaną różami i szafranem, spuszczał się po uczcie upojony biesiadnik do swoich thermów, nie trudząc chodem, powoli, i szedł oddychać wonią drzew rozkwitłych, widokiem czarownej ziemi.

Gdzieś stąpił, gniotłeś z daleka poprzywożone płyty kamieni, wydarte skałom rękami tysiąca niewolników, co je polewając łzami wypolerowali pod stopy pana, opierałeś się o świecące kolumny, o malowane ściany, szedłeś pod stropami w złociste przyodzianemi koszyki....

Po ścianach nawet zewnętrznych tych rozkoszy przytułków, na jaskrawem tle rzucone skakały powietrzne tancerki, greka pędzlem kreślone, unosiły się hymeny uśmiechnięte, dzieciaki skrzydlate, bachantki z rozpuszczonemi włosy.

Nic tu nie wyprowadzało myśli z tego zaczarowanego koła, w którem krążyła, tworząc sobie świat pokoju i rozkoszy, i tu prędzej niż gdzieindziej zapomnieć było można, że słońce nie zawsze świeci ziemi a szczęście życiu ludzkiemu.

Jeżeli zbłąkany filozof lub skwaśniały retor przyszedł dowodzić znikomości ziemskich rzeczy, prędko

[1]) Non villas esse sed castra.

upajały go wonie, rozmarzały uśmiechy, śpiewy i wino i kończył bełkocąc nieprzytomny:

— Carpe diem! chwytaj dzionek co ulata...

I brzegi wciąż rozlegały się pieśniami, które gdy przerwał jęk głuchy, to tylko by po nim pieśń jeszcze dźwięczała weselej.

Ażeby ciężko po wschodach, wracając z Baii, nie przebywać góry Pausilippu, boki jej przedarto na wylot, i długie, ciemne przejście wiodło przez jej łono ku polom ognistym, ku źródłom gorącym....

Dalej, nad drugą zatoką stały handlowe Puteole, grecka Dicaerchia, ze swą starożytną świątynią i thermami Serapis'a, przybytkiem Neptuna i amfiteatrem... Od stóp Gaurus'u aż do Baii, wciąż idąc brzegiem, przechodziłeś jedną ulicą villi, jeden wieniec domów oprawnych w krajobraz, jakiemu świat może nie ma równego. Tu były przez Virgilego opiewane i tajemniczemi uświęcone podaniami groty, jeziora, rzeki, a świeżo nad niemi pieśń Augustowego ulubieńca brzmiała jeszcze nad niemi długo przeciągnionem echem. Dalej i jeszcze dalej stały odwieczne Cumy, od których bramy szczęśliwej droga słana kamieniem, otoczona grobami, wiodła aż do Rzymu, i z stolicy na Campanii brzegi znużonych mowami na roztrach, siedzeniem w Capitolu, lub choćby wielkością swoją Konsulów, tryumfatorów, zwycięzców, których własne szczęście dławiło.

II.

Ale nad wdzięczny brzeg zatoki Cumańskiej, nad rozkoszne ville Pausilippu, Meseny i Baii, milszem jeszcze schronieniem była Capreä, co zdaleka wyglądała tylko na czerwoną skałę, najeżoną świątyniami i kolumny, a zblizka była jak gniazdo najeżone w koło suchemi gałęźmi, w środku miękko wysłane puchami i pióry.

MUZEUM JIK 4368

Na przeciw przylądku i świątyni Minerwy, nieopodal od lądu, od którego zdawała się oderwaną umyślnie, spoczywała wyspa różowa jak zmęczony gladiator w cyrku; niedostępna zewsząd i pionowemi skały odcięta, z dwóch stron tylko, od Neapolis i Sycylijskiego morza, dwa szczupłe miała porty a raczej liche dla statków przystanie, w których od burzy nawet skryć się nie było można. Większe też łodzie, których na ląd nie podołano wyciągnąć, uciekały w zatokę ku Surrentum, nie śmiejąc tu z akwilonami wojować....

Mimo że wspaniałości Caprei kryły się w jej dolinach lub niedostępne oku czepiały przy skał szczytach, tyle ich skupiło się na tym szczupłym ziemi kątku, że zdala nawet poznałeś w niej villę Cezarów, ich rozkazem zmienioną w jeden ogród rozkoszny i marmurowe zamczysko.

Nad cyplem ku Surrentum, wysoko, widać było wieżycę biała i gmach Jowiszowej villi, piętrzące się do góry, na szczycie Anacapri widniała świątynia bóstwa, przezroczysta, podparta słupów wiązką, a po bokach skał tu i owdzie białe kolumny szeregami stały niewolnice pilnując drogi, która, to wschodami mamurowemi, to gładką płaszczyzną, spuszczała się w zakryte doliny, opasując gór boki.

Nie było tu prawie piędzi ziemi, z którejby przemyślny Cezarów budowniczy nie korzystał, aby tę ustroń uczynić wspaniałą i rozkoszną: powykuwano skały dzikie, obleczono groty ścianami lśniącemi, przedarto drogi w gór wnętrznościach, poczepiano ulice na niedostępnych wyżynach, a pracowita dłoń ludzi, których życie za nic się liczyło, wyłożyła po jednemu drobnemi kamyczkami ścieżki, któremi Cezar miał chodzić, misternie i wdzięcznie, aby oko Augusta, padając na ziemię, nie obraziło się jej nagości widokiem.

Wśród zieleni kwiatami okrytych gdzie niegdzie ołtarz występował biały, lub posąg w postawie poważnej, szemrała fontanna, oblewając nimfy skamieniałe i rozigrane delfiny.... to znowu na białych, świeżo młotem rzeźbiarza obnażonych, marmurach, umiejętny

ogrodnik porozrzucał sploty zielone i zmusił je uściskiem czułym chłodny opasywać kamień, jak czule i niewolniczo tulili się wówczas ludzie do zimnych stóp możnych i ulubieńców Cezara.

Ciszę uroczystą przerywał tylko dalekiej szum fali i szmer wodotrysków, lub śpiew przykazany niewolnikom i grecki flet wygnańca, tęskniącego za Helladą.... ale cała siła posługaczy pańskich nie mogła powstrzymać niekiedy lotu i krzyku ptaków, które złowrogo nieraz zakrakały wśród biesiady. Bledły naówczas twarze, posępniał sam Cezar, a astrolog tłumaczył, że ptastwo gdzieś na żer z trupów i cielsk wroga leciało.

Cicho, spokojnie, rozkosznie było na tem łożu, usłanem dla władzców Rzymu, znużonych swą siłą hałasem Forum, owacjami i ofiary, i uroczystą powagą palatyńskich gmachów.

W dwunastu wyznaczonych ku temu miejscach, jeszcze Cezar Octawiusz Augustus począł był wznosić, imionami dwunastu głównych bóstw Olimpu naznaczone wille; a po jego zgonie, Tyberjusz rozkazał dokonać tych cudów, które teraz otaczały dobrowolnego drugi raz wygnańca.

Na jednym z najwyższych szczytów przeciw świątyni Minerwy, wznosiły się gmachy, Jowiszową nazwanej, willi, nad samą morza lazurowego przepaścią. Siadł tu gród cały, bielejący od marmurów i alabastru, świecący od złoceń i purpurowych ścian, a obok niego wysoko pięła się wieża strażnica, aby z niej czujne niewolnika oko, po Sycylijskich morzach, Puteolów, najmniejszą łódkę wyszpiegowało.... Często przez całą Campanią rozstawione stosy, murów Rzymu sięgające, zamkniętemu w Caprei władzcy dawały znać zażegnięte, że czyjaś tam głowa na rozkaz upadła, że nienawistne skończyło się życie... Strażnik z owej wieżycy, dostrzegłszy ogni, potrząsł pochodnią i obojętny ziewnął, lub rozśmiał się dziko.

Tu był większy przepych, najulubieńsze Cezara mieszkanie; ztąd na dwa morza, dwa światy, na z daleka przypływające mógł poglądać okręta i zgadywać a wró-

żyć, co mu one w swych niosą wnętrznościach, niewolników-królów dla tryumfu i wozu, wieść o legionach straconych i krwi przelanej daleko, sycylijskie zboże lub piasek nilowy. A gdy morze było puste i żaden żagiel nie bielał na jego błękicie, oko padało na zaczarowane brzegi Surrentum i dalej ku Herkulesowym portykom, pod stopy zielonego Wezuwiuszu, ku Neapolowi, Puteolom, w opalowych barwach dalekiego krajobrazu szukając rozrywki. I błąkało się po zielonych wzgórzach lesistych, po złocistych dolinach, po różowych gór szczytach, po białych perłach świątyń i domóstw....

A było gdzie polecieć oku.... w jedną stronę aż ku Baijom i wyspom, siostrom stojącym na morzu jak syny gór powietrzne, ku Euploi, Limonie, Nesis, Prochycie i Pitecusie; w drugą ku Posidonium, ku Sykulskim brzegom, ku tajemniczemu południu.... Obraz z tej wyżyny widoczny tak był niezmierny, że nawet oku Cezara mógł wystarczyć, marzenie Cezara nasycić.

W tej ustroni, wysoko przyczepionej na skałach, której każdy kamień niewolnicy na głowach dźwigali od brzegów, była i świątynia Jowisza, grecką sztuką wzniesiona na kolumnach z onyxów i alabastru, uwieńczonych złotem, i ołtarz Boga Bogów i cella dla jego kapłana i sto izb dla Cezara dworu, i portyk półmili długi i łaźnia, do której wiodła biała ulica, nad przepaścią przypięta, i amfiteatr, i tajemnicze *cubicula*, i xysty (ogrody), zmuszone rosnąć na twardej opoce, i kwiaty, i woda, i co człowiek wymarzyć, a niewola wykonać może.

Na głębokich zabudowana grotach, w których czarnej paszczy stada spędzonych ludzi jęknąć nie śmiały, by ciszy pana nie przerwać, willa owa zataczała swe mury po nad same przepaście o kilkaset stóp nad morzem dźwignięta, a dziwaczna myśl jakaś i zachcenie otoczyły ją zewsząd wysłanemi lithostrotem drogami, tak, by krawędzi nagiej nie zostawić ziemi. Miejscami odgradzała tylko od powietrza złocona balustrada, obwita powojami i bluszczem, gdzieindziej umyślnie nikła zapora i u stóp straszyła przepaść ciemna.

Na co tylko przepych wysoce ukształconego ludu, który pod swem panowaniem trzymał świat cały, zdobyć się może, wszystko to na góry, plecami zgarbionych ludzi, dźwignięto. Były tam i greckie posągi, rzekłbyś, zaczarowane postacie, które Bóg jedno stworzył, a drugi skamienił, i naczynia w pół przezroczyste, barw dziwnych, rzeźbione lata długie w cudne wzory i postacie, i lane z ciemnej miedzi korynckiej olbrzymy i maluczkie, droższe od nich posążki, Athenom wydarte.

A słupy, które podpierały, strop, który izby pokrywał, posadzki, co je wyścielały, wszystko to złotem, purpurą, drogim kamieniem przyoblec się musiało.

Gołe nawet murów ściany sztuką czarodziejską do życia powołał artysta, i choć płakał może, gdy skuta dłoń jego zarysowała na nich postacie, one śmiać się musiały, i jak sen ulatywać w powietrzu. Na purpurze i fiolecie, nagie dziewczątka zdawały się stworzone, by młodość wiecznie przypominać.... choć to wiekuiste ich wesele urągało się starości.... Obok nich szczebiotały ptaszęta malowane, chłopcy i dzieciaki zginały się pod ciężarem róż i owoców rumianych.

Na skwar były tu izby chłodne, na chłód łaźnie gorące, a wiekuista uczta, zawsze zastawna, czekała tylko znaku pana, by przed nim ze stołami się ukazać...

Wschody szerokie jak ulice Rzymu, a łagodne, by i starzec mógł się po niej przechadzać, jeżeli mu się ramiona sług przykrzyły — rozbiegały się ztąd w różne strony po całej wysepce, do jedenastu willi, równie strojnych i wspaniałych, jak Jowiszowy dwór Cezara.

W zielonych gajach pomarańcz i rozrosłych figach, oczepianych winną latoroślą, po cichych dolinach, w złomach skał tajemnych, w pieczarach, które natura na pół wyżłobiła wiekową pracą lub morze wybiło powoli, falą nieustanną zużywając twardą skałę — kryły się

owe rozkoszne ustronia, których przepych jeden coraz inne dla przypodobania się przybierał postacie.

Przy każdej z tych willi wznosiła się świątynka, *sacella* boga, któremu była poświęconą, biły wodotryski chłodne i drzewa rozrastały się posłuszne — ale ściany jednych okrywał marmur jasny jak śnieg, drugich kamień, co jak krew wyglądał zastygła, mlecznemi poprzerzynany żyłami, innych zielone płyty lub złociste kwadraty dziwnemi wzory w łonie ziemi obleczone....

Wyobraźnia budowniczych co się silili na nowe, niespodziane, niewidziane, — mogąca się tu rozpasać swobodnie,.... cud zrobiła, przypochlebiając się panu, wyszukując kształtów olbrzymich, barw nieznanych, wysadzając każdą stopę, to świecącemi kryształy, to różnobarwną polewą, to całemi bryłami, na których podania starej Grecji snycerz wykuł w nieskończonej wstędze, gmach opasującej do koła.

Już tu ani słup, ani ściana nie słuchały rozmiarów urzędowych, których w poważnych budowach trzymać się musiało; — łuki sklepień wspierały się zuchwale i śmiano, kolumny bujały jak drzewa młode, a miasto surowego ich kapitelu, rozrastał się wierzchołek w palmowe gałęzie, w wieńce i sploty. Wschody jedne czepiały się na dachy, drugie spuszczały w podziemia i połowa budowy schodziła z niemi w wewnętrzności gór, kryjąc w nich cuda, których się ludzkie oko z powierzchni domyśleć nie mogło. Ryjąc się w głębinach tajemniczych, budowano w nich pałace ciemności, skryte rozkoszy gniazda, zmuszając wodę by je oblewała, powietrze by je napełniało wonią.

Lecz któż potrafi dziś opisać wspaniałości wyspy, której każdy dostępny kątek przeistoczony został, przekuty na jedną całość olbrzymią, co znużonego życiem starca kryć miała i rozkosznie pieścić?

Nawet przepaście użyte zostały dla stopy i oka, zwyciężone pracą, zmuszone okryć się zielenią upinać kwiatami; nawet dzikie skały wybrzeży dźwigały po nad mórz głębiną galerje, z których zwieszony nad falą

lazurową mógł człowiek marzyć, że niebo ma pod nogami....

Morzu kazano wnijść w pieczar głębie i wcisnęło się posłusznie, rozstąpić się kamieniom i prysły, przetworzyć ziemi i stała żyzną od krwi i potu ludzkiego.

Ilu tam ofiar nieznanych kości zdruzgotały głazy, ile ich pożarła otchłań morza z kamieniem u szyi, ile serc pękło wśród trudu — nikt nie liczył, ale gmachy powstały, śmiały się i świeciły.

Z Grecji przywleczono rzeźby wydarte ziemi, co je zrodziła i kochała, z dalekich światów kamienie na podnóża; złoto na opony, purpurę na wysłanie; a gdy się zamarzyło Cezarowi w zwierzyńcu ujrzeć lwa afrykańskiego lub krokodyla w sadzawce, szedł okręt po nie i wiózł je do stóp pana.

Wśród tych przepychów, jedni mieszkańcy, starzy greccy, pokomkowie Telona, wnuki Osków i Tyrryjczyków, nie mieli się gdzie podziać i schronić; szczupła ich garść ustąpić musiała na wierzchy pustych gór, w szczeliny kamienne, w dzikie doliny, których nie dosięgła wola władzcy, ni oko jego posługaczów; wywrócone swe domostwa po kamieniu przenieśli dalej, rozpierzchając się przerażeni.

A plemię to zmieszane z wielu, w Hellenów prawie zmienione, grecki obyczaj przyjąwszy — było zaprawdę jednym z ludów najpiękniejszych i najhojniej obdarowanych na ziemi. Na obliczu jego czytałeś wypisane pochodzenie szlachetne narodu, który bogi czyniąc na podobieństwo swoje, sam swym bogom był podobny.

Może ten urok wdzięków mieszkańców Caprei sprowadził tu w ostatnich chwilach życia starego Augusta, może z nim połączona prostota obyczajów, wesele dziecięce i niebo zawsze pogodne, jak czoła tych ludzi. Bo w twarzach niewiast i dzieci greckie chodziły posągi, a starzy w swych łachmanach mieli jeszcze powagę senatorów, której już w Rzymie nie było.

A lud to był cichy, spokojny, posłuszny i szedł tak na śmierć jak do uczty, nie zdziwiony, nie złamany;

obyczaje jego miały woń pierwotnych czasów Saturna, strój był stary, jadło proste, pieśń smutna.

I byli podobni odwiecznym wygnańcom, których już opuściła pamięć, a w piersi tylko została tęsknota.

III.

O losach tego ziemi kątka mało dotąd powiedzieć było można; wcześnie bardzo nad wesołą zatoką Posidonji i Neapolu znaleźli się mieszkańce, którzy blizkie brzegów wyspy objęli. Od ośmiu już wieków naówczas liczono przybycie Greków, którzy wznieśli Cumy i Neapolis i Dicaerchiją; oni też owładli wyspami, a Capreä i Ana-Capri, zaludniły się ich dziećmi rozproszonemi po skał szczytach.

Pierwszy Oktawiusz Augustus, pod koniec życia szukając spoczynku i rozrywki, gdy przebiegał Campanię szczęśliwą, ujrzał tę konchę morską, i domyślił się, że w niej zamkniętą perłą być można.

Swetoniusz z wielkim wdziękiem opisuje te zabawki wyżytego i zniewieściałego człowieka, który tu prawie dziecinnych szukał rozrywek; obraz to tak żywy, że nic doń dodać nie można.

„August, pisze on [1]), przebiegał wybrzeża Campanji i wyspy pobliższe, spędził dni cztery w Capreä, w najzupełniejszym spoczynku i najweselszem usposobieniu. Raz, gdy przejeżdżał się na statku w zatoce puteolańskiej, do której był właśnie Alexandryjski okręt zawinął, podróżni i majtkowie, głowy postroiwszy w wieńce, w szatach białych, paląc ofiarne kadzidła, podnieśli głosy na pochwały Augusta, życząc mu wszelkiego dobra, gdyż, jak mówili, jemu winni byli życie, swobodę żeglugi i bogactwa swoje. Te pochwały tak mocno rozradowały Augusta, że między swych towarzyszów czterdzieści sztuk złota rozdać kazał, zobowiązawszy ich przysięgą, że żaden daru tego na nic innego nie użyje, tylko na kupno towarów u Alexandryjczyków. Następnych potem dni, między innemi podarunkami, rozdawał togi i pallia, z rozkazem, aby Rzymianie po grecku a Grecy po rzymsku odziewali się i mówili. Potem w Capreä przypatrywał się pilnie ćwiczeniom ephebów (młodzieży), z których dawnego gimnazjum znaczna się jeszcze liczba starym obyczajem wprawiała. Dał nawet dla nich ucztę w swej przytomności i wyraźnie zalecił, aby mogli swobodnie owoce, resztki biesiady i inne podarki wyrywać sobie i bawić się niemi. Jednem słowem, żadną nie wzgardził zabawą. Sąsiednią Caprei wysepkę Apragopolin (miastem próżniaków) nazwał, z powodu swobodnego żywota, jaki tam wiedli ci dworacy, którzy się na nią schronili. Z ulubieńców jednego, imieniem Masgabas'a, zwykł był nazywać *Ktistes*, jako niby założyciela grodu. Siedząc u stołu, postrzegł, że grobowiec tego Masgaby, przed rokiem zmarłego, wielka liczba ludzi z pochodniami otaczała, i wiersz z tego powodu utworzony, przywiódł głośno po grecku:

Założyciela grób widzę płonący [1]).

a zwróciwszy się do Thrasylla, ze dworu Tyberjuszowego, który przy stole naprzeciw niego siedział a rzeczy był nieświadomy, spytał go, czyjby ten wiersz mógł być? I gdy się Thrasyllus wahał z odpowiedzią, August dodał wiersz inny [2]):

Widzisz-li Masgabę uczczonego pochodniami.

i o ten znowu się zapytał. Na co gdy Thrasyllus nic innego odpowiedzieć nie umiał, prócz, że czyjebykolwiek wiersze były, są doskonałe, wybuchnął śmiechem wielkim i począł sobie wesoło żartować. Wkrótce potem popłynął do Neapolu, ciągle dręczony bolem wnętrzności.“

---

[1]) *Suetoniusz*, Augustus. XCVIII.

[1]) Ktistu de tymbon eisoro pyrumenon....

[2]) Horas faessi Masgaban timomenon....

Wspomnienie Augusta i tych chwil wesela, spędzonych z nim w Caprejskiej ustroni, może spowodowało Tyberjusza, by sobie cichą Capreę obrał przytułkiem na starość; tak jak Augusta przywiązanie do tej wyspy i zamianę jej na Enaryą, zazieleniony na jego przybycie stary dąb wywołał... [1]).

Oba myśleli, że im jeszcze nowa tu młodość rozkwitnie....

IV.

Była to właśnie chwila, w której wieszcze proroctwo Mantuańskiego łabędzia ziszczało się nad światem; Oktawiusz Augustus zmarł, zostawując z uśmiechem władzę Tyberjuszowi, do zgonu artysta, przewidując, że po świetnych dniach jego panowania, następne złowrogie, uwydatnią jeszcze wielkość, której chciał pamięć uwiecznić. Szukał w następcy nie pana dla Rzymu, ale dla dziejów kontrastu, dla siebie większego blasku.... chciał, by noc była czarną, a wspomnienie dnia przy niej jaśniejsze.

Dziwny zaprawdę był stan społeczeństwa w tej chwili wielkiego przełomu, kończącego jedną epokę, rozpoczynającego nową. Nikt wymowniej i silniej nie skreślił jej obrazu nad Tacyta, którego oburzenie maluje na co zszedł Rzym w tych czasach rozpusty i spodlenia.

A jednak był to wiek co do wykształcenia i cywilizacji jeden z najświetniejszych w dziejach, wiek, w którym Rzym najszerzej i najsamowładniej panował, chłonął i jednoczył w sobie wszystkie żywioły ludzkości, przyswajał mądrość Grecji i Wschodu; wiek, w którym społeczność doszła do form najwyszukańszych, do życia najwykwintniejszego, a umysły, wyćwiczone sztuką, filozofowały najsubtelniej o wszystkiem, dobierając słów jak pereł, jak dźwięków dla ucha, i myśli szerokie otwierając przestrzenie.

[1]) *Suetoniusz.* Augustus, XCII.

Cały świat, po za granicami tej cywilizacji, strojnej jak dworka zalotna i rozpieszczonej we wszystkiem, zwał się barbarzyńskim (choć Grek jeszcze i Rzymianina po cichu tem imieniem piętnował) — uprawa umysłowa stała wysoko, ale wiara dawna ledwie się w formach zużytych trzymała, a filozofja wszystko już zburzywszy, nic jeszcze na to miejsce wznieść nie mogła, jako najwyższy szczebel wiedzy uznając skeptycyzm, a za najwyższą moralność chłodny i samolubny stoicyzm.

Świat ten był świetny powierzchownie, rozmiłowany w przepychu, wymyślny w upodobaniach — żywot wiódł pełen najwyszukańszych przyjemnostek, ale stał zarazem u granicy, po za którą całą siłą swego rozumu, wiedzy i wykształcenia, przejść nie mógł. Widać to było z tego miotania się szalonego, z tych wyprężeń śmiertelnych, któremi usiłował daremnie przekroczyć granice możliwego i dostać się w jakieś krainy nieznane.

Lecz ani ludzie świata władzy, ani filozofowie i retory na tę chorobę nieuleczoną poradzić mu nie mogli — skeptycyzm zabijał ducha, stoicyzm nie żywił nic prócz dumy, a konający jeszcze przez wstyd jakiś po starorzymsku bohaterowie, już nawet jak Sokrates koguta Eskulapowi na ofiarę dać nie mogli, bo ni w Eskulapa, ni w ofiarę nie wierzyli.

Bogowie starzy stali wprawdzie na dawnych ołtarzach, ale obok nich, ludzi zszarzanych, niewiasty z nierządów znane, ubóstwiano co chwila i bóstwo poniewierało się w błocie. Wszystkie Bogi całego świata, Egiptu, Grecji, ludów barbarzyńskich, stawiano na pustych ołtarzach, ale nikt już w nie nie wierzył.... Bóstw było bez liku, a Boga nie było.

Westalki postradały swą świętość i czystość, kapłani swą władzę, zamilkły Sybille, a Rzym jak świat zdawał się oczekiwać nowego porządku, nowej idei,

nowego zbawcy, któryby odrodził przegniłą do głębi społeczność.

Te przeczucia ludzkości, dające się postrzegać w samym nawet Rzymie — nie wiedzieć jak i z czego powstałe, odzywają się po świecie całym. Magowie czują Narodzenie Pańskie w dalekiej krainie na Wschodzie i idą w długą pielgrzymkę, aby Zbawcę powitać; Heród przeraża się proroctwy, i dzieci, między któremi ma się znajdować przyszły Pan świata, mordować każe; księgi Sybilińskie mówią o przyjściu Syna Bożego, a wieszcz Mantuański, z grobowca nad brzegiem morza, które patrzało na rozpustę i zniewieściałość rzymskich patrycjuszów, woła tajemniczemi wyrazy:

Nowy przychodzi rzeczy porządek....
Nowe pokolenie z wysokiego zstępuje nieba [1])

Ten nowy rzeczy ziemskich porządek, to zjawienie się dziewicy, to dziecię niebios wysokich, widzi nie tylko wieszcz co je zwiastuje — czuje najlichszy z ludzi owego czasu, pojmujący, że świat tak dłużej, bez nadziei, bez steru, bez życia pozostać nie może. Wszyscy wiedzą, że coś wielkiego stać się ma światu, wszyscy pragną jakiejś prawdy, jakiegoś życiodawczego słowa.... i oczy przeczuciem zwracają na Wschód, jak ku nowemu wnijść mającemu słońcu, które wieszcza poprzedziła jutrzenka.

Nigdy też może ludzkość ciężej nie bolała. Stojący na czele ludów Rzym, zamiast im przewodniczyć, ssał ich i korzystał z poddanych dla swych rozkoszy i dziwactw. To, co się zwało naówczas barbarzyńców światem, jeszcze pierwotnych praw Bożych piastowało

[1]) Sicilides Musae, paulo majora canamus.
Non omnes arbusta juvant, humilesque myricae!
Si canimus sylvas, sylvae sint consule dignae.
Ultima Cumaei venit jam carminis aetas:
Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo
Jam redit et virgo, redeunt Saturnia regna,
Jam nova progenies coelo demittitur alto.
Pollio.

świadomość, jeszcze czuło godność człowieczą, jeszcze siłą charakteru upadłych napełniało zwycięzców, przypominając sobą starą dzikiego Rzymu dostojność. W tych ludach, z któremi walczono, Tacyt sam widzi cnoty, jakich już próżnoby szukał u siebie, ze wstydem, ale złamany prawdą wyznaje, że się tam uczyć potrzeba czego już Rzymianin zapomniał. Z jego obrazu Romy Cezarów i narodów jej podległych widoczna, że tam prostota obyczaju stawiła wyżej charaktery, niż tu cywilizacja pozorna i zniewieściałość wymyślna. Zepsucie dochodziło do najwyższego stopnia, a wśród niego rzadkie przykłady cnót starych świeciły jak zdumiewające wyjątki; rozpusta złamała tych ludzi, poprzerabiała na pochlebców, przeistoczyła w niewolników, zerwała węzły rodziny i najpoczwarniejsze wyradzała codzień postacie, jednej wielkiej stworzyć nie mogąc.

Samo pojęcie cnoty i występku zatarło się do tego stopnia, że powodzenie tylko zwało się już cnotą, a upadek sam był winą.

W łonie patrycjatu, Cezarowie mieli sługi najposłuszniejsze swym chuciom, Senat szafował dla nich najwymyślniejszemi kadzidły, a wierności i męztwa musiano szukać w gwardji z barbarzyńców złożonej, lub z rozkutych więzów wyzwoleńcach.

Brat na brata za grosz lub z trwogi szedł i stawał się donosicielem, syn wstawał przeciw ojcu, a to co było ohydą wprzódy, zrobiło się rzemiosłem, i denuncjatorowie sprawiali niejako urząd zyskowny, bacząc tylko na kogo padł wzrok nieprzychylny, by nań rzucić potwarzą, której nikt odeprzeć nie śmiał.

Rzymianin umiał zaledwie jedno jeszcze — umierać mężnie; brał miecz i wbijał go sobie w pierś z uśmiechem; słabe nawet niewiasty zdobywały się na tę przedśmiertną odwagę. Ale i tu już siły codzień mniej było, a starzy ze zgrozą patrzali na dzieci, co już ni się napić truciznę, ni przebić, ni głodem zamrzeć nie umieli, niewolników o zadanie sobie ostatniego ciosu prosić zmuszeni.

„Od przemiany rządu, powiada Tacyt [1]), nie pozostało śladu nawet cnót dawnych, wszyscy z równości się wyzuwszy, czekali rozkazów władcy....“

Zaledwie August, wielbiony i spiewany, strudzone oczy zamknął w Noli, otrzymawszy to od Bogów o co ich zawsze prosił i czego drugim życzył — *Euthanazyą* (śmierć dobrą i lekką) — pocałunkiem Liwii i szyderskim uśmiechem życie skończywszy pytając: — Czy jako aktor dobrze swą na świecie odegrał rolę? [2]) — gdy już dojrzeć było i domyśleć się można, jakie po nim nastąpić mają czasy, w jak dziwną Rzym przerośnie gospodę zbytków, występków i szału.

Za Augusta kryło się jeszcze to wszystko, co po nim bezwstydnie wystąpić miało; już w samej Oktawiusza rodzinie był zaród tego, co bujnie rozrosnąć się musiało; nurtowała ją rozpusta niepowściągniona, pokryta polorem greckim i pięknemi obwinięta słowy.

V.

Ojcu tego, który miał po nim nastąpić, jako przywłaszczyciel nieograniczonej władzy, August odebrał był żonę Liwią, naówczas spodziewającą się dziecięcia, jakby na szyderstwo potem zapytując się kapłanów, czy ślub jego był ważnym? [3]) Pomściła na nim występku rozpusta tej macochy Rzeczypospolitej, jak ją Tacyt nazywa, macochy złowrogiej dla Cezarów. Zdawało się, że kto inny z przysposobionych dzieci i rodziny Oktawiusza może po nim objąć zarazem konsulostwo, trybunat, dowództwo wojsk i to co stanowiło naówczas nieokreśloną i nową jeszcze władzę Cezarów; — ale Liwia w ostatnim pocałunku pożegnalnym nie zapomniała o synu.

[1]) *Tacyt.* Lib. I. 4.
[2]) *Swetoniusz.*
[3]) Tacyt. I. 10.

Claudius Tiberius Nero, syn tej Livii Drusilli, którą ciężarną odebrał August mężowi, by się z nią co prędzej połączyć, pochodził z rodziny Claudia, wywodzącej się z jednego z miasteczek Sabińskich, ale przyjętej w Rzymie w poczet patrycjuszów i wsławionej mnogiemi czyny wielkiemi. Nosili oni przydomek *Nero*, co po sabińsku znaczyło silen, chrobry; mieli i imie Lucjuszów, dopóki dwóch z nich, jeden zabójstwem, drugi rozbojem go nie splamił, tak, że w końcu porzucić je musieli. Znać we krwi tego rodu był z dawna zadatek srogości Tyberjuszów i Neronów.

Później przysposobieni za członków rodziny Liwia, plebejskiej ale możnej, przyjęli jeszcze przydomek Drusów, od pokonanego barbarzyńskiego wodza, imieniem Draus'a. Pradziad Tyberjusza, Appius Caecus, należał do dostojniejszych członków tego rodu, ojciec stał w godnościach wysoko jako wojownik mężny, miał i kapłańską po Scypionie godność.

Tyberjusz nie urodził się u Augustowego tronu, matka go już z sobą przywiodła do nowej rodziny, a on i Drusus, brat jego, przyjęci zostali przez zobojętniałego Augusta. W dzieciństwie już los różnemi twardemi go próby hartował na wielki acz poczwarny, może najsilniejszy z charakterów swego czasu. Zrodzony w Rzymie czy w Fondi, z matką razem w pieluchach odbywał morskie podróże i kilkakroć był w niebezpieczeństwie życia.... wśród płonących raz lasów, wraz z Liwią poparzony i ledwie uratowany. Znać rozwinięcie się jego było szybkie, bo prawie dzieckiem wystąpił już z mową pochwalną po ojcu na rostrach. Po zwycięztwie pod Ancium towarzyszył tryumfowi Augusta, potem w igrzyskach z młodzieżą kilkakroć widział go Rzym przewodniczącego orszakom starszych pacholąt (puerorum majorum).

Togę męzką wdziawszy, znów skarbiąc sobie łaskę ludu, pokazywał się w amfiteatrze. Już naówczas zapewne musiał dla bliższych tem się objawić, czem później wyraźniej ukazał światu, bo nauczyciel jego, Theodor Gadareus zwał go „błotem krwią zamieszonem“

(lutum sanguine maceratum) a August, uniewinniając go przed ludźmi, powiadał, że miał wady przyrodzone nie nabyte, chcąc przez to dać do zrozumienia, że je zwyciężyć i pokonać potrafi.

Ale okoliczności nie sprzyjały temu zwycięztwu, chociaż się ono długo wahało. To pewna, że Tyberjusz wyrósł na znakomitego człowieka, na postać groźną lecz wielką. Jak August, poeta, a raczej retor i artysta, często mów swoich wyrażenia poprawiał nazajutrz, bojąc się w nich błąd popełnić, ale nie poprawił uczynków — dowcip jego był krwawy jak obyczaje, słowa boleśne jak wyroki.

Nie szafował jednak niemi, milczącym był raczej, nieufnym i skrytym.

Tajemniczość ta i milczenie stanowiły główny rys jego charakteru, który Dion Cassius tak maluje w chwili, gdy władzę obejmował: — „Tyberjusz, mówi on, pochodził z rodziny patrycjuszowskiej i w naukach wyzwolonych był znakomicie wykształcony, ale natury dziwnej. Nigdy się bowiem nie objawił z tem czego pragnął, ani żądał tego, czego się chcieć zdawał: mowa jego wprost myśli była przeciwną: wstręt okazywał ku temu czego pożądał, napierał się tego co nienawidził, gniew udawał gdy był najmniej wzburzony, spokojność kłamał wrąc wewnątrz na tych, którym był łaskaw burzył się wrzekomo, najnienawistniejszych sobie pogodną witał twarzą, najmilszych czołem chmurnem. W ostatku mawiał, że nikt nie powinien znać myśli panującego, gdyż odkrycie jej spełnieniu wielkich czynów stawało na zawadzie, a milczenie dokonaniu sprzyjało.

„Lecz gdyby zawsze był takim Tyberjusz, dodaje Cassiusz, łatwoby było z nim sobie postąpić, tłumacząc przeciwnie wszelkie jego słowa i uczucia, wiedząc, że tego chce co odpycha, brzydzi się tem, czego zdaje pożądać — ale on tak się burzył, gdy go kto odgadł, że wielu bez żadnej innej winy pozabijał, jedynie za to, iż myśl jego odkryli. — Jakkolwiek więc niebezpiecznem było go nierozumieć, gorzej jeszcze odgadnąć“ [1]).

Pozostałe popiersia jego, w różnych życia epokach robione, twarz nam też odmienną przedstawiają: rysy to są wyszlachetnionego długiem powodzeniem i żywotem arystokratycznym rodu, piękne z młodu, regularne, zastanawiające wyrazem głębokim; później rośnie w nich piętno siły, dumy i zamkniętej w sobie władzy, która sama tylko w siebie nie wierzy, a chce grozą świat zhołdować. Niepospolicie wykształcony, filozof, mowca, poeta, Tyberjusz serca tylko nie miał nigdy i w całem jego życiu raz tylko namiętne ukazuje się przywiązanie. Zresztą zwykł był ludzi używać za narzędzia, jak narzędziami niemi władać, łamać i odrzucać. Zemsta jego milczała długo, ale była nieubłaganą, czasem nawet, gdy życie obrachował karą, na śmierć, co mu ofiarę wydarła, się gniewał.

Wysokiego wzrostu, silny i zbudowany krzepko, szczególniej w lewej ręce miał moc olbrzymią; głowę nosił nieco pochyloną, a wielkie jego wydatne oczy, podobne ślepiom zwierza dzikiego, w nocy lepiej niż we dnie widziały. Ciało jego, mimo niewygód i wojen, białem się zachowało i delikatnem; w późniejszym wieku dopiero, gdy powtórnie pić zaczął niepomiernie, twarz jego porosła wrzodami, które okrywające plastry dziwnie szpeciły. Może ta poczwarność zmusiła go usunąć się i skryć od oczów ludzkich z razu w Campanii, potem na oderwanej od lądów wysepce.

Pierwszą jego żoną była Agrippina, córka M. Agrippy, wnuczka Caecila Attyka, tego, do którego Cycero sławne swe pisał listy; do tej może jednej w życiu, nie wiem serce go przywiązało czy namiętność. Któż wie jakąby był drogą poszedł ten człowiek, gdyby mu dano szczęścia w spokoju skosztować i życiem rodzinnem się cieszyć? Ale August zapragnął go zbliżyć do siebie. Miał on ze Scribonii córkę, sławną ową Julję; naprzód za Markiem Marcellem, potem za

[1]) Dio Cassius. L. vij, Tiberius.

Vipsanius'em Agrippą; ta chwilowo podobała sobie Tyberjusza, by go później znienawidzić i życie sobie zatruć i jemu.

Kazano więc Tyberjuszowi rozstać się z Agrippiną, z którą miał syna Drusus'a, a ożenić z Julją, już naówczas osławioną i bezczesną....

Małżeństwo to było dla przysposobienia uczynione i ze wszech miar najszaleńsze; Tyberjusz namiętnie kochał pierwszą swoją żonę. Julja, co go tylko podobała chwilowo, pomiatała nim jak daleko niższym od siebie. Przytem kochanek jej dawny, Sempronius Gracchus, swojego czasu wytworniś, dowcipniś i śmiałek, który z rostrów i obiadowego łoża równo umiał sypać słowy wyszukanemi, a używał ich zręcznie po swej myśli — nienawidził Tyberjusza i stosunków swych dawnych z córką Augusta, dla nowego jej męża rozrywać nie myślał.

Tyberjusz więc stracił tę, którą kochał, a musiał żyć z tą, która go nienawidziła, której on nienawidził. Pisze Swetoniusz, że gdy potem raz w ulicy spotkał się z wydartą już sobie Agrippiną, tak radośnemi i pożądliwemi oczyma ją gonił, iż nakazać musiano, aby mu się więcej nie nawijała [1]).

Czas jakiś jednak żyli z Julją w pozornej zgodzie, z obawy Augusta, choć obyczaje jej wstręt mu czyniły. Tyberjusz, cierpiąc mocno, zdawał się mężnieć i krzepić, kilka razy wystąpił publicznie i świetnie, to wiodąc pieszo ciało Drusus'a na stos pogrzebowy, to mówiąc w Senacie za mieszkańcami Chios i Laodycei. Potępienie spiskującego Muraeny, wojna w Armenii, chorągwie na Parthach zabrane, rządy w Galii, wojny w Pannonii, Germanii, Dalmacyi, zdawały się go kształcić na użytecznego ojczyźnie obywatela i wodza. Ale to były dlań środki tylko zajęcia chwilowego, nie wypełniające serca; głuszył niemi tęsknotę i boleść niezwyciężoną; zwiększało się obrzydzenie jego do Julji z powodu rozwiązłości; odrzucić jej nie mógł, obwinić nie śmiał, znieść nie umiał.

[1]) Adeo contentis et tumentibus oculis prosecutus est eam....

Zapragnął więc w końcu usunąć się i oddalić, nie chcąc ani patrzeć na to co się działo, ani dzieciom bliższym sercu Augusta miejsca zajmować. Napróżno troskliwa matka starała się go przezwyciężyć i powstrzymać — objawił żądanie to gwałtownie i wytrwał w postanowieniu uparcie. Gdy go usilnie zatrzymywano w Rzymie, przez dni cztery jeść nie chciał i groził, że się głodem zamorzy. Nareszcie żonę i syna rzuciwszy, w Ostii siadł na okręt, nie żegnając się z nikim, i nie ścisnąwszy dłoni niczyjej, Rzym znienawidzony opuścił.

Niegdyś, gdy do Armenii płynął, burza czy przypadek jakiś wstrzymały go na pięknej wyspie Rhodos. Tyberjusz, jak August wykształcony, więcej był Grekiem niż Rzymianinem, wabiła go Hellada, jej język, swobodniejsze obyczaje, literatura, niebo nawet. Tu był w Grecyi: Rhodos mu się podobał i na miejsce dobrowolnego wygnania wyspę tę wybrał znowu.

Osamotniony, gdyż niewielu z sobą zabrał domowników, przeszedł na prywatnego człowieka, wyrzekł się znaczenia, zapragnął być równy drugim; rzucił strój senatorski, pozbył liktorów i zamieszkał w domku małym i ciasnym.

Całą jego zabawą było chodzić po szkołach i słuchać retorów, lub rozprawiać z nimi.

Czasem napadały go miłosierne jakieś zachcenia; zapragnął jednym razem odwiedzić wszystkich chorych, ale oświadczywszy się z tem wcześnie, był powodem, że mu ich zniesiono ilu było, pod portyki, dla wygodniejszego obejrzenia, aby się po domach nie trudził. Ułożono mu ich nawet klassyfikując wedle rodzaju chorób i ich niebezpieczeństwa.

Ne ten widok Tyberjusz, który chciał miłosiernego udawać, sam zrazu nie wiedział co począć; wszakże obszedł wszystkich i przed każdym z omyłki popełnionej jak najłagodniej się tłómaczył.

Władzę swoją Trybuńską dobrowolnie prawie złożył, i raz tylko jej użył, gdy mu włóczącemu się po szkółkach, wśród żywej dwóch sofistów rozprawy, bio-

rącemu stronę jednego z nich drugi nałajał — mszcząc się nazajutrz pozwaniem i więzieniem.

Zdaje się, że to życie na wyspie Rhodos samotne, ciężkie, do reszty go zgryzotą tajemną i goryczą na dni ostatek napoiło. August wreszcie, zapewne za staraniem Livii, która pragnęła powrotu syna, przekonawszy się o rozwiązłym córki bezwstydzie, sam jej list rozwodowy (repudium) przesłał, i w imieniu Tyberjusza ją odrzucił, dając mu zaraz znać o tem.

Tyberjusz pozostał jeszcze w Rhodos jak gdyby posłany przez Augusta, usłuchawszy woli matki, która w ten sposób jego ucieczkę dobrowolną od sromoty zasłonić chciała. Tajemnicą zresztą okryty był ten pobyt oddalony w Grecyi w czasie którego popadł w podejrzenie, w niełaskę, ze wszelkiej wyzuł się władzy, odzież nawet patrycjuszowską zdjął i zdawał tylko wyczekiwać śmierci. Matka wreszcie ubłagała go, aby o powrót prosił, a gdy i Cajus na to zezwolił, przywołano go do Rzymu.

Osiem lat jednak trwało to wygnanie, które go uczyniło skrytym, zdziczałym, milczącym i mściwym. Tyberjusz wybrał sobie życie prywatne i byłby w niem trwał, gdyby go śmierć Cajusa i Lucjusza nie wyzwoliła.

August naówczas, za namową żony przysposobił go za syna, rozkazując mu w tenże sposób usynowić Germanika. Były to tylko czcze formy związku rodzinnego, zastępujące to, co brakło w rzeczywistości, do niczego też nie obowiązywały. Tyberjusz wkrótce znów, jako najbliższy władzy, począł ją odzyskiwać. Objąwszy Trybuńską poszedł dla uspokojenia Germanii i Illiryi.

Tu sobie jako wódz na wielką zarobił sławę, i już mu miano wotować nazwanie poczestne, gdy August trochę zazdrosny, wstrzymał je tem, że go po sobie na następcę ukazał.

Wojna i władza, znowu w nim niepospolite rozwinęły przymioty: w istocie był to jeden z tych ludzi, którzy bojując z sobą i złemi skłonnościami swemi, wielkiemi być muszą w jakikolwiek sposób. Tyberjusz

mógł też być wielkim, gdyby objąwszy spadek po Auguście, potęgą swą nieograniczoną nie oszalał, a namiętnościom wodzów nie puścił.

W tej wojnie germańskiej był on, jako żołnierz i wódz, wytrwałym na niewygody i znoje, po starorzymsku prowadząc legje do boju, bez namiotu, na wilgotnej ziemi noce przepędzając z niemi, często jedząc na trawie, w nocy każąc się budzić za każdą potrzebą, karności strzegąc pilnie.

Mniejsza o owoc tych wojen i zwycięztwa, które pominiemy, nie mając zamiaru malować ich, lecz charakter tylko wykazać.

Obok dobrych, rozwinęły się życiem żołnierskiem i złe strony człowieka; August musiał go znać dobrze, gdy jakeśmy wyżej nadmienili z Swetoniuszem, po długiej z nim rozmowie, użalał się wobec dworzan swych, nad przyszłym podwładnego mu Rzymu losem.

Listy jednak Augusta, które biograf ten przywodzi, pełne są dlań słodyczy i oznak przywiązania, choć może nie tyle je serce, co ochota popisu z wymową i stylem dyktowały, bo Cezar, hellenizując w nich, i wiersze poetów przytacza, i wyraźnie raczej dla przyszłości, niż dla przybranego pisze syna.

W chwili śmierci Augusta, Tyberjusz znowu znajdował się w Illiryi, do której wkraczał zaledwie gdy listy matki gwałtownie wezwały go do Noli.

VI.

Umarł Augustus w domu otoczonym przez Livią strażami i tak pilnowanym, że o zgonie jego nikt nie wiedział, dopóki się do następstw nie przygotowano.

Rzym czekał otwarcia testamentu Augusta, ale o autentyczności jego zawczasu różnie sądzono. Usposobienie jednak wszystkich zapewniało przedłużenie władzy nieograniczonej, zbiorowej w jednym ręku jego

następcy. Władza ta, jeszcze nie określona, składała się z przelania na jednego różnych dostojeństw, które wprzódy były rozpierzchłe i rozdzielone umyślnie. — „W Rzymie, powiada Tacyt [1]), konsulowie, senatorowie, rycerstwo, dobrowolnie oddawali się w niewolę, a im kto był świetniejszego rodu, tem więcej okazywał pospiechu i gorliwiej się fałszem okrywał, układając twarz, aby nie widać z niej było ani nadto radości ze śmierci władzcy, ani zbyt wielkiego smutku z powodu odziedziczenia następcy.... mieszano łzy razem, żale i pochlebstwa.“

Wiedziano już, a raczej domyślano się, że Livia starać się będzie wynieść Tyberjusza, i przysięgę składać poczęto, choć jeszcze nie było pewności, że ona mu należy.

Zręczny i wytrzymały Tyberjusz zwołał Consulów pismem, na którego czele, jak w starej rzeczypospolitej, kładł ich imiona, nie chcąc się domyśleć, by miał już jaką władzę, uważał się tylko Trybunem, a nie pragnął jeno pozostać przy zwłokach ojca i oddać im ostatnią posługę. Ale choć tak wstrzemięźliwy w słowach, czynem jednak zapewniał sobie siłę na przypadek, która szalę na jego stronę przeważyć mogła: kohorty praetorjańskie były w jego mocy; otaczało go żołnierstwo jak Cezara. Z niemi szedł na Forum i Senatu, wojsku tymczasem rozkazywał, w słowach tylko wahając i miarkując. Zdaje się, że obawa Germanika, który w rękach miał legije potężne, i chęć uniknienia z nim walki, wstrzymywały go jeszcze; chciał być powołanym, zmuszonym niejako do obojęcia władzy, a nie sam ją sobie przywłaszczyć.

W Senacie, unikając głównego zadania; mówiono tylko o czci, jaką zmarłemu miano oddawać Augustowi, odczytano testamenta, na których czytanie głosu i sił czułemu Tyberjuszowi, postanowionemu dziedzicem, zabrakło [2]).

[1]) L. I. 7.
[2]) Swetoniusz.

Na wyprzódki ubiegano się w senacie o wynalezienie nowych dla zmarłego honorów pośmiertnych; wreszcie senatorowie zapragnęli nieść sami ciało jego na stos pogrzebowy. Tyberjusz słuchał i jęczał, zgadzając się na wszystko. Starszyzna, rzymska odgrywała wraz ze stróżami rolę swoją przedziwnie, choć po cichu już, jak zawsze, wiele rzeczy zarzucano zmarłemu, w zarządzie kraju i życiu domowem.... Przebąkiwano nawet, że wybór padł na Tyberjusza, nie z czułości dla niego, nie z przywiązania do Rzeczypospolitej, ale ze znajomości tejemnej jego zuchwalstwa i srogości, dla podniesienia blasku przeszłości, straszliwą sprzecznością jej następstw [1]). Przypominano sobie charakterystykę szyderską, z którą, pod pozorem pochwały, August wystąpił w Senacie, prosząc dlań powtórnie o władzę trybuńską.

Po pogrzebie, wszyscy poczęli błagać Tyberjusza, aby im Augusta zastąpił; on się nie wahał, wymawiał z razu i składał bezsilnością, poddając nawet myśl podziału władzy, której tylko jeden August mógł sam podołać. Życzył ją tak rozdzielić, by jeden wojskiem, drugi Rzymem stolicą, trzeci resztą państwa rządził.

Był to środek wybadania, ażali kto nie myśli Germanika do udziału władzy przypuścić, poddanie zręczności do wygadania się, za które, odkrywszy je, mógł się później mścić na sprawcy. Jeden tylko nieszczęśliwy Asinius Gallus, który był wziął za żonę pierwszą Tyberjusza odrzuconą Agrippinę i Drus'a jego przysposobił, zniena widzony przez niego jako rywal, odezwał się pytaniem, jaką część w takim razie obrałby sobie Tyberjusz? Tu pióro Tacyta tak silnie kreśli ową scenę w senacie, iż słowa jego powtórzyć musiemy:

„Mowa Asiniusza raczej była napuszona niż szczera; zresztą, Tyberjusz nawet w rzeczach z któremi się nie skrywał, zostawiał zawsze, z natury czy z przywyknienia, wyrazy niejasne i niedokończone.... I w tej

[1]) Tacyt. L, I. 10. Comparatione deterrima sibi gloriam quesivisse.

chwili, siląc się na ukrycie myśli, mowę swą obwijał jeszcze bardziej mgłami i dwuznacznikami.

„Senatorowie też, którzy niczego bardziej się nie lękali nad to, by się nie pokazało, że myśl jego odgadli, wysilali się na prośby, zaklęcia, łzy, rozpacze, obejmowali posągi Bogów, popiersia Augusta, kolana Tyberjusza nawet [1])."

Koniec końców, zręczny ów przysposobiony syn objął całe po ojcu dziedzictwo, a spodlony senat przyklasnął jego ofierze. Dodał tylko [2]) bolejącym i osłabłym głosem warunek:

— Gdy przyjdzie chwila, w której znajdziecie słusznem.... proszę was, byści starości mojej dali wypoczynek i dozwolili mi zrzucić z siebie to ciężkie jarzmo.

Pomimo najusilniejszego starania o ukrycie swej myśli i uczucia, Tyberjusz zdradzał się wszakże to czynem, to wejrzeniem, choć nigdy słowem.

Krew, z początku tego panowania nawet, gdy jeszcze do śmierci Germanika o zacność z nim walczyć musiał, już płynąć zaczynała. Haterius'a, który był powodem złowrogiego pośliznienia się i upadku, ledwie wyprosiła matka; nieco później wygnaną Julię, córkę Augusta, po cichu umorzono głodem, a Sempronius'a Graccha, który się umrzeć nie domyślił, z rozkazu Tyberjusza zabito potajemnie, w nadziei, że Rzym się o tych mordach nie dowie.

Wkrótce po osiągnieniu władzy, gdy Senat Livii nadać chciał imie dotąd niewiastom niezwykłe, zazdrośny sławy i znaczenia syn, z cicha się przeciw tym objawom czci przesadzonej objawił, z przykrością zmuszony przypomnieć, że jej nie sobie wszystko był winien.

Obawa jednak Germanika, w pierwszych latach panowania, czyniła Tyberjusza umiarkowanym w użyciu siły, a przynajmniej w formie jaką jej nadawał; we

[1]) Tacyt. L. I. 11.
[2]) Swetoniusz.

wszystkiem prosił o rady senatu, nie wotował nigdy pierwszy, odmówił wreszcie przyjęcia tytułu Augusta i ojca ojczyzny; zabronił przysięgać na swe imie jak na świętość, (to wchodziło już we zwyczaj przez pochlebstwo i było rodzajem ubóstwienia) stawiać sobie świątyń, które mu już wznosić chciano [1]), zakazał. Wszystką cześć jaką mu wyrządzano, zwracał pamięci ojca Augusta.

Troskliwy niby o dobro senatu, ubogich jego członków wspierał, groszem ich jednając sobie, a że nigdy chciwym nie był do zbytku, nawet rządzcom prowincyj nie dozwalał się sobie datkiem przypochlebiać i niejakiemu Emiliusowi Rectus, który z Egiptu nadesłał mu wyżej postanowionej dani znaczniejszą sumę, kazał powiedzieć, że poddani jego są owieczkami, że strzydz je potrzeba, ale ze skóry odzierać się nie godzi.

Ten pierwszy perjod panowania Tyberjuszowego jest rzeczywiście zajmującą sztuką sceniczną, dla tych, co znają go później już jawnie działającym po swej myśli. Możnaby go nie ledwie posądzić o istotną filozofję, stoicyzm, skromność i pobłażliwość.

Czasem potulność jego zakrawa aż na szyderstwo, gdy mówiących do siebie poprawia za każdem pochlebnem słówkiem.

— Święte twe zajęcia — mówi mu senator jakiś.
— Pracowite... — poprawia Cezar.
— Sprawco! — wykrzykuje drugi.
— Doradzco... — szepcze Tyberjusz.

Już wówczas jednak poczęły się pokątne nań pisemka i paszkwile, o których gdy mu znać dawano, skromnie odpowiadał, że w swobodnem państwie, myśl i język wolnemi być powinny.

W senacie słuchał rady z pokorą, choć niemal z niej sobie żartował [2]).

Laury to Giemanika i trudy jego, i bohaterskie życie żołnierza, przypominające ducha i obyczaj daw-

[1]) Dio Cassius.
[2]) Swetoniusz.

nych Rzymian, spocząć mu nie dawały, i te grę w filozofa wywoływały.

Obok Tyberjusza, który w słowach wielkim być usiłuje, Germanik istotnie wielki czynami, stanowi wybitną sprzeczność, tłumaczącą jaką zazdrością przeciwko temu bohaterowi musiał pałać syn Liwii. W sercach Rzymian była miłość i cześć pełna zapału dla wielkiego bohatera; Tyberjusz nietylko Germanika, ale żonę jego Agrippinę, która mu mężnie towarzyszyła w wyprawach, nienawidził, posądzając, że czyny jej wszystkie zmierzały do pozyskania władzy mężowi.

Jej znalezienie się u mostu na Renie, przeglądy wojsk, ofiary żołnierzom, rozdawanie im sukni i pieniędzy, wzbudzało niepokój w duszy Cezara.

U boku też jego stał już ów łysy Sejan, zausznik godny pana, któremu pochlebiał, podsycając w nim nienawiść, budząc podejrzenia, ofiarując posługi.

Nowe zastosowanie Augustowego prawa o zniewadze majestatu i rozciągnienie znaczenia jego do pisemek pokątnych, odkryło powoli mściwy charakter Cezara. Wszystko się wówczas dawało w potrzebie pod zniewagę majestatu podciągnąć; Tacyt przywodzi, że jedną z pierwszych denuncjacyj tego rodzaju i zarzutów obrazy majestatu, było oskarżenie Rubrius'a i Falanius'a, rycerzy rzymskich, za to, iż niejakiego Cassiusza, rozpustnych obyczajów człowieka, przyjęli do bractwa na cześć pamięci Augusta postanowionego; potem że Falanius, sprzedając ogrody swe z niemi sprzedał razem (o świętokradztwo!) posąg Augusta, że Rubrius przysiągł fałszywie na imie Augusta.

Tyberjusz jednak tych dziecinnych zarzutów na pierwszy raz nie przyjął i kary za te zbrodnie wymierzyć nie chciał.

Ale droga dla innych była wytknięta i rzemiosło donosiciela stało się sposobem do życia, środkiem pozyskania łaski. Znaleźli się ludzie jak Hispon, którzy z

---

[1]) Dio Cassius.

donoszenia żyli, a za ofiary swe wybierali najbogatszych obywateli i najznaczniejszych w Rzymie ludzi..... Dla takich zbrodnią było, gdy postawiony posąg Cezara niżej stał od otaczających, gdy mu burza lub przypadek głowę odkręcił.... Tyberjusz zrazu hamował zbytnią usłużnych gorliwość.

W tych pierwszych latach po osiągnieniu władzy jest w nim zaród wielkiego człowieka, któremu tylko braknie by tem był, czem się chciał okazać; — pojęcie więc wielkości charakteru było w jego duszy, ale namiętności je zacierały, a sceptycyzm z żywota czynił komedją.

Pracował w senacie, sądom praetorjańskim przysłuchiwał się z kątka, zbytków, szat jedwabnych i naczyń złotych zabraniał [1]), kosztowne igrzyska sceniczne starał się skromniejszemi uczynić; płacę histrionów zmniejszył, w własnem życiu okazując się oszczędnym, a nawet pilnując obyczajów i rozwiązłości kobiet kładnąc granice, choć w nim samym tajemnych i najobrzydliwszych rozpust wrzał ogień niepohamowany.

To staranie o okazanie się wielkim władzcą, troskliwym o dobro poddanych, prześladowanie obrzędów Egipskich i żydowskich, wierze Rzymian i staremu prawu przeciwnych, a czystość jej skalać mogących, rozkaz przepatrzenia ksiąg sybillińskich, czuwanie nad sprawiedliwości wymiarem, nad spokojem miasta i bezpieczeństwem mieszkańców, nad tem, by żadna zbrodnia nie uszła bezkarnie.... cechują epokę poprzedzającą śmierć Giermanika.

Dodamy tu, że obejście się z żydami, których cztery tysiące za dekretem senatu wywieziono do Sardynii, przeznaczając ich do walki z rabusiami wyspę tę niszczącymi, było popularne ale nie ludzkie. Wedle pojęć ówczesnych, co nie nosiło imienia obywatela rzymskiego, nie zasługiwało ni na litość, ni na sprawiedliwość nawet, a Tacyt pisząc o tem, dodaje z dziwną

---

[1]) Dio Cassius.

obojętnością, że jeśliby żydzi pognęli w boju, lub z powietrza pomarli, nie wielka byłaby szkoda (vile damnum) [1]).

Takie były owego wieku pojęcia....

Tyberjusz, w całym tym okresie sili się na walkę z bohaterem, ulubieńcem Rzymu, stara mu się cnotą sprostać, wspaniałomyślność odegrywa, naprzykład, gdy oskarżonego o spisek i zabijającego się Libona po śmierci czyni się obrońcą, choć sprawy wprzód nie umorzył gdy mógł, a majętność winnego rozdzielił między donosicieli.

Charakter ten w pierwszej połowie rządów maluje się we wszystkich czynach i słowach; filozof w mowie, na podziw skromny, umiarkowany, dla pamięci Augusta, dla matki pełen poszanowania, łagodny dla winnych, wykonawca sprawiedliwości ścisły, czyny tajemnemi zadaje kłamstwo pozorom. Opiera się gdy pragnie, jak mówi Dion, nienawidząc ściska i wychwala. Tak z Giermanikiem, tak z matką, tak postępuje z wielkiego charakteru Pisonem; w senacie z patrycjuszami, milczeniem lub słowy dwuznacznemi pokrywając myśl swoją, a niekiedy wydając się z samowolnością, gdy senat objawia jakąś chętkę i wolę własną, jak w sprawie Hortolus'a, którego o pomoc proszącego odprawił szyderstwem, choć w innych razach lubił się okazywać wspaniałym.

Chwilowe ukazanie się samozwańca, który udawał ocalonego niby od śmierci Agrippę Posthuma, syna Julii, córki Augustowej, nabawiło strachem Tyberjusza o władzę, gdyż lud rzymski niepokoił się tem zjawieniem.... Cassius przywodzi odpowiedź schwytanego oszusta, który spytany przez Tyberjusza: — Jakim sposobem stał się Agrippą? — odparł śmiało:

— Tak jak ty Cezarem.

Zazdrość o Germanika, coraz bardziej sławiącego się zwycięztwy i wraz z żoną ulubionego ludowi i legijom, trawiła ciągle potajemnie Cezara; pokrył ją jednak ofiarowaniem igrzysk w jego imieniu ludowi i przy-

[1]) Tacyt. II. 85.

puszczeniem go z sobą do Consulatu. Wszystko to osłaniało nienawiść i powziętą już może myśl pozbycia się współzawodnika. Ostatek dni jego zatruła walka z Pisonem, jakby umyślnie wyznaczonym do skrócenia mu życia.

Śmierć bohatera nie bez przyczyny może przypisano czarom i truciźnie, poddanej przez Pisona i żonę jego Plancynę.

Wśród tych dziejów coraz większego upodlenia charakterów i ludzi, wzniosłe postacie Germanika i Agrippiny jaśnieją dziś jeszcze bohatersko — jakże w owych czasach wspaniale na tem tle czarnem wydawać się musiały!!!

Konający na wygnaniu bohater, ofiara prześladowania nikczemnego, napełnia Tyberjusza rodością, Liwią spokojem, rozpoczynając nową epokę żywota Cezara, który czując się silniejszym, staje coraz zuchwalszym, zrzuca maskę i okazuje jakim jest w istocie.

Lud rzymski długo potem, wśród nocnych ciszy, wykrzykiwał pod oknami pałaców Tyberjuszowych i pisał na murach:

— Oddaj nam Germanika [1])!

Śmierć jego powszechnie Livii i jej synowi wyrzucano.

VII.

Ubezpieczony pozbyciem się nienawistnego współzawodnika, Tyberjusz podniósł głowę i aktorskie zrzucił suknie; nie potrzebował grać cnoty i wspaniałomyślności, aby Giermanikowi dorównać; nowy jednak niepokój nim owładnął: obawa spisków, nieprzyjaciół skrytych i niechęci ludu rzymskiego, który mógł na nim

[1]). Swetonius.

mścić się nie jednej śmierci Germanika, ale surowego obejścia z jego wdową i dziećmi, swoich własnych ucisków i spodlenia. Im niżej padał przed nim senat, im czynniejsi stawali się donosiciele, im więciej ofiar przebijały się mieczem i zamarzały głodem, tem Cezar niespokojniejszy na resztę ludu swojego poglądał, zdradę przewidując wszędzie, gróźb szukając w każdem słowie.

Kłamcy nauczyli go tej niewiary, z jaką uśmiechał się ubóstwiającym nawet siebie, dając do zrozumienia, że strach a nie serce mówiło przez ich usta.

Do tego czasu jeden tylko człowiek, oddany mu i zaprzedany ciałem i duszą, Aelius Sejan, syn Strabona, miał ucho jego i wiarę.

Zaślepiony starzec jakąś dziwną ku niemu namiętnością, ufał zausznikowi, czyniąc przezeń wszystko, dając mu władzę niezmierną i do coraz wyższych podnosząc godności. Pieszczoszek ten Tyberjuszowy, w dzieciństwie jeszcze splugawiony rozpustą Apicyusza, któremu się był sprzedał, dostał się później do dworu Cezara, i z triclinium jego i gacha, na wodza straży praetorjańskich był wyszedł. Równie okrutny i bez serca rozpustnik, jak pan jego, posiłkował go we wszystkiem, aby się sam podniósł i już zamyślał o panowaniu, które częściami zręcznie sobie przywłaszczać umiał.

Ze śmiercią Germanika poczynają się podejrzliwe prześladowania ludzi, pism i władza coraz wzrastająca Sejanowych pomocników, donosicieli.

Niewolnicy, jak wiadomo, nie mogli wedle prawa świadczyć przeciwko panom swoim, oskarżonym o występki; wynaleziono więc sposób na wymożenie u nich legalnego świadectwa w razie potrzeby; skarb naówczas wykupywał ich na swój rachunek, i męczono, póki nie zeznali co kazano.

Donosiciele nową i straszliwą broń zyskali w ten sposób.

Powrót do Rzymu Agrippiny z popiołami Germanika, sprawa Pisona, z której jawnie okazywało się,

że postępował z nieprzyjacielem stosownie do otrzymanych od Tyberjusza rozkazów, śmierć jego wreszcie, zapobiegająca podobno by się to wszystko dobitniej nie objawiło, udawany po niej żal Cezara, wszystko to razem okazało Rzymowi, jakiego miał pana nad sobą. Obawy Tyberjusza nie były płonnemi, gdyż najpodlejsze uniżenie kryło już wówczas ohydę ku niemu, wstręty i niechęć powszechną.

Nawet to życie, dotąd osłonione tajemnicą nieprzejrzaną, które później w najrozwiązlejszą rozpustę bezwstydnej starości na wyspie Capreä miało się przemienić, powoli już zaczynało się ukazywać jaśniej oczom tych, których potępiano za podobne sromoty.

Posępny, milczący, ponury i poważny w senacie, Tyberjusz, przy drzwiach zamkniętych, w obozie pretoryan, spijał się do szału, tak że dawniej mu w Germanji nadane przez żołnierzy przezwisko *Biberius Caldius Mero*, przypomniano znowu.

W chwili, gdy srogie prawa, zbytku, rozpusty niewiast i gorszących igrzysk teatralnych zakazywały, zamknięty z Pomponiuszem Flakkiem i Pizonem, stary rozpustował po dwie doby z niemi, zowiąc ich swymi najmilszymi przyjaciołmi; towarzysza tych biesiad, Sestiusza Galla, zbezczeszczonego człowieka, wprowadził do senatu, i z nim razem nocne uczty na Palatynie sprawiał, rozkazując posługiwać sobie orszakom obnażonych dziewcząt. Mówiono, że Questorem kogoś zrobił za tchem jednym wypitą całą wina amforę [1]), a rycerza rzymskiego niejakiego Prisca, urzędnikiem mianował do nastręczenia rozpusty.

Sypialne jego izby całe były pomalowane w najrozwiązlejsze obrazy, wśród których celował Pharrasyuszowy Atalanty z Meleagrem obrzydliwy i bezwstydny.

Wśród tych zabaw, skalanych monstrualnemi wymysły, które ni płci, ni wieku, ni stanu kapłańskiego nie szanowały, zawsze retor, artysta, mówca o czy-

[1]) Swetoniusz.

stość języka troskliwy, zaprzątał się Cezar słówkami i wierszykami, płacąc za płaskie koncepta, zadając przy biesiedzie pytania dowcipne, lubując się harmonią poezji greckiej, sam pisząc mowy, listy i poemata w języku Hellenów.

Trafne te zabaweczki i zagadki — kto był matką Hekuty? — Jakie imie nosił między dziewczętami Achilles? — Co śpiewają Syreny? — przeplatały wyroki śmierci i szyderskie pastwienie się nad podejrzanemi sobie, nad znienawidzonemi.

Życie ludzkie nic u niego nie ważyło, ale w mowie łacińskiej użycie w senacie wyrazu greckiego *emblema*, kłopotało go niezmiernie, chciał go koniecznie łacińskim zastąpić, a słowa brakło. Nawet sam Cezar wynaleźć go nie mógł [1]).

Obok tych literackich zabawek, myśli i słowa człowieka, których objaw dawniej pozornie szanował, nie dawano najmniejszej swobody. Cremotius Cordus musiał się zabić za to, że Brutusa i Cassiusza nazwał ostatnimi Rzymiany; biedak Luterius Priscus, poeta, który był na śmierć Germanika wiersz ułożył, a potem zawczasu, w czasie choroby Drusa, zgon przewidując, zapaśną elegiję dla niego napisał, i nieostrożnie ją przed kobietami odczytał, oskarżony o tę zbrodnię, również sobie życie odebrać musiał.

Nawet w dzieciach i żonie obawiał się Germanika jeszcze po jego zgonie: — nie śmiał ich otwarcie prześladować Tyberjusz, i najstarszego z synów zmarłego, Nerona, sam troskliwie prowadził do questury.

Wśród tych niepokojów ciągłych, które go tajemnie pożerały, zmarł mu Drusus, jak mówiono otruty przez sługi i żonę Lewillę, uwiedzioną umyślnie przez Sejana, aby się pozbyć następcy i zbliżyć do władzy, którą tak pochwycić pragnął. Na tę śmierć dziecka Tyberjusz patrzał tak chłodno jakby go nic nie obchodziła, długą i piękną mową zaraz się po niej pocieszając. Maluje to pojęcie jakie miano o jego charakterze, że wieść chodziła jakoby sam Drusa otruł, z namowy Sejana, który mu podszepnął, iż syn czyhał na jego życie.

[1]) Swetoniusz.

Sam chcąc pozostać w Rzymie i opanować władzę całą, Sejan powiększył obawy Tyberjusza, wmawiał mu potrzebę spoczynku, by go oddalić i nakłonił do usunienia się w Campanią, zkądby mógł mieć oko na stolicę, a życiem się czynnem nie nużyć.

Tyberjusz opuścił Rzym, pod pozorem poświęcenia świątyni Jowisza w Capui i Augusta w Noli, by więcej już do niego nie wrócić.

Panowanie zostało w rękach Sejana, pozór tylko władzy przy starcu, dobrowolnie skazującym się na to rozkoszne wygnanie, i dla wygodniejszego rozpustowania, usuwającym się ku owemu cudnemu brzegowi morskiemu, a potem jak łoże wieczorne przygotowanej dlań Caprei.

„Niektórzy utrzymują, pisze Tacyt, że poczwarność jego w starości, rozrosłe, wychudłe i przygarbione cielsko, głowa łysa, twarz wrzodami i plastrami okryta, nabawiały go wstydem, ilekroć musiał się ukazać publicznie; że samotność w Rhodos przyuczyła go do stronienia od ludzi i szukania potajemnych rozkoszy. Inni gwałtownemu charakterowi matki przypisują ucieczkę tę z Rzymu.“ [1]).

Wypadek wśród tej podróży, w której mu z razu towarzyszył Sejan, mający później do stolicy powrócić, powiększył jeszcze wdzięcznością za ocalone życie miłość Tyberjusza ku niemu. W drodze obiadowano w grocie, pomiędzy morzem Amuklańskiem a Fundi, w miejscu od pieczary *Spelunca* zwanem. Wpośród biesiady nagle skały nad głowami ich runęły i wszyscy uciekać zaczęli, jeden Sejan, okrywając Tyberjusza kolanami, głową, rękami, powstrzymywał upadek kamieni, dopóki żołnierze w pomoc mu nie nadbiegli. Ten czyn męztwa i przytomności umysłu do reszty zniewolił serce ocalonego Cezara.

[1]) Tacyt. L. IV. 57.

W Rzymie tymczasem mnożyły się codzień prześladowania, któremi się Sejan ubezpieczał, panując tu ze swymi wiernymi pretorjanami; codzień ktoś padał ofiarą donosiciela, a ci, co majątek dla spadkobierców ocalić chcieli, nie czekając przekonania o winę i wyroku, po uczcie z przyjacioły, sami sobie śmierć zadawali, by kata i grabieży uniknąć. Wiedzieli oni, że dosyć być oskarżonym, aby potępionym zostać.

Zbytek, jaki wówczas panował w Rzymie, nawet najzepsutszych uderzał i senat, choć sam zniewieściały, widział się zmuszonym przypomnieć Cezarowi dawne prawa, które go ograniczały. Tyberjusz sam rozpuście już i wymyślnym oddany rozkoszowaniom, nie śmiał ukrócić szału. Czuł on, że wpływając na charakter narodowy, na obyczaje, na hart duszy, rozpusta i przepych przysposabiały mu posłusznych poddanych, pomocnicząc bojaźni; że surowsze życie byłoby dało siłę ludziom, których słabości i spodlenia pragnął; odmówił więc prawa nowego i senat zamilkł posłuszny. Okazał się przytem łaskawszym chwilowo, jakby okrucieństw Sejanowych współzawodnictwo chciał zaćmić dobrocią, wstrzymał donosicieli, którzy zajadle pełnili swe bezecne rzemiosło, a gdy niejaki Capiton w senacie mocno i gorąco powstał na samego Cezara, z powodu, że bronił Enniusza, który srebrny posąg jego przetopił na jakieś naczynia, nie przyjął tego nowego rodzaju pochlebstwa i oskarżonego uniewinnił.

Nie trwało to jednak długo — ujrzano wkrótce w senacie ze zgrozą donosiciela syna, przeciwko własnemu powstającego ojcu. Był to Vibius Serenus, który okrytego łachmanami, wynędzniałego rodzica, w kajdanach wleczonego przed sąd senatu, oskarżał o poduszczanie Galii do buntu. Ojciec podnosząc skute ręce ku niebu, wołał o pomstę bogów. Tyberjusz, którego sprawą było to mściwe i późne obwinienie, sam się uczuł wstydem okryty, ale to mu nie przeszkodziło zgubić nieprzyjaciela, gdyż zemstę umiał żywić lata długie i zagasnąć jej nie dawał.

Vibius powrócił na wygnanie, Cezar wziął znowu stronę donosicieli i cugle puścił ich niecnocie.

Śmierć matki, Liwii, uwolniła go nareszcie od współzawodnika, którego znosić musiał, który codziennie cięższym mu się stawał. Liwia była szanowaną w Rzymie, senat poważał ją, a stara matka miała stanowisko, którego blask niekiedy synowi bywał przykry; wybuchały z tego powodu gorszące niechęci i gniewy.

Ostatnie dni tej kobiety, w której charakterze już syn przegląda, upłynęły w walce skrytej z własnem dziecięciem, by nic do obrazu szkarad tej epoki nie brakło.

Widzimy Cezara z zimną krwią patrzącego na śmierć syna własnego Drusa, cieszącego się prawie ze zgonu matki, której stosownego do stanu pogrzebu odmówił. Tyberjusz, poświęciwszy już naówczas świątynie w Campanii, skrył się był na Caprejskiej skale.

„Wyspa ta, mówi Tacyt, nie ma żadnego portu, ledwie najmniejsze statki znajdują się tu gdzie schronić; samotność ta spowodowała zapewne, że ją Tyberjusz ulubił, nikt bowiem przybić nie mógł do brzegu, żeby go z daleka nie postrzeżono....

„Zresztą, klimat jej jest miły, w zimie góra osłania od wiatrów północnych, w lecie na zachód zwrócona miłą jest szerokim na morza widokiem, przed sobą ma zatokę, piękniejszą naówczas jeszcze, póki ją wybuch Wezuwiusza nie zniszczył.“ [1])

Zamknięty w tej ustroni Cezar, nie przybył na pogrzeb matki, wymawiając się pracą i zajęciami pilnemi, i po cichu sprzeciwiając się apotheozie, którą ją uczcić chciano. W liście swym nawet do senatu najgrawać się zdawał z pochlebców, którzy przez cienie Livii do serca jego trafić chcieli, i przypomniał to drugie swe szyderstwo, z jakiem przyjął posłów greckich; którzy przybyli z późnem ubolewaniem nad śmiercią syna jego Drusa, odpowiadając im: — Że

[1]) L. IV.

równie ubolewa nad stratą, jaką ponieśli przez śmierć mężnego rycerza Hektora....

Zgon ten ostatnią zerwał tamę, wstrzymującą szaleństwa Tyberjusza i Sejana, które starej matki mimowolne poszanowanie hamowało. Wraz po jej śmierci, Cezar dopomniał się u senatu o głowę Agrippiny, żony Germanika i syna jej Nerona.

Pierwszy raz może senat przerażony umilkł, nie śmiejąc dać odpowiedzi. Jeden Messalinus Cotta wyrwał się z wyrokiem śmierci usłużnym, inni ust otworzyć nie śmieli, bo lud przywiązany do rodziny Germanika, otaczał izbę i warczał groźny.

Sejan się wściekał, Tyberjusz ponowił zaskarżenie i spodleni ludzie oddali mu na pastwę nieprzyjaciół.

Teraz już zausznik Cezara sam panował w Rzymie, a im się bardziej przeciwko niemu szerzyły tajemne pisma, szyderskie słowa i podrzucane satyry, tym szalał groźniejszy, poduszczając donosicielów ponętą grosza i nagrodami.

Postrach śmierci wywoływał najzagorzalsze pochlebstwa, na forum stawiano mu posągi, w świątyniach popiersia, poczęto przysięgać na imie Sejana, łącząc je z Tyberjuszowem i obu stawiąc na równi.

Choć zdala Cezar już był uwiadomiony o wszystkiem, lękał się śmierci od tego, któremy dał władzę, ale podejrzeń okazywać nie śmiał, aby nie przyspieszyć wybuchu.

Owszem, był dlań coraz łaskawszym, serdeczniejszym, im więcej się go obawiał, tem zbliżał doń czulej, nie wiedząc jak najniebezpieczniejszego ze wszystkich pozbyć się współzawodnika. W tej to chwili właśnie skrywanego niepokoju znajdujemy go na skalistym brzegu Caprei, otoczonego małym dworem wiernych, oczekującego co chwila wieści strasznej lub przynieść mu mającej głowę Sejana.

VIII.

Dzień się miał ku zachodowi, niebo było wypogodzone i jasne, wiatr chłodny zawiewał od północy, morze błyszczało bez zmarszczki, a z wierzchołka stromego brzegu naprzeciw przylądka Minerwy widać było niezmierną przestrzeń mórz i lądów, wśród przeźroczystego powietrza malujących się tak wyraźnie, jakby je czary jakie ku wyspie zbliżały.

Gdzie niegdzie na tym uśmiechniętym brzegu Sorrentu, z Herkulesowej świątyni nad falami wzniesionej, z białych ołtarzy Faunów, dymek ofiar wznosił się w powietrze leciuchny i rozpływał powoli, nieznacznym wietrzykiem rozprzędzany jak nici pajęcze. Oko sięgało z łatwością przez zatokę Salernium, ku przeciwnym brzegom, do Helli i przylądku Palynura, i świątynie Paestu nawet, w sinawej dali omglone, widniały na złotych brzegach Lucanii.

W drugą stronę, z wierzchołka wieżycy strażniczej, przy Jowiszowej willi się wznoszącej, widać było jak na dłoni całe wybrzeże zatoki Cumańskiej, z zielonością okrytym Wezuwiuszem, z Herkulesowym portykiem, Retiną, starą Parthenope, Pausilippu grota i willami nad morzem w zieloność utulonemi, Pitecusą i Pontią i ginącemi w dali krajami Campanii szczęśliwej ku Latium.

Między niebem pogodnem i rozpłomienionem ostatniemi słońca blaskami, a morzem w którem się ono przeglądało, najczystszemi barwy oblanem — brzegi Campanii i góry dalekie leżały złączone harmonijnemi tony powietrza, fantastycznemi kształty swemi urozmaicając ten obraz wielki, pełen majestatycznego wdzięku. Tylko po nad górami Tauru, za pyramidą Wezuwiusza, jak cienie przesuwały się lekkie chmurki blado-liliowe, stanowiące głąb tajemniczą tego czarodziejskiego widoku.

Na wyspie cisza panowała przerażająca: żaden głos

nie dochodził z jej dolin i woda fontan ledwie śmiała szemrać po cichu.

U stóp kamienistych małej zatoki, od strony Campanii, gdzie przybijały okręta, stały nawy milczące i jakby do odpłynienia gotowe, ale z ich malowanych wnętrzy żaden się głos nie dobywał. Na trzech rzędach wioseł zatopionych w morzu, trzy szeregi majtków, wsparte smutnie, milczały w oczekiwaniu.

Ozłocona promieniami zachodu, wyspa świeciła na tle szafirowego morza, jak z drogiego onyxu wykute cacko, ze swemi portyki, galerjami, kolumnami świątyń i pergulami willi obwieszonych winną macicą. Od przylądka Minerwy u dworca Jowiszowego, nad samą zwieszonego przepaścią, na białych mozaik pokładzie, oparty o bronzowe balustrady, siedział mężczyzna przygarbiony i patrzał to na szerokie morze, to na góry otaczające. Najmniejszy szelest go niecierpliwił, każdy ruch na wyspie przerażał, ale znać było, że tę boleść trawiącą starał się ukryć, i choć drgnęło ciało zesłabłe, wracało znowu do posągowego spoczynku, do bezwładnej obojętności.

Był to mąż lat już podeszłych, z wyłysiałą głową, okrytą wieńcem laurowym, włożonym nie tak dla ozdoby, jak z obawy piorunów, które go tego ranka zbudziły, rozlegając się po skałach; przygarbiony, wychudły, kościsty, twarzy dziwnie uderzającej. Całe tam długie i burzliwe wypisało się życie na czole pofałdowanem, w oczach osłupiałych i straszliwie wypukłych, w porytem wrzodami cielsku, pozalepianem liśćmi ziół różnych, w ustach zaciśniętych z dzikim wyrazem szyderskiego okrucieństwa, ubierającego się uśmiechem zimnym.

Oczy jego były zbladłe i szklanne, głowa poorana fałdami, skóra na policzkach obwisła i pocentkowana bliznami już zgojonych ran, obok których nowe, rozdarte jeszcze, zaledwie krwawo poprzysychały. Długa szyja, nieco zgięta, którą oplatały żyły wzdęte i jak sieć z pod lekkiej *trabei* purpurowej, spiętej na ramieniu rzniętym kamieniem, wychudłych rąk długie

palce, grzbiet przygarbiony, pierś sucha i włosem jak ręce okryta — postać tę czyniły przerażającą.

A jednak w obliczu steranem i krwią namiętności nabiegłem, w rysach tej twarzy nieszlachetnemi żądzami spalonej, widać jeszcze było, po za zgnilizną dzisiejszą, jakby świetniejszej promyk młodości.

Natura uczyniła niegdyś to oblicze pięknem, życie je przetworzyło na maskę Satyra dzikiego, zgniotła namiętność, obawa, tęsknota i najszkaradniejsze ze wszystkich uczucie zazdrości i nienawiści.

Przez oczy, usta i głowę tę wypełzłą, mnogie lata niezliczonemi przedarły się zgryzoty, porywami, tajonemi zemsty i boleścią, zostawując po sobie ślady sromotne i krwawe.

Tym starcem był Tyberjusz Cezar.... sam jeden dziś na odludziu szukający zapomnienia przeszłości, drżący o teraźniejszość, niedowierzający ludziom, nie rad z siebie, milczący dnie całe, by szyderstwem lub wyrokiem śmierci na krótko otworzyć usta.

Nieco opodal od niego stali jakby czekając rozkazów kilku ludzi skrytych za kolumny portyku, a pomiędzy nimi odznaczał się młodzieniec wysokiego wzrostu, chudy, cery śniadej i jakby opalonej, którego rysy dziwnego, niepochwyconego wyrazu, uderzały rodowemi arystokratycznemi cechami. Ale natura, dając mu oblicze piękne prawie, chciała tylko oznaczyć pochodzenie i typ ten sama starła w swych rękach, piętnując go na rozpasanego szaleńca. Cajus Caligula, syn Germanika, nie miał, mimo pięknych rysów, szlachetności w twarzy; oczom jego wpadłym i jakby obłąkanym, ustom dziwacznie wykrzywionym, gdy je mowa otwarła, brakło wyrazu i powagi; czoło szerokie a nizkie, nierówne i pogarbione jakby niedokończonego popiersia, które rzeźbiarz porzucił, nie błyskało geniuszem, zapałem, ani nawet dumą; znać było, że myśli w nim mieszkać ciasno.

Na głowie włos powiewał cienki i w części już pełznąć zaczynający, choć młodzieńcze to oblicze nad dwadzieścia kilka lat więcej nie okazywało. Ale i te

już ciężyły na tym wyrostku, zawczasu wyniszczonym nieustannie podżeganą rozpustą.

Cajus miał na sobie tunikę lekką i długą po kostki, bez rękawów, i togę, której złociste obszycie w greckie meandry całą było ozdobą; na nogach jakby dla przypomnienia przezwiska, które mu żołnierze niegdyś nadali, pieszcząc się z ulubionego wodza dziecięciem, *caligae*, perłami szyte.

Oko jego z za kolumn śledziło każde poruszenie przybranego ojca i pana, a myśl nim tylko zdawała się zajęta.

Dalej nieco stojące dwie jeszcze postacie, w greckie purpurowe *trybomiona* odziane, z głowy łysemi i pokorną postawą, tem się tylko od siebie różniły, że jeden był wychudły i połamany a zgięty jak stara winna latorośl sękata, drugi Ezopowy garb nosił na grzbiecie. Odzież obu jednaka, zdradzała domowników Cezara, a na licach ich malowało się znużenie i jakby tęsknota, która w tej chwili, gdy od nikogo postrzeżonymi być nie mogli, mimowolnie wybiła się z pod dźwiganej maski służebnej.

Głębiej jeszcze, w długim marmurowym portyku, patrzał na morze, przechadzając się, starzec siwy, z długą brodą białą, w szacie filozofa, brunatnej, poplamionej i zszarzanej, z założonemi na piersiach wyschłemi rękami....

Wśród tych popiersi, napiętnowanych namiętnościami różnemi, w konwulsyjnem jakiemś drganiu stężałych — wspaniale odbijała się ta głowa starca Thrasylla, piękna, spokojna, poważna, acz chłodem śmierci spowita. Znać było, że życie nie potrafiło przygnieść tego człowieka, choć nad nim wielkiem ciężyło brzemieniem.... oczy choć wpadłe, patrzały pogodnie na morze i Surretyńskie brzegi, usta były smutne ale przymknięte łagodnie, a mimo wieku biała i zarumieniona skóra świadczyła o życiu wstrzemięźliwem...

Thrasyllus był astrologiem i wieszczbiarzem: on jeden, z mnogiej liczby swoich współzawodników, prześladowanej i rozpędzonej, pozostał przy Cezarze, bez-

pieczny dotąd i spokojny, ze stoicką odwagą i obojętnością patrząc na krew, mordy, własne niebezpieczeństwo i przemiany dziwne, którym świat w koło podlegał... Nic go zachwiać i ustraszyć nie mogło.

I w tej chwili, choć z między białych słupów przechadzającemu się ukazywała straszliwa twarz głęboko zadumanego Cezara, ze swym uśmiechem kamiennym, groźnie pomarszczonem czołem i drgającą niecierpliwym niepokojem piersią — ten widoczny dlań stan zburzenia władzcy, który życie wszystkich miał w rękach, nie poruszał Thrasylla. Chodził tak po portyku Jowiszowej willi, jakby po ojczystym brzegu greckim w dniach spokojnej młodości.

Za ścianą brzeżną, co portyk dzieliła od wewnętrznego atrium, przez odrzuconą zasłonę, która drzwi na pół tylko okrywała, widać było w głębi na ławie kamiennej jeszcze jedną postać, wyrostka nadzwyczajnej piękności, siedzącego nieruchomie z opuszczonemi rękami i zwieszoną głową. Gdyby nie włosy ciemne, wonnościami zlane, i w splotach długich wijące się po białej szyi, można go było z razu wziąć za posąg młodego Apolla, dłutem Praxytelesa dobyty z paroskiego kamienia. Cudnych to kształtów było dziecię, zaledwie dorastające i dziewiczym wdziękiem młodości oblane. Lekka szata z białej tkanki zaledwie mu pierś i część ciała okrywała, zostawując nogi, szyję, ramiona utoczone marmurowej białości, jakby umyślnie dla podziwu obnażonemi.

Smutny chłopak siedział tak pochylony, z głową, z której spadały włosy czarne, z rękami na kolana opuszczonemi, w postawie zadumania tak wdzięcznej, że z dala stojące posągi zdawały mu się zazdrościć. Piękne jego ręce i nogi, naturalnym instynktowym ruchem ułożyły się w artystyczną całość, tak wdzięczną, że przechodzący Thrasyllus stawał niekiedy, aby nań dłużej popatrzeć.

Ale chłopak nie widział ani starca, ani innych przesuwających się po cichu ludzi, ani malowanych ścian co go otaczały — wzrok miał wlepiony w ziemię, a

mokra powieka zdawała się łzą błyszczeć niedosuszoną, i myśl gdzieś puściła się tak daleko, że jej nic ku teraźniejszości zawrócić nie mogło....

Wyrostek ten zwał się Hypathos i był nieszczęśliwym Tyberjusza ulubieńcem.

Cezar, zwrócony twarzą ku Polidonii brzegom, długo tak siedział nieruchomy prawie, parę razy tylko krzyk przelatującego ptastwa na twarz jego chmurę groźb pełną wywołał; potem nagle obrócił się w przeciwną ku Rzymowi stronę, i znowu długo okiem błyskami zachodu oślepłem w morze się wpatrywał.

— Cajus! — zawołał na młodzieńca stojącego najbliżej — spojrzyj ku Pitecusie — nic-li tam nie widać na morzu?

Caligula wystąpił szybko, posłuszny, z za słupów, przyłożył rękę do czoła i począł patrzeć uparcie na uspokojone fale....

— Nic, ojcze — odezwał się po chwili — ani żagla, ni okrętu....

— Nic i nic! — głucho powtórzył Cezar — nic.... I dodał wiersz jakiś grecki, o który, zaledwie dosłyszany, dwaj grecy w czerwonych sukniach jęli się spierać, przypisując go jeden Homerowi, Hezjodowi drugi, ale wrzawa powstająca, spojrzeniem zaognionych oczów Tyberjusza w ołowiane zmieniła się milczenie.

Cezar wstał z ciężkością, a raczej dźwignął się z siedzenia, powiódł jeszcze po morzach oczyma, lekki uśmiech przebiegł mu usta zsiniałe i miał się skierować ku portykowi, gdy nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, od strony morza ukazała się czepiająca po stromych skałach i po nad nie wyskakująca postać człowieka.... Przerażony nagłem jej ukazaniem cofnął się Cezar i zadrżał chorobliwie, ale wnet pohamował strach i stanął jak wryty, bledniejąc tylko od gniewu.

Z tej strony budowy willi były całkiem niedostępne, góra ścianą prawie pionową tonęła w morzu, kamienie jej gładkie ledwie gdzie jaką szczerbą się rysowały; zdawało się niepodobieństwem, by stopa człowieka wdarła się tędy do strzeżonych w koło mieszkań pana.

Zjawienie się więc ludzkiej postaci nad tą przepaścią nieprzystępną, przeraziło niespokojnego już Tyberjusza. Krzyk gardłowy, stłumiony wprędce, do stóp jego zwołał natychmiast co żyło — Cajusa, filozofów i dalej ukrytych niewolników i straże.

Nie było jednak nic tak groźnego w tem niespodzianem zjawisku, co tak pana świata ulękło, a na strach jego poglądało z uśmiechem.... śmiałek ów był prostym rybakiem z Caprei, chcącym się docisnąć do pana z ofiarą, której inaczej złożyć nie mógł, gdyż niewolnicy dopuścićby go nie chcieli. Trzymał on w ręku ogromną barwenę, rybę naówczas najwyżej cenioną takiej wielkości, jakiej okoliczne wody nie miały, i sądził, zapewne, że go Cezar obficie za przysmak ten obdarzy — ale się bardzo omylił w rachubie.

Tyberjusz zadrżał; nędzny ów rybak i Grecy i Cajus obawę jego spostrzegli; pomścić się więc musiał za to i trzęsąc jeszcze, rozkazał ową szorstkiej łuski barwena nieszczęśliwemu twarz wytrzeć.

Ze śmiechem i wyciem rzucili się niewolnicy na osłupiałego rybaka, który jedną nogą stojąc jeszcze nad przepaścią, drugą sparty o balustradę wił się cały pokrwawiony, wołając:

— O! dzięki jeszcze bogom, żem mu raka złowionego razem nie przyniósł.

— I tu go dostanie! — rozśmiał się starzec skinąwszy na swoich.

Z okrucieństwem nieludzkiem, jęczącą ofiarę wstrzymano za włosy nad skałą, dopóki nie przyniesiono raka, którym twarz poranioną na nowo mu odarto.

Naówczas nasycony skinął Cezar i nędznik ów zepchnięty nagle, znikł na skałach rzucony ku morzu [1]).

W czasie tej sceny okrutnej, twarz Tyberjusza wysiłkiem woli przybierała znowu wyraz spokojny, a z przytomnych Cajus jeden spoglądał na męczarnię z uśmiechem wyuzdanej swawoli; greccy retorowie jak na igraszkę niewinną z podłą istotą, Thrasyllus z krwią

[1]) Swetoniusz 60.

zimną przywykłego już do podobnych widoków i zastygłego człowieka. Krzyki rybaka wywołały także osłupiałego chłopca z jego kryjówki, wybiegł Hypathos, obejrzał się smutnie i szybko zakrył sobie oczy przerażony. Zdawało się z razu jakby chciał biedz ku nieszczęśliwemu, ale nim miał czas ruszyć się, już go na skale nie było.

Służba tylko pańska zwieszona patrzała w dół ciekawie, a Cezar skinąwszy na Thrasylla, z nim razem poszedł drogą marmurową, zwieszoną nad przepaściami i schodzącą powoli ku brzegowi od strony Cumańskiej zatoki.

Cajus i Grecy ustąpili i skryli się za kolumny; tylko niewolników tłum, wywołany z kryjówek, przyglądał się morzu i skałom stromym, chcąc dojrzeć co się stało z ciałem rybaka. Hypathos podbiegł także ku galerji i piękną swą główkę zwiesił nad morze, szukając go niespokojnemi oczyma.

— Gdzież się podział? — zapytał niewolników.

— W pałacach Syren — rozśmiał się jeden z ludzi — zaniósł im swoją barwenę i raka.

— Upadł więc? — spytał chłopak.

— A mogłoż być inaczej? — odparł jeden z niewolników. Patrz-no chłopcze — dodał — nie wiem jak on tu się wdrapał? Ale czegoż człowiek nie uczyni dla złota? Nie lepiej rozumiem jak potrafił zlecieć tak szybko, żeśmy ciała jego na wodzie, ani trupa na skałach, ani krzyku, ani pluśnięcia nie dopatrzyli i nie słyszeli....

Wszyscy tak przypatrywali się ciekawie w dół za biednym rybakiem, a Hypathos ze szczególnem zajęciem zdawał się śledzić co się z nim stało.... ale owe zjawisko, krwią zbroczone, jak wyrosło z ziemi, niepojętym też sposobem znikło w powietrzu.

— Patrzcie-no! — rzekł jeden z niewolników zafrasowany — byleby to nie był duch jaki i bóstwo morza, Cezarowi-Bogu samo przyniosło dań powinną.... człowiekby zginął przecie.... A jeśli się ono pogniewa za to przyjęcie i mścić się będzie?

— Cichoż! — zawołał drugi — gdzieżeś ty bóstwo widział w chlamydzie podartej, tak ogorzałe od słonej wody i słońca?...

— Mówią, że różne przybierają kształty...

— Lecz i Cezar sam jest bogiem — przerwał drugi — uczułby i poznał w nim gościa z morskiej głębiny.

Hypathos stał milczący, a wciąż bacznie na dół spoglądał... Niewolnicy szepcząc odsunęli się od niego, popatrzyli w przepaść i znikli powoli schodami, znowu spuszczając się do podziemnych camerelli swoich.

.....

IX.

Cezar powlókł się zwolna stroną od Pitecusy, po nad samemi skał krajami.

Z tego boku budowa także graniczyła z przepaścią i powietrzem, drugą dotykając najeżonych ścian kamiennych.

Jak wstęga jasna, wiła się ona samym brzegiem, wyłożona mozaiką, opasana balustradami złoconemi, przybliżając tak ku morzu, ciemniejącemu w głębi, że spojrzenie w dół mimowolnym napełniało strachem. Gdzie niegdzie nawet, jakby dla powiększenia tego wrażenia, rozstępowały się balasy, gładka posadzka zawisła nad wodą, a krok tylko dzielił od niechybnej śmierci przechodnia; powoje i winne latorośle dzikie ubierały w tych miejscach przerwy ogrodzenia, zakrywając niebezpieczeństwo. Nieco dalej, droga ta nieznacznie spuszczała się ku dolinie, ryjąc w głąb skały, i wiodła pod ścianą ociosaną do łaźni, której mury kąpały się w morzu.

Szedł tędy Cezar z Thrasyllem, zatrzymując się co chwila, jakby nie pewien był, czy użyje przechadzki: czy do wieczornej zstąpi kąpieli; twarz miał posępną, zadumaną, niekiedy oko jego zbladłe i wydęte spozie-

rało ukradkiem na spokojnego filozofa badawczo, ale tak, aby wejrzenia nie postrzegł, ani się badania domyślił.

Thrasyllus stąpał poważnie, powoli, bez zbytecznego uniżenia, z obojętnością stoicką, towarzyszącą mu we wszystkich życia przygodach.

— Przyszłość ci wiadoma? — zapytał stojąc nagle Tyberjusz — nie prawdaż Thrasyllu?

— Przyszłość objawiają nam bogowie i od bogów dana nauka.... są chwile — rzekł powoli starzec — w których się ona przed nami odsłania, są dnie ciemne kiedy ją dojrzeć trudno.... i Sybille nie codzień wróżyły....

— Córka Hekuby dniem przepowiadała i nocą! — zarzucił Tyberjusz.

— Może dla tego nikt jej też nie wierzył! — odparł starzec.

— Nie zawiodłem się nigdy na przepowiedniach twoich — dodał Cezar — wiesz, żem innych astrologów wygnać i wymordować kazał... było to plemię oszustów... W ciebie wierzę jednego, Thrasyllu, tyś mi jeszcze w Rhodos przepowiedział Rzym i Capreä... powiedz-że mi... jasno widzisz resztę mojej przyszłości?

— Tak! są dnie Cezarze — z niepewnością jakąś, wahając się i wpatrując w niego, odpowiedział Thrasyllus.

— A dzisiejszy?

— Nie wiem.... chciałżebyś badać mnie w tej chwili?

— Może.... ale nie o siebie.... — uśmiechając się dziko, zawołał Tyberjusz.

— Będę ci posłusznym, w miarę sił, jakie mi zeszlą bogowie....

— A więc, powiesz mi... nie moją, twą własną przyszłość.... Co ciebie czeka w tej chwili? co zgotowano dla ciebie?

— Dla mnie? — cofając się krokiem odezwał starzec — i widać było jak cień przesuwającą się po twarzy jego bladość, po której żywszy trochę rumieniec oblał ciało.... — Dla mnie? powtórzył poglądając po niebie, jakby w niem szukał skazówek.

— Co ci jest? zdajesz się mieszać? — spytał Cezar szydersko.

— Nic mi nie jest... nie widzę jeszcze jasno... rozwidnia się! postrzegam! W istocie... śmierć mi zagraża niechybna, którą tylko cud bogów odwlec może... tak jest! przyszła godzina libacji bogom podziemnym i ofiary Eskulapowi....

Cezar, pomimo nawyknienia do ukrywania swych uczuć i wrażeń, zdawał się widocznie zdumiony i przelękły.

— Gdzieżeś to wyczytał? — zapytał.

— W sobie — rzekł uspokojony Thrasyllus. — A tem ciężejby mi było umierać — dodał po chwilce — że śmierć moja o rok tylko poprzedzi największe dla Rzymu nieszczęście.

— Nieszczęście Rzymu? jakie? mów wyraźniej — podchwycił Tyberjusz.

— Śmierć twoją, Cezarze — śmielej zawołał wieszczbiarz....

Na tę wzmiankę twarz pańska pobladła straszliwie i powleczona na chwilę tą białością trupią, ukazała się straszniejszą jeszcze, bo na niej wszystkie plamy wrzodów i blizny stare schorzałego ciała zarysowały się sino.

Stał chwilę niemy, potem rękę wyciągnął ku astrologowi, a on przyklęknąwszy ucałował drżącą dłoń Cezara.

— Nie obawiaj się — rzekł — niebezpieczeństwo minęło; ale ci Apollo dobrze podszepnął! — I z lekka klasnął na niewolników.

Jak z pod ziemi zjawili się nastawieni po bokach oprawcy z za zielonych krzewów gałęzi.

— Szanujcie Thrasylla — rzekł im Tyberjusz — życie jego związane z mojem....

Ta okrutna ze starcem próba trwała tylko chwilę; niebezpieczeństwo, którego tak przytomnie uniknął, co go bladością okryło, zdawało się już być zapomniane, filozof odzyskał całą moc ducha, spokój i powagę, jaką

miał przed chwilą, stał przed Cezarem, gotów na jego rozkazy, milczący i chłodny....

Tyberjusz nie na niego już, ale w stronę Ostii spozierał baczniej, coraz szukając po morzu żagla, któryby mu dobrą wieść przynosił, śledził jakiegoś umówionego znaku; niepokój widocznie coraz nim silniej owładywał.

— Thrasyllu! — rzekł nareszcie z uśmiechem wymuszonym — co mi z Rzymu przyniosą?

— Sprawiedliwą pomstę bogów! — odparł dwuznacznie filozof.

Oba zamilkli na długo; Tyberjusz, odstąpiwszy kilka kroków, rzucił się na poduszki bronzowego siedzenia, które tam stało w portyku.

Wieczór powoli mrokiem przejrzystym osłaniał dalsze obrazu przedmioty, nikły w jego głębiach góry ciemniejące i zlewające się z tłem niebios, wyspy dalsze, morze zaczynało tracić żywą swą lazurową barwę.

Na wschodzie kilka gwiazdek blado zajaśniało i chłodny wietrzyk powiał, wstrząsając lekko liście figowych drzew i bluszczów — głęboka cisza rozprzestrzeniała się dokoła.

— Cajus! — zawołał Cezar domyślając się, że posłuszny wychowanek nie daleko być musi.

I Cajus nadbiegł natychmiast posłuszny.

— Ślij na brzeg, czy nawy moje gotowe? czy ludzie stoją przy wiosłach? może mi będą dla kogo potrzebni... niech majtkowie pod śmierci karą nie opuszczają stanowisk swoich...

Cajus znikł, biegnąc tak szybko jak się wprzód zjawił, a Thrasyllus także uszedł po cichu z przed oczów Cezara.

Tyberjusz pozostał sam i patrzał uwięzionym, nieruchomym wzrokiem na brzegi Campanii coraz chmurniejsze i niknące....

Już na nich tu i ówdzie, w mroku wieczora zapalały się światełka; Neapolis, Retina, głębiej ukryte Pompejanum ze swemi budowy białemi, już tylko iskrami zapalonych rozróżniały się światełek na czarnej szacie nocy. Od Wezuwiusza, jakby mgła błękitna, położyła

się na falach morskich i kołysana wiatrem lekkim, to osłaniała część brzegów, to ją z pod zasłon ukazywała.

Nagle, w stronie Pausilippu, na górze błysnął ogień jasny umyślnie rozpłomienionego stosu.... Cezar ujrzał go, powstał gwałtownie z siedzenia i mimowolnie z ust drżących okrzyk mu się wyrwał radośny.

— Złóżmy ofiarę Fortunie zwycięzkiej Cezarów! Sejan obalony!

W istocie, to płomię na górze oznajmywało Tyberjuszowi, że w tej chwili rozkazy jego wykonanemi zostały, że wolniej mógł piersią odetchnąć, że jeszcze był panem.

Nie bez przyczyny się niepokoił tak bardzo, choć swobodną myśl i wesele udawał. — Rzym już mu się wyślizgał z dłoni, Syn Strabona o lepszą walczył z Cezarem, dlań nawet stając się strasznym.

Ciemiężca ten, pozbywszy się Drusa, sięgał napróżno po rękę jego wdowy, aby się do rodziny Augustów przybliżyć; odepchnięty, zamierzył opanować władzę i strachem panicznym ją zdobywał. Panował on w Rzymie, gdy Tyberjusz tylko w Caprei, i więcej go już czczono i szanowano niż starego wygnańca, który ze zwykłą sobie chytrością im mocniej się go obawiał, tem czulej głaskał i większemi obsypywał dostojeństwy.

Aż trudnem się już stało tego dowódzcę pretorjanów i pana stolicy obalić; — Senat padał mu pod nogi, żołnierzy płatnych swawolą miał po sobie, strach blady imie jego czynił potężnem.

Musiał więc Cezar cierpieć i czekać, a w ostatku oprzeć się na cnocie i prawości Fulcjusza Triona konsula, którego znał charakter i odwagę. W tej chwili właśnie, zausznik Cezara, Sertorjusz Macron, posłuszny woli jego wykonawca o osobisty nieprzyjaciel Sejana, z listami do Senatu wysłany był do Rzymu tajemnie, mając sobie poleconem wywrócić przywłaszczyciela, chociażby uciekając się do środków ostatecznych, choćby obwołując Drusa młodego wodzem ludu.

Tymczasem znając potęgę Sejana, Tyberjusz choć ufał zręczności Macrona, w niepokoju dręczącym oczе-

kiwał na swej wyspie, nie wiedząc jeszcze czy ten krok zbawi go czy zgubi. Stały przez czas ten cały przygotowane okręty, na wypadek niepomyślnej wieści, gotowe starca i jego fortunę nieść na Wschód, zapewniając mu bezpieczną ucieczkę z garścią wiernych, Cajusem i Macronem.

Umówiony znak, który upadek Sejana zwiastował, długą tę chwilę niepewności tryumfem zakończył.

X.

Twarz Tyberjusza na chwilę rozpromieniła się błyskiem ogni dalekich.

— Stało się — rzekł po cichu — żal mi łysego... zaprawdę, ale sam sobie zgubę gotował.

Bogowie winni byli Cezarowi tę zemstę nad niewiernym sługą z błota dźwignionym.... Złóżmy ofiarę fortunie zwycięzkiej.... albo nie, czekajmy Macrona... tak lepiej! Gwiazdy na niebie... czas spocząć i rozweselić się nieco...

Twarz jego, znowu pokonana, przybrała wyraz zimnej obojętności, a ktoby ją teraz ujrzał, aniby się domyślił, że przed chwilą błyskała ogniem zemsty nasyconej i radością dziką, tak wszystkie swe uczucia przywykł był jedną zimną maską pokrywać.

Nikt z dworu, prócz Cajusa może, nie wiedział znaczenia zapalonego na wybrzeżu ognia, a Caligula umyślnie tając co odgadł lub wyszpiegował, przybył w tej chwili wskazując starcowi stos zażegnięty:

— Ojcze — rzekł — oto znak jakiś!

— Gdzie? — spytał Tyberjusz obracając się obojętnie.

— Tam, na brzegu Campanii.... ten ogień zapalony na górze.

— Dla kogoż to ma być znakiem? — odparł stary

zimno — wieśniacy zebrali suche gałęzie latorśli winnej i bawią się gdzieś przy ognisku....

Cajus zaciął usta.

— Ale to jak pożar wygląda!

— Tak, pali się Gaurus!— rozśmiał się Tyberjusz.... ludzie zapalili, Bogowie zagaszą.... Zawołać Priscusa; czas spocząć po trudach myślenia i pracy.

T. Caesonius Priscus był jednym z najulubieńszych, najzaufalszych dworaków Tyberjuszowych; od lat kilku Cezar go był cale nowem dostojeństwem przyodział, dał mu: *officium a voluptatibus*, urząd posługacza rozkoszy, a Priscus, choć rycerz rzymski [1]) nie wahał się przyjąć obowiązku i sprawiał gorliwie, naprzód w Rzymie, potem w swobodniejszej od oczów ludzkich Caprei.

Pod jego zarządem były wyrostki Cezara, dziewczęta, które wybrano do zabaw i posług przy ucztach, wymysły nowych rozkoszy i troska o znalezienie niespodzianych rozrywek dla zużytego starca.

Priscus dowodził tą kohortą nierządnic, gachów i zepsutych dzieci, które wnętrza odległych willi kryły w sobie; on przez wysłańców swoich coraz to nowe ofiary dla Cezara zdobywał, pieniędzmi lub siłą, coraz nowe wymyślał widoki, aby obumarłe zmysły rozbudzić i strute życie napoić choć krótkim szałem. Ten nikczemny potomek dawnego rodu, dziś podły służebnik zepsutego pana, wyglądał jeszcze, mimo urzędu jaki piastował, na Rzymianina starych czasów. Był to mężczyzna młody jeszcze, rysów twarzy bardzo pięknych, zbudowany silnie, oczów wesołych i jasnych, wielkiej dumy w wejrzeniu; rozpusta nawet, o którą się ocierał, której służył, nie wygasiła w nim ostatków młodości. Zużycie tylko wczesne widać było za dnia w zsiniałych już lekko powiekach, wymokłej twarzy, zniewieściałym uśmiechu i łzawem wejrzeniu.

Wezwany, stawił się zaraz Priscus, i razem z nim ukazały się w portykach zapalone lampy, które tysiącem świateł obwiodły galerje i kolumny. Wzdłuż drogi wiodącej ku morzu, po nad balustradami mozajkowa-

[1]) Swetonjusz.

nych wschodów, na górach i dolinach, jakby czarodziejską dłonią duchów, razem zapaliły się płomyki lamp niezliczonych. Widok wyspy, która tak zapłonęła cała na jedno skinienie, na samą myśl Cezara, był zachwycający. Białe marmury, bronzy lśniące, oblane na wpół gorącem światłem lamp i pochodni, dziwnie pięknie malowały się na iskrzącem już od gwiazd niebie, w eterach, w których się zdawały zawieszone.

Ale twarz Tyberjusza była, jakby na przekór wesołemu obrazowi, smutną i posępną; znać umyślnie przybrał ją tą szatą, aby mu nie wykradziono z duszy wrażenia, którego doznawał.

— Gdzie jest Thrasyllus? — spytał — gdzie *Graeculi?* gdzie się podział Atticus? chodźmy....

— Dokąd rozkażesz? panie?

— W dolinę, do gaju Wenery.... niech tam zastawią ucztę wieczorną.... chcę by i Thrasyllus w niej uczestniczył.... i ty Cajusie.... i wy wszyscy.... Nie będzie nas ani za mało, ani zbyt wielu....

Spojrzał tylko na Priscusa, który zaraz pochód otworzył.

Cajus Caligula, dwaj Grecy retorowie, Zenon i Theodoros, Thrasyllus, poszli za Cezarem, którego wyzwoleńcy wzięli na ręce z przenośnem siedzieniem, rodzajem *octophorum* lekkiego, i drogą schodzącą w dolinę unieśli ku wskazanemu ustroniu.

Wszystkie te wille Tyberjuszowe, rozsiane po wyspie, połączone z sobą były szerokiemi drogami, wysadzanemi białą i wzorzystą marmurową mozajką. Miejscami zniżały się one powolnie na dół, lub szerokiemi wschody wiodły na skał wierzchy, przesuwając między zaroślami i gajami, drapiąc nad gór szczyty i rozdzielając na liczne gałęzie. Jedną z tych dróg właśnie, Tyberjusz, niesiony na ramionach swych ulubieńców, zstępował powoli w dolinę, w której gaj i wille Wenery położone były. Miejsce to, jedno z najczęściej zwiedzanych przez niego, znajdowało się w osłonionej zewsząd górami głębi i zasadzone umyślnie gajem pomarańcz, fig, kasztanów, powiązanych z sobą rzuconemi na ich gałęzie latoroślami winnemi. Do jednego z bo-

ków góry przyparta willa maleńka z żółtego marmuru afrykańskiego, wisiała nad zieloną doliną i gajem. Budowniczy oparł ją na wykutych w skale pilastrach i starał się uczynić tak przezroczystą i lekką, jakby nie z kamienia, a z trzcin ją i drzewa układał. Wschody z obu stron spartego na kolumienkach wnijścia, obwieszone bluszczami, wiodły przez małą sień do wspaniałego atrium; w środku jego na posadzce różowej biła srebrzysta fontanna, której bronzową podstawę zdobiła postać nimfy przegiętej lubieżnie i wyrzucającej z ust wodę, rozbijającą się o konchę, którą trzymała w dłoni.

Z ganku budowy tej widać było całą dolinę, zamkniętą szczelnie stromemi skały i jak kosz zieloności i kwiatów, napełnioną całą krzewy i woniejącemi zioły. W pośrodku tylko łączka opasana chodnikami marmurowemi, tworzyła jakby arenę tego cyrku.

Wszystko to oświecone już było pozawieszanemi wśród drzew lampami, misternie poumieszczanemi w gałęziach, ale jeszcze puste... Ptacy tylko, zbudzeni światłem, szczebiotali na swych gniazdach. W górze, strop tej rozkosznej sali Cezara stanowiło sklepienie szafirowe nieba włoskiego, wysadzane gwiazd tysiącem...

W głębi domostwa, którego obszerne *atrium*, to jest pierwszy podwórzec wewnętrzny, ostawiony kolumnami do koła, ze trzech stron otaczała wykuta skała, już widać było po za wodotryskiem krzątające się sługi i przysposabiających ucztę wieczorną; ale Cezar i jego biesiadnicy nie wprzód zasiedli, póki w małych bocznych izbach łaziebnych, ciała i sukni nie przygotowali do uczty. Tuż niżej były kąpiele zawsze gotowe, w których odzież i wodę i niewolników podostatkiem znaleźli.

Tymczasem we wspaniałej sali jadalnej, obwieszonej lampami bronzowemi, wystawiającemi po większej części nagie i swawolne postacie satyrów i faunów, ulubione staremu rozpustnikowi, zastawiono już stoły i sedzenia a raczej łoża do wieczerzy.

Tricliniarches, z podwładnymi sobie *structorami*, porządkował naczynia i zapowiadał porządek, jakim

półmiski podawać miano, a za gęstą zasłoną, dzielącą od małych bocznych izdebek, zakryci fleciści greccy, gotowali się pieśnią i rozkosznemi dźwięki towarzyszyć spełnianym czaszom.

Po chwili rozsunęła się w głębi ciemna zasłona i Tyberjusz, obmyty, oblany wonnościami, okryty szeroką suknią, którą zwano *Synthezą* [1]), w różnokolorowe i złote szytą wzory — ukazał się na progu. Zwiędły wieniec lauru na jego skroni zastąpiła przepaska purpurowa ze złotem rodzaj korony, używanej przy pijackich biesiadach. Twarz jego jednak w tej nowej aureoli wcale się nie zmieniła i wyglądała tak ponurą i dziką, niedocieczoną i tajemniczą jak wprzódy. Ani wesela ani niepokoju nie było widać na niej, jakieś znużenie tylko i obojętność szyderską.

Za nim w świeże przybrani szaty, w wieńcach, pokazali się z kolei wezwani biesiadnicy, Cajus ze swem zżółkłem obliczem i dzikim wzrokiem, który niewolniczo pełzał, spotykając Tyberjusza oko; spokojny Thrasyllus, w nieco z pyłów oczyszczonej odzieży i wieńcu z prostych liści dębowych, dwaj retorowie greccy i Hypathos w lekkiej przezroczystej tunice białej, z twarzą zawsze smutną; czołem zasępionem, choć ustom na gwałt musiał się kazać uśmiechać.

Triclinium, to jest troiste łoże Cezara, w głównym rogu sali było przysposobione tak, aby zeń całą przestrzeń i wszystkich wygodnie mógł widzieć gości. Młodzi niewolnicy pomogli mu umieścić się na miękkich poduszkach, na których obok siebie wskazał miejsce jedno Thrasyllowi, drugie pozostałe (choć na nie chciwie Cajus poglądał) oddał Hypathosowi, sadząc go u boku swego. Dzieciak z widocznym wstrętem i obawą przysiadł się nieśmiało, spuszczając oczy łzawe, a starzec w czarne włosy jego wyschłe swe palce i dłoń pomarszczoną zanurzył.

Cajus siadł, obok mając Priscusa i Valerjusa Aster, który towarzyszył niegdyś Tyberjuszowi na wygnanie.

[1]) Sukni tych tylko do uczt rozpasanych używano.

Był to dobrze podżyły mężczyzna, wielkiej otyłości i znać szczęśliwego stanu zdrowia, bo różowe jego policzki od sąsiedztwa wszechwładnego pana nie podladły wcale, a oczy patrzyły obojętnie na świat, który mu najlepszym zdawał się światem. Cezar cenił go i szacował za to właśnie, że w nim głupotę znalazł, posłuszeństwo i dobry humor, tak wielkie, tak nieograniczone, iż na każde zawołanie Aster śmiał mu się, jadł, zapijał, swawolił jak posąg ożywiony nie człowiek czujący, nigdy nie namarszczył się, nie uląkł nigdy, a czaszy magistralnej, choćby dziesięćkroć, nie odmówił. Żartował z Astera, Aster przyjmował żarty, nawet krwawe i boleśne, nigdy się nie poskarżył, a co lepsza, pewnym mógł być Tyberjusz, iż go ten człowiek nie zdradzi, bo nigdy nie zrozumie i nie odgadnie. Pochodził on ze starej rodziny plebejuszowskiej, ale go łaska Cezara, któremu ochoczo dotrzymywał na biesiadach, podniosła aż do miejskich godności.

Wprawdzie imienia ich tylko używał, nigdy nie pełniąc obowiązków. Cezar, dla wygodnej jego głupoty, wziął go też z sobą do Caprei.

Na trzeciem łożu legł Coccejus Nerva.... gdyż retorowie greccy znikli w małej izbie obok, do osobno zastawionego spiesząc stołu i mając się dopiero na zawołanie ukazać, gdyby Tyberjuszowi przyszła chętka pogwarzyć lub posprzeczać się z nimi, zadając im nierozwikłane jakie pytanie.

Coccejus Nerva konsul, który sam pozostał na łożu usunionem nieco, był postacią wśród tego towarzystwa odznaczającą się wyrazem twarzy prawie martwym ale poważnym.

Wiek ten ucisku i niewoli zmuszał wszystkich kryć się z uczuciem, kłamać twarzą; ale tu znać było, że nie bojaźn, tylko stoicka moc charakteru, oblicze konsularne czyniła tak wspaniale pogodnem. Piękne rysy twarzy jego, czoło nieco łyse, oczy ciemne, ogniste, usta małe do zbytku i milczące, zdobił ten spokój, z jakim sztuka starożytna, jako wyłącznem swem piętnem i cechą, Bogów pogańskich malowała i rzeźbiła.

Rzekłbyś że chciała nieustannie poprawiać co niedorzeczne psuły baśnie, czyniąc bóstwa, którym przypiwano dziwaczne namiętności, chłodnemi i zobojętniałemi. Wszystko też co (greccy artyści szczególniej) ubóstwić i podnieść chcieli, otaczali tym spokojem i majestatem, którego pragnął świat pogański, ale doścignąć nie mógł.... Dla tego może przyoblókł weń wszystkie swe ideały. Nerva miał właśnie tę twarz piękną rzymskiego posągu, białą, uciszoną, chłodną. Cała jego postać zresztą równie była wspaniałą, ubior ciemny, a obwinięty togą, którą zwykłym obyczajem do uczty na ramie zarzucił — przypominał figury rzeźbione na sarkofagach.

Na konsularnem miejscu zasiadłszy (tak pierwsze zwano) Tyberjusz, podniósł purpurą opasaną głowę i spojrzał długo po współbiesiadnikach otaczających stoły; — zimny wyraz wszystkich twarzy go uderzył.

— Na Bachusa! — rzekł — nie wiedzie się nawet w uczcie! — cóżeście tak ponurzy.... wy wszyscy? tak zamyśleni? U stołu wszak trosk życia pozbyć potrzeba i choć na chwilę odpocząć..... Aster..... a tobie co?

— Mnie? — podchwycił z gotowym uśmiechem Valerius — mnie boski Cezarze? nic, chyba to żem przez dzień cały słońca mojego nie oglądał!

— E! pochlebca! — odparł Tyberjusz pół-szydersko — muszę ci za to greckim wierszem zapłacić.

I począł epigrammat Platona:

Asteras eisatreis Aster emos.....

Valerius dobrze zrozumiał czy nie, ale schyliwszy się począł wielbić naukę, dowcip i łaskę pana, który do niego raczył zastosować wiersz tak rozkochany.

— Czyj wiersz? — spytał Cezar — Thrasyllu?

— Boskiego Platona! — odparł filozof....

— A kto z was potrafi nam go przełożyć po rzymsku, jeżeli podobna naszej mowie schwycić delikatny odcień helleńskiej? sprobujcie!

Wszyscy zamilkli, nie było tam tak wprawnych

szermierzy i w końcu sam Cezar począł powoli przekładać, oglądając się jakie uczyni wrażenie.

Stella meus, stellas dum suspicis, ipse utinam sim.
Caelum, oculis ut te pluribus aspiciam...

— Aleś ty Cezarze niebem i Jowiszem, a jam najmniejszego prochu z gwiazd jasnych nie godzien przywdziać imienia! — zawołał uniesiony Aster.

— To prawda, że dziwna jakaś igraszka losu tego byka gwiazdy przerwała! — rozśmiał się starzec. — No! — świeć-że nam rad nie rad Asterze!

— Któż przy tobie jasnym się wyda! — zawołał Aster zmięszany, nie wiedząc, czy dziękować, czy jeść, bojąc się, by jadło mu nie uciekło — cóż ja biedny?

Rozmowę tę przerwało w samą porę wejście posługujących dziewcząt z orszaku Priscusa; oczy Tyberjusza skierowały się ku nim.

Jedne z nich niosły półmiski, drugie *dioty* (naczynia do wina i wody) amfory, czasze kryształowe i *kratery*, pełne już wina z wodą ogrzanego, które przy uczcie pijano, posypane po wierzchu liśćmi róży i jaśminu.

Były to dobrane urodą dzieweczki, ledwie wyszłe z dzieciństwa, porwane gdzieś rodzicom i wyuczone służyć za obrazek lubieżny dla starca, na zabawkę biesiadnikom.

Strój ledwie je osłaniał, tak był krótki i przejrzysty, jątrzył tylko wzrok, nic nie ukrywając przed nim — złożyły się nań tkaniny wschodnie, tak delikatne jak mgła, szyte rękami jakiejś niewolnicy Arachny w złote i purpurowe desenie... Ręce, ramiona, stopy dziewcząt nagie, zdobiły kolce złote, znaki niewoli razem i błyskotki, nasadzane drogim kamieniem... Priscus tak umiał dobierać, że w licznym orszaku ani dwóch twarzy, ani dwóch obliczów podobnych sobie wyrazem nie było — każde odznaczało się innem pochodzeniem i charakterem.

Nie mało to trudu i zabiegów kosztowało zręcznego dostarczyciela, który pierwociny każdej przywożonej niewolników gromady oglądał i po całym świecie zna-

nym miał swoich wysłańców. Na twarzy jednej znać było ród grecki, a profil przypominał piękne stare medale; druga z dalekiej przygnana Armenii, czarnym włosem i okiem a śnieżną ramion białością przedstawiała lud ów piękny, zhołdowany Rzymianom; trzeciej typ judejski, smętny ale czarowny, zachwycał tajemnicą i tęsknotą, patrzącą z głębi czarnej, w łzach pływającej źrenicy; nawet czarna ethiopka, od której hebanowego ciała odbijały jaskrawo koralowe naszyjniki, uśmiechała się wśród grona tego, białemi jak kość słoniowa ząbkami.

Wszystkie piękne były w swoim rodzaju, a tak dobrane i wyuczone każdego ruchu, ażeby artysta mógł podziwiać w każdej z osobna i wszystkich razem niezmierny smak nauczyciela, co je ułożył do uśmiechu, obrotu każdego, przyklęknienia, biegu i nieruchomości, do połączenia się w gruppy malownicze i rosypania na skinienie; tak, by z kolei każda uwydatnić się mogła.

Ruchy ich, pomimo to, zdawały się swobodne, niewymuszone, dobrowolne i chwilami tylko zdradzało wahanie i drżenie myśl co nad niemi czuwała...

Cezar długo oczyma wodził po nich; przebiegając wszystkie z kolei uważnie, ciekawie i mierząc je wejrzeniem znawcy... potem westchnął głęboko, czoło zasępione, usta zamknięte pokryły wrażenie, jakiego doznał. Cajus też pożądliwą ścigał je źrenicą, przyglądając się z namiętnością, która krwią oczy jego zażegła...

I Hypathos spozierał ukradkiem ku nim, ale smutnie jakoś i łzawo...

Zmuszony czy naiwny uśmiech dziecinnego wesela wyjaśniał wszystkie te twarzyczki biednych niewolnic, którym łzawego oblicza nie godziło się i w męczarniach przed panem okazać.

Pierwsze danie sprzątniono prędko, bo wszyscy głodni byli prócz Cezara, a *antecaenium* 1) mało kto z nich kosztował.

---

1) Rodzaj śniadania, przekąski przed wieczerzą.

Pocillatorki, roznoszące czasze, przybiegły, ofiarując je biesiadnikom.... Sam Tyberjusz, ogłosiwszy się uczty *modimperatorem*, wyrzekł, że pięćkroć pięć czar magistralnych za zdrowie jego wychylić będą musieli.

Sam też, rozpocząwszy od libacji, wprędce spełnił ametystowy krater, który poszedł z rąk do rąk.

Nikt odmówić go nie śmiał, nawet surowy Nerva, ani filozof Thrasyllus... Cajus ochoczo do ust przyłożył napój i wychylił duszkiem do kropli.

Wino powoli rozjaśniało twarze, Cezar zarumienił się mocno, oko mu błysnęło, rozpoczął igraszki. Odezwały się flety i pieśni greckie za zasłoną, przywołano retorów, gdyż Tyberjusz poczuł ochotę do rozprawy z nimi....

— Zeno, ty co wszystko umiesz — rzekł śmiejąc się — nawet to, czego cię w Atenach nie uczono, powiedz mi, jakim trybem śpiewały Ulissesowi Syreny? Tyś musiał się tego kiedyś dobadać!

— Eheu! Cezarze! Syreny musiały najprzedniejszym śpiewać trybem, a jest-że wdzięczniejsza mowa i tryb śpiewu nad Dorycki?

— Pochlebca! — szepnął Priscus do Cajusa — Doryckim mówią na Rhodos, a wyspę tę ukochał Cezar.

Znać zrozumiał cel odpowiedzi Tyberjusz, bo i sam śmiać się począł wesoło, a obróciwszy ku Hypathosowi, jął go namiętnie całować. Dziecię owe śliczne, splamione dotknięciem sprośnego kozła (tak niekiedy od nazwiska Caprei Tyberjusza zwano), zniosło to jak męczeństwo napróżno usiłując straszliwych pieszczot uniknąć.

Potem kazano tańczyć dziewczętom, śpiewać Grekom i Cezar wreszcie zażądał od starego garbatego retora, aby mu sposobem Doryckim zaskakał... Musiał biedak posłuchać, gdy tymczasem tanecznice, za danym znakiem, szarpały go i podrzucając nim jak piłką, podawały sobie nieszczęśliwą igraszkę.

Wtem, gdy się tak zabawiają wesoło, a Aster, trzymając się za boki, śmieje z Greka, niepomny, że jutro to samo spotkać go może — oko Tyberjusza padło na

posłanie, i rożek kartki pergaminowej, wystający z pod poduszek, uderzył czujnego a niespokojnego władzcę.... Drżącą ręką pochwycił go, wysunął... była to zapisana karta... goście pobledli wszyscy....

Zkąd tam na *triclinium* dlań zgotowanem mógł się znaleźć ten zwitek? — kto go rzucił? co on zawierał? — nikt odgadnąć nie umiał... truchleli jednak wszyscy na widok tajemniczego pisma....

Tyberjusz przeczytawszy rozśmiał się dziko, a kartę schował starannie; potem chwyciwszy dłonią czaszę podaną, spełnił ją duszkiem ochoczo, poglądając po twarzach przytomnych, którzy w niepewności nie wiedzieli jaki nadać wyraz licu.

Zwitek ten, podrzucony tak zręcznie przez zuchwałego jakiegoś dworaka, był jednym z najkrwawszych epigrammatów przeciwko Cezarowi, i zawierał dwuwiersz ten sławny:

Fastidit vinum, quia jam sitit iste cruorem,
Tam bibit hanc avide, quam bibit ante merum.
Brzydzi się winem, bo krwi teraz żąda....
I pije ją tak chciwie, jak wprzódy pił wino....

— Nie prawdaż Aster? tybyś był ciekaw... — rzekł po chwili Tyberjusz — wiedzieć com to za śliczny wiersz odkrył pod moją poduszką... Szkoda że anonym, nagrodziłbym autora...

— Ja? na Herkulesa... nie, Cezarze boski... nigdy nie byłem ciekawym, a wiersz dla mnie rzecz obojętna, choćby był Homerowy — wolę rybę...

— Ryba też zdrowsza — szepnął Tyberjusz. — Lecz Priscus, którego pieczy powierzono tu wszystko — dodał zwracając się do niego — radby może się dowiedzieć czem mnie przywitano? On przynajmniej znać to powinien.

— Cezarze! klnę się na święte imię twoje i Augusta... nic nie wiem i jestem niewinny.

— A jednak poetę by tego poznać warto! — szeptał Tyberjusz — nie dopuściłbym ażeby zginął tak marnie jak ten głupi Luterius Priscus, który doprawdy nie miał się czego zabijać. Przeczytajcie, dystych niepośledni.

I rzucił na stół kartę, poglądając znowu po twarzach; ale nikt tknąć jej nie śmiał prócz Cajusa... Ten wlepił w nią oczy, przeczytał ciekawie, wstrząsł się z wyrazem oburzenia i plasnął w dłonie.

— O straszna zbrodnia! zemsty furyj godna! oczom nie wierzę! — zawołał.

— Tak Rzym płaci Cezarom za ofiarę ich życia i trudy — odparł chłodno Tyberjusz. — Ale wiersz nie tak zły, chociaż zarzuciłbym mu to:

quia jam,

nie eufoniczne wcale.

Jako artysta i poeta, Tyberjusz nawet gniewem wrąc dopatrzył w wierszu wadę i z zimną o niej krwią mówił.

— Jużciż — dorzucił — wolę ten inny:

Asper est immitis... *)

Znacie go zapewne? — spytał wiodąc po twarzach wzrokiem... Ach! ach! co poetów w Rzymie... mnie nie licząc! — I rozśmiał się dziko.

Ta komedja, odegrana zręcznie, wyczerpała w końcu siły, ruszył się nagle odpychając Hypathosa, ruchem gwałtownym zrywając z siedzenia... Ręka jego znak dała tylko, a biesiadnicy rozproszyli się wszyscy, prócz Cajusa, który zrozumiał, że mu kazano pozostać.

— Podli! — rzekł po cichu Tyberjusz — milczą! Gniotę ich, zabijam, męczę, szydzę i nikt nie śmie wydać jęku, wyrzec słowa, a podrzucają mi karty w nocy i czyhają z nożami... Nie! to już nie są Rzymianie, Cajusie! nie! dla nich potrzeba jarzma niewoli i kar jeszcze straszniejszych! Głupcy! jakby mię ich słowa bolały?...

Priscus i ty dojść powinniście, kto tę ramotę podrzucił... I tu więc nawet, w Caprei mojej knują, zdradę przeciwko ojcu ojczyzny... tu, gdziem tylko dopuścił wybranych. To jakiś Sejanowy gaszek... chciał mnie przebić tą iglicą! ale mu się nie udało...

quia jam...

nieszczęśliwe!!

*) Swetonjusz.

XI.

Nazajutrz rano, zaledwie przebudzonemu Cezarowi dano znać, że strażnik z wieży postrzegł na morzu od Ostii okręt zbliżający się spiesznie całemi wiosłami i rozpiętemi żagla siłami ku brzegom Caprei. Nie wątpiono, że z Rzymu przynosi wieści, a Cezar natychmiast skoro przybędzie, rozkazał ku sobie prowadzić posłańca.

Słońce było w połowie swojego biegu, gdy niecierpliwie oczekiwana łódź przybiła i do Jowiszowej willi w skok pobiegł, przysłany od senatu Gracinus Lacon, dowódzca straży miejskiej, którego Macron, sam oddalić się nie mogąc, wyprawił z wieścią do pana.

Do ciemnej i umyślnie od światła osłonionej izdebki, w której na łożu purpurą wysłanem spoczywał Cezar, przywiedziono posła... Przykląkł, by ucałować rękę pańską... Mimo niecierpliwości, Cezar nie spytał o nic i sam nie począł rozmowy.

— Senat cię wita, Cezarze, jako ojca ojczyzny... — rzekł po chwili Lacon, któremu przyspieszony chód oddech tamował. — Sejana głowę ci przynoszę...

— Biedny Aelius! — odparł, nie okazując po sobie uczucia, starzec. — Jakże się to stało?

— Macron przybył do Rzymu nocą — mówił Lacon — nikomu rozkazów twych nie opowiadając, prócz mnie i Memmiusa Regula... Piętnastego dnia Kalend. Novembra zwołał senat do świątyni Apollina; Sejan przybył z pretorjanami i ujrzawszy posła twojego Cezarze, zdziwiony pytał, czyliby mu listów nie przyniósł? Na to przebiegły Macron, z uszanowaniem go powitawszy, na ucho mu szepnął, żeś ty, Cezarze, polecił zrobić go uczestnikiem twej władzy trybuńskiej, że listy ma na to do konsula i senatorów. Wszedł więc bezpiecznie zbrodzień i na twarzy jego widać było uśmiech zwycięztwa...

Macron tymczasem obrócił się naprzód do pretorjanów i dar im twój po tysiąc denarów na głowę ofiarował, oznajmując, że jest ich dowódzcą mianowany, po czem do Curji wpadłszy, oddał listy i pretorjan do obozu zaprowadził. Jam naówczas, po ich odejściu, straże miejskie wkoło świątyni Apollina ustawił...

— I dobrześ uczynił — rzekł Cezar chłodno — zasłużyłeś się Rzymowi.

— Sami już bogowie byli z tobą, Cezarze, przeciwko temu nikczemnikowi; widziano w tej chwili jasne płomienie, chwilę na niebie błyszczące i zagasłe nagle jak jego życie... Już mu władzy trybuna winszowano, gdy Memmius Regulus listy twoje otworzył, Cezarze...

— Chciałem w nich jeden wyraz poprawić, gdyż nie tak go postawiłem jak stać był powinien, ale Macron odjechał pośpiesznie — rzekł zimno Tyberjusz...

— Stopniami, gdy czytał Regulus — ciągnął dalej Lacon — rozjaśniały się twarze; potrzeba było widzieć jak pałały wdzięcznością ku tobie, gdy wyczytano wyrazy potępiające przyjaciół Sejana, a nareszcie jego samego... gdy Rzym dowiedział się, że mu swe boskie obiecujesz ukazać oblicze...

Sejan zadrżał i blednął... odstąpili go wszyscy, cofnęli się, wyrzekli; został sam jeden, odgrodzony nagle od tłumu twoim wyrokiem. Potrzykroć zawołał nań konsul: — Zbliż się Sejanie — a uszy jego, odwykłe od rozkazów, nie pojęły i nie usłuchały... ażem ja go pochwycił za barki i moim oddałem żołnierzom.

Wnet Regulus kazał mu włożyć kajdany i zawlec do Mamertyńskiego więzienia. Aleśmy ledwie z nim wyszli w ulice, gdy lud radośnie zburzony zabiegł nam drogi, błogosławiąc ci, Cezarze, plwając i znęcając się nad nędznikiem.

— Lud! — uśmiechnął się Tyberjusz — lud plwa na każdego kogo w więzach widzi — mów dalej.

— Zerwano mu z głowy zasłonę, którą się okrył ze wstydu, na Forum walą się jego posągi, wloką je powrozami do Gemonii, w Tybr rzucają oplugawione... Tak, ledwieśmy go przez zburzone tłumy żywego dociągnęli do więzienia.

— Biedny Aelius! — mruknął starzec — lecz po

cóż mu się zachciało udawać Cezara?

— Senat zgromadził się zaraz w świątyni Zgody i osądził go śmierci godnym, poleciwszy spełnić wyrok bez odwłoki.

— Dałem-że ja wyrok śmierci? — spytał Tyberjusz.

— Senat sam zażądał nań tej kary.

— Skłaniam głowę przed sądem jego... musi być sprawiedliwy! Opowiedz jak umarł?

— Plugawie! prosząc o życie... ciało powleczono do Gemonii, aby bogów przebłagać. Senat wierny chciał ci okazać, jak się brzydził niewdzięcznikiem.

— A wotował dlań posągi? — rzekł Tyberjusz.

— Twej woli, Cezarze, nie jemu — odparł Lacon. — Senatus-consultem zabroniono płakać po Sejanie, kazano imię jego zetrzeć z pomników, postanowiono posąg Swobody wznieść w Forum.

— A straże pretorjańskie? — spytał pan.

— Była chwila zaburzenia, bolało ich to, że więcej moim miejskim niż im ufano; rzucili się na miasto, aleśmy ich z Macronem ułagodzili i przywiedli do porządku. Poprzedzam Regulusa, który niesie od Senatu z patrycjuszami, rycerstwem i ludem powinszowania i dzięki.

— Powiedz mu niech do Rzymu powraca — zawołał Tyberjusz żywo — nie mogę ich przyjąć... Złamany chorobą, niedołęztwem starości, smutkiem, troską codzienną o Rzeczpospolitą, potrzebuję spoczynku,.. teraz nie pojadę do Rzymu; przybędę później. Powiedz im, że czci nowej, imienia ojca ojczyzny, nie przyjmę, że chcę nareszcie spokoju tylko i mam go prawo pożądać.

— Ale Rzym domaga się widzieć oblicze twoje. Cezarze...

— Później — rzekł starzec cicho — złóżmy dziś tutaj ofiarę Fortunie zwycięzkiej Cezara.

To mówiąc wstał z łoża.

— A dla was? dodał ciekawie — niczo nie uczynił senat? — I spojrzał na Lacona badając.

— Macronowi i mnie chciano dać godność pretorów, Macron i ja odmówiliśmy jej oba...

— Szkoda — zaśmiał się Cezar — choć kończy się na wschodach Gemonji, władza nie mniej przeto smaczna!

— Jakież twe rozkazy?

— Powiedz im, żem chory, że nie przyjmuję nikogo, nikogo widzieć nie chcę, że teraz nie mogę przybyć do Rzymu, a los rodziny Sejana w ręce senatu oddaję... Chcę spoczynku, wytchnienia, bom stary już i wycieńczony.

— Senat prosi twych rozkazów!

— Niech czyni co chce... Na bogi wielkie! jam już starzec bezsilny, słabemuż to człowiekowi rozkazywać im i uczyć co czynić mają? Wracaj do Rzymu, powiedz, żeś słyszał milczenie moje, przerwane błaganiem o spoczynek... nic więcej...

Chwilę jeszcze stał we drzwiach Lacon, ale zachmurzone oblicze pana i spuszczone uparcie oczy, zmusiły go odejść nareszcie. Pożegnał Cezara nie odzywającego się więcej, podniósł zasłonę i wysunął się po cichu.

O kilkadziesiąt kroków w portyku, już nań Nerwa, Priscus, Atticus, Aster i Cajus Caligula oczekiwali niecierpliwi posłyszeć, co zaszło w stolicy. Śmierć Sejana już ich była doszła przez ludzi, którzy Lacona przywieźli, i wielką, zwłaszcza w Cajusie, rozbudziła radość; on też pierwszy zbliżył się do dowódzcy straży z twarzą wesołą i powitał go, domagając się wieści.

Wkrótce po całej wyspie opowiadano szydersko o zgonie wczoraj na szczycie władzy stojącego ulubieńca, i nikt nie zapłakał po upadłym.

XII.

Przeistoczona na rodzaj znakomitszego więzienia, Capreä była jedną willą Cezara, cała służąca mu do

jego roskoszy i zabawek okrutnych; wypchnięta z niej ludność grecka i italscy przybysze, (którzy tu dawniej po Teleboach i Oskach zamieszkiwali, zmieszani z niemi jedną stanowiąc całość), kryli się opodal od Cezarowych mieszkań, tuląc do brzegów morza lub w dzikie i nieprzystępne ustronia. Miejsce ich teraz zajmowały straże wybrane, które pod dowództwem Macrona otaczały Tyberjusza; dziewczęta Priscusa, chłopcy, których coraz nowe przywożono zasiłki do tajemniczych zakątków rozpusty, niewolników i sług pańskich ciżba.

Codzień niemal nowe dla zużytego i bezsilnego starca wymyślano rozrywki, zmieniając miejsca, ludzi, przedmioty, aby dziwaczne obudzić i nasycić zachcenia, aby dobyć zeń iskrę gasnącego życia. Często Priscus rozpaczał, iż już nic dlań wymyśleć nie umiał i w naturze nie znajdował nowego. Porywano z łona rodzin upatrzone dziewczęta i chłopców, a nawet dzieci maluczkie na sprośne zabawki starca; nie bronił ich ród, pochodzenie, wiek, ani płacz matek, ani rozpacz mężów, ani zaklęcia i prośby. Priscus plondrował bezkarnie po Surretyńskich brzegach, w Campanji i Lucanji...

Przerażona ludność wybrzeżów kryła się przed okiem tych wysłańców, którym się niczem okupić nie było można; a bliżsi i więcej wystawieni na gwałty podobne mieszkańcy Caprei, kryli się z czcią i życiem, nocą ledwie ośmielając wydobyć się z kryjówek, by nędzny pokarm zdobyć w morzu lub wykopać z ziemi.

Szczęściem samo położenie wyspy najeżonej stromemi skałami, po których tylko przywykli do nich mieszkańcy i kozy przedzierać się umiały, broniło ich od napaści Tyberjuszowych szpiegów. Mizerne schronienia tych ludzi wieszały się jak gniazda ptasze na niedostępnych wierzchach, u ścian kamiennych, w grotach, których wnijścia osłaniano starannie — w powietrzu i nad ziemią.

W stronie przeciwnej przylądkowi Minerwy, na drugim wyspy krańcu, zwróconym na morze szerokie ku Posidonium, w najpuściejszym kącie, jeden z wierzchołków rozdwojonych skał olbrzymich, krył właśnie

w sobie takie schronienie, na wyspie nawet samej mało komu znajome.

Szczelina, w której zasiadł ten domek kamienny, tak była zatajoną przed oczyma ludzkiemi, a ścieżka wiodąca do niej tak niebezpieczna i niedostrzeżona, że trafić przypadkiem było tu prawie niepodobna.

Kozy tylko wskakiwały na ten wierzchołek i spuszczały się za najmniejszym szelestem w zieloną dolinkę, a raczej krater kamienny, który to gniazdo okrywał.

Tu przyczepiony był do boku skały domek z kamienia, prosty, tuskańskiej budowy, tak okryty liśćmi bluszczu i winną macicą, osłoniony starem ogromnem drzewem figowem i kasztanami, że go z bliska nawet dostrzedz było trudno, bo barwą kamienną uwodził. Maleńki taraz z brył kamieni dzikich nieco wystawał u wchodu, a osłaniający go murek zakrywał nawet niskie drzwi, któremi się do ciasnego atrium wchodziło. Żadnego zresztą okna na zewnątrz nie miały ściany.

Ścieżka, która prowadziła do tego zakątka, tak kręto biegła po skalistych, nie kutych, ale przez samą naturę przysposobionych stopniach, tak często przechodziła zarosłe trawą żółtą przestrzenie, że śladu jej nie mógł dopytać nieświadomy tej kryjówki.

Nie wielka dolinka, ukryta pomiędzy skałami, obejmowała tylko ogródek zasadzony warzywem, trochę latorośli winnych, kilka drzew oliwnych z porozpękanemi pniami i cysternę wyżłobioną starannie w twardej opoce. Stado kóz na pół dzikich zdawało się tu mieszkać same, a za najmniejszym popłochem zeskakiwało z wyżyn w tę głębinę i biegło się ukryć w nakrytej kamieniem grocie, będącej zwykłym onego przytułkiem.

Właśnie gdy w południe przywiezione z Rzymu wieści zajmowały Tyberjusza, Hypathos mając chwilę wolną, wybiegł z willi Jowiszowej, nie spytawszy się nawet o pozwolenie Priscusa. Czy rachował na to, że Cezar nie zażąda go tak rychło i szukać nie każe, czy obojętnym był na skutki swej wycieczki, dość, że

przywdziawszy suknie ciemniejsze, *penulę*, z kapturkiem i koturny na nogi, nie wielką kamienną drogą, ale ubocznemi ścieżkami udał się w głąb wyspy. Znały go aż nadto dobrze straże jako ulubieńca Tyberjuszowego, by mu kto z nich śmiał stanąć na drodze; myślano może zresztą, że upatrzone gdzie miłostki ciągną pięknego chłopca i nikt mu w jego wycieczce nie myślał przeszkadzać. Niewolnice tylko z uśmiechem spozierali, jak pospiesznie gnał w najodludniejszą część wyspy.

Jakkolwiek chłopię rozpieszczone było i osłabłe miękkiem życiem, znać dawniej przywyknąć musiało do spinania się po tych górach, do czepiania po stromych skałach, bo nie szukając dróg wygodnych, zdało się owszem jak najdziksze wybierać.

Dzięki tej zręczności i chyżemu biegowi, Hypathos wkrótce dostał się na przeciwny brzeg wysepki, na którym znajdowała się opisana przez nas kryjówka, i cały zadyszany przypadł na dolinę, oglądając się, czy kto kroków jego nie śledzi. Ale cisza głęboka panowała dokoła, spłoszył tylko owe kóz stado i dolinę znalazł pustą.

Szelest kroków jego i przedzieranie się przez gałęzie, wkrótce jednak wywołało z wnętrza domku młodego mężczyznę, który ostrożnie z za muru głowę ukazawszy, gdy Hypathosa postrzegł, wychylił się ku niemu cały przez kamienną zagrodę i powitał go radośnie nieznanym tu językiem.

Chłopak poskoczył ku niemu z gorącym uściskiem ze łzami w oczach.

Ten, który wyszedł na jego spotkanie, odziany był jak wszyscy wyspy mieszkańcy, ubogo jak wieśniacy, w suknię *chlaena* zwaną i sandały; ale twarz jego zdradzała jakieś pochodzenie obce, nie tutejsze. Nie był tak piękny jak Hypathos, daleko odeń starszy, a przecież do niego podobny. Czarny włos takiż, lecz niestarannie utrzymany i pyłem okryty, spadał na ramiona, podstrzyżony, by w pracy nie przeszkadzał; oczy miał czarne i ogniste, a gęsta broda ciemna spływała na pierś opaloną. We wzroku jego ten sam był wyraz smutku i ucisku, a zarazem dumy jakiejś wewnętrznej, która na czole chłopięcia jaśniała, gdy go pieszczoty Cezara nie okrywały sromotą.

Padli sobie w objęcia, długo słowa prawie przemówić nie mogąc, a milczący uścisk połączył ich obu, aż Hypathos pierwszy wyrwał się z niego, i siadając na chwiejących stopniach, które do tarasy wiodły, zakrywszy twarz końcem szaty, począł gorzko płakać.

— Cóż ci to dziecię moje, bracie najmilszy? — odezwał się mężczyzna językiem judejskim — zamiast mnie pocieszyć, łzy mi tu przynosisz, gdzie ich już tyle!

— To co zawsze, Judo! — odparł chłopak tąż samą mową mu odpowiadając — ucisk mej duszy tu mi dopiero wypłakać wolno swobodnie; tam i łzy połykać potrzeba. Tyberjusz śledzi każdy ruch twarzy i drganie powieki, a ja jestem jego pastwą! O czemuż nie mam męztwa umrzeć raczej, niżeli żyć tak sromotnie?

— Uspokój się, na wielkiego Boga naszego cię zaklinam! — rzekł Juda przystępując ku niemu — uspokój się, Rubenie; przecierpieć potrzeba i wyżyć mimo upokorzenia i boleści. Jest nas dziś tu troje na tej wyspie, bez ciebie mybyśmy zginęli; on umrzeć może lada godzina, lub go ktoś z przybranych zadławi, my będziemy wolni... a okręt jaki zabierze nas do Judei...

— My! mielibyśmy ujrzeć ojczyznę, ja, com jej nie widział nigdy... a! nie, to być nie może — jęknął Ruben — o! lepiej nam było zginąć na morzu, niż takiego doczekać ocalenia!

— Bóg wielki wie co czyni — przerwał Juda — kochanek splugawiony Tyberjusza może być drogim dla biednych Hebrejów. Któż wie, ażali Sejan nie wyszedł z nicości? czyż jak ty obcych nie widziano u nich sprawujących urzędy i przyjmujących imiona pogańskie?

— Ale nie z naszego plemienia i rodu im niena-

wistnego! — zawołał Ruben — to próżna ofiara, a nazbyt ciężka i wielka. Chciałem się zabić, gdy mnie wleczono na pastwę temu obrzydliwemu starcowi, i lepiejbym był uczynił...

— Nie masz prawa, jak poganie — przerwał Juda — odbierać sobie życia; Bóg ci je weźmie, gdy godzina wybije... cierpieć potrzeba...

— A! i ofiary składać bałwanom! — jęknął Ruben.

— Zmuszają cię — dodał Juda — ofiarujesz ręką, nie duchem.

— Sam sobą się brzydzę — mówił pierwszy — a! pozwól mi płakać! Odkąd nas burza wleczonych na wygnanie do Turris Libissonis, rzuciła z okrętem ku tej wyspie, odkądeśmy tu troje uciekli i schronili się za twoją poradą, Juda, co nieszczęść na nas spadło, a gdzie najmniejsza wyzwolenia nadzieja?

— Chodź, Ruben, chodź, a uspokój się — dodał obejmując go za szyję Juda — siądźmy razem z siostrą twoją i pocieszymy się, żeśmy znowu połączeni... Bóg reszty dokona.

Nareszcie wypłakawszy się, Ruben-Hypathos dał się ująć bratu i zrzuciwszy kaptur z głowy, wcisnął się przez ciasne drzwiczki do domku. Chatkę tę opuszczoną przybywszy na wyspę, znaleźli w ruinie; Juda pracował, aby ją oczyścić i mieszkalną uczynić.

Za drzwiami zaraz było ciasne atrium tuskie, w pośrodku którego małe *impluvium* (sadzawka na wodę deszczową spływającą z dachu) zarosłe zielem, suchem stało w porze letniej. W głębi dwoje drzwi, matami zakrytych, wiodły do wykutych w skale izdebek przytykających, które całe to schronienie składały. Na szelest kroków podwojony, poznawszy po chodzie i stukaniu sandałów przybysza, ta, którą zwano siostrą, ukazała się z głębi przez drzwiczki maleńkie i uchyliwszy zasłonę, krzyknęła radośnie, rzucając się ku Rubenowi.

Była to młodziuchna Rachel, żona Judy, z nim razem pod męzką suknią wywieziona z Rzymu, towarzyszka podróży i wygnania. Zaledwie mogła mieć lat

szesnaście, ale choć wschodniego rodu, podobniejszą była do pięknej greczynki, niżeli do obu swych braci. Przecudny to był typ młodości, wesela i życia, które jeszcze nie wierzy w żadne złe na świecie; uśmiech miała na ustach, uśmiech w oczach czarnych i na czole promienistą radość dzieciństwa. Maleńkiego wzrostu, wysmukła, zręczna, z lekka tylko ogorzała, choć ubrana ubogo, z zalotnością kobiety i wychowanki Rzymu, (gdyż tam się urodziła i wzrosła), przystrojona w lada kawał tkaniny, starczącej jej za najpiękniejsze ubiory, przypominała owe leśne zjawiska, o których śpiewają greccy poeci. Mimo zwyczaju Żydów, choć zamężna, aby nie odkryć pochodzenia swojego, włos pozostawiła niestrzyżony, pokryty lekką zasłoną; miała tylko lnianą chlamydę z podpinką, która zaledwie zaokrąglającą się pierś podtrzymywała, i płaszczyk z grubej tkani, niedbale na ramiona zarzucony.

Ukochana przez Judę, który sam za nich oboje pracował, siedziała całe dnie w swej izdebce zamknięta, nie wychodziła na świat, bojąc się nawet zanucić głośniej, aby jej pieśń nie zdradziła. Przecież w tem osamotnieniu i niewoli, życie jej się śmiało i mieniła się szczęśliwą. A gdy kozy z paszy powracały i wolno jej było wynijść, by te wydoić i pobawić się z niemi, leciała swawolnica, że ją nie raz ledwie mógł Juda wstrzymać, by się za rozbiegającą trzodą na skały nie wdrapała.

Mimo tego odosobnienia i zerwania z ludźmi, wygnania i nędzy, w jakiej żyła hebrejska rodzina, Rachel miała wielką siłę ducha, i męztwo jej nie raz wsparło złamanego Judę, który płakał samotnością stęskniony.

Ruben powitał ją, zarumieniony cały, z uczuciem, może jeszcze łzami niedawnemi powiększonem; potem siedli wszyscy troje na ławie pod prostym daszkiem domostwa.

— Nie pytaj o nas — zaczęła Rachel — powiedz, co u was się dzieje? jest-li tam nadzieja jaka?

— Ha! w Bogu! — rzekł Juda — więcej żadnej.

— Jakto? nie możeż tu przypłynąć okręt żaden,

przybić łódź żadna do Egiptu płynąca, któraby nas z sobą zabrała i wywiozła?

— Nas? ptak z wyspy nie wyleci bez wiadomości pana; na sto mil w koło patrzą z wieży i każdy żagiel postrzegą; a któżby śmiał bez wiedzy jego dotknąć brzegu Caprei? Gdzie tu przybić, kiedy maleńkie tylko nawy w dwóch miejscach do lądu przytykać mogą?

— A tenże syn Beliala wiecznie żyć ma? Czyż Sejan go nie zmoże?

— Sejan nie żyje! — odparł Ruben.

— Jakto? umarł?

— Zabity z jego rozkazu!

— Ten, którego on tulił do swego łona, który mu życie w Spelunce ocalił, który wytrął w koło, co tylko mu stało na drodze!

— Wywleczono go przez wschody Gemonji i zwalanego błotem w Tybr rzucono...

— I jego więc się pozbył! — westchnął Juda.

— Pożerają jedni drugich, jak dzikie zwierzęta.

— Wielki Bóg nasz — rzekł starszy — ja wierzę, iż dzień wyzwolenia nie daleki.

— Ale nie dla nas! — cicho odezwał się Ruben — gdy mnie przynajmniej jak wam życie w cichym płynęło kątku, razem tutaj, za opuszczoną ojczyzną i braćmi, możebym krwawemi nie płakał łzami; ale mnie zmuszają patrzeć na pogańskie swe obrzędy, dzielić ich rozpustę i śmiać się i upajać gdy...

Nie dokończył, Rachel zakryła oczy.

— Wszystkim nam tu nie tak, jak w ziemi kochanej, której nasze nie widziały oczy, gdzie leżą popioły ojców i święta wznosi się Hieruzalem... Myśmy tu samotni, bez kapłana, bez świątyni, bez ofiary, bez ksiąg naszych i naszych braci, sami sobie oddani... a słabych nie ma komu podeprzeć.

— Was dwoje, wyście razem, i obcy oddech was nie kala.

— Ale co pomoże płacz i tęsknota?... zaprawdę — rzekł Juda — rzeczy to nie męskie; potrzeba umieć cierpieć, lub myśleć jak się wyzwolić. Tyś ulubieńcem

Cezara, tobie się łatwo wykupić z niewoli... za tobą i my pójdziemy...

W chwili, gdy rozmawiali, na górach po nad ich głowami ozwały się głosy wołających po imieniu Hypathosa, i wszyscy truchlejąc, umilkli. Byli aż nadto pewni, że ich tu niki nie wyśledzi, przecież rozglądając się wśród skał, wołanie napełniło ich jakąś trwogą: Rachel przytuliła się do Judy, Ruben porwał na nogi.

Uważano od dawna smutek na twarzy ulubionego Cezarowi chłopięcia. Priscus obawiał się samobójstwa, które naówczas w młodzieńczych nawet latach się zdarzało, rozesłano więc szukać zbiegłego.

Twarze pobladły w miarę, jak głosy zbliżać się zdawały. Hypathos słuchał i ozwał się wreszcie z rozpaczą:

— Idź niewolniku! i dźwigaj kajdany swoje!

— Jakto? uciekasz już? — spytała Rachel — a jam dla ciebie jakby przeczuciem schowała grono winne, które na skale dojrzało! i kosz fig i owoców... Chciałam cię przyjąć ucztą, na jaką nas stało...

— A! nie mnie tu zasiąść z wami spokojnie, ani pożywać chleba w spokoju ducha; ja z pogany biesiaduję na złocie i patrzę na ich plugawe obżarstwo... oto uczty moje...

Głosy z góry odzywały się jeszcze, ale już nikły w dal uchodząc, gdy Ruben uścisnął Judę i wyrwał się oglądając na Rachelę, która stała z dala z oczyma łzawemi, biegiem chyżym spiesząc wydobyć się z tego ustronia, którego zdradzić nie chciał i bacznie oglądając, by tak się z niego wymknąć, ażeby go wysłani nie postrzegli niewolnicy.

Jeszcze Juda i Rachel stali trwożnie poglądając za nim, gdy kapturek jego penuli ukazał im się na wierzchu skał otaczających i zniknął.

Chłopak szybko zbiegł po skałach na dół, nad samo morze ciemne, wyprzedził posłańców, którzy go po całej wyspie szukali i położył się na kamienistym skraju doliny od Posidonium, udając, że pochwycony snem, spoczynku tam szukał i chłodu.

Nieprędko później jeden z niewolników przez Priscusa wysłanych, ujrzawszy ciemny płaszcz jego na ziemi, przyszedł potrącając go z gniewem i przeklinając grubijańsko, przebudzić ze snu. Byłto iberyjski jeniec, któremu dokuczało szukanie zbiega, mszczący się na nim trudzącego po górach biegania.

— Hypathos! — zawołał — czyli ci tu mięciej i lepiej niż na twem posłaniu, żeś zabiegł tak daleko — aby gniew Priscusa obudzić?

— Ani mięcej, ani lepiej — odparł udając przebudzonego chłopak — ale mi tu swobodniej, alem tu sam, a ty coś był kiedyś wolnym w swych górach, możesz się dziwować?

— Patrz na Marsa! — odparł Iberyjczyk — i to dziecię rozpieszczone woli kamienie nad brzegiem morza, nad puchy i przymuszone pieszczoty! Ale chodź! niewolnik niewolnikiem, a wybierać mu się nie godzi do smaku! Cezar zażądał wielkiej uczty. Priscus cię wołał! słońce ma się ku zachodowi!!!

XIII.

Jedna z willi, rozsianych po wyspie, znajdowała się na wzgórzu od strony Neapolis, dość od Jowiszowej odległa, przedzielona od niej głęboką doliną — zwała się willą Plutona, od podziemnych pieczar, w których część większa należących do niej budowli się kryła. Jedna tylko galerja z widokiem na morze, umieszczona na szczycie, zdradzała, że w łonie tej skały spękanej kryje się gmach tajemniczy.

Cezar rzadko tu w dnie skwarne przebywał szukakając chłodu — choć jesienny, dzień ten był gorący i Priscus dla odmiany wybrał groty Plutona na ucztę wieczorną.

Tyberjusz od rana siedział niewidzialny, zamknięty, nawet Cajusa nie przypuszczając do siebie; nikt nie

mógł odgadnąć co się działo w jego duszy, wszyscy tylko domyślali się jej niepokoju.

Przed zajściem słońca, ocienionemi ścieżkami, niewolnicy na silnych barkach przenieśli milczącego Tyberjusza do Plutonowej willi.

Wnijście do niej od górnego perystylu i galerji wiodło wschodami szerokiemi, jakby w głąb ciemnej otchłani; wszystko tu kryło się we wnętrzu skały rozszarpanej, ale wykute w niej przysionki, sale i przejścia tak były rozległe i ozdobne, że się w nich zapominało jak leżały głęboko pod ziemią, jakiej pracy kosztem zdobyto te czarne przepaście... Niezmierne izby sklepione, całe wytwornemi malowaniami i mozajką okryte, następowały po sobie szeregiem, to na słupach wsparte, to mury ciężkiemi wspierane; posadzki ich, powoli się osuwając, wiodły nieznacznie coraz ciaśniejszemi chodnikami do wschodów, które się spuszczały w głąb nadmorskiej groty, przez samą naturę pracą lat tysiącznych wyżłobiono cierpliwie.

U wnijścia do niej, na kamiennych ławach, rzuconych w morze i obwiedzionych marmurowemi balasy, umieszczone były *triclinia*, do których stóp prawie błyszczące podpływały fale. Po nad pieczarą strop, nieregularnemi poszarpany kawały, wisiał, sklepiąc się w kształtach dziwacznych.

Światło dzienne nie przeciskało się, tylko jednym szczupłym otworem u dołu i łamiąc w lazurowych wodach, przechodziło tu żywym szafirem zafarbowane, barwą tą oblewając skał złomy i ściany i strop i całą ową salę biesiadną. Wody i kamienie i wszystko co otaczało ją, wydawało się tak niebieskiem, jakby niebo roztopiło się na tę kąpiel Sardanapalową...

W głębi pieczary wprawdzie paliły się lampy nad stołami, ale światło dnia żywe jeszcze i gorące, wdzierając się przez otwór od morza, szafirowemi blaski swemi gasiło mdłe ludzkie światełka.

W wód tych wstędze jasnej, jakby z rozpuszczonych turkusów i szafirów zlanych... Priskus arty-

sta wystawił z żywych postaci scenę niezmiernego wdzięku...

Przodem płynęli ludzie, misternie za delfinów przyodziani, okryci łuską, błyszczącą lazurem i złotem, wyrzucając wody do góry przez nozdrza rozdęte. Za niemi szły Trytony, z głowami zielem morskiem oplecionemi, przygrywając na wielkich krzywych konchach. W pośrodku na wozie jechała prześliczna Amfitryte, a wóz ten, na kształt ogromnej konchy, cały sadzony macicą perłową, posuwał się nie zanurzając po wód powierzchni, podtrzymywany przez otaczający orszak bogini...

Wprzężony w tę *Thensę* (wóz zwycięzki) konie białe, których nogi zakończone były płetwami rybiemi, tak doskonale bajeczne owe naśladowały istoty, że wziąść je było można za urodzone z morza potwory.

W koło, z dziewcząt najpiękniejszych i chłopiąt niedorosłych, Priscus utworzył orszak Amfitryty, przystroiwszy go kwiatami i powiewnemi zasłony. Ciała ich na pół w falach srebrzystych, pół w powietrzu, okryte pianą i szklannemi tryskami, w powolnych ukazywały się ruchach.

Znać było, że w Ovidjuszowej księgi utworzył ten pochód Nereid Priscus, ale żywe postacie wdzięczniejsze były nad marzenie poety, a wnętrze groty tło im dawało, jakiego śpiewak nie widział nawet we śnie. Grupa ta przepływała niewielką przestrzeń morza, zawartą ścianami pieczary i jak sen, to nikła w cieniach, to się zjawiła jasną i świetną.

Śpiew Nereid i Trytonów, plusk fali cichy, niebieskie oświecenie podziemnia, wszystko to czarujący stanowiło obraz, dodając uroku biesiadzie, która uśmiech przecie wywołała na zwiędłe starca usta.

Widok był wielki, wspaniały, tajemniczy i mógł Cezarowi na chwilę dać złudzenie boskiej władzy, co go takiemi otaczała cudami. Inny w istocie świat jakiś miał przed oczyma. Te Nimfy wodne, Syreny i Nereidy z liśćmi uwieńczonemi głowy i porozpuszczanym włosem, ci chłopcy z konchami morskiemi w dłoniach, ta

swawola na tle szafirów, w niezwykłych barwach przedstawiająca się oku, wreszcie nad głową jeżące się skały dzikie, czarne, odblaskiem lazurowym jaśniejące... czyniły wrażenie potężne, jakby świata duchów, piekieł i Bogów...

Cezar popatrzał, uśmiechnął się i pozostał obojętnym.

— Priscus doprawdy wspaniale ugaszcza Cezara — rzekł krzywiąc pogardliwie usta... ale mi tu brak czegoś jeszcze...

Niespokojny sługa szukał oczyma, coby dodać jeszcze można, gdy Cezar dokończył:

— Poety, któryby śpiewał te cuda... jak wczoraj...

Nikt się ust nie odważył otworzyć, tylko Cajus, który we wszystkiem chciał naśladować Cezara i na jego wzór twarz i słowa urabiał, uśmiechnął się jak on szydersko.

Przy panu siedzieli dziś, położyć się nie śmiejąc, Vescularius i Marinus, dwaj starzy dworacy, którzy tylko co z Rzymu wrócili; starcy jak on, towarzysze jego z Asterem na Rhodyjskiem wygnaniu, dziś dobrowolnie zamknięci z nim w Caprei.

Były to dwa wzory upodlenia i dworactwa, dla których już nic nie pozostawało, by dosięgnąć ostatecznej granicy bezcześci i bezwstydu. Oba, choć rzymscy patrycjusze, byli tylko pierwszymi niewolnikami Cezara i nigdy najdzikszy objaw jego woli nie znalazł w nich oporu. Vescularius służył mu świeżo przeciwko Libonowi, Marinus z Sejanem nastawał na Attica. To poddaństwo ślepe jednakże, którego wymagał Tyberjusz, nie zjednało im u niego ni łask większych, ni zaufania; używał ich jak narzędzi, gardził jak istotami splugawionemi. Dzisiejszy wybór i powołanie do dzielenia łoża z Cezarem, który szczególniej dla nich dobrotliwym i uśmiechającym się okazywał, na obu twarzach malowały się bladością i przestrachem. Wiedzieli oni, że serdeczne objawy miłości i zaufania zawsze prawie u Tyberjusza kryły rodzącą się nienawiść i gniew stłumiony, szukali więc oba w myśli, czem mu

się narazić mogli i niespokojne ich twarze wyrażały trwogę niezmierną, którą pokryć usiłowali, aby się jej Cezar nie mógł domyśleć, gdyż odgadnąć go, było to zemstę przyspieszyć.

Bardzo tak często ostateczną zgubą ludzi zbliżonych do Tyberjusza poprzedzały zwiastujące ją najwyższe honory i łaski. Tak uczynił z Sejanem. Usypiał niemi, uwodził, uspakajał; ale ten środek już był zestarzał i użyty kilkakroć, obudzał bojaźń i niewiarę.

Vescularius drżał cały i z naleganiem podawane sobie potrawy brał dłonią nieśmiałą, tak, że niemi plamił się cały; Marinus, blady i pomieszany, zdało się że co chwila utraci przytomność; Tyberjusz śledził ich oczyma, bawił się tem i uśmiechał. Znać wczorajszy dwuwiersz, niespodzianie znaleziony, na któregoś z nich podejrzenie zwrócił.

— Nic-że nie krąży po Rzymie, o tym biednym Sejanie? — spytał Vesculariusa, który bełkotał sam nie wiedząc co mówić.

— Pamięć jego z życiem zgasła! — odparł zagadniony.

— Choć wybyście go żałować powinni! — dodał zwracając się do Marinusa.

— Ja Cezarze! ja! na Bogi, dla czegóżbym... drżąc i jąkając się przemówił stary.

— Był to przecie twój sprzymierzeniec przeciwko Attyka, i razemeście pracowali.

— Ale wola twoja była tam z nami trzecią, jej, nie Sejanowi, byłem posłuszny.

— Wola moja! — zawołał Cezar ruszając ramionami — mylisz się. Stary, niedołężny, mamże ja wolę i władzę jaką? Cóż ja znaczę! panuję, jak mówią, w Caprei tylko. Senat rządzi i czyni co chce.

— A! ciężko mi już podołać brzemieniu, które dźwigam na ramionach!

To mówiąc, wypróżnioną czaszę podał Pocillatorowi, który się zbliżył, nalaną wychylił szybko i chmurnem okiem powiódłszy dał znak skończenia uczty, szepcząc

coś na ucho Priscusowi, który przodem już sługi odprawiał.

Pływająca Amfitryte, Nimfy i Trytony, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, ukryły się natychmiast w jaskini na prawo zagłębionej, a biesiadnicy, poglądając po sobie niespokojni, udali się za panem, którego znowu niesiono w górę tąż samą drogą, którą przybył na ucztę.

Dzień tymczasem się kończył i jasny wieczór, cały w gwiazdach, rozwiesił swe szaty szafirowe nad ziemią, gdy przy blasku niesionych lamp i pochodni wyszli na górną galerję z podziemi willi Plutonowych, noc czarowna, cicha, woniejąca, obejmowała uśpioną Capreę. Na rękach niewolników młodych dźwigany Tyberjusz, ze spuszczoną głową, milczący, dawał się nieść nie okazując najmniejszego znaku rozweselenia po biesiadzie; obok siebie kazał iść ulubionemu Hypathosowi i rękę wychudzoną zwiesiwszy na białą szyję chłopięcia, igrał roztargniony z miękkiemi pierścieniami włosów jego.

Vescularius i Marinus z tyłu się wlokąc za Cajusem, który na nich szydersko poglądał, odosobnieni od tłumu już stroniącego od nich, sami też od siebie się odsuwali, posądzając wzajem jeden drugiego o całą winę, która obu niebezpieczeństwem groziła. Nie mogli się skarżyć, bo Cezar jak nigdy na nich był łaskaw, a czuli jednak, że to przymilenie było groźbą. Osamotnienie w jakiem się znaleźli, najlepiej tego dowodziło.

Droga, którą z wierzchołka góry Plutonowej schodzili, wiodła do gaju Venery; podnosiła się ona kilkakroć drapiąc po grzbietach skał, to znów spadała w doliny, przebywając kute w kamieniu wąwozy i mosty rzucone nad przepaściami, nim wreszcie ukazał się jak wczora lasek ów gęsty, cały oświecony już i ogniami płonący.

Miły po obiedzie chłód dawał się czuć w dolinie zamkniętej, która nawet po obrazie groty lazurowej

wydała się piękną, w innym choć nie mniej czarującym rodzaju.

W pośrodku lasu, na zielonej darni, biały marmurowy wodotrysk wystawiał lubieżnie uściśniętą z łabędziem Ledę, całą oblaną wodami, w których ptak płynąć się zdawał. Szeroka sadzawka otaczała to arcydzieło greckiej sztuki, przy świetle lamp wydające się jakby żywą postacią.

Na około wśród litostratowych ścieżek, w cieniu pomarańczowego lasu, pełno było, to złudzenie zwiększających, posądów... ale nie z marmuru kutych, zastąpionych ludźmi żywymi. Dziewczęta, chłopcy, mężczyzni, których Priscus dobierał i ustawiał, przedstawiały sceny i grupy z Owidjuszowych przemian i poematów miłośnych.

Jedne z nich przedstawiały Nimfy, inni Satyrów i Faunów, Apolla, Muzy, Gracje, a wszyscy stali jakby skamienieli chwilę, potem grali swe role uganiając za sobą, walcząc, obejmując z wyuczonym wdziękiem i namiętnością kłamaną.

Wśród cieniów nocy, białe te zjawiska, ledwie lekkiemi osłonione szatami lub całkiem nagie, naśladowały znane rzeźby greckiego dłuta i posągi mistrzów ulubione Rzymianom. Wszystkich tu Priscus ustawił dla zabawienia Cezara, ze staraniem największem, a rzeźbiarz z trudnością by mógł piękniejsze kształty wymarzyć nad te, które jak cienie snuły się po gaju Venery.

Uśmiechały się usta ich nieme, błyskały oczy, wdzięcznie zginały ręce drżące, a gdy Cezar wniesiony w ten świat czarów, jakby na Elizejskie Pola, wśród przelatujących szczęśliwych cieniów umarłych, zatrzymał się u wodotrysku, zkąd widok na dolinę był zewsząd otwarty, znowu na dany znak stężało wszystko, skamieniało i życie uciekło z tych przed chwilą ruchomych posągów. Tyberjusz ruszył się i wszystko ożyło, rozpoczęły się milczące gonitwy i igraszki po lesie.

Piękność tej sceny zwiększało jeszcze towarzyszące jej milczenie głębokie, dziwne, niepokojące, straszne— ruchy ledwie się zdradzały szelestem gałęzi, zdeptaną pod nogami trawą, szmerem jakimś niepochwyconym, a bacchantek usta otwarte do śpiewu, a krzyczące wargi wyrywających się nimf — nie wydawały głosu.

— Zaprawdę — rzekł Tyberjusz — Priscus, powtarzam wam, jest wielkim artystą.

— Wielkim mistrzem Priscus! — wtórował Cajus po cichu, choć z zazdrośnem jakiemś uczuciem.

Cezar wstał z siedzenia, na którem go niesiono i skinął, by odprawiono niewolników, powoli puszczając się między drzewa. Nikt nie śmiał pójść za nim.

Priscus pogłaskany pochwałą, cieszył się, spodziewając, że lubieżny ów obraz gaju Venery ożywi Tyberjusza, młodsze mu przypominając lata; ale widać było po chodzie powolnym, po roztargnionem wejrzeniu, że uroczy ten dramat ożywionych posągów nie czynił na nim najmniejszego wrażenia. Oczy zbladłe skierował czasem ku grupie, którą spotkał nad drogą, na widok jego stającej się marmurem bezwładnym, to znowu opuszczał wzrok ku ziemi; widocznie czuł się chorym, złamanym, ale bólu okazać ani słabości odkryć niechciał — tajemnicą i udaniem całe swe czyniąc życie.

Nie wierzył w lekarzy, jak nie ufał ludziom i nigdy nie uciekał się do nich, w obawie trucizny i zdrady, a ilekroć bolał jak teraz, czekał, by natura sama przełamała chorobę. Po wzroku obłąkanym, po spalonych ustach, po gorejących policzkach, poznać było łatwo, że cierpiał, ale się nie przyznawał do cierpienia; oko dworzan dostrzegło tylko zmianę i wszyscy przejęci byli bojaźnią, bo Cezar chory straszniejszym był jeszcze od zdrowego Cezara.

Oddaliwszy się od towarzyszów, Tyberjusz jęknął z cicha i to ulgę mu sprawiło, ale obejrzał się żywo, czy go kto nie podsłuchuje i trzęsącą dłoń do spotniałego przyłożył czoła.

Nawyknienie udawania uśmiech zaraz wywołało na usta.

W miarę jak się coraz dalej posuwał w głąb pomarańczowego i cytrynowego gaju, grupy Ninf i Faunów, igrających przy wodotrysku, z razu skupione, rozprószyły się za nim po lesie i zdala otaczając, przedstawiały się w coraz nowych postawach z za zielonych gałęzi. Ilekroć podniósł głowę, wszystko stawało i twardniało i potem znowu poruszało się i biegło jak cień milczący. Wśród zacienionych głębi ginęły i nikły białe postacie, a niekiedy promyk światła, wciskający się wśród liści, to twarz uśmiechnioną, to ramiona drgające oblewał. Zdawały się wyrastać z ciemności cudem i znikać w sposób niepojęty, ożywiać i martwieć równo dziwnie i niespodzianie.

Gaj przytykał do skalistej zewsząd ściany, jakby w olbrzymie wschody połamanej i rozbitej; stopnie te nagie, gdzie niegdzie rzucone, winne ubierały latorośle... żadna ścieżka nie wiodła tędy w dolinę i Cezar mógł spokojnie bezpieczny błądzić w zaczarowanym swym świecie.

Szedł też powoli, chcąc zapewne ukryć boleść trawiącą raczej, niż się widokiem swawolnych nacieszyć obrazów; stawał i oko jego wydęte, osłupiałe, zatrzymywało się długo, nieruchomie poglądając na przedmioty, nie widząc nic przed sobą, tak silne wewnątrz piekły go męczarnie. Zacięte usta tylko o tem świadczyły.

Nagle, podchodząc ku ścianie, pod którą wiła się ścieżka, oko jego, lepiej w ciemnościach widzące niż we dnie, skierowało się w jedno miejsce przymroczone, w którem widać było dwie nieruchome postacie.

Nie należały one do igrzyska, gdyż ciemnemi okryte były szatami, stały ukryte umyślnie; ale wśród cieniów nocy, twarz kobiety i mężczyzny kocim oczom starca stały się wyraźną. — Tyberjusz, dostrzegłszy ich, stanął zdziwiony, przerażony i mimo wielkiej

mocy nad sobą, z przestrachem krzyknął głosem drżącym:

— Agrippina!

W tejże chwili zjawisko niespodziane, na odgłos rozlegający się wśród ciszy, usunęło się nagle i znikło w głębi groty, na której tle chwilę się tylko ukazało.

Tyberjusz stał niemy, w około niego już znowu przesuwały się gruppy swawolne, on nic nie widział, jakby w miejscu przykuty. Klasnął w dłonie. Priscus przyskoczył uradowany, ale postrzegłszy brew chmurną wargi ściśnięte, stanął przelękły.

— Priscus, tam! tam! wskazał mu ręką na grotę — obce twarze, jacyś ludzie, mężczyzna i kobieta, widziałem ich, weź ludzi i szukaj...

Sługa nie zrozumiał.

— Widziałem tu obcych, nigdzie nie jestem bezpieczny, kobieta! zkąd tu ta kobieta? chcę ją widzieć z blizka, kto ona?

I wnet, na skinienie Priscusa, niewolnicy rozbiegli się po wszystkich doliny zakątach.

XIV.

Wiemy już w jaki sposób rodzina Hebreów, wygnana z Rzymu z kilku tysiącami współbraci, dostała się na Capreę. Okręt, który ją przewoził na wyspę odludną i walkę a raczej niechybną zgubę, zapędzony wiatrem i burzą pod skały, musiał się w lichej zatrzymać przystani. Juda z przybraną Rachelą i Rubenem, dostali się nocą na wybrzeże wyspy, wraz z innemi posłanemi po wodę, i skorzystali z ciemności i nieuwagi stróżów, by uciec w głąb, naówczas jeszcze dopiero przez Sejana przygotowującego się ustronia, którego mieszkańcy, rozpędzeni przez tłumy niewolników rzymskich, błąkali się, nowych sobie szukając kryjówek. Sami zbiegi i wygnańce, wśród tego ludu nie-

szczęśliwego znaleźli się jak między swemi. Judei, długim pobytem w Rzymie i skrywaniem swego pochodzenia, wyuczeni języka i obyczajów rzymskich, nie łatwo w tłumie najróżniejszych przybyszów poznawanemi być mogli; nie szukano też ich wcale, sądząc, że w walce jakiej i zamieszaniu ubici zostali. Rysy ich twarzy nic nie mówiły, gdyż ówczesna ludność Rzymu tyle w sobie pochłonęła pierwiastków, z tak różnych złożona była żywiołów, że pełno w niej piętn i znamion wszelakiego plemienia spotkać było można, niejako już przyswojonych wyzwoleniem obywatelstwu rzymskiemu. Juda, żona jego, Ruben, mówili po rzymsku i grecku, wszystko troje przez stosunki z aleksandryjskiemi żydami, ukształceni byli i starli z siebie znamię wybitniejsze, które ubogich jedynowierców ich zdradzało. Pozostała w nich pochodzenia pamięć, przywiązanie do nieznanej ojczyzny i wiary, ale już na pół stali się przybranemi dziećmi wielkiej świata stolicy.

Pierwsze dni pobytu ich na wyspie, po odejściu okrętów, ciężkie były do przebycia; trzeba się było ukrywać w skał szczelinach i mrzeć głodem, dopóki podejrzenie padać mogło, że zbiegli z naw burzą zagnanych. Nie znali wyspy, nie przywykli byli do życia takiego na codzienne niebezpieczeństwo, na nieustanną a twardą narażonego pracę; ale Juda znalazł w swem przywiązaniu do Racheli siłę ku pokonaniu najcięższych prób losu. Gdy Ruben płakał jak pieszczone dziecię, on pierwszy wyszedł z kryjówki i ostrożnie począł zapoznawać się z wyspą, na której mieli pozostać.

Z wierzchołka skał o świcie rozpoznał jej rozległość i oswoił się z położeniem najzamieszkańszych części, których unikać musieli.

Nauczył się chodzić po nad brzegami przepaści, i poszukując owoców, któremi przez pierwsze dni karmić się musieli, doszedł przypadkiem do opustoszałego domku, mającego być ich mieszkaniem.

Zwaliska te pozostały nie zajęte od dawna po zmarłym jakimś mieszkańcu Caprei, którego kościotrup

tylko, resztkami płaszcza na głowę zarzuconego ukryty, znalazł Juda w atrium chwastami zarosłem.

Znać było, że domostwo lat kilkadziesiąt stało pustkami, bujnie porastały je rozkrzewione bluszcze, zdziczałe winne latorośle i rozgałęzione szeroko drzewa.

Stado koz pierzchliwych kryło się jeszcze pod skałą, która je dawniej chroniła.

Kątek ten był jakby darem Opatrzności dla Judy, który tam zaraz Rachelę i Rubena przeprowadził, a sam zajął się oczyszczeniem zwalisk i doprowadzeniem ich do mieszkalnego stanu. Mały węzełek, z resztką z Rzymu ocalonego mienia ubogiego, rękopism biblji nie cały, strój odświętny mieli z sobą szczęściem wychodząc z okrętu, bo Juda o ucieczce zamyślał. W domu zmarłego człowieka, po którym nikt nie wziął dziedzictwa, znalazły się zachowane w izdebkach potrzebniejsze sprzęty i narzędzia, choć rdzą okryte i na pół spruchniałe. Z nich Juda wybrał, co godziwszego było, do użytku i wprędce chatka stała się prawie wygodną, a dolina w której była zamkniętą, dostarczała na pierwsze życia potrzeby oliwy, owoców i wina.

Nieopodal od podnóża gór najdzikszych, na wybrzeżu morskiem była uboga osada schronionych tu od niedawna mieszkańców Caprei, którzy dla nowo budujących się willi ustąpić musieli; tam niekiedy ostrożnie, mieniąc się do dworu Cezara należącym niewolnikiem, chodził Juda, by co mu brakło dostać dla żony i siebie. Niekiedy najmował się do robót i przenoszenia ciężarów, obracał młyn, wyciskał oliwę, aby zarobić na garść mąki, której inaczej dostać nie mógł.

Życie to było prawie znośne, mimo osamotnienia, i stałoby się z pomocą dorastającego Rubena coraz lżejszem, gdyby nieszczęśliwy traf nie pozbawił ich brata i towarzysza. Przed dwoma laty chory Juda wysłał do osady, o której wspomnieliśmy, Rubena, — Ruben nie powrócił do domu.

Priscus, poszukujący chłopiąt i dziewcząt dla zabawy Tyberjusza, zwiedzał wszystkie zakąty Caprei; trafił on tu właśnie w dzień, gdy dzieciak się tam znajdował. Nadzwyczajna piękność chłopaka, jego układ, wdzięk twarzy były dlań wyrokiem niewoli.

Słudzy Tyberjuszowi pochwycili go natychmiast, a Priscus kazał uprowadzić do swoich Efebów szkoły, gdzie teraz zamknięto wyrostków do niecnej przeznaczonych rozpusty. Tu Ruben oddany został w ręce starego Dionizjusza Greka, który go biciem, strachem i głodem znękał i zmusił stać się istotą słabą i spodloną, jako go już widzieliśmy. Ruben chciał zrazu umrzeć a nie mógł; w miękkiej atmesferze tego domu swawoli dzieciak utracił hart duszy i tyle tylko wymógł w sobie siły, że pytany i badany o pochodzenie, nie wydał ani brata, ani rodu, ani kryjówki tajemnej. Miano go za Greka, i Tyberjusz sam nazwał go imieniem Hypathosa, oznaczającem Consula, dając poznać przez to, że go na równi z najdostojniejszymi szacował.

Długo Juda i Rachel płakali nad nim jak nad umarłym, dowiedzieć się nie mogąc co się z nim stało; nareszcie wieść ich doszła, że pochwycony był na dwór Cezara — na drugiego Ganymeda zwrzodowaciałego Jowisza.

Boleść ich była wielką; Rachel bolała nad nim rzewnie, domyślano się, że umrzeć musiał w rękach oprawców, lub opierając się im, jak inni, z połamanemi goleniami w morze został rzucony. Tymczasem Hypathos żył i rozkwitał na tę smutną a piękną istotę, której boleść i łzy może dla rozbestwionego starca wdzięku jakiegoś dodawały. A choć się brzydził otaczającą go rozpustą i życiem pogan, młody chłopak mimowolnie uległ codziennemu wpływowi ich i zaraźliwym zepsucia widokom. Dusza jego zmiękła, serce zniewieściało, zabył nauk surowszych i pogodził się z temi dniami pieszczonemi próżnowania i spoczynku, w jakich nowe pędził życie. To, co go zrazu oburzało najmocniej, powoli stawało się coraz obojętniejszem,

prawie naturalnem i koniecznem. Płakał ukradkiem, ale do surowszej pracy z Judą i do dawnej kryjówki nie miał już siły powrócić. Obawiał się też, by poszukując Cezarowego ulubieńca, nie znaleziono brata i Racheli, której młodość i piękność byłyby zgubą niechybną. Cokolwiek swobodniejszy później, przybiegał do znanego kątka i wyrywał się do swoich, ale nie myślał pozostać już z niemi; powracał nazad na dwór Tyberjusza, by tęsknić tam znowu, ze spuszczoną siedząc głową. Słuchając śpiewów, patrząc na rozwiązłe obrazy, powoli dał się usidlić czarom tego pogańskiego rozmiękczenia; śpiewał sam te pieśni greckie, grał na lutni i nieznane jakieś żądze rozbudzały się w jego piersi. Powracając do Judy i Racheli, poglądał na bratowę nie okiem brata, ale chciwą rozpustnika źrenicą, zazdrosnem wejrzeniem rozkochanego, rumienił się kryjąc swą żądzę i rwał ku niej, nie umiejąc walczyć ze złem, które weń wszczepił widok powszechnej swawoli.

Ale pomimo tej zmiany w duszy i rozbestwienia, Hypathos nie przywiązał się ani do ludzi, którzy go otaczali, ani do starego Cezara, co w nim kochał tylko piękne kształty posągu greckiego; owszem, nienawiść jego dlań coraz się pomnażała i rosła; czując własne upodlenie, im je przypisywał. Wiara dawna w jednego Boga nie zgasła w nim jeszcze, przywiązanie do podań rodzinnych odzywało się silnie i wywoływało łzy i niepokoje, z któremi pod dach Judy przychodził. Pragnął on i wyglądał śmierci człowieka, który go uczynił narzędziem rozpusty i igraszką, ale zarazem powrót do nędznego życia dawnego zdawał mu się straszny i niepodobny. Najdziksze myśli snuły się po rozmarzonej głowie dziecka, które, upojone cudzym szałem, pół dnia było pogańską ludzi zepsutych zabawką, pół męczennikiem i wygnańcem.

Dwie postacie ludzi nieznane, które wzrok Tyberjusza w cieniach nocy wyśledził, dostrzegł i skryty w gaju Hypathos, który dnia tego młodego Fauna rolę miał w posągowem igrzysku. Dla niego także przerażające

to było zjawienie, poznał bowiem w grocie Judę i Rachelę; uczuł na jakie narazili się niebezpieczeństwo, a myśl, że piękna bratowa może wpaść w ręce Priscusa, rozpłomieniła go straszliwie.

Niepokój i pragnienie zemsty ogarnęło go jakieś tak, że z gaju wyszedłszy, leciał jak szalony, sam nie wiedząc dokąd bieży, aż niewolnicy, śmiejący się z tego Bachusowego szału, powstrzymali go, bojąc się by gdzie ze skał nie upadł i nie zabił się.

Jakim sposobem tych dwoje tak ukrywających się wygnańców, zjawili się przed Cezarem w chwili zabawy i nastręczyli jego oku, tego Hypathos pojąć nie mógł i zrozumieć nie umiał. Było to dziełem dziwnego przypadku. Skały otaczające dolinę, zewsząd ją prawie prostopadłą ścianą opasywały, lecz liczne w nich, naumyślnie porobione i naturalne pieczary, które trzęsienia ziemi powiększyły, kryły się wpośród zarośli. Niektóre z nich, zawalone bryłami kamieni, zdawały się nieprzystępne, choć głęboko sięgały; były to pierwsze mieszkańców tutejszych kryjówki, schronienia Teleboów i Osków.

Tego wieczora Juda z Rachelą, chcąc świeżem nocy odetchnąć powietrzem, a nie wiedząc o bliskości doliny i gaju Wenery, zapuścił się ścieżką dziką w głąb wyspy, korzystając z milczenia i snu który ich otaczał. Nagle, w chwili gdy się sądzili bezpieczni, śmiech tłumu ludzi, niewolników Tyberjusza, przeraził ich i zmusił skryć się do nastręczającej o kilka kroków groty, dokąd ich swawola gawiedzi ścigała. Zapuszczając się coraz dalej, znaleźli w ciemnem przejściu, i wbiegli niem aż na dolinę, stając mimowolnemi świadkami widoku, zatajonego dla świata, na który kilku tylko wybranym patrzeć było wolno.

Tyberjusz osłupiał na widok kobiety, gdyż twarz Racheli przypominała mu rysy jednej kobiety, którą w życiu ukochał, Agrippiny, odebranej mu dla chwilowej fantazji Julji, co życie jego zatruła.

Może cień nocy, może myśl własna i uciekające w starcu zgrzybiałym ku młodszym latom wspomnienia, uczyniły dlań tę twarz pięknej Racheli dziwnie podobną do dawno straconej żony; ale przypomnienie było tak uderzające, że zapomniawszy swej powagi, wyciągnął ręce, wykrzyknął imie, które dawno zabyły usta...

W najzepsutszym człowieku jest czasem iskra jakaś serdeczna, tlejąca w popiołach — tą iskrą było w nim przywiązanie do Agrippiny, przechowane w piersi, która już nikogo nie umiała kochać, w człowieku, który po matce nie płakał, szydził ze śmierci własnego dziecięcia, ludźmi pogardzał i zazdrościł losu priama, co wszystką swą przeżył rodzinę.*)

Priscus, wysłany natychmiast, zebrał swe sługi i postanowił całą wyspę splondrować, aby wykryć winowajców.

Tyberjusz jednak po chwili zamknął w sobie uczucie i z weselszem obliczem, jakby się nic nie stało, powoli wyszedł z gaju, dając znak skończenia zabawy, a zastawienia nowej uczty w willi Jowisza.

Często tak u starożytnych następowały one jedna po drugiej, w krótkich czasu przeciągach, a smakosze ówcześni umieli się uwalniać od pokarmów i napoju, ażeby kilkakroć na dzień z nowym głodem zasiąść do stołu i czaszy.

I wszystek dwór Cezara spiesznemi kroki, poprzedzany przez tancerzy i flecistów, posunął się na góry do willi Jowisza.

XV.

Po wieczorze w gaju Wenery i drugiej uczcie w willi Jowisza, nazajutrz już nieczyim oczom nie ukazał się Cezar; zamknął się w niedostępnych swych

---

*) Swetonjusz.

izbach, których wnijście wierni strzegli niewolnicy, odepchnął codziennych towarzyszów i najściślejszą tajemnicą otoczył. Najbliżsi nawet odgadnąć nie mogli, co się działo w jego myśli i sercu; list tylko do senatu wysłany mówił o wielkiej jakiejś boleści.

„Co wam napiszę, ojcowie? jak do was mam pisać? lub czego nie pisać w tej chwili? — odzywał się Tyberjusz w swym liście — jeśli wiem, niech mnie bogowie gorzej nękają i męczą, niżeli ja sam codzień ginąc, dręczonym się czuję“ [1]).

Milczenie i zamknięcie się Cezara nie tylko dwór jego i Capreę, ale Rzym napełniły strachem; nikt przyszłej jego woli dobadać nie mógł, nikt odgadywać nie śmiał. Senat wahał się i zwłóczył z prześladowaniem rodziny i przyjaciół Sejana, zgadywał, wstrzymywał się, lękał. Cień oddalonego Tyberjusza stał przed oczyma senatorów i z dala osłoniony tajemnicą, straszniejszym się wydawał od samego Sejana.

Na miejscu jego, prawa ręka Cezara, Macron, objąwszy dowództwo pretorjańskiej straży, wierny panu, lub zdający się mu ślepo posłusznym, odmówił z bojaźni czy rachuby wszelkich honorów po odniesionem zwycięztwie — trząsł stolicą przerażoną.

Macron był dotąd jednym z najpoddańszych Tyberjuszowi: nikt po upadku Sejana posądzić go nawet nie mógł o zdradę, przecież zetknięcie z władzą już ją w duszy jego zrodziło. Stan tego społeczeństwa zgniłego był taki, że w nim już poczciwsze uczucie powstać nie mogło, lęgły się tylko przecherstwa i niewdzięczności. Czuł to stary Tyberjusz i drżał nie ufając nikomu; codzień też mnożyły się ofiary daremne, z których tylko krwi powstawały nowe nienawiści, pomsta i zdrady.

Zaraz po zabiciu Sejana, syn jego starszy został na Gemonje zawleczony i ubity, stryj Junius Blessus ukarany śmiercią, żona listem pozdrowiwszy Cezara, sama

[1]) W Tacycie i Swetonjuszu jednakowo przytoczony ten ułamek.

odebrała sobie życie, córkę kat shańbił przed zgonem; kolej przyszła na przyjaciół, na klientów, na cały ten tłum podły, który pragnął choć szat jego dotknąć w dniach pomyślności, a dziś się go już zapierał. Rzym naówczas ujrzał napełniające się więzienia ludźmi wszelkiego stanu, płci i wieku, senatorami, rycerstwem, kobietami. dziećmi, wcześnie napiętnowanemi na stracenie. Część ich znaczna nie czekając wyroku śmierci, dla ocalenia majętności, sama sobie śmierć zadała.

W krwawych tych dziejach są przykłady i wielkiego spodlenia i wielkiej jeszcze cnoty stoickiej, męztwa i ostatecznego znikczemnienia.

Jedni zdradą i wyznaniami chcieli wykupywać się śmierci, drudzy przyjmowali ją jak wybawienie od życia nieznośnego.

„Co najstraszniejszem było w tych opłakanych czasach — powiada Tacyt to — że najpierwsi nawet z senatu, najpodlejszemi delacjami się trudnili, jedni otwarcie, inni skrycie. Wydawali swoi i obcy, przyjaciele i nieznajomi, za stare winy i świeże uczynki. O czemkolwiek, gdziekolwiek mówiono na Forum, na biesiedzie, wnet donoszono; wyścigali się jedni przed drugiemi z delacją, zapewniając sobie środek obwinienia, jedni dla własnego bezpieczeństwa, drudzy jakby jakąś pochwyceni zarazą [1]).“

Capreä i Rzym jeden wystawiały obraz, wśród którego ów Cezar milczący i chorobą nękany, zamknięty, niewidzialny, stał jak posąg mściwego jakiegoś nieubłaganego Fatum. Krew lała się strumieniami, najbliżsi nie czuli się bezpieczni, Cajus nie wiedząc co począć i pochlebiając z razu przybranemu ojcu, który z pogardą go prawie odpychał, zwrócił tajemnie oczy na Macrona.

Upadek Sejana, ohydnego tego kata a świeżego wodza pretorjanów, stawił teraz na najwyższym władzy szczeblu; pozorna nieczynność Tyberjusza czyniła go silniejszym jeszcze. Cajus mimo swej głupowatości do-

[1]) Tacyt VI. 7.

strzegł to łatwo i postanowił korzystać; Macron nie unikał go na osobności i pakt dwóch godnych siebie zbrodniarzy począł się od rozpustnych wycieczek nocnych.

Inni towarzysze wygnania Tyberjuszowego w nie mniejszej byli niepewności o losy swoje i przyszłość zagrożoną, jedni już ku Cajusowi się zwracając nieznacznie, bo przewidywali rychłe jego panowanie, drudzy pragnąc się usunąć, a nie śmiejąc zażądać odprawy, która mogła podejrzenie obudzić.

Vescularius i Marinus w tej chwili mieli największe powody strachu o życie; starszy z nich był wprawdzie od dzieciństwa przyjacielem Tyberjusza, towarzyszem jego wygnania, powiernikiem wypróbowanym, ale w uśmiechu pana i łaskach wyczytał już przepowiednię śmierci.

Nerwa także chodził zasępiony i milczący, nie śmiejąc jednak wyspy opuścić.

Powracający Macron, krwią Sejana zlany tryumfator, nie doznał od Cezara ani wdzięczności jakiej się spodziewał, ani łaskawego przyjęcia. Ledwie dopuszczony do ciemnej izdebki, w której jęczał Tyberjusz, tknięty został obojętnością, z jaką wysłuchał jego opowiadania o rzymskich dziejach dni ostatnich.

Ale siepacz ten godzien był ze wszech miar pana, któremu służył.

Nie wiadomo co Naewiusa Sertoriusa Macrona na tę dostojność ulubieńca wyniosło, może siła olbrzymia, odwaga nieustraszona, przebiegłość pokryta pozorem prostoty, a nadewszystko ślepa gotowość spełnienia, co tylko pan przykazał. Nigdy ani krwi bodaj najbliższych sobie przelać, ani się zdradzić nie wahał, ani ukryć z myślą nie zaniedbał. Prawa ręka Tyberjusza, wychodził odeń tak zamknięty w sobie, że ani z twarzy, ni z mowy nikt po nim nie poznał, jakie niósł rozkazy.

Znając Tyberjusza, który nie cierpiał by go kto śmiał odgadywać i pozbywał tych, którzy myśl jego podchwycali, Macron udawał człowieka nie rozglądającego się w przyszłości, nie widzącego nic i spełniał obojętnie, co mu kazano. Nie raz zniecierpliwił Cezara, umyślnie nie chcąc się niczego dorozumieć. Ale przebiegły zausznik czytał w jego duszy lepiej niż się zdawało, choć tego po sobie nie okazywał; przed panem tylko zmieniał twarz, spojrzenie, mowę i grał zręczny aktor rolę prostego narzędzia, choć wiedział zawsze wprzódy, do czego miał być użyty. Ta bierność i posłuszeństwo podniosły go prawie na urząd Sejanowego kata, a rozum kazał mu odmówić czci, jaką go okryć chciano, aby podejrzliwy pan nie posądził o pragnienie panowania.

Nagrodzony tylko jak narzędzie prostą zapłatą znacznej sumy pieniężnej, którą przyjął, Macron powrócił do Caprei, na chwilę opuściwszy swych żołnierzy.

Cajus nań czekał, wyglądał go niespokojny, nie mogąc już od dni kilku ni do Cezara przystąpić, ani się od sług o nim dowiedzieć.

Syn Germanika i Agrippiny, żadnej z ich cnót nie odziedziczył, choć z młodu zahartowany do życia obozowego, winien był nabrać mocy duszy. Współcześni patrząc na to, jak uległy i spodlony wlókł się poddany woli i zachceniom Tyberjuszowym, powiedzieli o nim, że nie było odeń lepszego sługi, ani gorszego pana [1]).

W istocie, Caligula starał się przypodobać przybranemu ojcu, nawet postawę jego, ruchy, mowę naśladując niewolniczo.

Widok rozpusty wcześnie w nim zaszczepił upodobanie w igrzyskach, biesiadach, tańcach i ucztach, a noce, które spędzał w Caprei, w długiej sukni, z rozpuszczonemi przyprawnemi włosy, wśród greckich zalotnic, głośne już były naówczas.

Dziwniejszem nad to jednak, co przykład i wiek tłumaczył, był zupełny brak serca, które zawczasu zabił w sobie, chcąc się przypodobać wielkiemu wzorowi, jaki naśladował. Śmierć matki, los braci wygnanych, poniżenie rodziny i pamięci ojca, nie wywo-

[1]) Tacyt. Annales VI. 20.

łały zeń ani łzy, ani nawet mściwego oburzenia. Zastąpił wszystkich, wziął spadek po nich i okupiwszy życie, starając się być odbiciem niecnót i charakteru Tyberjuszowego.

Stał się też godnym tego wielkiego wzoru wychowanek Macrona i syn przybrany starego kozła Caprei.

Jakkolwiek zepsuty wcześnie i rozpustą zwątlony już Cajus, miał na złe przebiegłości dosyć, choć się z nią taił starannie.

Macron, towarzysz nieodstępny Cezara, żył z całą rodziną w domku nie dalekim od willi Jowiszowej, od którego wschody tylko wiodły do głównych portyków. Tu zamknięta w gynecaeum, lecz znana dobrze z piękności, mieszkała żona wodza pretorjan, Ennia Naevia.

Trochę z nudów i swawoli, może z rachuby, Cajus poznawszy ją, starał się do niej przybliżyć.

Pod niebytność Macrona, z pomocą przekupionych sług wcisnął się do jej domu, i piękną, zalotną Rzymiankę, której nic nie br oniło ((odziciela, łatwo sobie pozyskał pozorem miłości i nadziejami wielkiemi.

Panowanie jej nad umysłem męża i wpływ, jaki ta słaba na pozór, młodziuchna istota wywierała na niego, co się żadnemu nie zdawał ulegać, zbliżyły do siebie Cajusa i Macrona, których ona starała się sprzyjaźnić.

Szpiegi, których tam każdy miał za sobą, chodząc jak cień, śledząc krok każdy, wnet doniosły Tyberjuszowi o tajemnych wycieczkach Caliguli; starzec miał wówczas podobno powiedzieć z uśmiechem, że węża hoduje dla rzymskiego ludu.

W istocie, przyjacielem Macrona głosił się i okazywał Cajus w chwili, kiedy go zdradził najboleśniej; ale w tej społeczności zobojętniałej nic nie było świętego, jeden strach tylko mógł ją powstrzymywać od ostatecznego rozpadnienia.

Po powrocie Macrona z Rzymu, nikt nie był świadkiem rozmowy Cezara z posługaczem zemsty jego; wyszedł z niej jednak wódz pretorjanów zniechęcony i

znękany, a oko Cajusa dostrzegło w nim rodzącą się niechęć i znużenie.

Więc go zaraz objął w portyku jak przyjaciela, najczulszemi obsypując wyrazami. Zimny na nie pozostał Macron i grzecznem tylko uszanowaniem odpowiedział na poufałe przymilenia; powrócił do domu swego, spiesząc do gynecaeum, gdzie strojna Ennia już nań niecierpliwie oczekiwała.

Jej jednej powierzył się Naevius, ona jedna znała do dna to serce zamknięte.

Wychodząc naprzeciw długo niewidzianego męża, zalotnica przybrała się we wszystko, co wdzięki jej podnieść i siłę ich powiększyć mogło. Tunika jej liljowa, szyta złotem, na drugą lżejszą włożona, odsłaniała pierś białą i ręce jak z marmuru wykute, okryte naramiennikami i klejnotami świetnemi. Wysadzane szafirami i rubinami *patagium* [1]), zdobiło piękną jej szyję i długim pasem do kolan spadało, błyszcząc wśród fałdów sukni, w drobniuchne zebranej marszczki. Na nogach miała koturny purpurowe, z taśmami wysadzanemi perły, a woń jej zwiniętych w górę i bogatemi iglicami poprzepinanych włosów, rozchodziła się po całej izdebce.

Jedwab i złoto, wbrew prawu, zwanemu *lex Oppia*, zakazującemu ich użycia, lecz już wówczas zarzuconemu powszechnie, same na jej wytworny strój się składały. Lecz i bez niego młodziuchna Rzymianka pochwycić mogła za serce wdziękiem, świeżością, powabem zalotności naiwnej i umiejętnie na przemiany w oczach malującem się weselem i tęsknotą; uśmiech i łza nic ją nie kosztowały, a wiedziała dobrze, jak ich i kiedy używać.

Pomimo czarnego włosa, Ennia miała jasno-niebieskie oczy, pełne wyrazu jakiegoś lubieżnego omdlenia, które radość nawet we łzach kąpała, a płeć tak śnieżną i ramiona tak zaokrąglone cudnie, że patrząc w maleńkie z polerowanego kruszcu zwierciadełko, nie

[1]) Rodzaj ozdobnej stuły noszonej na ramionach.

raz sobie mówiła sama, że i obok Cezara nawet (gdyby jej kiedy bogowie zdarzyli być żoną jego), wstydu by mu nie zrobiła.

Macron czy Cajus — któż wie? jeden z nich mógł po Tyberjuszu Rzymowi panować; obu ich miała w ręku, i wybrać mogła, co los by wyżej postawił...

Gdy przychodzący od pana Macron upadł na miękkie siedzenie, poduszkami okryte, Ennia zbliżyła się ku niemu nieśmiało, chcąc otrzeć pot z oznojonego czoła, na którem dostrzegła boleść i znękanie.

Chwilę milczeli oboje, ona czekała, by przemówił, drżąc w duszy, a chcąc się okazać odważną, on zdawał się przybity i bezsilny; wreszcie kobieta zaczęła pierwsza:

— Smutny jesteś, Naeviolu mój — pieszczotliwie odezwała się do niego — wszakże ci pomagali bogowie, wyszedłeś zwycięzko, a cały świat w tej chwili błogosławi twojemu męztwu i sile... Cezar sam spokojność ci zawdzięcza.

— Cezar! — szepnął po cichu uśmiechając się Macron i spojrzał na nią — on? nie wiem!

— Wszakżeś mu przyniósł głowę Sejana. O! i ja się tem ucieszyłam, bo Apicata (żona Sejana) wysoko nosiła dumę swoją, wcześnie próbując, jak na ołtarzu z łysym razem wyglądać będzie?

— Apicata nie żyje!

— A córka jej?

— Dziecię! płakało, gdy ją kat na śmierć prowadził, nie rozumiejąc co ją czeka i obiecując, że odtąd będzie grzeczne [1]) — dziko rozśmiał się Macron.

— Więc znowu jesteśmy spokojni!

— Spokojni? — mruknął pretorjanin — a Cezar? a Rzym? a... — i nie śmiejąc dokończyć, zwrócił rozmowę — Sejan ma jeszcze przyjaciół, Rzym ma jeszcze spiskowych... a stary kozioł — dodał ciszej — niesyty krwi, póki jej z nas wszystkich nie wytoczy...

---

[1]) Historyczne.

Na te słowa nie wyraźne i dosłyszane ledwie, Ennia pobladła kładąc paluszek na ustach.

— Długoż jeszcze żyć i siebie a drugich będzie zamęczać? — rzekła mu do ucha.

— Bogowie wiedzą sami! wszystkich znużył, sam sobie stał się ciężarem... a Parki mu łaskawe...

I znowu milczeli chwilę.

— Któż wie zresztą — rzekł patrząc jej w oczy — zyskamy-li na zmianie? Cajus...

Ennia zarumieniła się trochę, ale schyliła szybko oczy, poprawiając zagięty brzeg tuniki, tak, że mąż jej zawstydzenia nie widział.

— A, Cajus? jak go sądzicie? — spytała nabierając odwagi.

— Małpa Tyberjuszowa... ale mu bogowie ani sił jego, ni dowcipu nie dali... Któż wie? ten może lepiej niż inni, bezsilny, da się prowadzić.

Ennia poruszeniem głowy tylko wskazała, że dzieli jego zdanie.

— Czemuż — dodała nieśmiało — Naeviolu mój, nie starasz się zawczasu przybliżyć do niego i serce pozyskać?

— Bo wiem — odparł szyderczo, ale bez gniewu Macron — żeś ty mnie w tem zastąpiła, Ennio!

Kobieta zrazu się przelękła, cofając się krokiem, wstyd oblał jej twarz rumieńcem, ale nie widząc groźby w oczach męża, ruszyła ramiony białemi.

— Mylisz się, Macronie — rzekła.

— Wiem o tem... o wszystkiem! — zaśmiał się pretarjanin — nie bój się, nie przeszkodzę ci być żoną Cezara, bylebyś została zawsze... Macrona kochanką...

Naevia zmięszana zakryła twarz rękami i w głąb domostwa uciekła.

W tejże chwili czarny rzezaniec, pilnujący atrium, przyszedł pani oznajmić, że Cajus czekał nań przechadzając się w koło pierwszego podwórca.

Macron powstał zaraz, westchnął szeroką piersią, ale poszedł spiesznie dostojnego powitać gościa, którego znalazł z wielką uwagą przypatrującego się małemu

ołtarzykowi domowemu Eskulapa i bijącemu przed nim koralami wysadzanemu wodotryskowi.

— Witam cię zwycięzco Sejana! — począł powoli Cajus topiąc w nim wzrok, w którym wyrazu dopatrzeć nie było można pod jakiemś obłąkanem osłupieniem, jemu zwyczajnem. — Cóż Rzym? co Senat? co lud?

— Obwołuje Tyberjusza zbawcą i ojcem ojczyzny! stawi mu nowe świątynie i posągi! — rzekł z trochą przekąsu Macron — śledząc wrażenia na licu zimnem Caliguli, ale uśmiech tylko dwuznaczny, bezsilny przebiegł twarz jego pożółkłą.

Cajus począł się przechadzać powoli dokoło *impluvium*, jakby roztargniony i w namysłach.

Odwrócił się potem do chodzącego za nim Macrona...

— A u nas w Caprei — rzekł — wiesz co się dzieje? Cezar od kilku dni siedzi zamknięty, milczy, nikogo nie przypuszczając do siebie... Mówił ci Priscus co było tego powodem?

— Nie widziałem Priscusa!

— Trwa to od wyjazdu twego... codzień chmura nad czołem wisząca się zwiększa; Tyberjusz ponury i gniewny... a Bogowie coraz go więcej obarczają... na uczcie znalazł dystych okrutny, ukryty pod poduszką triclinium... podejrzenie znać padło na Vescularisa i Marina... Potem byliśmy w gaju Venery, gdzieśmy patrzali na posągowe igraszki... Cezar sam udał się w głąb lasku; Priscus cieszył się już, że go potrafił rozerwać i z odrętwiałości, w którą starość obleka, rozbudzić... wtem krzyk słyszemy dziwny z ust, które nigdy nie krzyczą... Zjawisko straszne przeraża Cezara w grocie Faunów... pokazuje się Agrippina... Leciemy wszyscy... znikł cień, pozostał tylko starzec rozdrażniony i gniewny... Całą wyspę przetrząsano aby tę kobietę wynaleźć...

— A jeśli to był cień zmarłej?

— Cóż? przepowiednia może? i cóżby znaczyć miała? — badająco zapytał Cajus...

— Nie wiem... nie jestem wieszczkiem... ale zkądżeby tu na wyspie twarz nikomu nieznana?

— Przecież żywa!.. u boku jej stał mężczyzna...

Oba zamyślili się.

— Ztąd pono smutek Cezara i zamknięcie — dodał Cajus — niewolnik dostrzegł na pugilaresie wiersz jego, cieniom Agrippiny poświęcony...

— Rzecz prosta — przerwał Macron — ta kobieta przypomniała mu jedyną ukochaną w młodości... potrzeba wyszukać tej, która jest tak do niej podobną! oddać ją w ręce Cezara!

Cajus uśmiechnął się.

— A przyjdzież z nią młodość? — dodał. — Napróżno dotąd śledzą ją wszędzie... Priscus mówi, że pamięta oblicze żony Asiniusa, widział jej popiersia... poznałby ją wśród tysiąca... Wysłańcy jego od drzwi do drzwi przebiegają wyspę całą...

Macron uśmiechnął się...

— Stary z nami już żyje tylko! — zawołał — chce młodości, a lata codzień mocniej przygniatają go do ziemi... siły go opuszczają, choroba zjada, męczy się straszliwie...

— A lekarzy wezwać nie chce! — odezwał się Cajus.

— Wiecie — odparł Macron — co powiada Cezar, że po latach trzydziestu, kto siebie nie zna a sam się nie leczy, temu już nikt nie pomoże. Przytem... lęka się...

Spojrzeli sobie w oczy.

— A kogoż by się mógł obawiać? — spytał Cajus.

— Któż wie? wszystkich?

— Ale tobie ufa, Macronie, ty byś go mógł namówić, by czyjejś rady zasięgnął... Nie wszyscy lekarze oszuści i nie każde lekarstwo trucizną...

Popatrzywszy sobie w oczy, myśl swoją odgadli nawzajem, i Cajus podał dłoń Macronowi, szepcząc mu po cichu:

— Władzę z tobą podzielę...

— Lub śmierć! — odpowiedział atleta...

— Jemu życie ciężarem, Bogowie winni mu spoczynek!

— Bądźmy narzędziem Bogów! — rzekł Macron — ale ostrożnem... Cezarze!

Zamilkli, oglądając się, czy ich *atriensis* nie słyszał.

— Jest moim! — rzekł w duchu Cajus...

— Mam go! — pomyślał Macron...

I szybko się rozeszli.

XVI.

Gdy Tyberjusz nienawistnych żydów dla ich wiary z Rzymu wygnać kazał i przewieść na wyspę, na której je walka z dzikiemi zbójcami czekała, nie wszystkich, naówczas zamieszkałych w stolicy, los ten spotkał. Ubożsi, jak zawsze, padli tylko ofiarą, innym, pisze Tacyt, dano czas do powrotu lub zmiany religji. Wielu naówczas z konieczności przyjęli powierzchownie obrzędy i obyczaje pogan, nie wahając się spełniać ofiarę przed ołtarzem i posągiem Augusta, byleby dożyć dni swoich z rodziną w spokoju, w kraju, do którego już przywykli. Żydzi naówczas trudnili się w Rzymie handlem, wypożyczaniem pieniędzy i różnemi rzemiosły, z których lekarskie przedniejszem było.

Wschód pełen tajemnic, nawet w oczach Rzymian miał urok krainy pierwotnych podań rodu ludzkiego; przypisywano wychodźcom jego naukę czarów, wieszczbiarstwa i leków, od najdawniejszych wieków wziętą w spuściznie. Zresztą wiara ówczesna daleką już była od pierwotnej rzymskiej, która się cudzych Bogów wzdrygała; przyjmowała ona i stawiła ich w Pantheonie, byle nawzajem ci co ich wyznawali, cześć Bóstwu Romy i Cezarów oddawali. W miteologji tej na wszystko miejsce się znajdowało i Nieznanemu nawet Bogu chętnie święcono ołtarze.

W chwili stanowczej prześladowania żydowskiego, żył ustronnie, w zakątku miasta dalekim, starzec, który między narodem swym znacznej wziętości używał. Zwał się Elias a z grecka Heliosem go przezywano; zajmował się zaś leczeniem i złotnictwem. Człowiek to był już bardzo podeszłego wieku, ciche prowadzący życie, ale z leków i poczciwości znany w domach patrycjuszowskich i rycerskich. Ten przez swe stosunki i możnych protekcją, a szczególniej Regulusa, któremu był dziecię od śmierci ocalił, otrzymał pozwolenie zostania w Rzymie do czasu; a gdy pierwszy termin upłynął, nikt już nie nalegał aby się z miasta wynosił.

Rodzina jego cała składała się z matki staruszki, owdowiałej córki z dzieciną i jednego niewolnika, który rzemiosłem razem i usługą się zajmował.

Helios należał do tych żydów Aleksandryjskich, którzy na pół już zgreczeni i zrzymszczeni, prześladowaniu nie ulegali, ale pochodzeniem i wykształceniem licząc się do nich, różnił wielce umysłem i duchem. Tamci dwóch światów obywatele, dwóch wiar wyznawcy, w istocie szczerze nie należeli do żadnego kraju i religji; wstyd jakiś i nałóg trzymały ich przy judaizmie, strach i zepsucie rzucały w pogańskie obyczaje; ale ani jednemu ani drugim nie służyli całemi sobą.

Surowsi żydzi brzydzili się niemi jak odstępcami, Rzymianie już w nich nie mogli widzieć Hebreów, których wytrwanie szanowali w Hierusalem, a cenili na równi z niewolnikami i wyzwoleńcami, lub niżej od nich jeszcze.

Helios jednak, acz od wieków już należący do tej żydów gałęzi mniej surowego obyczaju, a co do zewnętrznych cech, zgreczonej, w duchu był innym cale: życie, rozmyślanie, nawróciło go do starej nauki i judaizmu, od którego był odstąpił.

Jak zawsze, nieszczęście było opatrznem nawrócenia jego narzędziem; miał ukochanego syna w którym spoczywały jedyne starca nadzieje; syn ten, w chwili najmniej spodziewanej, wśród jakiegoś zaburzenia ulicznego w Rzymie, gdy *plebs* szalała ze strażami, został zabity. Ciało jego znieważone i skalane przyniesiono ojcu, gdy z pogodną twarzą, niczego złego nie przeczuwając, oczekiwał powrotu dziecięcia.

W pierwszej chwili starzec utracił zmysły, a życie które mu pozostało, całe się zmieniło w pogrzebowe narzekanie i rozmyślanie bolesne. Szukając ulgi w cierpieniu, zwrócił się do Biblji i ksiąg świętych, a choć dawniej upodobanie miał większe w filozofji greckiej i astrologją się zabawiał, obie porzucił, nie znajdując w nich teraz ani pociechy, ani pokarmu dla zbolałego serca. Zdziwiło go, że po wymyślnych sofismatach i głębokich rozumowaniach pisarzy, którzy mu się szczy-

tem doskonałości zdawali, Biblja ze swą boską prostotą, tak wyższą i niezrównanie więcej mówiącą do serca i rozumu jaśniała dlań mądrością.

Czytał ją i odczytywał Helios, żałując czasu, który na naukę innych pisarzy poświęcił, dziwiąc się że w niej teraz znajdował to, czego wprzódy nie widział.

I boleść jest mądrością.

Upodobawszy sobie w księdze Hioba, której poezja wschodnia napełniła jego serce uczuciem niewysłowionem i cierpieć go uczyła, przeszedł od niej do innych ksiąg Biblji i długie godziny zadumywał się nad niemi.

Stan ówczesnego Rzymu za Cezarów i tej cywilizowanej na pozór społeczności, dla wszystkich okiem beznamiętnem nań spoglądających, był zjawiskiem wywołującem mimowolnie pytanie: Świat możeli tak trwać dłużej? Helios także powtarzał je w swej duszy przygotowanej do poznania prawdy i uprawionej boleścią. W świecie żydowskim stygła też wiara jak u pogan, u których obróciła się w obrzęd i niemal zabawkę. Świątynie nie były świętemi, milczały wszystkie wyrocznie Grecji i Rzymu, duch proroczy ustał, jakby zmożony siłą przeważną, ofiary spełniano dla widowisk, a obok Jowisza stali Cezar i Augustus, wczoraj skalani krwią i rozpustą, dziś uniesieni w niebiosa.

Wiara przestała rządzić życiem, kapłaństwo stało się jak inny urząd nagrodą dworaków, pochlebców lub osłoną ambicji. Augurowie wieszczb używali tylko dla celów politycznych, a z obrzędów i bóstw śmiano się z jednej strony, z drugiej rozumowano tak o nich, jakby człowiekowi były podległe i przezeń tylko utworzone. Poczęło się to oddawna, lecz co dzień stawało widoczniejszem. To co Swetonjusz powiada o Tyberjuszu, że Bogów i religii zaniedbywał, a oddany był rachubie i wierzył przedewszystkiem w niezbłagane Fatum [1]), stosować się może do ogółu społeczeństwa, z tem, że ci co z Jowisza się śmieli, chętnie potajemnie składali

[1]) Circa Deos ac religionem negligentior. *Sueton. Tiber. 69.*

ofiary Mitrze i Serapisowi, lub kamykowi nieforemnemu przywiezionemu ze stron dalekich.

Ludzie szli drogami namiętności niczem już nie pohamowanych, bo nic dla nich świętem nie było, a strach tylko, najgorszy z doradzców, rządził niemi.

Ognisko domowe, związki małżeńskie, poszanowanie dzieciństwa, węzły krwi, wszystko zniszczył blady ów strach i osobiste względy. Niewiasty wszelkiego zapominały wstydu i podawały rękę niewolnikom i gladjatorom, synowie świadczyli przeciw ojcom, matki odpychały własne dzieci — cóż mówić o innych stosunkach, słabszych z natury i mniej z siebie niezłomnych? Te potoki krwi, które się lały zewsząd, te mordy straszliwe, ten zamęt, który na niczyje serce i wiarę rachować nie dawał, przerażały i zmuszały myśleć, że ludzkość nie mogła być tak opuszczoną i na pastwę wydaną, jeśli w niej tlała choć iskierka daru Bożego.

Helios w swych księgach znalazł pierwszą myśl zasadniczą, która weń wlała pociechę, wielką i pocieszającą myśl opieki Bożej nad światem... Opatrzności rządzącej ludźmi i istotami wszelkiemi, od maluczkiego robaczka do najpotężniejszego z mocarzy. I rzekł sobie, że Bóg tak ludzkości opuścić i rzucić jej na pastwę zezwierzęceniu nie może.

Nie obce mu były przepowiednie, obiecujące przyjście Messjasza, syna Bożego, który miał się narodzić w godzinie naznaczonej, gdy świat nowego objawu widomego Boga zapragnie i konającemi usty zawoła. Sama naówczas filozofja pogańska pełna była tych przepowiedni i przeczuć jakiejś wielkiej zmiany, jakiegoś potężnego zjawiska, mającego oblicze ziemi przetworzyć, świat odrodzić... Helios znał te wyrazy tajemnicze, które w tęsknocie i utrapieniu powtarzali wówczas nawet poganie... czując zbliżającą się chwilę....

Ale więcej jednym kamiennym Bogiem na ich ołtarzach?... cóżby nowego świat zyskał? Helios oczekiwał żywego Boga, widomego znamienia i cudu... Wschód szczególniej tę nadzieję piastował, lecz i w Rzymie chodziła wieść, było przekonanie, że Judea ma się podnieść

i Pana dać światu [1]), może dla tego tak się Hebreów lękano. Tacyt i Swetonjusz są świadkami, że przeczucie było powszechnem, przywodzą je prawie jednemi słowy oba.

Swetonjusz niewłaściwie tylko zastosowując do Augusta przepowiednię inną, mówi o cudzie głoszącym Rzymowi, że natura króla mu wydać miała [2]). Przypomniano Virgiliuszową wieszczbę o synu Jowisza, ustępy z ksiąg Sybilińskich, tyczące się zjawiska, które świat odrodzić miało, przez jednego człowieka, przez dziecię narodzone z dziewicy.

Sam Tyberjusz, szydzący z bóstw i obrzędów, dumał długo nad dziwnym jakimś wypadkiem, który naówczas wszystkie zajmował umysły. W chwili prawie, gdy w zapomnianym Wschodu zakątku rozlewano krew niewinnego, dla odkupienia świata... poganie usłyszeli oznajmienie o *śmierci wielkiego Pana*, tajemniczego bóstwa, przedstawiającego starą wiarę. Plutarch tak opisuje to zdarzenie niepojęte dla pogan, chrześcianom tylko zrozumiałe:

„Za panowania Tyberjuszowego, pisze [3]), statek przepływał niedaleko wyspy Paxos; ludzie na nim podróżujący nie spali jeszcze, siedzieli za stołem i pili, gdy z jednej z wysp poblizkich usłyszano głos, wołający Thamusa, sternika okrętu, tak silnie, że się wszyscy zdumieli. Na pierwsze i powtórne wołanie Thamus milczał, na trzecie wreszcie odezwał się, a głos ów dodał silniej jeszcze:

— „Gdy przybędziecie na wysokość wyspy Palodes (u brzegów Epiru) oznajmijcie, że *wielki Pan* umarł!“

Dopłynąwszy do wskazanego miejsca, Thamus spełnił zlecenie i z przodu okrętu zawołał ku lądowi:

[1]) Percrebuerat Oriente toto vetus et constans opinio, esse in fatis, ut eo tempore Judaea profecti rerum patirentur. — Sueton. Vespas. 4.

[2]) Prodigium Romae factum publice, quo denuntiabitur, regem populi Romani naturam parturire. — Sueton. Aug. 94.

[3]) Plutarch de Oraculis.

— Wielki Pan umarł!...

Naówczas dały się słyszeć jakby jęki głośne i wołanie podziwu wielkich tłumów ludu. Świadkowie naoczni opowiadali to w Rzymie, Tyberjusz sam dowiadywał się i został upewniony o wypadku.

Wielki *Pan* arkadyjski, dziecię Jowisza i Hybridy, leśny ów włóczęga, śpiewak i wróżbiarz, pół-człowiek, pół-zwierzę, symbolizujący ubóstwienie wszystkiego cielesnego i ziemskiego — cały starożytny Pantheismus w istocie skonał w tej chwili, z przyjściem od wieków obiecanego Wybawcy...

Dla Heliosa wszystkie te przepowiednie potwierdzało jeszcze badanie pisma odwiecznego Hebreów, księgi ksiąg ich zakonu, w których liczne, począwszy od stworzenia (Genesis. III. 15), przepowiednie, zwiastowały zesłanie Odkupiciela, — Messjasza.

Niektóre nawet ustępy Biblji oznaczały bliżej okoliczności przyjścia, miejsce urodzenia, matkę i rodzinę i los, jakiemu miał uledz Bóg na ziemię zstępujący. W księgach Rodzaju, Deuteronomie, Królach, Prorokach, szczególniej znajdował Helios co krok powtarzające się obietnice owego zesłania syna Jehowy na ziemię.

Przybywający ze Wschodu do Rzymu podróżni przynosili już najsilniej potwierdzające wieści o spełnieniu przepowiedni; mówili o narodzonym w Betleem, o umęczonym w Hierusalem Messjaszu, który z grobu zmartwychwstał zwycięzcą śmierci.

Lecz część znaczniejsza żydów, która w nim po ludzku sądząc, oczekiwała króla tylko i zdobywcy, co mieczem miał świat zawojować, nie przyjmowała już spełnionego za to co przez Proroków zwiastowane im było... Inni, słysząc o cudach wielkich i szerzącej się nauce nowej, niepokoili się o nią i poznać pragnęli. Mówiono o rozsianych już po świecie rezesłańcach, niosących prawdę radośną, nowinę dobrą odrodzenia, ale jeszcze w Rzymie, ledwie niektórzy z żydów głuchą mieli wieść o wypadkach, zaszłych w Hierusalem i Chrystusowej męce i wierze, którą usilnie poznać pragnęli...

Do liczby tych, którzy niecierpliwie oczekiwali żeby im kto przyniósł nowinę zbawienia, należał stary Helios, nie mający pokoju i wychodzący często na brzegi Tybru, by podróżnych, ze Wschodu przybywających, pochwycić i dowiedzieć się u nich o Messjaszu, synu Bożym.

Przykład jego cały ten dom ubogi napełniał jakąś żądzą poznania nowej prawdy, o której głoszono już, że była tylko potwierdzeniem starego zakonu Biblji, jaśniejszem, silniejszem i do wyższej podniesionem potęgi.

Dom ten, jakeśmy rzekli, składał się ze starca Eliasza, żony jego staruszki Diny, jak on tajemniczą przejętej nadzieją, owdowiałej synowej z dzieciną i niewolnika.

Zamieszkiwali oni w oddaleniu od środka miasta, blizko świątyni *Minerwy medica*, u murów, otaczających *pomoerium*, przez których bramę, niezbyt odległą, przechodził gościniec od Tibur wiodący, *Via Tiburtina*, a po za nią tuż, niemal przyparte do murów, były zwierzyńce *(Vivarium)* i obóz pretorjanów.

W bocznej uliczce ustronnej Helios zajmował kilka izb i sklepik, w którym wschodnie wyroby złotnicze sprzedawał.

Chociaż żyd i złotnik, nie ściągał zbytnie oczów ani budził zazdrości Rzymian, i w czasach, gdy mało kto był bezpiecznym, żył dosyć spokojny, nie mając dłużników, bo pieniędzy nie pożyczał, nie robiąc sobie nieprzyjaciół, bo stosunków miał mało, i niewielkiej głosności swej winien będąc ciszę jaka go otaczała.

Znały go tylko niewiasty, których klejnoty naprawiał lub mieniał, przerabiał naszyjniki, pierścienie i pasy, i w okolicy tej miasta, niewielkie kółko, które się radziło lekarza, gdy już żadnej dla chorego nadziei nie było.

Wyzywany nieustannie od ciekawych przyszłości, którzy sobie chcieli kupić jej wiadomość, Helios od wieszczb unikał i służyć niemi nie chciał. Po większej części leczył środki prostemi, balsamami z ziół wyciąganemi i roślinami, których znał własności, lekarstwami powszechnemi, które wówczas za panacea uchodziły,

wstrzemięźliwość zalecając i spokój ducha. Mało potrzebując dla siebie i rodziny, Helios żył z pracy i grosza uzbieranego, który miał u swoich współwyznawców, w różne sposoby nim obracających. Szanowany przez nich, wpływu jednak nie miał wielkiego; surowsi zarzucali mu dawniejszą jego mądrość grecką, wolniejsi to, że się jeszcze trzymał zakonu.

Blizkość zakonu pretorjanów, do którego Macron, stosunki sobie potajemne zawięzując, od dawna uczęszczał, sprawiła, że raniony raz spadnięciem z konia dowódzca poznał starca, którego sprowadzono dla opatrzenia skaleczenia. Spokój jego, wyryta na twarzy moc ducha, bezinteresowność i odwaga, zastanowiły Naeviusa.

Nie wiedzieć potem zkąd, po rozmowie z Caligulą, przyszedł mu na myśl Judejczyk i postanowił namówić Tyberjusza, aby go sprowadzić pozwolił jako lekarza, knując może coś więcej, gdy leki zręczność nastręczą.

Tegoż dnia starał się docisnąć do Cezara (który siedział zamknięty i jadł nawet osobno) pod pozorem pieczołowitości o jego zdrowie, probując zachęcić, aby nowego jakiego lekarza z Rzymu przywieść dozwolił.

Tyberjusz spojrzał tylko, potrząsł głową i uśmiechnął się tak, że Macron poczuł krew stygnącą w żyłach.

— Nie potrzeba mi waszych lekarzy! — rzekł — nic mi nie trzeba! spokoju, siły tylko... a tych nikt z was nie da!

Drugi raz nalegać nie śmiał; Cezar zbył go milczeniem, dostał kartek na których pisał, i począł, zadumany głęboko, kreślić coś i ścierać, zajęty układaniem listu do Senatu, czy pamiętników własnych.

Macron wiedział, że mu w takich chwilach przerywać pracę było niebezpiecznie i wysunął się po cichu.

Stan ten jednak niepokoił go, dręczył wszystkich co otaczali Cezara, i czynił rozkoszną Capreę milczącem więzieniem, w którem przerażeni niewolnicy z nieufnością na siebie spoglądali... nie wiedząc czy swobodą czy śmiercią skończy się straszliwe oczekiwanie.

Cajus wrzał milcząc, a Macron poglądał na wzrastającą niecierpliwość jego, ciesząc się władzą, jaką mu ona dać miała. Owszem, przez Ennią jeszcze starał się obiecanem panowaniem wzburzyć w nim namiętności, i przyszłej swobody nadzieją rozbudzić tę duszę, która, dotąd strachem okuta, milczała...

Oba jednak marzyli i szukali środków, by się pozbyć nieznośnego im starca, dopóki groźny jego wzrok i szyderskie usta nie ukazały się przed niemi; oba drżeli na widok jego i padali przed nim posłuszni, tak przywykli byli żelaznej jego woli ulegać.

I pokątne narady kończyły się bezsilnemi przekleństwy.

XVII.

Gdy się to dzieje w Caprei, w Rzymie, lepiej odgadujący wolę Cezara senat mści się nad poplecznikami Sejana z zajadłością okrutną, badając tylko kiedy mu powiedzą — dosyć.

Zaprasza Tyberjusza do stolicy, a Gallus ofiaruje z senatu wybór mężów dwudziestu, związanych przysięgą, którzyby za każdą razą wchodzącemu do Curji Cezarowi towarzyszyli dla bezpieczeństwa. To odgadnienie strachu, jaki on czuć musiał, spowodowało tylko szyderski list jego, w którym wymawiając się od przyjęcia honorowej straży, żartował sobie z senatu i Galla... Obrócono w śmiech tę podłą chętkę okazania gorliwości.

Inny, Gallion, chciał także w tej myśli na ławy rycerstwu przeznaczone wprowadzić zasłużonych pretorjanów, za co go wprost zgromiono. Gallion nawet wygnany z senatu, za tę myśl dziwną porównania senatorów z żołnierstwem, musiał uchodzić na Lesbos, a nareszcie dostał się do więzienia. Smutne dzieje!! Obwiniony przez Tyberjusza zausznik Sejana Pacomianus, ocalając życie, wydaje Latinus'a Latriaris, godnego siebie zbrodnia; codzień nowe zdrady i krwawe ofiary.

Messalinus Cotta, za żarciki z Cajusa Caliguli, którego Cają nazywał, a Cezara Tyberjolem swoim, o mało nie przypłaca życiem, ocaliła go fantazja jakaś; Pollion, Silanus, Scaurus, Calvisius, Minucius, Serveus, Sejus Quadratus, giną z kolei pastwą delatorów nienasyconych. Kobiety nawet nie są wolne od prześladowania, a matka Fufiusa, staruszka zgrzybiała, zabita za to... że śmiała płakać po synu!

W Caprei ten sam przestrach i trwoga; Cezar wciąż siedzi zamknięty i niewidzialny. Z towarzyszów jego, najstarsi wiekiem i zasługą, Vescularis i Marinus padają ofiarą najpierwsi.

Ostatnia biesiada i serdeczność Cezara dla nich obu, napełniła ich strachem, trwali jednak w miejscu, dopóki Macron nie obwieścił im rozkazu udania się do Rzymu; było to znakiem, że wkrótce nadejdzie list oskarżający; na chwilę się nie łudzili nadzieją, z dawna oswojeni z charakterem pana.

Przed odjazdem jeszcze wahali się, czy sobie śmierci nie zadać, nie czekając ręki kata i gemonij. Samobójstwo w tych czasach tak się było upowszechniło i zagęściło, że mało kto inaczej jak z własnej lub niewolnika ręki umierał... to jedno jeszcze umieli Rzymianie, w chwili śmierci odzyskując Katońskie męztwo i powagę...

Że jednak nie będąc jeszcze oskarżeni, Vescularis i Marinus, mogli o kilka chwil przedłużyć życie, wstrzymali się ze zgonem. W ślad za nimi przyszedł do Rzymu list oskarżający; obojętnie na to patrzono, gdyż oba byli narzędziami Tyberjuszowemi, jeden przeciwko Libonowi, drugi przeciw Atticusa i słusznie im należało ginąć, jak drugich gubili.

Od dnia do dnia odkładając jeszcze, nie pewni czy się przebić, otruć, krew upuścić, czy niewolnikowi sztylet dać w ręce i rozkazać w pierś ugodzić — doczekali się śmierci haniebnej. Nikt po nich nie okazał żalu.

Macron tryumfował, usunąwszy z drogi swej najstarszych, najzaufańszych ulubieńców, zostając sam bez

współzawodnika, co dzień silniejszy, pewniejszy siebie.

Drżało już przed nim wszystko.

Wśród tych krwawych scen, delacyj, samobójstw i katowań, z podziwieniem patrzano na naturalną śmierć osiemdziesiąt-letniego starca Pisona, prefekta Rzymu, człowieka surowej cnoty i charakteru wzniosłego, któremu senat wotował pogrzeb kosztem Rzeczypospolitej.

Na dworze Tyberjusza, oprócz zniknienia Vesculariusa i Marina, nic się nie zmieniło; Cajus tylko korzystając z zamknięcia się starca, swobodniej puszczał namiętnościom wodze, a do Macrona zbliżał się coraz więcej przez żonę, której już dał na pismie obietnicę zaślubienia jej...

Niecierpliwy panowania, udawał przecie płochość i szukał łatwych rozrywek, by zabić czas wlokący się leniwo; noce spędzał w miasteczku Caprei, część dni u nóg pięknej Ennii.

Macron tymczasem wysłał do Rzymu po Heliosa.

Wezwanie to napełniło strachem dom jego i z razu potrwożeni żydzi chcieli uciekać gdzieś ku Galji, lub zabrać się w Ostii na okręt aleksandryjski z domem całym, aby uniknąć niebezpieczeństwa, które Heliosowi groziło w Caprei; starzec jednak po namyśle postanowił być posłusznym...

— Dni moje policzone — rzekł — bez woli pana włos z głowy nie spadnie; dla czegożbym nie miał spróbować, czy chorego ciała i przezeń i chorej duszy tego człowieka uleczyć nie potrafię? Często Bóg maluczkich używa do wielkiego, aby w nich okazał potęgę swoją.

Ze spokojem zwykłym w duszy, Helios zabrał do niewielkiej skrzyneczki leki swoje, zwitek Biblji, suknie odświętne i udał się wśród płaczu żony i córki, które go jak na śmierć przeprowadzały aż za bramy P o m e r i u m — przez Campanią do Puteolów, zkąd łódź czekająca nań przewiozła go do Caprei.

Ze strachem każdy dotykał stopą tego kątka ziemi, który naówczas światu panował, i Helios, acz na wszystko gotów, uczuł chłód w sercu, znajdując się w ręku najsilniejszego władzcy, co życie ludzkie miał sobie za igraszkę, a krwią szafował bez litości.

Modląc się, wysiadł na brzeg starzec i pieszo przeprowadzony został do dworku Macrona, gdy na ścieżynce doń wiodącej, za niewolnikiem idąc, spotkał błądzącego ze swym smutkiem i walką w łonie biednego Hypathosa...

Jedno spojrzenie nań tak przypomniało mu wschód i rysy własnego dziecięcia, że się zastanowił, mimowolnie wymawiając imię syna, jak gdyby ujrzał go powstającego z grobu.

Hypathos także postrzegłszy nieznajomego starca, zmierzył go okiem ciekawem, ale niewolnik nie dał się wstrzymać lekarzowi, którego poprowadził i przypisując piękności chłopaka zdumienie Heliosa, przynaglił go pospieszyć do domu Macrona.

Oba jednak, z wejrzenia na siebie, domyślili się wspólnego pochodzenia.

Długo w pustem atrium czekać musiał starzec zamyślony, nim wódz pretorjanów powrócił z czatów, które u drzwi Tyberjusza odprawiał, nie mogąc się doczekać, by go przyjęto i wpuszczono. Postrzegłszy żyda, wchodzący Macron rozweselił się trochę.

— Mówią o tobie i sam tego doznałem — rzekł pozdrawiając go zaledwie — żeś biegły w sztuce Eskulapa? — I wpatrywał się bacznie w spokojne oblicze Heliosa.

— Cezar, pan nasz, cierpi i boleje, nic mu i nikt pomódz nie może; masz-li odwagę widzieć go i radzić?

— Spełnię twój rozkaz — Helios.

— Chariclesa wprawdzie wyśmiewa Cezar, nie wierzy w lekarzy, ma ich za oszustów i truicizników, ale go teraz boleść złamała, tamten już mu nadto zobojętniał, tyś nowy i świeżem okiem łatwiej postrzeżesz co czynić można. Kto wie, może sobie zjednasz zaufanie jego? Bądź więc na zawołanie, gdy rozkażę...

Po krótkiej tej rozmowie, odprawiony do miasteczka Caprei, gdzie mu puste domowstwo wyznaczono na mieszkanie i do posług czarnego niewolnika, Helios

usiadł spokojny oczekując co losy zdarzą. Posiliwszy się kilką figami, trochą owoców i wina, rozwinął zaraz księgę swoją i zatopił się w czytaniu.

Znać śledzić go musiał Ruben, gdyż po chwilce zapukano do drzwi i piękny chłopak wszedł na próg, drżącemi usty po grecku pozdrawiając przybylca...

Byli sam na sam, gdyż niewolnik, wysłany po wodę i sprzęty, odszedł na chwilę.

— Nie jesteś Grekiem? spytał niespokojnie Ruben.

— Nie — odparł Helios — ród mój pochodzi z Judei, a ty?...

— Jam Ruben, syn Dawida — zapłakał rzucając mu się do nóg dzieciak.

Podobieństwo do utraconego syna, którego tak kochał, niespodziewane znalezienie jednego ze swoich przeraziło i rozradowało Heliosa.

— Niech Bogu naszemu będzie chwała! — zakrzyknął podnosząc ręce do góry. — Dziecię moje, co cię tu przywiodło?

Ruben twarz zakrył rękami i płakał długo nim mógł słowo przemówić i opowiedzieć, jakiemi losy przeprowadzeni zostali on i brat jego na tę wyspę, jak jego pochwycono i jak nikczemnie upadł, stając się pieszczoszkiem Cezara, ulubieńcem poganina.

Z surową twarzą słuchał go Helios i dwie łzy popłynęły mu spalonemi policzki.

— Gdzież nas nie ma! — zawołał — gdzie nie cierpim, gdzie się nie walamy! Na cóż przyszło plemię wybrane od Boga, które było naczyniem prawdy, któremu obiecany ten co podbije świat i poganom będzie panował!

— A! wyzwól nas! wyzwól! — z zapałem do ucałowania ręki jego się cisnąc zaczął błagać Hypathos — wyrwij nas z tego więzienia...

— Wiemże ja czy sam cało wyjdę z niego? — odpowiedział starzec smutnie — czy kości moje nie pobieleją na tej wyspie dalekiej?... Bóg silniejszy nademnie, on mnie i was ocalić może... módlcie się do Boga Abrahama...

— A! ja zmuszony składam ofiary innym bogom, bogom Cezara — przerwał Hypathos — jam już naszemu stał się niewiernym i nie godzienem, chyba pomsty jego!

Długo może byliby tak tęskno rozmawiali z sobą, gdyby poseł od Macrona nie zawiadomił Heliosa, że go Tyberjusz kazał przypuścić do siebie.

Odziawszy się więc w suknię grecką, obmywszy z pyłu, starzec wszedł, nie bez bojaźni wielkiej w sercu, do willi Jowiszowej. Na progu już, kilką słowy ostrzegł go Hypathos, jak się miał znajdować w obliczu Cezara.

— Nie okazuj nigdy, żeś odgadł myśl lub słabość jego, udawaj nierozum, nie objawiaj strachu... słów nie szczędź i do zbytku nie oglądaj się na nie; niewierzącemu w lekarzy, sam opowiadaj o niepewności swej sztuki... i niech cię Bóg Izraela, jedyny Bóg nasz, potęgą swoją osłoni!

Helios na te troskliwe przestrogi uśmiechnął się smutnie.

— Zaprawdę — rzekł — będę czem jestem... a spotka mnie co Bóg przeznaczy!

Na drodze, o kilkadziesiąt kroków od miasteczka, spotkali się z Chariclesem, lekarzem greckim, wyzwoleńcem Cezara, który dowiedziawszy się od Macrona o przyjeździe żyda, spieszył go widzieć i poznać. Charicles imieniem tylko był lekarzem Tyberjusza, stary bowiem, nawykły żartować z niego, niedowierzający mu, nic z ręki przyjąć nie chciał, czasem tylko sadzał do biesiady, aby strachem się jego nabawić. Zręczny Grek, nie mogąc lekarzem, stał się historionem i rozrywał starca trafnemi żarty, lub kadził niesłychanemi pochlebstwy.

Był to jeden z tych typowych Greczynków *(graeculi)* których naówczas mnóstwo uwijało się po Rzymie, dworak, pochlebca, pasożyt, mim w potrzebie, człeczek, coby, jak mówi poeta, do nieba polazł za obiadem, a datek największą się nie wahał okupić podłością. Obok tego, Charicles tak był dumny ze swego pochodzenia i mądrości, że Rzymian w duszy miał za barbarzyńców,

i choć sile ich i potędze się kłaniał, między swojemi przedrwiwał z nich, udawał, że się ich języka nauczyć nie może, o stolicy mówił z lekkim przekąsem o pozornej cywilizacji ruszając ramionami. Zarozumiały a zepsuty, płaszczył się potem nie tylko Macronowi, którego szerokie plecy szanował, ale ostatniemu wyzwoleńcowi, co mógł go zastraszyć lub zapłacić.

Na to były zeszły charaktery w tej niegdyś bohaterskiej Grecji, a przynajmniej takiemi one okazywały się w Rzymie, w pośród wychodźców, których tu było pełno, najrozmaiciej zarabiających na chleb powszedni.

Charicles przymilający się, układny, potakujący a razem szyderski, jedną stroną twarzy uniżał się, drugą wyśmiewał; największy zapał i uwielbienie przychodziły mu i odstępowały go na rozkazy.

Przyznać mu to jednak potrzeba, że nawet w największem uniesieniu kropla zawsze ironji jakiejś być musiała. Miał on swój naród i siebie za jedynych wybranych, Rzymian za śmiesznych barbarzyńców, ich język zaledwie godzien wyrażać pospolite życia potrzeby, resztę świata za półzwierzęcy motłoch, ale nie sądził by powagą i siłą duszy dowodzić mu było potrzeba dostojności swego rodu.

Płaszczył się i sam z siebie żartował, jakby to w obec Rzymian i barbarzyńców żadnego znaczenia mieć nie mogło, za niższe istoty ich uważając, którym czem był w istocie, nie potrzebował się okazywać.

Łysy, mały, a zręczny i zwinny, Charicles miał czarne bystre oczy, twarz ruchawą, usta trochę szerokie, a marszczki tej satyrycznej maski z wielkiem tylko wysileniem mogły przybrać wyraz powagi.

Surowa i piękna postać starego Heliosa zastanowiła chwilę Greka; starał się zwyczajem swoim zbadać go wprzód, nim doń przystąpił. Przykrego doznał uczucia, nie mogąc go sobie wytłómaczyć tak łatwo, jak był zwykł Rzymian poznawać.

Coś tajemniczego, nie pochwyconego znalazł w tym długobrodym starcu, którego powaga i prostota nie dawała się łatwo wyszydzić. Charicles poczuł bardziej niż

zrozumiał w nim jakąś wyższość, której źródła dobadać się nie mógł.

Pozdrowili się wzajem milczący.

— Oba podobno jednej sztuki jesteśmy uczniami — rzekł Grek usiłując się przypochlebić — jam Charicles, stary sługa Cezara....

— Ja Helios Alexandryjczyk — odparł żyd z poważnem głowy skłonieniem — ale się lekarzem nie mienię... Trochę mnie nauczyli starsi, trochem się sam douczył, wiek także dał mi znajomość natury ludzkiej... ale nie umiem wiele.

— Najwięcej umie, kto się sam nieukiem powiada! — podchwycił Charicles — cała to mądrość w siebie niewierzyć... Ze słów twych poznaję ucznia Sokratesowego.

— Wcale na to imię nie zasługuję — odparł Helios.

— Nam o tobie sądzić — szybko dorzucił Greczyn. — Godne też ciebie masz tu zadanie, wezwany do Cezara, by drogie światu zdrowie jego pokrzepić; godne ciebie, bo zaprawdę ciężkie... Wiesz zapewne, że Tyberjusz lekarzy nie słucha i śmieje się z całej nauki naszej.

— Ja sobie żadnej nie przyznaję...

— Pozwólcie żebym wam jako dobry przyjaciel z góry oznajmił, że nie wiele tu jest do zrobienia... Ciało zniszczone, dusza je wielka stargała... starość złamała do reszty. Przytem — dodał ciszej i poufnie — więcej ludzi zgubiła niepowściągliwość, niż głód.

Żyd milczał; ta wstrzemięźliwość jego dla wielomównego Greka była niecierpliwiącą i niezrozumiałą; pojmował, że mógł mu prawdy nie mówić, ale wymagał słów choćby próżnych.

— Tajemniczy jak wyrocznia! — rzekł w duchu — nie ma niebezpieczeństwa! z tą powagą i niezręcznością nie daleko zajdzie u Cezara!

Gdy się już zbliżyli do willi, przy której Macron z kilką wyzwoleńcami stali oczekując na starca, Charicles opuścił przybyłego, zapewniając go o najgorętszej przyjaźni, zrodzonej nagle, za pierwszem wejrzeniem, a już tak niepokonanej, że jej był gotów życiem do-

wodzić. Żyd przyjął to milczeniem obojętnem, bo życie nauczyło go w tak żywe oświadczenia nie wierzyć, wziął więc zaklęcia za to, co były warte.

Na willi wszystko było w głębokiej pogrążone ciszy, ludzie obawiali się przemówić głośniej, niewolnicy i słudzy przesuwali się jak cienie milczące.

Cezar spoczywał zamknięty.

O nowo przybyłym już był zawiadomiony i na usilne nalegania Macrona, choć z szyderskim uśmiechem, dopuścić go do siebie pozwolił.

Maleńka izdebka, w której spoczywał po łaźni na purpurowych wezgłowiach, nie wiele oświecona wdzierającem się przez zasłonę drzwi światełkiem, otwarła się przed Heliosem, który paść musiał na kolana pana ujrzawszy.

Tyberjusz podniósł głowę, zwrócił nań oczy i popatrzywszy długo, skinął by powstał.

— Kto jesteś? — zapytał.

— Ubogi człowiek, z dalekiego kraju i najmniejszy ze sług twoich.

— Mienisz się zapewne astrologiem i wieszczbiarzem?

— Nigdym nie umiał przyszłości zgadywać; dar to Boży, a mnie on nie był dany.

— Jakże możesz leczyć, jeśli nic zgadnąć nie umiesz?

— Mam leki jakich mnie nauczyło życie, a poznaję chorobę po zewnętrznych jej cechach.

— I widzisz ile cierpię? — zagadnął Cezar.

Helios zamilkł.

— Zaprawdę cierpię! — zawołał Tyberjusz — ale żaden z was mnie nie uleczy!

— Człowiek sam tylko może być sobie lekarzem — rzekł żyd.

— Dobrześ powiedział, lecz po co przyszedłeś?

— Kazano mi.

W czasie tej krótkiej rozmowy Tyberjusz leżał na łożu, przy którem Helios dostrzegł porozrzucane zwitki pargaminowe i tabliczki woskowane. Były to owe poemata Euforiona, Rhiana, Partheniosa, greckich poetów, które Tyberjusz wysoko cenił i naśladował, starając się

im sprostać... Stylet na stoliku świadczył, że Cezar nie dawno jeszcze pisać musiał, lub dzieła ukończone poprawiać.

Uczeń Corvina Messali[1]), którego młodzieńcem słuchał już starca, później na Rhodos pilny greckich retorów i rozprawiaczy towarzysz, Tyberjusz, wśród nudów choroby i starości, bawił się to czytaniem, to pismami do senatu, układając je, obmyślając słowo ich każde z troskliwością pisarza, który pracuje dla nieśmiertelności. Styl jego wyszukany, nadęty, dziwaczny, nie zawsze nawet był zrozumiałym. Lubił grecką mowę, ale pokątnie jej tylko używał, w senacie słowa greckiego się strzegąc, aby nie pokazać czem był w istocie — wielbicielem greczyzny i zepsutym retorem. Zmuszony raz użyć wyrazu monopolium, uniewinniał się z tego dowodzeniem, że nie podobno go było niczem łacińskiem zastąpić.

Czasem, w publicznych wystąpieniach, nie dopuszczał do siebie słowa nawet rzec po grecku, aby swej słabości nie zdradzić, choć sercem był więcej Grekiem niżeli Rzymianinem.

I w tej chwili, gdy Heliosa przyprowadzono, musiał coś pisać, gdyż pugilares puścił z ręki, a stylet rzucony na stół pochwycił machinalnie i bawił się nim, poglądając na żyda, dziwując się może w duszy, że go mniej widział przestraszonym, niż przywykł był pierwszy raz do siebie przystępujących znajdować.

— Pochodzisz z Judei? — rzekł po chwili spodziewając się kłamstwa może.

— Tak jest, Cezarze, Hebrejczyk jestem.

— I trzymasz się swojej wiary? — z uśmiechem dodał Cezar.

— W niej się urodziłem.

— Cóż ona naucza? — spytał po krótkiem milczeniu.

— Czci jednego wielkiego Boga! — odparł Alexandryjczyk.

---

[1]) Swetonjusz.

— Jednego! — zaśmiał się Cezar — a jakże jeden wystarczyłby na cały świat i ziemię....

— Jak ty, Cezarze, na świat cały panujesz i wystarczasz!

To zręczne pochlebstwo prawie mimowolnie przyszło na usta starcowi; Tyberjusz się uśmiechnął.

— Mówią — dodał pisząc coś styletem po cytrusowym stoliku, stojącym przed nim, że Judea oczekuje przyjścia wielkiego jakiegoś władzcy; że są przepowiednie u was, które zwiastują narodzenie mocarza... co świat podbije. Prawda-li to?

— W księgach naszych — rzekł Hebrejczyk — jest o tem podanie, ale to nie władzca wedle ciała i miecza — dodał — tylko wedle ducha. Nie będzie on panował legjami wielkiemi i potęgą ziemską, lecz słowem i prawdą.

— Czcze wyrazy! — rozśmiał się Tyberjusz — jak może władać ten co nie ma siły jeno w uściech? Spojrzyjże na co zeszła siła i moc w ustach Greków, najmędrszego w świecie narodu?

Żyd zamilkł na chwilę...

— Cezarze — rzekł — z jednej bryły marmuru niewprawna dłoń rozbite tylko kawały, a ręka rzeźbiarza wywiedzie posąg na podziw cudnego kształtu. Słowo jest narzędziem, a duch, co w niem tkwi zamknięty, duszą jego...

— Jestże słowo, któreby wypowiedzianem nie było, któregoby od Saturnowych czasów usta nie wymówiły czyje? — zawołał Tyberjusz.

Żyd zamilkł; w tem starzec jęknął nagle, bolem jakimś schwycony i spojrzał srogo.

— Cóż mi radzisz? — rzekł zwracając do pierwszej rozmowy.

— Co cierpisz? — spytał żyd.

— Zgadnij!

— Nie wiem.

— A jakimże jesteś lekarzem?

Po chwili namysłu, krwawą powiódł źrenicą i dodał:

— Cierpię okrutnie... ale nie wiem gdzie choroba moja.

— Jeden spokój duszy może boleści wszelkiej być lekarstwem.

— Jak go otrzymać? Ciało nią włada, a ja przeciw niemu mocen nie jestem... ulecz ciało i daj mi siłę, ujmę duszę...

— Nic ci nie poradzę, panie, prócz spoczynku, snu i wstrzemięźliwości; to są najsilniejsze w świecie leki... Innych nie przyjmuj, Cezarze...

Na tę przestrogę pobladł Tyberjusz; przywykłemu do delacji wydała się jakąś groźbą — spojrzał...

— Charicles inaczej mówi — dodał z uśmiechem... tyś uczciwszy od niego... idź precz!!

Żyd przypadł na kolana i odszedł powoli, a niemy niewolnik, stojący u progu zewnątrz izby, spojrzał z za zasłony i na skinienie znane sobie Cezara, pobiegł po Thrasylla.

Od dawna już nie wzywany, zdumiał się nieco gdy go powołano, ale posłuszny pospieszył.

— Caprejczyk (tak zwano Cezara ze wzgardą) siedział jeszcze zamyślony, gdy wszedł astrolog jego.

— Mów, co dzisiaj widzisz w przyszłości? — spytał go nagle — sny miałem niepokojące, zdało mi się, żem leciał na orle Jowiszowym ku Wschodowi, ku Judei... dla czego? po co? nie wiem... Ale umysł mój nieustannie się zwraca... ku tej ziemi i proroctwu, które mówi, że tam się los świata rozstrzyga... Co sądzisz o tem?

— A gdybym i ja toż czuł co ty, Cezarze? — zapytał Thrasyllus.

— Znasz przecie wieszczby? Cóż ci twój demon powiada? — prawda-li to?

— Czuję wielką godzinę, która dla świata wybija... ale oczy mam jakby powleczone zasłoną i nic nie widzę w ciemnościach, które mnie ogarniają.

— Tycze się-li to mnie? grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Nie tobie...

— Jest-li w mej mocy uniknąć tego co zagraża?

— Nie! — rzekł po namyśle Thrasyllus — *Ananke!*

Fatum to nieubłagane! my nic przeciwko niemu nie możemy!

— Ani ja!

— Ani ty nawet, Cezarze!

— I nad Jowiszem panuje Fatum! — zawołał Tyberjusz zginając głowę. — Lecz jest-li Jowisz? — spytał po chwili... Euhemeros widział w Krecie kamień z napisem grobowym Zan'a, Diagoras przeczy istnieniu bogów, Protagros w nich nie wierzył... lud tylko ciemny kłania się jeszcze ich posągom — my...

— A Fatum nie jestże bogiem? — spytał Thrasyllus.

— Czyż człowiek uniknąć go nie może?

— Nie! nie! — odparł filozof... ale może je zwyciężyć, mężnie przenosząc.

— Więc ów wąż! ów wąż!! — przerwał starzec niespokojny — tak! próżno Rzym mnie wyzywa, nie pojadę tam więcej!

Grek przypomniał sobie w tej chwili przepowiednią węża... która na myśl przyszła Cezarowi. Tyberjusz miał ugłaskanego ulubieńca, z którym się rad bawił... znaleziono go zjedzonym przez mrówki, ztąd tłómaczenie i wieszczba, że Cezar tak przez lud drobny pożartym być może i obawa powrotu do Rzymu [1]). Po śmierci Sejana kilkakroć zabierał się do stolicy starzec i strach ten go wstrzymywał, a bojaźń ludu wywołała znęcanie się nad nim i niesłychane krwi przelewy.

— Są więc żelazne okowy losu, których nawet władza Cezara nie przełamie!... nie jestem więc wszechmocnym! — zawołał w duchu — a! mizerne życie! licha władza! wolniejszym jest, kto o tem nie wie i swobodnym się mniema... szczęśliwsze zwierzę!!...

I wróżbita od progu, ruchem dłoni drżącej, nie mówiąc słowa, odprawił.

---

[1]) Swetonjusz.

XVIII.

Tegoż wieczora w domku Judy wiedziano już o przybyciu na wyspę Heliosa; Hypathos zaniósł im tę wieść, dającą nadzieję wybawienia, a Juda uradowany chciał zaraz biedz do starca, ale się powstrzymał obawą, aby ten pośpiech nie wydał niepokoju wygnańców.

Odwiedziny swe odłożył nieco. Helios miał zabawić w Caprei, a dowiedziawszy się już od Rubena o współwyznawcach, gorąco pragnął przyczynić się do wyzwolenia ich i ułatwienia im powrotu do Rzymu.

Z Judą i żoną jego rzecz była daleko łatwiejsza, mogli się bowiem zabrać na statek jaki, na co by im u Macrona pozwolenie wyrobić się dało — ale jak Hypathosa wyswobodzić? Jedna chyba śmierć Tyberjusza mogła go od haniebnej przy nim służby uwolnić...

Tej, nie jedni żydzi ale wszyscy zdawali się wyglądać z niecierpliwością największą.

Po wyjściu Heliosa z willi, Macron zaraz go kazał przywołać do siebie; był już tam i Charicles i Cajus niecierpliwi oczekując na żyda, a nie śmiejąc przed sobą wydać się z tem, czego odeń dowiedzieć pragnęli.

Helios ukazał się w progu, stanął pokorny i milczący. Grek pierwszy przybliżył się ku niemu.

— A cóż? widziałeś Cezara? co nam powiesz o zdrowiu jego?

— Cierpi — rzekł żyd — lecz jestli to choroba czy niemoc wieku, najstraszniejsza ze wszystkich, bo nieuleczona, nie wiem.

— Jak myślicie? odezwał się Macron z uśmiechem — balsam jaki możeby mu siły przywrócił?

— Nie! — odparł Helios — nie potrzeba mu lekarstw żadnych, spokoju, odpoczynku tylko, pokarmów zdrowych, snu, pokrzepienia... Człowiek nie samem tylko żyje ciałem; podsycić trzeba wewnętrzne ognisko aby lampa nie zgasła.

— Macież na to środki? spytał uczeń Hipokratesa.

— Żadnych w lekarstwach... życie jego we własnej mocy.

— Mówcie otwarcie — dodał niespokojnie Macron — czego potrzeba by żył?

— Spokoju, i jeszcze raz spokoju! odpoczynku; dużo przecierpiał i odbolał, siły wyniszczone, czas wytchnąć...

Cajus i Macron spojrzeli po sobie znacząco, Charicles ruszywszy ramionami odstąpił od żyda z wyrazem jakiegoś szyderstwa.

— Znać — rzekł — żeście się z waszych ksiąg uczyli medycyny a nie z tych, które my znamy, bo prawicie o lekarstwie niesłychanem, w które my nie wierzym... Lada ziarnko helleboru silniejsze jest od waszego leku!

— Daję co mam — odezwał się Helios pokornie i spokojnie — zresztą mało widziałem chorego, nie znam ciała, które mi leczyć każecie, a człowiek człowiekowi nie jest podobnym i co jednego żywi drugiego umarza.

— Ten dziwak — zaśmiał się Charicles usuwając od niego, — prawi nam tu sny jakieś za naukę podaje... zaprawdę niesłychane rzeczy... Nie zrozumiemy się z nim nigdy!

I pogardliwie ramionami ruszył.

— Mędrcy, możecie się iść spierać na wolnem powietrzu — rzekł Macron — *sub Jove*, idźcie, a nie żałujcie argumentów! dla nas one nie zrozumiałe...

Charicles wnet skorzystał z pozwolenia i wrócił szybko do żyda, którego pochwyciwszy pod rękę, rad że mu go na pastwę dano, wysunął się z atrium na podwórze.

Cajus z wodzem pretorjanów zostali sam na sam, a pierwszy odezwał się zaraz:

— Cezar potrzebuje spokoju by żył — powiedział starzec — ale możeż być spokojnym?

Macron uśmiechnął się dwuznacznie.

— Charicles — rzekł — długich mu dni nie wróży .. resztę Bogowie sami wiedzą... Rzym znużony, wszystko znękane i przelękłe, on sam zgnieciony życiem... nie długo potrzebujemy cierpliwości.

— Zrobię cię uczestnikiem w Konsulacie i Trybunacie, dam ci władzę jakiej zapragniesz, wyniosę wyżej niż,. — tu mu słowa zabrakło — ale ty mnie nie opuścisz Macronie... Milczenie! na Bogi! Ściany wydać gotowe! Jakiej zechcesz prowincji, jakiego zapragniesz królestwa... Wschód, Iberję... Egypt... Galę... Grecję... masz do wyboru... lub wreszcie Legje twe i Rzym... ale mi bądź przyjacielem szczerym... Macronie.

I niespokojnie dłoń mu podał.

— Milczmy, Panie! — szepnął pretorjanin — ja nic nie pragnę... zobaczemy! wiem, że nie zapomnisz sługi...

— Niechby Bogowie o mnie zapomnieli, gdybym o tobie miał zabyć! — żywo przerwał Caligula. — Ten żyd — szepnął po cichu — i ten żyd przydać ci się może! Rozumiesz... ale cicho! Blizko od Capitolu do Gemonij... ręka twoja, Macronie! ty mnie rozumiesz...

Pospiesznie tak, urywanemi słowy, oglądając się mówił Cajus, a twarz jego, zwykle pokryta wyrazem niewolniczym, rozżarzała się i mieniła. Macron milczał, nareszcie oba usunęli się powoli w głąb domostwa...

Charicles odprowadzał starca aż do Caprei a po drodze filozofowali po grecku. Wprędce jednak postrzegł mądry lekarz, że stary Judejczyk nie samą filozofją i nauką helleńską był tuczony, łatwo mu było dobadać się w nim żywiołu obcego, który zmarłej w sofizmatach, martwej litery greckiej mądrości nie ogrzewał.

Grek, który w swoją tylko wierzył mądrość, uczuł jakąś wzgardę dla barbarzyńca, co na równi z filozofją jego kładł marzenia nieuznane, wątpliwego pochodzenia — nie mogąc go przekonać i upokorzyć, ustąpił z szyderstwem i wzgardą.

— Ci ludzie — rzekł odchodząc — chorują jeszcze na te zęby mleczne, które my już do dziąseł zjedliśmy, wierzą prorokom, odnoszą wszystko do Bogów... Myśmy już wyżej tych babskich bajek i przywidzeń.

A jednak Grek po raz pierwszy od dawna uczuł się niespokojnym i nie rad z siebie.

Helios wrócił modlić się do pustego domku na górze w miasteczku i długo siedział na tarasie swoim, wie-

czorem patrząc ztąd na szerokie morze, na dziwnej piękności obraz otaczający go, w którym czuł się jakby bliżej swojego Boga, tysiącem głosów przemawiającego do jego duszy.

Wieczór wyziewami dnia parnego powoli osłaniał najbliższe nawet lądy, pół przezroczystą szatą, wyspa zdawała się pływać w eterach zawieszona, osamotniona i smutna.

— Wielki Bóg — rzekł żyd zwijając księgę modlitw — ręka jego opatrzna... człowiek słaby i mały! Oto cała wielkość świata i Rzymu potęga, skupione na jednej głowie, w jednej dłoni, powierzone jednej woli, a z piersi władzcy dobywa się jęk, a dłoń potnieje od bolu, głowa drży... siły opuszczają... głosu proroków słucha i lęka się.

Od chaty ubogiej do pałaców, wszędzie niepokój jakiegoś oczekiwania, wszędzie słuch natężony, zewsząd oczy na Wschód wlepione... Messjasz idzie! Messjasz przyszedł! poganie nawet go czują... Niewidzialny jest przytomnym, nie słyszemy o nim a wiemy... godzina wyzwolenia ludzi zbliża się powoli.

To mówiąc, jął przypominać słowa pisma i łzami zaplakał radośnemi, rozmyślając jak wyraźnie mówiły o Obiecanym, który, nawet wedle rachub kabały żydowskiej, musiał się zjawić w tej chwili...

Już Capreä usypiać poczynała i w domu tylko Cytherissy brzmiały flety i lutnie, pozdrawiające przybycie Cajusa, przychodzącego bawić się skoczkami i śpiewem Greczynek, gdy Helios powoli zszedł na dół i układł się na spoczynek.

Niewolnik jego czarny już był drzwi zaryglował, gdy stukanie do nich słyszeć się dało i nieznany głos począł wpuszczenia domagać.

Lampa nocna gorzała jeszcze na kandelabrze, wpuszczono więc dobijającego się przychodnia.

Był to biedny rybak z wybrzeżów, który dniem pokazywać się nie śmiał, ten sam, któremu twarz ostrą łuską barwony i twardą raka skorupą kazał podrzeć Tyberjusz, a potem ze skał go zrzucić.

Nieszczęśliwy winien był ocalenie swoje nadzwyczajnemu od dzieciństwa przywyknieniu do drapania się po skałach. Silną ręką niewolników ciśnięty, leciał już powietrzem ku morzu, gdy rozpacz, mimo krwią ociekłej twarzy i zasłonionego wzroku, otwarła mu ręce, a los dał pochwycić nad przepaścią zwieszoną gałęź drzewka, które wyrosło między skał szczeliną.

Już ciężar rzuconego silnie ciała miał wyrwać wiotką łodygę, chwiała się już ta zbawcza w ręku jego gałązka, gdy noga dotknęła ostrego brzeżka skały i oparła się oń, a druga dłoń spotkała dziką latorośl bluszczu starego, i porwawszy ją, wstrzymała na chwilę upadek...

Rybak, przez krew zalewającą mu źrenice, ujrzał pod nogami o kilkaset stóp niebieskie morze, ale już stał na skale, choć prawie prostopadłej, uczepiony silnie, bezpieczny, i mimo bolu a ran, nie wątpił, że mu się uda znijść na dół...

Szczęściem, występ skał zasłaniał go przed oczyma niewolników, którzy, z góry patrząc, go szukali i byliby nań rzucili kamienie, lub, wedle obyczaju, wskazali czatującym na dole, którzy ofiary Tyberjuszowych okrucieństw wiosłami dobijać rozkaz mieli.

Zakryty, miał czas krok za krokiem, rękami się przytrzymując, pełznąć po pionowych skałach w dół, do zielonego trawniczka, na którego wązkiej ławie nad przepaścią mógł położyć się, by nieco odpocząć. Tyle tam ledwie było miejsca, ile go trzeba na skurczone ciało człowieka, trawa była śliska, ale rybak, przywykły do swych wyżyn, z rozkoszą się wyciągnął na tem posłaniu, dla kóz nawet niedostępnem.

Potrzebował bowiem ciężko poranioną twarz otrzeć i rany swe, choćby resztką rosy w cieniu pozostałej ochłodzić, choćby zimnem kamienia i trawy dotknięciem.

Twarz jego była jedną maską krwi i kawałów żywego podartego mięsa... boleść okrutna wyciskała mu jęki, które połykać musiał, bo i krzyk mógł był go zdradzić.

Trochę gliny wilgotnej, wydartej z pod traw, uśmierzyło na chwilę ból dolegliwy i żar rany; sił dodała

potrzeba i tak powoli zszedł rybak aż na dół do groty, w której trzymał maleńką łódź swoją i siecie.

Samotny ten człowiek znany był od dawna Hypathosowi; chadzał on do niego w dniach znudzenia, przypatrując się zręczności z jaką łowił ryby i zgadywał, gdzie ma zarzucić więcierze.

Zwano go Ulpem i wiedziano o nim na wyspie, że się do ludzi nie garnął, a samotność nad wszystko przenosił.

Ojciec jego i dziad żyli w tej grocie, tak samo jak on odosobnieni od świata i dzicy, znając tylko skały i morze, zatokę Cumańską, przylądek Minerwy i żeglując w tej cieśninie, która oddziela wyspę od lądu... między willą Jowisza a świątynią Herkulesa i Pallady.

Ulp miał po ojcu dziedziczną w dole naprzeciw przylądku jaskinię, którą powoli dziad i dawniejsi ludzie wyżłobili sobie na mieszkanie i dla tego może, aby jak najmniej od drugich zależeć.

Mówiono, że Caprejskich niewiast nienawidząc, ojciec Ulpa dziecię sobie ledwie odkarmione i nie wiedzieć z kogo urodzone, przywiózł w pieluchach z Surrentum, potem wychował, na chwilę nie puszczając od swojego boku. Zwano ojca i syna dziećmi morza, a mimo ich ubóstwa szanowano, z powodu tajemnicy, jaką się okrywali, domyślając w nich siły ukrytej. Ulp nosił na targ ryby, konchy, korale liche i za nie w zamian otrzymywał co mu do życia było potrzeba. Gości u siebie przyjmował wdzięcznie, ale większą część godzin spędzał na łodzi, u brzegu morza, milczący.

Była to dusza prosta, jeden z tych ludzi jakich Virgili opiewa w swoich sielankach, nieznający miasta, zbytku ani zepsucia, które się z nich legło, ale dziki jak naddunajski wieśniak... Hypathos miał upodobanie w jego rozmowie szczerej, w nieświadomości dzikiej, z jaką prawił o cudach morza, o głosach wód, o Syrenach i Nimfach, o rozmowach Bogów, które słyszał w szumie wiatru i fali.

W nieszczęśliwą godzinę, ten mieszkaniec groty, który dotąd nie znał innych Bogów nad swe Lary gli-

niane; i innych ludzi nad ubogich Caprean, dowiedział się o Jowiszu-Tyberze, zapragnął mu przynieść dań i tak krwawo ją opłacił.

Odtąd bolał leżąc i nie mogąc się z ran uleczyć, mrąc prawie z głodu, bo na życie zarobić nie miał siły. Hypathos nosił mu jadło z litości i żywił biednego, a gdy przybył Helios, dał mu o niem wiedzieć, namawiając by się poszedł poradzić lekarza... Z jego to naprawy przywlókł się nieszczęśliwy Ulp, z twarzą obwiniętą szmatami, wylękły, i upadłszy do nóg o ratunek prosił.

Żyd stary, któremu po cichu opowiadał swe dzieje, kazał szmaty rozwiązać i przeląkł się straszliwą jedną raną pokrytego lica, niepodobnego już do ludzkiej twarzy.

Na opowiadanie o tem okrucieństwie serce się w nim wzdrygnęło.

— Winienem — rzekł rybak — po co mnie było złota pożądać, z którem sam nie wiem cobym uczynił? Ulecz mnie — dodał — a potem żądaj co chcesz, oddam ci wszystko co mam... Mam kilka sestercyj jeszcze... te twoje; mam posążki bogów... mam stare naczynie bronzowe, mam i flaszkę szklanną... mam łódź i sieci...

— Ale mi nic twojego nie trzeba — przerwał żyd — obowiązek mój pomódz biednemu i uzdrowię cię... A gdy przyjdziesz do zdrowia, nie patrz tylko w wodę na twarz twoją abyś się jej nie przeląkł...

W istocie, poczwarną była i zdartą jakby ją młyńskim gnieciono kamieniem.

— Co mi po pięknej twarzy! — zawołał rybak — bylem żył a nie męczył się... obiecuję ofiarę i ołtarz Eskulapowi...

Żyd dobył ze swej szkatułki drogiego balsamu, który był na rany najskuteczniejszy, obmył twarz wodą z okruszyn ziemi i ziół, które się w nią wbiły, namaścił, i rozdarłszy białe płótno, obwiązał niem rybaka, odprawując go obwiniętego, uspokojonego i wiekuistą przysięgającego mu wdzięczność.

Niewolnik, który mu drzwi otwierał, już był znów

usnął na ziemi ze znużenia, bo we dnie najął się był z osłem razem kamień młyński obracać w miasteczku za kilka denarów; żyd więc, nie bojąc się podsłuchania, mógł rozmówić z Ulpem, wpadłszy na wyśl czyliby z jego pomocą swoich współwyznawców nie wyzwolił z Caprejskiego więzienia.

Hypathos wprzód jeszcze usnuł w ten sposób ucieczkę, ale jaskinia Ulpa znajdowała się wprost prawie pod willą Jowiszową i koło niej zwykle krążyły galery Tyberjusza, które miały polecenie strzedz brzegów, ciała niewolników rzucane z góry od lądu odganiać i wiosłami dobijać, aby skazani na śmierć nie ocalili życia. Trudno więc było w tem miejscu wypłynąć na morze niepostrzeżonym i uniknąć statków, które pilnem okiem wyspę śledziły.

— Łódź twoja wielu ludzi może pomieścić? — zapytał go odchodzącego Helios.

— Mnie jednego i sieci moje... dwóch lub najwięcej trzech w potrzebie... ale zanurzy się do brzegów.

— Można nią z wyspy odpłynąć i do lądu się dostać?

Rybak poruszył głową.

— Wszak ci pływam ja nią do Surrentum; raz burza zapędziła mnie aż do Puteolów... ale łódź pełna była wody. Któż wie? gdyby morze było spokojne!

— Możeż-że odpłynąć gdy zechcesz?

— Czemu nie? ale biremy Cezara stoją na straży i nieraz sieci przetrzęśli czy nie przywożę gościa, lub nie zabieram człowieka.

Starzec zamyślił się i zwrócił rozmowę na obojętniejsze pytania o życiu i rodzinie rybaka.

— Jestem Caprejczyk — rzekł mu Ulp — od kilku pokoleń żyjemy w tej grocie nad morzem samem, tak, że gdy burza się zerwie od strony lądu, nieraz bałwany zaglądają do mojego schronienia i morze do stóp mi przypływa. Alem ja z niem oswojony, szum ten lubię, kocham morze moje, a od następującej na mnie fali mam głębsze schronienie, w którem i od ludzi skryć się mogę, choćby w pierwszej jaskini plądrowali.

I dziad i ojciec i ja żyjemy tu sami, bez kobiet... W Surrentum często się trafia, że matki ubogie rzucają dzieci nad drogą niemowlętami [1]), wówczas bierze je kto chce, jeśli zwierz nie pożre. Tak ojca mojego wziął dziad i jak własne dziecię wychował, tak mnie ojciec przyniósł nagiego i płaczącego z pod Herkulesowej świątyni, którą ztąd widać tam na morskim brzegu... I ja kiedyś może znajdę sobie dziecię podobne, ale jak je wychowam... gdy Bogi z oczyma chleba mnie pozbawią?... Żebraćbym nie potrafił... przyszłoby umrzeć z głodu!

Westchnął rybak, ale nieco pocieszony odszedł, czując, że mu balsam ujął już w twarzy boleści.

Helios siedział znów zamyślony na łożu, modląc się do Boga i pytając siebie w duszy:

— Dozwolisz-że, panie, aby ludy, któreś Ty stworzył, zginęły w tym zamęcie? nie znając Ciebie ni praw Twoich? by nic świętego nie było! ni stary rodzic synowi, ni niewinność dziecięcia ludziom, ni łzy kobiety, ni wstyd dziewicy, ni życie człowieka? by węzły krwi zrywała rozpusta a chciwość niweczyła przywiązanie? Możeli tak stać świat? możeli nieczysta siła pogan zalać nawet ten kraj nasz, który znał jedynego Boga i prawo dane przezeń ludowi, aby je rozprzestrzenił po ziemi? Kiedy, a! kiedyż przyjdzie ten, którego obiecywali prorocy i oczekiwały ludy?

A potem wspomniał znów Helios na wieści z Judei, które przebiegały po Rzymie, i serce jego rozradowało się pociechą wielką, przeczuciem dziwnem, że Zbawiciel świata przyjść już musiał a proroctwa były spełnione.

Zapragnął gorąco dostać się do Hieruzalem, aby ujrzeć Pana i stanąć w orszaku zwycięzcy.

Tymczasem, z tych błogich myśli zbudziła go wrzawa

---

[1]) O zwyczaju tym rzucania dzieci pisze Swetonjusz: Caligula. 5. Claudjusz. 26. Tacyt w Germanii 19. Tertulian i inni. Zwało się to: Liberorum numerum finire! Litościwsi lub spekulanci zbierali je i wychowywali.

i krzyki, uląkł się pożaru i wybiegł wyjrzeć przez zasuniętą okienicę i kratą zabite okno.

Na małym rynku, pod portykami, Cajus i Macron, w orszaku zalotnic greckich, z nierządnicami Neapolu i Pompei, szli przeprowadzeni pochodniami, szalejąc, śpiewając, do drzwi spokojnych dobijając się domów. Krzyki: — Evoe! — i dzikie pieśni rozlegały się po mieście, a na dachach widać było przelękłych mieszkańców, poglądających w którą stronę rozpustny strumień popłynie...

Żyd spuścił oczy zawstydzony.

— Toż są panowie twojego świata, Boże? — zapytał w duchu.

XIX.

Gdy w Caprei, wciąż na świat zagniewany siedzi samotnie Tyberjusz, objawiając Senatowi blizkie swe przybycie a lękając się ruszyć z tej twierdzy obwarowanej morzem, w Rzymie z trudnością Senatowi myśli jego i wolę odgadnąć przychodzi; — strach milczący ogarnia wszystkich.

Niepokojący się wszystkiem, zdziwaczały starzec, lęka się przepowiedni przyszłości, męczy go myśl, że wieszczba jakaś i jemu czem zagrozić może. W wężu zjednoczonym przez mrówki widzi siebie pożartego od *plebs* rzymskiej; obawia się, by potajemnie pytający wieszczków co złego o nim dowiedzieć się nie chcieli, i zakazuje się radzić ich skrycie; wyrocznie chce zamknąć, aby przeciwko niemu co nie rzekły [1]). W ostatku lęka się już i nowych ksiąg Sybilińskich, które Senat, nie wiele myśląc, przyjął na wniosek Caminiusa Gala, quindecemvira, wskutek zgodzenia się Quintiliana, trybuna lydu. Tak mało bowiem wówczas zastanawiano się nad religijnemi rzeczami [1]), że nowa księga Sybilli obojętnie w poczet uświęconych wciągnioną została bez rozpatrzenia. Tyberjusz surowo zgromił Caminiusa, zwłaszcza za to, że bez wiedzy collegium kapłanów i starszyzny księgę przyjął. Kazano ją na nowo przeglądać, dla przekonania się o jej autentyczności.

[1]) Swetonjusz. Tacyt. 63.

Strach, który panował nad Rzymem, odbijał się w sercu Cezara, obawiającego się ludzi, Bogów, w których chwilami tylko wierzył, wyroczni, tłumu. Uczucie to w istocie jest piętnem epoki i bodźcem wszelkich czynności, a kto wie co za podłość i znikczemnienie bojaźń wyrodzić może, pojmie łatwo, czem ta chwila dziejowa być musiała.

Po chwili wytchnienia, rozpoczęły się znowu delacje i wyroki: padli ofiarą Geminius, Celsus i Pompejus. Pierwszy z nich, rozpustnik, był przyjacielem Sejana; Celsus trybun, oskarżony udusił się łańcuchem, do którego był przykuty [2]). Proculus skazany w chwili gdy urodziny swe obchodził, umarł w rocznicę swoją; Sancji, jego siostrze, ognia i wody wzbroniono; Pompeję Macrinę wygnano. Dziksze jeszcze było obejście się z Sex. Mariusem, którego córka miała nieszczęście wpaść w oko ohydnemu starcowi i oparła się jego chuci: oskarżono ją o występek niegodny i z ojcem wraz umrzeć musiała. Wszystkie swe stare nienawiści tak mścił teraz Tyberjusz z kolei, z izby zamkniętej wydając wyroki, których krew nową i coraz większą krwi żądzę zdawała się obudzać.

Razem teraz wszyscy przyjaciele Sejana, dotąd wstrzymywani w więzieniu, padli ofiarą. — „Nic nie zrówna, pisze Tacyt, okropności tych ofiar nagromadzonych, wszelkiej płci, wieku, stanu, patrycjuszów, plebejów, rozproszonych, skupionych...

Odpychano zbliżających się przyjaciół, krewnych, zakazywano łez, nawet wejrzeń zbyt ciekawych; straże

[1]) Tacyt, VI. 12.
[2]) Tacyt.

otaczały to pole rzezi, szpiegując boleść każdego, nie odstępując ciał zgniłych aż w chwili, gdy je do Trybru wciągniono. Tam pływających po wodzie, wyrzuconych na brzegi, nikt nie śmiał ani palić, ani nawet dotykać. Siła strachu nie dozwala się objawić uczuciom człowieka i im barbarzyństwo było bardziej oburzające tem mniej wzbudzało litości".

Jak rzezi i mordu, tak wesela i radości wydawane rozkazy z willi Jowisza szły do Rzymu, wszechwładnie panując stolicy...

Dwie wnuczki Tyberjusza, Julję i Drusillę, kazano, poślubić Cassjuszowi i Vinicjuszowi, dwóm wybranym przez pana ludziom niewielkiego urodzenia i znaczenia, dla tego może, aby mniej byli straszni.

Vinicjus, mowca i retor, człowiek łagodny, pochodził z prowincji, ojciec jego i dziad byli to ludzie konsularni, rodzina rycerska. Cassjus ze starej plebejuszowskiej familji, łagodnego charakteru, surowiej nieco wychowany, nie tak umysłem jak obyczajów powolnością się odznaczał.

Wybrał ich wnuczkom starzec takich, jakich mu było potrzeba: — cichych, pokornych, posłusznych, władzy nie pragnących, bojaźliwych i skromnych.

Zawsze w strachu o następcę swojego i o ród cały, który do władzy mógł rękę wyciągnąć, stary powtarzał okrutne swe słowa, że najszczęśliwszy był Priam, który całą przeżył rodzinę.

Dziecię Germanika i Agrippiny, tak ukochanych ludowi rzymskiemu, Cajus, którego sam jakby na próbę ku sobie zbliżył, napełniał go także niepokojem. Śledził go i szpiegował, a nic odkryć nie mogąc, prócz okrucieństwa i chuci rozwiązłych, zawczasu wróżył w nim Pythona dla ludu rzymskiego, może rad jak August, że Caligula po nim wzbudzi żal pośmiertny.

Cajus był w istocie niedocieczony, zamknięty w sobie, a jedno, co charakter jego malowało, to pragnienie nienasycone szalonej zabawy, ubieganie się za widokami krwawemi dniem i nocą i nielitościwe szyderstwo. Zresztą Tyberjusz nie dostrzegał w nim najmniejszej chęci pochwycenia władzy, a najpodlejsze uniżenie i naśladowanie obyczajów jego, posłuszeństwo ślepe, bojaźliwe milczenie, wzbudzały w nim szyderstwo i wzgardę.

Cezar kazał mu się był żenić z córką Marka Silana, Junją Claudją, i Cajus, nie odstępując swych obyczajów, pojął ją za żonę uległy... Nie zmienił przeto wcale nawyknień, nie poprzestał wycieczek wieczornych i wszystkiego co go lekkim i płochym mogło okazać w obec Cezara, a zatem nie strasznym... Jego tylko i wiernego Macrona, nie posądzał może wreszcie schorzały starzec, choć obu jednak śledził tajemnie. Wesela nawet krewnych nie sprowadziły go do Rzymu, a życie w Caprei szło zawsze jednostajnym trybem.

Czasem tylko znudzony Tyberjusz wzywał na rozmowy Thrasylla lub Heliosa i zasiadłszy z nimi na tarasie willi, obu wypytywał o przyszłość, żyda badał zręcznie o swoje zdrowie i życie, powrót do sił i leki, jakichby radził mu użyć. Żyd, czy z przekonania, czy z obawy podejrzeń, żadnych mu dawać nie chciał; ta ostrożność może ocaliła mu życie. Unikał zresztą Cajusa, wiedząc, ze każdy krok ich był donoszony panu, a z samym Macronem widywać się starał tylko przy świadkach.

Nie na rękę to było wodzowi pretorjanów, który Cajusza sobie zapewniwszy, marząc o przyszłej władzy i wpływie, niecierpliwie ich skosztować pragnął, a za narzędzie występku chciał użyć żyda. Obawiał się wszakże pierwszy myśl swoją mu objawić.

Helios, widząc niebezpieczeństwo, wypraszał się z powrotem do Rzymu, ale na nie pozwolenia nie mógł otrzymać.

Tak prawie dwa lata upłynęły nie przyniosłszy żadnej zmiany na wyspie, która panowała światu, dwa lata jak dwa wieki długie.

Tyberjusz tylko powrócił do obyczajów swoich, a Priscusowi znów trzeba było, szukając dlań nowości, jechać nad brzegi Campanji, do Neapolis, Pompei, Cumów, Baii, po chłopców i dziewcząt orszaki, które zmie-

niać i pomnażać musiał ; przebrana ludność pobliższa, zmuszała go zapuszczać się w głąb kraju i czatować na przebywające z niewolnikami okręty.

Hypathos jeden pozostał najdłużej Cezarowi miłym; w smutnej swej niewoli jedyną znajdował pociechę, tuląc się do starego Heliosa; przybycie jego na wyspę dało biednym wygnańcom jakiś promyk nadziei.

Z razu trudno im było schodzić się z nim i dłuższą przebyć chwilę; później grota wdzięcznego Ulpa posłużyła za schronienie bezpieczne i miejsce narady.

Wyleczony z okrutnych ran na twarzy, choć do człowieka niepodobny i odrażającego oblicza, rybak przywiązywał się sercem poczciwem do swojego zbawcy i do litościwego Hypathosa. Poganin, ale nie zepsuty, bo odsunięty od społeczeństwa zgniłego, od rozpusty i strachu, Ulp jeden miał tu serce ludzkie i uczucie, które przezwyciężało bojaźń; życie dlań nie było wielkim darem, ani śmierć strachem wielkim. Nocą więc Rachel i Juda, znanemi sobie ścieżkami, z ukrycia przechodzili do groty na drugim wyspy końcu i tam w kryjówce Ulpa, oczekiwali na Heliosa i Hypathosa, którzy ich łatwiej odwiedzić mogli, niż w niedostępnem ich gnieździe.

Starzec błąkał się po wyspie swobodny i przechadzki jego po dzikich wybrzeżach nie zwracały uwagi; Hypathos zręcznie umiał oszukiwać tych, którzy go śledzili i mylić ich pogoń za sobą. Tak pomimo szpiegów Cezara, schadzki ich dotąd zostawały tajemnicą.

Tyberjusz przywiązywał się coraz bardziej do pięknego chłopaka, ale niekiedy krwawem okiem spoglądał nań, jakby myśl jakaś dzika przelatywała mu przez głowę; czasem słowy dziwniejszemi jeszcze rozpytywał go o śmierć i życie.

Wreszcie w posłusznem, złamanem ale smutnem zawsze chłopięciu, nie mogąc ku sobie wyrobić ani przywiązania, ani wesela, które na licu jego widzieć pragnął, niecierpliwił się, odpychał, niepokoił i głaskał.

— To chłopię — powiedział raz Macronowi — zawczasu napiętnowane jest na śmierć bogom, nosi smutek victimy na czole i płakać tylko umie... Któż wie? możeby to była przyjemna bóstwu błagalna ofiara? krew ma siłę potężną!...

Częste wśród zabaw w gaju Wenery, Cezar rozkazywał szaleć Hypathosowi, szukając w oczach jego ognia młodości i szału, ale zapalona chwilkę w oczach namiętność wnet gasła i smutek jej miejsce zajmował. Hypathos, zepsuty wcześnie, brzydził się jednak widokiem tego pogańskiego rozpustowania, a serce jego i żądze zwracały się gdzieindziej. Żadna z greckich dziewcząt, żadna z Armenek i Rzymianek Tyberjuszowego orszaku nie pociągała go ku sobie, choć wszystkie chciwemi patrzały oczyma; kochał bowiem tajemnie Rachelę, żonę brata, i miłość ta występna paliła go ogniem rozpaczy. Rosnąc co chwila, na czole prześlicznego chłopięcia malowała się niepokonanym smutkiem.

Ta nieprzezwyciężona tęsknota, *taedium vitae*, będące uczuciem powszedniem społeczeństwa, które się kończyło samobójstwem wśród uczty, niepojętemi się zdawały w chłopcu młodym, pieszczonym i szczęśliwym.

Nie lubił pan twarzy zamyślonych i posępnych: wszelka myśl była dlań podejrzaną, smutek go niepokoił; głupota i szał były mu najmilsze, a Cajus wybornie w tem do jego usposobienia się stosował.

Jakby na przekor, Hypathos codzień smutniał i mienił się w boleściach napróżno skrywanych; wspomnienia ojczyzny nieznanej, obudzone przez Heliosa, jego nauki, walka jaką w nim wywoływały głoszone przezeń prawdy, wszystko to pogrążało Hypathosa w coraz widoczniejszych zadumach.

Mało zresztą pogodnych twarzy spotykał w koło siebie drżący i ponury Cezar; Thrasyllus spokojny był ale pogrążony w sobie, Helios poważny i surowy, reszta dworu posłuszna, milcząca, kamienna. Macrona oblicze zdradzało opanowanie jakieś, Cajus uczył się ciągle głupim i obojętnym wydawać.

Trzeba też przyznać, że wypadki dworu i państwa nie mogły uśmiechu na usta wywołać; codzień wiadomość o śmierci czyjejś spadała jak kropla czarna na

duszę tych, którzy sami dla siebie życia jutrzejszego nie byli pewni. Uśmiech, wejrzenie, słowo, mogły być wyrokiem, a dziwactwo pana zresztą nie potrzebowało się usprawiedliwiać niczem.

Co chwila przynoszono z Rzymu nowinę jakiegoś zgonu: zmarł Asinius Gallus, — do którego od dawna karmił nienawiść Tyberjusz, pomimo że mu się starał przymilać — zamorzony dobrowolnie głodem, co Tyberjusza do gniewu pobudziło na zbiega, bo śmierci zwyczajnej za żadną nie uważał karę [1]); w strasznych męczarniach skonał Drusus syn Germanika, brat Caliguli, pożerając wełnę, którą wypchane było posłanie, w okropnych głodu boleściach. Oczerniono go po śmierci, a dziennik jego ostatnich godzin i zgonu męczeńskiego czytano w senacie, wraz z przekleństwy, któremi ścigał Tyberjusza, prześladowcę swej rodziny. To nakazane umyślnie, naigrawające się z wszelkiego wstydu i uczucia czytanie publiczne, kilkakroć przerywano z ohydą.... Znać zbójca chciał losem Drususa zastraszyć wszystkich, na których miał podejrzenie, że przeciw niemu spiskować mogli, ukazując im, jaki ich los czeka.

Zarazem prawie dokonała opłakanego życia Agrippina Germanikowa, prawdziwie ostatnia rzymska matrona, wielka i godna charakterem męża swojego; Tyberjusz, pokonać jej nie mogąc, spotwarzył ją po smierci... Przed swojemi wychwalał się (Tacyt), że przecie ani udusić, ani na Gemonije wyrzucić jej nie kazał, za co rok rocznie postanowiono obchodzić święto Clemencji Cezara!

Próbowany temi straszliwemi wieściami z kolei Cajus Caligula, uśmiechał się niewzruszony, a obojętność jego na wszystko przerażała Tyberjusza. Opis śmierci brata, ostatnich godzin jego, potwarze na matkę rzucane, sam zgon jej wreszcie, nie wywołały nic z tej duszy, która się zdawała wszelkiemu uczuciu zamkniętą. Za każdym ciosem nowym Cezar spoglądał nań, szpiegując wzdrygnienia, płomyka na twarzy, słowa, ruchu i podziwiał bohatera swego, znajdując w nim tylko uśmiech wczorajszy i chłód nieporuszony.

[1]) Tacyt. Swetonjusz.

Była-li to komedja tylko, odgrywana tak umiejętnie, czy uczucie jej gasło w tej piersi? Nie — ale z dzieciństwa kołysany strachem, wyuczył się fałszu, który jest pierwszym owocem bojaźni, a dziś go on nic nie kosztował. Oko jego liczyło marszczki na czole Tyberjusza, ale usta się śmiały, paliła go żądza zemsty, ale się kłaniał i padał przed tym, którego nienawidził, naśladował go i wielbił. Nauczył twarz, wzrok, usta kłamać tak biegle, że nawet oko Tyberjusza nie mogło się nic tam dobadać, prócz podłości, ni zgadnąć nic, prócz głupiego okrucieństwa.

Coccejus Nerwa, który zdawna już wezwany do Caprei przez Tyberjusza, bawił przy nim jako świadek milczący życia sprośnego, nigdy słowem ani czynem niepoduszczając go do zbrodni, lecz i wstrzymywać od niej nie mając odwagi — był jednym z tych, których Cezar mimowolnie szanował. Nosił on jeszcze na sobie resztkę powagi starych rzymskich czasów, a nie spodlił się nigdy niczem. Biegły prawnik, wzywany był do porady w wielu wypadkach i prawdy wówczas wypowiedzieć się nie wahał. Cezar nie mógł się obejść bez niego, a ta surowa katońska postać, rzekłbyś, potrzebną mu była, by dać miarę czynów twarzą, na której coraz głębsze malowało się pogrążenie i smutek.

Nerwa od dnia do dnia coraz uparciej milczący, w ostatku jakby mowę stracił, twarz jego jakiś wyraz dziwny i złowrogi przybrała.

Stary już po prostu, jak inni, życiem bez celu i nadziei się znużył — chciał umrzeć.

Kilkakroć Cezar zapytywał go co mu dolegało i odebrał odpowiedź chłodną, że pora przyszła umierać.

Nareszcie jednego poranku, Coccejus, pisze Tacyt, którego już nic nie zastraszało, zawsze w łaskach u pana, zdrów, nie mogący się lękać niczego, widząc coraz nowe padające ofiary, a obawiając się może być świadkiem straszniejszych jeszcze rzeczy nad śmierć

Drususa, nad spodlenie senatu i zdrady, któremi się okupywano podejrzeniom, przyszedł, domagając się posłuchania w niezwykłej godzinie.

— Czego żądasz, Nerwa? — spytał Cezar dając mu rękę do pocałowania.

— *Moriturus te salutat.* (Wita cię mający umrzeć) chcę umierać — odparł Coccejus.

— To łatwo! ale dla czegoż życie ci się sprzykrzyło? — rzekł Tyberjusz zdziwiony.

— Nie wiem! żyć mi ciężko! wolę skończyć niż dźwigać to brzemię...

— Mów! czego pragniesz, domagając się w tak niezręczny sposób?

— Niczego prócz śmierci...

— Jakto? na prawdę?

— Życie mi obmierzło! więc umrę!

Nie była to myśl tak dziwna, jak się nam dziś, do obowiązku walki wdrożonym, wydaje; śmiercią taką dobrowolną kończyli często poganie, nie mogąc znieść żywota, po za którego starością bole tylko, tęsknotę i upadek sił przewidywali. Ale w Nerwie zdziwiło to Tyberjusza i napełniło niepokojem.

Jął mu więc żywo odradzać, wreszcie powiedzieć miał nawet, że wstydemby dlań było, gdyby przyjaciel jego stary, zwątpiwszy o sercu i sprawiedliwości Cezara, o świecie i życiu, chciał tak bez powodu śmierć sobie przyspieszać.

Nerwa zniósł wymówki nieporuszony, przez dni kilka nie spuszczał go z oka Cezar, przy uczcie zmuszał do jadła, starał rozweselić, ale nie potrafił wymódz zmiany postanowienia, które było niewzruszone.

Nerwa, do ostatka posłuszny, zasiadał przy ucztach, wino wylewając jako libacje Jowiszowi oswobodzicielowi i bogom podziemnym, patrzał na przynoszone potrawy, ale nie tykał, szałom się przyglądał, nie mogąc ich podzielać.

Ze stoicyzmem starego Rzymianina zamknął się wreszcie w oddalonej izdebce swojego domu, zesłabły, odmówił wszelkiego jadła i zamorzył się głodem.

Śmierć jego, której jedno żalu i skargi nie towa-

rzyszyło słowo, dotknęła Tyberjusza nawet, przeraziła wszystkich, ujrzeli w niej znamię rozpaczy.

Cajus tylko jeden ruszył ramionami obojętny i nie zdziwił się nawet.

XX.

Zamknięty w izdebce swojej, Cezar na tabliczkach leżących w koło pisał i zmazywał... radząc się niekiedy zwitków, greckiemi zapisanych wierszami...

Układał napis nagrobny dla istoty żyjącej jeszcze, ale już na śmierć skazanej. Codzień inny choć zawsze jeden, filozofując przeciwko istnieniu bogów, a lękając się ich wyroczni, przerażając przepowiedniami i snami, doznawał w duszy dziwnych niepokojów... Przychodziły nań dnie ateizmu i powrotu do wiary, do zabobonności nawet, z której sam wprzódy się wyśmiewał. Oddawał cześć starym bogom Rzymu, Grecji, potem opuszczając ich ołtarze, szukał obcych, jakby probował ich siły, aby się jutro naśmiewać z bezdusznych kamieni. Strach jakiś paniczny wywoływał to ofiary krwawe, to gniewy i szyderstwa, to najdziwniejsze zachcenia.

— Thrasyllu — rzekł do przywołanego astrologa, kładnąc tabliczki zapisane tak, by z nich oko nic wyczytać nie mogło — co ci się zda? Wszak bóstwa lubią ofiary krwawe? wszak bogów zagniewanych niemi tylko przebłagać można? Gdy człowiek co ma najdroższego im poświęci, możeż to nie być im miłem?

— Ofiar krwi zawsze wymagali bogowie — rzekł Thrasyllus — wszystkie ludy je składają... jest tajemnicza siła w przelanem życiu na ołtarzu!

— Tak jest! — dodał Cezar żywo — za długo obojętnym byłem względem bogów; oni też ciężką dręczą mnie boleścią i trapią chorobami, niemocą, niepokojem... Sen uleciał mi z powiek, wszystko obrzydło; potrzeba ich przebłagać, Thrasyllu.

— Jak to? ty Cezarze — spytał przylękły astrołog — ty, ulubiony im, wybrany, tybyś potrzebował ofiar błagalnych jak inni? Mogliżby się na ciebie, Boga jak oni zagniewać?

— Czuję ofiary jakiejś konieczność... Jupiter Latiaris domaga się krwawej libacji. Gladjatorów nie ma w pustych cyrkach, ziemia dawno ludzkiej krwi nie piła, Diana i Jowisz pragną ofiar...

Po twarzy Thrasylla przeszedł cień strachu, ale starzec hamując go stał chłodny i obojętny pozornie.

— Mithra także jest wielkim... może największym z bogów — dodał Cezar zamyślony — wystawiłem mu świątynię, a nie ma kapłanów ni ofiary; trzeba koniecznie krwią ludzką oblać ołtarz jego... czuję to, we śnie mi się o to dopomina... Jestem pewien, że spełniwszy ofiarę, siły stracone odzyszczę.

I przypomniawszy sobie półwiersz, którego szukał, jął Tyberjusz szybko pisać na woskowanej tabliczce; potem rzuciwszy ją, zwrócił się znowu do stojącego obok Thrasylla.

— Mithrze... ofiarują się godne słońca dary: młodość w rozkwicie, dzieci w sile wzrostu, piękne i życia pełne; wszystka moc naówczas, jaką miała ofiara, wnijdzie w kapłana-ofiarnika... Ja sam będę kapłanem... Idź do groty i świątyni Mithry, Thrasyllu, a patrz jaki dzień i godzina sprzyjać będą mojej ofiarze...

Wieszczek znikł, a zaledwie za nim zasunęła się zasłona, Cezar odczytywać począł wiersz, który na grobie swej ofiary miał na białym wyryć marmurze:

Wy co Stygijski kraj zemieszkujecie demony dobre,
I mnie zabierzecie z sobą; nieszczęśliwego weźniecie do Hades.[1])

Pieczara, zwana wielką jaskinią Mithry (*Magnum Mithrae antrum*) położona była na wschodnim wyspy brzegu; w części przygotował ją dawny jakiś kataklyzm, w części wykuła ręka ludzka...

Tyberjusz, po przybyciu na Capreę, szukał skrytego i odosobnionego miejsca, gdzieby parsyjskiemu bóstwu Słońca mógł ołtarz i świątynię postawić, i tajemnice straszliwe obchodzić — znalazł tę grotę od

[1]) Tajemniczy nagrobek ten po grecku napisany, znaleziono na wyspie Caprei, nie daleko pieczary Methry. (Magnum Mithrae antrum.)

osobnioną i w niej zamknął Mithry *sacellum*... Obleczono jej ściany szachowaną suknią cegieł, którą zwano dziełem siatkowanem (*opus reticulatum*; *reticulata structura*), wyłożono posadzki alexandryjską posadzką wzorzystą, wykuto wschody pod ołtarz, i ustawiono posąg za zasłoną... Z willi Jowisza, od wieży strażniczej, spuszczała się droga umyślnie zrobiona dla Cezara ku dolinie Mithry, na południowo-wschodnim i zapuszczała w skalistą okolicę, wśród której ukryta była świątynia i ołtarz Słońca. Pieczara ta ulubioną była Tyberjuszowi, który z niej na przeciwny brzeg, lądy i okolicę długie patrzał godziny. Wyżłobiono głęboko jaskinię, w półkrąg ją zataczając, a w jej wnętrzu, na dwu olbrzymich stopniach, przed zakrytym posągiem, ustawiono białą marmurową *arę*, której płaskorzeźby wyobrażały Cezara składającego ofiarę Mithrze...

W dniach, szczególnej na cześć Słońca przeznaczonych, Cezar przybywał tu uroczyście, w stroju Perskich królów, kładnąc *Cidaris* bogatą (thiarę, mithrę) na głowę i suknię białą, jak Aleksander Wielki po swem zwycięztwie nad Persami, i szedł, berło złote trzymając w ręku, otoczony *Meloforami* ze złotemi jabłkami na zbrojach, z wybranym chłopiąt *homotimów* orszakiem, w lekkich kirysach z siekierami i mieczami, cześć bóstwu tajemniczemu oddawać. Hypathos naówczas dowodził homotimom i wiódł ich z sobą do ołtarza, przed kamienne bóstwo, któremu zmuszony był, mimo wstrętu, składać z innemi ofiarę.

Czasem kazał się nieść Cezar wyzwoleńcom na tronie złocistym, który dwa lwy z głowy ludzkiemi trzymały, a przed nim postępowały posągi Ninusa i Belusa, wizerunki skrzydlatych lwów i gryfonów, białe konie, poświęcone słońcu i złote orły Parsów, zastępujące dni tych zwycięzkie orły Rzymian. Tyberjusz bawił się temi obrzędy, niekiedy, sam wtajemniczony, próbami wody i ognia inicjując wybranych do tajemnic ulubionego boga...

Ale cześć Mithry, skryta na pustem wybrzeżu, nie

mogła na jaw wychodzić, gdyż Rzym jeszcze był boga tego do swego panteonu nie wcielił. [1])

Myśl dzika poświęcenia co miał najulubieńszego Słońcu-bogu, zrodziła się w głowie schorzałego starca, jak inne krwawe, przesuwające się po niej obrazy, bo choć wieczory pogodnemi z Teodorem i Zenonem rozprawiał o mniemaniach Diagorasa i Demokryta, którzy żadnych nie uznawali bogów i ich się ateizmu przychylał; często potem zaraz napadła go chorobliwa desidajmonja (strach bogów): nakazywał ofiary, przywoływał kapłanów, sam stawał jako Pontifex Maximus lub ofiarnik, i z nożem w ręku przelewał krew, by gniew nieba przebłagać.

Dwór pana musiał zarówno potakiwać niedowiarstwu i czynny mieć udział w obrzędach.

Właśnie dnia tego, gdy Thrasyllus wyzwany został do pana, aby mu wybrał dzień ofiarny i poradził się gwiazd wyroczni, Hypathos, jak zawsze smutny i przygnębiony, szedł do groty Ulpa ukradkiem, spodziewając się w niej zejść z bratem i starym Heliosem.

Helios, od czasu przybycia swojego na wyspę, stęskniony za rodziną, nie mogąc wyprosić powrótu do Rzymu, wiódł życie nędzne i niewolnicze, zapomniany na długo, to znowu wzywany do Cezara, który go dopytywał o proroctwach Wschodu i obiecanym światu Zwycięzcy, o wierze Judejskiej, lub starał odwieść od Boga, dowodząc, że jeden być nie może, a tłum ich nie potrzebny.

Helios słuchał, słuchał w milczeniu i pokorze, ale z goryczą w sercu; napróżno znękany błagał Macrona, aby mu choć odwiedzić dozwolił rodzinę, choć na dni kilka odjechać: dowódzca pretorjanów śmiał się lub wzruszał ramionami, nie pojmując jak nędzny żyd mógł mieć wolę i pragnienie... dla czegoby mu w Caprei źle być miało?

Helios, nie umiejąc ani sobie sposobu oswobodzenia się obmyśleć, ani swoim współbraciom dopomódz, zatapiał się w czytaniu Biblji i rozmowami z Judą i Ru-

[1]) Nastąpiło to za Trajana dopiero.

benem pocieszał. Ale odosobienie od swoich, przedłużona samotność, brak wieści z kraju, o którym w Rzymie, z całego świata mającym nieustannych posłów, zawsze coś wiedzieć było można, nękał go i przygniatał.

Przybywające do Caprei okręta i Rzymu wysłańcy rzadko co więcej nad prośby i wyroki Senatu przywodziły; posłyszeć nic nie było można, prócz liku ofiar krwawych, które padały codziennie i ubóstwień dla kata co je poświęcał.

Wygnańcy którym łatwiej było schodzić się w grocie Ulpa, zasiadali tu na cichą rozmowę o swej nieznanej ojczyznie, o jej losach, a Juda i Rachel marzyli tylko o wyzwoleniu się z pomocą rybaka, który ich miał na ląd przewieźć.

Mieli oni nadzieję, dostawszy się do najbliższego Surrentum, przebrać się ztąd do Rzymu, lub w Neapolis czy Puteolach wprosić na jaki statek handlowy, mogące ich przewieźć do Aleksandrji.

Pomimo dobrych chęci Ulpa, trudno było wszakże dobrać chwili dla bezpiecznego odpłynienia i ważyć na śmierć prawie nieuchronną, gdyby ucieczka dostrzeżoną została.

Z wierzchołka wieży strażniczej przy willi Jowisza, szerokie morze dniem i nocą widne było do koła, a u stóp skały nieustannie kręciły się łodzie Tyberjuszowych niewolników, z ludźmi zbrojnymi, którzy nad brzegami czuwali.

Wyspa była strzeżona, a rybacka łódź Ulpa, prócz tego, z trudnością mogła przewieźć razem trzech ludzi.

Stary Helios ani chciał uciekać, Hypathos lękał się zniknieniem swojem ściągnąć na brata i bratowę zemstę i prześladowanie, lecz zarazem nie miał dość mocy ducha, by się wyrzec swobody i pociechy, jaką oni byli dla niego. W duszy chłopięcia, rozmiękłej i łzawej, znalazło się przywiązanie, siły do ofiary z siebie nie było.

Chciał uciekać, a lękał się i nędzy, która ich ścigać musiała i niebezpieczeństw ucieczki; chciał ich

widzieć wolnemi, a nie umiał wyrzec się brata i tej, którą codzień wzrastając, kochał goręcej i namiętniej.

Wstrzymywał więc ucieczkę swoją bojaźnią, wahaniem i łzami, rozpaczą i strachem, sam nie wiedząc co począć...

Nawet stary Helios, który ich nauczał wiary ojców i tchnął ducha starego w zepsutych wpływy pogańskiemi, choć częściej był z Hypathosem niż Judą, nie mógł już wpłynąć na zmianę charakteru chłopięcia, które gorzało tylko jedną namiętnością, a wstydząc się jej, zmuszone ukrywać, bolało i wiodło.

Długie wieczory w ciszy spędzali razem nad księgami świętemi, które im stary czytał i wykładał, a Hypathos wracał z nich zimny lub wzruszony tylko pięknością poezji Wschodu, nie prawdy Bożej.

Nie przypuszczając żadnego stosunku między starym lekarzem a ulubionem Tyberjusza chłopięciem, Thrasyllus, który ze słów Cezara domyślił się co zagrażało Hypathosowi nie wątpiąc, że jego na ofiarę Mythrze naznaczył znękany chorobą starzec, wieczorem, przechadzając się z Heliosem po nad brzegiem morza, stanął i westchnął, postrzegłszy zdala przesuwającego się jak cień posągu, bladego ulubieńca pańskiego.

— Szczęśliwy — rzekł — Cezar, któremu nie brak czego zamyśli, a niczego jednak użyć nie umie i nie może! Cóż po złocie i purpurze umarłemu na stosie? Patrzajcie, jakie to piękne chłopię — dodał. — Cezar je kocha, a miłości w nim dla siebie wzbudzić nie może. Kto wie, czy to przywiązanie nie skończy się kiedy poświęceniem Bogom na ofiarę?

Helios się wzdrygnął.

— Alboż Bogowie wasi krwi jeszcze ludzkiej żądają? — zapytał.

— Miłą jest Bogom ofiara człowieka — odparł. Thrasyllus — krew ma w sobie siłę wielką, ona ich ściąga i zwycięża... Cezar myśli coby najdroższego mógł ofiarować Słońcu; da mu pewnie Hypathosa...

— Jakto? miałby go... ubić? na ołtarzu zamordować?

— Tak sądzę — rzekł zimno Thrasyllus. — Tak się domyślam, zresztą nic nie wiem jeszcze... Ale chłopię mieć będzie z białego marmuru grobowiec...

Żyd, mimo obawy, z oburzeniem i zgrozą cofnął się.

— Nie wiem — rzekł żywo — czy Bóg wasz może niewinną krew, przelaną zbójecko przyjąć za dar miły! Przecież Rzym sam w podbitych krajach potępiał z ludzi ofiary.

— Bo nie chciał by je barbarzyńskim Bogom składano — rzekł Thrasyllus wciąż spokojnie... ale Rzym zawsze miał prawo, w dobie wielkiego niebezpieczeństwa, krwią ludzką błagać swoich Bogów o jego odwrócenie... Zakopywano żywcem wśród Forum... bo w krwi i żywocie jest siła tajemnicza...

Dość było tych wyrazów Heliosowi, by zadrżeć o życie dziecięcia, do którego się tem więcej przywiązał, że litość w nim budziły słabość jego, zniewieściałość, łzy i bojaźń kobieca; postanowił więc przyspieszyć ucieczkę Hypathosa i wyzwolenie jego rodziny, namawiając Ulpa, by nocą ciemną w swej łodzi przewiózł ich na brzegi Surrentum. Sądził, że rzucone gdzie na skałach skrwawione suknie dziecięcia, zwiodą łatwo pozorem dobrowolnej śmierci.

Z tą myślą pospieszył do jaskini, w której zastał Ulpa tylko samego, spokojnie naprawiającego sieci.

— Są oni tutaj? — zapytał go.

— Są głębiej... czekają na ciebie.

— I Hypathos?

Ten nie mógł przyjść jeszcze...

— Ulpie — rzekł żyd wstrzymując się chwilę — przyszła godzina... potrzeba odwagi... Wszak noce są ciemne, i przewieźć ich można?

Rybak podniósł głowę czarnemi włosy pokrytą, a straszliwa jego twarz, krwawemi poorana bliznami, w której tylko ciemne oczy błyskały, nie dozwoliła się domyśleć nawet, jakie się na niej malowało uczucie.

— Winienem ci życie — odpowiedział — to ci je dam... Powiozę gdy każesz, dniem czy nocą, a jeśli

potoniemy, lub nas gdzie na krzyże powbijają, nie będzie wina Ulpa, na wielkiego Herkulesa!

— Jakto? ty się obawiasz?

— Ja? niczego! — rzekł rybak — ostrzegam tylko co przypaść może... a popłynę, gdy zechcecie. Będzie co Fatum przeznaczy.

Helios wszedł w głąb groty, w której pierwszem wnętrzu ubogi tylko sprzęt rybaka się znajdował; sieci, oszczepy stare, trochę wiszących na sznurach owoców, kilka lamp glinianych, w głębi nieforemnych bóstw kilka.

Obawa prześladowania i zazdrosnych oczów ludzi, po za tą jaskinią utworzyła drugie schronienie, tajemniejsze, do którego rybak tylko przypuszczał swoich przyjaciół. Było to wyżłobienie w skale, nieco podniesione, ku któremu potrzeba się było wdrapać po kilku stopniach, osłonionych sterczącemi głazami, a potem przeciskać wnijściem ciasnem i ciemnem, nad którem zwieszone sieci stare domyślać się go nawet nie dozwalały. Uszedłszy kilka kroków, wązki ten przesmyk rozszerzał się nagle i ukazywała druga jaskinia, obszerniejsza od pierwszej, lekko oświecona promykiem dnia, wciskającym się przez rozpadliny u góry, poroztwierane umyślnie...

Kilka pokoleń tych biednych ludzi powoli pracowało na to schronienie ukryte, bezpieczne i ciche. Ulp także składał tu co miał najlepszego, zdobił ją i rozszerżał, a w długie dnie burzliwe, gdy na morze puszczać się nie śmiał, siekł skałę, kształtując ją wedle myśli swojej. Była to pieczara zaciszna i piękna; oswoiwszy oczy z mrokiem, który w niej panował, nie podobna było nie podziwić się widokowi, który przedstawiała.

Ściany jej, czerwone po większej części, wyścielały mchy i blade rośliny, tęskniące po słońcu, bluszcze zwieszone wieńcami od jednego złomu kamienia na drugi, czepiające się szczelin porosty, długiemi sploty opadające z góry, i krzewy, gałęźmi rozpostartemi zdające się szukać gdzieby się oparły.

Dzikie wyłomy i najeżone szczerby sklepienia, piękniejszemi jeszcze były dla oka przy ogładzonych niżej prostopadłych ścianach, w których poprzednicy Ulpa kształtne wyciosali wnęki. Do koła były w kamieniu kute ławy i łoża, a przed niemi gdzie niegdzie pozostawiane bryły kamienia zastępowały stoły i ołtarze. Niektórych wierzchy pracowita ręka wygładziła jak marmur kosztowny.

Przy nagich tych ścianach trocha ozdób wydawały się wspaniałością wielką; pochodziły one z różnych czasów i źródeł. Nie jedną morze wyrzuciło na brzeg pusty, inne zdobył dziad i ojciec przybrany, kupili rybacy w porcie Retiny lub mieniali w okrętach, które stawały z towarem w Puteolach i Baii.

W zagłębieniach kamiennych groty były małe bronzowe posążki i kamienne bóstw wizerunki, niewytwornej rzeźby, ale z dobrych naśladowane wzorów, kilka lamp pięknych kształtów, kandelabr stary, trójnog ofiarny i greckie naczynia z malowaniami dawnemi, pootłukane i drobne...

Podłoga chłodna tej groty okryta była matą, z roślin morskich uplecioną, łoża powyścielane takiemiż węzgłowiami które szczątki opon i farbowanych żaglów przyodziewały ubogo.

Ale największą zwracał uwagę ołtarz bóstw domowych, genjuszów miejsca tego, ustawiony w głębi i widocznie bieglejszego robotnika wykonany ręką.

Sięgał on dawnych czasów, a Ulp miał to od ojca, że chroniący się na wyspie Grek jakiś wyciosał go dla dziadka, płacąc za gościnę swą pracą. On to wyrobił niszę, jakby frontonem świątyńki pokrytą, wspartą na czterech słupkach, całą wysadzaną morskiemi muszlami, kawałkami marmurów i kamieni, a zrobioną tak misternie, żeby się jej żadna willa patrycjuszowska nie powstydziła. W tej stał na podstawie posążek gliniany morskiego bóstwa, a przed niem ołtarzyk mały, na którym splecione widać było dwa węże. U stóp jego maleńki wodotrysk bił po cichu, podsycany wodą z cysterny w skałach ukrytej, od której czysty i chłodny stru-

mień wiodły gliniane rury, przeprowadzone w kamieniu. Maleńka sadzawka, nakształt *impluvium*, pełna była złocistych rybek, igrających w pośród kamyków i roślin wodnych... Największą jednak ozdobą tej części groty były gałęzie koralów, któremi sam Ulp misternie przyodział wgłębione bóstwa schronienie; z nich on uplatał wieńce opiekunowi jaskini, a największemi złomami opasał postawę posągu, jakby z krwawego krzaku wyrastającą do góry.

Gra promieni światła, przeciskających się przez szczeliny sklepienia i oświecających części groty, całej w półcieniach i mroku, dodawała jej wdzięku jeszcze. Błyski słoneczne czepiały się gałęzi bluszczów i skrajów skał ostrych, drżały w wodzie maleńkiej sadzawki, przez którą ciekawa rybka przedzierała się srebrnym migocąc grzbietem, lub pasem złocistego pyłu przerzynała wnętrza ciemne.

Juda i Rachel od kilku dni już siedzieli ukryci u Ulpa w gościnie, rzadko kiedy ośmielając się nawet do pierwszej wynijść groty, bo się lękali wyszpiegowania przez straże i łodzie Tyberjusza, nieustannie krążące u brzegów, często przybywające nawet przez Ulpa pieczarę.

Niewolnicy pana zatrzymywali się u rybaka dla spoczynku, wpraszali w chłodny kątek jego schronienia, lub milczeniem znękani, wyzywali go do rozmów próżniaczych.

Dopiero gdy wioślarze spali gdzieś daleko, a łodzie ich puste kołysały się u brzegów na sznurach do lądu przykute, Ulp, obejrzawszy okolicę, dawał znać gościom swoim, że wnijść mogli z kryjówki. I wszyscy wówczas wychodzili nad morze, świeższem odetchnąć powietrzem, wonią fali i zapachem daleko rozkwitłych gajów.

Helios zastał ich w drugiej grocie i nim nadszedł Hypathos, pospieszył powtórzyć słowa Thrasylla, z przestrachem niezmiernym.

— Potrzeba uciekać — rzekł stanowczo — życie ważyć by się wyrwać ztąd, gdy i tak grozi mu co chwila

jedno skinienie Cezara. Z pierwszej nocy ciemnej musicie skorzystać.

Juda pobladł załamując ręce, młoda niewiasta krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na posłanie twarzą, nadzwyczajny przestrach okazując o Rubena.

— Potrzeba go zatrzymać gdy przyjdzie! — zawołała z gorączkowym niepokojem — okryć, schować... Wszak tu go znaleźć nie mogą? Wszak Ulp nas nie zdradzi?! Miałożby zginąć marnie to dziecie biedne? Nie, my go obroniemy. Juda na to nie pozwoli... Bóg dopuścić nie może,.. ty, ojcze, znajdziesz ratunek!

I piękne swe oczy, łez pełne, zwracała to na męża, to na Heliosa, błagając jednego i drugiego z kolei, z więcej niż braterskiem uczuciem.

— Wy nie możecie dozwolić by się taka zbrodnia spełniła! — wołała coraz żywiej — macie mądrość starą, modlitwa wasza więcej może u Boga Izraela znaczy, niżeli prośba Judy i moja... Módlcie się, Bóg może uczynić cud dla was... Wyzwólcie go! ratujcie! lub gińmy razem wszyscy!

Helios dumał smutny.

— Cicho kobieto — rzekł z uczuciem jakiemś przykrem, widząc gwałtowniej coraz objawiające się to przywiązanie niewiasty, które w podejrzeniu mieć zaczynał — zostaw mężom myśleć o śmierci i życiu, a bądź jeno gotowa pierwsze lub drugie podzielić.

Zgromiona umilkła biedna Rachela, ale niepokój jej wydawała pierś podnosząca się westchnieniami i łzy milczące, które się lały po twarzy jak marmur bladej i pięknej. Drobnemi rączęty ocierała je powoli, z trwogą poglądając na starca i czekając rychło-li pokaże się Hypathos, który zwykł był pod wieczór przybywać.

Wezwano tymczasem do narady Ulpa, który nie wiele mówił, ale ważył wszystko. Łódź na jutrzejszą noc mogła być gotowa, jeżeliby nie było burzy. Nieszczęściem, aby się z wyspy niepostrzeżonym wyśliznąć, musiano pragnąć ciemności, a tej prawie zawsze na morzu towarzyszyły wicher i wzdęte wód bałwany. Łódź powinna się była puścić bezwładna, z prądem

morza, cieśniną ku Neapolis i wyspom, potem dopiero z pełną siłą wioseł zwrócić do Surretyńskich brzegów, co we troje przedłużało droge. A wszystko to potrzeba było dopełnić w ciemnościach, nie czekając świtu, aby strażnik ukrytych za cyplem Minerwy nie dostrzegł zbiegów, na których ściganie wysłanoby łodzie Cezara.

Trudności były wielkie, ale kosztem ich okupić się miało życie.

Tymczasem wieczór powoli spuszczał się nad ziemię i wyspa mnóstwem zapalonych po willach ogni błysnęła, Capri jasniało na gór wierzchołku, drogi nawet sznurami lamp rysowały się po dolinach i w niosłościach.

Hypathos nie przybywał.

Noc nadeszła czarna i próżno go oczekiwano.

Już myślano, że go Cezar wstrzymać lub zamknąć rozkazał, i Helios chodził z zalamanemi rękami, zbierając sie powrócić do willi, aby zasięgnąć o nim wieści, z obawą, by ofiara tego dnia spełnioną nie została — gdy chód lekki dał się słyszeć i lice Racheli zarumieniło się jak jabłko granatu na widok chłopięcia, jej wzroku naprzód szukającego w ciemnościach...

Przybiegł, jakby na przekor ich obawie, z weselszą twarzą niż kiedy, z jaśniejszem okiem i usty.

Starzec wprzód jeszcze nakazał, aby mu o niebezpieczeństwie nie wspomniano, nie chcąc go straszyć daremnie, i sam pierwszy zbliżył sie ku niemu z ojcowską czułością. Hypathos ucałował kraj jego szaty, rozweselony i wdzięczny.

— Bóg Abrahamów niech będzie z tobą! — rzekł stary — zkąd przychodzisz? dla czegoś się spóźnił? Co Cezar robi?

— Pisze swe wiersze greckie — odparł wesoło Hypathos — odprawił mnie na dziś, włożywszy ten wieniec z koszyska (werbeny) na głowę... i pozwolił swobody... Twarz jego dziś rozweselona i jasna... Priscus nagotował mu w willi Julji biesiade, do której nikogo nie przypuszczano, prócz tych co w niej uczestniczyć mają... Nawet Macron pozostał przy Naewii... czemu nie rad Cajus podobno.

I uśmiechnął się chłopak zwracając ku Judzie, a Rachel poruszona weselem ofiary, co nie widziała zbliżającej się śmierci, schwyciła go za rękę mimowolnie i wlepiła weń oczy łez jeszcze pełne.

— Wszak już do nich nie wrócisz? zawołała żywo... jutro uciekamy ztąd wszyscy...

— Cicho niewiasto! — zgromił ją Helios po raz drugi — czekaj coć powiemy i słuchaj co każą. Na co ci mięszać się do spraw męzkich? zwiń szaty swe, stul usta i czekaj!

— Cóż to mówicie? — zapytał Hypathos zdziwiony i niespokojny.

— Że jutro ucieczka ztąd postanowiona — rzekł Helios. — Ja nie mam się czego spieszyć, nie mogę uciekać, wy musicie. Ulp swą łodzią przewieźć was obiecuje, podzielę z wami co mam, a Bóg nie opuści biednych.

Hypathos, któremu zawsze brakło męztwa, strwożył się i pobladł słysząc te słowa, zwiastujące mu nadchodzące niebezpieczeństwo, które mniemał dalekiem jeszcze.

— Tak prędko? — spytał cicho — jutro, ale będzież to ocalenie czy zguba?

— Bóg jeden wie! — przerwał starzec — potrzeba umieć umrzeć, kto chce żyć umieć. Juda i Rachel nie mogą tu dłużej pozostać; ty zginiesz wśród pogan, do których serce przyrasta.., wielki jest czas uciekać.

— Ale sprzyjaż pora ucieczce? — spytał Hypathos nieśmiało.

— Nic nie stoi na zawadzie; jutro o godzinie nocnej, czółno gotowem będzie, musicie wypłynąć...

Ruben zamyślił się głęboko, strach go ogarniał, lecz nic odpowiedzieć nie śmiał... Morze, śmierć, nędza, stawały przed oczyma rozpieszczonego dziecięcia, ohyda położenia, męczarnie codzienne pieszczot obrzydliwego starca, wstręt do pogan, przywiązanie do Racheli pociągało w drugą stronę... i nic nie rzekł milczący.

— Do jutra zostaniesz z nami? — spytał Helios.

— Muszę powrócić dziś jeszcze — odparł Hypathos — inaczej wzbudziłbym podejrzenie... gdyby izdebkę moją

znaleźli pustą Priscus rozesłałby ludzi...

— Lecz czy jutro przyjść będziesz mógł? — spytał Juda.

— Choćby uciec! rzekł Ruben.

— Tak! uciec, wydrzeć się gwałtem! nieprawdaż? — przerwała Rachel — jutro, koniecznie jutro!

Ruben spojrzał w jej oczy łez pełne.

— Jutro! — rzekł stanowczo — czekajcie na mnie... będę!

— Moje modlitwy doprowadzą was do brzegu!! — szepnął Helios...

I Hypathos spiesznie biegnąc, znikł w ciemnościach na skałach, a oczy Racheli długo goniły jego śladami.

Ulp spał już na swych sieciach w pierwszej grocie, gdy Helios rozstał się z Judą po długiej naradzie, i do miasteczka powrócił.

XXI.

Nazajutrz wielkie czyniono przygotowania do ofiary Bogu-Słońcu; Priscus wybierał najurodziwszych młodzieńców, wynoszono znaki i posągi, gotowano tron ze lwami i strój parsyjski dla Cezara arcykapłana ofiarnika.

Tylko ofiara dotąd wyznaczoną nie była. Spytany przez Macrona o nią Tyberjusz, odrzekł tajemniczo, że ją miał przygotowaną.

Różnie się domyślano coby to oznaczać miało. Uroczystość, wedle obyczaju, o samym wschodzie słońca odbyć się musiała; Cezar po uczcie przygotowywał się i oczyszczał do niej, rozprawiając z Thrasyllem o tajemniczych obrzędach Persów i ich symbolicznem znaczeniu. Dzień poprzedzający upłynął w ciekawem oczekiwaniu; nocą dopiero kazał Tyberjusz przywołać Hypathosa i posadził go na łożu swem, głaszcząc i bawiąc się jakby z psem domowym.

Wielu już przeczuwało, że ta czułość kryć coś w sobie zł owrogiego musiała, ale nikt jeszcze nie odgadł

tajemnej myśli Cezara. Chcąc uciec do jaskini Ulpa, napróżno Hypathos udawał chorobę i skarżył się na znużenie. Tyberjusz, pod pozorem czułości krokiem mu od siebie odejść nie dozwolił.

— Życie — rzekł doń smętnie — krótkie jest i zmienne, każda jego chwila droga... zostań dziecię i leż przy mnie...

Przerażony tym rozkazem Hypathos, który wiedział, że tam nań tęskno oczekiwano, drżał i płakał, ale łzy, na które z jakiemś podejrzliwem okrucieństwem, bojąc się być odgadniony, poglądał Tyberjusz, nic nie pomogły. Posądził go tylko o przebiegłość i wyczytanie swej myśli Cezar — i przeraził się.

— To dziecko miałożby wiedzieć co myślę? — rzekł w duchu — dla czegoż te łzy, choroba, ten niepokój, którego nie okazywał nigdy?

Nadaremnie czekał Hypathos by starzec usnął... Cezar czuwał, zasypiał się i budził, a straże miały rozkaz nie wypuszczać z willi chłopięcia. Musiał nieszczęśliwy z niepokojem w duszy siąść w progu, nie mogąc dać znać swoim o sobie.

A bolał straszliwie, bo się lękał, aby go o brak duszy i męztwa nie posądzili, a cierpienie szarpało nim gwałtownie, jak człowiekiem, co potrzebuje krzyknąć, by dać znak życia, a słowa wyrzec nie może.

Tymczasem w grocie wszystko było na pogotowiu, czółen wysłany mchami, kołysał się u wnijścia pod wydrążeniem skały, noc przyszła jak naumyślnie skwarna i duszna lecz ciemna, a choć na burzę zanosiło ku ranu, morze jakby ołowiane, spokojne, ciężkie, całą ogromną płaszczyzną przechylało się tylko drzemiące.

Juda i Rachel, zabrawszy co mieli ubogiej pozostałości z domku na górze, odziani do podróży, oczekiwali tylko przybycia Rubena. Kobieta, obawiając się być poznaną i niechcąc zwracać oczów na siebie, twarz oliwkową umalowała barwą, gęstą przywdziawszy zasłonę. Przytulona do skały, stała z Judą i poglądała na pustą ścieżkę, wiodącą do pieczary.

Helios zmarszczony, groźny, niecierpliwy, był z niemi

także, i wzrok jego wytężony, próżno za każdym szelestem zwracał się, szukając Hypathosa.

Wargi mu się trzęsły i czoło marszczyło.

— Gotów z obawy nie przyjść! — szeptał — gotów nas zdradzić i paść ofiarą oprawców! Biedne dziecko!

Ulp także, na wiośle sparty, mruczał po cichu:

— Drugiej takiej nocy ciężko się będzie doczekać! Galery i wioślarze rozproszeni, śpią strażnicy... noc czarna, morze ciepłe i uspione... Dziś lub nigdy! a to chłopię nie przybywa!

Ale czekali napróżno. Rachel wybiegała co chwilę, podnosząc głowę ku górze, Juda załamywał ręce. Helios pogan przeklinał niewiernych, co dziecięciu lwią ojców odwagę wyjęli z serca. Rubena nie było i nie było.

Wiatr tylko kiedy niekiedy w skałach zagadał i znowu cisza długa zalegała wyspę, a wśród niej tylko daleki szmer wodotrysków, krzyk nocnego ptaka, stłumione przybywały pieśni z Caprejskich lupanarów, śmiechy chłopiąt z Priscusa dworu, lub jęk bolesny, krótki a straszny, jakby konającego człowieka, którego dusza z ciała się wyryła płacząc po życiu.

Tak upłynęła część nocy, aż Helios zapytał Ulpa czyby się do willi górnej dostać i coś o chłopcu dowiedzieć nie można.

Ulp potrząsał głową, noc była ciemna, cisza głęboka... rzucił wiosło i nic nie mówiąc, jął się oburącz skały, która prostopadle biegła w górę, dźwigając na stromych wierzchołkach strażniczych wieże i willę Jowisza...

Pomyśleć było trudno, żeby się człowiek mógł nocą po tej ścianie kamiennej dostać na szczyt góry; jeden Ulp, przywykły do takich przechadzek od dzieciństwa, zręczny i śmiały jak koza dzika, mógł się podjąć wycieczki. Ująwszy się wystających kamieni, stąpając z jednej w drugą szczelinę, przytrzymując za rośliny i krzewy, znikł z oczów, nim mieli czas go odwołać.

Z przestrachem oczekiwali tylko, rychło-li odgłos spadającego ciała, krzyk i rozpryśnione wody, oznajmią im o śmierci zuchwałego rybaka, ale cicho było wokoło

i nic nie przerywało milczenia, długiego jak wieki.

Już prawie świtać zaczynało od wschodu i na jaśniejszem nieco niebie dalekie lądy sinemi gór malowały się szczytami, gdy Ulp powrócił znużony i padł spocząć na sieciach. Ręce i nogi jego drżały wysiłkiem potężnym, pierś wzdymała się szybkim oddechem, pot kroplisty oblewał piersi i czoło.

— Merkuremu dzięki — rzekł — żem szyi nie skręcił tak rosa poranna śliskiemi uczyniła te wschody, po których się i kozy nie ważą.

— Hypathos? — spytała Rachel...

— Siedzi w progu portyku, widziałem go — rzekł rybak — otoczony strażą, nie może się ruszyć i płacze...

Helios pobladł, kobieta klasnęła w dłonie i zakryła sobie oczy, Juda spoglądał wzrokiem pełnym łez i ognia.

— Co więcej widziałeś w willi Jowisza? — przerwał Helios.

— Cezar gotuje wielką ofiarę... niewolnicy szykują wozy i konie, ubierają się chłopcy, a skoro zaświta, pociągną wszyscy ku świątyni Mithry... słyszałem dających rozkazy...

Na te słowa odstąpiła ostatnia nadzieja, wszyscy spuścili oczy ku ziemi. Dzień świtał, morze się ruszało i odpływać nie było już można. Rachel, zgromiona przez starca za krzyk, który wydała, poszła w najciemniejszym kątku jaskini ukryć bezsilne łzy swoje... Juda osłupiał, Helios modlił się przejęty... Ulp poglądał na nich... litośnie czy obojętnie? z poczwarnej twarzy jego nie można było wyczytać.

— Gdybyście chcieli widzieć, jak Hypathos pięknie będzie wyglądał na czele młodzieńców u ołtarza Mithry... jabym to mógł wam pokazać... i cały ten obrzęd tajemniczy, którego żadne obce nie oglądało oko... rzekł po chwili rybak.

— Jakim sposobem? żywo spytał — Juda — myśląc tylko by brata ocalić...

— Z moich pałaców — dodał Ulp uśmiechając się tajemniczo — jest przejście skryte aż do pieczary skał, i nie wiem po co kończy się, znać w dawnych

dzieży udał się nazad do Jowiszowej willi... rozkazawszy ciało Hypathosa spalić na stosie przed samą pieczarą...

Nieco opodal, na białej marmuru sztuce grecki robotnik rył już napis grobowy, którym sam Cezar uczcić chciał popioły ukochanego młodzieńca.

Gdy milczenie znowu wróciło, a tłumy powoli się rozpierzchły, po długiej chwili niemej boleści, Helios wstał z ziemi i powlókł się nazad, drąc szaty na sobie, mieszając z modlitwami przekleństwa. Racheli nie można było oderwać od szczeliny, przez którą, póki tylko ciało białe Hypathosa widziała, patrzała skostniała i milcząca, chciwemi, oschłemi rozpaczą oczyma!

Nieprzytomni prawie, wygnańcy dotrwali tak do nocy, nie wiedząc co się dzieje z niemi. Ulp płakał także, ale czyniąc libacje cieniom ulubionego chłopięcia, cieszył się niemal, że dlań życie skończyło się od jednego ciosu bez męki i cierpienia. To tylko cenili wówczas poganie i dobrą zwali śmiercią.

Dzień zszedł na opłakiwaniu ofiary w grocie, na ucztach w willi, w której, jako kapłan Mithry, Tyberjusz święto słoneczne obchodził w zwykłym swoim orszaku, pijąc przy biesiedzie aż do szału.

Na miejscu Hypathosa stał już inny dzieciak, strwożony i zbladły, a grono efebów, całe przerażone, i drżące, jak stado ptaków, z którego jastrzęb porwał pastwę, tuliło się u drzwi, nie śmiejąc podnieść oczów na Cezara-kapłana...

Groźne rozkazy pana milczeniem wiekuistem pokryły grób ulubieńca; miano mu posąg wspaniały wznieść w świątyni Mithry; Tyberjusz nawet ozwał się z ubóstwieniem i chciał imie Hypathosa z Mithry imieniem połączyć...

Cezar czynił to przez wdzięczność, utrzymywał bowiem, że od chwili spełnienia ofiary czuł w sobie dziwnie przybywającą siłę, która weń wstąpiła z ostatniem tchnieniem chłopięcia...

Nazajutrz rano ciało Hypathosa leżało jeszcze w grocie przed ołtarzem Mithry, z piersią rozbitą, a stos dlań przygotowywano na blizkiej górze. Rachel jeszcze nie

wstając z miejsca płakała, a płacz jej był tym jękiem ludów wschodnich, przeciągłym, spiewnym, z którego przed wieki pierwsza się pieśń zrodziła.

Nareszcie boleść jej, podżegając się coraz, doszła do tego stopnia szału, że pchnięta siłą niezwyciężoną, wstała jak upior z rozpuszczonemi włosami i załamawszy ręce na szatach rozdartych, poszła niepostrzeżona ścieżką, którą Hypathos zwykł był przychodzić, sama nie wiedząc dokąd ją niosły rozpacze...

Instynkt przywiązania wiódł ją na to miejsce, w którem ciało ukochanego chłopięcia leżało dotąd bez pogrzebu. Zapomniała o własnem niebezpieczeństwie, i szła tak, szła, wiedziona siłą niewidzialną, aż do jaskini Mithry. Niewolnicy, którzy stos układali, postrzegłszy tę nieznajomą kobietę z długiemi włosy czarnemi, spadającemi do ziemi, przestraszyli się jej, jak zjawiska z innego świata. Wzięli ją za królowę Lemurów wyspy...

Ona, nie słysząc ich wykrzyknień i nie widząc trwogi, minęła obojętna pogrzebowe łoże i weszła w głąb jaskini, rzucając się z krzykiem na ciało Rubena, leżące z zastygłym na ustach jękiem dzieciny, która się przed matką żali. Łzy ostatnie zlepiły mu powieki długiemi rzęsy ciemnemi, spoczywające na policzkach alabastrowej białości.

Obnażona pierś skalaną była bryzgami krwi skrzepłej i czarnej, na skroni, zbroczony nią także, wiądł wczoraj zielony wieniec werbeny; białe ręce, wysiłkiem walki żywota ściśnięte, jeszcze wyrażały przedśmiertelny bój i rozpacz...

Rachel, przypadłszy przed nim na kolana, zaryczała boleścią niezmierną... Kołem po za nią skupiła się zbiegająca zewsząd rzesza niewolników, szepcząc i dziwując się zjawisku.

Wtem szmer dał się słyszeć na ścieżce — Cezar szedł zapalać stos pogrzebowy...

Helios, który przez szparę przyszedł spojrzeć na trup dziecka, postrzegłszy zarazem blade ciało jego i bladą jak zwłoki Rachelę i wchodzącego Tyberjusza,

za którym szedł orszak wyzwoleńców i dworu, zasłonił oczy z rozpaczy...

Kobieta sama wpadła w ręce kata.

Cezar zatrzymał się, stał zdziwiony chwilę długą, a gdy Rachel twarz ku niemu zwróciła, wykrzyknął wielkim głosem imie Agrippiny.

Rachel porwała się, instynktem poczuwszy zabójcę.

— Kto jesteś? — zapytał Cezar.

— Kobieta, której zamordowałeś brata! człowiecze krwi nie syty! — krzyknęła uniesiona — kobieta, która cię przeklina i na głowę twoją wzywa zemsty i piorunów!!

Tyberjusz, który się lękał gromu nad wszystko, przelękły, pobladł, ale wspomnienie tej, której rysy przypominała mu Rachel, gniew wybuchający hamowało.

— Weź-że i to drugie życie — mówiła Rachel — zabij i mnie jak jego zabiłeś! pływaj we krwi i pij posokę, której wylałeś tyle...

Po tym wysiłku upadła rozpłakana i zasłaniając oczy, jęczała łkaniem przeszywającem; Tyberjusz stał osłupiały... Słowa wyrzeczone skazywały ją na śmierć; gniew powoli wyrastał w jego piersi, oblewał twarz i krwawemi zabłysnął oczyma, ale zarazem przywykły mu towarzyszyć uśmiech, zjawił się na spalonych wargach.

— Na stos oboje! — rzekł do otaczających — Manom Hypathosa spalić tę szaloną niewiastę... Priscus! kto ona?

Ani Priscus, ani z orszaku nikt, nie znali nieszczęśliwej i nic powiedzieć nie mogli. Helios biegł już na ratunek zapóźno, gdy Juda, jeszcze nie postrzegłszy ucieczki żony, pogrążony w żalu po bracie, zakryty płaszczem, łzy nie męzkie wylewał.

Starzec, nie mówiąc mu nic o Racheli, aby na daremne nie wystawiać go niebezpieczeństwo, spieszył zrozpaczony ratować biedną, którą chciał jako szaloną przed Cezarem wystawić.

Ale w chwili, gdy zdyszany przybiegł do groty, aby się rzucić do nóg Tyberjusza, już dwa trupy wynoszono na stos z jaskini; Rachel uduszona w rękach oprawców skonała.

Dwa ciała białe położono na łożu ognistem; głuche milczenie panowało dokoła. Tyberjusz brwią nawisłą okrył oczy obłąkane, a usty jeszcze się starał uśmiechać. W uszach jego dźwięczało przekleństwo, którego Cezar nie słyszał nigdy w życiu, bo nie było człowieka, przez któregoby usta przejść mogły tak straszliwe słowa.

Rzuciwszy okiem na zwłoki kobiety, co boleść przepłaciła życiem, Helios, powoli zwlókł się do groty Ulpa, do Judy, który sam pozostał; przyszedł i usiadł przy nim milczący.

Po długiej godzinie ciszy Juda podniósł czoło i oczyma począł szukać żony... nie znalazł jej.

— Co ci jest? — kogo szukasz? — spytał poważnie Helios.

— Gdzie Rachel?

— Pamiętasz księgi Hioba? — odezwał się starzec.

Juda wlepił weń oczy niespokojny, a starzec powoli dokończył, przywodząc słowa Pisma:

— „Tchem moim brzydziła się żona moja... *(Roz. XIX. w. 17.)*

„Bracią moją oddalił odemnie, a znajomi moi jako obcy odeszli odemnie. *(Roz. XIX. w. 13.)*

„Ten umiera duży i zdrowy, bogaty i szczęśliwy. *(Roz. XXI. w. 23.)*

„Bóg zmiękczył serce moje, a Wszechmogący zatrwożył mną. *(Roz. XXIII. w. 16.)*

„Iżali wiesz porządek nieba, i postawisz sposób jego na ziemi?“ *(Roz. XXXVIII. w. 31.)*

XXII.

Trzeba było z tych miejsc, przykre obudzających wspomnienie, osamotnionemu Judzie uchodzić; ból jego cichy, głęboki, ale wzrastający coraz, łzy wyciskał z oczów starego Heliosa. Chciał on z nim razem powracać do Rzymu, ale go Macron nie puszczał jeszcze,

to szydząc zeń, to dzikie poddając mu myśli uzdrowienia Cezara silnym jakimś lekiem, ze wszystkich chorób na które cierpiał.

Tyberjusz sam rzadko go widywał, rozprawiał z nim rzadziej jeszcze, ale były chwile, w których przyzywać go kazał, nie o swe zdrowie badając, ale zawsze o te same podania Judei, proroctwa i wieści przychodzące ze Wschodu. Cóż to szkodziło komu, że starzec siedzieć musiał, dręcząc się lata całe, byle w ich ciągu raz na pół chwili był Cezarowi potrzebny?

Uciec nie było sposobu, chyba nieznanemu, bo gdzież ręka i miecz Tyberjusza nie sięgały? Ten co się od nich usuwał, wszędzie dognanym być mógł, u Partów dzikich, w lasach Germanji, nad wody Nilowemi, na krańcach znanego świata!...

— Dla czegoż nie uleczysz Tyberjusza? — zapytywał go Macron szydersko — naówczas byłbyś wolnym!

— Mogęż ja, czego nie potrafił Bóg? — odpowiadał żyd — któż uleczy tego, który zdrowym być nie chce?

— Od czegoż jesteś lekarzem?...

I ruszał ramionami; sądził, iż dręcząc starca zbrodnię na nim wymoże. Helios nie umiał jej nawet przypuścić, niemógł się domyśleć.

Lżej nieco stało się dlań, gdy Juda osierocony przyszedł z nim razem zamieszkać; Helios wytłómaczył zjawienie się jego przybyciem na jednym ze statków z Rzymu, i blizkiem pokrewieństwem... Nikt zresztą nań oczu nie zwrócił.

W życiu i obyczajach tego, od którego zależeli wszyscy, nic się nie zmieniło, owszem, zdało się jeszcze, że ukryty w tej niedostępnej twierdzy milczący tyran coraz stawał dzikszym i sroższym, a nic go z tego gniazda wyciągnąć nie mogło.

Macron i Cajus w milczeniu patrzeli po sobie, licząc godziny, a choć zmowa ich na życie Tyberjusza już przeszła przez usta i w cichych codzień utwierdzała się szeptach; żaden z nich wszakże nie ważył się tknąć tego, którego skinienia przywykli się byli obawiać jak piorunu.

Macron dotąd był wszechwładnym: siła jego okazała się w upadku Aemiliusa Scaura, pochodzącego ze starej Emilów rodziny. Nienawidzący go po cichu, oddawna zausznik zaskarzył o alluzją w wierszach tragedji Agamemnon, zastosowanych do Tyberjusza, i jak za zbrodnię poczytano historykowi, który ważył się Brutusa i Cassjusza nazwać ostatniemi z Rzymian; tak Scaura obwiniono, że śmiał wyrzec, iż Agamemnowe szaleństwo znosić było potrzeba *(imperantis stultitiam)*. Nie śmiano jednak publicznie wnieść tak błahego oskarzenia i wolano mu zarzucić stosunki z Livillą... Śmierć Scaura była piękną i odważną; żona Sextia i on, sami sobie odebrali życie.

Choć wszystko jeszcze drżało przed Cezarem, zdala jednak zuchwałe niekiedy odzywały się słowa. W Germanji wyższej dowodził legjonami Getulicus, którego wojsko kochało; obwiniono go o stosunki z Sejanem, a odpowiedź śmiała dowiodła, że on jeden nie uląkł się tego, którego wola była prawem dla wszystkich. Odpisał Tyberjuszowi, że łącząc się z Sejanem mógł się na człowieku omylić, ale tak samo przecie oszukał się na nim i Cezar — dodał, że pozostanie mu wiernym dopóki go nie wyzwą, a odwołanie się do legij uważać będzie za wyzwanie. — Zostawiam ci państwo — zakończył posłanie — ty mi zostaw Germanję...

Śmiała odpowiedź nie tylko go nie zgubiła, ale miała mu zjednać łaskę Tyberjusza, który obrachował zapewne, że ten co tyle powiedział, nic już w sobie ukrywać nie mógł.

Sprawa Partów odciągnęła nieco uwagę i wzrok od wewnętrznych dziejów i Rzymu. Z niej widać tylko, że nierycerska Tyberjusza ręka przestała ciężyć na oddalonych ludach i państwo rozprzęgało się powoli. Nie było na ratunek Germanika...

Tyberjusz, wycierpiawszy od Getulica słowa zuchwałe, pozwolił na siebie w Senacie czytać najostrzejsze wyrzuty w testamencie Triona. Umierający, nie spodziewając się już przebaczenia, pismo przedśmiertne napełnił wyrzutami przeciwko Macronowi i wyzwoleń-

com Cezara, nie szczędząc i jego samego, niedołężnego starca, dobrowolnego wygnańca ze strachu... [1])

Tyberjusz, szydząc sobie z tych obelg i żartując z ich głośności, kazał je publicznie w Senacie przeczytać.

Jednakże sam uczuł wreszcie, że ta ucieczka i zbyt długie przebywanie w Caprei, jest jakby słabości i bojaźni dowodem; począł więc czynić przygotowania jakby na powrót do Rzymu...

Macron zapewne, który codzień więcej nad nim zyskiwał przewagi, doradzić musiał ten krok, zamierzając z niego korzystać.

Tymczasem nie ustawały prześladowania: po Trionie, Martianus sam sobie skrócić musiał życie, skazany Tatius, Trebellianus i Paconianus, zginęli z ręki własnej i kata; Lucius Aruscius, Vibulenus Agrippa biorą truciznę wśród Senatu; Cajus Galba, dwóch Blesusów padają ofiarą, a z nimi niezliczona moc innych, mniej znanych, których imion, nie tak głośnych, zapomniano zapisać.

Tak strachem panicznym uspokoiwszy Rzym na przyjęcie pana, Cezar rozkazał przygotowywać okręta i puścił się ku Puteolom, wiodąc za sobą nieodstępnego Macrona, Cajusa i cały orszak zwykłej dworni, wśród której nie było już jednego, śmielej głowę i głos podnieść mogącego, człowieka, tylko przerażona ciżba i pochlebcy, wyglądający śmierci pana, aby z niej dla siebie skorzystać. Smutna to była podróż, a ci co zdala widzieli wysiadającego na ląd, ostawionego zewsząd strażami, Tyberjusza, porównywali mimowolnie ostatnie chwile jego, otoczone strachem, do wesołej podróży Augusta, której towarzyszyły spokój i swoboda.

Wlokąc za sobą znużonych ulubieńców, Cezar opuścił wyspę i po latach kilku znowu okiem chłodnem powitał Campanją szczęśliwą, zbliżając się prawie pod same mury Rzymu. Zdala widział już gmachy swej stolicy i zabrakło mu odwagi, by Pomoerium przekroczyć; przepowiednia węża zjedzonego przez mrówki

[1]) Tacyt.

jeszcze napełniała go strachem... spojrzał na Rzym i wrócił nazad ku brzegom morza.

Helios z innymi znajdował się w orszaku pana; razem z Chariclesem i Thrasyllem wysiadł na ląd w Puteolach; usilną prośbą ledwie wymógł na Macronie pozwolenie udania się na czas krótki do Rzymu, dla zobaczenia rodziny, ale z rozkazem jak najprędszego powrotu. Macron chciał go mieć pod ręką, myśląc użyć w potrzebie, lub podejrzenie na niego odwrócić, jeśliby nie udało się co zamierzał... Juda pociągnął także ze starcem, nic go już bowiem nie zatrzymywało na wyspie, prócz popiołów żony i brata, którym ręka Cezara położyła kamień grobowy z tajemniczym napisem.

Ale przybywszy do Puteolów, Juda już nie chciał powracać do Rzymu, gdzie nie zostawił nikogo; boleśnie mu było oddalać się od miejsc, w których wiele i długo przecierpiał; wstrzymał się tu, szukając, kędyby osiadł na wybrzeżu, w obcem zupełnie miejscu, bez wspomnień bolesnych, a jednak nieopodal od kątka, w którym pogrzebał co ukochał.

Wysiadłszy na ląd w porcie razem ze starcem, zwolna drogą ku Rzymowi zwracającym swe kroki, pożegnawszy go, Juda smutny udał się ku Neapolis. Była tam, jak po innych znaczniejszych miastach rzymskich, mała kolonja izraelska, żyjąca w spokoju z rzemiosł, handlu i wypożyczania pieniędzy. Ku niej on dążył, spodziewając się tam znaleźć przytułek i jakiś sposób do życia, które dźwigał jako brzemię tylko konieczne, nie mogąc z ramion go zrzucić. Chciał zdala patrzeć na Capreę, modlić się i pracować.

Kraj to był naówczas zanadto dla osierociałego człowieka wesół i pusty, wśród rzymskiego zewsząd świata noszący jeszcze imie wielkiej Grecji i obyczajem helleńskim przesiąkły. Na ten brzeg szczęśliwy uciekało z Rzymu co chciało wypoczynku, ukrycia przed natrętnem okiem, co w samej stolicy krzyczało przeciw Grekom, a tu najłatwiejszem i najlepszem znajdowało przyjęcie ich stroju, mowy i obyczaju. Najrozpieszczeńsi ówcześni sybaryci, bogacze i próżniacy, tu spędzali

miesiące, lata, żywoty całe, wśród zabawy, dumania, uczt, przechadzek, śpiewów i rozrywek filozoficznych.

Filozofja była dla nich taką jak inne zabawką, przysmakiem jak Lucryńskie ostrygi. Tu mieli swe wille Octavius, Apicius, Lucullus, Cicero; tu *oblivia vitae* (zapomnienie życia) przychodziły im najłatwiej, a gdy nieprzemożono *taedium vitae*, choroba wyżytych, ucisnęła bezsilnego, pożegnawszy przyjaciół ucztą wspaniałą, wyzwoliwszy niewolników, rozdarowawszy majętność, kończył znękany rozkoszą starzec samobójstwem wesołem, rozprawiając o nicości.

Był to kraj rozkoszy i zbytków, a tam, gdzie one mieszkanie założą, przychodzą zawsze ich sługi, żywi się służba z okruchów, korzysta z rozrzutności gmin spodlony. I Neapolis też zamieszkanym był w większej części przez Greków, posługacze życia rozwiązłego, przez histrionów, mimów, tancerzy, skoczków, którzy naówczas tak wielkiej używali wziętości, przez piękne a płoche niewiasty, przez kupców fraszek i cacek pańskich, przez to wszystko co się zwykle gromadzi do koła próżniactwa i przepychu... Do portu Puteolańskiego przychodziły nieustannie ze Wschodu całe ładunki towarów, na które tu odbyt był największy — niewolników, uczonych i kształconych ku posłudze rozmaitej, skarbów Wschodu, wyrobów Grecji, płodów ziem dalekich i rąk ludzkich, pracujących dla Rzymu i wybranych. Począwszy od stworzeń, których języki tylko i mózgi szły na stół patrycjuszów, od owoców i chleba, do ludzkiego mięsa, przeznaczonego na rzeź w cyrkach lub pokaz w amfiteatrach, do Nilowego piasku i afrykańskich marmurów, wieziono tu wszystko, czego najwytworniejsza i rozdziwaczona cywilizacja pogan, w gorączkowych swych marzeniach zapragnąć mogła.

Zepsucie obyczajów, jawne już naówczas w Rzymie, jeszcze się wielce jednak różniło od tutejszego; tam było ono codzień widoczniejsze, wszakże poważne nawet w upodleniu, togą okryte, osłonione wstydem jakimś; tu już togę zrzucało, przywdziewało kusy strój grecki i sandały, nie wstydało dnia jasnego, nie lękało oka i

nagany Cenzora i Edilów. W obyczajach panowała najzupełniejsza swoboda; chóry niewiast w strojach bacchantek przebiegały nieraz ulice Neapolis, młodzież patrycjatu gnała za niemi, poprzebierana za mimów i woźnice, starzy senatorowie, w zielonych wieńcach bluszczowych, z czaszami w ręku, siadali w swych ogrodach nad gościńcem i z wysokich *perguli* dawali na widowisko, nie wstydząc się rozpusty i zniedołężnienia. Uczty tutejsze drożej jeszcze kosztowały niż owe rzymskie, przeciwko którym bezsilne prawo już był August zmuszony stanowić. Tu nikt nie przyszedł wyrzucać starcom ich szat jedwabnych [1]), ani ceny ryb na stół kupionych, ani tego, czem swe ulubione karmili mureny. Płacono po siedm tysięcy sestercyj za barwenę, niezliczone sumy za stare naczynia korynckie, za wazy murcheńskie, a histrioni, bawiący znudzonych, wyżej od urzędników opłacani byli. Ale nikt wglądać w to nie miał prawa, ani się o to upomnieć.

Wieczorem wiosennym, gdy od Surrentum począwszy brzegiem tych zaczarowanych morza krajów, w Stabii, Herculanum, Retinie, Portyku, obu Parthenopowych miastach i willach od Pausylippu do Misene, zapalono świateł tysiące, zastawiono stoły i triclinia, gdy wśród rozkwitłych drzew pomarańczowych i cytrynowych, wśród krzaków róż i lilij, zasiedli biesiadnicy do uczty, a niewolnicy dobrani poczęli grać na fletach i nucić pieśni — zdala patrząc, rzekłbyś Elizejskie pola, takiem weselem tchnęło wszystko, tak jednym uśmiechem jaśniał cały ten światek szczęśliwej Campanji.

Nie trzeba tylko było wpatrywać się głębiej co kryły te szały, co znaczyły śpiewy, jak się kończyły Lukullowskie uczty, co się działo w gyneceach, lupanarach i ganeach, w przysłonionych izbach tych domów i zapartych ergastulach. Jednego dnia wychodziły z nich śpiewy i pijani biesiadnicy w synthezach wonnościami zlanych, drugiego trupy na stosy, poprzebijane własną

[1]) Vestis serica. Tacyt. Annal. II. 33.

ręką ciała, pomordowane niewiasty, lub na śmierć skazani niewolnicy za potłuczone naczynie.

Korzystano z godziny, jutra nie było dla nikogo — nazajutrz przyjaciel co leżał z tobą na jednem łożu, oskarżał cię żeś ręką z pierścieniem i wizerunkiem Cezara sięgnął po nieczyste naczynie, żeś nie płakał gdy wszyscy łzy leli, lub żałował tego po kim boleć nie było wolno, żeś mówił, żeś pisał, żeś myślał, że pomyśleć mogłeś, i nim Senat cię skazał a kat ściął i rzucił na Gemonje, musiałeś, pożegnawszy przyjaciół przy uczcie, przebić się sam, krew wylać, wziąć truciznę aby mieć stos uczciwy, urnę w rodzinnem *columbarium*, i dzieciom majątek zostawić.

Z uczuciem głębokiego smutku w duszy Juda szedł w ten kraj zaczarowany, którego wesele urągało się jego znękaniu — ale droga wiodła mimo tych willi i ogrodów; a gościniec pełen był wozów wytwornych, niosących od morza ku miastu i z miasta ku willom pańskim piękne greckie Bacchisy, Glycery i Aglae, i woźniców otoczonych dworami swych wielbicieli i flecistów Lidyjskich i mirmillonów zwycięzców i zręcznych desultorów (kuglarzy) i zmieszanych z niemi dziedziców największych imion Rzymu, spodlonych, zniewieściałych, zgrzybiałych. — Dzień był wiosenny, a smutek Judy zwiększał ten obraz niezrównanego wdzięku, nękający go swem weselem, — ta uczta powszechna na którą on głodny i ubogi spoglądał.

Usuwając się z gościńca pokornie ustąpił mijającym go zwycięzcom owym, oszalałej starości i rozpuście, przeszedł czarną otchłań Pausylippu pełną zgiełku i wrzawy i znalazł się na wybrzeżu Neapolitańskiem, otoczony ciągle zwiększającym się tłumem. — Tu się już poczynały przedmieścia greckiego miasta, którego świątynie liczne bielały wśród sadów na górach przyległych.

Nędzny przechodzień, w wytartej sukni z kijem pielgrzymim, dziwnie się tu wydawał wśród wspaniałych orszaków mijających się ciągle, połyskujących od złota, świecących jedwabiami, pyszniących się purpurą i fioletem, strojnych na pokaz i podziwienie tłumu.

Tam niesiony w krześle posuwał się starzec zwiędły, udający jeszcze młodego zalotnika, z malowaną twarzą i łysiną okrytą wieńcami, zwracając oczy zapiekłe ku pięknej Greczynce, leżącej na wozie białemi końmi ciągnionym... Na posługi jego spieszył cały tłum różnego rodzaju niewolników, wyrostków, uczonych i niemych, narzędzi fantazji i kaprysu. Jeden z nich niósł mu w głowie całego Homera, aby wiersz w potrzebie podszepnąć, drugi zań mógł filozofować, inny śpiewał... innego włos tylko miękki i wonny służył panu po uczcie do otarcia stłuszczonych palców.

Za piękną Greczynką, która jechała znużona do kąpieli, gryząc w ustach zwiędły kwiatek, biegli konno na desultorskich rumakach, młodzi synowie rycerzy, upojeni wonią, winem i śpiewami, spiesząc do Ganeów pompejańskich, na miłosne schadzki z ulubienicami... Dalej bogaci wyzwoleńcy wczoraj jeszcze puszczeni na swobodę, zbytkiem kupionym najostatniejszem zaprzedaniem człowieczeństwa urągali Senatorom zubożałym i na łasce lichwiarzy goniącym ostatkiem... Koło nich także wił się ów tłum niewolników, z którego sami wyszli niedawno.

Sławny autor... choć *Sannio* tylko (błazen) jechał z Neapolis do Baii, a za wozem jego, na którym jak zwycięzca rozpierał, ciągnął się długi orszak gawiedzi, przyjaciół, czcicieli, próżniaków i ciekawych... Przywdział też na ten pochód tryumfalny suknią pstrą, całą w meandry i palmy szytą, i wieńca sybie nin żałował, a młody chłopak, którego obejmował za szyję, dopuściwszy do czci podróżowania z sobą, choć syn rycerza, miał się za szczęśliwego, że dlań i na niego oczy zwracano. Pieścił go *Sannio*, a dzieciak aż się rumienił z radości.

Lecz któż opisze niezliczoną rozmaitość nastręczających się tu obrazów: wszystko szalało, wrzało, kipiało, — a wśród zgiełku z uciętą nogą starzec-żebrak wołał politowania napróżno. Juda zbliżył się do niego, chcąc o drogę do miasta rozpytać, nieznał bowiem Neapolis, a miał od Heliosa polecające słowo do boga-

tego Izraelity... i zaczął od dania maleńkiej jałmużny.

Ubogi przypatrzył mu się uważnie, ale nie kwapił z odpowiedzią; patrzał na bogatszych, ku nim zwracając swe krzyki, błagające litości.

— Biedaku, — rzekł Juda, próżno ci gardło zasycha! czyż nie wiesz, że tacy jak oni, co nigdy niedoznali sami nędzy, użalić się jej niepotrafią?

— Myślisz może, żem kaplan Cybeli, i sam dla siebie jałmużny proszę, — rzekł po chwili kaleka, uśmiechając się gorżko — przykazano mi żebrać gdym nogę postradał, podyktowano słowa; służę i pełnię co mi zlecono.

— Jakto? — zapytał Juda — któż ty jesteś człowiecze?

— Szczęściem nikogo nie widać, mam czas ci odpowiedzieć — odparł żebrak po cichu. — Jeden z tutejszych mieszczan, bogaty Formion, znalazł mnie niemowlęciem wyrzuconego na drodze między Retiną a Pompejanum... Wielki to handlarz, Mehercle, pan nasz... i wie co z człowieka zrobić można... Wziął mnie i wychować kazał; robiłem mu w polu, dyspensatorem... potem wóz mi nogę przełamał... a Formion i tak użytek zrobić potrafił z kaleki... Żebrzę dla niego na gościńcu, a co uzbieram odnoszę mu wiernie, bom niewolnik... I nie mnie ma jednego, jest nas takich dziesięciu...

O! Formion dorobi się majątku! pożycza grosz na ziemię, na domy, trzyma lupanar w Retynie i tabernę nad morzem; ma się dobrze a żyje ubogo. I nie darowałby gdyby się dowiedział, że gębie folgujemy... a odpoczywamy sobie...

I począł znów krzyczeć ubogi, wzywając na imie Bogów przechodniów, aby się nad jego nędzą ulitowali.

Juda wzdrygnął się na ten widok nieszczęśliwego najemnika, który z cynicznym uśmiechem wskazał mu drogę, i sparty o mur znów rękę zeschłą wyciągnął.

Szedł dalej zadumany, a choć suknie miał niepozorne, gdy się zbliżył do miasta, jęli go jedni chwytać ukazując gospody i stręcząc spoczynek wygodny, drudzy

rozpytywać czyliby służby nie życzył i nająć się nie chciał widząc ramiona barczyste i szaty odarte.

Wyrwał się im jak mógł, unikając bicza niewolników i rózeg liktorów, poprzedzających urzędników, i wozów niewiast, przejeżdżających się w wielkim pędzie po ulicach, dla pokazania swych wdzięków, i kłótni gminu, który wychodził z Ganeów pijany, gotów do walki.

Nikt mu nie powiedział drogi, aż przypadkiem natrafił na Izraelitę, który go z mowy i twarzy poznał za brata. Spojrzeli na się, przemówili słowy tajemniczemi, a choć bogatszy, co widać było po stroju i na wpół poganin, Hebrejczyk podjął się Judzie pokazać dom, którego szukał.

Na górze, nad miastem, stał zamknięty murem wśród sadu, dom Hananiasa, do którego Helios dał mu pismo polecające.

Nawet na ludzi obcych, obyczaju różnego i życia, rozwiązły Neapolis ówczesny wywierał wpływ wielki choć powolny — mimowolnie tracili oni charakter, który ich wyróżniał, ścierały się ostrzejsze jego rysy, zastosowywali do ogółu, uginali i łamali pod nieustannym przykładu ciężarem. Hananias był bogaty, a ze złotem do domu jego weszły zwyczaje greckie, pogańska ogłada owego wieku, obojętność i trocha niewiary. Hebrejczyk dawno był przestał ścisłego zachowywania zakonu choć się go jeszcze nie zaparł, nie nosił nic coby go od Greków i Rzymian różniło, starał się nawet za jednego z tutejszych uchodzić. Dom miał na sposób krajowy, niewolników przyuczonych obrzędem mu służyć i kochał się tak w pięknych naczyniach, w pięknych szatach i malowanych i sprzętach jakby wychowaniec Grecji.

Atrium jego domu spoczywało na marmurowych kolumnach, biła w niem fontanna wśród impluvium, które złocone napełniały rybki, a choć w głębi brakło ołtarzów Bogów domowych, zastępowały go drzwi, prawie takiego kształtu jak świątyńka Larów gdzieindziej, i nie dziwiło to nikogo, bo penaty częściej już mie-

szkały przy kuchni niżeli na poczestnem miejscu domu [1]). Rozporządzenie całej zajmowanej przez Hananiasa *insuli*, przepych posadzek, mozajką najrozmaitszą wysłanych, kobierców i zasłon był tak wielki jak w domach patrycjuszów; naczynia kosztowne, stoły i siedzenia kością słoniową sadzone, ozdobne kathedry, wspaniałe *aedicula* i *pyxisy* świadczyły, że majątek Hananiasa pozwalał mu wszelkiego zbytku, a wiara żadnego nie wstrzymywała.

Wiele też z tych rzeczy cennych kupiec pobrał na targu w dobrą chwilę, gdy nabywców brakło, lub w długach za bezcen otrzymał.

Hananias nie był złym człowiekiem, ale nie miał serca; rachuba surowa, sprawiedliwość ścisła i bezlitośna zastępowały dlań uczucie, którego nie znał. — Tych dwojga dosyć było na zrobienie majątku i nienawiści u ludzi. Oddaj coś winien, powtarzał choćby umierającemu — i z umarłego kazał zdzierać szatę ostatnią, jeżeli mu się nie wypłacił za życia. Prawda, że ściśle też spełniał obowiązki swoje, ale tyle tylko ile wymagało po nim prawo, zwyczaj lub zobowiązanie, nic mniej, nic więcej; miał dla ubogich przeznaczoną ilość jałmużny, owoców, chleba którą rozdawał, gdy ta się wyczerpała — konanie denara by na nim nie wymogło...

Litość uważał za nierozsądną słabość, a dzieła jej za owoce płochości, które nigdy dojrzeć nie mogą, miłosierdziem nawet kierował u niego rozum, a serce najmniejszego w niem udziału nie miało. Na nieprawym czynie nikt Hananiasa nie schwytał, a choć to co prawnie robił bolało często, nie zważał wcale, okuwszy raz wolę w żelazną formę legalności niezbłaganej jak Fatum.

Znano go z rzetelności i surowości najwyższej; obawiali się wszyscy, nikt nie kochał.

Gdy do drzwi jego zapukał Juda, długą chwilę wyczekać musiał nim mu się otworzyły, wyjrzał *ostiarius*, i dostrzegłszy odartego człowieka z kartą w ręku, ledwie nań chciał rzucić okiem.

[1]) W wielu domach Pompei.

— Hananias syn Daniela tu mieszka? — zapytał pozdrawiając go Juda.

— Tu, ale go w domu nie ma, wyszedł na Augustale... Alboż nie wiecie, że to jego spraw godzina? ma dosyć ich z dłużnikami i nie mało się upoci nim grosz swój odzyska...

— Hiedy powróci?

— O! któż to wie! zaraz może, może dopiero wieczorem na spoczynek.

— Wpuśćcie mnie bym nań poczekał pod portykiem.

— Co za jeden jesteś?

— Juda syn Abrahama... list niosę od Heliosa z Rzymu.

— Tak jest! a no, to wnijdź i usiądź przy drzwiach atrium a spoczniej... ale nie rychło się doczekasz Hananiasa... i gdy przyjdzie przez *Posticum* [1]), możecie długo tam czekać, nim pismo oddacie...

Wpuszczony Juda przez korytarz mimo celi odźwiernego, wszedł do atrium, rzucił swój kij i tłumoczek i usiadł na ławie, z potu ocierając czoło, a *atriensis* [2]) pilnujący tej części domu, znowu go jął badać i rozpytywać, nim mu tu zostać dozwolił. Potrzeba było przejść przez rózgi wejrzeń, pytań i domysłów, aby u drzwi pozostać.

Nie długo jednak czekał tu przybyły, gdyż w chwilę potem hałas dał się słyszeć u drzwi głównych i Hananias wszedł w towarzystwie kilku osób, głośną prowadzących rozmowę, do głębi domu.

Wiodły ich za nim sprawy różne: byli to wyzwoleńcy podrujnowani, na domy swe i ziemie potrzebujący odeń pieniędzy; stary mąż konsularny, któremu na ostatnią ucztę niedostawało grosza, zużyty i blady; niewiasta jakaś płacząca z klejnotami w ręku i smutnych kilka postaci klientów, błagających zasiłku lub litości.

[1]) Tylne wejście domu.

[2]) Sługa stróż atrium.

Żyd w pośród tych natrętów proszący go łzami, słowy i wymównemi ruchy stał chłodny i nieporuszony. Był to mężczyzna nie młody już, siwiejącego włosa, ale twarzy pięknej i rumianej, bo żadnem nie wyniszczonej uczuciem silniejszem; strój nie różnił go od innych Rzymian, tylko biała czapka na głowie w kształcie zawoju, jaką naówczas nosili żydzi w Rzymie, odznaczała jego pochodzenie.

U wnijścia kategoryczną odpowiedzią pożegnał żebrzących, którzy od Augustale i portyków, aż tu za nim gonili.

— Cajus Sextus, — odezwał się starzec... — grosz jest ciężki, dać go nie mogę, bo nie mam, wszystkoście mi już zabrali, a nikt nic oddać nie chce; codzień trudniej o złoto, i wierzcie mi, że chciałbym wam usłużyć, a nie mogę... darujcie... Ale czemużbyście nie pozbyli się niepotrzebnej wam *Insuli* na Awentynie? Wszak nie mieszkacie tam nigdy? Dałbym wam kupca na te domy...

Starzec mruknął coś po cichu, rzucił nań wzrokiem zagniewanym i klnąc zawrócił się nazad. Hananias odezwał się do kobiety:

Servia Holconia... klejnotów tych nie mogę kupić, drogie są dla mnie... Wyżej nad tysiąc sestercyj nie dałbym za te fraszki, które mi bezpożytecznie leżeć będą... Wiem, że chcecie kupić sobie flecistę, który się wam podoba, a stary Rufo żąda zań dwa tysiące, lecz za prawdę oszukać się dobrowolnie nie mogę... dla waszych łez i prośby.

I zwracając się do innego, rzekł powoli:

— Tranquillusowi dopłacam do wartości jego ziemi oszacowanej przy zastawie... możecież pragnąć więcej? Wszak taka umowa? wszak dzień i godzina minęły? jestem w prawie zajęcia posiadłości, nikt mi nic zarzucić nie może.

Cajus Sextus doszedł, dając na pastwę Eumenidom nieubłaganego człowieka.

Holconia płakała i targała go za suknie, ale łzy na nim nie robiły wrażenia, Tranquillinus groźnie nań

spoglądając mruczał — Hananias stał niewzruszony...

— Ziemi mojej nie wezmiesz — odezwał się po chwili ostatni — stoi na granicy posąg Cezara — który mnie obroni; pozbawionyby był czci, gdybyś ty objął tę posiadłość, bo w bóstwa cezarów wierzyć nie chcecie.

Hananias pobladł, ale nić nie odpowiedział z razu. Od wszystkiego się wówczas broniono obrazami Cezarów, od więzienia, sądu, wyroku, uderzeń, i najwięksi łotrowie opatrywali się w tę tarczę, której nikt, obawiając się prawa *laesae majestatis* tknąć nie śmiał...

— Odniosą ci posąg Cezara ojca ojczyzny — rzekł po chwili i postawią w twoim domu, — aniś go ty przedawał, anim ja mógł, kupić... ale ziemia jest moja.

Powoli wszyscy się porozchodzili. Ostarius drzwi za niemi zaryglował, a Hananias wszedł pod kolumnadę atrium, i wzrok jego z widocznym wstrętem znużonego niemiłemi sprawy człowieka padł na siedzącego w cieniu Judę. — Baczniejsze wejrzenie dało mu poznać zaraz pochodzenie przychodnia, i cierpliwie czekając co mu powie, stanął przed nim.

Przychodzień schylił się pokornie i podał pismo Heliosa.

— Cóż ten pisze? — mruknął Hananias roztargnionym wzrokiem mierząc zwitek — i czego przychodzisz?

— Helios z Rzymu do ciebie mnie przysyła...

— Czegoż żądasz?

Juda w kilku słowach prostych opowiedział mu całą nędzę swoją.

Bogacz słuchał powieści zimno; w owe czasy nic już nie dziwiło, prócz szczęścia i długich lat spokoju. Śmierć starca Pisona umierającego w łóżku była dziwowiskiem, o którem rozpowiadał sobie Rzym cały, wszelka inna dola najpospolitszą rzeczą; ci nawet, co mieli szczęście biesiadować z Cezarem, gdy wyrok śmierci z triclinium ich wyciągnął, jak Asiniusa Galla, bez szemrania, otarłszy usta, szli na śmierć nie wyrzekając na losy.

Dziwiono się cnocie takiej jak Geminiusa Rufa, który

przebijając się mężnie zawołał: — Powiedzcie senatowi że tak umiera Rzymianin! — ale nie zwracano oczu nawet na wszelaką podłość, na najstraszliwszą dolę, i gdy u trupa Sabinusa rzuconego na Gemonje, jeden wierny pies tylko pozostał [1]), ledwie czyje serce poczciwą istotę pojęło.

Los też Judy, Rubena i Racheli ledwie nieznaczną zmarszczkę na gładkie czoło Hananiasa wywołał.

— Cóż poczniesz z sobą? — spytał przeczytawszy pismo Heliosa — chciałbym staremu powinowatemu zadość uczynić, ale mam moich ubogich i sam nie jestem bogaty. — Co dla ciebie uczynić mogę?

— Daj mi pracę! rzekł Juda, więcej nie żądam.

— Sądzę żeś uczciwy i wierny — odparł po chwili Hananias, wpatrując się w niego bacznie... Mogę cię użyć wreszcie. Wczoraj dopiero po jednym z Sejanów, który w czas sobie życie odebrał, objąłem domostwo w długu i kilku niewolników przy Capuańskiej bramie, nie mam tam dotąd dozórcy.

A choć w ergustulum ledwie coś niedołęgów głodem zamorzonych dysze, i nad temi oko mieć potrzeba, ażeby w góry nie poszli.. Mógłbym cię tam osadzić dozorcą; dom opuszczony, niewolnicy nie wiele warci, ale i to mnie grosz kosztuje...

Westchnął jakby od ciężkiego przypomnienia.

— Straciłem na nich kilka tysięcy sestercyj! — rzekł jakby do siebie — jeszcze niedołęgów karmić potrzeba; a kupić ich nikt nie zechce, bo co było lepszego, sprzedał niecnota.

— Zrobię co mi każecie! — odezwał się Juda.

— Idź tam, chleb mieć będziesz, — dodał stary — później zobaczym do czegoś zdolny.

I klasnął w ręce na atriensa, rozkazawszy przywołać starszego nad niewolnikami, aby dał sługę i zaprowadzić polecił Judę do domu przy Capuańskiej bramie.

Poczem głową skinąwszy odszedł, zapowiadając, że

[1]) Dio Cassius.

później sam przybędzie dla obejrzenie posiadłości.

Juda, prowadzony przez milczącego niewolnika, ubocznemi drożynami po za miastem, dostał się wreszcie do miejsca, którego dozorcą tak niespodzianie został mianowany. — Był to plac dosyć znaczny i budowa obszerna, ale od lat wielu pobytu pana w Rzymie opuszczona; niegdyś wspaniała willa, dziś pustka, której piękne drzewa stare świadczyły tylko o starannem dawniej utrzymaniu...

Drzwi jej główne wychodziły na ulicę, i obite były blachami bronzowemi, które rdza poprzejadała w wielu miejscach; bogowie opiekuńczy Janus, Forculus (Podwójnik), Limentinus (Próżnik), Cardea (Zawiasowa bogini), nie ustrzegły ich od zniszczenia, bo w wązkiem przejściu, wiodącem do *Cavaedium* (głównego podwórca [1]) niegdyś przez psy i stróża pilnowanego, dziś tylko obite na ścianie malowanie psa na łańcuchu wyobrażające, z napisem *cave canem*, jakby na śmiech zostało. Rosły tu trawy blade i przechadzały się węże z podniesionemi głowami. Napis *Have* (Salve), wyłożony mozaiką na drugim progu wygnieciony był, śmieciem zarzucony i nieznaczny, — nie było komu witać, i kogo...

Samo podwórze, *atrium* stare znać, wzniesione było dawnym obyczajem (ex more veterum), bez kolumn, spartym na belkach tylko otoczone daszkiem, którego dachówki w wielu miejscach opadłe leżały na ziemi. Ziela rozścielały się w niem wszędzie, kryjąc ślady jakie po sobie zostawiło umyślne i powolne zniszczenie. Drzwi, które dzieliły *atrium* od *tablinum*, równie opuszczonego jak dom cały, ledwie się jeszcze trzymały na zawiasach. Ztąd już dawno obrazy przodków, drogie naczynia, stoły kosztowne, przeniesione gdzieś zostały i szczątki tylko pokruszonych sprzętów dowodziły, że izba ta niegdyś z całego domowstwa była najpiękniejsza. Ze ścian powydzierano marmuru płyty, które je ubierały, posadzka z lithostrotu połupana i spękana, zasuta

[1]) Z grecka zwano je *Diathyrum*.

kurzem i błotem, w wielu miejscach w czarną przemieniła się ziemię...

Dalej w głębi, izby sypialne *cubicula*, i wewnętrzny podwórzec, nowszej już budowy, na kolumnach do pół czerwono malowanych oparty, — również były opuszczone i zarosłe. Przed kolumnami na podstawach stojące jeszcze gdzie niegdzie posągi, nie miały rąk i głów, a inne obalone na ziemię, rozpadły się na drobne okruchy. *Piscina* wyschła od dawna... a woda ustępując zostawiła w niej tylko brudy, które ją długo okrywały...

Wewnątrz obszernego domostwa też samą ruinę i pustki znalazł Juda z śladami zaledwie dawnego przepychu. Zasłony ode drzwi poodrywane były lub szmatami wisiały na pordzewiałych kołkach, łaźnia obaliła się wewnątrz, wschody wiodące na pergulę zsypały w stos gruzów, a *viridarium* zarosło bujnemi krzewy, splątanemi jak gąszcz leśna...

Przeszli ruinę całą i nie spotkali w niej człowieka, nie usłyszeli ludzkiego głosu, nie znaleźli śladu zamieszkania.

Nareszcie bijąc się po tych gruzach i wołając, dokrzyczeli się ogorzałego staruszka, z piętnem niewoli wypalonem na twarzy, który z kluczami naprzeciw nich się wywlókł i padł zobaczywszy Judę, przeczuwając w nim zwierzchnika.

Był to zgrzybiały w pracy i niewoli biedak, tak wychudzony i blady, że litość brała patrząc na nędzę jego; dla niemocy znać do pracy postanowiono go starszym nad innemi i powierzono klucze *ergustulum*, które od strony ogrodu mieściło się w podziemnym lochu.

Trzeba było niewolników obejrzeć do czegoby się przydać mogli, i Juda zszedł po kamiennych wschodach do zatęchłej od wilgoci izby sklepionej, która była ich mieszkaniem. Czarne to było więzienie: jedno okno kraciaste u góry dawało doń trochę światła, podłogę stanowił kamień przesiąkły wilgocią; stół zastępowała bryła cegły pokrytej tynkiem obitym, ławy podobne, trochą słomy potrzęsione, otaczały ściany; kilka rozbitych amfor i glinianych skorup całym były sprzętem

tych nieszczęśliwych, skutych łańcuchami i leżących na ziemi w jakimś pół-śnie choroby, znękania i głodu.

Na odgłos kroków i schrzypłe wołanie staruszka klucznika porwali się niewolnicy, zabrzęczały łańcuchy, czterech ludzi powstało jęcząc z ziemi. Ciała tych nieszczęśliwych wynędzniałe i wychudłe, oczy zaczerwienione i wpadłe, ręce spracowane, namulane od kajdan nogi, popiętnowane twarze, łachmany odartych tunik, ledwie pokrywające nagość, wzbudziłyby litość w najdzikszym.

Wszyscy wstawszy, popadali zaraz na twarz przed przybyłym, a stary Tyro — tak zwano klucznika — jął ich pokazywać przybyłemu, z zimną krwią zastarzałego w niewoli i upodleniu człowieka.

— Oto ten — rzekł wskazując czarnego i barczystego ale ranami okrytego człowieka, którego pochodzenie wschodnie zdradzało rysy twarzy i dzikie a dumne wejrzenie — jeszczeby się na coś przydał może, ale pracować niechce; potrzebuje nieustannego smagania, bo go już i głodem darmośmy morzyli.

Niewolnik spojrzał na starca jakby jego mowę rozumiał, i poprawił czapki kształtem przypominającej frygijską, potem stęknął głosem ogromnym, aż Juda wzdrygnął się, usłyszawszy ten boleśny jęk jego piersi.

— Jest to Parth — dodał stary, — z tych ludzi wiadomo, rzadko się uda co dobrego, ale ręczyska silne. Mówiłem ja dawnemu panu, żeby go nie kupował, ale niecny mango (zręczny handlarz) skusił go szerokiemi ramiony, któremi go chwalił. A w ergastulu to zamiera, przywykłe do powietrza i swobody.

Ten drugi — mówił wskazując człowieka, którego jedna ręka po pięść była ucięta — pochodzi z lasów Germanji; na placu boju musiano mu pięść urzezać. tak się bronił wściekle... Jeszczeby go do młyna użyć można, ale młyn się nasz zepsuł i nie było go za co naprawić.

Człek ten stary i siwy był olbrzymiego wzrostu i rysów twarzy niemiłych, warg wielkich, niekształtnego nosa, cery białej poplamionej żółto i wejrzenia osłupia-

łego, ale chwilami zbielałe jego oczy, z pod brwi nawisłej i zarosłej strzelały nienawiścią dziką i żądzą zemsty okrutną... Grzbiet miał pochylony, a ciało z za szmat odartych wyglądało włosem okryte i błotem zwalane... Chlamyda z niego padała kawałami, gdzie niegdzie wicią poczepiana. Wzrok, który rzucił na Judę, przeszył go głęboko: uczuł w nim nieprzyjaciela.

— Ten już do niczego — mówił dalej Tyro ukazując trzeciego, bladego ale jeszcze młodego człowieka, który leżał na słomie wstać niechcąc, czy też niemogąc — to dzikie jakieś stworzenie od Gothońskich brzegów, Swew może, ale go o nic dopytać nie można. Mrze głodem dobrowolnie, języka jego nikt nie rozumie, on niczyjego. Sprzedać go chyba, to jaki *mango*, poczerwieniwszy i opasłszy, a wystawiwszy na *catastę* (rusztowanie, z którego pokazywano niewolników kupującym), może sobie z nim da radę.

W Judzie największą może litość wzbudził ten zamyślony i obojętny niewolnik, którego nawet bicz Tyrona, sine pręgi zostawujący na plecach, do wstania nie zmusił. Spojrzał tylko na kata obojętnie i leżał jak wprzódy, nie ruszywszy się z miejsca, zdając się wyzywać razów. Wyniszczenie nadzwyczajne widać było na tem ciele, zżółkłem jak roślina, która nie widzi słońca; twarz malowała nieprzezwyciężoną rozpacz, przeszłą już w ołowiane odrętwienie.

— Gdyby był zdrów, jeszczeby i bardzo mógł w ogrodzie pracować, bo to młode i silne... ale uparty, a niczem go pożyć niepodobna... Nie zapłacze choćbyś go ubił, a leżąc tak całe dnie we łzach się kąpie. Znać musiał tam kosztować lepszego bytu. Z niego nie będzie pociechy i nie wielka szkoda gdy zdechnie, jak się spodziewam...

— Ten czwarty — rzekł wreszcie wskazując kalekę z nogą strzaskaną i bezwładną — rusza się o kiju i jednej nodze dość dobrze... a ręce to jeszcze ma silne... Iberyjczyk, zresztą niczego, usłużny wesół, tylko nie wiele umie. — Jam temu nie winien, i nie dziw zresztą, że tak pochudli — dokończył staruszek — dawno już

o nas zapomiano; jeść dniami nic nie było, trochę fasoli i bobu, trochę zdziczałych owoców lub ryby, co się kupiło w porcie za sprzedane owoce... Woda nam zagniła i śmierdzi... doprawdy, jam nic nie winien...

Wszyscy niewolnicy, prócz Swewa, popatrzali na Judę, któremu pilno było wyrwać się z tego okropnego więzienia. Cały zadumany wyszedł na światło dzienne i uczuł, że oddychanie powietrzem może być dobrodziejstwem.

Tak przeszli z kolei wszystkie budowy, ogrody, sad, opuszczone składy i niegdyś wspaniałe podwórce, w których dziś przytułku na noc trudno było wynaleźć. Obejrzawszy wszystko, Juda nie wiedział co robić i od czego począć, tak wiele było do czynienia. Rękami tych pięciu zgłodzonych kalek trudno było dźwignąć zniszczone domostwa i ogrody, a Hananias nie zdawał się skłonny do szafowania groszem na tę kosztowną ruinę.

.....

XXIII.

Cezar, wydobywszy się w końcu z Caprei, błądził po Campanji do koła Rzymu, po kilkakroć, jakeśmy rzekli, zbliżał się już o kilka tysięcy kroków do Pomerium, ale orszakowi swojemu rozkazał się zawrócić i z kolei w Tusculum, w Tibur, w sąsiednich willach podmiejskich przebywał, wlokąc ze sobą wszędzie Macrona i Cajusa, którzy gasnące w nim życie śledzili okiem chciwem przyszłości.

W tym czasie spłonął cyrk blizki Aventynu, pusty za Tyberjusza, który na igrzyska dla ludu był skąpy, i część miasta na górze tej pobudowana ze świątynią Swobody (Libertatis). Cezar przez jakąś próżność czy dziwactwo dobroczynne szkody wynikłe z pożaru sam zapłacić kazał i swoim kosztem odbudował tę część miasta, porządniej i wygodniej niż wprzódy, rozszerzając ulice, dzieląc domy placami przestronniejszemi.

Ani ognia, ani zgliszczów, ani nowego miasta nie oglądał jednak Tyberjusz błąkając się jak wygnaniec.

Zdaje się, że Cajusa podejrzywając o szalbierstwo poznawszy lepiej, czy znudzony nim, myślał o wyborze innego po sobie następcy i szukał kogoś po myśli. Jakkolwiek tajemne były ich stosunki z Macronem, Cezar już o nich coś wiedział, już się czegoś domyślał, odgadywali też coś ludzie, choć ta przyjaźń dla jednych okrywała się obojętnością, dla drugich tłómaczyła miłostkami z piękną Nevią.

Nocne ich schadzki, narady, rozmowy przybierały dla niewolników pozór wesołych biesiad, do których przypuszczana żona pretorjana, przez usłużnego męża rzucona w ręce Cajusowi, mogła te spiski rozpustną spółką czynić dla nieświadomych, co się pod nią kryło. — Macron i Cajus, choć nic nie przedsiębrali, od dnia do dnia w osłabłym Tyberjuszu dopatrując oznak zbliżającej się śmierci, — przerazili się dowiadując, że przed Thrasyllem Cezar utyskiwał, jakoby nie miał kogo po sobie następcą wyznaczyć.

Syn Drusa zbyt jeszcze był młodym,; Klaudjusz, z którego wszyscy wyśmiewali się na dworze, zbyt starym a głupim by mógł panować; obcego rodzinie swej nie chciał naznaczać Tyberjusz; Cajusa, węża, jak go zwał, nienawidził coraz bliżej poznając, — a Macron nawet, bojąc się być odgadnięty, począł drżeć o siebie, gdy w drodze Cezar ze słodkim zagadnął go uśmiechem:

— Neviolu kochany, — obracasz się tyłem do zachodu, a nazbyt ku wschodowi poglądasz — wieszli jednak pewnie zkąd się pokaże słońce?

Drugi raz gdy w rozmowie z Caligulą wspomnieli coś o Sylli, a Cajus sobie z niego żartował...

— Będziesz miał wszystkie jego wady, — rzekł Tyberjusz, — z cnót żadnej.

Bawiąc się z wnukiem, gdy czerwone od zazdrości oko Caliguli spotkał starzec wlepione w to dziecię, — rzekł cichym głosem do niego:

— Zabijesz go, Cajus, ale ciebie zamorduje drugi...

Te półsłówka, wejrzenia, poczęły przerażać coraz bardziej Caligulę i Macrona; naradzili się, nie wiedząc co począć, czekać jeszcze, czy koniec i rozwiązanie

przyspieszyć? Macron począł się radzić Heliosa o życie Cezara, Helios nic mu powiedzieć nie umiał, Charicles śmielszy i pragnący się wodzowi przypochlebić, zaręczał że dni zostało niewiele.

Lękano się wszakże już codzień bezsilniejszego starca, i dawny strach przejmował ich na jedno skinienie, choć Cezar o sobie tylko myślał, czując się u schyłku.

Dawny nałóg tajenia się ze wszystkiem i dziś go nie opuszczał jeszcze, lękał się aby osłabienia jego i zwątlenia nie odkryto; im bardziej czuł się chorym, tem mocniej pragnął siłę okazać i zdrowie. Nie tylko więc nie wstrzymywał się od jadła, napoju i rozpusty, jak mu Helios doradzał, ale coraz dłużej przesiadywał za stołem i pił z towarzyszami często do upadłego.

Naówczas kocie jego oczy zwracały się z szyderskim wyrazem na Cajusa i Macrona, uśmiech błądził po sinych wargach, a spiskowi drżeli o siebie, widząc jak codzień dla nich był słodszym.

Brakło może tylko Tyberjuszowi narzędzia, aby Macrona obalić i Cajusa się pozbyć. Aly dziecie Germanica drogie było Rzymianom, którzy przebaczając mu wiele, ojca i przyszłości nadzieję widzieli w nim tylko; Tyberjusz obawiał się gwałtowniejszego kroku, by nie przyspieszyć wybuchu, którego się domyślał, — udawał ślepego...

Macron, choć posądzany, podnosił się słabością Tyberjusza do coraz większej władzy; Rzym widział po za nim Cajusa. Odważał się nawet do osobistej zemsty, mimo wiedzy starca, do którego przystąpić nikt nie mógł ze skargą, i czynić zadość nienawiści osobistej, posługując się do niej imieniem Cezara. Tak, bez wiedzy jego posłał Macron do Senatu delację na Albucillę, kobietę osławioną, która wyszła była za Satriusa, znanego także z donosów, oskarżając ją o rozpustę i bezbożność względem Cezara *(impietas in principem)* [1]).

W liście pisanym do Senatu zuchwały pretorjanin, aby skrócić procedurę i nie dopuścić uniewinnienia wy-

[1]) Tacyt.

raził: że sam wybadał winnych i niewolników brał na tortury. Od Tyberjusza nie było słowa w tym przedmiocie do Senatu, ale już list Macrona stał się dostatecznym. Zamieszani w tę sprawę Domitius, Vibius i Arruntius, ludzie wysokiego rodu i wielkiej zasługi. Dwaj pierwsi już przeczuwając prędką zmianę panowania, gdyż mimo tajemnicy otaczającej go, słabość Tyberjusza była wiadomą a wiek późny i rozpusta kazały się domyślać prędkiego końca — nie spieszyli się ze śmiercią. Vibius powoli niby głodem się morzył, Domitius gotował do obrony układając mowę.

Senat patrzał przez szpary na to, że pierwszy żył zbyt długo, a drugi zbyt powolnie mowę gotował; doradzano zwłokę podobną i Arruntiusowi. Ale ten odpowiedział, że nie każdemu podobne środki przystoją.

— Żal mi — rzekł — żem dotąd żył i wśród obelg i niebezpieczeństw życia bronił, długo nienawidzony przez Sejana, dziś przez Macrona; gdy zawsze jakiś ulubieniec panować musi, zginąć wolę, niż żyć spodlonym, choć winy w sobie nie czuję. Możebym dziś wykupił się zwłoką od umierającego starca, jakże uniknę młodego tyrana, który nastąpi po nim? Gdy mimo długiego doświadczenia i życia kolei, upojenie władzą zepsuło Tyberjusza, czegoż sie można po Cajusie spodziewać, ledwie wyszłym z dzieciństwa, nieświadomym niczego a najplugawszemi karmionym przykłady, bo prowadzonym przez Macrona, gorszego nad Sejana, i wybranego na jego zgubę[1]).

Wołając nakoniec, że nie chce dożyć przyszłości, Arruntius otworzył sobie żyły i umarł... Albucilla chciała sie zabić, i raniła tylko; wspólników jej rozpusty senatorów, Pretora i tego Balbusa, który wymowną gębę poświęcał niepoczciwym sprawom, stając jako prawnik zawsze przeciwko niewinnym a naigrawając się z cnoty, skazano na śmierć.

Ale się już zbliżał koniec tego straszliwego dramatu i panowania; Tyberjusz konał powoli, Rzym

[1]) Tacyt Annal. VI. 48.

w ciszy oczekiwania wyglądał niecierpliwie jego zgonu. Senat z każdym listem spodziewał się wieści o wschodzącej jutrzence, lepiej tusząc po następcy.

Cezar — powiada Tacyt — im bardziej słabł, tem silniejsze w sobie starał się okazywać życie, duch w nim jeszcze trwał potężny... ciało tylko zużyte gniło, rozpadało się i niszczało co chwila. Napróżno wyprawiał żarty i przy biesiadach do wesołości zachęcał, nikogo to kłamstwo, tyle go kosztujące, nie oszukało.

Z Tusculum kazał się wieźć znowu na brzeg morza; nie będąc już w stanie dopłynąć do Caprei chciał przynajmniej umierać patrząc z dala na szafirowe morze, w którem spoczywała ulubienica.

Na przylądku Misene stała willa, dawniej należąca do Luculla[1]) patrząca, wedle słów Fedra, na Sikulskie i Tusków morze z góry wierzchołka. Tam gdzie przepychem i zbytkiem wszyscy przesadzali jedni drugich, willa Luculla gasiła jeszcze inne swą wspaniałością i bogactwem. Sławne to miejsce Lucullus wziął po Marjuszu i Cornelji matce Grachów, aby z przytułku cnoty uczynić gniazdo rozkoszy.

Do koła stały wille; Cezara dawniej, potem Augusta, w której po śmierci Antonjusza przebywał Oktawjusz, Pompejusza, Hortensjusza, Catona, Varrona, Vatiusa... Z wierzchołka tej góry oglądać było można stojącą w zatoce flotę rzymską, a w niewielkiem oddaleniu od willi Luculla znajdowały się gmachy, ku potrzebie floty wzniesione, podziemne pisciny na olbrzymich wsparte filarach, pieczary o stu izbach ciemnych, w których niewolnicy, żołnierze i tłumy służebników jęczały skazane na nieoglądanie słońca i pozbawienie powietrza... Wszędzie tak obok najwymyślniejszych rozkoszy musiała w pogańskim świecie stać

[1]) Phaedrus. Fab. X, II, V.

Caesar Tiberius quum patens Neapolim
In Misenensem venisset suum,
Quae monte summo posite Luculli manu,
Prospecta Siculum, et prospicit Tuscum mare...

najstraszliwsza niewola i nędza; ale zdawało się koniecznem by ci których nie miano za ludzi nawet, padali ofiarą wybranych.

Ville te zamykały w sobie co tylko życie uprzyjemnić i rozpieścić mogło; jedne z nich budowano na zimę, inne na lato, zwracając ku słońcu lub otaczając je cieniem. Ulice platanów, jeziora, sadzawki, w których ulubione karmiono ryby, rzeki, łaźnie, groty chłodne i pieczary cały dzień wygrzewające się na słońcu, portyki od północy, galerje na południe, ogrody, teatra, wszystko tam znaleźć było można, czego najwymyślniejsza zapragnęła fantazja [1]). Zdobiono je jak cacka, wyścielano jak gniazda, chlubiono się niemi jak zasługą.

W pośród tych budowli, jedna nad drugą wspanialszych i piękniejszych, niedaleko wieży strażniczej, która strzegła portu w Missenie, na górach i rozpadlinach skał wzniesiona błyszczała willa Luculla, nowo przyozdobiona dla Cezara. Niespokojny szukał jak zwierz przeczuwający śmierć łożyska, przenosił się z miejsca na miejsce, obawiając końca, ludzi, życia, obrzydłszy drugim i sobie, zgonu wreszcie doprosić nie mogąc.

Za nim szli w ślad ci, których się lękał, nienawidził a ciągnął ich za sobą — wlokący się w pokorze z pochlebstwem na ustach i nienawiścią w sercu; — tłum przygnieciony... milczący, posłuszny, stado kruków opodal krążące nad zdychającem zwierzęciem.

Gdziekolwiek przybył Tyberjusz, długo wymieszkać nie mógł, zachciewał zmiany, spodziewał się polepszenia gdzieindziej, niecierpliwił póki nie stanął, nazajutrz już tęsknił i puszczał się dalej znowu... Po Tuskulum i Tibur wołał wielkim głosem Caprei, dyszący ledwie, zesłabły żądał jej powietrza i ciszy...

Zdala spojrzawszy na Rzym, z pod murów jego prawie rozkazał orszakowi zawrócić, już w Astura uczuł się chorym ciężko, ale w oczach Macrona i Ca-

[1]) Zobacz opis willi Vatiusa, w listach Seneki. Ep. 56.

jusa dojrzawszy radości, na przekór silił się zdrowego udawać; w Circei, dokąd go potem wieziono, znów odżył trochę, a co nigdy prawie igrzyskom się nie lubiał przyglądać, zażądał tu wojennych widowisk. Słowo jego było rozkazem, nocą usypano cyrk z ziemi, wyłożono marmurami ze ścian domów i świątyń zdartemi siedzenia dla Tyberjusza Augusta, postroili się wszyscy wytwornie i lud zbiegł przyglądać dawno niewidzianemu igrzysku.

Ale nie było zwierza, za którymby się uganiać mogli niewolnicy i gladjatorowie, jeden dzik tylko dał się schwycić w górach. Cezar kazał go pędzić ku sobie, aby dać dowód siły, własną go przebijając ręką. Cajus który stał za nim, przelękł się widząc z jakim zamachem rzucił włócznię, która wywołała oklaski, zatrząsłszy się we wnętrznościach zwierzęcia. Ale tuż za włócznią rzuconą padł Cezar na ziemię wysilony, i gdyby go Macron z przybocznymi nie wstrzymał, byłby się w prochu cyrku tarzał. Na rozgrzanego ucztą i spoconego igrzyskiem wiatr wionął w tej chwili, i Tyberjusz powrócił do willi, jęcząc ze ściętemi zębami, zbladły, a krew kilkakroć rzuciła mu się ustami. Myślano już, że skona, Cajus źle nawet już taił radość i niecierpliwość pochwycenia władzy. On i Macron patrzali po sobie szydersko się uśmiechając, śledząc oddech coraz słabnący, gasnący, ledwie dojrzany; ale Tyberjusz dźwignął się z sarkazmem w ustach i spojrzał na nich.

Wstał i żył znowu — struchleli spiskowi.

— Do Caprei! do Caprei! zawołał — tam tylko żyć można...

W milczeniu orszak puścił się z nim ku Misene, zkąd okręt ich przewieźć miał na wyspę...

W drodze strach i przerażenie panowało na dworze Tyberjusza, nie wiedziano co począć. Macron klął życie uparte... a bogi wzywał na świadectwo, że swojeby dał za pana. Starzec widział kłamstwo i udawał, że go nie rozumie, aby nie przyspieszyć śmierci.

Pochód przez Campanję był powolny i do pogrzebowego podobny, choć Cezar starał się go uczynić we-

sołym, kłamiąc twarzą, zmuszając do żartów i śmiechu przybocznych.

Tak przybyli do Puteolów i brzegiem prześlicznej zatoki i ciągnęli ku willi Cezara, który legł znowu podróżą, choć powolną, do ostatka znękany...

Od Circei do świątyni Serapisa, w której chwilę się dwór zatrzymał, słowa prawie z ust Tyberjusza nie słyszano, ruchami tylko dawał znać, że pragnie wesołości, twarz jego pokaleczona wrzodami, oczy krwawe, usta zapadłe, opadająca głowa, zwiastowały nadchodzącą chwilę ostatnią. Gdy Macron zbliżał się po rozkazy, Cezar dawał mu je ręką drżącą, ruchem ust niepostrzeżonym. Oczy jego zwrócone były na Capreę, gdzie chciał odżyć w wonnem powietrzu, ale przybyć tam brakło mu siły, trzeba było spocząć w Misene; czekać dnia pogodnego, by się na wyspę dostać. Jak czarowny kraj snów, stała ona przed oczyma jego w przeźroczach powietrza i morza ametystową barwą okryta, zdając się wabić ku sobie... Stała tuż blisko, a między nią i Cezarem śmierć już zaparła drogę...

Macron i Cajus spoglądali po sobie niespokojniejsi coraz, dwór już się zwracał ku nowemu słońcu, oczekując jego wnijścia. W Caliguli widziano nie wychowańca Tyberjuszowego, ale syna bohaterskiego Germanika i ostatniej godnej imienia rzymianki, matrony Agryppiny, — nikt nie znał jego serca...

Pokryty zasłoną Tyberjusz spoczywając na wozie, który wolno ciągnął się brzegiem morza do willi Luculla, zbliżał się na miejsce, gdzie chwilowo miał tylko odpocząć. Gdy stanęli przed długim portykiem od podnóża gór, marmurowych kolumn, lasem wiodących na wierzchołek, potrzeba było otworzyć wóz i dźwigać chorego na ramionach, gdyż o swej sile iść nie mógł. Uśmiech jego zjawił się na jego ustach, a pierwszem słowem było wołanie o łaźnię i ucztę, które już nań czekały. Wniesiono go prosto do kąpieli...

Na górze, z której cudny widok rozlegał się dokoła, pozostali tylko Charicles mający tegoż dnia powrócić do Rzymu, Macron i Cajus... Twarz ostatniego mimo

wyuczonej obojętności wydawała najwyższe rozdrażnienie i niecierpliwość, był jak zgłodniały podróżny, któren ma przyobiecaną ucztę a doczekać się jej nie może.

Macron z dzikim swej twarzy wyrazem, patrzał nań uśmiechając się, a w oczach jego znać było rachubę, która omylić nie mogła; chęć panowania nad bezsilnym i blasku tylko i nasycenia, jak sądził, pragnącym towarzyszem. Chwilę milczeli wszyscy, obawiając się jeszcze słowem zdradzić, gdy Charicles śmielszy od nich, obejrzawszy się, począł po cichu:

— To już ostatki! — rzekł ostrożnie — Cezar kona widocznie... choć niechce umierać.

Życie w nim jak olej w lampie dopaliło się do dna, knot tylko jeszcze skwierczy tłustości resztkami.

Cajus chciwie usta nastawił.

— Jesteś pewny? — zapytał.

— Albożbym mówił wątpiąc? — słowa to są śmierć niosące.

— Kiedyż? — rzekł Cajus.

— Fatum wie tylko... dziś... jutro... za godzinę... Zobaczymy go u stołu, reszty życia uczta zabierze...

Macron i Cajus cicho coś z sobą szeptać poczęli, wtem szmer dał się słyszeć i niewolnicy niosący przybory do wieczerzy, poczęli się snuć w portykach.

Cezar wychodził z łaźni, Cajus spieszył z nimi dzielić triclinium.

Izba, do których wezwano starych biesiadtowarzyszów, przygotowawszy w niej stoły, była z obu stron otwartą i dokoła kolumnami otoczoną. Z dwóch boków jej podniesione zasłony purpurowe ukazywały w ramach szerokich drzwi, gląb' ogrodów willi już kwitnącemi i wonnemi obsypanych krzewami, a w drugą stronę szerokie morze i śpiącą na nim flotę. Chociaż kilkanaście dni jesze dzieliły od Kalend kwietniowych, wiosna na tem szczęśliwem wybrzeżu rozwijała się już z całą siłą i przepychem klimatu najrozkoszniejszego pod słońcem. Powietrze wonne, śpiew ptaków, zapach kwiatów, uśmiech wiosny — wszystko zachęcało do życia, odzywając się weselem... Spokój wieczorny pocałunkiem Hespera zdał

się wygładzać morze, którego niezmierne płaszczyzny tak były czyste i jasne, że w nich jak w źwierciadle odbijały się wyspy i lądy i blaski zachodu i białe willi gmachy.

Zorza zachodzącego słońca ciepłemi promieniami stroiła ten krajobraz niezmiernego wdzięku, tak uroczysty i wielki, że oczy nawet znękanych życiem ludzi, zwracały się ku niemu, by zeń trochę pokoju i nadziei zaczerpnąć.

W jadalnej izbie tak na dwie otwartej strony, przysposobiono ucztę mającą zatrzymać biesiadników przy stołach do dnia, ucztę, która dla zniewieściałych Rzymian ówczesnych stanowiła najważniejszą w życiu godzinę. Zwykły dwór Cezara, niewielki liczbą, znanych twarzy kółko, otoczyło Tyberjusza, którego złożono na łożu wspaniałem, sadzonem perłową macicą i złotem, widać było, że ostatka sił dobywał, aby dotrwać do końca, i niespokojnem okiem mierzył świadków, niezręcznym śmiechem aktora, pokrywając trawiącą go boleść...

Spotkał wzrok Cajusa zwrócony w siebie, badawcze oko Macrona, i domyślił się raczej niż wyśledził, że Charicles w ruchach jego symptomów choroby szukał.

Napróżno wesołą usiłował począć rozmowę, nic nie szło, nie było mówić o czem; Thrasyllus, Retorowie, wszyscy milczeli, nie umiejąc słów znaleźć.

Tyberjusz czuł że go badano, milczał bojąc się zdradzić głosem, usta wśród uśmiechu zaprawiały się goryczą, zadumywał długo trzymając czaszę przechyloną, z której wino i róż liście spływało na purpurową szatę. Jak cienie na polach Elizejskich przesuwały się przed nim śliczne postacie młodzieńców i dziewcząt posługujących do stołu... a w piersi Cezara młodość ich budziła uczucie zazdrości.

Podli ci niewolnicy mieli przed sobą życie, pan świata widział śmierć tylko.

Tyberjusz po chwili wniósł aby spełnić pięćkroć pięć czasz magistralnych i wino zaprawione wonią krą-

żyć zaczęło, on sam wypijał je żywo, jakby z niem chciał wlać w siebie nowe życie.

I wkrótce martwe jego lice, zbladłe krwią nabiegać, oczy złowrogiego poczęły nabierać blasku, trochę sił wróciło starcowi; ale to nie trwało długo, za trzecią czarą podniósł się i rzucił gwałtownie jakby poczuł w sobie żądło śmierci i opadł na łoże przysłaniając końcem szaty.

Cajus i Macron porozumieli się wejrzeniem przelotnem, ale twarze ich w tej chwili tak były blade jak ściany białego marmuru, na których się malowały.

— *Habet*! — rzekł Cajus do towarzysza głosem tak stłumionym — że jak szmer wiatru słowa te przeleciały do uszu Macrona.

Charicles zbliżyć się chciał do Cezara, ale trwoga przykuła go do łoża.

Tegoż wieczora miał on odjeżdżać do Rzymu, Tyberjusz go zatrzymał tylko na biesiadę wieczorną. — Podano ostatnie napoje i miano skończywszy libacją wstawać od stołów — Cezar zdawał się konać, tak oddech miał ciężki, przerywany, a wzrok osłupiały, i gdy szatę odrzucił, ujrzano krople potu występujące na jego czole.

Porwał się jeszcze i sparł na łokciu, zwracając twarzą ku towarzyszom.

— Dla czego milczycie? — rzekł głosem zmienionym — milczenie nie jest Bogiem biesiady, złe z nią w parze chodzi. Czemu nie zaśpiewa chór? dla czego Priscus nie każe greckim skoczkom, wesołym nas zabawić tańcem?

Rozkaz był jeszcze wszechmocnym, ale to, co zwykle wesele budzi, napiętnował się skutkiem... Weszli Saltadorowie i śpiewacy, pieśń się ozwała miękka, lubieżna, rozkoszna, tęskna, ale po za nią wiał jakiś głęboki smutek, drżało przerażenie jakby przeczucie zbliżającej się burzy.

Oko Cezara osłupiałe nie śledziło ruchów tanecznic, nie zwracało się za ich biegiem, utopione w dal ciemną, zastrzęgło i ścięło się bezmyślnie.

Wśród zabawy Charicles powstał aby pożegnać pana, przystąpił ku niemu, przykląkł i całując rękę drżącą i zimną, gdy ją niósł do ust, ujął tak zręcznie, by dobijającego ostatków życia pulsu namacać [1]). Tyberjusz drgnął, odgadł myśl jego i szkliste oko zatrzymał chwilę na Greku, z groźbą zimną jak dotknięcie miecza.

— Starzec! — rzekł — ostatka sił pytasz we mnie? nie prawdaż? Boisz się poczciwy, stary mój sługo, ażebyś pana nie stracił... Nie bój się! żyje Cezar jeszcze i długo żyć będzie — dodał ciszej słabnącemi usty.— Nie dobrze jest nocą przebiegać pola Campanji, zostań z nami do dnia, przeciągniemy ucztę jak bywało w Caprei... niech Priscus każe rozpocząć na nowo, niech nam dadzą wina, jadła, śpiewu i wesela...

Życie krótkie... potrzeba go używać.

Wszyscy na te słowa zadrżeli, bo starzec ledwie się dźwigał, brakło mu tchu widocznie, lecz Priscus był posłuszny.

Wnet nowy orszak młodzieży pobiegł drugą ucztę gotować, świeże przynosząc wieńce, amfory i czasze. A że mrok coraz gęstszy zalegał wnętrze sali i blask tylko dnia ostatni odbity od morza źwierciadeł słabo oświecał triclinium, wniesiono kandelabry i lampy, spuszczono zasłony z stropów, posypały się kwiaty i polały wonie, — rozpoczęto biesiadę na nowo...

Cezar, a za nim towarzysze nową wylali libacją bogom. — Charicles musiał pozostać.

Nie radbym i chwili stracić — rzekł Cezar do niego — tyś mój stary przyjaciel i sługa, jedziesz do Rzymu, ja ciągnę do Caprei mojej, nie wiem kiedy się zobaczymy znowu... Wiem żeś przywiązany do Cezara, używaj z nim razem.

Charicles zadrżał z trwogi; Tyberjusz obrócił się potem do Cajusa.

— I ty coś chmurny jesteś — rzekł — a wiek twój nie po temu... Dla czego wszystko co mnie dziś otacza smutne? Jam przecie wesół i chcę by mi się

[1]) Historyczne.

śmiały oczy wasze i usta.

Ale próżne to były zachęty...

Czasze poczęły krążyć nieustanne, a choć z ametystowej pił Cezar, widać było po twarzach, że Falernus stary bił do głowy. Niepokój tylko o życie wytrzeźwiał trzech ludzi, których jedna myśl i pragnienie wiązało.

Macron, Cajus, Charicles już byli wszechwładni, a postrach trwał jeszcze, bo chmurna brew Tyberjusza marszcząc się mogła wyzwać nową siłę w posłusznych niewolnikach Priscusa.

Ale już co chwila, mimo upojenie i udanie, twarz groźna stawała bladszą, a znaki zbliżającej się śmierci widoczniej na niej piętnowało — napróżno wysilał się, bełkotał, uśmiechał trwając w komedji do końca, wszystko zwiastowało ostatnią jego godzinę.

Śpiewały chóry greckie, krążyły czasze, a chwila każda wiekiem zdawała się nieprzebytym.

Nareszcie Tyberjusz osunął się na poduszki i zdawał dogorywać, kilka razy zdejmował z palca pierścień, trzymał go w drżącej dłoni, jakby chciał oddać komuś, poglądając na Cajusa i Macrona, i znowu kładł na rękę...

Żaden z tych ruchów nie uszedł chciwych oczu świadków czatujących śmierci.

Słudzy naostatek wzięli go na barki i zanieśli do sypialni, dokąd trzej strażnicy powlekli się za nim niespokojni.

— Silne życie! — powtarzał Cajus ściskając usta i przez zęby cedząc wyrazy.

— Dobił się sam przecie — mówił Charicles — nie dożyje wschodu słońca.

— Czas wreszcie aby się to wszystko skończyło! — dodał Macron.

U drzwi zapuszczonych zasłoną, za któremi złożono na pół martwe ciało Tyberjusza, stanęli z uchem do ściany przyciśniętem, słuchając oddechu, szpiegując szelestu.

W izbie panowała cisza niczem nieprzerwana, ani jęku, ani westchnienia, ani głosu..

— Umarł — rzekł Cajus niecierpliwy.

— Idźmy i zobaczmy.

— A jeśli żyje?

— To żyć przestanie — odparł chwytając zasłonę Macron — żył dosyć!

I dźwigając drzwi silną ręką żołnierską pretorjanin wszedł śmiało do izby.

Dwóch niewolników opodal od łoża siedzieli na ziemi w milczeniu patrząc na łoże Cezara, który leżał nie dając już znaku życia. Marcon zbliżył się i zwieszoną bezwładnie ujął rękę z pierścieniem — zimną była i skośniałą.

Cajus z po za niego poglądał, i podany annulus, znak władzy przyjął w dłonie drżące...

Ale w chwili, gdy połą szaty opadłej na ziemię miał Macron przykryć trupiej bładości twarz Cezara — zmarły podniósł głowę, otworzył oczy straszliwie i uśmiechnął się złowrogo... Cajus i Macron cofnęli się przerażeni... śmierć zajrzała im w oczy.

Wódz pretorjanów jednak nie stracił przytomności.

— Dawus! — rzekł do niewolnika, który za nim stał drżący — narzucić mi poduszki na to martwe ciało...

Nie będziemy malować tej sceny ohydnej zgonu Tyberjusza; głuche o niej chodziły wieści po Rzymie, lecz dwaj dziejopisarze [1]) podają, że dogorywający Cezar przygnieciony został poduszkami i uduszony wprzód nim skonał, a ręka Cajusa, przybranego syna, na gardle jego zostawiła ślad ostatniego uścisku...

Syn Germanika mścił się za ojca, matkę i brata.

Zaledwie podniesiono drzwi zasłonę i spiskowi wyszli z izby, straże i niewolnicy do koła willi zebrani jakby tylko czekali na nich, ozwali się szmerem radośnym, potem głośnemi okrzyki. Odgłos ten zwiastujący śmierć Tyberjuszową pobiegł brzegami morza, w pola Campanii, drogą Apijską potoczył się ku Rzymowi, na

[1]) Tacyt i Swetonjusz.

skrzydłach wiatru przeleciał na krańce państwa, i nieopisana radość wstrzęsła miljonami ludzi...

Cajus natychmiast obwołany został następcą... nikt nie wątpił, że senat musi mu dać władzę, syn Germanika miał w ręku pretorjanów i wojska. Nigdy śmierć może tak zgodną nie była powitana radością.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Zbiór powieści

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom ośmdziesiąty drugi i ośmdziesiąty trzeci.

CAPREÄ I ROMA.

OBRAZY

Z PIERWSZEGO WIEKU

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Magnus ab integro saeclorum nascitur ordo.
Virgilius. Ecl. Pollio.

Tom III. i IV.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1875.
WARSZAWA.
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Pillera i Gubrynowicza et Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

XXIV.

Rzym znał tylko Caligulę z jego uwielbianego ojca i nieszczęśliwej matki; syn rodziców z któremi walczyć nie mogąc Tyberjusz pozbyć się ich musiał zdradliwemi środkami — odziedziczył po nich miłość tak serdeczną jakby była zasłużoną. Przykładała się do zwiększenia jej i skryta nienawiść ku Tyberjuszowi, którego dwudziestokilkoletnie rządy tyle krwi rozlały i tak spodliły Rzym stary.

Wieść o zgonie starca natychmiast wyniosła Cajusa, na którym wszystkie spoczęły nadzieje. — Niedowierzano wprawdzie z razu, sądząc że Cezar jeszcze probuje rozgłosu śmierci, aby nim zbadał kto jest jego nieprzyjacielem, ale gdy jedni za drugiemi gońce przybywać zaczęli do Rzymu, zapewniając, że martwe widzieli zwłoki, niesłychanym wybuchem objawiła się radość ludu rzymskiego.

Ulice i rynki napełniały się tłumami, które ściskając się ze łzami winszowały sobie oswobodzenia Rzymu, jak gdyby groźny nieprzyjaciel odszedł od wrót jego, lub płomień niszczący co go miał pożrzeć, zagasł stłumiony. Nocą spotykali się ludzie u drzwi zamkniętych świątyń, niosąc ofiary dziękczynne.

W jednej chwili zmieniła się postać Rzymu, przed kilką godzinami milczącego i głuchego: krzyki radości rozległy się po Forum, powrozy zarzucone na szyję posągów walą je i kruszą, błotem zacierają imie tyrana w napisach; przewódzcy gminu wołają by trupa Tyberjusza do Tybru rzucić, wlec go hakiem do Gemonij... modlą się by ziemia matka nie przyjęła do swego łona cieniów jego, zsyłając je w miejsce pokuty bezbożnych.

Rzym ucztuje i święci wielki dzień, który nowe rozpoczyna rządy, nie wiedząc jaką wita jutrzenkę.

W Misenie głucho, — trup siny, rzucon samotnie spoczywa na łożu zasłanem purpurą; Cajus, którego już wszędzie okrzykują pretorjanie, myśli i naradza się z Macronem.

Niespokojny, chciałby co prędzej pochwycić władzę, a wrzask ludu, rozradowanego śmiercią Tyberjusza, każe mu rozmyślać jak ją ująć i sprawiać. Z dnia na dzień, z tego posłusznego niewolnika jakim był przy Cezarze, Cajus stał się człowiekiem.

Nie zapomniał, że Tyberjusz był jego przybranym ojcem, a choć dla pozyskania serc ludu chciałby się połączyć z temi co nań miotają przekleństwa — czuje, że winien choć pozorną oznakę czci zmarłemu...

Zabierał się więc, mimo krzyku żołdactwa, które w mieścinie Atella, między Capuą a Neapolem chciało spalić Tyberjusza zwłoki — wieść je na stos do Rzymu i w liście do Senatu prosił by zmarłemu przyznano cześć boską.

Choć przez Macrona władał pretorjanami i w Rzymie wszystkich miał Cajus po sobie, w istocie jednak nie był niczem jeszcze, tylko wątpliwym spadkobiercą Tyberjusza. Dwa testamenta zostały po Cezarze, ale władzy swej przekazać nie mógł, bo Senat tylko nią rozporządzał, w ciągu ostatniego panowania przetrzebiony i rozbity, spełniający rozkazy pokornie i z między siebie nawet dający ofiary panu.

Słabość jego nie mogła w jednej chwili się zmienić: było nawyknienie posłuszeństwa i niewoli, użył więc chwilowej władzy i znaczenia, z których był dumny i zdziwiony, by na żądanie Macrona, na pokorny list Cajusa, przypominający mu że był synem Germanika, — odpowiedzieć uznaniem Caliguli jedynym spadkobiercą czci, władzy i dostojeństw po Tyberjuszu.

Cajus, udając smutek i pobożność, z ciałem zmarłego wyszedł uroczyście do Rzymu, a tłumy wszędzie wybiegały przeciwko niemu, witając w nim ukochane dziecię nadziei, najpieszczotliwszemi zowiąc go imiony. Caligula zdawał im się mieć wszystkie cnoty, których brakło Tyberjuszowi, a pierwsze jego kroki tak były

zręcznie obliczone, aby cień swobód dawnych i gorliwą troskę o dobro ludu naprzód oczom ukazać. — Chciał się wzmocnić nim miał dać poznać.

W nocy wniesiono do Rzymu trup starca; nazajutrz rano Cajus, płacząc, powiedział mowę, w której skąpemi, ostrożnemi pochwałami uczcił zmarłego ojca i dziada, szerzej się rozwodząc nad cnotami Augusta i Germanika, skromnie coś dodawszy o sobie. — W Kurji Senatu wyrzeczona mowa ta pełna była pokory i nieśmiałości, — ale nim ją dokończył, tłum, sam ku temu skłonny i przez pretorjanów Macrona poduszczony, wpadł nagle, wielkiemi krzyki obwołując go imperatorem.

Rzecz była przygotowana.

Dano mu natychmiast wszystkie tytuły Augusta, których Tyberjusz przyjmować nie chciał, — aż do ojca ojczyzny — Cajus ich skromnie odmówił. Łzy ciągle miał na oczach, a stawił się im z taką pokorą, że Senat omamiony, sądził iż łatwo nim owładnie.

Czuł Cajus, że w społeczeństwie, w którem jedne i to już potargane związki krwi jeszcze jakiś ostatni węzeł szanowany stanowiły — długie lata zobojętnienia jego dla rodziny, chłód z jakim patrzał na śmierć matki i brata i tych, których zgonem się podniósł, odjąć mu mogły miłość i wiarę ludu. Pierwsze więc kroki jego zmierzały ku temu, by dowieść, że się tail tylko z poszanowaniem i miłością rodziny, aby gniewu Tyberjusza nie zwrócić na siebie.

Podróż do Pandatarii i Pontii, po popioły matki i brata, przywiezienie ich uroczyste na ozdobnej, chorągwiami obwieszonej, galerze do Ostji i Rzymu, nie inny cel miały — chciał się okazać pobożnym synem i bratem.

Cześć nadzwyczajna jaką pamięci i resztkom swej rodziny wyrządził, wypłacić mu się miała przywiązaniem, które lud coraz wyraźniej objawiał ku niemu.

Jakby na zamknięcie krwawego panowania Tyberjuszowego, ostatni akt tego posępnego dramatu jeszcze był mordem i rzezią zagrobowym jego poświęconą cieniom. W chwili gdy do Rzymu nadbiegła wieść o

śmierci Tyberjusza, więzienia pełne były już na zgon skazanych, których życie tylko senatus-consultum o dziesięć dni przedłużyło... Dziesiąty dzień przypadł właśnie w chwili śmierci cezara; wśród szału radości zapomniano o więźniach; strażnicy ani wypuścić ich, ani im życia przedłużyć nie śmieli. Zdało się im że w niepewności najbezpieczniej będzie zamordować skazanych.

Tak się też stało: ofiary gniewu Tyberjuszowego uduszono w więzieniach, a hak oprawców powlókł je na Gemonje.

Los chciał, by się w ten sposób zamknęło panowanie okrutnika; wśród powszechnego wesela, nikt tej krwawej nie dostrzegł plamy, a nadzieja przyszłości przygłuszyła jęki osieroconych rodzin.

.....

XXV.

My odwróćmy oczy od tego widoku, który się rozpoczyna weselem a krwawym i dzikim szałem ma skończyć, i przenieśmy się znowu do ubogiego domku, przy Capreańskiej bramie Neapolu, w którym zamknięty z kilką niewolnikami Juda rozpoczyna życie nowe.

Poznaliśmy już towarzyszów, jakich los dał wygnańcowi i okropną nędzę, brzęczącą łańcuchami w podziemiach ergastulum.

Ale nie w tej jednej opuszczonej willi więzieniu jęczeli niewolnicy, mrąc z głodu i wycieńczenia, z tęsknoty i ciężkich razów, które im lada zadawało dziwactwo.

Na wesołych brzegach morza, wśród rozkwitłej Campanii, gdy na wozach złotem i klejnotami wysadzanych wleczono piękne nierządnice okryte przejrzystemi szaty, gdy woźnice i histrjoni miljonami sestercyj

za płochą sztuczkę nagradzani byli, a ryba wyższą niż człowiek płaciła się ceną; wśród tych wymyślnych rozkoszy teatru — każde domostwo, obwieszone wieńcami i strojne zielenią, kryło pod mozajkową posadzką takie ergastulum ciemne, w którem powiązani ludzie stęknąć nawet nie śmieli, bo i jęk był śmiercią karany.

Czem był niewolnik w owych czasach, widać to z pism współczesnych — była to istota, a raczej rzecz, ruchomość, której użycia i nadużycia, zniszczenia i pastwienia się nad nią żadne nie ograniczało prawo.

Jednych fantazja pana, łaska, słabość wyzwalała nagle i czyniła ludźmi, drugich dziwactwo, okrucieństwo, kaprys rzucał na pastwę rybom do marmurowej pisciny... mówiono że ciało ludzkie przedziwny smak dawało murenom.

Cała moralność Rzymu, którą w pismach filozofów podziwiamy, służyła tylko na użytek jednej społeczeństwa klasie, wcale się nie stosując do innych...

Niewolnik nie był człowiekiem.

Seneka w listach swoich raz pierwszy, i to już pod wpływem nowej nauki, która mu nie była obcą, odezwał się za niewolnikiem *). Niewolnik był tak dalece uważany za bydlę, że prawo małżeństwa jego nie uświęcało ślubem żadnym, nie dawało mu rodziny, nie uznawało prawemi jego dzieci — czyniono z nim co kto zamarzył. Wprawdzie zapomniane *Lex Petronia* nie dopuszczało ich męczyć i zabijać, ale od spełnienia martwej litery tych postanowień łatwo się było wywinąć.

Nic wówczas trudniejszego nie było wedle pojęć czasu, jak przyjść do tego uznania, że człowiek każdy jest człowiekiem, a wszystkim jedno służy prawo moralne; czasem tylko litość zastępowała prawo, serce wyprzedzało myśl i rękę podawało uciśnionym.

---

*) Epistolae 47.

Juda, sam nieszczęśliwy i osierocony, ledwie wyrwawszy się śmierci i uniknąwszy zesłania, skłonniejszym był niż kto inny do politowania. Widok poddanego mu ergastulum i tych co w niem jęczeli, wzbudził w nim uczucie bolesne, a gdy sam zostawiony sobie siadł w pustej izdebce na górze i Tyro stanął przed nim w pokorze, usiłując nowemu panu usłużyć drżącemi od strachu i starości rękami — z trwogą pomyślał o niewolnikach, których trzymano na uwięzi, o głodzie, czując że los ich od niego w części zależał.

— Nowy pan nasz — rzekł po chwili do Tyrona — nie chce, by mu tu jego mienie przepadało, by ludzie jego gnili w podziemiu a dom walił się i rozsypywał... potrzeba coś począć.

— Tak, potrzebaby coś począć — powtórzył Tyro, badając go bojaźliwie okiem niewolnika, który przywykł z każdej słabości korzystać i szuka tylko za coby się mógł uchwycić — ale z czemże my to poczniemy? Ludzie znużeni głodem, rąk nie ma, pokarmu mało? A! zrobiemy co każecie, bicz zastąpi jadło! Ale naprawdę trzebaby nowych niewolników i nowego dozorcy... I ci co są, jeśli ich puścim do pracy a podjedzą i pozdrowieją, mnie się starego nie zlękną, i utrzymać ich nie potrafię.

— A gdyby lepiej im było? — spytał Juda!

— To jeszcze trudniejsza rada! Gdyby to niewolnicy jak u drugich!... Są tacy powolni i pracowici, których i karmić do syta nie strach i aż miło sobie z niemi poczynać; przywykli do tego życia i umiejętni i weselszego humoru, starający się przypodobać panu... ale nasi nie tacy wcale! Same kaleki i dzikie zwierzęta!

— Może ich nędza do rozpaczy przyprowadziła?

— O nie! ale to niewiem zkąd ściągnięte i dobyte stworzenia! jednego nie mamy, któryby się na co przydał, mało nawet rozumieją języka, rozmówić się z niemi trudno inaczej jak biczem.

Nie było co mówić ze starym, którego Juda skinieniem odprawił; nie wiele też począć było można.

Pierwsze chwile w willi nie zdały się nic dobrego zwiastować. Tyro ledwie się włóczył, strwożony, stary i drżący; reszta ludzi złamana chorobą, tęsknotą, nędzą, zobojętniała na wszystko. Juda musiał pójść po radę do pana, który mowy jego uważnie wysłuchał.

— Wszystko przepadnie — rzekł po namyśle — i te tysiące, które na wille nabrał niegodziwy Sejana zausznik. Tak jest, wiem sam że radzić potrzeba skutecznie, ale jak? Dam wam ludzi do pomocy, oczyśćcie, budujcie, róbcie co możecie... nie szafujcie jednak groszem, bom go i tak dosyć na tem sponiewierał.

Wziął się więc Juda do pracy około tej posiadłości z całą gorliwością człowieka, który potrzebuje zajęcia, aby nie uczuł bolu. Przybyli nowi niewolnicy, których musiano wybrać i kupić na Forum, płacąc po pięćset drachm i wyżej od głowy, za ludzi już tak złamanych długą niewolą i pracą, a znękanych okrucieństwem, że ich jak narzędzi posłusznych wszędzie i jak chciano użyć było można.

Były to dzieci rodziców nieznanych, zrodzone już na ziemi Latium, które tylko krajowym mówiły językiem, a z mlekiem wyssały stanu swojego obyczaje, pokorny Myron i Silvanus, oba do roli tylko i ogrodów używani, bez żadnych wprawdzie szczególnych talentów, któreby ich wartość podnosiły, ale ramion silnych i nie starzy.

Z tymi to pomocnikami Juda rozpoczął swe dzieło...

Z pogardą Rzymian, ci przybysze nowi, nawykli już jarzmu i niepotrzebujący kajdan, co by ich do posłuszeństwa pętały, weszli do ergastulum, spoglądając z góry na barbarzyńców gnijących w barłogu.

Part, Germańczyk, Gothon i Iberyjczyk zdali się im zarówno pół bydlętami i niewielkiego użytku... ledwieby z nich który, rzekli, pod biczem mógł młyn obracać.

Młodszy i siluiejszy a nie kaleka Gothon, którego język był niezrozumiały i który języka Rzymian nie zdawał się pojmować, jeden, jak powiadali, mógł się na coś wyrobić — ale go jadła tęsknota jakaś nieuleczona, niema, pragnąca śmierci, a tak rozpaczliwa, że biciem i razami nielitościwemi ledwie go do wzięcia pokarmu zmuszano...

Stary Tyro był tego zdania, że kaleków żywić nawet szkoda było; a że kulawy Iberyjczyk ze strzaskaną nogą pracować nie mógł chyba w miejscu, Germańczyk zaś miał rękę uciętą i obu sprzedać prawie niepodobna było nawet za najlichszą cenę — otwarcie się odzywał z radą aby ich umorzyć głodem lub zabić... by darmo nie jedli chleba; Gothona zaś sroższem obejściem i męką zmusić do pracy i życia.

Juda sądził inaczej — sam obcy i znękany, choć jeszcze nie kosztował niewoli, napatrzył się jej wiele, litość miała przystęp do jego serca, sądził, że łagodniejszemi środkami potrafi coś wymódz na tej dzikiej garstce nędzarzy.

Schodził więc do ergastulum często i choć wejrzeniem astrum ścigany, starał się powoli łagodzić umysły niewolników, których lepszą strawą, posłaniem i chwilą powietrza nagradzał za ich powolność.

Wszyscy prawie odpowiedzieli jego wyrazom łagodnym, choć mało ich rozumieli, i Part i dziki German kaleka i Iberyjczyk, którego twarz rozpromieniała się czasem trochą wesela — jeden Gothon pozostał jak był na wszystko nieczułym i obojętnym.

Dziwna to za prawdę była istota i gdyby nie rozpacz co ją na pół pożarła, byłby się na targu mógł sprzedać ceną wielką, bo trudno było o piękniejszego człowieka i całą młodość miał jeszcze. Kształtnej budowy, pleców szerokich, jasnego włosa, oczów jak lazur niebieskich, Swew czy Gothon ów, tak wybielał więzieniem, wychudł łzami, że ledwie się w nim życie trzymało. — Wszystkie zeń kości przez wyschłą skórę przeglądały, a oko znawcy, jakim był Tyro, łatwo odgadło, że gdyby zdrowie i z niem siła, Swew byłby

sztuką wielkiej wartości. Cóż, kiedy od czasu jak go trzymano, nie jadł, chyba zmuszony, a płakał i jęczał bezustannie. Po nocach mówił do siebie jak obłąkany i śpiewał czasem rzewnie, a choć towarzysze bili go i naśmiewali się z niego, nic słyszeć, nic się czuć nie zdawał.

Stan to był jakiś dziwny, bo nic z zewnętrznego świata podziałać nań nie mogło, niczem go złamać nie było podobna. To wpadł w gorączkę i zapamiętanie, w którem śpiewał, śmiał się lub rozpaczał, rycząc boleśnie, to znowu leżał bezwładny, w pół senny, martwy tak, że gdyby nie resztka oddechu, wziąćby go można za trupa.

W tym to stanie, Tyro bojąc się by nie umarł, lał mu w usta wodę lub trochę mleka i karmił go papką z mąki bobowej. Nie sprzeciwiał się naówczas niewolnik i pokarmiony, zasypiał na kilka godzin snem znużenia głębokim, który go pokrzepiał... dalej ciężkie dozwalając wlec życie.

Myron i Silvanus, którzy już nie jedno ergastulum przebyli i wiele wytarli kątów, bo choć silni i pracowici, mieli wszystkie niewoli wady, pozbywano się ich wszędzie, lepiej zaczynając poznawać, — wielką z razu byli pomocą Tyronowi do poradzenia sobie z niewolnikami. Opatrzyli oni bacznie towarzyszów, pokiwali głowami i Myron zapowiedział, że go do reszty zmoże ich głód i nędza, znęka zamknięcie i groza, jeszcze choć licho, pracować będą mogli.

Z nowymi niewolnikami do oczyszczonego podziemia weszło jakby nowe życie — śpiew obojętny spodlonych, szczebiotliwa ich rozmowa, nieustanne swawole i miary wina, które na targu dostawali za kradzione w domu i ogrodzie rzeczy, pod połą je na rynek wynosząc — przykład w ostatku, wpłynął na barbarzyńców nawet.

Naprzód kulawy Iberyjczyk, potem Germańczyk bez pięści, wreszcie Part hardy, zbliżył się do Myrona i Silwana — jeden Swew pozostał na barłogu, a wlane

mu gwałtem w usta wino nie rozweseliło go nawet — szał tylko wywołało okrutny i dziki.

Powoli oswoili się pierwsi ze swym stanem, a praca do której ich użyto nie była może tak ciężką jak gdzie indziej. Z razu potrzeba tylko było wyrywać chwasty z ogrodu, mur otaczający go poprawić, oczyścić domek i grzędy skopać motyką.

Szło to dosyć raźnie i willa opuszczona powoli nową zaczęła przybierać postać.

Wszyscy się przydali, nawet Germańczyk, który ciężary dźwigał na kudłatej głowie; jeden Swew, wygnany z ergastulum na światło dzienne z innymi, gdy ujrzał zieloność, niebo i poczuł powietrze, zwrócił oczy ku północy, siadł na ziemi i płakać począł... a do pracy nic go nie mogło nakłonić...

Płacz jego jak on sam był dziwny — bo płakał milczący jak posąg, bez skrzywienia lica, łzy wielkiemi, które padały mu na pierś nagą i schły na rozpalonem jego ciele. A gdy źródło ich się zatamowało, podnosił głos, w języku nieznanym, pół nucąc, pół mówiąc coś, niby śpiew, niby modlitwę... jakby do swoich, dalekich, przez tysiąc mil przemawiał, jakby wiatrom oddawał wyrazy, które je nieznanym brzegom odnieść miały.

Oswojeni ze wszystkiemi świata językami, które się wówczas na rynkach rzymskich spotykały, w więzach i u wozów tryumfatorów — dziwili się Myron i Silvanus, że z tej mowy Gothona ani jednego pochwycić nie mogli wyrazu; on też nie zdawał się ich rozumieć.

Na Judzie ten nieszczęśliwy niewolnik szczególne czynił wyrażenie; doglądając podwładnych, gdy inni pracowali, często siadał lub stawał naprzeciwko niego i usiłował oznakami litości ufność w nim obudzić; ale Swew ledwie nań spojrzał czasem i milczał uparty.

Choć willa owa daleko za miasto wysunięta była, w opustoszałej stała okolicy, wielka jednak droga, która wiodła przez Atellę do Capui, przechodząca pod jej wrotami, w dniach uroczystych często tłumami napełnioną była. Naówczas z za muru ogrodzonego,

z przedsienia domu, przypatrzeć się było można ciekawemu widokowi tych tłumów oszalałych, tych pochodów senatorskich, tych wycieczek histrjonów i dworek, pyszniących się zbytkiem ówczesnego zepsucia i chlubiących bezwstydem. Lecz gdy inni dzicy podziwiali zdumieni błyskotliwą cywilizację Rzymu, zdolną oczy barbarzyńców, do lasów i skórzanej odzieży przywykłych, zachwycić — Gothon poglądał na to z obojętnością królewską, a popatrzywszy długo, płakał znowu zwróciwszy ku północy oczy.

.....

XXXI.

Upłynęło dwa pierwsze lata panowania Caliguli, który się rychło odmienił.

Początek ich był szczęśliwy i spokojny, a obcy Rzymowi świadek opisał go barwami, przy których reszta panowania jeszcze jaskrawiej krwią i rozpustą odbija *). „Grecy, pisze on, nie wojowali z barbarzyńcami, ani żołnierze z obywatelstwem (civis); nie można było znaleźć słów dostatecznych na uwielbienie niesłychanej szczęśliwości młodego pana (princeps), miał on bogactwa niezmierne, siły na lądzie i morzu ogromne, dochody wielkie płynęły mu ze wszystkich stron świata, państwo jego Ren i Eufrat ograniczały, po za któremi żyją tylko ludy dzikie, Scythowie, Party i Germanie.

„Tak od wschodu do zachodu słońca, na stałym lądzie i wyspach, po za morzami nawet, wszystko się radośnie uśmiechało.

Italja, Rzym, Europa, Azja, zdawały się ciągle obchodzić święto, bo pod żadnym z Cezarów nie było tyle spokoju i tak swobodnie dobra swego nie używano.

*) Philon — de legatione.

Po wszystkich miastach pełno było ołtarzy, ofiar i kapłanów, ludzi biało odzianych w wieńcach z kwiatów, zabaw, śpiewów, uczt, skoków i wyścigów koni.

Bogaty i ubogi, szlachetny i plebejusz, pan i niewolnik, wierzyciel i dłużnik, bawili się razem, jak za wieku Saturna.

Trwało to szczęście tyle czasu, ile go było potrzeba na roztrwonienie spadku po Tyberjuszu, który sobie prawie cały, wraz z władzą przywłaszczył Cajus.

Po długiej niewoli, płaszczeniu się i udawaniu pokory, nagle spływająca nań tak nieograniczona władza, bogactwo, siła, musiały obłąkać człowieka, już tajemną wysilonego rozpustą, już od dzieciństwa jakąś złamanego chorobą.

Cezar też oszalał i na dobre to uwierzył, że okrzyknięty panem Rzymu, przestał być człowiekiem. Ztąd nadludzkie owe wysiłki, które opisać trudno, ztąd te tytaniczne porywy i ubieganie się za niepodobieństwy, za wszystkiem do zdobycia najtrudniejszem, ztąd ta walka ze światem, który cały miał Cezarowi-bogu służyć ku nasyceniu nienasyconej użycia żądzy.

Początek ów świetny i pogodny mignął tylko przelotem; zdawał się nawet znamionować surowego praw postrzegacza i skromnych żądz człowieka; ale Caprejski uczeń Tyberjusza wyszedł prędko na jaw z pod ciemnej togi Germanikowego dziecięcia.

Zaczęło się to od nocnych uczt i biesiad w Palatyńskich gmachach, na willach u Campanii brzegów, w których starano się Tyberjuszowe zgasić uczty i przejść przepychem i zbytkiem wszystko o czemkolwiek dotąd słyszano.

Na pałace, łaźnie, łoża, na szaty bogate, na podarki woźnicom, których igrzyska namiętnie lubił Cajus, na kobiety i histrjonów, poszły skarby skąpego dziada o pierwszy ten wybuch szału o mało Caligulі życia nie iksztował.

Zachorzał ciężko Cezar, a lud płakał i rozpaczał, otaczając pałace niespokojny, i uzdrowienie jego po-

wszechnem powitano weselem — ale uzdrowiony jakby nowym powstał człowiekiem.

Pierwszą czynnością jego było usunięcie brata i syna wybranego, C. Tyberjusza, któremu za winę jedyną poczytano, że się antidotem przeciwko truciźnie obwarował.

— Więc się czuł winnym i godnym śmierci! — rzekł Cajus.

Dziecię to prawie było jeszcze, zabić się nawet nie umiejące; gdy przyszli oprawcy, spytało gdzie mu się uderzyć potrzeba i posłuchało rozkazu.

Po tej pierwszej zbrodni poszły szeregiem inne, których liczby tu rachować nie chcemy; każdy prawie z wyroków Cezara zamykał w sobie przemyślne okrucieństwo, szyderstwo nielitościwe, zimne i dzikie.

Tak zmarli naznaczeni Atanius Secundus, Potitius, Silanus stary teść Cajusa i wielu a wielu innych.

W miejscu niedogodnego doradzcy Silana, który go śmiał nieustannie na lepszą sprowadzać drogę, przybrał sobie Cajus, nielicząc Macrona, dwóch godnych służalców, Helikona i Apella, obu najpodlejszego rodzaju ludzi; pierwszy z nich rodem był z Ascalon a z powołania histrjonem, Egypcjanin, bawił pana okrutnemi żarty i błazeństwy podłemi, znany będąc z najzuchwalszego szalbierstwa.

Ci dwaj zausznicy pchnęli go na drogę, ku której już i sam zmierzał, i wywołali w nim nie tylko namiętność zbrodni, ale bezwstyd najohydniejszy.

Rzym głodny był igrzysk i zabaw, których mu szczędził Tyberjusz; teraz się one wraz z rozpasaniem Caliguli poczęły na nowo z przepychem niezmiernym.

Sam Cajus brał u Apella naukę tańców i pantomimy, kształcąc się na aktora; za jego radą sprowadzono całe tłumy gladjatorów z Campanji i Afryki, mnóstwo dzikiego zwierza z Libji i innych krajów.

Nieustanne przedstawienia powtarzały się w amfiteatrze Scaura, w cyrku wielkim, na Marsowem polu; wznoszono teatra po nad domami, okręcane tak mister-

nie, że lud napełniający je, przenosił się cały ku nowemu widowisku, gdy pierwsze było skończone.

Arenę cyrku w dnie igrzysk posypywano miniją i boraxem.

Oprócz tych widowisk w Rzymie, opłacał Cezar zabawy dla ludu w Syrakuzie, Sycylji, w Galji.

Wśród tych rozpustowań i szałów, czy istotnie od miłośnego napoju, które mu zadać miano, czy z samego nadużycia rozkoszy, Caligula dostał, zdaje się, obłąkania, które go przywiodło tylko do dzikich jakichś rozmarzeń i wiary w to, że był bogiem.

Rzym chętnie w to nowe bóstwo uwierzył. Cajus, który jak poprzednicy, chorował na autorstwo i pisał greckie komedje, mając się przytem za wielkiego mowcę i filozofa, — wyrozumował to łatwo.

— Ci co wiodą trzody, nie są przecie bydlętami, mówił; trzody więc ludzkiej przewodnikiem nie może być człowiek.... musi być Bóg.

Ten szał wyniesienia się nad pospolitych ludzi omało go nie skłonił do wzięcia przepaski królewskiej na skronie, ale imie króla tak było w Rzymie znienawidzone, że władza Cezara o niebezpieczeństwo pochwycenia go rozbić się mogła. Nie mogąc być królem został bogiem tylko, co było daleko łatwiej.

Z razu skromniejszy, przywłaszczał sobie godła pomniejsze, Herkulesa, Castora, Bacchusa, ale tych wkrótce mu nie starczyło. Postawiono mu świątynię i posąg złoty, nakazano ofiary, najrzadsze ptaki i zwierzęta zabijając u jego ołtarzów. Swetonjusz, opisując te szały, nie może im wystarczyć słowy, choć wie najmniejszy szczegół — tak były dziwne i nieskończonej rozmaitości.

Został więc z kolei Apollinem, Merkurym, Neptunem, mając cały Olymp do wyboru, a w czasie burzy raz wyzwał Jowisza, rzuciwszy w niebo kamieniem i zawołał:

— Jowiszu bij mnie, lub ja cię zabiję [1]).

[1]) Seneca. De Ira.

Te jego gniewy z Jowiszem i bohaterskie pojednania nie jeden raz miały miejsce.

Nie będziemy się rozszerzali nad dziwnemi rozpusty człowieka, który nic nie szanował i nie znał w nich granic; nad upodobaniem jego w igrzyskach, koniach i woźnicach, nad ukochaniem Mnestera, i postawieniem *Incitatusowi* owej stajni złoconej i omarmurowanej, w której tłumy szły go odwiedzać i kłaniać się faworytowi. Rzym milczeć musiał aby koń Cezara mógł usypiać spokojnie, i w Forum pod portykami, chodzono na palcach, szeptano pół głosem.

Szały mieniały się z okrucieństwy coraz nowemi i wymyślniejszemi.... Macron i Naevia, którym był w części winien swą władzę, niewdzięcznie odepchnięci, poświęcenie swe dla Cajusa przypłacili życiem.

Obraz najdziwniejszych tych dziwactw okrutnych znajdziecie w Swetonjuszu.

Jedno tu szczególnie uderza olbrzymie zachcenie, może najlepiej malujące charakter człowieka, który uganiał się za niepodobieństwy.

Doniesiono mu, że stary ów ulubieniec Tyberjusza, Thrasyllus, gdy raz dawniej kiedyś Cezar się niepokoił, by mu Cajus władzy nie wydarł — powiedział pocieszając przelęknionego:

— Łatwiej Cajusowi konno pojechać przez zatokę w Baii niż Cezarem zostać! [1])

Myśl ta utkwiła mu w głowie; możeż być co niepodobnem dla Cezara?

Cajus konno przejedzie przez zwyciężone fale....

Z Puteolów do Baii, zatoka morska rozlana szeroko, ma na prost przez wody około trzech tysięcy sześćset kroków — ale ją wielkim potrzeba przeciąć gościńcem.

Spędzają więc tłumy ludu, by mostem olbrzymim, przypominającym Xerxesowy, połączyć z sobą dwa przeciwne brzegi. Niezmierne zgraje niewolników, mnóstwo okrętów, użyto nagle do tej budowy, której myśl

[1]) Suetonius. Calig XIX. Non magis Cajum imperatorem, quam per Bajanum finum equis discursurum.

zdawała się zuchwalszą nad wszelkie inne. Głębiny morskie potrzeba było zarzucać, oprzeć się na nich i budować, ale ani kamień ani drzewa nie mogły temu podołać, musiano więc zabrać wszystkie statki, dotąd używane do przewozu zboża, pod groźbą ogłodzenia Italji i Rzymu, i na dwóch rzędach tych naw stających na kotwicach, poczęto wznosić szeroką drogę, którą miał Cezar przejechać, by zadać kłamstwo proroctwu.

Statki stykały się z sobą, położono pomost na nich, zasypano go ziemią i jak te rzymskie po dziś dzień trwające gościńce, wysłano płytami kamienia.

Z obu stron tej drogi wiszącej nad otchłanią, postawiano taberny, urządzono studnie wody słodkiej, wzniesiono zielone altany. — Tak chciał Cezar.

Gdy dziwny ten most był gotowy, dumny zwycięztwem odniesionem nad morzem, wynosząc się, że przewyższył Darjusza, Xerxesa i Alexandra Cajus kazał wielką uroczystość sposobić.

Dnia wyznaczonego, po ofierze Neptunowi i innym bogom a szczególniej Zawiści, wdział na się Cajus zbroję Alexandra, okrył się chlamydą szytą złotem i perłami, skroń przystroił wieńcem dębowym i na końcu okrytym falerami, z lekką tarczą i mieczem w ręku, wjechał na most od strony Baii. Za nim szły szeregi wojowników powolnie do świetnych zapasów.

Była to zabawka rycerska; przebywszy most brano miasto Puteole, którego zastępy przeciwne broniły — i Cezar odniósł zwycięztwo!

Mostem tym nie mógł się Cajus nacieszyć; nazajutrz przejechał go znowu, w sukni zwycięzcy, na wozie tryumfalnym, przepysznemi końmi ciągnionym, wlokąc za sobą Darjusza, syna Artabana Króla Partów.

Przepych dworu jego, okryty szaty złocistemi, przechodził wszystko co dotąd widziano. W pośrodku mostu była na okręcie zbudowaną trybuną, z której Cezar miał mowę pochwalną dla siebie do pretorjanów i legij swoich.

Resztę dnia poświęcono uczcie na moście, w której

Pyrallis, ulubienica, Mnester, Apelles i Helikon, celniejsze grali role.

W nocy cała zatoka półkolista zapaliła się od ogni i stanęła wieńcem otoczona złocistym.... Cezar wedle słów swoich, zwyciężył zarazem: słońce i ziemię i morze.

Szał uczty ogarnął wreszcie zwycięzcę, wielkiego Alexandrowego spadkobiercę; oko mu zapłynęło krwią, i nagle zerwał się z dziką myślą rzucenia na ofiarę morzu wszystkich co go otaczali. Znajomi, nieznajomi, zaproszeni goście, towarzysze, przyjaciele, zepchnięci z okrętu niespodzianie, toną w wodach z krzykami boleści, a Cezar płynie wśród chóru śpiewaków, przypatrując się przedśmiertnej walce towarzyszów, których chwytających się boków okrętu wiosłami odpędzać, spychać i zabijać każe...

Z brzegów na to igrzysko poczwarne patrzały tysiące ludzi; zbiegli się oni z dalekich stron Campanji, i poklaskiwali upojeni wielkością, potęgą swojego pana, w uściskach Pyrallis, u boku Mnestera, płynącego z głową uwieńczoną po cichych wodach posłusznego morza.

.....

XXVII.

Właśnie w chwili, gdy od Puteolów do Baii całe owo prześliczne, ciche wybrzeże, tysiącem ogni wśród okrzyków tłumu zapłonęło, a z morza ozwały się dźwięki muzyki na łodziach, poprzedzającej Cezara, — ubogi statek kupiecki, z ciemnym żaglem i niepozornemi czarnemi ściany, przybijał powoli od wschodu i szukał w przystani miejsca, gdzieby mógł zatrzymać się i towar swój wyładować.

U brzegu, ku któremu zmierzał, stały tłumy milczące, ciekawe, i gdy nawa przybijała, z ciekawością spojrzeli wszyscy na ogorzałe twarze majtków z pod innego nieba, przynoszących z dalekich krajów dań panu swemu Rzymowi.

Na pokładzie, wśród ładunku, oświecone blaskiem jakby łuny pożarnej płonącej okolicy, stały dwie poważne postacie, które na siebie oczy wszystkich patrzących zwracały.

Byli to ludzie lat już podeszlejszych, acz jeszcze nie starzy, w ciemnych sukniach podróżnych, kroju używanego na wschodzie, przypatrujący się z podziwieniem widowisku niezwykłemu i tłumom jakby na ich przyjęcie przybiegłym i brzegom jakby dla nich oświeconym, i uczcie jakby dla nich przygotowanej. Dziwnie też na ten dzień i godzinę uroczystą trafili z dalekich stron przybysze....

Traf chciał, a raczej wyższe zrządzenie, by deska, która od brzegu do statku dla wysiadających rzuconą została, przywiodła ich właśnie w to miejsce tłumu, gdzie stali, znany nam Juda, Asprenus właściciel domu w Neapolis, na górze nad miastem położonego i przybyły tu Heljos, wybierający się do ojczyzny, który tylko na statek czekał, by z nim na wschód odpłynąć. Dwaj Izraelici szli razem, Asprenus się do nich przyłączył.

Wszyscy trzej milczeli poglądając w około, a na smutnych ich twarzach malowało się raczej zdziwienie i upokorzenie, niż radość, która resztę tłumu rozpasywała w śmiechach i skokach.

Od portu, po nad masztami okrętów i głowami ludu, widać było oświeconą czerwonemi blaski, wznoszącą się na granitowych i porfyrowych kolumnach starą świątynię Serapisa, na której murach i wschodach czepiał się i cisnął tłum mnogi.

Dwaj przybyli podróżni niedługo potrzebowali wybierać się z okrętu; wzięli pod płaszcze jeno po węzełku małym i zeszli żegnając dowódzcę statku, który przed niemi pochylił głowę z pokorą, jakby wzywając błogosławieństwa.

Tłum otaczający nie przestraszył ich, ani dziwić się zdawała ta niesłychana uroczystość, ten gwar i krzyki, wojska, okręta i zielona droga rzucona ku Baijom.

Stawili stopę na ziemię całkiem sobie nieznaną, i w progu nowego świata spotykał ich tryumf Cezara;

tłum co ich otaczał był dla nich obcy, noc późna, przecież niepokój o znalezienie przytułku i ludzi przyjaznych wcale się nie zdawał ich dotykać. Zstąpiwszy na ziemię, pierwszy z nich — z głową na której nieco tylko pozostało podsiwiałych włosów, z okiem żywem i obliczem energji pełnem i natchnienia, — przykląkł, cichą modlitwą jakąś witając ziemię, na którą go los powołał. Drugi, mniejszy wzrostem, pokorniejszej postaci, toż za nim uczynił, a lud szanujący uczucie z jakiem ofiara spełnioną została — usunął się, czyniąc im miejsce i wolne przejście gotując.

W prędce jednak powstał pierwszy i wzrokiem powiódł po tłumie, jakby w nim kogoś szukał obiecanego sobie, spostrzegłszy Asprena, zbliżył się powoli ku niemu wraz z towarzyszem.

Asprenus też przypatrywał się podróżnym, ale z twarzy jego i oblicza przybyłych nie widać było aby się znali dawniej.

Sam nie wiedząc dla czego, Asprenus jakąś siłą wielką pociągniony, postąpił ku przewodniczącemu i pozdrowił go rzymskim obyczajem.

Gdy na to powitanie odpowiedział podróżny, Heljos i Juda drgnęli spozierając po sobie, rysy bowiem twarzy i mowa przychodniów, które dla innych nic odrębnego nia miały — Izraelitom żywo przypominały ich ojczyznę i współbraci. Serce ich zabiło silnie, poznając w nich przebyszów z tej ziemi, z której ojcowie ich zostali wygnani. Juda młodszy, z uczuciem wielkiem pochwycił się, i całując kraj szaty starszego — zawołał:

— Wyście Izraelici... przychodzicie z ziemi Judskiej... błogosławieni bądźcie co przybywacie z wieścią od ojczyzny naszej!

— Z wieścią zaprawdę szczęśliwą i wielką — odparł pierwszy podróżny — cieszcie się synowie Izraela i poganie i wszystkie ludy ziemi...

Juda słuchał chciwie, gdy podróżny na piersi zwiesiwszy głowę, umilkł nagle, i po tych pierwszych wyrazach było przydługie milczenie — Asprenus, który

był człowiekiem pragnącym nauki i ciekawym, a obyczajów surowych i skromnych, co tem dziwniejszem było, że żył wśród miasta rozkoszy i otaczającego zepsucia — dowiedziawszy się że ludzie ci przybywali ze wschodu, z prostotą oświadczył, że im swój dach i ubogie mieszkanie za gospodę ofiaruje.

— Pragnąłbym i ja tego szczęścia — zawołał Juda — ale własnego dachu nie mam, służę, a któż wie — dodał obracając się do Heliosa — czy Hananias widziałby dobrem okiem, gdyby do jego domu przychodniów wprowadzał?

— Niech wam Bóg dobre chęci nagrodzi — odezwał się podróżny — wszystko to jedno, gdzie głowa spocznie, byle spoczęła spokojnie.

— Ale dla nas to nie jedno, cośmy głodni wieści o ziemi naszej! — westchnął Juda.

— Wamby rychlej tu spocząć należało, niż aż do Neapolis wlec się gospody szukać — odezwał się Heljos — ja tu mam zapłacony kąt w gospodzie, gdziebyście nogi obmyć i trochę wczasu użyć mogli.

Tem uprzejmem zaproszeniem rozczulony pierwszy z przybyłych, wzniósł oczy ku niebu i ozwał się do otaczających:

— Wiedźcie mnie jako się wam podoba; spocznę gdziekolwiek, droga nas nie znużyła i gotowiśmy do pracy.

— Więc najlepiej od razu drogą nad morzem powoli ku miastu — zawołał Asprenus — a jest i wóz mój niedaleko, który od strony Pausilippu z niewolnikiem czeka; ten wam, gdy trzeba, wygodzi.

— Jeźli wy pieszo i my także — rzekli podróżni — dawnośmy po ziemi nie stąpali; pójdziemy chętnie, przypatrując się krajowi nowemu.

Tak z nieznanych sobie osób złożone grono, wśród okrzyków rozlegających się na cześć Cezara, wśród blasków ogni, które dłań świeciły, posunęło się powoli drogą ku Neapolis wiodącą.

Z tą garstką nieznanych, ubogich, w tłumie zamieszanych ludzi, w ciszy i pokorze przekradających się

przez zgiełk i świetne tłumy, na których nikt nie patrzał, których popychali ciekawi i pijani szałem niewolnicy — szło na brzeg, pogańskiemi uczty skalany, pierwsze słowo prawdy i życia, które rozburzyć miało świat stary i na ruinach jego nowy budować.

.....

XXVIII.

Gdy tak szli brzegiem morza powoli, a za niemi ciągnął się drogą bitą skromny wóz Asprenusa, milczeli z razu, dopóki Heljos pierwszy nie odezwał się w te słowa:

— Jakież wieści dobre przynosicie nam z naszego kraju? Prawda-li o czem u nas już głuche chodzą pogłoski, że sprawdziły się proroctwa, i w Betleem, Judzkiej ziemi, narodził się oczekiwany przez narody?

Dwaj podróżni spojrzeli po sobie, ale milczeli jeszcze, może dla tego, że nieznanym im poganin Asprenus był między niemi, aż Neapolitańczyk sam, zważywszy że sam jeden był obcym wśród Izraelitów, ozwał się do nich:

— Wiem i ja o czem mówicie; proroctwo to o synu Jowisza, który na świat odrodzić, nie w waszych tylko księgach się mieści; jest ono we wszystkich starych podaniach ludów. I my czekamy przetworzenia się świata, wielkiego słowa, które ma go przeobrazić. — Ale jest-li jeszcze słowo takie, któreby wyrzeczone nie było od początku świata?

— Przeczuwasz wielką prawdę — przerwał pierwszy podróżny poważnie — ale ci dostrzedz jej trudno, tak zakrytą dla was została ludzkiemi wymysłami. W naszych księgach starych, w których się mieści pierwotny zakon dany człowiekowi, jest ona jaśniejszą niż gdziekolwiek. Tam wyraźnie przepowiedziany został Zeslaniec, Syn Boży, który przyjść ma świat wybawić...

A patrzcież jeno, czy mogła być chwila lepiej ku ratunkowi sposobna, w którejby ludzie więcej pomocy z niebios potrzebowali? Nie jest-li to upadek ostateczny, zapoznanie się, oszalenie? nie przyszedł-li człowiek z jednej strony do zbydlęcenia, z drugiej do ubóstwienia? nie obłąkałże się z rozpaczy? Żyje on jako zwierz, a pragnie być Bogiem.... Pozostało-li dlań co świętego?

— Tak — rzekł Asprenus — czujemy to wszyscy, że przyszła, że blizką jest wielka chwila; ale w czemże się zamyka ta prawda nowa?

Starzec pomyślał, podniósł oczy w niebo, złożył ręce, łza błysła mu na źrenicy, i powoli, stając wśród drogi, ozwał się do żydów i poganina:

— Jeden jest tylko Bóg.... wszyscy ludzie jego dziećmi.... a braćmi pomiędzy sobą.... Pan i niewolnik, jednego ojca bliźnięta.... Miłość jest prawem świata....

Syn Boży, Chrystus, narodzony w Betleem, przyszedł tę prawdę zwiastować i umarł oblawszy ją krwią swoją, przebaczając tym, co go ukrzyżowali....

Życie jego ma służyć za wzór światu..... śmierć zmyć winy całego rodzaju ludzkiego.... Zwiastuję wam Chrystusa Boga!

W nim prawda, żywot i odrodzenie.

Proroczo, natchnione wyszły te wyrazy z ust przybyłego i po nich długie trwało milczenie, jak gdyby każdy ze słuchaczy ważył je w głębiach serca swojego i zapisywał w pamięci.

— Część tej prawdy, którą nam zwiastujecie — odparł nareszcie Asprenus — dawno przeczutą była i u nas... Ludzie cierpią tęskniąc za czemś, oczekując czegoś, spodziewając się ratunku z niebios.... Wiemy że świat tak ostać się nie może, lecz nowa prawda i prawo ma-li siłę, któraby ją zaszczepiła zwycięzko?

— Siłę ma Boga od którego idzie, przez którego przyszła, którego krwią się oblała.... śmiercią i zmartwychwstaniem dowiodła.... żadna moc świata i ciała nie pożyje jej.... Wszystko co nasi mówili prorocy, co przeczuwał świat, stało się i spełniło...

— I my już o tem zdala zasłyszeliśmy — rzekł

Heljos — że przyszedł Obiecany, że sam się na ofiarę poświęcił, że życiem i śmiercią nową wiarę stęsknionemu opowiedział światu. Mówią nam przybyli z Alexandrji, że wszycy uczniowie tego mistrza dobrami doczesnemi gardzą [1]) i nic na ziemi własnego mieć nie chcą; że wszędzie, gdzie są, mają domy modlitwy, gdzie nic nie wnoszą ziemskiego; żadnych posągów nie stawią i ofiar krwawych nie czynią, ale śpiewają i modlą się wedle obyczaju nowego, ducha ku Bogu podnosząc... Że niektórzy w nich z miast wychodzą na miejsca odludne, i tłumu innego obyczaju się strzegąc, życie wiodą samotne, a Bogu jedynie oddane; że za główną cnotę mają powściągnienie ciała i pohamowanie namiętności, długiemi uciskając się postami tak, że wybrani zatopiwszy się w piśmie, po szesć dni pokarmu nie biorą, wina nie pijąc i mięsa nie jedząc nigdy.

— Mało wam jeszcze powiedziano — przerwał pierwszy podróżny — i nie wiele wiecie, bo zaprawdę więcej się jest czem pocieszyć.

To mówiąc, począł im obszerniej wykładać tajemnice nowej wiary i dzieje życia i śmierci Chrystusowej. Chociaż poganin, Asprenus słuchał ich także; dodawał podróżny, że Mesjasz nie dla samych przyszedł Izraelitów, ale dla pogan także, by zbawić świat cały.

Juda i Heljos, z gorącą ciekawością, z chciwością i niepokojem chwytali każdy wyraz z ust jego, ale z niemniejszą żądzą oświecania się i uwagą natężoną, słowa podróżnego przyjmował Asprenus, i zdało się jakoby coraz jaśniej stawało się w jego umyśle; chociaż ten, który nowy zakon wykładał, nie miał ani uczonej mowy, ani się błyskotliwemi posługiwał wyrazy, ani się na figury retoryczne i sofizmata nie silił. Słowo jego było proste, ale przejęte i namaszczone, a mało urok jakiś niepojęty, którego tajemnicy ci co mu ulegali, zbadać nie mogli.

I dziwili się jako zwyciężonymi zostali, oręża nie widząc.

---

[1]) Philon de Contemplatione.

Była to dla Grecji owej i Rzymu, dla pogan rozpieszczonych i zwiędłych, nauka tak przeciwna ich nauczaniu i prawdzie przyjętej od wieków, jak niebo dalekie od ziemi. W podaniach narodów żyło zamglone jej przeczucie, ale objawienia nie było jeszcze; zjawiło się one teraz dopiero nagle, tak jasne i wielkie a silne i nieprzemożone, że serca niezepsute do głębi, w których promyk czysty pozostał nie zagaszony, drżały na dźwięk nowej nauki, przejęte nieopisaną radością z dobrej nowiny.

Widzieliśmy na jaką rolę padało to ziarno złote: na Grecję i Rzym, spiące wśród śpiewów lubieżnych, na łożach rozpusty różami usypanych — na świat, który mądrostkami i igraszkami słów bawił się, myśl z nich wyssawszy, jak dziecię zabitym ptaszkiem, — świat pełen pisarzy, retorów, filozofów, sofistów i ludzi, co mądrość ludzką wyczerpali już do dna.

Tem dziwniejszym jest i cudowniejszym skutek ewangelicznej prawdy, gdy przypomnim, że do mędrców nieśli ją ludzie prości, nieuczeni wedle świata, rybacy, Galilejczycy ubodzy, którzy filozofii nie znali wcale, słowy szermować nie umieli, w szkołach retorów nie bywali i mieli za cały skarb i mądrość — natchnienie Boże. [1])

Ale świat znużony był i wycieńczony rozpustą i sofizmatem, bydlęcem życiem z dnia na dzień; nowa wiara przyniosła mu to, czego nic prócz niej dać nie mogło — nadzieję.

— Tak — rzekł kończąc gość — gdy brzegiem cichej zatoki posuwali się dalej, zbliżając się ku jaskini Pausilippu, u której wnijścia usiedli spocząć, oczekując pierwszych dni brzasków, by przejść ciemną otchłań dzielącą ich od Neapolis. — Tak, wy czynicie sobie codzień bogi nowe, prawdy nowe; dla nas Bóg jeden tylko, prawda jedna! Wy wierzycie w ciało, my w duszę; wy dogadzacie zmysłom, my je poskramiamy;

[1]) Aruobius I. 39. Ab indoctis hominibus scriptae sunt res vestrae.

wy macie niewolniki i ubogie, my wszyscy jesteśmy jedną braci rodziną, jakoby jedna rodziła nas matka; wy wołacie rozkoszy, my nią gardzimy; wy ufacie sobie, my z sobą walczym.... oto nauka nasza.

A gdy tak mówił, zajaśniały mu oczy i czoło okryło się blaskiem, a idący z nim, spojrzawszy nań, dostrzegli jakoby aureolę jasną, która obejmowała skroń jego, i głowę tego, który mu towarzyszył. Asprenus milczał zdumiony i przejęty. Juda zdawał się modlić, Heljos zamyślony łzy miał w oczach.

— Zaprawdę! — zaprawdę! — krzyknął po chwili — dobra nowina nigdy potrzebniejszą nie była jak dzisiaj! Słyszeliście jęk tych, których Cezar dla igraszki rzucał w morze; widzieliście ubóstwienie człowieka splamionego wszelakiem plugastwem; ryk jego biesiady doszedł uszów waszych, blask uczty raził oczy — ale ilu życiem, krwią i potem tę zabawkę szaleńca opłaciło? nie wiecie.

Przynosicie zbawienie i opamiętanie temu światu, który wysechł jak ziemia pustyni.... bądźcie błogosławieni — dodał Heljos — pójdziemy i my z wami, boć ten co przyszedł z prawdą, był rodu naszego wedle krwi, i pierwszym nam stanąć potrzeba w jego orszaku.

— Przecież i nas nie odepchniecie? — spytał niespokojny Asprenus.

— Ten, w którego imieniu ja idę — przerwał pierwszy podróżny — nie odpycha nikogo, nie zamyka rąk swych nikomu, przygarnia wszystkich jak dzieci.... Abyście wiedzieli do kogo przyszedł, komu błogosławił, powtórzę wam słowa jego.

I wstał ze łzami w oczach, a podniółszy się z kamienia na którym siedział, jął mówić poważnie: [1])

— Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię.

Błogsławieni którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni.

[1]) Mateusz V. 2.

Błogosławieni którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni nazwani będą synami Bożemi.

Błogosławieni którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was będą, i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamiąc dla mnie....

A gdy mówił, z po za nich powstało słońce i podniosło się nad wzgórza, a blask jego oblał ziemię, która się im ukazała tak piękną i jaśniejącą, jak jej nigdy nie wiedzieli.

W dali widać było z pagórka na którym spoczywali, resztki nocnych szałów Cezara; dymiące stosy, które świeciły w nocy, i po zatoce z falą zsiniałe trupy ludzkie, kawały drzewa, resztki bankietu w kupę śmieci zbite, zeschłe wieńce wczorajsze, podarte szat szmaty, zerwane powrozy, liście kwiatów i naczyń stłuczonych skorupy. Cisza nieprzerwana niczem panowała nad cudnem wybrzeżem Campanii, dla której razem ze słońcem dzisiejszem wschodził pierwszy dzień zbawienia.

Na drodze ku miastu już się toczyły tłumy pracowite, przechodząc jaskinię wraz z trzodami napełniającemi ją rykiem i pyłem....

Asprenus głęboko był pogrążony, wreszcie przykląkł przed podróżnemi, prosząc ich raz jeszcze, by u niego przyjęli gościnę.

Chybabyście i nam nieznajomym, odprowadzić do siebie tego świętego człowieka dozwolili — rzekł Heljos — bo jakże z nim rozstać się możemy?

— Chodźcie wszyscy — zawołał Grek żywo — rad wam będę i otworzę wrota; nie mam ja wymyślnego przyjęcia, ani dostatków wielkich, ale ubogim chlebem z serca się podzielę.

Milczący prawie przeszli pieczarę i znalazłszy się w drugim jej końcu, gdy znowu ujrzeli światło dzienne, Asprenus przodem poszedł, wiodąc ich przez wzgórza znajomą sobie ścieżynką, do domu, który miał nad miastem, na wyniosłości wielkiej. Może temu położeniu odosobnionemu winien on był, że do jego drzwi nie zapukała ani rozpusta, ani zbytek i zepsucie, ani owa żądza i chciwość złota, która pilnowała brzegów; żył tu w prostocie wielkiej, z małego dochodu, który mu dawały ogrody, praca jego, kawał pola po za Capuańską bramą i winnica u stóp Wezuwjusza. Obyczaju pilnując starego, jako ubogi, z żoną i dziećmi samotne życie pędził; mało mając znajomych i nie mieszając się do miejskich szałów. Kilku niewolników starych lub w domu zrodzonych, składali dlań rodzinę drugą, tak się z niemi ludzko i łagodnie obchodził.

Janitor (odźwierny) u drzwi siedzący, właśnie był wstał niespokojny, wyglądając powrotu pana swego, gdy zapukali do wrót; postrzegłszy Asprenusa, ze łzami prawie jął ręce jego i kraj szaty całować, ciesząc się, że go żywym widzi i zdrowym, różne bowiem niepokojące wieści chodziły o tych, którzy się uczcie Cezara przyglądali zdala, i wiedziano w Neapolis, że wielu padło ofiarą.. Po tej radości niekłamanej poznać już było można, jak ojcowsko z niewolnikami swemi żyć musiał ów człowiek, który ich tak do siebie umiał przywiązać.

W ogródku pełnym drzew figowych, winną oplatanych macicą cicho było i spokojnie, powiew tylko wiatru od morza, poruszał niekiedy gałęzie, wśród których przebudzone świergotały ptaszęta. Tu u drzwi złożyli podróżni swe sakwy ubogie, a gospodarz pośpieszył obmyć im nogi i chciał by się posilili.

Ale oni odmówili pokarmu, a pierwszy z nich prosił tylko by mu naprzód wolno się było pomodlić i złożyć ofiarę, żądając do niej przaśnego chleba, kubka wina i wody.

Tu, (gdzie dziś wznosi się w Neapolu kościół Ś. Piotra, *Ad aram* zwany) na prostym stole, pod

gołem niebem, spełniła się pierwsza ofiara chrześcijańska na ziemi rzymskiej, ku jej odkupieniu.

A gdy podniósł czarę, pobłogosławiwszy ją podróżny i nią świat błogosławiąc, łzy mu się potoczyły po twarzy, usta zadrżały; — widział bowiem w tej chwili, że jako Zbawiciel świat krwią odkupił, tak i on musi naukę jego krwią na tej ziemi splugawionej zaszczepić.

W czasie ofiary stali opodal wszyscy, a Asprenus uczuł się tak przejętym, jak nigdy przy żadnym pogańskim obrzędzie.

Daleko wprzód szukała już dusza jego tego pokarmu wiary i nadziei, ale go nigdzie znaleźć nie mogła.

Po dokończeniu modlitw i ofiary, podróżni uściskawszy się zasiedli do ubogiego stołu, zastawionego w ogrodzie pod portykiem, w milczeniu spożyli trochę skromnego jadła, ryb, owoców i chleba.

.....

XXIX.

Gdy Caligula rozprasza ostatki skarbów Tyberjuszowych, aby wkrótce nowych pożądać i najdzikszemi środkami wyciskać je z ludu swojego, gdy wielka biesiada pogańskiego świata olbrzymich dosięga rozmiarów rozbestwienia i rozpasania; — w domku Asprenusa nieznanym, w głębiach drzew zielonych zatajonym, opowiada się wiara nowa, u kórej źródła ściska się spragniona garstka ludzi dobrej woli.

Dwaj podróżni wstrzymali się w dalszym ku Rzymowi pochodzie, aby tam gdzie najbujniej rozrosła się rozpusta, najpierwej wszczepić oliwną gałęź pokoju ducha i rószczkę prawdy nowej... miłości, wstrzemięźliwości, umartwienia, pokuty.

Codzień skoro świt, ściągali się z nizin Napolitańskiego wybrzeża wybrani owi i szli słuchać męża, który

nie nauką retora, nie mądrością świata, ale cudowną siłą jakąś pociągał i niewolił ich serca.

Heljos i Juda, kilku Izraelitów, towarzyszyli im nieodstępnie, i wszyscy wkrótce obmyci chrztem, przypuszczeni do tajemnicy wielkiej, weszli w służbę prawdy z pokorą i poświęceniem.

Jeden Hananias, chociaż w domu swoim przyjmował podróżnych Galilejczyków i słuchał ich niekiedy, nie przyjął słów ich do serca, ani się dał nawrócić; owszem, na Judę nawet spoglądał okiem chmurnem, że tak łatwo i prędko uwierzył. Heljos nawet stary, który zdawna miał nad nim przewagę, nie potrafił go pozyskać, choć długie trawił nad tem godziny.

Przybysze, pierwszych dni w gościnnym domu Asprena na górze, odpoczywali i tu sprawiali ofiarę, ale gdy do niego tłum pogan uczęszczał i nieraz wśród obrzędów i nauczania, przerywali im z koszami przychodzący niewolnicy i zgiełk targowy, — Galilejczycy, uchodząc od wrzawy i niepokoju, udali się do domku za Capuańską bramą do Judy, gdzie nikt nie bywał prócz wezwanych, i gdzie sami tylko być mogli. Tu oni gromadzącym się powoli ludziom biednym, w większej części niewolnikom, ubogim wyzwoleńcom, żebrakom, zwiastowali dobrą nowinę, pociechę i błogosławieństwo.

Wieść o nowej nauce z ust do ust podawana, rozchodziła się błyskawicą.

Przeczuwali ją mnodzy, przyjęli spragnieni. Poznać było łatwo w pośród tłumów tych, co zostali obmyci i do społeczności nowej przyjęci, wyglądali bowiem jak ludzie nowi, mając na obliczu i w sercach ten pokój święty a niezachwiany, którego świat dać nie może. Byli oni wszyscy jakby braćmi i synami jednej matki — żydzi, poganie, niewolnicy, wolni, bogaci i ubodzy, — nowe prawo braterstwa i miłości rządziło niemi.

W kilka już miesięcy po przybyciu do Neapolis, siedzieli dwaj Galilejczycy pod kolumnami od ogródka willi, w którym pracowali niewolnicy Hananiaszowi i rozmawiali o kraju swoim, gdzie tak wielkie stały

się rzeczy; — gdy starszy podróżny obróciwszy się, ujrzał garstkę podwładnych Judy, która pod biczem Tyrona i szyderstwy Myrona i Silwana pracowała.

— Oto — rzekł — ci, do których przyszliśmy, bo nie do Izraela samego, ani do pogan Greków, ale do narodów wszelkiego plemienia i barwy, jakie są gdziekolwiek, aż do krańców ziemi. — A komuż pierwej podają napój, jeśli nie tym, co są unużeni i uznojeni najmocniej, a padają osłabieni od trudu?

I wstał ów Galilejczyk, i szedł do tych ludzi, a wzrok niewolników zwracał się doń ciekawy, — i gdy poglądał od kogoby zaczął dzieło, które przedsięwziął, ujrzał pod murym ogrodowym leżącego Swewa, który patrząc w niebo, płakał po swojemu, a pierś jego chodziła oddechem przyśpieszonym.

Nie wiedział on co się w koło niego działo, ani go bicz mógł do pracy przymusić, wychudłe ciało okazywało, że mu już nie wiele pozostaje do życia.

Stanął przed nim Galilejczyk i wpatrywał się weń, a zdało się, że wzrokiem nań jako siłą wielką podziałał, bo głowa niewolnika jak kwiat ku słońcu zwróciła się ku niemu, i nabrzmiałe powieki podniosły się z niewymównym wyrazem patrzając na pogodną twarz starca.

I ten, co nigdy przytomny nie był, jakoby oprzytomniał pod wejrzeniem Galilejczyka i zadrżał do głębi, a z za łez zaświeciły mu otuchą jakąś oczy niebieskie, i słowo nieznanego nikomu języka wyrwało się z ust jego.

Przybyły uśmiechnął się łagodnie, i w tej samej mu mowie odpowiedział.

Jeden wyraz jego podziałał cudownie: — długo bezwładny i konający człowiek, posłyszawszy dźwięk języka, którego dawno nie spotkało ucho jego, zdumiony, poruszony, przejęty, rozlał się we łzy, załamał ręce, jęcząc z radości i bolu razem.

— Ktoś ty jest? — zapytał w swej mowie Swew — nie nasz jesteś! nie! po twarzy i sukni widzę, żeś obcy, a odezwałeś się do mnie mową ojczystą! Mów,

gdzie ja jestem, co się dzieje ze mną? Wszak ja nie umarłem jeszcze?

— Uspokój się, dziecię — rzekł święty — żyjesz i żyć będziesz; nie jestem bratem twoim wedle krwi, anim kiedy widział kraj wasz daleki, ani słyszał mowę jego; dano mi jest wszelki język ludzki rozumieć i wszelkiego człowieka mowę włożono mi w usta... a przyszedłem abym cię pocieszył.

— Pocieszyć mnie — odparł powoli znowu osuwając się na ziemię Swew biały — skrusz-że te więzy, puść mnie wolno, i daj mi wrócić do swoich, bez których umieram, bom już łzy do ostatka wypłakał za niemi.

— Ja ci zwiastuję swobodę i życie.

— Co mi swoboda? na co życie? — rzekł Swew, tuląc oczy w dłoniach wychudłych — na tej ziemi spalonej i tak daleko od swoich, gdzie nie słyszę ani języka rodziny, ani szumu moich ukochanych lasów, ani strumieni szmeru, — gdzie inny jest świat i ludzie... Tam po mnie oczy wypłakali ojciec i matka i bracia i siostry — i ona!

I zakrywszy twarz, płakał ciągle zanosząc się tak, że ów jęk w dziki jakiś śpiew przechodził; — niewolnicy inni stali dokoła, patrząc i słuchając zdumieni.

— O! skuj mnie w więzy żelazne, skuj w więzy mosiężne i obarcz ramiona moje i uczyń ze mnie stokroć jeszcze podlejszego niewolnika, i każ mi pracować do krwi i na śmierć — a odprowadź mnie na ziemię moją, niech ją jeszcze zobaczę. Bo wyście u siebie i serce się wam nie rozrywa, nie pęka jak mnie biednemu, myśląc o chacie w naszych lasach, o progu, na którym śpiewając, dziecięctwo i młodość przebyłem.

A! tam szumią bory nad starego ojca mogiłą... a syn nad nią nie płacze...

— Słuchaj jeno — przerwał mu Galilejczyk — i ja przecie jestem wygnańcem, ale dobrowolnym, i jam się tu nie rodził, i ja dzieciństwa lata nad dalekiem przebiegałem jeziorem, którego skały, wody i krzewy

jeszcze mi się w sercu odbijają... pierwszy raz nogi moje depczą tę ziemię.... Za morzami, w skalistej krainie kołysała mnie matka moja... od kości jej sam się wygnałem.

— O! to niemasz serca i niceś nie kochał! — wybuchnął Swew. — Tam u nas zimno i posępnie i dziko, i domy nasze z drzewa a gliny, w nich jako zwierz dziki mieścim się, jamy grzebiąc po puszczach; nie mamy szat, nie znamy zbytku, ale nędza nasza nam droga!.. O! wróć mnie nędzy naszej rodzonej!

— Uspokój się a słuchaj — zawołał obcy — słyszysz mowę swą w ustach moich, niechże cię ona pocieszy i upewni, że cierpieć przestaniesz; ale bądź mężny i ożyj!

— Męztwo poszło ze łzami... ja chcę umrzeć i choć duchem polecieć nad białe morze moje, do chaty ojca i matki, na próh dziadowski. E! namówili mnie na wojnę w lasy Germańskie, z łukiem i pałką krzemieniem nabijaną — a płakała matka... a ojciec mówił: przyniesiesz nam łupy... I poszedłem, wzięli mnie rannego, sprzedali w niewolę. A tam, tam oni czekają powrotu, siedzi stara matka na progu i patrzy ku południu i wygląda syna... a siostry śpiewają... a ona...

I umilkł kładnąc się twarzą na murawie, by ukryć żal niemęzki, a Galilejczyk, który był usiadł przy nim na kamieniu, ulitował się snać cierpieniu człowieka, i znak dłonią ręki prawej, uczynił nad czołem jego, jakby go błogosławił.... Cudowne to przeżegnanie tak wielki i nagły uczyniło skutek, że patrzący z dala przerażeni, zdumieni, stanęli jak wryci.

Swew jakby ze snu przebudzony długiego, odrzucił włosy jasne, kurzem zwalane, na tył głowy i powstał.... A choć na nogach utrzymać się nie mógł, przypełznął do Galilejczyka na kolanach, jako pies do pana swego, i położył się u nóg jego pokornie.

— Kto bądź jesteś, Boże czy człowiecze? — zawołał — nie opuszczaj mnie; z ust twoich słyszę mowę, którą wieki prawie nie poiło się ucho moje:

weźmij mnie z sobą, a służyć ci będę. I nie chcę zapłaty innej, tylko słowa, którego dźwięk mnie karmi....

— Nie jestem Bogiem; jestem jak ty człowiekiem — odparł Galilejczyk — zesłanym przez Boga do biednych i prawie uciśnionych, i rozkazuję ci żyć, albowiem życiem dzisiejszem nabędziesz wieczne.... I nie mnie służyć masz, ale Bogu, którego słowo żywi i cieszy, krzepi i karmi....

— Życie wieczne — podchwycił Swew. — A! wiem! zawołał po chwili — i u nas ojcowie mówią, że człowiek po śmierci wstaje w sile i młodości na innym świecie lepszym, i z bogami nowe rozpoczyna życie, które się nigdy nie kończy. Ale ja nie chcę żywota tego; tylko mi daj moją ziemię i matkę moją i ojca, i to, czem żyłem w młodości.

— Lepsze nad to posiędziesz! — zawołał przybyły — tylko dźwignij się, powstań, a żyj.

To mówiąc wstał i nieco się oddalił, a ci, co z razu widzieli Swewa bezwładnego, jak go z ergastulum wynoszono na rękach, by odżył na powietrzu, zdumieli się postrzegłszy, iż sam o swej sile podniósł się teraz i poszedł za mistrzem swoim.

Krótka ta rozmowa dokonała cudu, na który patrząc oczom swoim nie wierzyli Juda i Heljos i niewolnicy Hananiasowi.

Towarzysze Swewa ujrzawszy jak go Galilejczyk słowem dźwignął na nogi, rzucili pracę i kamienie i kosze, któremi ciężary przenosili, i motyki, któremi kopali ziemię, a zeszli się kołem otaczając podróżnego, aby go oglądać.

Dziki nawet Part patrzał nań okiem ciekawem w krew oprawnem, ze zdumieniem zwierzęcia, które niepojętą znalazło siłę; Tyro stary oczy przygasłe wpoił weń, siwą potrząsając głową.

Naówczas do każdego z nich z osobna począł się w jego języku odzywać Galilejczyk i zdumiał ich bardziej jeszcze. A mówił do nich w te słowa:

— Jestem posłem do was, nie od ludzi, ani od królów ziemi, ale od Boga. Przyszedłem nie do panów i bogaczów a władców świata, ale do ubożuchnych i znękanych, abym pot otarł z ich skroni i pocieszył, swobodę zwiastował i wyzwolenie.

— Jak to może być? – odparł Iberyjczyk o czarnem oku — gdy niewola jest wszędzie i wojna wszędzie, i jedni są by cierpieli, drudzy by się pastwili nad nimi?

— A ja wam zwiastuję pokój i skruszenie więzów i braterstwo wszystkich — zawołał Apostoł.

— A z czegoż człowiek żyć będzie, i co czynić, jeśli ustanie wojna? — zapytał Part.

— Żyć będzie słowem, karmić się duchem Bożym i używać pokoju! — odpowiedział poseł. — Świat tak się odmieni, iż nowym się stanie, i nie będzie ani Rzymian, ani Greków, ani Partów i Scytów, ale jeden naród braci i synów Bożych.

— Jak to być może — przerwał Myron — kiedy inaczej było całe od początku świata?

— Ja wam powiadam, iż ten cud ujrzy ziemia, a pocznie się odrodzenie nie na tronach i w pałacach, ale w ziemi i grobach, od tych, któremi świat pogardził, któremi pomiata.... I od początku do końca jednym cudem się stanie.

Gdy tak mówił, posiadali wszyscy wedle niego, a tak się zasłuchiwali, że płynęły im dnie i godziny niepostrzeżone, a oni o życiu, pokarmie i śnie zapominali — pijąc z tego źródła nienasyceni, dopóki im płynęło....

I Asprenus zchodził często z gór swych do ustronnej willi, a z nim towarzysze jego poganie nawróceni, wespół z niewolnikami i żydami słuchając nauk Apostoła.

W taki sposób wiara nowa na brzegach szczęśliwej Campanii pierwszy raz zaszczepioną została.

CZĘŚĆ II.

ROMA.

I.

Od opisanych wypadków przeciągu czas upłynął niemały. Cajus Caligula, w szałach i porywach obłąkania dokończył życia, które miłość jego ludu zmieniło w końcu w znużenie i nienawiść. — Codziennie nowe ofiary skazywała na śmierć, chciwość jego i okrucieństwo; codzień krwią nową oblewały się areny cyrków i domów sypialnie, codzień nowemi występkami plugawiły czyste łoża, codzień nowych danin wymagał Cezar i głów więcej, aż Rzym zawołał w końcu, na pół przerażony na pół drżący, że lepiej jest by jeden zginął szaleniec niż wszyscy dla jednego szaleńca.

Wycieńczony wprędce skarbiec Cezara, wywołał pierwsze jego na bezbronnych zasadzki; denuncjatorowie dostarczyli obficie głów, po których majętności spaść miały na niego.

Agrippa, Antiochus, Mnester, Apelles i Helikon poddawali mu rad i środków do pozyskania grosza, którego tak łaknął, do wynajdowania coraz nowych i nieznanych rozkoszy.

W łaźni potrzeba dlań było zapachów najdroższych i najrzadszych, na wieczerzę potraw niesłychanych, opłaconych miljonami, w napoju pereł rozpuszczonych, za mieszkanie służyć musiały okręty na których sadzono ogrody, budowano sale ogromne, aby Cezar pływał z willą swą razem i z miejsca na miejsce z domem się przenosił.—Życie jego było nieustannem ma-

rzeniem niepodobieństw i pragnieniem nie istniejącego. — Chciał odbudować pałac Polikratesa w Samos, wznieść mieszkanie niedostępne na Alp wierzchołku i międzymorze Koryntskie przekopać... ciosać góry i przelewać morza *).

Okrucieństwa Tyberjusza przeszedł jeszcze Cajus, stary bowiem kozioł Caprejski nie nasycał się tak męczarnią, nie miał w niej upodobania i rozkoszy. Caligula pastwiąc się, używał. Tak raz chłostanego hitrosjona, gdy jęczał boleśnie, głos mile połechtał mu ucho, więc go bić kazał dłużej aby się tą pieśnią nasycać.

Zwierz afrykański mało przybywał na cyrki i kosztował drogo, a okrętów brakło by poń posłać, bo flota stała w Baii, aby Cajus konno mógł po jej grzbiecie przebiegać zatokę, — więc ludźmi karmiono dzikie potwory i głodne ryby w sadzawkach.

Często powracającego od trupa ojcowskiego syna, ze łzami w oczach, zabiwszy mu rodzica, porywał Cajus i sadzał z sobą do uczty, by się z nim śmiał i rozpustował, — nie umiejąc poszanować nawet dziecięcej boleści.

— Bijcie tak — mówił do katów — aby zabijany razem czuł że umiera.

Powtarzał, że pragnął aby cały lud rzymski jedną miał tylko głowę, by ją mógł ściąć jednym zamachem.

Zazdrośny życia, zazdrośny sławy, zabronił stawiać posągi i wywracał wzniesione, chciał zniszczyć dzieła Homera — ale któż policzy te szały zwierzęce?

Dziś rzucał z dachów bazyliki Juljusza Cezara pieniądze dla ludu, jutro je wymyślnemi sposoby wydzierał, a w środkach do zdarcia był niewyczerpanym.

Gdy w końcu i łamanie testamentów i zabory majątków i wyciśnione niewystarczały summy, Cezar się zrobił przekupniem i sam, rodzinne pamiątki po siostrach sprowadziwszy do Rzymu, sprzedawał je targiem publicznym. Na przywiezienie tych sprzętów zabrano co było w Rzymie wozów i koni, a gdy rzeczy były już w miejscu, sam Cajus stawał z niemi jako przekupień i wołał: — Kto da więcej? patrzcie! to urna która należy do Druzylli, łańcuch ten zdobił piersi Livii, na łożu tem spoczywała Antonina? Jak wam nie wstyd być bogatszemi odemnie biedaka! odzywał się — jak wam nie srom waszego skąpstwa... Dajcie więcej! dajcie więcej!

*) Swetonjusz.

Często za zaprosiny do swojego stołu nawet płacić sobie kazał.

Senat drżał spodlony i bezsilny. — Nareszcie, po szalonych owych igrzyskach, teatralnych zapasach, po wyścigach z woźnicami i niesłychanej rozpuście tytanicznej, olbrzymiej, czepiającej się niepodobieństwa i nieposcignionego — po głośnym zamiarze mianowania konia konsulem, Cajus tak był już oszalał, że nikt i nic odeń nie było bezpiecznem, ani życie, ani cześć, ani mienie, a nic niebroniło, ni krew, ni przyjaźń, ni pamięć zasługi, — spiknęli się wszyscy by się pozbyć szaleńca.

Dwa jednak pierwsze spiski na jego życie, Papiniusa i Lepida, odkryto, i to na niejaki czas wstrzymało innych.

Lecz nim powiemy jak zginął, odmalujemy go raz jeszcze słowy spółczesnych świadków, Philona i Józefa, żydów, którzy posłuchanie otrzymawszy u Cezara, pełen życia i charakteru zostawili nam opis jego *).

Wysłańcy Izraelscy przybyli do Rzymu w sprawach swojego narodu i dopraszali się posłuchania, w którem prosić go mieli, by ich od od dawania czci Boskiej i stawiania w świątyni posągów Cezara uwolniono, gdyż się to prawu ich przeciwiło.

Wyjednali nareszcie groszem, czy niecierpliwem naleganiem, że im kazano czekać w willi dawnej Mecenasowej, u wrót Rzymu, połączonej teraz z willą Lamii, dla rozłączenia, bo wszędzie było ciasno Cezarowi-Bogu.

*) Philon De Legatione, 12. 17. Joseph. Antiquitates XVIII.

Willa ta była z przepychem nadzwyczajnym ozdobiona w posągi złocone i ogromne z kosztownych kamieni, urny, ściany, jej połyskiwały malowaniami i purpurą. Na oścież stały otworem niezliczone szeregi izb z sobą połączonych, ogrody pełne wodotrysków i portyki pniami tysiąca kolumn podparte.

Cajus przechadzał się po tym raju swoim, znudzony, kapryśny, dziki. Stał właśnie w jednej z tych sal swoich z Mnestrem i kilku ulubieńcami, gdy weszli Izraelici.

Caligula był naówczas człekiem już zużytym; wysokiego wzrostu, chudy, blady, źle zbudowanego ciała, z cienką szyją, oczy wpadłe jak Tyberjusza były wypukłe, z czołem groźnem i pomarszczonem, łysy nieco, z brodą — wejrzenie miał naumyślnie nasrożone i postać, którą jak najstraszniejszą starał się uczynić. — Strój jego był dziwaczny, wyjątkowy, wcale do obyczaju wieku i kraju nie zastosowany. Brodę miał posypaną złotem, na głowie Merkurjuszowe pokrycie, z pod którego galerus fałszywych włosów spadał na ramiona; w ręku trzymał kaduceusz złoty. Ujrzawszy go Żydzi padli na twarz wołając:

Salve Augustus imperator!

Ale Cajus im przerwał:

— A! a! toście to wy, nieprzyjaciele Bogów? ludzie co śmiecie mną pogardzać, gdy cały świat mi cześć oddaje.,. czciciele nieznanego Boga!...

— O! — przerwał jeden z zauszników,— to mało jeszcze... wszak ci ofiar za twe szczęście i powodzenie składać nie chcą...

Żydzi się zakrzyknęli.

— Nie! panie — ofiarujemy hekatomby za ciebie, wylewamy na ołtarzach krew ofiar... Czyniliśmy to, gdyś został Imperatorem, gdyś powstał z choroby która świat cały okryła smutkiem, gdyś się do Germanji wyprawił...

— Tak! tak! składaliście ofiary — przerwał Cajus— jakiemuś tam waszemu Bogu, ale nie mnie. — Cóż mi tam z tego?

Biedni posłowie słuchali tych wyrazów przerażeni, jak wyroku śmierci; a gdy tak na pół leżeli na ziemi, Cajus tymczasem przeszedł do innych sal, przeglądając ich urządzenia, rozkazując zmiany, czyniąc uwagi rozmaite nad uporządkowaniem, polecając przenosić obrazy i posągi. Alexandryjczycy tymczasem, szydząc z żydów, prześmiewali ich, koląc szyderstwy i groźbami jakby w teatrze.... Cezar chodził nie zważając na nich wcale.

W tem nagle obrócił się do nich z twarza surową:

— Słuchajcie — spytał — powiedźcie mi, proszę, dla czego nie jecie świniny?

Wszyscy w śmiech na to pytanie.

— Panowie — odpowiedzieli żydzi — każdy naród ma swe prawa i obyczaje; jedne rzeczy są nam wzbronione, inne drugim narodom, naprzykład Egipcjanom. Są ludy, które nie jedzą baranka.

Mają wielką słuszność — przerwał Cezar — bo mięso to niesmaczne!

I począł się śmiać z tego dowcipu, a dwór wielkim chórem za nim.

— Ale na czemże opieracie prawo obywatelstwa swego w Alexandrji? — zapytał ich wreszcie, gdyż głównie o to żydom chodziło.

Poczęli wykładać swe prawa i dowodzić ich; gdy Cajus, jakby nie chcąc umyślnie dosłuchać ich mowy, wybiegł do innej izby, okna kazał w niej pozamykać, i wrócił do nich z zapytaniem — co mu powiedzieć mają?

Złagodniał jakoś widocznie, a w żydów duch nieco wstąpił, ale począwszy słuchać, gdy mu się gotowali dowodzić, że w Alexandrji od czterechset lat mają prawo pobytu i obywatelstwa, znowu zniecierpliwiony Cajus zaczął biegać do obrazów i ustawiać sprzęty. Nieszczęśliwi gotowali się na śmierć modląc po cichu.

— Idźcież sobie! — zawołał nareszcie. — Ludzie ci — dodał obracając się do swoich — raczej są głupi niż źli, że we mnie Boga widzieć nie chcą.

Na tem się skończyło owe groźne posłuchanie. —

Widać zeń, że Cajus na dobre miał się za Boga; trudno go w istocie nazwać człowiekiem, a Swetonjusz najlepiej go podobno mianuje — potworą.

Wyczerpała się wreszcie cierpliwość i podłość — postanowiono pozbyć się Caliguli.

Trybun pretorjańskich kohort, Cassjus Choerca, starego jeszcze rzymskiego obyczaju człowiek, którym poniewierał bez ustanku Cezar, szydząc zeń w sposób najobelżywszy, powziął myśl spisku na jego życie.

Emilius Regulus, z nienawiści także, Minucianus mszcząc się za Lepida, przystali z nim do spółki. Wkrótce liczba sprzysiężonych znacznie się zwiększyła i wzrosła, chodziło o to tylko gdzie i jak go pochwycić. Zwłoka i narady tak w końcu rozjątrzyły Choercę, że postanowił choćby sam przy pierwszem spotkaniu nań się porwać. Cajus w dobrem usposobieniu ducha był dnia jednego na igrzyskach; wyrocznia jakaś kazała mu się strzedz Cassjusa, ale na myśl mu nawet nie przyszedł Choerca; zastosował to do Cassjusza Longina, którego tegoż dnia przywieziono z Azji. Uspokoił swą obawę wyroczni Antium, zatrzymaniem podejrzanego.

Wespół zasiadł na swem miejscu Caligula, tuż przy nim wśród trybunów stanął Choerca, inni sprzysiężeni rozsypali się dokoła.

Około siódmej godziny, ubawiwszy się widokiem tragedji i mordów, Cajus wyszedł wziąć łaźnię poprzedzającą wieczerzę....

W tłumie młodzieży u wnijścia stojącej, którą sprowadzono z Azji dla cyrku i teatru, Choerca spotkał go, żądając na noc zwykłego hasła. Cajus odpowiedział mu wedle swojego obyczaju jakimś wyrazem bezwstydnym, gdy w tej chwili stary Rzymianin mieczem go przebił, uderzywszy między ramiona a szyję. Caligula chciał uciekać, gdy Sabinus obalił go krzycząc:

— Powtórz!

Trzydziestu razami w chwili przebijają go spiskowi, Aquila zadaje cios śmiertelny.

Wśród germańskiej straży Cezara, wiernej mu i przywiązanej do niego, odgłos zabójstwa rozniósł po-

płoch i oburzenie; w pierwszym zamęcie i szale wielu senatorów zginęło....

W teatrze, z którego był wyszedł Cezar, lud rozmaicie przyjmował przyniesioną nowinę. Patrycjusze udawać musieli smutek, by nim swą pokryć radość, gmin płakał, żałując więcej igrzysk niż człowieka.

Nie chciano z razu nawet śmierci uwierzyć. Scena w teatrze godnie dokończyła tego panowania krwi i rozpusty, oblegli amfiteatrum Germanie, niosąc krwawe głowy pobitych, wołając pomsty na spiskowych... i nie prędzej się uspokoiły tłumy, aż Aruntius wystąpił na scenę w żałobnem ubraniu, i urzędowie ogłosił śmierć Cezara. Osiaticus śmielej jeszcze wykrzyknął za nim, że żałuje iż nie on sam dokonał zabójstwa.

Za niemi opamiętawszy się wszyscy poczęli wołać przeciw upadłemu i cieszyć się oswobodzeniem....

Gdy się to dzieje na scenie, a opróżnione miejsce po Cajusie czeka następcy, najdziwniejszy wypadek narzuca pana Rzymowi.

W rodzinie Cezarów żył dotąd na uboczu i mało widoczny, na ówczas już nie młody Claudjusz.

Był on synem Drusa, dziecięcia żony Augusta, dosyć ukochanego przybranemu ojcu. Claudjusz urodził się w Lyonie; ale to dziecię było tak z razu słabe, cherlające i niepozorne, że je osądzono za niezdolne do udziału w sprawach publicznych. — Może temu zapomnieniu i pogardzie winien był Claudjusz, że na dworze Cezarów mógł dożyć śmierci Caliguli, ni czyjej nie obudzając zazdrości.

Wyszedłszy z lat dziecięcych, długo miał jeszcze przewodnika, który go nie odstępował, sądzono bowiem, że sam sobą nie potrafi kierować. Bolał ciągle, z odkrytą głową chodzić nie mógł, na igrzyskach widywano go w kapturku.

W dzień dójścia do lat męzkich, pocichu zaniesiono go do Capitolu, dla zwykłego obrzędu, bo pieszo pójść nie mógł. Ale jak w całej tej dziwnej rodzinie, obok najrozpasańszych namiętności i dzikości przechowywała się miłość nauki, sztuki, słowa — i to nawet

upośledzone dziecię odebrało wychowanie staranne, które w pewien sposób umysł jego ukształciło, choć rola była niewdzięczna.

Claudjusz, pogardzony przez własną matkę, która go zwała niedokończoną potworą, wcześnie obsadzony był nauczycielami i począł się obeznawać z wymową i literaturą. Zdaje się [1]), że stary August był temu powodem, bo on jeden nie zupełnie o nim rozpaczał; reszta rodziny byłaby go może opuściła.

Później, choć się cośkolwiek poduczył i nabrał wprawy retorycznej, znikł prawie z publicznej sceny za Tyberjusza i Caliguli; dano mu oznaki konsularnej godności, odmawiając władzy i praw konsula, i biedny ów człowiek krył się w towarzystwie ludzi gminu, włócząc się po Campaji, po ogrodach i willach rzymskich, pocieszając to nauką i księgami, to kośćmi i winem, które wśród próżnowania polubił.

Po kilkakroć senat chciał go dźwignąć z tego poniżenia, ale Tyberjusz nie dopuścił, odzywając się o nim z pogardą, jak o głupcu.

Cajus także żartował sobie z tego stryjaszka i szydził; była to nieszczęśliwa ofiara jego dworaków. — „Jeśli mu się trafiło spóźnić na wieczerzę, pisze Swetonjusz, z trudnością go dopuszczano do stołu; musiał całą salę obejść, nim sobie miejsca wyszukał. Gdy się zdrzemnął po jedzeniu, co mu się zwykle zdarzyło, rzucano nań pestkami oliwek i daktylów, a błaznowie budzili go uderzając kijkami lub biczami. Było to też we zwyczaju kłaść mu śpiącemu na ręce trzewiki, aby przebudzony, chwytając się za twarz, podrapał się niemi.

Tak się znęcano nad człowiekiem, który w upokorzeniu tem i spodleniu przebywszy długie lata, stary już dożył zabójstwa Cajusa.

W chwili mordestwa i zamieszania, odepchnięty przez sprzysięgniętych Claudjusz, widząc co się dzieje, przelękły, umknął ocalając życie i schował się do Hermaeum, z którego potem, słysząc wzrastające wrzaski

[1]) Swetonjusz.

i zamęt, wpadł do przyległej altany i skrył się za zasłonę, którą drzwi były zawieszone.

Prosty żołnierz z kohort pretorjańskich, przechodząc tamtędy, spostrzegł wystające nogi jego i za nie wyciągnął go z ukrycia, chcąc się przekonać ktoby to był. Claudjusz rzucił się mu do nóg przerażony, błagając o życie. Żołdak zdjęty litością, poprowadził go do swoich, jeszcze wzburzonych i niewiedzących co począć; myśl im przyszła obwołać stryja zabitego Cezarem. A że niewolnicy wszyscy pouciekali w popłochu, sami żołnierze wzięli go na nosze, i tak drżącego, zbiedzonego, wśród tłumów litujących się nad jego stanem, zanieśli wprost do obozu. Noc całą przebył tu Claudjusz w niepewności, otoczony strażami pretorjanów.

Nazajutrz wśród bezładu i strachu obwołano go Cezarem.

Był to człek już stary, ciężki, głupawy rzec można i z razu bojaźliwy, który wszystkich cnót pozory wdział z szatą Cezar, aby przebłagać Rzym za wyniesienie swoje. — Ale wnet niesłychana władza jaką mu dano, w szał go jak innych wprawiła. Wkrótce począł dziwaczyć, a nic u niego mniej do jutra podobnem nie było na dzień dzisiejszy. Rozumnym był i bacznym, lub dzikim i bez zastanowienia, na przemiany. Któż wie zresztą, czy ów Claudjusz, co się tak nagle odmienił, i z dobrodusznego stał się rozpasanym i dziwacznym, nie udawał wprzódy na ciele i umyśle upośledzonego, aby życie ocalić i nie obudzić obawy?

Dwór też, który go otaczał, opanował i zawładnął nim, przyczynił się zapewne do uczynienia go później tem, czem został — owym jakby od pioruna rażonym człowiekiem, który pod naciskiem ulubieńców nie wiedział sam co czynił. Dawano mu żony, pozbawiono ich, podsuwano ulubieńców, narzucano przyjaźnie — wszystkiemu ulegał. Rzezaniec Porides, Felix, Arpocras, Polybjusz stary nauczyciel, a najbardziej Narcyz sekretarz i Pallis rządca dworu, okryci przezeń dostojeństwy, robili co chcieli, rozporządzali łaskami, pie-

niędzmi, podpisami, które mu dawać kazali tak, że nigdy sam nie wiedział co poczynał.

Powierzchowność jego nawet jak na Cezara dosyć była niepoczesną — wysokiego wzrostu i budowy prawie kształtnej, siwą miał już głowę i słabe nogi, na których ledwie się trzymał. Śmiech jego wyuzdany, gniew pianą okrywający usta, zająkliwość, drżenie głowy, czyniły zeń istotę dziwaczną i litość obudzającą. Dodajemy że tak był żarłoczny, iż nieraz dla zapachu jadła z trybunału zchodził, a od stołu nigdy nie wstał nie obżarłszy się nad miarę.

Spał potem we dnie wszędzie gdzie siadł, aby po nocy czuwać przy kobietach, nad grą, którą namiętnie lubił.

Istota to była słaba i straszna słabością swoją, bo dla niej okrucieństwo nie było namiętnością potrzebującą nasycenia, ale rzeczą obojętną jak inne. Właściwie nie on panował, a raczej ciżba ulubieńców pod jego imieniem.

Jego samego nie zbyt nawet szanowano, bo się trafiało, że go jeden potrącił, inny za togę schwyciwszy siedzieć zmuszał, a wszystko to uchodziło bezkarnie.

Lud głodny bezcześcił go na forum publicznie; on znosił to obojętnie, byle jadł do syta, bawił się z Messaliną i drzemał gdy mu sen powieki skleił.

Po tej rozpustnicy, której imię zostało na hańbę wiekową, Agryppina ujęła Claudjusza, panując pod jego imieniem.

Miśmy te czasy szkarad, których malować obszerniej nic nas nie zmusza i skończmy śmiercią Claudjuszową. Dobiły go wreszcie żarłoczność, rozpusta i niepokój własnego domu, miotanego sporami nieustannemi otaczających go ludzi. Claudjusz, zachorzawszy od zbytkowania, pojechał do wód Sinueskich dla poprawy zdrowia; Agryppina już była przygotowaną do pozbycia się go — szło jej tylko o wybór trucizny [1]), aby gwałtowność użytego środka nie wydała zbrodni zbyt jawnie.

[1]) Tacyt.

Dla przygotowania jej wybrano sławną Locustę. Rzecz działa się tak jawnie, że dzieje przechowały najdrobniejsze szczegóły śmierci Cezara.

Claudjusz lubił bardzo grzyby, rydze szczególniej, w nich to przyprawną truciznę przyniósł mu Halotus, który miał urząd krajczego i potraw kosztował.... Z razu jakoś skutku jadu nie poczuł Cezar, a że się obżarł bardzo i wyrzucił co pochłonął, Agryppina zlękła się aby trucizna nie była za słabą.... Użyto więc Xenofona lekarza, który piórkiem łechcąc po gardle, truciznę dozę podwoił....

Tak zmarł biedny żarłok, a ciało jego leżało martwe, gdy senat jeszcze zasyłał modły do niebios, prosząc o jego uzdrowienie, a Agryppina pracowała nad ubezpieczeniem następstwa władzy synowi swojemu Neronowi.

Trzeciego dopiero dnia Idów październikowych, otwarły się po południu drzwi pałacu i wyszedł z nich młody Neron z Burrhusem, aby przygotowaną już i zapewnioną objąć władzę.

Sądzę, że z Claudjusza, z Agryppiny, z tych panowań co poprzedzają, można się już domyśleć czem ma być Neronowe, czem sam Nero, przybrane dziecię Claudjusza, we krwi noszące zadatek okrucieństwa i rozpusty, wychowane na dworze, który zawczasu namiętności obudził i umysł oszalił; spadkobierca Augusta, Tyberjusza, Caliguli i niedołężnego męża Messaliny i Agryppiny.

II.

Rzym za Nerona był już tym najwspanialszym i najpotężniejszym grodem-mocarzem, którego imie rozlegało się przez wieki niepożyte czasem, i ruiny oblekа majestatyczną purpurą; kolosalnem miastem zbytków i przepychu, ku któremu spływały ze wszech stron

świata bogactwa, dziwy, daniny, krew i życie ludów: dla którego w odległych żyznych dolinach Nilu, na polach Sycylji, w głębinach Afryki, na chleb powszedni pracowały tłumy; któremu tysiączne statki wiozły zboże rozdawane daremnie na codzienną strawę, zwierzęta na igrzyska, niewolników do posługi i zabawy, kamień i marmur, złoto i purpurę i kość słoniową na jego budowy i szaty; wonie, klejnoty, tkaniny, by dogodzić wszelkiemu zachceniu i kaprysowi wszechwładnego pana.

Panowanie tego grodu, którym rządził Cezar, rozciągało się tak daleko, jak granice znanego naówczas świata.

Po za granicami rzymskich orłów spały ludy nieprzebudzone do życia, padały śniegi zaciemnieniające powietrze, paliło słońce ziemie pustynne....

Na obszarach podwładnych Rzymowi, nikt mu się nie śmiał sprzeciwić, ni z siłą jego walczyć, ni przeciw rozkazom stawić. Wyroki Cezarów spełniały się w głębinach nieznanych krajów, choćby śmierć niosły i zniszczenie.

Gród też ów, którego imie tajemnicze znaczyło siłę [1]), w którego nazwie jednoczyła się cała świata starego potęga i godło nowego, miłość (Amor) — był niezmiernem miastem, pełnem wspaniałości i cudów.

Pomoerium, uświęcona granica, która miasto od kraju oddzielała, znikło już było w nacisku budowli i ludu; przedmieścia rozlewały się daleko i nieznacznie siały miasto po równinach Campanii.

Otoczona rozległemi willami, w wianku kwitnących ogrodów, napojona świeżą wodą rzek dalekich, z siedmiu swych wzgórzów, Roma panowała światu nie tylko władzą, ale pięknością i zbytkiem niezrównanym.

Wiek to był, miękkością obyczajów i materjalizmem przypominający dni nasze, a cywilizacja, której dziś odkopujemy tylko szczątki, tak była wypieszczoną,

[1]) Po grecku *rome*, siła.

tak wykwintną, tak powierzchownie błyszczącą, jak ta, wśród której żyjemy.

Nie brakło jej nawet wykształcenia umysłowego i daru słowa i smaku w sztuce, a ci Cezarowie, których tytanicznym dziwimy się okrucieństwom, co się nad tysiącami ludzi dla igraszki pastwili, byli to swojego wieku znakomici pisarze, mowcy i biegli artyści.

Każdy z nich znał się na prawidłach wymowy, na warunkach gry aktorów, na doskonałości rzeźby, umiał zrobić wybór w obrazach, pokierować budową, lub zręczny ułożyć wierszyk. Greckich arcydzieł nie mógł Rzym wydać, ale je przywłaszczył, naśladował i cenił.

Jak dziś u nas przywłaszczona obca mowa, tak tam grecki panował język i obyczaj, choć Grecja upadła i gniła sama. Jej literatura, sztuka, zwyczaje choć się ich urzędownie zapierano na Forum, panowały wszechwładnie na wybrzeżach Campanii, a w willach ustronnych hetery helleńskie dzieliły tron z Cezarami i władały nimi na współ z rzezańcami, histrjonami, ze skoczkami i woźnicami.

Zaprawdę, świat to był piękny, przyzwoity, cywilizowany, choć stopy jego mokły we krwi rozlewanej co dnia, a piersi jego toczyła niesłychana rozpusta, potworna, zwierzęca, wyszukująca sobie pastwy coraz nowej, po za krańcami możliwości... w mgłach fantazji chorobliwej.

I miasto, które królowało ówczesnemu społeczeństwu, odpowiadać mu musiało.

Z jednej strony żywiło ono sobą wille co je otaczały, gniazda rozkoszy i lubieżnego spoczynku, z drugiej zjadało sąsiednie kraje, wycieńczając z ludzi, z rolnictwa, z pracy...

Sabiński kraj, Etruria, Latium, pustoszały jak słaba roślina, której soki sąsiedni dąb-olbrzym wypija. Miasta nawet zasunięte w góry głęboko, tem chorobliwem absorbującem życiem Romy wysuszone, wycieńczone, ginęły.

Rerum pulcherrima Roma... *) korzystała z swych nieszczęść nawet: pożarowi za Tyberjusza winną była owczesną swą wspaniałość, gdyż na miejscu gmachów zniszczonych wzniosły się wprędce nowe i piękniejsze...

Już przybywającemu zdala do stolicy świata zwiastował się gród-Cezar długą i przepyszną ulicą grobową...

W dali, z zieleni laurów i ciemnych cyprysów bielały wiszące wysoko galerje, portyki i kolumn lasy, poczepiane jedne nad drugiemi, piętrzące się do szczytów świątyń... do wierzchołków obelisków i iglic porfyrowych...

Bliżej wśród róż, fig, morw i winnych splotów... stały szeregiem z obu stron marmurowej drogi pałace umarłych, złocone, malowane, błyszczące, nad których bronzowemi drzwiami czytałeś starego jeszcze Rzymu sięgające imiona.

Owa *regina viarum*, królowa dróg, cała wykładana płytami kamieni, ubrana w wille i groby, najozdobniejszą była ze wszystkich wiodących do Rzymu; żywi płynęli nią tłumem do miasta i ku niemu, umarli cisnęli się przyglądać życiu, z swych mauzoleów i columbariów pełnych urn i popiołów... Stały tu Scipionów groby, wyzwoleńców Augusta, Cecylii Metelli, Massali... tyłu innych, których imion w prochu dziś znaleźć nie można.

Oto i *Porta Capena*, wrota grodu od tej strony, oprawne w stare jego mury, zawsze wilgotne (*arcus stillans*) od wody, która po nad sklepieniem ich przechodzi po cichu... Brama ta pełna zgiełku i wrzawy, pełna wozów i ludu i lektyk, koni i mułów, a po za nią już miasto z tysiącem swych uliczek i przejść ciemnych, z niezliczonem pomników mnóstwem, z ludem posągów, z fontannami, ołtarzami, portykami i targowiskami...

Równy zgiełk i wrzawa panują we wszystkich bramach, któremi ze czterech krańców płyną do Rzymu narodowie, ofiary jego, słudzy, pochlebcy i pasożyci...

*) Virgilius, Georg.

Nie jest to już widok Neapolis, mista zbytku, rozkoszy i wytchnienia, gdzie grecką tylko słyszysz mowę i krótkie suknie spotykasz; — inne tu życie, znać w niem że Rzym jeszcze rozkazuje i włada; bo choć utracił może ducha starego, ma twarz senatorską i rycerską, a wśród gromady ludu, który pod portykami przeciąga poważnie, ujrzysz jesze i zakwefioną matronę o skromnem obliczu, przed którą z uszanowaniem ustępują urzędnicy, i starca w ciemnej todze, którego rysy przypominają surową twarz starego Katona.

Wszystko płynie ku Forum, które jest grodu sercem i ogniskiem, a w sąsiedztwie jego, domy zdają się stać jedne nad drugiemi, tak są ściśnięte i gęste; każda tu piędź ziemi zajęta i zabudowana, w portykach okrążających go przecisnąć się trudno. — Senatorowie, poprzedzani przez liktorów i straże konsulowe, trybuni, pretorowie i edyle, a obok nich i ocierające się o ich szaty skoczki, woźnice, dworki strojne, rzezańcy, pasożyci, ubogi gmin klientów, graeculi czyhający na ucztę, chłopcy zniewieściałego oblicza — cisną się, mijają, witają uśmiechem i rękami, gwarzą, przechodzą. Ten spieszy na kapitol, ów do Palatynu aby coś zanieść do uszu ulubieńców Cezara, inny dybie na łaskawe spojrzenie swojego pana, inny na wieczerzę głośną, na którąby się chciał zaprosić, choćby miał tylko na opróżnione patrzeć misy. Tym czasem przed posągami Cezara dymią kadzidła wschodu. A pobożni stroją je w szaty i wieńce, aby swą wierność okazać przed całym światem.

W bazylikach otaczających koło złotej mety, od której wszystkie się drogi państwa w świat rozpryskują szeroki, pełno ludu, ciekawego, spieszącego się, niespokojnego... wielka u któregoś z panów uczta wieczorna... z Afryki przyszły lwy, które ryczą w zwierzyńcu pod obozem Pretorjanów, — Cezar daje wspaniałe igrzyska... woźnica ulubiony wódz zielonych zachorzał... przybyła dziewczyna z Grecji, za którą nie wiem wiele zapłacone sestercyj.... matrona Cassia pokochała niewolnika z Ergastulum... Fulvia zapisała się

w poczet nierządnic, aby jej miłostki nie prześladowano.... oto nowiny ważniejsze krążące w tem zbiegowisku.

Drobny gmin spodziewa się wielkiego *congiarium*, zboża, które mu rozdadzą obficie, zabaw które dozwolą o nędzy zapomnieć.

Widzisz tu wszystkich, od wyzwoleńca, który wysoko nosi głowę i świeże swe spanoszenie, sądząc się już równym senatorom, do niewolnika z ogoloną głową i suknią obcisłą, stękającego pod ciężarem, o głodzie, do klienta uśmiechającego się swojemu panu, do pasożyta, który pod niebo wynosi odźwiernego, aby go puścił schwycić łup z bogatego stołu, lub rozdawaną u drzwi przyjacielską jałmużnę.

Pod temi portykami okrążającemi Forum, nad drogą nawet świętą (Via sacra), ubogi handel stawi swe szopki, sklepiki, pełne drobnostek do codziennego użytku, jadła, napojów i przyborów kobiecych i męzkich; dalej już coraz bogatszemi towarami kupcy zapraszają przechodnia, łudząc oko barwami, chwytając wonią, narzucając mu się rzadkością i ceną...

Z całego też świata znajdziesz tu wszystko, od purpury tyryjskiej, kości słoniowej i złota, do koszyka z łoziny i świeżo rozwitego kwiatu.

Oprócz natłoku ludzi dniem i nocą otaczających Forum i zbierających tu wieści i plotki brukowe, by je dalej ooznosić, wpatrujących się w twarze, by z nich wczorajszą lub jutrzejszą tajemnicę wyczytać — cały drugi tłum posągów napełnia ciasną jego przestrzeń.

Białe marmurowe i purpurowo malowane, złocone i poodziewane bogato postacie stoją na wysokich podstawach, u stóp których składają vota pobożni, palą ofiary pochlebcy... wyżej głową i wieńcem nad inny posąg młodzieńczy nowego Cezara... a ołtarz jego dymi i kryje się w wieńcach zielonej verbeny.

Wczorajszej krwi ślady już rozlane wszędzie, choć nieraz tędy do Tybru i Gemonji wleczono; kwiatów już powiędłych leżą na drodze tej wiązki, a obojętni przebiegają, ścierając nogami do reszty bratersktego męczeństwa ślady.

Około Forum wszędzie jeszcze ścisk ludzi domów, dalej już nieco szerzej i swobodniej, i portyki puściejsze i tłum nie tak skupiony, i przejść można nie rozbijając ciżby, lecz nigdzie nie brak wspaniałości, któremi Roma w oczach świata się chlubi.

Po za złoconemi dachy świątyń, zalegających górę Capitolińską, wznoszą się ulubione ludowi dwa cyrki wspaniałe, gmachy potężnemi objęte murami, stary Flamiński, nieco mniejszy i szczuplejszy i wielki cyrk (Circus maximus) za Juliusza Cezara skończony, ktorego grzbiet (spina) cały, stroją posągi, obeliski, fontanny i ołtarze.

Tu owi woźnice dwóch barw ubiegają się do mety zwycięzkiej, a sam Cezar, gdyby mógł, towarzyszyłby im w wyścigach, bo lud co zalega siedzenia, począwszy od senatorów i rycerskich ławek, do gminu i kobiet na górze, rzęsisto sypie oklaski władnącym zręcznie końmi i wozami, i rzuca im wieńce i tysiącem dłoni bije ich sławę, a gdy przechodzą ulicami, wskazuje szczęśliwych palcami... I kocha ich może więcej niż senatorów, co milczący siedzą w swej Curji czytując listy Cezara, głowę przed wszystkiemi jego uchylając dziwactwy.

Oprócz tych Cyrków, których często za Caliguli i Claudjusza bawiły tysiąc ciekawych igrzyska kosztowne, są inne jeszcze, dalsze nieco; przystępny tylko dla wybranych Watykański Cyrk Cezara, w którym on sam powozi i zwycięża laurami ukoronowany, i cyrk Flory, przy Alta Semita, gdzie corocznie odbywają się igrzyska na cześć nierządnicy co imie im dała... Lud ma się gdzie i czem zabawić, a nic go prócz cudzej krwi nie kosztuje rozrywka.

Na tych często dla przepychu minią i złotem, boraxem i Nilowym piaskiem posypywanych arenach — ubiegają się woźnice, walczą źwierzęta dzikie, chodzą w zapasy gladjatorowie, a lud niespokojny, rozgorączkowany, namiętny, tak nawykł do tych rozrywek, że

już się bez nich obejść nie może, i zarówno chleba woła i widowisk, bo mu oboje do życia równie potrzebne... I jedne okręta wiozą zboże i słonie, pantery, lwy, strusie, hypopatamy, których posoką ma się zbroczyć plac boju.. a często lud wita żywszem oklaskiem zwierzęta niż chleb, który mu winien Cezar...

Ogromna stolica mieści w sobie co tylko pomyśleć można: posługaczów zepsucia i zbytku, sługi władzy, tłumy niewolników wszelkiej barwy, tysiące zalotnic, z któremi młodzi i starzy dnie w próżnowaniu spędzają, lupanarów bez końca, łaźni bez liku, termy na każdej ulicy, tabern i garkuchni tysiące, bazyliki, w których lud schadza się rano by pogwarzyć, kąpiele gdzie się na uczty gotuje, domy w których biesiaduje do jutrzenki.

Wszelkiego stanu tu pełno, a dziś różnica, co je dawniej odgraniczała, nie tak widna; prócz niewolnika, który tem czem był pozostał, choć wymówny nauczyciel Cezara wyrzekł już, że i niewolnik jest człowiekiem — że on jest przyjacielem pokornym, że podanie mu ręki nie hańbi, ani miłość okazaną upadla [1]).

Rogatszych mieszkania stoją na wyżynach otaczających Forum, ubożsi cisną się w koło Suburry, po za murami miasta i pomoerium.

Tu to potrzeba widzieć czem się opłaca tamten zbytek i przepychy, i jako nędza styka się z ową wielkością; w jak lichych domkach ściskają się rodziny, dla których przybywające dziecię jest klęską, co często dnia o czem przeżyć nie mając, czekają jałmużny Cezara lub lichego zarobku, aby trochą mąki i owoców głód zaspokoić.

Jedne ponad drugiemi cisną się do góry wznosząc liche mieszkańka, jak pszczół komórki, do których głos na zewnątrz nie może się wydobyć.

Tu żyje ów lud, zlewek tysiąca narodów, amalgam plemion różnorodnych, nieznanego pochodzenia, niewiadomego rzemiosła, tajemniczej twarzy i obyczaju, który

[1]) Listy Seneki.

tylko na wrzawę i rzeź wychodzi ze swych kryjówek i ryczy takim głosem, że się odeń wzdryga sam Cezar, siedzący na Palatynie.

Jakby na powstrzymanie tej tłuszczy, zawsze głodnej i wiecznie spragnionej, opodal nieco stoi o mury oparty wieczny obóz Pretorjanów i żwierzyniec przy nim dzikich bestyj, na igrzyska przeznaczonych. Ztąd to wybiega żołnierz co daje Rzymowi pana okrzykiem, co nieraz zakrwawił ulice, wciskając się pod wschody Capitolu, i dzikie potwory, których ryk rozkosznie odbija się w uszach ludu.

Ale któż wyliczy cuda i straszliwe potworności ówczesnego Rzymu? kto potrafi pojąć tę społeczność, złożoną z klas tylu, już mięszających się z sobą, już oddzielających gwałtownie; i kto dziś wskrzesi to życie tak różnobarwne, tak różne od naszego?

Począwszy od ubóstwianej familji Cezarów, od senatorów, patrycjatu i rycerstwa, do ludu rzymskiego, do poddanych jego niewolników... ile odcieni i barw wybitnych w obyczaju i charakterze.

W społeczeństwie, które staramy się odmalować, godność i powaga Senatu i patrycjuszów, charakter starych Rzymian, z których prawie ostatnim był surowy Cato, codzień bardziej znikając, starała się i wypełzła; Tacyt najwymówniejszemi słowy maluje ten upadek wybranych, który za sobą pociągnął całego państwa ruinę.

Wszędzie się dzieje tak samo, gdziekolwiek wyższa warstwa narodu wyprze się swoich obowiązków. Powoli zepsucie od niej przechodzi do ostatnich słojów towarzystwa, i państwo zjedzone od tego raka gnije, rozpada się, ginie.

Powaga i znaczenie patrycjatu już za Tyberjusza zmieniły się w poniżenie i pochlebstwo, w milczenie, pobłażanie nieme, i wielkie charaktery coraz rzadziej wybijały się się z tłumu, który używał tylko, bawił się i zbytkował, okupując bezkarność upodleniem ostatecznem. W senacie zasiadł swe miejsce ów mąż konsularny, by z poszanowaniem słuchać odczytywania listów Cezara,

wotować dlań nowe imiona i godności, igrzyska uroczyste, posągi lub głowy ludzi, których zapragnął. Szedł potem z Curji ucztować w tłumie swoich klientów, a gdy mu Rzym był za gorący i nazbyt wrzawliwy, z niewolników zgrają, poprzedzany wozami, ludźmi, dworem całym, jechał nad brzegi morza do swej willi w której go nowe czekały rozkoszy.

Już mu tam wcale nie szło o państwo, o którem Cezar sam miał staranie i jego zaufani ulubieńcy — władza senatu była cieniem, urząd dostojeństwem bez znaczenia, lub środkiem dorobienia się majątku.

Patrycjusz co rok zmieniał żonę, trzymał greckie dziewczęta dla zabawy i roztargnienia, namiętnie zajmował się wyścigami i igrzyskiem, kupował obrazy lubieżne, naczynia rzadkie, posągi greckie, a gdy później oskarżony o jakąś tam sprawę nieczystą, którą wyszukać było nie trudno, otrzymał wyrok śmierci, kazał się przebić niewolnikowi i tak żywot swój skończył.

Mało odmienne życie prowadziło rycerstwo (equites) rzymskie, zbierające pieniądz, nabywające ziemię i domy, zbogacające się aby używać, a wystawione nieustannie na chciwość pana, który zawstydzał ich słowy:

— Jak śmiecie bogatsi być nademnie?

Rycerstwo było już imieniem nie rzeczą, a w jego wielkich posiadłościach cała spoczywała siła.

Wszelkie zresztą dawne różnice klas znikały w wieku, który potrzebował grosza, by go rozrzucać i główną do bogactwa przywiązywał wagę, bo przez nie mógł się dobić czego zażądał. Mało niżej od rycerza stał teraz wyzwoleniec, co infamją odkupił zdjętą mu z szyi obróżę, a zbogacony bezwstydem, otaczał się często większem kołem klientów, niż najznakomitszych imion ludzie.

Wśród tego tłumu rozprożniaczonego i biegnącego za uciechą, rodzinne związki, węzły krwi i poszanowania, wszystkie byty stargane i pokruszone; żony, owe poważne dawnych lat matrony, przechodziły dziś z rąk, mieniane i frymarczone jak zabawki. Cezar sam dawał przykład, biorąc je bez karnie od mężów i zwracając

im wedle fantazji; — dzieci rzucano po gościńcach, wyrzekano się własnych a przybierano cudze; najszczęśliwszym wreszcie stanem, który wyrodzić mogło takie zepsucie — stała się bezdzietność i pozbawienie rodziny.

Do tego przyszło, że starzec, który nikogo nie miał, na rękach był noszony przez wszystkich. — Sam Cezar ubiegał się za testamentami obcych, a gdy zapisawszy mu swe mienie, zbyt niem szafowali lub nie dość umierali prędko — posyłał im rozkaz pożegnania świata. Dawał ucztę skazany i w ciepłej wannie kazał sobie wypruć żyły.... usypiając powoli.

Starzec bezdzietny miał za sobą wszystkich — nadzieja zapisu czyniła go ulubieńcem całego świata, nadskakiwano mu, posługiwano, pieszczono jak dziecię, drzwi jego od rania były oblężone, stół zastawiony najlepszemi potrawy, usłużni pasożyci chodzili na palcach gdy się zdrzemnął, opędzając muchy i chłodząc powietrze....

Rodzinę uważano za ciężar i zawadę; królem wszędzie był bezdzietny.

Regnum orbae senectutis execcens..... [1])

Ale nie wszystko jeszcze zgniło i zepsuło się do szczętu w tym Rzymie, na który rozpusta i groza tak silnie z góry działały — były serca czyste i obyczajne, proste wśród ubóstwa, wśród niewiast rzymskich, kryjących się po staremu w domowym zakącie ze swą cnotą i wstydem, pilnujących u ognisk kolebki dziecięcej i pracy pokornej.

Ten lud, który tak gorąco, tak łakno, tak żywo przyjął przyniesione mu światło nowej wiary, musiał mieć w sobie jakieś zarody dobra, musiał czuć znękanie tężaźniejszością i uznawać, że to co było, trwać nie mogło.

Już naówczas nie w jednym z domów Suburry, miasta żydowskiego, a nawet Awentyńskiej góry, zbierali się potajemnie zwolennicy nowego wyznania na

---

[1]) Seneka.

modlitwę cichą i rozszerzanie wiary, która ledwie wszczepiona, niesłychane czyniła postępy.

Przemawiała ona szczególniej do tych uciśnionych i biednych, którym Chrystus przesłał od krzyża pierwsze swe błogosławieństwa; od nich dopiero uczyli się jej panowie, i ci, co już przetrawiwszy wszelką filozofję i mądrość, w żadną nie wierzyli na świecie; dla których potrzeba było w godzinach odetchnienia poezyj najmilej głaszczących ucho, w godzinach próżnowania sofizmatów najsubtelniejszych dla zabawki — z ust prostych ludzi, razowym chlebem suchej prawdy karmili się zgłodniali.

III.

Wnijdzmy do jednego z tych cichych domóstw Rzymu, którego skromnych podwoi nie przestępuje nigdy hałaśliwa biesiada, i spojrzmy w skromne atrium, wśród którego maluczka szemrze fontanna.

Dom ten otoczony przyrosłemi doń budowlami, stoi na Awentynie od strony wschodniej, przy samej prastarej Herkulesowej świątyńce maleńkiej, której portyk i kolumny niemal przypierają do ściany, u której drzwi głównych stary zasiada odźwierny.

Choć z samego pozoru widać, że dom to obszerny i dostatni, a zależące odeń gmachy wielką zajmują Insulę, od innych wązkiemi odgrodzoną uliczkami — cicho tu i nie widać tych tłumów próżniaków, pasożytów i klientów, które drzwi inne oblegać zwykły. W przyległych sklepikach (tabernach) ciche też się mieszczą rzemiosła i uczciwe zarobki, bo spokój miłujący unikają najmu ludziom, którzy za sobą zgiełk, wrzawę i pokątne wnoszą frymarki. Dom to jeszcze po staremu cały zamknięty w sobie, niczem się na zewnątrz nie chlubi.... drzwi jego, obite blachą miedzianą, którą

pokryła zielonawa patina, większą część dnia stoją zaparte.

Wszedłszy do atrium, w którem wedle obyczaju w maleńkiej sadzawce bije cicha fontanna, czujesz jakby cię obwiał pokój, który tu panuje. Czysto tu, wdzięcznie i coś mówi, że niewiasty dom zajmować muszą.... Starzy słudzy posiwieli kręcą się po cichu, i z twarzy ich widać, że panów z niemi łączy nie zwykły stosunek niewolnika i posiadacza, ale serdeczne przywiązanie.

Minąwszy pierwszy podwórze i familijnych pamiątek pełne *tablinum*, przez perystyl wchodzisz do wewnętrznego dziedzińca (occus), przez którego kolumny widać zielony ogródek, obwiedziony murem, a z niego drzwi przysłonione każą ci się domyślać komnat zajętych przez niewiasty, których szczebiotliwe acz stłumione dochodzą cię głosy.

Słychać uśmiechy młode i rozmowę żywą, przerywaną, wesołą, jaką dziewczęta tylko prowadzić mogą i szelest lekki sukienek....

Jest to godzina pracy....

W odsłonionej, na kolumnami obwiedzionem podwórzu izbie siedzą trzy kobiety; stara matrona, rysów spokojnych i pięknych, której życie w obliczu się maluje, Emilja Cellia, niegdyś żona Patrycjusza, dziś po nim osmutniała wdowa, i dwie jej córki, sieroty... Aquila i Priscilla.

Starsza z nich Aquila, już może mieć lat około dwódziestu, druga ledwie rozkwita piętnastą wiosnę — a obie są do siebie dziwnie podobne, tylko co w pierwszej już się rozwinęło, w drugiej się obiecuje zaledwie.

Dziewczęta mają na sobie tylko *stole* jasne, w skromne ułożone fałdy, ale ich nie otacza oszycie żadne, ani bogata obszewka, żadne *patagium* wymyślne; włosy ich przeczesane do góry i spuszczone na tył głowy, czarne, połyskujące, sprawiają, że od ciemnej ich barwy, jeszcze świetniej odbija się twarz świeża i rumiana..... Ręce ich, których część tylko z pod stoli się wymyka, mogłyby służyć za wzór do Heby posągu, a nóżki, wy-

toczone, różowe, zdają się nieznać pracy i pyłu, jakby dotąd po domowym tylko biegały ogródku.

Jak się te dwa śliczne kwiaty uchować potrafiły tak czyste i nietknięte wśród Rzymu, który czyhał na młodość, i dzieciom nawet nie przebaczał w szałach swej rozpusty, nie wiem — wytłómaczyć to tylko może przytomność sędziwej niewiasty, która ich nie odstępuje i patrzy na nie macierzyńskiem okiem, pełnem miłości i poświęcenia.

Siedzą przy matce i niby coś robią, ale śmieją się i swawolą, a czasem uśmiech ich szczery wywołuje lekką wesołości oznakę na licu staruszki, chociaż ta prędko znikła, i znać, że troska o ten skarb drogi głęboko w sercu jej utkwiła.

Ilekroć z ulicy fala powietrzna przyniesie do jej ucha wrzawę, kędyś od strony rynku i łaźni wybiegłą — matrona wstrząsa się, ręce jej zaiamują, lica bledną, ale ukrywa wrażenie, aby jej niepokoju dostrzedz nie mogły dziewczęta. One nie powinny wiedzieć nawet o niebezpieczeństwie, ani się domyśleć; dla nich świat musi inaczej wyglądać niż jest w istocie, im długo potrzeba jeszcze taić jego szkarady.

Wtem słychać kołatanie do drzwi, i janitor je otworzył, ktoś z atrium stąpa powoli. Nogi to starca leniwo się tak po posadzce wloką.... idze bokiem po litostrotach, a Cellja nadstawia ucha.

— To Pudens! — zawołała nareszcie — tak, to on! — powtórzyła wstając. — Wy pójdziecie do ogródka.... dość pracy.... mam z nim pomówić na osobności.... Stary ze starym nie dziwo....

— Uoć go choć przywitamy — odpowiedziała Aquilo — dawno nie był u nas, a to gość tak pożądany i miły.

Wybiegnijcież przeciw niemu.... bo bardzo się chyba mylę, a to pewnie, to on, na Jowisza, — dodała staruszka....

Dziewczęta stanęły na progu, a stara podniosła się z siedzenia i słuchała bacznie, aż dwa zgodne, wesołe śmiechy córek oznajmiły jej że zgadła.

W istocie był to senator Pudens, blzki krewny Celljі, człek dobrze już stary, który przedłużone życie, wśród najtrudniejszych przebyte czasów, za Tyberjusza, Caliguli, Claudjusza i Nerona, winien był najdziwniejszemu zbiegowi okoliczności.

Bogaty, żył skromnie i nie raził majątkiem, bo go nie używał nad miarę, możny, władzy swej na złe nie używał, powiększenia jej nie pragnął; mogąc łatwo wkupić się w znaczenie, zdawał się niem gardzić. Był to mąż starych czasów, jeszczy surowy dla siebie, powolny dla drugich, ojcowski dla niewolników, obyczajów skromnych i lubiących spokój, a swe atrium domowe nadewszystko.... W niem on nie zrobiwszy sobie nieprzyjaciół, przebył nad zwitkami filozofów ostatnie lata, zajmując się sam wychowaniem synów lub naglądając na nie.

Nie widywano go ani w bazylikach, ani Forum, ani w tłumie dworaków Cezara, rzadko na publicznych igrzyskach, i tam gdzie zgraje naciskać się zwykły — szukał zapomnienia, jak drudzy oklasków, i znalazł taki szacunek u ludzi, że nim spokój okupił. Ale pod owe czasy czyż dziś ręczyło za jutro? To uparte usunięcie się od oczów mogło samo nastręczyć niezbezpieczeństwo; miało już pozór nieukontentowania.

Prócz tego Pudens nie stawił Cezarom posągów ani w swej willi, ani w domu, nie zaklinał się co chwila na Augusta i rzadko nawet panującego wspominał.

Lada wyzwoleniec mógł go o brak pobożności pomówić.... by część dóbr jego zagarnąć.

Dziewczątka przywitały starca, który się na ich widok uśmiechnął smutnie i skinieniem zapytawszy o Celljа, zmierzał ku niej, gdy matrona właśnie wyszła ku niemu. Spotkali się w podworcu, zkąd rozmawiając z Pudensem, Cellja mogła mieć na oku bawiące się w ogródku córki, i usiedli tu na dwóch bronzowych krzesłach stojących przy sobie, pokrytych miękkiemi poduszkami.

— A! bracie! jakżem ja cię dawno niewidziała, — ozwała się Cellja — cóż cię to tak trzyma w domu?

czy thermy twoje? czy najem sklepów, czy gorszego co może?

— To co ciebie Celljo przykuwa także do domu; ty córki masz, ja synów, a obojgu nam z niemi ciężko.....

I westchnął starzec głęboko.

— Lżej ci przecie z synami niż mnie wdowie z dwojgiem tych wątłych kwiatów, wypielęgnowanych troskliwie.... które lada mróz zwarzyć może, z któremi niewiem co zdarzą Bogowie, a lękać się muszę jak kobieta i matka....

— A komuż dziś lekko, Celjo kochana.... — rzekł starzec i zamyślił się długo. — Dały nam losy dożyć ciężkich czasów, nad które straszniejszych może nie było; każdy drżeć musi o wszystko — o życie, o cześć, o mienie, o dzieci!

— Ja siedzę zamknięta i nic nie wiem, — ozwała się Cellja — ale przecież to nowe panowanie zwiastowało się nam inaczej niż Cajusa i Claudjusza. Przy młodym Neronie są Burrhus i Seneca, a że lubi igrzyska i lata z wozem po watykańskich swym cyrku.... to płochość, która przejść może....

— Dałby to Bóg — Bogowie — poprawił się cicho Pudens — ale wielkiej potrzeba siły, by syna Agryppiny wyrwać otaczającemu zepsuciu. — Nic to że się bawi w cyrku, że go otacza zgraja histrjonów, których tak jak Cajus kocha, że lubi przepych i zbytek — ale go Seneca i Burrhus nie poprowadzą za sobą, on raczej ich pociągnie.... Widziałem go, a na teraźniejsze czasy mało ich obu, mało nawet Cezara i jego władzy, by nas dźwignąć, takeśmy upadli nizko. — Co uczynili z Rzymu! — dodał po cichu.

— Nie przestraszaj mnie więcej — odparła Cellja — dość mi i tego co mimowolnie przez niewolników moich dowiaduję się codziennie.... A! Pudensie, nam starym dni nie wiele zostało, ale dzieci nasze!

Pudens spojrzał na nią wzrok powoli podnosząc.

— Im może — rzekł — lepsze dni zaświtają kiedyś.... świat zgrzybiały odrodzić się musi.

— Lecz jakiż Bóg to dokona?

— Tyś rzekła — zawołał Pudens — tak! nikt jeno Bóg. Ale mam-że ci mówić? — spytał wahając się i wpatrując w nią pilnie.

— A! jeśli masz coby uspokoić potrafiło?

— Słuchaj mnie — odrzekł stary — lecz nie powtarzaj nikomu. — Wśród Rzymu samego rodzi się świat nowy: przyniesiono nam naukę, wiarę objawioną przez Boga w dalekiej Judei, tak wielką i świętą, że jej żadna filozofja najsubtelniejsza nie sprosta....

Słyszałaś co o Nazarejczykach?

— Niewolnicy o nich mówią tylko, a i między mojemi podobno są tacy, którzy tego nowego skosztowali przesądu.

Straszą nas szkodliwością jego i szkaradą....

— Nie tak jest — odrzekł Pudens — potrzeba się przybliżyć by poznać. To jedno odrodzić nas może, bo w tem tylko jest prawda....

— Mówiono mi na mojego Afra, że się z Nazarejczykami pobratał. Stary mój dozorca niewolników nic nań jednak złego wynaleźć nie może, a ja sama nie widzę w nim jeno większą od niejakiego czasu chęć do pracy i posłuszeństwo.

— Bo ta wiara ulepsza, uspokaja, nasyca.... — zawołał Pudens gorąco — bo ona nie jest ladajakim wymysłem ludzkim, ale darem Bożym....

— Ale któż ją przyniósł?

— Sam Bóg....

— Jaki? — spytała zdumiona Cellia.

— Siostro moja — rzekł Pudens — oni mnogości Bogów nie mają, wierzą w jednego Boga Bogów, stwórcę świata.

Kobieta zdawała się zdumioną, spojrzała, w jej oczach malowało się osłupienie, tak trudno jej było pojąć jednego Boga dla wszystkich i na wszystko.

— Wiara to nowa w istocie! — odezwała się powoli.

— Wierzą w jedynego Boga — rzekł Pudens dalej ciągnąc — a nie czczą żadnych posągów i wizerunków ręki ludzkiej, boć śmieszny to Bóg co go sobie człek

sam udziała, ale Boga-ducha, w niebie, który stworzył wszystko z niczego, niewidzialnego a przytomnego wszędzie.

Mówił tak dłużej Pudens coraz się ożywiając, a Cellia też ze zwiększającem się co chwila słuchała go zajęciem... Słowa jego zdały się jej dziwne i nowe a jednak przeczuwane: podziwiając je czuła, że zaród tych myśli jakiś nosiła w sobie.

— Wiara ich, świat, życie — kończył starzec — wcale są od naszych różne. Żyją oni duszą nie ciałem, pokojem i miłością nie wojną i męczarnią, wyrzekają się dóbr świata, martwią ciało, podnoszą duchem i nim sprawują cuda, bo dana im jest siła potężna...

— Lecz zkąd-że ty bracie tak o tem wiesz dobrze?— spytała Cellia.

Pudens zmięszany nieco spuścił oczy.

— Wstyd mi wyznać — rzekł ciszej — że niewolnik pierwszy mi oczy otworzył...

Ale u nich nie ma niewolnika ni pana: są bracia i synowie jednego Boga. Miałem zdawna u siebie Minusa; znałaś go pewnie; była to istota dzika na pół i wielce gwałtownego charakteru, mieliśmy trudność utrzymać go dla niepohamowanych namiętności. Obawiając się nawet, chciałem go był sprzedać, gdy nagle spostrzegłem w nim zmianę wielką. Była ona tak nagłą i niespodzianą, żem przyczyny jej badać musiał i dobadując się znalazłem, że nową przyjął wiarę. Naówczas ciekaw byłem poznać co na tak nieuchodzonego człowieka podziałać mogło: przyszedłem z niedowiarstwem, wróciłem... siostro... zdumiony i nawrócony...

Starzec westchnął...

— Nie jest to wiara jak inne — dodał po chwili znowu — nie porywa blaskiem i majestatem swych obrzędów; ludzie ubodzy stali się pierwszymi jej kapłanami; miłość i braterstwo jej hasłem. W ciasnych izdebkach Suburry, w ergustulach parnych i podziemiach, przy świetle dymiącej lampy, schodzą się oni modlić, śpiewać, wzywać Boga aby duch jego ku nim zstąpił, a potem uściskiem braterskim połączeni spo-

żywają chleb suchy lub trochę owoców, i to jest ucztą ich całą.

— Zadziwiasz mnie i budzisz moją ciekawość — rzekła Cellja — lecz jakże wiara ta, której nie wspiera siła żadna, rozszerzyć się może?

— Mylisz się siostro; w niej jest większa nad wszystkie siła samego Boga.... a największym cudem to właśnie, że nie mając po sobie jeno ubożuchnych ludzi i niewolników, tysiące już liczy wyznawców.

Nie narzuca jej światu żaden Cezar, nie dymią na jej ołtarzach kadzidła, nie leją się krwawe ofiary, nie ma pociągających obrzędów i igrzysk bezwstydnych — cicha modlitwa, rozłamany chleb i pobłogosławione wino oto jej hekatomba cała... Pogardzony niewolnik ofiarnikiem, pieczara lub grób ołtarzem...

Cellia coraz bardziej zaciekawiona słuchała.

— Powiedz-że mi bracie — rzekła — cóż ta wiara twoja lepszego daje niż inne, i jak się Bóg jej objawia?

— Słyszałaś pewnie o Sybillach i wyroczniach — przerwał Pudens — że kapłanki, które o przyszłości wieszczyły, porywał duch jakiś i unosił, że nieprzytomne i jakoby obłąkane, pieniącemi usty wywoływały w niezrozumiałych słowach wieszczbę świętą... Wołano, widząc je w tym stanie, że Bóg jakiś jest w nich i z niemi.

Kapłani nowej wiary nie takiego ducha w sobie mają; — innego wcale, ale się on silniej daleko objawia. Ostatni z niewolników, pogardzony, popychany, nagle gdy nań duch ten zstąpi, staje się dziecięciem Bożem. I jako dziecię wszystko może u Ojca uprosić, tak silen wiarą, ów nędznik staje się mocarzem... i zwycięża świat. W słowach ich czuć mówiącego Boga, w czynach jego potęgę.

Kładą ręce na chorych i uzdrawiają ich dotknięciem, ślepym odmykają oczy, chromym chodzić każą i wstają i idą; trucizna Locusty staje się dla nich napojem bez siły i szkodliwości...

— I ty widziałeś te cuda?

— Widzę je codzień — rzekł Pudens — nie cuda takie, które kapłani nasi na zdumienie ludu przygotowują szalbierstwy, ale dzielniejsze stokroć bez przygotowania żadnego, jedną wywołane modlitwą... Największym z nich cudem, że ludzie siłą tej wiary nowej odradzają się czystemi i zwycięzcami świata...

Twarz Pudensa zajaśniała, powstał.

— I to cudem — dodał — że ta wiara, która się zrodziła u stóp wbitego gdzieś daleko narzędzia sromotnego męczeństwa... u krzyża, — której narodzin pierwszymi świadkami byli ubodzy rybacy, pastuszkowie, żydzi, dziś błyskawicą rozeszła się już po świecie i liczy tysiące wyznawców.

— Bracie! zdumiewasz mnie! — odezwała się Cellja — jestli to wszystko prawdą?

— Tak! wiara ta szerzy się, otoczeni nią jesteśmy, żyjemy wśród niej; lud ubogich miasteczek, tłumy stolicy, domowa nasza czeladź już ją przyjęły i nawracają się gromadnie; codzień rośnie liczba jej zwolenników, powiększa się, i powoli od tych biedaków, z którymi nie dawno mówić nie chcieliśmy, i my uczymy się prawdy...

W tem gdy tak rozmawiali, dwoje dziewcząt z ogródka przybiegły z dwoma świeżo uwitemi wieńcami z róż i szafranu i wdzięcząc się a śmiejąc przyniosły jeden z nich Pudensowi, drugi staruszce, chcąc wedle obyczaju ówczesnego włożyć je im na głowy, ale Pudens oddał swój Aquili, a Cellia Priscilli.

— Mnie — rzekł starzec — na siwe włosy różanny nie przystoi wianek; lepiej on do twarzy młodości; matka to pewnie uzna.

Cellia milcząc ucałowała córki i dwie łzy po cichu otarte stoczyły się jej po twarzy... Aquila, Priscilla w wianuszkach na skroni odbiegły znowu do ogródka, gdzie na ławce pod Hermesem usiadły.

Rozmowa która tak obudziła ciekawość Cellii, toczyła się dalej po cichu, a Pudens wzdrygnął się na wspomnienie Nerona, o którego spytała go siostra.

— Kto wie czy przepowiednie się nie ziszczą, — rzekł powoli — nosi on imiona Claudiusza, może będzie naśladowcą szaleństw jego; krew Domitiusa, płynąca w żyłach Cezara, niewiele nam obiecuje.

— Lecz mówią — odezwała się Cellja — że lepiej począł od innych, że ma przy boku swym starego wojaka Burrhusa i filozofa Senekę... Oni nie dopuszczą by upadł tak nizko i splamił się jak ów Cajus i Claudiusz.

— Znam Senekę — odparł Pudens — ale pisma jego czytać potrzeba a nie osoby patrzeć; w tych on czystym jest i wielkim, w życiu całkiem innym... Filozofia ich, to czcze słowo... bawiemy się z nią tylko po biesiadzie, gdy chmurno na dworze a Cezar w cyrku igrzysk nie sprawia, i flecista się znuży i biesiada uprzykrzy... ale ona nie ma żadnego związku z czynami.

Życie Seneki a pisma jego, są dwojgiem wcale innych rzeczy. Jakże mam ufać by ten człowiek ku dobremu wiódł Cezara, gdy sobą pokierować nie umie? Filozofowie dziś zeszli już na skoczków i histrjonów.[1])... Znają ludzie tego nauczyciela: inaczej prawi a robi inaczej, a tłómacząc się z zarzutów że nie tak czyni jak naucza, odpowiada, że dość jest *mówić dobrze*...[2])

— Ależ to niedojrzałe dziecię tylko płoche — przerwała Cellja — cóż że lubi zabawy w cyrku i za zielonemi woźnicami przepada, że codzień sobie nowe wymyśla igraszki, wszak to wiekowi i stanowi właściwe!

Pudens potrząsł głową...

— Tak to zaczynali i inni — rzekł powoli — ale z zabawek niewinnych przechodzi do igraszek okrutnych; ty Celljo nie słyszysz tu o niczem siedząc zamknięta, my coś więcej widzimy...

Zresztą, przystałoż to temu, który się Bogiem mieni, czas i życie na samych spędzać zabawkach? Stra-

[1]) Sam o tem Seneca, w Natur. Quaestion. 1. 7. w końcu.

[2]) Seneca. De vita beata. n. 20.

szną potworę Rzym karmi na swojem łonie: niczem przy niej Tyberjusze, Caligule i Claudjusz.

— Zbyt czarno wróżysz, Pudensie...

— Bo patrzę, widzę i przeczuwam — posłuchaj Celljo... Ani Burrhus, ani Seneka nie powstrzymają szaleńca, ni matka nawet, którą pozornie tak kocha, w której lektyce każe się po Forum nosić, zowiąc ją najlepszą z matek. Wkrótce i z nią rozpocznie walkę gdy mu się władza jej sprzykrzy, a Seneka pochlebiać mu będzie, a Burrhus ugnie się pod jego wolą żelazną.

Silanus umarł od trucizny, że z Cezarów pochodził i Neronowi mógł stanąć na drodze; Narcyz[1]) zabił się w więzieniu, Cezar powoli usuwa Senekę i Burrhusa, a Senecion i Othon coraz większą nad nim uzyskują przewagę. Akte, wyzwolona ledwie kobieta, płochych obyczajów, pochlebcy i towarzysze zabaw sromotnych, codzień go silniej opanowują... Agryppina upada.

Seneka filozof, pomaga miłostkom Cezara, podstawując dla pozoru Serenusa, krewnego swego, aby matka nie miała powodu czynić synowi wyrzutów...

Mieliśmy Cezarami retorów, jak Tyberjusz, krwawych rozpustników, jak Caligula, jak Claudjusz pijaków i obżartuchów. ale wszyscy oni choć usta otworzyć umieli w Senacie, choć słowo wyrzec poważne — ten tylko śpiewać umie. Najmilszą jego zabawą ten śpiew, dla którego poświęca najważniejsze sprawy, aby zań oklask gminu pozyskać — aktorstwo na scenie, w cyrku ubieganie się o palmy z woźnicami. W Rzymie znów o niczem nie słychać tylko o igrzyskach[2]); gry w cyrku, zapasy młodzieży swawolne, boje gladjatorów, wozy wielbłądami zaprzęgane; w teatrze komedje w których młody pan występuje, nocne w cyrkach biesiady... oto jego ulubione zajęcia. Nie ma chwili dla Senatu, a dnie całe spędza z Akteą, z Othonem i Senecionem, ze zgrają wyzwoleńców i dziewcząt rozpustnych po nocach

[1]) Wyzwoleniec Claudjusza.
[2]) Swetonjusz.

przebiega ulice Rzymu, w podłej odzieży, szukając rozrywki.

Ale dość tego — przerwał starzec — nie chcę cię więcej przestraszać i smucić.

Wstał i miał ją pożegnać, gdy Cellja go wstrzymała.

— Pudensie — rzekła nieśmiało — tyż sam tylko światło będziesz chować dla siebie? nie chcesz-że by ja i moi uczestniczyli w prawdzie, którą ty poznałeś? nie pozwolicież mi posłyszeć, zobaczyć tych ludzi i naukę nową poznać, którą opowiadasz tak cudowną?

Pudens zawahał się.

— Nikogo Bóg ten nie odpycha — rzekł — ani ta wiara nie wyłącza; ubodzy są jej siewaczami, ale bogaci także ich braćmi, bo u nas nie ma ani bogatych ani ubogich, a miłość wszystko nam wspólnem czyni... przyjdź a ujrzysz i posłyszysz...

— Dokąd? kiedy? Aquilę i Priscillę mogęż przyprowadzić z sobą? — spytała matrona.

— Przyszlę po ciebie zaufanego sługę, Celljo kochana, gdy czas będzie — odpowiedział starzec — ale tajemnica jest koniecznością.

Głuche już odgrażania słychać wszędzie na Nazarejczyków, oskarżają nas o swe zbrodnie, jedno nic może wywołać prześladowanie... Proszę cię o milczenie... Nie długo też, zdaje się, będziemy dosyć silni, by się nie obawiać nikogo i walczyć otwarcie... dziś nie czas jeszcze...

Przyjdź a pewien jestem, że wraz ze mną pokłonisz się jedynemu Bogu!...

IV.

No połowie wzniosłości Esquillinu, w Suburra, Pudencjusz w miejscu zwanem Vicus Patricius, między Viminale a Esquillinem — miał obszerne domostwo,

do którego przytykały zbudowane przez niego thermy, dość w tej części miasta uczęszczane.

Łaźnie i kąpiele w tak powszechnem wówczas były używaniu u wszystkich, że w nich część większą dnia spędzano. Ze skromniejszych w początku, gmachy te stały się, ze wzrastającym zbytkiem i zmiękczeniem, pełnemi przepychu budowami, mieszczącemi w sobie nie tylko kąpiele ciepłe i chłodne, ale biblioteki, ogrody, teatra, taberny, gymnazja dla zapasów, sadzawki do pływania; wykwintniejsi sybaryci całe w nich dnie spędzać mogli. Byli tacy co po kilka razy na dzień łaźni ciepłych i różnych używali kąpieli, krzepiąc ciało znużone na wpół ze śniegiem ochłodzoną wodą, zmiękczając je wonnemi pary...

Najdroższemi zapachy i olejkami wschodu namaszczano się potem, idąc na ucztę z kąpieli, a po biesiadzie znowu wracano do wody.

Thermy jednak Pudencjusza nie były przeznaczone dla rozkosznisiów rzymskich; służyły one dla uboższych szczególniej, a choć urządzone starannie, wabiły tylko biedniejszych, którzy tu z Suburry i Esquillinu się schadzali. Byli to po większej części wyzwoleńcy ubożsi, synowie nie dawno uwolnionych ludzi, niewolnicy nawet i lud pomniejszy różnego stanu.

Pudens te thermy i przy nich znajdujące się sklepiki wypuszczał staremu wyzwoleńcowi swojemu Lampridowi, który zarządzał niemi i grosz od swych znajomych i przywykłych gości pobierał.

Znany on był z powolności swej i dobroci, tak, że często korzystając z nich oszukiwano go nawet, ale on sam śmiał się dobrodusznie postrzegłszy to, i umiał stratę powetować na wspanialszych i majętniejszych, od których był ulubiony. Thermy te prawie nieustannie uczęszczane, gdyż w nich była i *piscina* chłodna i *caldarium* obszerne, i *exedra* dla spoczynku i rozmowy a niewolnicy usłużni i zręczni — mało kiedy stały pustką, dniem i nocą wchodzono do nich i wychodzono mieniając się, a w *hypertach* nakształt ogródków urządzonych, często gromadki ludzi rozprawiających i przechadzających się bawiły do późnej godziny.

Łatwo ztąd wnieść jaki zgiełk i wrzawa panowały ciągle w tem miejscu.

Seneka zostawił nam w swych listach wyborny obrazek, czem było sąsiedztwo thermów w Rzymie i nic lepiej nie odmaluje nadeń tego hałaśliwego zbiorowiska ludzi [1]).

— „Najrozmaitsze — pisze on, oskarzając się przed przyjacielem — otaczają mnie hałasy. Mieszkam nad samą łaźnią. Wystaw sobie najróżniejszych rodzajów głosy jakie tylko razić mogą ucho; siłacze się pasują i miotają rękami obciążonemi ołowiem; ci stękają lub stękających udają po zadanych razach, słyszę ich jęki, ile razy wstrzymany oddech wybucha, ilekroć sapną lub ciężko wzdychają; z kolei przyjdzie namaszczający jakiegoś plebejusza, radego tej rozkoszy — członki mu wyciąga, słyszę klask dłoni uderzającej o ramiona, to na płask to wierzchem ręki, co łatwo mi rozeznać po uderzeniu. Gdy nadejdą grający w piłkę a poczną liczyć rzuty, to już koniec.

„Dodaj do tego kłótników i złapanego złodzieja, śpiewaka który się w łaźni głosem swoim zabawia, i tych co w wodę sadzawki skaczą z wysoka z pluskiem niezmiernym... Oprócz tych wszystkich, których głosy, że nie powiem inaczej, są donośne bardzo — pomyśl jeszcze o epilatorze, który włosy wyrywa, o jego cieniuchnym, piskliwym głosiku którym się odznacza, często ofiarę swą zmuszając także do krzyku; potem przypomnij roznoszących ciastka, mięsiwo, słodycze i różnego rodzaju szynkarzów, swój towar najosobliwszemi wywoływaniami starających się rozprzedać“...

„Ale ja — kończy filozof — szczęściem o te głosy dbam tyle co o szmer wody i szum fali.“

Takie to było sąsiedztwo łaźni w Rzymie, a dom Pudensa, skromny i cichy, choć stał do thermów przy-

[1]) Seneka. Epistolae. 57.

party, wysoką ścianą zupełnie był od ich zgiełku oddzielony.

Nie wystawny wcale, ani tak przepysznie jak inne przybrany, odpowiadał przecie stanowi i majątkowi patrycjusza... Miał on zwykłe rozporządzenie i cechy starego rzymskiego domostwa, i posągi bóstw nawet stały jeszcze w małym przybytku, domowym bogom poświęconym w podwórku, i ołtarz choć zastygły był przed niemi, bo się obawiano jeszcze zwracać oczów na zmianę wiary, która dopiero po cichu rozprzestrzeniać się zaczynała.

Lecz minąwszy atrium, w innych częściach domu Pudensa znać już było wpływ tej wiary, która wchodząc przyniosła z sobą obyczaj nowy.

Obrazy wszeteczne, uświęcone podaniami religijnemi, jakich wszędzie było pełno, nie spotykały się tutaj, ozdoby ścian surowszą miały postać. Na jednej z nich, w głębi drugiego podwórca, do którego tylko domowi przypuszczani byli, świeżą ręką niewprawnego malarza nakreślony był wielki krzyż ciemny, i zwracał oczy wśród jasnych wieńców i kwiatów, genjuszów i ozdób zajmujących przyległe mury.

Nie było na nim wizerunku żadnego, bo się jeszcze ręka ludzka nie ośmieliła na nim przypiąć Chrystusa czując się za słabą na wyrażenie przedśmiertnej jego boleści.

Podniósłszy zasłonę drzwi wiodących do tej izby, naprzeciw niej wprost ukazywał się krzyż, a tuż przed nim prosty i niewykwintny stół drewniany, na którym spełniano ofiarę.

W chwili gdy Cellja, ze starszą swą córką Aquilą, zapukała do drzwi domu Pudensa, dosyć już osób znajdowało się w drugiem podwórku, oczekujących, jak się zdawało, na mistrza i kapłana.

W gromadce tej głębokie panowało milczenie, wcale niepodobne do zwykłej szczebiotliwości rzymskiego ludu w innych miejscach. Byli to po większej części ludzie ubodzy, w szatach skromnych, lub nawet choć twarz ich i ręce wydawały zamożność i wygodne życie, umyślnie odziani tak jakby niedostatni byli. Jedni z nich oczekując ofiary klęczeli i modlili się po cichu, drudzy zdawali głęboko zamyśleni, inni pół głosem rozmawiali z sobą łagodnie.

Niewiasty z dziećmi oddzielną składały gromadkę, do nich i Cellja zbliżyła się nieśmiało, gdy jej Pudens miejsce wskazał, oczekując zdziwiona coby dalej nastąpić miało.

Staruszka wystawiała sobio, że jak innych wiar tajemnice egipskie i greckie i tu być musiały dziwne jakieś obrzędy. Nic się jednak podobnego nie zwiastowało.

Po chwili oczekiwania weszli dwaj mężowie poważni, z których jednego już widzieliśmy przybyszem sprawującego ofiarę na górze w Neapolis w domu Asprenusa... Rozstąpił się tłum i głębokie padło milczenie. Pudens zbliżył się do starca nazarejskiego i ucałowawszy kraj szaty jego, szepnął mu coś po cichu; inni także pośpieszyli cisnąc się, witając i domagając błogosławieństwa.

Wszystkich Apostoł przyjął ojcowsko, każdemu rzekł jakieś słowo z którem odszedł pocieszony, a potem na ławie przysiadłszy, począł kazać do tego ludu, który słuchając słów jego, rozłożył się pod kolumnami przy ścianach, na posadzce i ławach kamiennych.

Większa część zgromadzonych należała nie do plemienia wybranego i już przygotowanego przez Boga do łatwiejszego pojęcia zakonu; trzeba więc było mówić do pogan, i mówić inaczej wcale niż do tych, co znali jednego Boga. Życiem i nauką dalecy oni byli od tej prawdy, którą przyniósł Chrystus, począł więc od dziejów rodu ludzkiego i stare wyłożywszy przymierze, jął dopiero nowe zwiastować...

A gdy przyszedł do narodzenia Chrystusowego i do nauki żywotem jego zaszczepionej, dopiero wzniosła się mowa jego i duch nowy wstąpił przezeń w słuchaczów.

Poganie, dla których było to wcale nowem, widać było, jak stopniowo przejmowali się wyrazami jego,

zdziwieni nowe oglądali światy i powoli wznosząc się do wyskości prawdy wielkiej, wylewali łzy radości z ujrzenia światła i usłyszenia słowa pokoju.

Ten wiek zamętu wyobrażeń i pojęć, potargania zasad pierwotnych i panowania siły zwierzęcej, wśród którego czystsze dusze cierpiały, dobrze był przygotowany samem swem rozpasaniem do usłyszenia prawdy. Zrozpaczone rzesze leciały ku niej tłumnie.

Tak się i tu stało, a ci, do których kazał wysłaniec Boży pod cichym Pudensa dachem, wszyscy niemal zażądali chrztu i zapragnęli oświecić się w wicrze, mającej ich uzbroić przeciwko nieczystym siłom wieku.

Wśród gromadki tej Cellja, która pierwszy raz z Aquilą słyszała z ust namaszczonych wyrazy rozjaśniające jej zadanie życia, spłakana padła na ziemię, dziękując jedynemu już uznanemu Bogu, że tej chwili dożyła. Uściskały się z córką jednem przejęte uczuciem, a matka uspokojona pojęła, że nowego opiekuna swym dzieciom zyskała w Bogu, którego poznała teraz... i ukochała.

Ci, którym jeszcze chrzest nie mógł być udzielony, odeszli później do pierwszego atrium, a wierni przysposobili się by uczestniczyć w ofiarze błogasławieństwa chleba i wina, przeistaczającego się w ciało i krew zabitego na krzyżu Boga.

Tajemnica ta odbyła się z prostotą pierwszego wieku, bez wystawy i form, któremi później, przetrwawszy walkę, kościół ją otoczył.

Starzec Apostoł przywdział szatę białą, stół przykryto, przyniesiono chleby i wino, i ze łzawą modlitwą, przy cichym wiernych udziale, odprawiono symboliczną ofiarę, przypominającą śmierć krzyżową Zbawiciela. Ten, co ją spełnial, był jednym z uczniów Chrystusa, jednym z najpierwej powołanych, chodził z nim po Judei, każąc i nawracając, widział jego cuda, pochwyconego przez lud nie odstępował do śmierci, skonanie na krzyżu umęczonego oglądał, ciało martwe do grobu przeprowadził, zmartwychwstałego ujrzał w bieli wracającego do swoich; a obchodząc pamiątkę tej ofiary,

której się dobrowolnie poddał ten, co światem mógł wstrząsnąć jednem skinieniem i myślą, płakał przejęty do wnętrzności.

Dzieje ostatnich lat, które przebył u boku mistrza i Boga, z matką Jego, przychodziły mu na myśl z kolei; każde słowo Chrystusa przypominał sobie, że drżeniem dotykając rozdartego dla świata ciała jego i krwi dlań przelanej.

Lud strasznej obiacie przytomny, uczucie to podzielał, msza dlań była żywą historją męki i odkupienia, każda jej chwila wspomnieniem, całe te dzieje nauką nowej prawdy, miłości, poświęcenia.

Jednocząc się potem w ciało spólne synów Bożych, wierni przyjęli wszyscy razem ów chleb żywota... który ich połączył i zbratał. A gdy ostatnie słowa apostolskiej modlitwy oznajmiły koniec obrzędu, Pudens przypadł troskliwy do mistrza i razem z innemi wprowadził go do *caenaculum*, gdzie stoły przygotowano do skromnego posiłku...

A była to biesiada ubogich pielgrzymów, nie konsularnych mężów ówczesnych, do których rodem i dostojeństwem Pudens należał, i siedli do niej na łożach prostych wszyscy, okrążając Apostoła, wedle wieku, bez różnicy stanów i pochodzenia; Nazarejczycy, Rzymiane, niewolnicy, żebracy, wszystko co uwierzyło w Chrystusa i nosiło jego znamię.

Trochę ryb, owoców, chleb i wino zmieszane z wodą, stanowiły całe przyjęcie, bo umartwienie ciała od najpierwszych czasów było zasadą, na której nowy rozwinąć się miał obyczaj i życie. Świat pogan szalał dogadzając fantazjom cielesnym, chrześcjanie usiłowali je zwyciężyć.

Do stołu tego zasiedli wraz z uczniami i nowonawróceni, a rozmowa, która się tu toczyła, cała była dalszym ciągiem nauki i modlitwy. A gdy Rzym tłoczył się do wielkiego cyrku na igrzyska, gdy zdala od areny dochodziły uszu biesiadujących głosy jego, podobne szumowi rozhukanego morza, to dzikim śmiechem tysiąców, to rykiem zwierząt, to okrzykiem przerażenia

wstrząsające powietrze, tu w domostwie ustronnem, za drewnianemi stoły, przy łamaniu chleba, rozłamywano się żywiołem braterstwa i miłości, mającym świat ów, cyrki jego, zabawy, rozpustę i wielkość zetrzeć z oblicza ziemi.

Cellja z córką milczące i zamyślone, poszły powoli do domu, a idąc matrona starała się zapamiętać słowa, wpoić w siebie zdobytą prawdę, aby jak z uczty obłamek zanieść ją młodszemu swemu dziecięciu, które jej nie kosztowało.

V.

Właśnie dnia tego Cezar dawał wielkie dla ludu swojego igrzyska, a Neron nie darmo był artystą i urządzać je umiał. Główną jego panowania pracą było lud bawić i rozwinąć w nim uczucie sztuki, które do tak wysokiego stopnia posiadał mistrz młody.

Od brzasku więc Rzym cały był w ruchu, a najoddaleńsze przedmieścia roiły się tłumami, które ciągnęły ku Cyrkowi i Forum. Z zapałem niepohamowanym cisnęły się gromady z ciemnych uliczek Suburry, z insulów Awentynu i Esquillinu, ze wszystkich Romy zakątków. Drogi do Ostji, od Tibur, gościniec Nomentański, Latyński, droga Apijska, pełne były krytych i odsłonionych wozów, konnych, pieszych i mnogiej ciżby przybywającej na wielkie doroczne w cyrku igrzyska uroczyste.

Piękny dzień jesienny, jak druga wiosna, ciepły i spokojny, wypogodzone niebo, zdawały się sprzyjać Cezara zamiarom, a wieść od dawna rozpuszczona o niesłychanej wspaniałości obrzędu, ciągnęła ciekawych i zapalonych miłośników tych zapasów, dla których oglądania rozpieszczeni nawet sybaryci o jadle, śnie i spoczynku zapominali.

Rzym się też przystroił cały w szaty odświętne na ten dzień wrześniowy; od rana posągi stojące w Forum kapłani i pobożni postroili w szaty bogate i wieńce; niektóre z nich pomalowano nawet minią i purpurą; w portykach wszędzie wisiały wieńce zieloności, sploty kwiatów, drogi usypane były liśćmi wonnemi... ołtarze okrywała poświęcona verbena....

Uroczystość rozpoczęła się zawczasu, gdyż obawiano się, by dnia nie było za mało na widowiska przez Cezara przygotowane, mające wspaniałością swą zaćmić dawne tryumfy, owacje i najpamiętniejsze igrzyska... Lud rozpowiadał już sobie o niezmiernej ilości dzikiego zwierza, przy obozie pretorjanów oczekującego w *vivarium* i stadami zapędzonego do *carceresów* wielkiego cyrku, o przygotowanych dlań gladjatorach i woźnicach, wcześnie napawając się rozkoszą krwi i mordu, która w owych czasach była szałem i chorobą tak niebezpieczną, że zarażenia nią najświętsi ludzie unikać musieli, tak łatwo budził się w piersi ten ogień dziki i nieugaszony. [1])

Świątynia Jowisza na Capitolu stała otworem, tłumy kapłanów zewsząd gromadziły się do niej; ztąd rozpocząć się miał ów wielki pochód. Flaminy, Augurowie, kapłani ofiarnicy, zalegali jej wschody, sposobiąc się do uroczystości. Ryk bydła przeznaczonego na ofiarę, uwieńczonego w kwiaty i wyrywającego się z przestrachem od ołtarzów, ścisk pobożnych, śmiechy próżniaków, rozsypanych w otaczających portykach, rozpychający tłum Edylowie, mający przewodniczyć obrzędom, strojne w lektykach niewiasty, dumni wyzwoleńcy wlokący za sobą klientów stada, gmin wreszcie różnobarwny składał ciżbę hałaśliwą, po nad którą nosiła się wrzawa dziwna i niezrozumiała tysiąca zmieszanych głosów.

Prawie równo ze wschodem słońca (gdyż przygotowania odbyły się nocą jeszcze) drogą od Palatynu

---

[1]) Zob. Confession. S. Augustyna.

okazał się orszak Cezara, niesionego przez niewolników w złocistych szatach, z rozpuszczonemi włosami, w wieńcami na głowie, z lalkami w ręku....

Poprzedzali go liktorowie, urzędnicy dworu, faworyci, a tuż za nim postępowały bogate nosze Agryppiny, Seneki, Burrhusa, Serenusa, Ottona, Seneciona, i ulubieńców Cezara.

Neron wystąpić miał w tym dniu jako najwyższy kapłan, *Pontifex maximus*, gdyż wszystkie dostojeństwa i godności w jednej się skupiały dłoni; — czekano nań u drzwi Capitolińskiej świątyni. Odziany też był nie w szaty codzienne, ale w strój kapłana, w przepyszną z cienuchnej purpury tyryjskiej złotem tkaną togę i *Tutulus* na głowie złocisty.

Cezar młody był jeszcze, ale twarz jego, mimo sił i zdrowia niezużytych niesłychaną rozpustą i żywotem szalonym, zdradzała już znużenie i wyczerpanie, zwiastujące dzikie wymysły, do jakich go one doprowadzić miały, by spowszedniałe zapełnić godziny....

Wzrostu średniego, oblicze miał blade i wejrzenie dzikie; na twarzy jego białej, szyi, i rękach odsłonionych, gdzieniegdzie widne były plamy żółte, jakby centki na skórzy dzikiego źwierzęcia. Z pod czapki wywijał się włos rudy, barwy krwawej, jak broda, która w dwa przedzielona kosmyki, rzadka i przejrzysta, osłaniała mu część policzków. Rysy jego oblicza zresztą były dość piękne i regularne, ale jakby rażone obłąkaniem jakiemś i niespokojem spalone, — oko osłupiałe i błędne, usta zaciśnięte szydersko i dumnie, gruba szyja, wydęty brzuch, cienkie przy tem nogi, a ręce żylaste i silne, nie harmonizowały z sobą, jakąś dziwaczną składając całość.

Strój jej wyjątkowo był wspaniały, lecz nie zawsze takiem odznaczał się staraniem, bo nieraz ludowi pokazywał się w szacie zbrukanej, bez togi, z głową chustką jakąś związaną.

Lektyka Agryppiny, w której matka Cezara leżała z udaną i dobrze odegraną obojętnością, w szatach rzymskiej matrony, zwracała także oczy tłumu, który

usiłował wyczytać na twarzy wdowy Claudjusza tajemnicę pałacowych dziejów, różnie po cichu tłómaczoną.

Agryppina była jeszcze tak piękną i świeżą, a twarz jej marmurowa tak zamkniętą i niezbadaną i pociągającą urokiem, że oczy, co się raz na nią zwróciły, oderwać się od niej nie mogły.

Dalej a dalej po za nią i jej kobiet orszakiem, niesiona w złocistej lektyce na ramionach czarnych swych niewolników, jak Wenus po fali płynęła wśród rozstępującego się jej tłumy piękna wyzwolenica Aktea.... kochanka Cezara, typ siły, zdrowia i swobody, na której jasnem czole żadnej nie było można myśli przeczytać, prócz dziecięcego roztrzepania i zalotności dziewczęcej.

Lecz możnaż opisać tłum, który towarzyszył Cezarowi? ten orszak niezmierny dworu, sług i ulubieńców wszelkiego rodzaju, tych skoczków i gladjatorów, których on podniósł ku sobie, z filozofami i wojakami na równi zmieszanych.... Senatorów obok rzezańców, flecistów obok starych żołnierzy, nierządnic i matron poważnych, dzieci i starców dziś przeznaczonych do towarzystwa, jutro może na śmierć bez winy.

Przewodniczyli długim pochodu szeregom Edylowie miejscy i patrycjuszowscy, w swych togach, poprzedzani Liktorami, ubrani w pasy złocone i pierścienie obrzędowe na rękach. Za nimi kapłani nieśli najwyżej podniesiony złocony posąg Fortuny skrzydlatej (Fortuna alata), przodkujący innym; potem posągi Jowisza, Minerwy, Neptuna, Cerery, Apollina, Diany i ubóstwionych Cezarów.... których grono zamykał wizerunek Nerona, złoty i najstrojniej przyodziany.

Niektóre z tych posągów wieziono na pokrytych oponami jasnemi, obwieszonych kwiatami wozach bronzowych, u których białych koni szli podtrzymując przestraszone wrzawą zwierzęta, strojni woźnice. Do innych zaprzężone były jelenie z wyzłoconemi rogami, wielbłądy, których łby ciekawe wznosiły się wysoko, i z okutemi pyski lwy afrykańskie, i pantery i słonie. Posąg Nerona ciągnęli ludzie do pasa obnażeni, poprzepasywani zielonością i złotem.

Ta część orszaku świetna była i wspaniała, a dziki żwierz, ujarzmiony i pokornie wprzężony w wozy bogów Romy, opiewał zwycięztwo siły.... Białe i czerwone statuy, wozy sadzone perłową macicą i drogiemi kamieńmi, całe poobwieszane oponami, dzicz ta łańcuchy i wstęgami ujęta, przerażona, posłuszna, a krwawą niekiedy błyskająca źrenicą, w krótkich sukniach kapłani i niewolnicy.... składały obraz wielkiej wspaniałości i powagi....

Tuż za pasmem wozów, w sukniach obwisłych, z krótkiemi włosy, sieroty rzymskie, dzieci nie mające ojców ni matek, a zostające pod opieką Cezara i rzeczypospolitej, wiodły konie przeznaczone do igrzysk w cyrku. Piękne te stworzenia, z okiem błyszczącem i grzywą rozwianą, podkute blachami złotemi, wyrywały się na dźwięk muzyki i na okrzyki tłumu, podnosiły na chwilę, nogami bijąc po nad głowami efebów, póki silna ich dłoń do pokoju i posłuszeństw ich nie zmusiła, i znowu drżące, przelękłe, z przytulonemi szły dalej uszami.

Za niemi postępowały dzieci Patrycjuszów, od maluczkich dwunastuletnich chłopców, do szesnastoletnich młodzieńców, szeregiem idąc jednako ubrane i przystrojone.... Były to przyszłe rzeczypospolitej nadzieje, ale baczniejsze oko dostrzedz mogło, że im brakło surowego przykładu ojców i matek, że najemne wykołysały je ręce, a niewolnicy i Grecy płatni wychowali je pieszczotami i wczesnemi pochlebstwy. W bladych ich twarzach, w urągających się ustach, nie było powagi, ni dziwactwa, ni uczucia trwogi dziecinnej. Część ich jechało konno, inni szli pieszo poprzedzając Edylów, Cenzorów i miejskich urzędników z Liktorami, ze dworem swym zwykłym, postępujących powoli, w wieńcach i togach.

Dalej szli synowie Senatorów i rycerzy, pieszo i konno, a tuż następowały wozy wyścigowe, lekkie, kunsztowne, na których stojące woźnice w barwach swych właściwych, znani ulubieni ludowi zręcznie zażywali koni, hamując ich żywość, uśmiechając się na oznaki

współczucia i szepty uwielbienia, które im towarzyszyły.

Sam Cezar im tego zazdrościł.... choć tak namiętnie kochał zielonych!!

W tłumie już się niemal zakładano zawczasu, że zieloni mety doścignąą....

Za wozami postępowały familje gladjatorów z najrozmaitszemi swemi do zapasów przybory....

A był to zastęp ludzi, jakich dziś już nie widać, z głębi lasów dzikich, z wnętrzności gór i dolin, z krain odległych ściągnięty, na uciechę ludu rzymskiego — potężnych ramion i pleców, rąk żylastych, twarzy srogich, na których tygrysi zapał boju i pragnienie krwi odmalowane było.

Tu szli *Secutores*, w hełmy uzbrojeni, krótkie mieczyki i tarcze, na pół nadzy; za nimi *Thraces* z trackim orężem, małą tarczą okrytą skórą, dwiema włóczniami krótkiemi i hełmy bronzowemi; potem *Retiarii* z siatkami w rękach do uplątania przeciwnika, odziani lekko, z włóczniami o trzech żelezcach *(fuscina tridens)*, mający walczyć z Secutorami, i *Mirmillonowie* z szyszkami, na których wierzchu sterczał wizerunek ryby, zbrojni w tarcze (pelta) i krzywe mieczyki, i *Laquearii* z powrozami na ramionach do zarzucania petli na szyję przeciwnika i *Andabatii*, walczący z zawiązanemi oczyma.....

Każdą z tych familij wiódł naczelnik najgłośniej walką wsławiony, a na czele Mirmillonów postępował Spiculus, znany ulubieniec Nerona, zbogacony jego łaską, wysoko podnosząc głowę straszliwą wyrazem rozbestwienia.

Za gladjatorami cisnęła się gromada młodzieży i chłopiąt, wedle wieku poustawianych, w sukniach fioletowych, w pasach złocistych, z wieńcami i włóczniami w ręku. Starsi z nich tylko błyszczące hełmy mieli na głowie.

Po nich szła muzyka, grająca na fletach, trąbach i tympanach, w której takt skacząc biegł tłum ludzi poprzebieranych za Sylenów i Satyrów, okryty skórami dzikich żwierząt, z długiemi splotami kwiatów w ręku,

wśród tańca to je po nad głowy podrzucając, to zniżając do stóp obszytych szerścią koźlą. Ten chór Sylenów, jakby oszalały wśród poważnego pochodu, sam jeden zdawał się naprzód czuć w sobie zapał, który miał wkrótce owładnąć tysiące.

Długi szereg kapłanów otwierali naprzód *Camilli*, chłopcy posługacze ołtarzów, w krótkich szatach, z namaszczonemi włosy, które przytrzymywały przepaski czerwone i białe, z narzuconemi na ramiona szarfami lekkiemi. Niektórzy z nich nieśli naczynia ofiarne.

Po nich następywali *Aruspices* i *Augurowie* w sukniach krótkich, spiętych na ramieniu, w płaszczach purpurowych, z laskami (lituus) w rękach, i kapłani, niosący trójnogi, kadzielnice, patery, noże i sierpy i wieńce, Epulonowie, Sabieni.... W pośród nich teraz ciągniony na wozie świętym *Thensie*, całym od złota, rubinów i topazów, pereł i purpury, jechał Cezar-Pontifex, z głową opartą na ręku, na której widać było bransoletę ową z wężową skórą, co z obrazkiem tajemniczym bogini Syryjskiej za talizman mu służyła.

Wóz jego otaczali Flaminowie Jowisza, Marsa i Romula, w togach ognistych, w purpurze, w czapkach śpiczastych, z zasłonionemi twarzami, Augurowie w swych krótkich *laenach*, na ręku spiętych i powłóczystych płaszczach.... piętnastu mężów niosących księgi Sybilińskie i biało odziane zakwefione Westalki, którym przewodniczyła poważna Maxima.

Wpośród nich, osłonione, niewidzialne dla tłumu, zakryte.... wieziono *Palladium* Rzymu, tajemniczą świętość jego opiekuńczą, do której przywiązane były losy państwa i grodu.

Wóz, który ten skarb obejmował, tak otaczały sześć dziewic wybranych, że lud napróżno dostrzedz go usiłował.... ale serca wszystkich Rzymian zadrgały, gdy przechodził.

I szły jeszcze za nim obrazy bogów opiekunów, skarby świątyń, przenośne ołtarze, aż pochód zamknęły dwór Nerona, Senatorowie, matron lektyki, rycerstwo

konne i gmin, który się tłoczył i wywracał usiłując bliżej docisnąć.

Blask wschodzącego słońca padł na ten wspaniały orszak zalegający Forum, na wschody świątyni Jowisza Capitolińskiego, malowniczo ubrane w tłumie ściśnione gromady, i oświecił zarazem na galerji portyku jednego z otaczających domów, wśród ścisku ciekawych twarzy, górujące dwa piękne męzkie oblicza, z jakimś smutkiem i powagą poglądające na tę pełną przepychu uroczystość.

Dom ten, przez właściciela najęty na widownię, przepełniony był ciekawemi, cisnącemi się do okien, galerji, portyku, wieszącemi po dachach i pergulach. Dwaj mężowie opłacili jak inni za wnijście, by się ztąd swobodnie przypatrzyć pochodowi, który już z Forum ku Cyrkowi się kierował; przed ich oczyma przesunęło się z kolei wszystko, od posągów Cezarów, do Westalek Palladium.

Jednym z tych widzów był Pudens..., drugim nieznany mężczyzna, w ciemnej todze i zaniedbanem ubraniu, łysy, zestarzały, kaszlący, sparty na kiju i tak smutny, jak gdyby nie na przepych Romy, ale na zgubę jej poglądał.

Odosobnieni nieco, dwaj mężowie ci patrzali z razu w milczeniu, aż wreszcie Pudens odwrócił się i spojrzawszy na towarzysza — odezwał:

— Co ci się zda? silny jest jeszcze Rzym i wielki? nie rychło pożyje go prawda i obali, bo fałsz urósł w potęgę i tysiącę rąk bronić go będzie.... żyjąc z niego.

— Rzym — odparł starzec zgrzybiały — wygląda jak chory, którego stroją na ucztę przedśmiertną i otaczają wrzawą, by przychodzącego nie posłyszał zgonu.

— W tem wszystkiem są szczątki dawnej Romy, ale już niema jej ducha. Widzisz te matrony, na których łonie czystem, w których dłoniach niepokalanych spoczywała cześć Rzymu i przeszłość jego?

— Dziś to nierządnice Cezara, to lupanar jego ulubieńców, to Messaliny i Julje.... Widzisz jak z pod

zasłon uśmiechają się do wyzwoleńców i niewolników, jak oczyma lubieżnemi ścigają gladjatorów.... te, co się dawniej odkryte za próg domu wynijść wahały. Widzisz te dzieci, przyszłą nadzieję Rzeczypospolitej, już skalane rozpustą nim smak jej poczuć mogły, już w pieluchach z bezczeszczone i zepsute przez niewolników.... Wśród tych sześciu Westalek, co ognia świętego strzegą, idzie Rubria, którą Cezar zniesławił, wśród Camillów są jego biesiad towarzysze, wśród rycerzy kochankowie jego.... Spojrzyjże na Senatorów, ledwie o swej sile idących, tak ich wczorajsza biesiada i womity zwyciężyły, na owe rycerstwo pamiętające tylko o groszu, który lichwą zdobywa; na kapłanów uśmiechających się z obrzędów, które sprawiają nie wierząc w ich siłę, na wszystek ten tłum, co otacza świątynię bez powagi, i boi się więcej Cezara niż Boga.... patrz, myśl.... a nie zdziwisz się gdy ci powiem, że to są wysiłki konającego świata, który się musi przebudzić po pijanej biesiadzie.

— A! — rzekł Pudens — jednak tłum wielki i zapał wielki i siła tam jeszcze potężna.... my wśród nich garścią tylko, ofiarą, jak te bydlęta, które na rzeź prowadzą.

— Garścią! nie! — zawołał starzec uśmiechając się — wszystko co cierpi jest z nami, a któż tu szczęśliw i spokojny? Spojrzyj jeszcze na te tłumy niewolników, na gmin niezliczony, na tych co dziś padną ofiarą lub jutro są na nią przeznaczeni, na tych co tęsknią i płaczą i giną i jęczą.... a dopatrzysz się nowego świata.

Gdy tak rozmawiali, tęskno z góry poglądając na pełne zgiełku Forum, pierwsza ofiara spełnioną została w świątyni, krew popłynęła marmurowemi ścieki, i niecierpliwy Cezar dał natychmiast znak pochodu ku Cyrkowi.

VI.

Cały orszak jął się przeciskać przez rynek i drogą przez Velabrum rzucił się ku wielkiemu Cyrkowi, między Palatynem a Awentynem szeroką zalegającemu przestrzeń.

Miejsce to było pamiętne od pierwszych Rzymu czasów; — tu, wśród wielkich igrzysk pierwotnych porwano Sabinki, tu podobno Tarquinjus jeszcze, pierwsze rzucił podstawy wielkich ścian budowy, którą następne wieki wspaniale wzniosły dla zabawy ludu-pana.

Gmach to był mogący półtorasta tysięcy widzów pomieścić, majestatyczny na oko i rozległy, a zajmujący w sobie i garnący przy sobie całe miasto budowli igrzyskowym przemysłem zaludnionych. Wysokie trzypiętrowe mury jego okalały przestrzeń długą na półczwarta stadjów, szeroką stóp czterysta... Na dachach jej stały secinami białe posągi marmurowe i złociste trofea.

Od strony zachodniej i *Forum Boarium* było główne wnijście, ale mnogość ludu, która na kamieniach i drewnianych ławach mieścić się miała, dla łatwiejszego wpływu i odpływu, znajdowała otworem mnóstwo bocznych wrót i wnijść licznych, któremi do przeznaczonych sobie siedzeń dostać się mogła. Dawniej siedzenia pokryte pod galerjami, jakich w innych cyrkach nie było, dzieliły się na Curie; dziś się one mieszały wszystkie, i rozsadzano je za pieniądze, wedle chwilowego znaczenia lub rozkazów pana, szukającego sobie widzów, coby poklaskiwali ochotnie i ze znajomością rzeczy.

Na górnych stopniach mieściły się tłumy niecierpliwych niewiast.

Zewnątrz budowa Cyrku, podparta arkad szeregiem, mieściła wszystko co się do teatru cisnęło, żyjąc z niego, mieszkania zapaśników, sklepiki przekupniów farby, oleju, oręży, taberny sprzedających jadła i napoje, mensy zmieniających monety, izdebki pięknych Greczynek, łaźnie, popiny, lupanary, ganea, miejsca spo-

czynku dla utrudzonych, kramiki astrologów i wieszczbiarzy sprzedających przyszłość, przytułki kuglarzów i sprzedających niewolników, wszelką gawiedź i gmin wszelaki... Wszystko to mieściło się w najętych zewnętrznych cyrku budowach i przytykających do nich uliczkach. Oblegał oprócz tego gmach i rynek tłum przekupniów, chodzący i wywołujący kwiaty, wieńce, podarki, chłodniki, wino i owoce.

W pośrodku wielki plac Cyrku, otoczony dokoła murem i galerjami, daleko był jeszcze wspanialszy... Ściany jego same z prostego kamienia wzniesione, okryte były najdroższemi marmurami, bronzem, perłową macicą, obwieszane zasłonami purpurowemi na złocistych biegającemi pierścieniach.

Cała *arena* na ten dzień uroczysty wysypana była nie piaskiem z dala przywiezionym, ale minią i złotem; w środku przecinająca ją na dwoje wznosiła się *Spina*, grzbiet Cyrku i główna jego ozdoba, około której biegały wozy zapaśników. Był to mur także okryty marmurowemi płyty, podniesiony wysoko, na którego wierzchu biły fontanny, przeźroczystą wydrążoną w nim napełniając sadzawkę.

Na murze tym, rzędem, począwszy od dwóch za Claudjusza wystawionych met pozłacanych, po końcach Spiny utkwionych, widać było wznoszące się świątyńki, ołtarze, kolumny z kosztownych marmurów o kapitelach złoconych.

Tu stał *Pulvinar*, świątynia bogów i tron Cezara zarazem, z którego on na igrzyska mógł z wysokości poglądać. Na samym środku Augustowski obelisk, łup z zwyciężonego Egiptu, wysoko i wyżej nad mury otaczające podnosił głowę, złocistem i promiennem ukoronowaną słońcem... Igła ta poświęconą była Bogu-Słońcu.

Razem skupione na grzbiecie wśród areny, na dwoje nim podzielonej, w malowniczym ścisku te obeliski, świątyńki, słupy, ołtarze, wodotryski, posągi Cerery, Baccha, Prozerpiny, Kabirów, Cybelli na lwie opartej,

fontanny z siedmiu każda Delfinów splecione, stanowiły obraz pełen przepychu.

To też gdy cały orszak z Velabrum przez rynek przyległy (Forum Boarium) wszedł do Cyrku i napełnił go muzyką, śpiewami, blaskiem, wrzawą, obchodząc po kilkakroć dymiące ołtarze; gdy kapłani drugą poczęli tu spełniać ofiarę, posągi ustawiono w świątyni, a Cezar zasiadł swe miejsce i tłum rozlał się na *podium* i galerje; gdy strojne niewiasty wbiegły na górę, a patrycjusze, rycerstwo, plebs, wyzwoleńcy i przybysze ścisnęli się na przeznaczonych im ławach; gdy w Cyrk wstąpiło to życie gorączkowe — mało kto mógł się obronić zapałowi, z jakim niecierpliwy lud rzymski począł wołać o należny mu podatek... o krew, o bój, o śmierć...

Od Senatora na marmurowej ławie, do niewolnika, który gdzieś szparą izby z Carceru poglądał na tę wspaniałość, — wszyscy drżeli, miotali się, ryczeli, klaskali, domagając się co prędzej przyobiecanego widowiska. Kobiety, wychylone, niecierpliwe, starcy drżący, młodzież zarumieniona nadzieją, oczy mieli zwrócone na drzwi Carcerów, na miejsce nad *podium*, z którego białą chustą dać miano znak rozpoczęcia.

Ten okrzyk i gwar tłumów na chwilach nawet dzikiego żwierza, zapartego za żelaznemi kratami, nastraszył: zamilkły lwy i pantery, a po chwili dopiero na ryk ludu odpowiedziały rykiem drugim, który z pod stóp widzów dając się słyszeć, wstrząsł cyrkiem całym.

Ale nie przeraził tych co krwi czekali, i tłum począł klaskać tylko na tę głośną obietnicę mordów i uciechy...

Wtem powiała chusta, ozwała się trąba i bramy Carceru otwarły szeroko, a na plac wystąpiły wozy, ustawiając się rzędem jedne przy drugich, u pierwszej mety.

Dokoła Spiny siedem razy obiedz było potrzeba, i wyścignąwszy współzawodników, stanąć pierwszemu u mety, by wieniec otrzymać. Wozy, na których jechali sławni woźnice, leciuchne, bronzowe, o dwóch kołach,

zaprzężone końmi pełnemi ognia i siły, a wrzawą i strachem pobudzonemi do biegu, wyrwały się jak błyskawica na dany znak przez Cezara. On, co sam w Cyrku na Watykańskiej górze, codzień prawie stojąc na wozie biegał do mety, dziś widzem był tylko, ale chciwym widoku, ale pełnym namiętności jak inni, może gorętszym od drugich.

Oko jego ścigało zielonego ulubieńca i podżegało go do zwycięztwa... był to wódz nowej partji, która za jego panowania się zrodziła. Znani wprzód byli tylko czerwoni i biali woźnice, teraz górę nad niemi wzięli zieloni i niebiescy, a zielonych ukochał szczególniej Cezar.

Dopóki pierwsze koła obiegały wozy, milczenie panowało głębokie na galerjach, tylko jakby oddech tłumu, jakby puls jego życia, szmer lekki to się wznosił, to uciszał... Wóz jeden kołem o metę się strzaskał, drugi wywrócił i woźnica głową o podium uderzywszy, rozbity skonał nim go wywleczono... a na arenie czerwonej czerwieńsza tylko trochę pozostała plama.

Gdy wóz zielonego ulubieńca przybiegł raz siódmy do mety i wstrzymał się jak wryty silną zahamowany dłonią... nie krzyk, nie wrzawa, nie oklask, ale nieopisany jeden głos jakiś dziki, straszny, silny jak grzmot rozległ się po górach Rzymu. I posypały się wieńce, kwiaty, palmy, pieniądze, a kobiety z galerji miotały jak wściekłe chustkami i zasłonami... Cezar nawet poklasnął... ale jakoś krótko, może zazdrośnie, a z uśmiechu jego znać było, że sobie mówił w duszy:

— O! gdybyście to mnie na wozie widzieć mogli!!

Sześć razy powtórzyły się wyścigi, i sześć razy coraz zwiększając się ten sam objawiał zapał. Słońce żywo podniosło się ku górze, ale zasłona purpurowa rozciągniętą została pomiędzy Cyrkiem a niebem, cień spłynął i deszcz wonny skropił z lekka arenę, na inne przeznaczoną widowiska.

Zaledwie rozprawy po ławach i galerjach Cyrku o zaletach woźniców i koni się rozpoczęły, gdy gladjatorowie wystąpili.

Zapasy ich stanowiły jedno z najulubieńszych widowisk rzymskich, i wnet zapomniano o wozach, koniach i zwycięzcy.

Familje gladjatorów, mających walczyć dnia tego, dobrane były przez znawców, sam Cezar ich oglądał, a rzymscy panowie chodzili zawczasu lubować się ich żylastemi rękami i siłą obiecującą w Cyrku walkę okrutną, a krwi podostatkiem. Jakoż nie zawiedli oczekiwania ani Traccy zapaśnicy, ani dwumieczowi, ani siatkarze, ani Samnici, ani Andabaci. Rozpoczęło się to jakby igraszką na drewniane mieczyki i przeszło wkrótce w bój zawzięty, w którym szczególniej odznaczył się Reiarius, Goth, pięknej budowy ciała i siły, a zręczności niezmiernej, trzech przeciwników splątanych siecią obaliwszy i dusząc ich w dłoniach żelaznych.

Cały tłum wołał dlań o nagrodę, o palmę, o wieniec, o wstęgi i pretor, z rozkazu Cezara, wyniósł mu gałąź zieloną, podarek pieniężny, a co droższem było nad to — wyzwolenie.

Lud poklasnął zarazem i męztwu Gotha i wspaniałości Nerona.

Tymczasem już arenę znowu oczyszczano ze złomków puklerzy, ze szczątków oręży, z rozbitych szyszaków i ciał martwych, które jak blade plamy na czerwonym leżały piasku.

Nikt jeszcze nie wychodził z Cyrku, wiedziano, że to był dopiero początek zabawy; jedni jedli, drudzy pili na swych miejscach, wynoszono omdlałych, spychano umarłych, a nikomu ujść nie było wolno.

Neron siedział spoglądając na Akteę, która mu się ze swego miejsca uśmiechała białemi ząbkami, czarnem okiem.

Teraz dla wypoczynku nastąpił nie bój ale tylko pozór wojny, świetny, błyszczący, bawiący oko i dający mu wytchnąć chwilę. Były to Trojańskie igrzyska Eneaszowych sięgające czasów.

Z wrót Carceru wysunęły się dwa orszaki młodzieży najpierwszej w Rzymie, dzieci Senatorów, młodzieży co kiedyś pierwsze zająć mieli dostojeństwa w Rzeczy-

pospolitej. Książe młodzieży, Princeps juventutis ich prowadził, z bliska krwią z Cezarami połączony, Rufius Crispinus, syn Poppei, dzieciak bardziej niż młodzieniec, ale już z twarzy mu widać dumę nadziei w przyszłości i wiarę w swą siłę.

Agryppina i Neron spojrzeli nań gdy wyjeżdżał na białym koniu, na czele Senatorskich dzieci, a w wejrzeniu Cezara można już było wyrok nań śmierci wyczytać.

Dwa zastępy, których dowódzcami byli dwaj szesnastoletni chłopcy, konno wystąpiły na plac, uzbrojone i strojne, rozpoczynając z sobą igrzysko rycerskie, w którem krew nie powinna była popłynąć. Uganiały się naprzód za sobą do koła Spiny, potem stanęli jedni, zatrzymali się drudzy i starli raz i drugi; a młody Crispinus tak dzielnie nacierał na przeciwnika, że głos tłumu wnet mu przyznał zwycięztwo, okrzykując go Księciem młodzieży.

Neron milczał... ale w kilka dni potem Crispinus dłonią niewidzialną pchnięty w wodę, utonął.

Pomimo odwagi i zręczności chłopaków, lud niewiele smakował w tej igraszce obrzędowej, niegdyś dla wojennej wprawy ustanowionej, dziś czczej tylko szermierce i popisie, począł wołać o bestjarzy, o zwierzęta, o ostatnią należną a najpożądańszą dlań zabawę.

Dzień miał się ku zachodowi, zasłoną purpurową wiatr szeleścił nad głowami zwiastując burzę i grzmot przeciągły słychać było zdaleka... ale nie godziło się przerywać igrzyska...

Cyrk znowu zalegał tłum posługaczów.

— *Silva, Pacarpe!* krzyczą uradowani widzowie, widząc żołnierzy niosących drzewa i rozsadzających je wśród areny. W jednej chwili plac cały zmienia się jakby w las zielony, dziki zastęp bestjarzów występuje wśród rzęsistych oklasków.

Są to ludzie zawczasu na śmierć skazani, ale życia nie ceniący, niewolnicy, płatny najemnik, ostatni z ostatnich, których krew nie ma wartości, i należy jak dług panu-Rzymowi — pastwa gminu. Na nie-

których z nich znać niezgojone rany walk przeszłych, z których cudem wyszli cało, inni oglądają się tchórzliwie i drżąco, bo wiedzą, że życia ich nie oszczędzi nikt, że umrzeć muszą.

Mrok pada, burza się zbliża i warczy, więc co rychlej wypuścić każą ryczące z Carcerów bestje.

Oczy wszystkich zwrócone są na żelazne kraty, które nagle otwarły się z łoskotem i szczękiem, i z czarnej otchłani, w której wyły zgłodniałe, wyrywa się kilkadziesiąt lwów afrykańskich.

Wyszły i stanęły rozglądając się — krzyk ludzi przeraził ich widocznie — i stoją.

Z innej strony kilkanaście tygrysów, kocim chodem, przytulone ku ziemi, pełzną pomiędzy las świeżo zasadzony, a ślady krwi ludzkiej poczuły na piasku i oko im się iskrzy złowrogo. Z innych zamknięć pędzą żołdacy przeznaczone do walki zwierzęta, które statki przywiozły z Azji, z Afryki, z lasów Germanji, z kraju Partów i Scytów, z puszcz Hirkańskich i błot nadnilowych.

Od dawna tylu razem potwór dzikich nie widział Cyrk wielki, w którym już przecie za Pompejusza po pięćset lwów spędzano. Spotkały się po raz pierwszy stworzenia z krańców ziemi przeciwległych, ze stref zimnych białe jak śnieg i spalone słońcem zwrotnikowem... stoją i patrzą na siebie strwożone, nie wiedzą na co się rzucić, przeciwko sobie czy ludziom, którzy już wsród stad tych stoją.

Gną się od ciekawie pochylonych widzów ławy... każda chwila oczekiwania zda się chciwym tłumom straconą, więc tupią, krzyczą, pędzą, a żwierz i ludzie mierząc się oczyma stoją... krew jeszcze nie popłynęła...

Cezar sam niecierpliwi się, a otaczający go przypisują to odrętwienie żwierza zbliżającej się burzy, która już nad Cyrkiem wisi... i błyska szerokiemi piorunów niedalekich wstęgami.

Jowisz przyszedł spojrzeć na Cezara igrzyska...

Naglą, jątrzą, zagrzewają — ale walka się nie rozpoczyna — lwy i ludzie podrętwieli.

— Więcej ludzi! — krzyknął Neron powstając — spędzić z ław cyrku jeśli potrzeba, niech walczą...

Strach lica oblokł bladością; wiedzą że Cezar ani Patrycjuszów, ani Senatorskich nie oszczędza dzieci: jutro ich wyzwoleńcy i kuglarze zastąpią... Bicze bestjarzy klaskają... lew ku jednemu poskoczył i pierś mu rozdarł łapą od szyi do bioder, jakby krwawą wstęgą przepasał.

Tu tygrys obalił drugiego... i zgłodniałe bestje rzuciły się na pastwę, szarpiąc ją i wydzierając sobie i zagryzając o krew, której już smak poczuły.

W chwili jednej cisza oczekiwania zmieniła się w dramat straszliwy, gnane wrzaskami pędzą zwierzęta do koła, jedne ukryć się pragnąc, drugie uganiając się za sobą i ludźmi. W pośród ryku i wycia, jęk przeraźliwy odzywa się jak błaganie i zamilknie zduszony paszczą, która już gardło rozdarła.

Oczy nie wiedzą gdzie spocząć, tak sturamienna ta walka wśród zielonego lasu, tak wesołe i piękne łowy Cezara...

Ale wszystkich wzrok zwraca nagle postać jedna, — nie śmieją wierzyć oczom; z za drzewa wystąpiła kobieta olbrzymiego wzrostu, młoda jeszcze, ogorzała... Barwa jej ciała mówi, że się gdzieś rodziła u brzegów Nilu, pod piramidami, i kąpała z młodych krokodylów stadem... Ale co za posągowe kształty! jaka piękność bazaltowego Sfinxa, co za wdzięk w postaci giętkiej a silnej! Nic nie ma na sobie prócz lekkiej koło bioder przepaski kraciastej, prócz sznura co włos jej podtrzymuje, w ręku trzyma tylko gałęź zieloną. Niezlękniona pogląda na pełznącą ku sobie Pantherę i zdaje się oczekiwać na nią. Rzekłbyś, że się znają dawno i walczyły już z sobą gdzieś w pustyni, tak śmiało patrzy jej w oczy niewiasta, tak bojaźliwie kołuje ku niej żwierz dziki.

Przysiadła i podskoczyła Panthera, ale kobieta ubiegła w bok także i bestja gryzie ziemię czerwoną, kopie ją nogami pod sobą, gotując się do nowej na-

paści. Z oka jej nie spuszcza kobieta... Cezar patrzy wychylony, ciekawy, uśmiechnięty radością.

Cyrk cały klaszcze odważnej bestjarce...

Wtem gdy Panthera przyczołgała się bliżej, silna zapaśnica sama skoczyła na nią, i cisnęła ją nogami i dłońmi silnemi pochwyciła za gardło. Poczuwszy na sobie ten ciężar, porwała się mieszkanka pustyni i niesie po Cyrku kobietę, i tarza się usiłując zrzucić ją z siebie. A bestjarka ujęła ją i splotła się z panterą; a choć krew z biodr jej płynie strugą purpurową, obie lecą i walają się razem na piasku, padają i podnoszą...

W tej walce kobieta wygląda jak bachantka spokojna jak szalona istota, której bój jest rozkoszą i szałem... usta się otwarły, śpiew dziki z nich popłynął... W uścisku coraz silniejszym wije się zgniecione żwierzę, pada, miota sił ostatkiem, nareszcie drga i kona.

Niewiasta otwarła ręce, legła i śmieje się zwycięzko nogą potrącając trupa.

Cyrk się trzęsie, a piorun po piorunie bijąc na górach, zdaje się męztwu przyklaskiwać z nieba...

W tem gdy zwycięzkiej niewieście dać może miano wywalczone życie, tygrys zaczajony wpadł z tyłu na plecy i ucisnął jej pierś i gardło objął łapami... szarpie a pysk wpoił w czaszkę.

Białe jego zęby jak perłowym diadematem opasały czoło nieszczęśliwej, która rzuciła się całą siłą naprzód, wydała krzyk boleści i padła na uduszoną panterę.

Oto jedna ze scen tego dramatu, który zakrwawiał arenę. Walają się po niej trupy i drgają rozszarpane członki bestjarzy, jęczą pokaleczeni, żwierz rycząc nasyca rozdartemi szczątki.

Ale noc zbliża się i deszcz ulewny spadł na Cyrk i widzów znużonych. Cezar dał znak — bestje pędzą znowu do Carcerów, zmiatają i zwożą trupy i kości.

Już koniec? — nie jeszcze! Niebo się może rozjaśni, bo burza wrąc i szumiąc pędzi na skrzydłach

błyskawic ku morzu. Tysiąc lamp i pochodni zajaśniały w galerjach i portykach...

— Naumachja! naumachja! — woła nienasycony lud jeszcze.

Do koła ze trzech stron gmach cyrku oblewa przekop wód pełen, rzeka sprowadzona zdaleka, którą nazwano Eurypem.

— Wody więc! wody!...

Otwarto zastawki, z pod *podium* wybiegły strumienie szumiące i rwąc piasek i minię lecą do koła oblewając Spinę, która jak wyspa wśród tego stawu sama jedna na tle wód została. Razem prawie z wodami, z głębi podziemnych wysuwają się statki i łodzie złocone, z purpurowemi żaglami, dwurzędne nawy wiedzione wiosłami majtków, którzy w takt śpiewu uderzają wody i wypływają w arenę uganiając się za sobą.

Tę czarodziejską zmianę znów wrzawliwe powitały oklaski, znowu wstrząsł się Cyrk cały, a statki jak wozy obiegają w koło, spotykają się, walczą, uderzeniem wioseł odpychają, siłą wioseł zbliżają znowu...

Nareszcie Edylowie dali znak zamknięcia igrzysk. Cezar znużony potrzebuje spoczynku i wytchnienia, niebo się wyjaśniło wieczorne... tłum niech do domów powraca.

Jeszcze jeden okrzyk na cześć Boga-Cezara i sto tysięcy piersi wydały go jak jedna, a po chwili opróżniają isę ławy i całe to zbiorowisko rozpierzcha się po ulicach Rzymu, po popinach, termach, tabernach i ganeach. Cicha noc księżycowa przyświeca opustoszałemu Cyrkowi... Neron pozostał tu sam ze swemi, arenę obrawszy sobie na coenaculum dzisiejsze...

VII.

Cezar wśród igrzysk to się niemi bawił, to spoczywał, były nawet chwile że się usypiać zdawał... teraz przebudzony miał zasiąść do najważniejszej czynności życia... do wieczerzy.

Uczty Tyberjuszowskie w Caprei, Caliguli w willach rozkosznych Campanji, Claudjusza na Palatynie, niczem były przy biesiadach Nerona. Imperator-Cezar-Augustus sam artysta, otoczony równie wykształconego smaku dworem... umiał je urządzać, wiedział że mu w nich nikt nie sprosta...

Mogłaż być jadalnia piękniejsza nad cyrku arenę, w noc księżycową, wśród Rzymu? Zamknięto więc drzwi i zastawiono w nim stoły. Euryppowi kazano wrócić do łożyska, nowym piaskiem posypać wilgotną ziemię i *triclinia* ustawić.

W mgnieniu oka posłuszna ustąpiła woda, zbiegając z hałasem na powrót do podziemnych kanałów znikły wspaniałe nawy; niewolników zastępy oczyszczają mokrą arenę, sypie się na nią piasek biały mnogiemi okręty przywiezion z za morza... potrząsają go kwiatami, zlewają wonnościami Arabji, przyprószają pyłem złotym.

Neron dla siebie i swoich kazał tymczasem ciepłą i wonną przygotować łaźnię.

Promuscondus Cezara zaprząta się ucztą, spieszy by był gotowym gdy pan zasiąść do niej zechce; szeregiem od Palatynu ustawieni niewolnicy, na głowach przenoszą podając sobie stoły, naczynia i półmiski złote... *Structor* ustawia je misternie. Triclinia mieszczą się wygodnie na placu świeżo krwią ludzką zbroczonym, stoły i siedzenia porządkują, a chór flecistów staje przy Carcerach z jednej strony, z drugiej szereg dziewcząt, które w lekkich tunikach posługiwać mają biesiadnikom.

Na Spinie dymią jeszcze resztki ofiar przy ołtarzach Bogów, a tuż u stóp ich wygodnie rozkłada się rozpusta.

Rozkaz w mgnieniu oka stał się czynem: nim Cezar obmył i namaścił ciało znużone, uczta już stała gotowa, czasze błyszczące wznosiły się na stołach marmurowych i pieczętowane amfory w chłodnym leżały śniegu.

Towarzyszami tej uczty dzień zamykającej byli sami Cezara ulubieńcy, ukochani jego artyści, Mirmillon Spiculus, ledwie z pyłu igrzyska otarty, Sporus rzezaniec do niewiasty podobny, Seranus, Doriforus, Anicetus i piękna Aktea.

Cezar nie lubi senatorskiej powagi i surowych obliczów; woli pochlebców i zauszników, z któremi poczyna sobie jak chce. Lecz zkądże wmieszał się tu surowy Seneca? on co przeciw rozkoszy pisze jak stoik, tak kwiecisto, tak pięknie, tak rozumnie, on co wszelką gardzi słabością?

A! bo i najpiękniejsze tego wieku postacie jego chorobą są zarażone. Lucius Seneca jest istotnie mędrcem wielkim, wielkim człowieka znawcą; twarz jego namarszczona i poważna zwiastuje myślącego filozofa, uśmiech szydercę-sceptyka, pogoda czoła stoika i niczem nie dającego się zatrwożyć męża, ale ten, co pisząc o gniewie wyrzekł, że co wielkie musi mieć oblicze spokojne... inaczej o życiu prawi, a inaczej je wiedzie.

Gdzie mu tam walczyć z sobą, ze światem i namiętnościami ulubionego wychowańca? sąż takiej wagi uczynki ludzkie, by je warto ciężką okupywać ofiarą?... Słowo, mówi Seneca, mądrem być powinno, żywot być musi jakim go tworzy natura.

Spokojnie przewiduje on coś, przeczuwa zbliżanie się burzy co świat przetworzy, ale mu to obojętnem, ale nie chce, nie może, nie umie sam ku temu pomagać — stoi na boku i patrzy chłodno. Potrzeba mu grosza na starość, łaski Cezara do życia, władzy i wygódek, bo do nich przywyknął.

Przewiduje prawdę dla drugich... nie bierze jej dla siebie — na tem poprzestał.

Na łożu Neronowem przysiadła Aktea, pochylona ku niemu, w szacie wpół z ramion opadłej i uśmiecha się obejmując go ręką jedną, drugą podając czarę wina

wziętą z rąk niewolnicy. Sporus stoi w głowach i smutno patrzy jakoś na pana i ulubienicę. Seneca zgłodniały, pogląda na jadło, zamyślił się, milczy; niekiedy spojrzy na ucznia badawczo i uspokojony znów odpoczywa; inni paplą po cichu, śmiejąc się, o igrzyskach, o widzach, o tych których spostrzegli w cyrku.

— Otóż i Ennia ma już kochanka! — odzywa się jeden — broniła się długo siedząc nad wełną domową i kolebką syna, ale Lucius ją uwiódł nareszcie.

— Jakże to wiecie? — spytał drugi.

— Chwalił się dziś na Forum i pierścień zdjęty z jej palca pokazywał.

— A Centhia już trzeciego mienia podobno — zawołał szydząc Doriforus — zastąpił Rubra Celer, Celera Sextus zastąpi.

— A Sextusa już chyba niewolnik barczysty... bo jej nikt nie zechce, tak stara i szpetna... — szepnął inny.

— Wszystkie te matrony — wmieszał się Neron powoli — nie warte przecież jednej pięknej Greczynki jak moja Aktea, nie prawda Serenie? Zawsze tam jeszcze u nich zostanie coś z dawnego wstydu — trwożliwość, obawa i chłód w którym się wychowały.

— Bodaj to te, które z młodu do rozkoszy ułożono.

Cezar użył wyrazu którego tu powtórzyć nieśmiemy.

— A! a! uśmiechnął się Seneca — boć to nie rzecz matron kochać i pieścić; któż dawniej słyszał o takich jak dziś obyczajach? *Univira* twarzy światu nie pokazywała i zaprawdę lepiej to było, bo mąż ma dla siebie cały świat otwarty i może czynić co chce, a łoże Rzymianina, kolebka przyszłych pokoleń, czystemi być powinny!

Rozśmiał się w głos Doriforus.

— Lucjuszu — rzekł — a owa... do której ty uczęszczasz?

— Ja? — spytał filozof nieco zarumieniony.

— Myślisz że już nic nie wiemy — ozwał się Anicetus — ho! ho! nie badaj nas, bo ci powiemy więcej niż potrzeba.

Seneca zwrócił rozmowę, śmiano się tylko po cichu.

Ktoś rzekł potem, że igrzyska musiały wiele kosztować: Lucjusz powstał gwałtownie przeciwko zbytkowi i przepychom.

— Znikła dawna obyczajów prostota! — zawołał.

— A do czego się ona zdała? — szydząc przerwał Doriforus.

— Ludzie we zbytku miękną.

— O Catonie surowy — przerwał mu Anicetus — a twojaż willa w Baii? a twojeż chłopcy, dziewczęta i sadzawki ryb pełne i naczynia murrhińskie? myślisz że o nich nie wiemy? W Rzymie tylko grasz filozofa a w Baii jesteś rozpustnikiem, jak my biedacy.

Neron poklasnął z całej siły.

— *Habet!* — zawołał — *habet!*[1]) stary gaduła.

— Juściż przy pracy — tłómaczył się niezręcznie Seneca — godzi się i użyć nieco. Z twej łaski Cezarze, mam się czem ubogo rozerwać i wypocząć wygodnie... Wymawiacie mi to, co przecie wszystkim jest wolno. Byłże innym Cicero, który Varrusa zbytki chłostał, a sam się bez nich obejść nie umiał? Człowiek jest człowiekiem!

Na chwilę jakoś zamilkli. Cezar, trzymając przy sobie piękną Akteę, poglądał na przeciągający orszak dziewcząt, których kształty, widne z pod lekkich sukni osłonek, okiem znawcy oceniał i głośno z Menecratesem o nich rozprawiał... Niektóre z nich musiały stać cierpliwie, póki ich nie obejrzano jak bydlęta, inne wyśmiane chowały twarze ze wstydu, który ich lice oblewał.

Lecz wszystko to, co dzień w dzień miał na zawołanie Cezar, co oglądał do syta, nie mogło go już rozerwać ni zabawić.

Samą swoją wielkością był znużony, potęgą swą i władzą się wyczerpywał, czegoś nowego pragnął, a nowości na świecie dlań nie było.

I powoli odepchnął Akteę, która się zsunęła posłu-

[1]) Wyraz którego używano na oznaczenie ranionego w cyrku gladjatora.

szna, by przysiąść w nogach triclinium, oddalił Sporusa, ziewnął, przeciągnął się, popatrzył po niebie.

— Seneco — rzekł — ty czasem miewasz dobre myśli: co robić gdy nuda uciska?

— Panie — odparł filozof patrząc mu w oczy nieśmiało — rady moje dobre dla pospolitego tłumu ludzi, co twojej władzy i bóstwa nie mają — ale czemże być mogą dla ciebie? Ty wychodzisz z granic ludzkich... tobie Bogowie tylko poradzić mogą!

— A jednak, w pewien sposób jestem człowiekiem

et humani nihil a me alienum puto

rzekł — cytując Terencjusza Neron i ziewając szeroko, — jestem człowiekiem czasem i biednym i najbiedniejszym z ludzi!

Seneka się uśmiechnął.

— Myśl dobra — krzyknął Cezar zrywając się i klaskając w ręce — na noc choć jedną będę pospolitym człowiekiem jak drudzy...

— Aby smak miały potrawy, potrzeba przyprawy głodu — przerwał nauczyciel — odetchniesz Cezarze w prostej sukni... Ty zawsze myśli masz boskie!

— Pochwalasz więc?

— Któżby śmiał to zganić!

— Ciemnej togi z kapturem? — zawołał Cezar gorąco — pójdziemy budzić Rzym uśpiony i przypatrzeć się jak usypia. Zaiste, zabawka godna Cezara!!

Wszyscy powstali na skinienie.

— Nikt nas nie pozna... — dodał Neron — ani się domyśleć może. — Ciekawym jak gmin żyje, nigdym się nie przypatrzył wnętrznościom Romy... więc chodźmy...

Anicetus narzucił na Cezara brunatną szatę z kapturkiem, z łożów swych na wpół pijani powstali towarzysze biesiady, i rozkaz Nerona ich wytrzeźwił.

— A ty stary Lucjuszu, czy także z nami? — spytał Cezar.

— Rzekłeś panie, stary jestem i pójdę spoczywać.

— Czeka nań Lucilla — szepnął Anicetus — do niej mu pilno...

Zarumienił się stary, raczej domyślając niż słysząc co nań powiedziano, a Nero uśmiechnął się szydersko; nie męczył go jednak więcej, bo mu pilno było nowej spróbować igraszki...

Wyszli wszyscy przeodziani w ulice Rzymu, otaczające Cyrk i Forum Boarium.

Miasto nie spało jeszcze, noc była jasna i nieco po burzy chłodna; zlane wodą bruki świeciły płyty szaremi; w tabernach, popinach, garkuchniach i łaźniach lud właśnie z igrzysk powracający zasiadał — gdzieindziej tylko wlokły się gromadki opiłych, ze śpiewami i hałasy. Mało który z uboższych domów zamknięty i ciemny spoczywał we śnie, niewiele sklepików było zawartych.

Wyszedłszy z Forum przebrany Cezar na nocną wycieczkę, z wesołością żywą puścił się dalej, rad że niepoznany podchwyci życie pospolite, którego sam nie kosztował; towarzysze opowiadaniami dziwnemi dodawali mu ochoty...

Niedaleko odszedłszy, zetknęła się zaraz garstka Cezara z kupką pijanych, którzy z zuchwalstwem winu właściwem jęli obelżywemi słowy bezcześcić Nerona i jego współtowarzyszów. Było ich kilku, a wina spróbowali starego nie dolawszy wody i nie w ametystowej spijali go czaszy. Po długim głodzie i znużeniu poprzewracało im głowy... Nikt nikomu ustąpić nie chciał, stali więc z obu stron do walki na kije, a Neronowa gromada wyszła z niej zwycięzko, bo jeden z przeciwników w skroń uderzony został na miejscu.

Sam Cezar zadał raz tak dzielny!

Okrzyki uwielbienia i podziwu nad męztwem i siłą Nerona, który niewahał się sam walczyć po nocy z pijaną tłuszczą, nie miały końca... poszli więc za pierzchającemi z podwojonym szałem.

Na drodze nastręczył się sklep zaparty, a nikogo u drzwi zamkniętych... odbili więc drzwi i poczęli plą-

drować, wyrzucajac precz co znaleźli, bawiąc się łupieztwem i szkodą.

Mały ten kramik miał w sobie sprzęt różny, ozdoby stołu i domu; czego więc zabrać nie było podobna, roztłuczono o ściany i bruki.

Trwała chwilę ta igraszka niewinna.

— Dalej a dalej! — zawołał Neron rozgorączkowany... — zobaczym co noc jeszcze nastręczy.

Tak od drzwi do drzwi, łamiąc rygle, za któremi często ledwie parę naczyń z oliwą lub winem znajdowali, plądrowali po ulicach otaczających Suburrę. Ale za niemi już krzyki i wrzawa coraz głośniej słyszeć się dawały, budzili się odarci, zbierał tłum groźny i gonił. Neron, rzuciwszy łupy po drodze, kazał swoim nieść siebie i uciekać ciasnemi przechody.

Nie odetchnęli aż ścigani ciągle, kręcąc się, wijąc i błądząc, niespodzianie znaleźli się prawie u Capueńskiej bramy, kędy już cisza panowała i sen głęboki zdawał się obejmować okolicę, której znaku życia nie było.

Świeciło się wszakże w ogródku za murem, którego drzwiczki uchylone stały jeszcze otworem.

— Ot tu chyba spoczniemy — rzekł Doriforus — bo nam już sił braknąć zaczyna.

— Gdzie? — zapytał Cezar...

— A! a! to miejsce sławne — odparł pierwszy uśmiechając się tajemniczo... — tobie go tylko wolno nie znać Cezarze... To Syryjska gospoda, jeszcze za czasów Augusta przez piękną Aniją wsławiona... którą i Virgili opiewał[1]).

— Oh! pocieszny Doriforus — rozśmiał się Nero — ależ owa tanecznica Syryjska, którą stary Alibida na swym osiołku odwiedzał, trzykroć i czterykroć zestarzeć i umrzeć czas miała...

— Nie tak się to łatwo przebiera Syryjskich tanecznic. Cezarze... oto już trzecia czy czwarta tańcuje tam Rzymianom, pojąc ich winem i wzrokiem...

---

[1]) Virgilius. Editio Heynii. Fragmenta.

— Więc wnijdźmy!

I weszli przez drzwi wpół otwarte, bo *Janitora* nie było, lub może spał gdzie w swej celi.

Znał Rzym od czasów Augusta Syryjską gospodę, do której na błogi, rozkoszny spoczynek biegli i jechali starzy sybaryci rzymscy, aby chłodne popijać wino, patrząc na piękne dziewcze, co się przed nimi w lubieżnym tańcu zwijało... Noc i dzień stały drzwiczki otworem, dzień i noc w ogródku było wino na pogotowiu i usłużna do skoków dziewczyna, cień drzew, szmer wody... spoczynek niezakłócony niczem.

Cezar jeden może nigdy tu nie był jeszcze i nie znał tanecznicy syryjskiej. Na rynkach i teatrach Rzymu śpiewaczki te i baletnice, pod imieniem Ambubajów często się ukazywały, ale lud tylko bawił się niemi. Anija i jej spadkobierczynie nie należały do tych pospolitych dziewcząt, piękność i talent podnosił je wyżej.

Od drzwi niezapartych uliczka mała wiodła do wnijścia pod skromne atrium, w którego sadzawce dachówką opasanej wodotrysk ubogi bił przed posążkiem Bachusa świeżo uwieńczonego winną latoroślą i szafranem.

Nikogo tu nie znaleźli, a słaby połysk jednej mrugającej lampy, to rozświecał kolumny, to dnia nadchodzącego bladej ustępował jasności. Wszystko się i tu spać zdawało znużone; ale przeszedłszy również puste tablinum, na którego stołach spały kubki poprzewracane i amfory puste, z ogródka otoczonego perystylem słychać było dochodzące dźwięki i szmer drugiej wody, i jakby lekkie drzew szelesty.

Tu wszedłszy, dopiero postrzegli ulubione sybarytów schronienie, gospodę starych rozkoszników, którzy całe dnie patrząc na piękną Syryjską dziewczynę, spoczywali w chłodzie, a niekiedy spędzali tu całe noce. Środkiem była posadzka z rodzaju, który zwano *sectilia*, wysłana dwukolorową mozaiką na sposób aleksandryjski; około niej krzaki wonne myrtu, róż i verbeny wzrastały bujno, a głębiej winne macice czepiały się po ciemnej drzew gęstwinie, wśród której widna była grota na upalne dnia godziny, z szemrzącą wodą, i pieczara

zimowa na dnie chłodne, zwrócona ku słońcu. Tu i owdzie w ogródku stały łoża z poduszkami dokoła i kilka białych posągów Satyrów i Faunów, w dosyć swawolnych postawach.

Trzej czy czterej ludzie, wpół senni, gnuśnie spoczywali na łożach dokoła i poglądali ciężko dźwigającemi się powieki na dziewczę z czarnemi włosy i obnażonemi ramiony, które swawoląc podawało im napój z kolei.

Neron na widok tej ciszy i spokoju zastanowił się chwilę, patrzał nań okiem zazdrośnem.

— Wszyscy używają sobie szczęśliwi — zawołał wzdychając — jeden Cezar zamęcza się za wszystkich panowaniem. A! na co mi było rodzić się Cezarem i bogiem, gdy tak są ciężkie obowiązki bogów! Byłbym mowcą, poetą, malarzem, snycerzem, śpiewakiem, atletą, woźnicą, skoczkiem, i po pracy miałbym wytchnienie, spokój, oklaski... wszystko co człowiekowi potrzeba... a teraz...

— Biedny Cezar! — odezwał się pół-szydersko Doriforus — ależ bogiem jesteś za to!

— Znudzonym, śmiertelnie znudzonym Bogiem — dodał Neron.

Cisza, spokój, zieloność, woń jakaś wiejska i proste ubranie tego w gałęziach ukrytego ogródka, zrobiły dziwne wrażenie na młodym rozpustniku... posmutniał jakoś nagle.

Widok tego kątka zaprawdę był też miły i piękny. Dzień już miał świtać na niebie, ciemnawo jednak było jeszcze wśród drzew i budowli; kilka lamp dogorywających paliło się na bronzowych kandelabrach po rogach posadzki, którą otaczały łoża spoczywających starców. W pośrodku, napój im podawszy, stanęła do tańca Syryjska dziewczyna, czarnooka, smagława, nieco rozmarzona kroplą wina, oszalała jak Bachantka, ale mimo to znużona i smutna. Wyglądała ze swą cerą pozłocistą jak posąg bronzowy, a ruchy jej były tak wdzięczne, że gdy tańcować poczęła, sam Cezar, znawca

wielki piękności i sztuki, zatrzymał się, ciekawie patrząc na nią i oko mu zapłonęło.

Z pół-otwartych ciemno-koralowych jej ustek błyskały ząbki perłowe, oczy zdawała się mieć jakby od łez rozkoszy wilgotne, i śpiewek jakiś dziwny, niezrozumiały, tęskny nuciła z cicha od niechcenia, dla siebie, a drobne jej rączki obie podrzucały kościanemi grzechotki, któremi sobie w takt fletu i skoku towarzyszyła.

Na uboczu siedział flecista i wygrywał jej dziwacznie, żywo, to znów mdlejąco i smętnie...

I nikogo nie było więcej, oprócz stojących niemo na podstawach Silena i Faunów, i tych kilku starców wpół-sennych na łożach, którzy jej nielitościwie jeszcze tańczyć kazali, gdy ledwie po bezsennej nocy poruszać się mogła znużona.

Przez chwilę przybyli goście ukryci stali we drzwiach perystylu, aż Neron klasnął w dłonie nowej Anii; przelękła się tem Syryjka, opuściła rączki i stanęła. Choć w ciemności i przebrany przechodził Cezar i jego towarzysze, z nimi strach szedł i przeczucie jakieś; oklask, który go zdradził, znamionował człowieka pewnego siebie i nie myślącego o otaczających... dany był jak rozkaz i przeraził wszystkich.

Leżący i zdrzemani wszyscy razem głowy podnieśli, a jeden z nich bliższy Nerona, z przerażeniem krzyknąwszy rzucił się zaraz z łoża w gąszcze ogrodu...

Cezar nie zważał na popłoch, którego był przyczyną, znużony biesiadą, czuwaniem, bitwą uliczną, ucieczką, natychmiast podesławszy płaszcz, upadł na opróżnione łoże, rozkazując podać wino i skakać tancerce, która stała jak wryta.

Inni biesiadnicy, których tu zastał Neron, gdy się zbyt powoli z łożów swych zwlekali, kijmi ich przepędzić kazał. Sam zabierał się już spoczywać i patrzyć, bo Syryjka posłuszna stanęła do tańca, gdy w tem gwałtownie do drzwi zapukano i wpadł posłaniec z jakiemś tajemnem oznajmieniem, które Doriforus szepnął mu na ucho. Neron zbladł przelękły i zerwał się na

nogi, skinął na ludzi swoich, jak on popłoszonych i przerażonych, porwany na ramiona niewolników, których przywiódł z sobą posłaniec, znikł niesiony drogą ku Palatynowi, przedzierając się potajemnie przez obudzony gmin przedmieścia, z twarzą płaszczem zakrytą aby nie być poznanym.

Tak skończył dzień swój Cezar.

Czy Agryppiny zmowy, czy spisek tajemny, czy odkryta niewierność ulubienicy, przerwały mu rozkoszny spoczynek, nikt z dworu prócz Doriforusa nie wiedział... To pewna, że tę chwilę przestrachu ktoś życiem zapłacił.

.....

VIII.

Gdy się to dzieje, z każdą chwilą dzień jaśniejszy świta; niebo okrywa się rumianemi chmury, słońce już się zwiastuje na wschodzie. Piękna gospodyni Syryjska zbierała się, ziewając, do spoczynku po nagłej ucieczce Cezara, otulona płaszczem od rannego chłodu. Smętna i znużona, siadła na jednem z opróżnionych łożów, w tęsknej jakiejś pogrążona zadumie, zbierając powoli czarne, w tańcu rozplątane włosy w jedną wiązkę, gdy chwile te spoczynku zbyt krótkie, przerwał zaraz chód ciężki i weszła postać nowa, której widok ją przeraził.

Był to starzec odziany ubogo, w lichej todze odrapanej i grubem obuwiu, z brodą siwą i nieczesaną od dawna, z workiem u pasa i zarzuconą na łysą głowę połą płaszcza, dla ochrony od rannej rosy i zimna.

Twarz jego pomarszczona miała wyraz obojętności okrótnej, martwej i nielitościwej; cały żywot jakiś obrzydliwości, upodlenia i bezwstydu, wypiętnował się sromotnie na nizkiem czole, pofałdowanem, w oczach zapiekłą krwią oblanych, w policzkach uwiędłych i obwisłych, w zbrukanej skórze i zmarszkach jej czarnym pyłem nabitych.

Na widok starca powstała Anija posłuszna i milcząc ustąpiła mu miejsca: on siadł, popatrzał i po cichu się odezwał:

— No! do rachunku, żmijko... nabawiłaś się dosyć... cóżeś tam nazbierała dnia wczorajszego?

— Spytajcie Cherjona, ja nie wiem — odparła niewolnica — jam ostatkiem sił skakała do dnia, śmiała się choć płakać chciało... a teraz muszę odpocząć.

— Odpocząć kiedy dzień nadchodzi! ho! ho! — krzyknął stary — dość będzie koło południa spoczywać; przyjdą do gospody ludzie, zajrzą podróżni, musisz być przecie na nogach.

— Ale ja upadam panie — odparła płacząc niewolnica — mnie sen zlepia powieki, jam chora...

Stary począł się jej przypatrywać bacznie.

— Wszystko to fałsze... młodość nie takie wytrzymuje znużenia. Twoje poprzednice, którem tu utrzymywał, nigdy się nie skarżyły, aleś ty harda i nieposłuszna, a jeszcze nie próbowałaś mojego *flagrum* (bicza) jak plecy łechtać umie!

Anija wzdrygnęła się, łzy w milczeniu popłynęły z jej oczu, westchnęła, skłoniła głowę, usiadła.

— Zresztą — rzekł łagodniejąc stary — dałbym ci spocząć, ale któż Aniją zastąpi? wszyscy się o nią pytają, nie tylko gmin, ale rycerze i patrycjusze... Piękna bo jesteś, kto wie? możesz się podobać komu, kupić cię może jaki bogaty starzec i dojdziesz marzonego szczęścia i swobody... A! ale na to pracować trzeba.

— Hej! — krzyknął na ślepego flecistę — wołaj mi niewolników, niech gospodę oczyszczą, niech stoły pomyją, niech u drzwi świeży wieniec zawieszą. Już na Apii pełno ludu, nie może być żeby kto spocząć nie zaszedł.

Jakby duchem proroczym wyrzekł te słowa, gdyż w tejże chwili prawie w perystylu ukazało się dwóch ludzi, okrytych kurzawą podróżną, z tłumoczkami na plecach i oba znużeni padli zaraz w progu na posadzkę.

Jeden z nich twarzą samą zdradzał pochodzenie wschodnie; był to Juda, znajomy nasz z Caprei, ale po-

starzały i zmieniony, dziś chrześcianin, pod imieniem Candida wśród nawróconych znany; w drugim, jasnowłosym, bladym i smutnym mężczyźnie, poznać było Swewa, niegdyś niewolnika Hananiaszowego, którego słowo cudowne z otrętwienia wskrzesiło. Nawrócony przyjął chrzest i imię Natalisa.

Obaj oni dążyli na rozkazanie Apostołów do Rzymu, dla szerzenia nauki, jako gorliwi uczniowie i rozkrzewiciele.

Unikając oka, coby ich w pochodzie śledzić mogło, gdyż oczernieni chrześcjanie już się prześladowania obawiali, szli nocą, gościńcem appijskim i do wrót Capeńskich doszedłszy, w pierwszej otwartej zatrzymali się gospodzie.

Los zawiódł ich do takiej, która najmniej dla nich była stosowną.

Choć ubogo odzianych i wyglądających biednie, przyjął ich przecie gospodarz, z fukiem wołając na swoich, aby im posłużyć przychodzili, dopytując, czy nie zechcą się kąpielą pokrzepić lub posiłkiem jakim orzeźwić.

Candidus odmówił skinieniem, o nic nie prosząc, tylko o wodę do obmycia, a Natalis pozostał z głową spartą o kolumnę perystylu, nie słysząc nawet wyrazów, któremi przemawiano do niego.

Obu im nie tyle szło o pokrzepienie ciała, jak raczej o dowiedzenie się czegoś, coby w nich orzeźwiło ducha.

Chrześcjańska nauka, jakeśmy widzieli, już się była szybko w Rzymie krzewić zaczęła, już o niej, jako o niebezpiecznej a pełnej przesądów sekcie prawiono z oburzeniem; lękali się więc dowiedzieć o prześladowaniach, o dekretach, o których głuche chodziły wieści, o nieszczęściu, które Apostołów dotknąć mogło.

— Zdaleka to idziecie? — zapytał stary Leno — widać, żeście nie tutejsi, i droga was dobrze znużyła...

— Zdaleka w istocie, ale nie tak wielka droga, jak znużenie — odparł Candidus — obcy jesteśmy i nie-

świadomi obyczajów waszych, a Rzym nam prawie nieznany. Przychodzimy szukając tu swoich...

— Kogo? — spytał Leno ciekawie.

— Judejczyków, bośmy z Judei także.

— O! jest ich tu dosyć! — rzekł ręką rzucając z pogardą gospodarz, który nagle ochłódł i splunął, odsuwając się od nich.

Piękna Syryjska dziewczyna, dosłyszawszy tych wyrazów z ust Candida, bliżej przystąpiła ku niemu z ciekawością.

Dla niej rodzimej mowy dźwięki odzywały się w pobratymczym języku Judei, a choć Candidus słowa po hebrejsku nie rzekł jeszcze, sam głos miał dla niej coś pociągającego, jakby powiew od ojczyzny.

— Tyś obcy — odezwała się doń łagodnie i skromnie — zdaleka? może od naszych krajów i od Wschodu?

— Krew ojców moich tamtejsze ogrzało słońce — rzekł Candidus.

Dziewczę zadrżało, oko jej błysło, ale starzec niespokojnie poglądając stał nad nią.

— No! idź-że spać, kiedy znużoną jesteś — przerwał sucho — im i kto inny posłuży, niepotrzebna tu jesteś! Precz, precz, niewolnico!

I wygnał ją dziko się uśmiechając, a sam krok w krok śledząc odszedł za nią powoli.

Czarny kulawy niewolnik przyniósł im wodę do umycia; był to wychowany od dziecka w Rzymie człowiek, niegdyś sławny po cyrkach gladjator, dziś na starość posługacz szynkowy; szyderca i cynik, ale w sercu nie tak zły, jak się wydawał. Wielka nędza dała mu niezmierną na wszystko obojętność.

— Co tam słychać w Rzymie? zapytał niespokojnie Candidus.

— A cóż? wszystko i nic — odparł niewolnik. Rzym jest taki, że w nim o całym świecie dowiedzieć się można i o niczem nie wiedzieć. To, jak kto sobie zechce.

— Ależ przecie, nic tak nie ma nowego?

— Wczoraj były wielkie doroczne igrzyska... Cezar sprawiał Bogom ofiarę a ludowi zabawę... krew lała się jak woda... było w cyrku sto tysięcy ludzi i tysiąc dzikich bestyj... kobieta walczyła z panterą, i nie dziw! zwyciężyła — czego kobieta nie zwycięży!

— Ha! a nic więcej?

— Zboża nam brak, nie przybywa, bo okrętami piasek do cyrku wożą, lud szemrze... ale ma igrzyska, może być głodny.

— I nic więcej — spytał raz jeszcze machinalnie Candidus.

— Patrycjusz Clemens dał w swych thermach na rok cały darmo łaźnię dla ludu, a Priscus darmo też golić go i strzydz każe przez sześć miesięcy... Możeż być gdzie lepiej jak w Rzymie?

Mowa ta pół szyderska wcale nie zadowolniła Candida, który nie tego się chciał dowiedzieć; stary niewolnik tym czasem paplał obmywając mu nogi:

— Otóż zda mi się wszystko — rzekł — nie ma nic więcej. Agryppina zdrowa, Neron szczęśliwy, Senat radośny, rycerze kontenci, lub kłamią że im dobrze; lud milczy o głodzie, czegoż więcej pragnąć można?

— Ale byłbym jeszcze o jednem zapomniał *me hercle* — dodał po chwili — o nowej sekcie Nazarejczyków... tylko to bzdurstwo.

Candidus i Natalis spojrzeli po sobie.

— O czem wspomniałeś? — spytał Candidus.

— O tem co, prawda, i was obchodzić może; wszak ci to wy żydowie jesteście. Bracia to wasi przynieśli nam tu jakiegoś nowego Boga i wiarę.

— Ktoż ci mówił o tem?

— Nie jeden... straszne plotą dziwy! Jeżeli choć przez pół prawda co mówią, warto by Neron wygnał Nazarejczyków lub wymordować ich kazał, bo za nich Bogowie na całym Rzymie mścić się mogą...

— Cóż zrobili? — spytał przerażony Candidus.

— To są zbrodniarze! — krzyknął niewolnik — uroili sobie że tylko ich jednemu Bogu cześć oddawać

należy, a Cezara czcić nie chcą! Zbierają się po lochach, jaskiniach i zakątach w nocy, na jakieś szkaradne obrzędy; mówią że wśród nich dopuszczają się najsromotniejszej rozpusty i bluźnierstw ohydnych, że zabijają dzieci... bo to są sprzysięgli nieprzyjaciele całego rodu bogów i ludzi, których wytępić usiłują...

— To są potwarze, fałsze i niegodziwe kłamstwa! — krzyknął zrywając się jakby z uśpienia Natalis.

Niewolnik stanął z uśmiechem poglądając mu w oczy.

— Jakże wy o tem wiecie, coście tu obcy?

Candid przerażony spojrzał na towarzysza, dając mu znak by milczał, a Swew odpowiedział powolniej:

— Spotkaliśmy właśnie na drodze naszej kilku tych ludzi co Bogiem wyznają Chrystusa... znamy ich zdawna wielu i wiemy że to są potwarze.

— A dla czegożby ich ścigała nienawiść? — spytał niewolnik ruszając ramionami.

W tem Anija wśliznęła się powoli na palcach i stojąc bojaźliwie z tyłu, poglądała chciwie na podróżnych... We wzroku jej malowała się nie a sam nawet ciekawość, ale żywe jakieś współczucie, które daje tylko wygnańcom wspomnienie braci i ojczyzny. Może twarz, może akcent mowy Judy-Candida, może niewiem jakie przypomnienie wionęło na nią od tego oblicza. Przywykła do innych ludzi, biedna dziewczyna poczuła w podróżnych świat lepszy, z którego duchem przychodzili. I gdy stary niewolnik wyszedł aby im skromne przygotować jadło, zatrzymała się w perystylu, chcąc i nie śmiejąc ich zaczepić...

Candidus i Natalis tymczasem czując oba uroczystą chwilę wnijścia do Rzymu jako początek nowego dla nich żywota niebezpieczeństw, poświęcenia a może męczeństwa, razem prawie zapragnęli się pomodlić.

Rzuciwszy więc wszystko, poszli ku grocie i poklękli zwróceni ku Wschodowi, kolebce Chrystusa, którego wyznawali, z podniesionym ku niebu wzrokiem i rękami, modlić się po cichu.

Patrzące na nich zdaleka dziewcze, łatwo poznać mogło że to nie byli poganie, nie sprawili bowiem libacji żadnej, ani składali ofiary, ani szukali Larów domowych i ołtarza — zwrócili twarze ku niebu, a dusze ku niewidzialnemu bóstwu. Modlitwa ich też nie była podobną do pogańskiej rozerwanej i chłodnej — gorąca, przejęta, łzawa.

Sam widok jej już dwóch wiar niezmierną wskazywał różnicę.

W zachwycie, Candidus łkaniem ją przerywał, Natalis westchnieniami i rzucaniem się na ziemię; dźwięk mowy hebrejskiej doszedł uszów syryjskiej dziewczyny, i gdy po długiej extazie, w której pozostali oba aż do ukończenia porannych modłów, wstał Nazarejczyk powoli, Anija żywo przysunęła się ku niemu... korzystając ze snu i nieobecności starego Lenona.

— Tyś nie Rzymianin — odezwała się w swojej mowie, którą łatwo było zrozumieć żydowi — tyś także ze Wschodu; tyś może widział ten kraj, za którym ja płaczę?

— Nie, siostro — rzekł Candidus, spoglądając na nią i strój jej z politowaniem jakiemś, bo dziewcze było na pół obnażone jeszcze i dziwnie na ranną godzinę strojne, gdyż ubior jej zmięty pozostał od wczora.

Jam Hebrejczyk, ale urodziłem się na ziemi rzymskiej, i własnego kraju nie oglądałem nigdy. A ty zkąd jesteś?

— Jam Ambubaja Syryjska — wzdychając ze wstydem odezwała się dziewczyna — dzieckiem mnie tu okręt przywiózł sprzedaną na to, czem dzisiaj widzisz... Jam sierota, i bardzo biedna.

— A jednak strojna jesteś i wydajesz się wesołą?

— Bo strój ten, piękność i wesołość są mojem rzemiosłem — odezwała się ciszej jeszcze piękna Anija. — Z dziecka łamali mnie do tańca, uczyli uśmiechów, by kupiec na nich zarobił. I we dnie stoję tu jak wieniec u drzwi, zwabiając przechodniów, a nocą skaczę starcom, których bawi moja męczarnia. Stary Leno sprzedaje mnie tak, jak wynajmuje konie i muły swoje...

To mówiąc Anija rozpłakała się i prędko z przestrachem łzy otarła.

— Wy jesteście wolni! — rzekła — a! jakżeście szczęśliwi, jam niewolnica...

— A cóżby ci dała swoboda? — spytał Candidus.

— Odpoczynek... samą siebie... bom dziś nie swoja! bom dziś bardzo nieszczęśliwa.

Litościwem okiem spojrzeli na nią Candidus i Natalis; dziewcze zdawało się czegoś chcieć od nich i nieśmieć powiedzieć. Wreszcie ozwało się po chwilce wahania:

— Słyszałam — rzekła — jakeście bronili Nazarejczyków, prawda? Wy... mnie się zdaje, także tej wiary jesteście? ja to zgaduję po waszej modlitwie, po twarzy, niewiem po czem... Wiele o nich słyszałam; mówią że u nich wszyscy są braćmi, że między niemi niema niewoli, że wiara ich daje swobodę i pokój, szczęście takie i siłę taką, której nic zwyciężyć nie może... A! jeśli to prawda, dajcie mi wiarę swoją! nauczcie mnie jej! zlitujcie się nad biedną niewolnicą...

Candidus i Natalis patrzali po sobie z radością nietajoną, widząc jak na wstępie zaraz ofiarowała się im dusza do nawrócenia; ale obawiali się oba wydać, bo dziewcze miało tak płochą postawę, tak nizko było upadło, że się nie spodziewali łatwo zyskać ją Chrystusowi.

— Dziecię moje — rzekł po namyśle Candidus. — Wiesz-że ty, jaką ofiarą okupuje się ta wiara, którą chcesz poznać? jak trzeba być czystym i świętym by się stać jej godnym! jak zmienić musisz życie, obyczaje, mowę, duszę i nowego przyoblec człowieka?

— A wiaraż wasza nie jest tak mocną, by mnie siłą swą przeistoczyła, odrodziła, oczyściła?

Te słowa uderzyły Candida.

— A! ja jej pragnę! — kończyła Anija kładnąc rękę na sercu — nie odpychajcie mnie! Mówią, że Bóg ten przyszedł do biednych znękanych — możeż być istota nędzniejsza nademnie? Winy moje, byłyż mojemi,

czy cudzemi, tego który mi je dziecku narzucił, który mi je wpoił dorosłej, co mnie w nich trzyma płaczącą? Wstyd mi i boleśnie być igraszką rozpusty... uleczcie mnie, zabierzcie, ratujcie... bo śmierć będę musiała zadać sobie.

I padła ze złożonemi rękami na kolana przed niemi. Candidus milczał jeszcze, spoglądając na towarzysza, ale łzy płynące mu po twarzy świadczyły, że czuł głęboko nad upodleniem i cierpieniem istoty która go błagała.

— Wstań — rzekł po chwili — bądź pocieszona! Wiara cię twoja oczyszcza... ja nie opuszczę ciebie! Ale cóż czynić z panem twoim, i jak cię z rąk jego uwolnić?

— Wasz Bóg silen jest... czemużby nie miał mnie wybawić? — rzekła gorąco Anija.

Spotkałam już chrześcjan, widziałam spokój jakiego używają... i wiem, że są silni i mnodzy.... Chciejcie tylko a będę swobodną, sługą waszego Boga i waszą.

W tej chwili głos starego Lenona, który nadbiegł goniąc za niewolnicą, przeraził ją i podróżnych..... Anija wymknęła się zakrywając sobie oczy, a w perystylu gospody w tejże chwili ukazała się postać nowa.

Candid poznał po krzyżu, który tajemnie i szybko przychodzący położył na piersiach, że przybyły był chrześcjanin jak oni....

Ówczesny byt chrześcjan cały był jeszcze tajemnicą, a rozszerzenia się nowej wiary inaczej jak cudów szeregiem niepodobna wytłumaczyć; wsparcie nadludzkie, siła niebieska dopomogła im oświecając pierwociny drogi przykrytej i zawad pełnej.

Jak inaczej pojąć to nagłe, w kilkadziesiąt lat po zgonie Zbawiciela rozszerzenie się jego nauki wśród Rzymu, poświadczone przez Tacyta, a wkrótce potem oblane zaraz krwią męczeńską tysiąców?

W stanie ducha pierwszych Apostołów i chrześcjan, wyższym nad wszystko co pojąć się daje, co świat nam dziś przedstawia, — jest klucz zagadki tego działania

tak niezwyciężonego, walczącego ze wszystkiemi siłami ziemi, napróżno tamującemi postęp jego.

Tam, słowo jedno oświecało, widok nawracał, dusze się rozumiały, wejrzenia goniły, ludzie pociągali, przeczuwali się wyznawcy jednego Boga i połączeni węzłem solidarności ducha niezłomnej, działali wszyscy wspólnie, często nawet niewiedząc o sobie. — Ciało chrześcjan, ten Kościół wojujący, pierwotny, jedna dusza ożywiała i czyniła całością potężną. Nawykli do codziennych cudów, nawracający i nawracani nie zdumiewali się nawet spotykając z niemi, ufali w nie, spodziewali się ich... wierzyli, że przyjdą gdy będzie potrzeba....

Gdy Candid i Natalis spostrzegli zbliżającego się ku sobie w poważnej todze Rzymianina, którego postawa i twarz znamionowały znakomitego rodu człowieka, gdy nieznający go ujrzeli, że się ich szukać zdawał, jakby przeciwko nim był wysłany, choć nic ich w Rzymie oznajmić nie mogło, podziękowali tylko Bogu w duchu za zesłane wsparcie, gdyż nie wiedzieli co dalej począć z sobą; ale nie przerażali się tem, że nieznany mąż czekał ich w progach miasta.

Był to Pudens; dom jego, jak wiemy, głównym był w Rzymie chrześcjan przytułkiem, u niego Apostołowie gościli, on zbierał u siebie gmin nawrócenia pragnący, on był pierwszym pośrednikiem między Nazarejczykami a ludem.

A gdy mu o świtaniu jeden z mieszkających u niego świętych ludzi przyszedł budząc oznajmić, że ma iść do wrót Capeńskich, by tam dwu zabrać podróżnych i do swego przywieść domu — nie zdziwił się, ani zawahał, ale szedł pewien prawdy tych słów i gotowości pełen ku posłudze.

Chociaż Candidus i Natalis nie byli mu znani nie wahał się na wstępie dać im poznać krzyża znakiem, bo nie wątpił na chwilę, że ci byli, których mu przywieść kazano: — duch mu ich wskazywał....

Nieznajomi poznali się jak dawni przyjaciele. Senator Rzymski, biedny wygnaniec i Swew niedawno

dziki, a dziś chrześcjanin łagodny, ludzie z różnych świata i społeczeństwa krańców, połączeni myślą jedną, czuli się braćmi.

— Przyszedłem po was — rzekł zbliżając się Pudens — abyście szli za mną — oznajmiono nam o przybyciu waszem; jeżeli siły macie, wstańcie a chodźcie za mną.

— Gotowiśmy — zawołał uradowany Candidus, całując szatę starego, w którym uczuł wyższość łaski Bożej.

— Nie pytam was nawet czy wyznajecie Chrystusa — dodał Pudens — bo widzę, że synami jego jesteście.

— Obaśmy w Neapolis ochrzczeni zostali przez Piotra, oba na jego tu rozkaz przychodzimy.

— Dobrze więc jest... idźcie za mną... Nie macie tu dłużej co robić w plugawej tej Syryjskiej gospodzie.

— A! panie — rzekł Candidus — jest tu jedna dusza, która wiary pragnie, co nas u progu prawie prośbą o chrzest spotkała, która choć nie zna, przeczuwa Chrystusa — mamyż ją porzucić?

— Któż ona jest? — spytał Pudens zdziwiony.

— Uboga niewolnica, Syryjska ambubaja skalana... ze łzami błagała, abyśmy ją uczynili uczestnicą wiary nowej, ale Egipcjanin pan jej, srogi jest i ciągnąc z niej zyski, nie łacno ją opuści pewnie. A w tej jaskini skażenia co jej pomoże wiara, której życiem wyznawać nie potrafi?

— Więc czekajcie — rzekł Pudens — a odstąpcie chwilę, bym uczynił com powinien...

Klasnął natychmiast na sługę — wbiegł niewolnik stary, który podróżnym nogi obmywał.

— Gospodarza mi wołaj — rzekł stary — a no żywo!

Przywykły do frymarków ze staremi, rozpustą zepsutemi ludźmi, niewolnik, który inaczej rozkaz zrozumiał, mrugając znacząco pobiegł do Egipcjanina, a ten kaszląc i stukając starem obuwiem, którego

rzemyki na pięty mu spadały w strzępkach i węzłach złoconych — nadbiegł jak mógł najżywiej.

Z wejrzenia jego znać było, że starał się przybylca odgadnąć i zamaskowanego w nim odgadnął bogacza, bo się uśmiechnął pokornie, chytrze zacierając ręce.

— Macie tu jakąś Syryjską niewolnicę, zręczną do tańca a piękną? — spytał Pudens — prawda-li to?

— Ależ ją zna Rzym cały i pytać niema o co — odparł Leno ruszając ramiony — zręczną jak najpierwszy tanecznik Cezara, piękną jak Hebe, ale też dobrze przezemnie kupcom opłaconą, bo to towar nie tani, a jeszcze i wychowanie go kosztuje. Ile to ich zmarnieje i pójdzie na rynek, nim się jedna wyrobi! To perła panie, to przecie sława wrót Capeńskich! to całe utrzymanie moje! — Widzieliście ją? nie? — rzekł ożywiając się coraz — chcecie ją zobaczyć? Każę potańcować! to was niewiele kosztować będzie... Co to za ruchy! najzgrzybialszemu starcowi krew się w żyłach poruszy, gdy mu pocznie po swojemu skakać.

— No! więc ile ją cenicie? — spytał Pudens spuszczając oczy i tając oburzenie.

— Ja! alboż na nią jest cena? To skarb nieopłacony! Każdego dnia mam z niej coraz większy dochód, łatwiejszy niż z ogrodu i szynku. Są takie dni, że mi do tysiąca sestercyj przynosi.

— Tak — rzekł Pudens — ale niewolnica starzeje, a dalej i denara nikt nie da za nią...

— Tymczasem choć moje koszta najmem odbiorę — przerwał Leno patrząc mu w oczy — a! gdzieżbym ja ją miał sprzedawać! a tobym sam okradł siebie. Na targu choćby u najpierwszego kupca, u Charesa, który po całej Grecji jeździ za tym towarem, takiego ptaszka nie dostaniecie...

— Anija, to u mnie oko w głowie...

Pudens zamilkł; wtem wyszła niewolnica, a z poza starca Candidus dał jej znak aby była cierpliwą i baczną, co łatwo pojąć mogła.

— Patrzcie no! patrzcie! — zwracając się ku niej począł Leno — lat ledwie szestnastka, rzekłbyś że

i tego niema, takie to świeże, młode i silne. Dziesięć lat przedziwnie jeszcze służyć może najwybredniejszemu, a potem sprzedać ją będzie można jeszcze za niańkę do dzieci lub zręczną gospodynię... i odebrać swoje pieniądze... Nie choruje nigdy... je mało... a cicha! a spokojna!...

— E! prędko to się starzeje! — odparł Pudens, z niechęcia widoczną odegrywając rolę swoją — ale cóż tam żądacie za nią? przecież najdroższy niewolnik ma cenę!

— Oczów sobie człek nie da wydrzeć za żądną zapłatę! — zawołał Egipcjanin — cóż mam mówić! na Mythrę — choćbym za nią dwa kroć sto tysięcy sestercyj wziął [1]), byłoby jeszcze po czem płakać.

Pudens się uśmiechnął ruszając ramionami.

— Myślicie że tu siedząc w zakącie ceny rzeczy nie wiemy — dodał żywo Egipcjanin — po czemu to teraz niewolników doborowych płacą? Jużciż zapewne ręce do roli to i za 500 drachm dostaniesz, a niewolnik co nie wiele umie a trochę deklamuje, zbędzie się za 8000 sestercyj; ale kobieta, dziewczę, taki skarb rozkoszy jak to! popatrzcie no... co za ramiona!

I miał już zawstydzoną odsłonić by jej cielesną wartość lepiej ukazać, gdy Pudens odwrócił się, dając znak ręką, że nie chce tego.

— Musieliście już widzieć ją kiedyś i śpiew jej słyszeć i tańcom się przypatrywać, jeśli ją kupić pragniecie... Wiem ci ja, że Calvisius Sabinus [2]) po 100.000 sestercyj zapłacił za Greków przywiezionych z Athen, co Homera i Hesiod na pamięć umieli, — ale co Homeros i Hesiod przy tej dziewczynie, która więcej umie niż wyśpiewali poeci!

I rozśmiał się stary, a Anija skryła twarz w fałdach płaszcza, który z jednego zwieszony ramienia odkrył prześliczne, wytoczone jej kształty.

---

[1]) Około 100.000 złotych.
[2]) Seneca.

Pudens odwrócił się ze smutkiem, chwila milczenia trzymała wszystkich w zawieszeniu; nagle Syryjka podniosła głowę.

— Czyńcież co chcecie — odezwała się do starego Lenona — ale ja dłużej nie wytrwam w tem życiu, do którego wstręt mam śmiertelny...

Nie zechcecie mnie sprzedać, to na Jowisza, głodem się zamorzę!

Egypcjanin stanął wryty.

— Ty! głodem! ho! zobaczemy! ja się głupich pogróżek nie boję, a że karać umiem toś widziała i wiesz... *Furcifera!* nie pomogą razy i widły, to cię żelazem gorącem na czole napiętnuję...

— I stracisz swoje pieniądze! — rzekł Pudens spokojnie.

— Lecz gdybym ją sprzedał, tę nędznicę — zawołał trzęsąc się ze złości stary — w cóż się bez niej moja gospoda obróci? co powiedzą starzy, którzy mi tu dla jej czarnych oczów chodzić przywykli!

— Znajdziesz drugą Ambubaję, i dziesięć co mnie zastąpią... Epicharis mi zazdrości... ją weźcie.

— A to zmowa! to spisek! na Mithrę! — rzekł Leno... — Ale no... gdybym ją sprzedawał... przypuśćmy... cóż mi dacie... Ona cię starego opanuje, będziesz ją musiał wyzwolić! obedrze cię, ogołoci. — Ale cóż dacie? — dodał niespokojny... ile?

— No, pięćdziesiąt tysięcy sestercyj...

— Na Herkulesa! daleko od ceny? za to i dwudziestopięcio-letniej niewolnicy co po rynkach śpiewa, nie dostaniecie... z tańcem, z głosem, i z takiem doświadczeniem rzemiosła! Wszak to wszystkiego uczyć potrzeba...

Ale choć tak gorąco opierał się kupiec, cena wydała mu się dość znaczną; skłonił się Pudensowi, kazał podać wino i owoce, począł zabiegać koło niego.

Syryjskie dziewcze drżało, niewiedząc co się z nią stanie, ale poważna twarz i postawa człowieka, który się o nią targował, uspokajała, a znak dany przez Candida kazał się spodziewać więcej niż przed chwilą marzyła...

Wszystko co się z nią działo, zdawało się jej cudem, nie pojmowała jak tak rychło życzenie jej wypełnić się mogło, i przypisywała to potędze nieznanego Boga.

Jeszcze stała zadumana, gdy Leno niespokojny już się o jej cenę ułożył po cichu, i popchnął ją ze śmiechem ku nowemu panu, do którego nóg przypadłszy naprzód, stanęła potem Anija pokornie za nim, cała we łzach i drżąca.

Któż wie co w duszy wije się człowieczej?

Może w tej chwili, gdy się już oddalać przyszło z tej brudnej gospody, w której z dzieciństwa tańczyła i uśmiechała się coraz nowym gościom; gdy jej przyszło iść nie wiedzieć dokąd i po co... serce uderzyło tęsknotą i żalem po tym ogródku co jej łzy widział tajemne, po boleściach tu doznanych i przemarzonych tu nocach.

A gdy przyszło próg przestąpić i drzwi gospody pominąć, Anija obejrzała się ze łzą w oku...

Stary Leno liczył coś na palcach po cichu i sprzeczał się o bransolety, które miała na rękach, o *phalerę* którą miała na szyi, choć to były dary starego Chariclesa i Diomeda... ale niewolnik nic nie posiadał, a Egypcjanin i na te błyskotki był łakomy rachując co mu przynieść mogą.

I odarł niewolnicę, która mu pod nogi z pogardą łańcuch i naramienniki rzuciła.

Pudens już spieszył wynijść jakby go powietrze tego sprośnego miejsca dusiło... za nim zbierali się podróżni a Anija, poprzedzając ich, wyszła pierwsza, okrywając się szatą aby nie była poznaną.

Gdy weszli na Appijską drogę, a posłuszna niewolnica w ślad za swym nowym stąpała panem, Pudens odwrócił się ku niej, z uśmiechem łagodnym wyrzekając poświęcone wyzwolenia słowa:

— *Surgant liberi*... niech wstaną wolni!

— Nie potrzeba nam ani praetora, ani łaski, — do-

dał [1]) — w imię tego Boga, którego wezwałaś pomocy, jesteś wolna!

— Wolna! — zakrzyknęła składając ręce niewolnica — a! być że to może? wolna? Ale cóż począć mam z sobą? gdzie podziać? jak od zguby uchronić? a! panie... nie opuszczaj mnie! ja ci służyć chcę i będę...

— Więc idź za nami jeśli chcesz! — odparł Pudens — postępując powoli ku wozowi który nań czekał.

Candidus i Natalis, i Anija za niemi, poszli w milczeniu pieszo ku mieszkaniu Pudensa, mijając gwarne już Forum i po za Cyrkiem, w którym sposobiono znów igrzysko, przechodząc do Thermów Senatora.

.....

IX.

Gdy tak w ciszy rozprzestrzenia się po Rzymie chrześcjaństwo, z tą siłą niezwyciężoną i boską, której nic na zawadzie stanąć nie może, i poczynając od najniższych klas społeczeństwa przechodzi do patrycjuszów i senatu, przyciągając ku sobie co gdzie czyste i wybranie znajduje; gdy Seneca już [2]) pisze, że za jego czasu, tak, jak on ją zowie, przesądna wiara żydowska, takie czyni postępy we wszystkich krajach, że zwyciężeni prawo narzucają zwycięzcom — stary świat usypia jeszcze i tarza się w błocie, nie postrzegając jak głęboko wstrzęsły się jego posady.

Zepsucie, które w ostatnich czasach takich dosięgło rozmiarów i społeczeństwem zachwiało, wzmożone samowładnością Cezarów, rozprzęgającą wszelkie węzły rodzinne, szerzy się i wzmaga. Neron po swojemu targając ostatnie więzie pogańskiego świata, przygotowuje oczyszczenie dróg prawdzie nowej, która inaczej jak na gruzach wyrosnąć nie mogła.

[1]) Zwykły obrzęd wyzwolenia.

[2]) Cytowany przez S. Augustyna, de Civitate Dei. 1. 6. c. II.

Panowanie jego poczyna się walką z matką o wyzwolenie, o niczem nie ograniczoną władzę, którejby z nikim dzielić nie było potrzeba; posłuszny Seneca wszystko mu pochwala, wyrozumowuje, uniewinnia, Burrhus nie przeszkadza złemu. Z kolei odsuwa się co tylko zawadzać mogło; Pallas wyzwoleniec Claudjusza a prawa ręka Agryppiny, zagrożonej i rozwścieczonej na syna, potem Britannicus, brat, który mógł stanąć przeciwko niemu, struty przygotowaną przez Locustę trucizną, potem inni sprzątnieni za lada podejrzeniem spisku i przywłaszczenia władzy.

Neron szaleje po ulicach [1]), rozbija, rozpustuje, ścieśnia władzę praetorów, zyskuje sobie lud igrzyskam i darami [2]).

W tych latach jeszcze nic na zewnątrz nie objawia rozszerzającego się chrześcijaństwa, którego pierwszem wystąpieniem jest męczeństwo, pierwszym czynem, wytrwanie prześladowania. Znajdujemy jednak w Tacycie wzmiankę o niewieście zacnego rodu, żonie Plautiusa, który zwyciężywszy w Brytanji, zasłużył był na owacją.... zwała się ona Pomponija Graecina [3]). Obwiniono ją o przyjęcie jakichś zabobonów cudzoziemskich.

Ale chrześcjaństwo, o którem tu niezawodnie mowa, nie było jeszcze ani tak strasznem, ani tak pojętem jak później.

Kobietę oskarzoną rozkazano sądzić samemu mężowi, który ją uznał niewinną, po sądzie wobec całej rodziny odbytym. Żyła później długo jeszcze, samotna, żałobne zawsze nosząc szaty.

Tacyt, znać nieświadom obyczaju chrześcjańskiego, który surowym był i żałobnym w porównaniu z żywo-

[1]) Tacyt XII. XXV.

[2]) Tacyt XIII. XXXI.

[3]) Tacyt. XIII. 32. superstitionis externaerea..

tem pogan, przypisuje przywdziane suknie, smutek i powagę życia Pomponji, żalowi jej po Julji, córce Drusa, ale przyznaje zarazem, że życiem sobie cześć powszechną zyskała [1]).

Pierwsza to chrześcjanka o której w historji znajdujemy tak szczegółową wzmiankę [2]).

Niewiele zajmowały młodego Cezara wojny Armeńska i Germańska, bo i zwyciężony był pewien tryumfu za boje, jak za igrzyska cyrkowe; śmianożby mu ich odmówić??

Co chwila silniej zarysowują się charaktery osób działających epoki, Nerona, Agryppiny, Seneki wreszcie, z którego filozofii żartuje sobie wielki dziejopis tych czasów; wyrzucają mu uwiedzienie córki Germanika, zebrane trzysta miljonów sestercyj w przeciągu lat czterech i niegodną zawiść względem Suiljusa [3]).

Zakochany w Aktei, Neron w obcowaniu z kobietą gminu, zaledwie wyzwoloną, nabrał obyczajów prostych, i w zepsucie nie szukał już wyboru. Widywano go po nocach, przebranego za niewolnika, goniącego w towarzystwie siebie godnem na most Milviusa, miejsce schadzek wszetecznych i walającego się po najplugawszych barłogach. Otoczony rzezańcami swymi, ulubieńcami wziętymi z pośrodka gladjatorów i skoczków, spędzał dnie w dziwnych zachceniach i obawach, okrucieństwach i szałach. Wstrzymywała go jednak bojaźń gniewu matki i więzy małżeństwa ze znienawidzoną Oktawją.

Potrzeba było pozbyć się Agryppiny, która już niczem, nawet najszkaradniejszą zbrodnią, na jaką była gotowa, synowskiego serca ku sobie skłonić nie mogła, i władzy straconej odzyskać. Na tę drogę matkobójstwa pchnęła go, jak się zdaje, i miłość ku kobiecie zepsutej, jednej z tych które najlepiej wiek swój malują, Sabinie Poppei.

[1]) Ad gloriam vertit.

[2]) Zdaje się nam, że się nie mylimy uznając ją chrześcjanką, ale wykład ten jest nasz własny.

[3]) Tacyt.

Sabina, której, wedle słów Tacyta, nic oprócz poczciwości nie brakło, była swoich czasów najpiękniejszą w Rzymie, ale wśród najrozwiąźlejszych najzepsutszą. Cudnie wdzięczna, dowcipna, w rozmowie ujmująca, umiała mimo ostatecznego zepsucia, przybrać, gdy było potrzeba, pozór niewinności i prostoty. Bogata, zalotna, zręczna, przerzucała kochankami, usiłując zbliżyć się do Nerona. — Porzuciła naprzód Crispina, a kochanek jej Othon zachwaleniem wdzięków obudził ku niej miłość Cezara, i sam potem przez nią usunięty został. Poznawszy Nerona, usiłowała go pobić i całkiem nim owładła. Może po Aktei, prostej i naiwnej dziewczynie, ta niewiasta, wychowana starannie, przebiegła i umiejąca przybrać postać jaką chciała, samą sprzecznością charakteru i fizjognomji i z tą którą zastąpić miała, pociągnęła młodego rozpustnika.

Przywiązał się do niej namiętnie, a do pobudek matkobójstwa przybyła jedna jeszcze, chęć oswobodzenia się dla połączenia z Poppeą.

Smierć Agryppiny, obmyślana chłodno przez syna, któremu dała życie i władzę, opisana przez współczesnych ze szczegółami najmniejszemi, jest jedną z najstraszliwszych, najobrzydliwszych kart tych już i tak ohydnych dziejów. — Powiększa okropność tej sceny, odbywającej się wśród rozkosznych wybrzeżów Campanji — zdrada, udawanie przywiązania w chwilach ostatnich i pozorna zgoda, pod którą śmierć się ukrywa.

Agryppina ginie zabita, wskazując na to łono, które wydało poczwarę, jako winne zbrodni urodzenia świata Nerona....

Po zabiciu matki, dzikie to zwierzę, idzie się przekonać naocznie że rozkaz jego spełniony, i oglądając trupa tej, której winien życie, z zimną krwią artystycznie i lubieżnie rozbiera kształty martwego ciała i niezwiędłe jeszcze jego wdzięki.... Pióro Tacyta kreśli ten obraz tak dobitnie, tak nielitościwie, tak mitrzowsko, a można rzec cynicznie, że się go powtórzyć nie godzi.

Cóż czyni Seneca, ów sławiony przedstawiciel filozofji swojego czasu? — uniewinnia matkobójcę, a je-

śli nie pomaga wychowańcowi, to go nie wstrzymuje, gotów jest nawet oczyścić go z najstraszniejszej jaką świat widział zbrodni.

Neron zabawia się potem i szuka rozrywki w zwykłych sobie zajęciach.... artystycznych, w śpiewie, później malarstwie i igrzyskach, na które sam dla popisu występować zaczyna, bo i oklaski są dlań potrzebą.... Z razu to rzemiosło publicznego histrjona, jeszcze dawną okryte ohydą, wstyd mu czyniło, choć miał ku niemu namiętność; w małem kółku do niego się wprawiał, śpiewając przyjaciołom swoim, biegając na cyrku watykańskim; lecz powoli począł się ośmielać, gardzić przesądem, i wszystko poświęciwszy sztuce, jawnie wystąpił jako Cezar-artysta.

Ażeby go wytłómaczyć, uciekał się aż do przepowiedni jakichś astrologów, którzy straszyli go, że świat kiedyś opuści Nerona, że będzie zmuszony może jako artysta szukać sobie sposobu do życia.

Za jego przykładem musieli wystąpić na scenę publiczną ludzie, dla których nie dawno otarcie się o aktora hańbą było; matrony poważne, młodzi patrycjusze, rycerze. Zmuszano ich zastępować gladjatorów, bestjarzy, śpiewaków, mimów i skoczków.

Cezar, ulegając niby pragnieniu swoich czcicieli i przyjaciół, z lirą w ręku, bojaźliwy, pokorny, przejęty ogromem odpowiedzialności jaką brał na siebie, krew Cezarów przenosząc na scenę, wystąpił nareszcie otwarcie, ubiegając się o oklaski, których najrozmaitszych objawów i rodzajów musieli się uczyć jego zausznicy [1]).

Artystyczne zachcenia znudzonego próżniaka codzień prawie były inne — z kolei muzyk, poeta, śpiewak, malarz, rzeźbiarz, atleta, woźnica — jedno sobie sprzykrzywszy, ku drugiemu zwracał się z zapałem.

Od dzieciństwa uczono go muzyki, później sam on

[1]) Brzęczenia, szmeru dachówek pustych i skorupek. Tak je zwano: *bombos, imbrices et testes.* Swetonjusz XX.

już prowadził Terpnusa, i godziny, wieczory, noce całe przesiadywał, słuchając gry jego na cytrze. Nie żałował naweł pracy, by głos swój mdły i słaby podnieść, biorąc na ten cel lekarstwa przykre, wstrzymując się od owoców i ostrych potraw, nosząc po całych dniach ołowiane na piersiach blaszki, które naówczas za skuteczne dla wzmocnienia głosu uważano. Legiwał tak obłożony ciepliwie od rana do nocy [1]). — Cytharę Cezara uwieńczoną nosili za nim nie niewolnicy i słudzy, ale pretorowie i trybuni.

Potem poeta opiewał Canaceę, Oresta, Oedipa i Herkulesa; jako woźnica latał z zielonymi po cyrku, jako gladjator chodził w zapasy, a gdy go to utrudziło, siadał do malowania.

Wszystko to daleko więcej zajmowało go nad panowanie i rządy kraju. Senatorowie poważni nieraz zmuszeni byli służyć mu do jego dziecinnych zabawek....

W teatrze pokorniał i znosił wszystko, byleby oklask wyżebrać, a widzów tak przepraszał za najmniejsze przestąpienie prawideł, jak najbiedniejszy z mimów służących za pieniądze. Że mu nie było trudno o zwycięztwa, oklaski i wieńce, o pochwały Greków i Alexandryjczyków, których ogłaszał najprzedniejszymi znawcami sztuki — łatwo się domyśleć. Rzymianie też nie śmieli nań świstać pewnie, a jego klaskacze szli w ślad za nim, dając hasło entuzjazmu tłumowi [2]).

Wśród tych łatwych zwycięztw i powodzenia, lud jednak bliską jakąś katastrofę przeczuwał; chodziły pogłoski o wieszczbie przepowiadającej Neronowi upadek [3]); ktoś postrzegł, że stare figowe drzewo Ruminalskie uschło nagle, na niebie pokazała się kometa zwiastująca zmianę panowania [4]); sam Neron uląkł się

[1]) Swetonjusz.
[2]) Swetonjusz.
[3]) Swetonjusz.
[4]) Tacyt.

i zadrżał, starając się grożące niebezpieczeństwo okrucieństwy i prześladowaniami odwrócić.

Mało go obchodziły dalekie wojny, na krańcach państwa mieszające pokój władzcy Rzymu; cały się oddał rozrywkom i coraz dzikszym zachceniom. Zrazu nawet cierpliwie znosił satyry i szyderstwa, przeciwko sobie wymierzane. Za taką satyrę [1]) Fabricius Veiento został wygnanym tylko, a Antistius, praetor-poeta, całkowicie uszedł kaźni.

Pomimo słabości jaką dlań okazywali otaczający stróże Cezara, Burrhus i Seneca, mogli oni jeszcze uchodzić za opiekunów czci jego i sławy. Czasem słowo jakieś, lub wyrzut milczący przypominał obowiązki i drogę prostował na chwilę, wstrzymywał rozuzdanie zupełne; — lecz i tych doradźców bojaźliwych wkrótce zabraknąć miało. Pozbyto się niedogodnego Burrhusa nie bez podejrzenia trucizny, którą na różne sposoby umiała przyprawiać Locusta; Seneca przelękły, codzień słabszy, odosobniony, zapragnął sam usunąć się, aby nieodpowiadać czcią swą za występki ucznia, i w ukryciu gdzieś jakiejś zmiany doczekać. Nie czuł już siły w sobie, by Neronem kierować, a miał podostatkiem pieniędzy, dóbr, niewolników i willi.

Mimo uścisków Nerona, który szydersko dziękował mu, że jego nauce winien był dyalektykę, z jaką teraz zdania mistrza odpierał; mimo zaręczeń bezpieczeństwa — starzec, którego nie uwolnił Cezar, usunął się pod pozorem choroby i zamknął, przewidując, że go się też pozbyć zechcą. Ulubieńcy nowi, towarzysze igrzysk i uciech, coraz silniej owładywali panem.

Śmierć Sylli, zabójstwo Plautusa, odpędzenie Octavii, którą o wymarzone oskarżono zbrodnie, istotnych znaleźć nie mogąc (choć lud nawet nienawidzący Poppei ujmował się za nią), niezliczone pomniejsze zabójstwa i trucia, prześladowania i wyroki, były tylko wstępem do wyuzdania, które coraz szerszych nabrać miało rozmiarów.

[1]) Codicillorum Liber.

X.

Jesteśmy w tej właśnie chwili panowania Neronowego, gdy Cezar nie śmiejąc jeszcze publicznie wystąpić na teatrze w Rzymie, choć go niezmierne pragnienie oklasków paliło, z orszakiem wielkim i licznym dworem udał się do Neapolis, aby tam, nie jako lubownik tylko i artysta z upodobania, ale jako z powołania śpiewak i poeta ukazać się naprzód Grekom.

Tysiąc wozów szło za Cezarem do miasta, którego osadnicy mieli podziwiać sztukę i głos władzcy świata. Muły podkute srebrnemi podkowy ciągnęły owe *carpenta*, *carruce*, *petorita* i *rhedy* w cztery pary zaprzężone, ozdobne srebrem i złotem; wiedli je woźnice poodziewani w szaty z wełny Kanuzyjskiej [1]) najcieńszej, a obok nich szły konie i biegunowie mazycyjscy (z Maurytanji), postrojeni w błyszczące bransolety i kolce. Na jednym z tych wozów leżąc jechała Poppea, ubóstwiona przez Cezara, na drugim dawna ulubienica Aktea, której zapomnieć nie mógł, na innym piękny Sporus, ukochani skoczkowie i rozpieszczeni atleci.

Z Neapolis, Surrentum, Retiny, Pompei, Stabii, z Puteolów i miast okolicznych spędzono mieszkańców, aby słuchali Cezara i talenta jego podziwiali; teatr umyślnie na ten cel wystawiony, pełen był ciżby i wrzawy, ale zaledwie ostatni śpiew przebrzmiał i koronami przygotowanemi obrzucono zwycięzcę, a lud oswobodzony rozszedł się szydząc i śmiejąc, gdy gmach ów runął i rozpadł się w gruzy [2]).

Pochlebcy wzięli ztąd pochop do uwielbiania wyraźnej opieki nieba nad panem. Neron, który ztąd miał do Grecji popłynąć, wrócił do Rzymu. Na przyjęcie jego wystąpił z zabawą olbrzymią, jakiej jeszcze nie widziała dotąd stolica, ulubieniec Cezara Tigellinus. Była to uczta najwytworniejsza, najpoczwarniejsza, jaką wymyśleć umiano w tej epoce rozpasania i zepsucia; brali w niej jednak udział prawie wszyscy najznako-

[1]) Miasto w Apulji.
[2]) Tacyt XV. 34.

mitsi ludzie swego czasu, najpoważniejsze matrony, patrycjusze, rycerstwo. Nikogo ona nie zdziwiła, nie oburzyła nikogo.

Na jeziorze Agryppy wystawiony był niezmierny pokład, przepysznemi poruszany i ciągniony statkami, na nim zastawiona była uczta. Okręciki, które go otaczały, całe okryte były złotem i perłową macicą, a poruszali je wiosłami robiąc dworacy Neronowi, ustawieni wedle wieku i rozpustnych zasług swoich... Na stołach podawano zwierzynę wszelkich krajów, ryby mórz wszystkich, przysmaki najwymyślniejsze wszelkiego rodzaju.

Przy brzegach, do których pomost przybijał z kolei, naprędce wystawione i przyozdobione domki zapełniono pierwszego w Rzymie rodu niewiastami, zmuszonemi do posługiwania rozpuście; naprzeciw nich z drugiej strony stały obnażone najpiękniejsze kobiety, jakie w stolicy znaleźć się mogły.

Zamiast widowiska odegrywano pantominy i najswobodniejsze skoki, a gdy noc przyszła i lasy tysiącem świateł zajaśniały, rozlegając się pijanemi śpiewy, Neron się rzucił w te tłumy na najwyuzdańszą rozpustę. Temu publicznemu zbestwieniu nikt się nie dziwił, nikt słowem na przeszkodzie niestanął; nikt nie oparł, prócz biednych chrześcjan, którzy całą siłą usunęli się, gdy ich do tej Cezara zabawy za narzędzia użyć chciano.

Pudens od dawna na dworze nie bywał i stosunków z nim unikał, od oczów pana stronił; inni także zetknięcia z ulubieńcami Cezara uchodzili, nie śmiejąc sami stanąć i wyzywać do walki, ale nie chcąc uledz temu, coby ich upodlić mogło.

Już wówczas chrześcjanie byli w tak wielkiej liczbie, że ani dom Pudensa, ani ogrody Pomponii, ani liczne a ubogie schronienia nawróconych, objąć ich w sobie nie mogły. Jeden ołtarz drewniany rozrósł się i rozmnożył w seciny.

Nie ukrywali się jeszcze bardzo z wiarą swoją, gdyż Rzym dosyć był pobłażający dla obcych bogów

i zrazu patrzał na to obojętnie; ale gdy zaczęto z rozkazu Apostołów wywracać posągi i burzyć ołtarze stare, jako znamiona fałszu; gdy w wielu domach znikły Lary i oznaki bałwochwalstwa, musiano nieco się taić, aby zawcześnie nie dać powodu do prześladowania i zemsty. Wszyscy, którym surowość nauki nowej była ciężką, powstali na nią, jako na godną najwyższej kary zbrodnię, jako na przesąd, jako na zdradę Cezara i kraju.

Chodziły rozsiane wieści o najdziwaczniejszych chrześcjan ofiarach, o ich rozpuście, o krwi używanej do obrzędów, o nocnych ucztach i zabijaniu dzieci.

Nie wybuchło jednak dotąd prześladowanie i w pokoju, choć w trwodze tajemnej i przeczuciach, gminy chrześcjan mnożyły się codzień nowemi neofitami i katechumenami.

.....

XI.

Wrócimy do domu Pudensa, w którym od niejakiego czasu ważne zaszły zmiany; stał on się schronieniem głównem chrześcjan i naczelnym ich kościołem.

Tu kazali codzień Apostołowie, tu się schodzili tajemnie pierwsi i najgorliwsi uczniowie w Rzymie, których imiona przechowały nam dzieje: Prisca i Aquila, dziewice poświęcone panu, Epenetes, Andronik, Julia, Ampliatus, Urban, Stachinus, Apelles, Aristobulowi domownicy, Herodion, Narcyzowi towarzysze, Tryfena, Tryfora, Persida, Rufus, Assynkrytes, Flegont, Hermes, Patrobus, Hermenes i t. d. — Wszystko to są imiona nie pojedyńczych ludzi, ale tych którzy stali na czele gronek nowych chrześcjan, których imię znaczy wielość, przedstawia dom lub gminę.

Ze znanych nam już bliżej postaci, byli tu Pudens z synami, wdowa siostra jego, z córkami Aquilą i Pri-

scą, przy których schronienie i opiekę znalazła piękna Anija, niewolnica Syryjska, na chrzcie nazwana Marją, w pamięć Łazarzowej siostry; tu był Juda ochrzczony Candidem i Swew nazwany Natalisem, który tęskniąc, domagał się i prosił, aby mu skarb jego, wiarę, wolno było pójść z braćmi dalekimi podzielić.

Cała ta nowa społeczność była taką, jaką nam ją nie chrześcjanin ale współczesny pisarz Filon, przejęty świętością jej, maluje.... spokojną, miłującą ubóstwo, gardzącą światem, nie mającą nic własnego, dzielącą się wszystkiem, spędzającą dnie na modlitwie i dobrych uczynkach.

Czystość jej stanowiła siłę, a choć Seneca z przebaczenia winy śmiał się, jako ze słabości dla poganina niepojętej, z miłosierdzia jako z kobiecej miękkości, ta miłość i cierpliwość nowego społeczeństwa codzień mu jednała braci. Wystawmy sobie ludzi, których prawem było poświęcać słabszego, co ginęli dla zabaw, dla rozrywek, dla kaprysów możnych tysiącami, których dzieci wyrzucano na ulicę żeby się pozbyć kłopotu wychowywania, którzy niewolnikom łamali nogi i ręce, piętnowali, krzyżowali za lada przewinienie urojone; — kraj, w którym nikt biednemu zlitować się nie chciał, a wśród niego nagle zjawiającą się gromadę, zapierającą się siebie by służyć drugim, by pocieszać, i gardząc potęgą, siłą, bogactwem, zwrócić się ku ubóstwu i nędzy.

Serce ludzkie, nawet stwiardniałe, umie być wdzięcznem i uczuciu się otworzyć.

To zwrócenie się chrześcjan nie ku potędze i sile świata, ale ku sile ducha uciśnionych — w chwili dało im tysiące sprzymierzeńców.

Rzym liczył wówczas taką mnogość niewolników, że jak utrzymywali współcześni, gdyby był strój ściśle odróżniał ich od swobodnych, przestraszyć by się można było ich wielości i potędze. Niedawna zprawa Pedaniusa Secunda, Prefekta Rzymu [1]), zwróciła oczy na

[1]) Listy do Rzymian 16.

stan ten, który żelazną ręką trzymać musiano, aby nie paść ofiarą jego rozpaczy. Kto wie czem był niewolnik w Rzymie, nie dziwi się temu przestrachowi; — rozpacz wieść może do zbrodni, a obejście się z niemi co chwila to uczucie wywoływało. — Nie człowiek, ale rzecz i towar, istota niżej źwierzęcia upadła, niewolnik czuł swe upodlenie i niesprawiedliwość losu. Incitatus Cezara mógł być konsulem i bogiem, on nie miał praw człowieczych nawet, nie liczył się do rodzaju ludzkiego. Nie miał żony ślubnej, nie miał dzieci prawych, nie mógł mieć wstydu i oń się upomnieć; obchodzono się z nim używając do najstraszniejszej rozpusty, bez winy i kary.... Seneca dopiero od chrześcjan powziął myśl i dopuścił, że niewolnik bratem i pokornym przyjacielem być może, nieśmiało wszakże i jako paradox puszcza ją w świat, czując że się nie przyjmie.

Aż do pałaców Cezara dochodziły już szmery o nowej a szkaradnej sekcie Nazarejczyków. Ta sekta dawała się rychlej krzyżować niż spodlić i namówić na zbrodnię; niewolnicy jej nie słuchali panów gdy im nakazali występek — państwo mogło być zagrożone..... Rzym był w niebezpieczeństwie! Obawa jakaś niewysłowiona ogarniała pogan....

Tymczasem, na drewnianym stole, w głębi atrium, odprawiała się przed wizerunkiem krzyża z prosta nakreślonym na ścianie, codzienna ofiara błagalna, a garść nawróconych, do których i Heljos stary należał, mnóstwo Żydów, Greków, Rzymian, barbarzyńców, coraz silniejszemi łączyło się węzłami, w obec przeczuwanego a nie wybuchłego jeszcze prześladowania. Stan ten obawy i oczekiwania straszniejszym był może nad same męczarnie. — Silnie musiano się wiązać i łączyć, aby wzajemnie pokrzepiać.

Wszystkie też te gromadki skupiały się na dany znak, zostając z sobą w nieprzerwanym stosunku, przez diakonów, kapłanów i pierwszych sług kościoła, który cudownie pomnażał się codziennie w ludzi, wyciągając ich z ulicznego błota, z ergastulów, więzień, gminu, kohort żołdaków i podnosząc na wielkich i świętych mężów.

Nieraz już gmina wiernych narażoną była na niebezpieczeństwo, jak w czasie oskarzenia i sądu na Pomponią Graecinę, ale dotąd jeszcze wszyscy wychodzili cało, i choć nienawidzono chrześcjan, nikt przeciwko nim stanąć nie chciał...

Tymczasem i Neronowych uszu wiele o nich dochodziło, gdyż chętnie zwalano na nich wszelkie zbrodnie: ciekaw był znudzony rozpustnik nie tak sekty samej, jak nadzwyczajności jej i dziwów, na które był łakomy.

Sam on przyprawiał trucizny z Locustą i wypróbowywał je na zwierzętach, dowiadywał się o tajemnice i obrzędy cudzoziemskie, zabobonną wiarę przywiązywał do jakiegoś obrazka Syryjskiej bogini, danego mu przez nieznajomego na ulicy przechodnia, do bransolety ze skórą wężową, której w ostatnich chwilach próżno zgubionej szukał. Plinjusz powiada, że usiłował dojść wszelkich tajemnic, by żywiołom i Bogom rozkazywać, że się nie wahał w drgających wnętrznościach ludzi szukać wyroczni przyszłości, gdy inne wieszczby milczały.

Nieznane, niepościgione, było celem fantazji rozmarzonej wszystkich tych popsutych ludzi; śnili tylko jak się z ludzkości uleczyć, jak sobie coś wynaleźć coby ich nowemi uczyniło istotami.

Mówiono o cudach chrześcjan, a choć o nich głuche tylko chodziły wieści, Cezar już się niepokoił niemi, bo sam cudów czynić nie umiał. Pomimo kilku za Tyberjusza już wydanych wyroków wygnania, powtórzonych później, na astrologów chaldejskich, wieszczbiarzy i wróżbitów, pełno ich było w Rzymie; arkady wielkiego Cyrku, sklepiki ciemne Suburry, portyk niedalekiego Forum nawet, ukrywały w sobie tych ludzi, pod pozorem handlu jakiegoś nadużywających łatwowierności słabych i żywiących się prócz tego nie jednym skrytym a haniebnym zarobkiem.

Neron zapragnął chrześcjanina zobaczyć, a posługacze jego rozbiegli się by mu go wyszukać.

Dziwnym trafem a raczej wolą opatrzną, Doriforus, który był posłany na zwiady po cudotwórcę, dopytując się o czarnoksiężników chrześcjańskich, trafił na nieprzyjaciela chrześcjan, ale samego mieniącego się fałszywie tem imieniem, świeżo do Rzymu przybyłego, Symona Maga.

Człowiek ten, zjawisko ciekawe u świtu chrześcjaństwa, był raczej wcielonym duchem ciemności, stającym do walki z prawdą....

Niedawno przybyły do Rzymu, stał Magus gospodą u Alexandryjczyka Hermolausa, który utrzymywał dom dla podróżnych i różnemi podejrzanemi trudnił się frymarki.

Symon ów, rodem z Samarji, nie od dziś był chrześcjanom znany; w pierwszych bowiem latach po śmierci Chrystusowej, gdy Filip, drugi Diakon po Stefanie, kazał w Samarji, spotkał się z tym człowiekiem, pozornie przyjął chrzest nawet, i poszedł za nauczającym.

Ale go nie wiodło ani serce, ani nauki prawdziwej pragnienie, ani chęć poprawy i ofiary — całe życie strawił on na badaniu tajemnic egipskich i chaldejskich, usiłując pozyskać siłę dla rozkazywania żywiołom i światu, a nie mogąc tego dokazać, gdy postrzegł Apostołów czyniących cuda jednem słowem i prostem rąk kładzeniem, przywiązał się do nich, aby dojść ich tajemnicy.

Nie pojmował, że siły Bożej nauczyć się nie można, ani jej wyszalbierzyć, bo ona spływa na tych co są jej godni.

Sztukami swemi już był Symon wprzódy lud w Samarji opętał, tak, że w nim widzieli zesłańca Bożego; dopiero za przyjęciem Filipa otworzyły się oczy ich, i w Chrystusa uwierzywszy, kuglarza porzucili.

Poszedł więc i ów zaparty za Apostołem, dając mu się ochrzcić. A gdy przyszło do wkładania rąk i zesłania Ducha Świętego na nawróconych, Symon, który to widział i pragnął aby nań zstąpiła siła dzia-

łania cudów, przystąpił z kolei po dary ducha, ofiarując za nie pieniądze Apostołom, aby mu ich udzielili [1]).

I mówił:

— „Dajcie i mnie tę moc, aby na któregobykolwiek ręce włożył, wziął Ducha Świętego".

A Piotr rzekł do niego:

— „Pieniądze twe niech z tobą będą na zginienie, żeś mniemał, iż dar Boży miał być za pieniądze nabywany. Nie masz cząstki ani działu w tej mowie, bowiem serce twoje nie jest czyste przed Bogiem. Pokutujże ty za tę złość twoją, a proś Boga jeśli snać odpuszczona będzie ta myśl serca twego".

Tak odprawiony Symon, poszedł i rzucił chrześcjaństwo, które był przyjął aby zbadać tylko i pochwycić cuda jakie czyniło: nie przestał się jednak zwać chrześcjaninem, a nawet Chrystusem samym, trwając w dawnych praktykach magji i w starym swoim błędzie.

Teraz nowa myśl jakaś przywiodła go do Rzymu, gdzie już o chrześcjanach i rozszerzeniu się wiary ich słyszał, a szkodzić im pragnął. Zawstydzony przez Piotra, ku niemu największą żywił nienawiść w sercu, a doszedłszy, że się znajdował w Rzymie, uradował się bardzo, że tu jemu i nauce jego mógł szkodzić.

A że miał sławę wielką jako Magus i tworzyciel cudów, które stawił przeciwko prawdziwym cudom chrześcjan; i gdy Doriforus szukać począł kogoby Neronowi przywiódł, trafiło się że nań wpadł, bo mu go wskazano jako najsławniejszego z owej wielkiej liczby astrologów, wieszczbiarzy i fałszywych proroków, których Rzym był pełen.

Symon, stanąwszy gospodą u Alexandryjczyka, który również jak on zbliżył się był z razu do chrześcjan i porzucił ich potem zdradą, miał już w Rzymie swych przyjaciół i uczniów, którzy weń wierzyli. Przed niektórymi z nich za chrześcjanina i Chrystusa, przed innemi za mocniejszego nad chrześcjan uchodził. Do Cezara zbliżyć się obawiał razem i pragnął, pałając

[1]) Dzieje Apostolskie. R. VIII. 9. i t. d.

zemstą ku tym, którym swojego wstydu zapomnieć nie mógł.

Neron był właśnie w jednej z tych chwil dziwactwa, w której mu się cudów chciało gwałtownie i poścignienia tajemnic, szukał ich wszędzie.... Symon miał mu je odkryć.... wielka sława go poprzedzała.

Pałac Cezarów na Palatyńskiej górze, który już wówczas wspaniały był i obszerny, okrywając całą tę przestrzeń, którą dziś olbrzymie zaległy ruiny — nie mógł jednak wystarczyć zdziwaczonemu władzcy świata. Niezmierne jego gmachy, połączone portykami, wznoszące się wysoko, ozłocone i posągami okryte, były dedalem przejść, kryjówek i budowli, połączonych w jedną całość na kształt wielkiego grodu. Ale pałace Cezara, które trzech władzców po swej myśli przerabiało, przylegały do góry Coelius, do całego szeregu sklepów i taboru ustanowionych przy cyrku, szpetnych z pozoru i tamujących drogę usiłującemu coraz rozszerzyć się i rozlać mieszkaniu pana. Myślano już naówczas o zmieceniu tych klatek, aby gmachy potężniej się rozrosnąć mogły.

Wśród tego lasu kolumn i ścian olbrzymich, wszędzie tłumy niewolników, ku różnym przeznaczonych celom, zalegały dziedzińce, ogrody, przejścia, sale ciemne i perystyle strojne w posągi. Straże pretorjan groźne, gromady chłopiąt różnego wieku, woźnice, posługacze, kobiety, tłumnie ale w milczeniu niemem przesuwały się po tych przybytkach Cezara.

Doriforus wiódł przelękłego nieco Symona w to zbiegowisko ludzi i labirynt budowli, a choć Magus nie okazywał obawy, serce jego biło coraz żywiej, zbliżając się ku temu, którego jedno brwi zmarszczenie mogło mu wydrzeć życie.

Stary już i ogorzały od słońca Symon, przy ciemnej twarzy miał włos siwy, który dziwnie swą białością na tle brunatnem odbijał; olbrzymiego prawie wzrostu lecz chudy, powagą ruchów wyuczoną i przenikającem wejrzeniem oczów czarnych, zwracał uwagę przechodniów. Wiek jeszcze go był nie złamał, a siwizna i starość

łączyły się w nim dziwnie z siłą młodzieńczą i niepokojem lat młodych. Oko jego biegało nieustannie, badając i szukając tajemnic świata i ludzi, usta drgały gorączkowo, po żyłach wzdętych krew biegła szparkim strumieniem. — Ubrany po wschodniemu, w długiej szacie, na głowie miał zawój biały, jakim się naówczas żydzi odznaczali.... postać jego przenosząca półgłowę najroślejsze niewolniki germańskie, odbijała na tle tego tłumu, którego wszędzie było pełno w Neronowym pałacu.

Doriforus przeprowadził go przez kilka podworców, w których szemrały fontanny, przez drogi kosztownemi wyłożone marmury i ścieżki zasłane tkaniami różnobarwnemi i spuścił się z nim w ciemne, w dzień biały lampami tylko oświecone a od słońca dla chłodu zakryte sale ogromne, których głębie i sklepienia wzniosłe, obrzucone rzeźbami i malowaniem, wyglądały jak olbrzymie pieczary.... Im głębiej wchodzili w to państwo Nerona tajemnicze, tem ciszej było do koła i posępniej; jak cienie tylko przemykały się to białe kobiet postacie, to w krótkich penulach pół nadzy niewolnicy młodzi, to niosące kosze kwiatów i owoców na głowie chłopięta. Nareszcie z tych ciemnych głębin, w których krok każdy rozlegał się szeroko, po wschodach porfyrowych jęli się podnosić ku górze. I znowu szli galerjami obstawionemi ciżbą posągów, znów sześćkroć podnieśli ciężkie zasłony przegradzające drzwi, że doszli do progu do którego oznajmiono ich Neronowi.

Był wieczór — a z wierzchołka góry część Rzymu oglądać było można najeżoną świątyniami, domami i ściśniętemi domostwy, wśród których gdzieniegdzie zielone kupki strzelały do góry, rysując się ciemno na malowanych, białych i czerwonych murach.... Słońce zachodziło właśnie, Symon spojrzał z otwartej galerji do koła i uśmiech przeleciał mu po ustach.

— Któż wie — rzekł w duchu — może mi dane będzie panowanie nad tym grodem i panem jego i zemsta nad chrześcjany.... może owładnę sercem tego zepsutego

dziecięcia? i zatrzęsę światem? któż wie? los mnie sam tu przywodzi!

Wtem niewolnik podniósł ciężkie złociste kobierce, osłaniające przybytek, w którym oczekiwał nań syn Agryppiny, i Doriforus dał znak Symonowi aby się na ziemię rzucił.

Magus padł na twarz i podniósłszy się dopiero mógł obejrzeć co przed nim się działo.

Neron zasiadł w małej kolistej świątyńce, stojącej na góry wierzchołku, przeźroczystej prawie, z której na wsze strony widać było Rzym i okolice.... Wnętrze jej całe wyłożone było perłową macicą i złotemi blachami, tak, że blask dnia przezierającego się w nich spojrzeć nie dawał na lśniące ściany, migające mnóstwem światełek. Białe jak śnieg alabastrowe kolumny, w pół przejrzyste, dźwigały kopułę nad głowami zawieszoną, w której powprawiane szyby z kolorowych kamieni, farbując promienie słoneczne, barwami tęczy oblewały posadzkę mozajkową i ściany. Pomiędzy kolumnami wisiały korony i wieńce, które Cezar zdobył w igrzyskach, w teatrze, wśród cyrków, a takie ich było mnóstwo pomięszanych z suchemi gałęźmi palmowemi i wstęgami, że zliczyć je było niepodobna.

Na niskiem łożu z kości słoniowej i złota, pokrytem draperją fioletową, spoczywał Neron, okryty szatą zbrukaną; z głową chustą żółtą przywiązaną niedbale. Twarz jego była blada, nalana, a plamy żółte wystąpiły wyraźniej niż kiedy, na szyi, rękach i obnażonych ciała częściach. Znużenie malowało się w rysach opuchłych jakby i zbrzękłych, w wejrzeniu jednak była ta siła i śmiałość, którą daje niezachwianej władzy używanie. Na kolanach jego leżała cythara, po za nim stał piękny Sporus, młodzieniec-kobieta, biały, świeży, z kruczym włosem wstrzymanym przepaską, i rękami okrytemi kolcami i pierścieniami bogatemi.

Cezar długo i ciekawie przypatrywał się wyciągnionemu na posadzce Symonowi, potem mu powstać kazał, gdy Doriforus szepnął coś na ucho....

— Więc ty znasz chrześcjan naukę i cuda.... i umiesz

to czynić co oni? Czyś sam chrześcjanin także? — zapytał Cezar....

— Byłem nim.... a dziś jestem i nie razem — rzekł Symon — bo w postaci mojej widzisz przed sobą Cezarze istotę, której przeznaczeniem zmieniać się co chwila i nową formę przybierać.... Byłem Chrystusem sam.... znam ich cuda, ale ci co się zwą chrześcjany, fałszywemi są, i oszukaństwem lud mamią, a cudów czynić nie mogą....

Ucząc się wielkiej mądrości wiekuistej, przebiegłem nie ziemię samą ale wszelkie światy, przedzierzgając stopniami z kamienia w roślinę, z rośliny w źwierzę, i przez cały szereg stworzenia przechodząc, pókim nie został człowiekiem [1])).... A ludzkość wdziawszy na siebie, nie jeden raz przychodziłem na świat i opuszczałem go aby dusza odpoczęła....

Duch mój bóstwem jest — dodał — któremu przeznaczono w coraz doskonalsze wcielać się istoty, i w najrozmaitszych ukazywać postaciach.

Mieszkałem na gwiazdach i na słońcu, i na księżycu i na planetach wszystkich, i w prochach jasnych któremi zasiane jest niebo. Coraz nowe z każdem życiem przybywają mi siły.

Na ziemi tej żyję już lat tysiące, z jednego ciała w drugie przechodząc.... Byłem Chrystusem.... jestem Bogiem, duchem i mocą.

Badałem wszelkie tajemnice ziemi, bo duch mój musi się z wszelką poślubić mądrością, aby ją zapłodnić.... przewędrowałem świat, od Atlasu do dziewiczych lasów i mórz zastygłych północy, od Iberji do Kaukazu, do świątyń podziemnych Egiptu; widziałem pokolenia czarne i białowłose, te które się kryją pod ziemią i co po lasach mieszkają, a wszędzie wziąłem coś z sił ziemi i mądrości ludów przyswajając łonu mojemu.... Żyłem wśród Magów w Niniwie i Babylonie, na dworze królów Parthyjskich uczyłem się języka źwierząt...

[1]) Cała ta nauka Symona Maga, tak uderzająca podobieństwem z nowemi niby, dziś ogłoszonemi prawdami, jest ściśle historyczną...

Wszystko to potędze twojej boskiej przynoszę, Cezarze, w pomoc i na usługę...

— Więc i chrześcjańskie robisz cuda?

— Czynię większe niż ci co się tak zowią! — odparł pogardliwie Symon...

— Cóż umiesz? i jakie czynisz cuda? — spytał znowu Neron chciwy poznania tajemnic.

Symon myślał długo zatopiony w sobie.

— Co powiesz gdy kamień w chleb obrócę... i górę przejdę na wylot?

— Potrafisz wskrzesić umarłych? podchwycił Cezar.

— Nie mogę im wrócić życia, bo ono coraz się przeistacza i trwając przemienia, a co było, powstać nie może; ale cienie wywołać mogę... zaklęciem, modlitwą, ofiarą i daną mi siłą.

— Każdego umarłego bez wyjątku?

Symon w milczeniu dał znak skinienia że to potrafi.

— Znasz przyszłość?

— Widzę ją w chwilach jasnych, gdy z człowieka staję się Bogiem...

— Zwyciężasz dzikie źwierzęta?

— Czaruję węże i odbieram im siłę szkodliwą, zabijam najsroższe bestje wejrzeniem...

— I zawsze jesteś gotów ku temu? — rzekł Cezar.

— Panie! jestem Bogiem razem i człowiekiem... czasem słabym, czasem nieprzezwyciężonym... Pythje nie wróżyły na rozkazy; potrzebuję oczyścić się i przygotować, aby siłę Bożą sprowadzić w siebie.

— Więc jej nie masz zawsze?

— Widzisz skarby pod ziemią? — odezwał się po chwili Cezar.

— Widzę wszystko co chcę, gdy drugi wzrok odzyskam, a siła zejdzie na mnie.

Neron myślał, jakby oczarowany.

— Dajże mi znak siły swej, jeśli chcesz bym jej uwierzył — rzekł — mówią że chrześcjanie gotowi są zawsze do cudu, a ty chlubisz się żeś był i jesteś ich Bogiem... okaż twą siłę!

— Jakiego chcesz znaku odemnie? — rzekł nieco zmięszany starzec.

— Sam wybieraj...

Symon stał chwilę, otworzył potem szaty swoje powoli i począł potrząsać niemi... z fałdów tego okrycia do koła całej postaci począł się wydobywać jakby obłok, jak mgła biała, coraz gęstsza, coraz silniejsza... i otoczyła Symona, osłoniła, objęła, przed oczyma Cezara...

Neron cofnął się zdziwiony...

Po chwili milczenia, w której zdumienie odmalowało się w twarzy Nerona, zjawisko to ustępować poczęło jak przyszło stopniowo, i Symon ukazał się z tej mgły gęstej, ale jakby odmłodzony i świetniejszy. Biała chmura, którą się był okrył, rozwiała się i znikła w powietrzu roztopiona... Neron bojaźliwie nań poglądał, Sporus zbladły krył się za niego, Doriforus za zasłonę się wsunął cały drżący i przelękniony.

— Dość — rzekł Cezar — widzę żeś silny — powiedz mi kto jest ta kobieta, która ci towarzyszy i o której piękności mówią wszędzie?

Symon przywiózł był z sobą do Rzymu dziwnej piękności niewolnicę syryjską, o której losach i przemianach jak o swoich metamorfozach opowiadał...

W istocie, było to dziewczę zepsute, której wdzięk przywabiał mu uczniów, a tajemniczość nęciła... Zalotnica umiała dobrze z piękności swej i nauki mistrza, który ją na pythję i prorokinię układał, korzystać.

Na zapytanie Cezara zmięszał się widocznie czarownik.

— Jest to istota jak ja boska i przeznaczona do dziwnych, wyższych losów. Mimo że w podłem ciele dziś mieszka jej dusza, bom ją wykupił niewolnicą, jako wcieloną a upadłą prawdę, aby podnieść z poniżenia i przenieść z sobą na łono ojca przedwiecznego [1]) jest to... druga część rozłamanego Bóstwa mojego... I ona przeszła świat koleją różne przybierając postacie... najdziwaczniejszych próbując losów.

[1]) I ta historja Heleny tyryjskiej, towarzyszki Symona, jest prawdziwą.

Jest to Helena trojańska... dla której upadła Troja [1]).

Neron uśmiechnął się, ale bojaźliwie jakoś.

— Chcemy widzieć tę Helenę! — rzekł po chwili. — Idź teraz, przywiedziesz ją gdy ci rozkażę, Doriforus wyliczy podarek Cezara... czekaj na oznajmienie moje i bądź gotowym...

Symon choć się mienił Bogiem, upadł na ziemię czołem przed starszem bóstwem Cezara, i znikł za zasłoną, która po za nim zapadła.

Neron podparty na łokciu dumał, oczy jego błądziły po wzgórzach Romy, myśl była gdzieindziej, usta uśmiechały się, to krzywiły, aż znowu upadł w osłupienie znękane i ciężkie, a po czole jęły się przesuwać jak obłoki, znaki niecierpliwości i cierpienia.

Wszedł z powrotem Doriforus.

— Co czynić? — ujrzawszy go zawołał Neron — powiedz mi co czynić? Już mnie tak wszystko znużyło, że nie mam chwycić się czego. Wszyscy ludzie jednakowi, cały świat jednostajny, Bogowie milczą, życie płynie jak brudna Styxu rzeka. Oklaski, tryumfy, zwycięztwa, zabawy, obmierzły mi; próbowałem wszystkiego, nie wymyślicie co nowego? Od niewolnicy, co się stroi nocą by wynijść na most Milviusa, do wstydliwej matrony rzymskiej, przebrałem ich tysiące... rozkosz nawet straciła powab dla mnie... jadło nie ma smaku, łaźnia nie orzeźwia, woda nie chłodzi, wino nie upaja... Czy iść na wojnę? czy nowe wymyślać igrzyska?

Milczeli.

— Rzym nie jest godzien takiego Cezara — rzekł po chwili oglądając się do koła Neron do Dorifora — to gniazdo brudnych kleci, tugurjów, góra skorup i śmieci... Rzym zniszczyć potrzeba aby go z marmuru Hymettu, z porfyru i bazaltu odbudować... Tyberjusz był szczęśliwszy odemnie.. część którą on

[1]) Abyśmy nie byli posądzeni o zapożyczenie tego pomysłu, odsyłamy do historji Symona Maga, z której Göthe wziąć ją musiał do Fausta.

wzniósł zdala rozpoznać można, tak jest świeżą i piękną. — Nie mogęż ja więcej nad niego?

— Panie, co zechcesz tylko to uczynisz!

— Tak, co zechcę! ale cóż chcieć? nauczcie mnie... Chyba Rzym spalić, zburzyć jak Troję i wznieść na nowo...

— Tak! podłożyć ogień na cztery rogi, obalić resztę taranem... a z gruzów wznieść taki gród aby wieki pamiętały Nerona, który będzie drugim Romulem!!

To była pierwsza myśl, zrodzona w chwili znużenia, owej straszliwej pożogi, która Rzym zmieniła w garść popiołów i tysiące chrześcjan kosztowała życie.

.....

XII.

Wyszedłszy z Palatyńskiego labiryntu Symon, — za którym niewolnik Cezara niósł dar pana w pole szaty, (garść złota) — puścił się ku Alexandryjskiej gospodzie.

A idąc myślał frasobliwie o swojem szczęściu, o zemście swojej i o Cezarze, który nagradzał czasem, lecz i życiem ludzkiem szafował. I wolno przechodząc mimo portyków Forum, wśród których zewsząd krążył lud z thermów i łaźni wychodzący na zbliżającą się ucztę wieczorną — dumał i o swej ku chrześcjanom nienawiści, i jakby Piotra znalazł, którego chciał prześladować, a wiedział już, że się kiedyś w Rzymie znajdował.

Wtem gdy zadumany kroczy, podniósł głowę czując jakby nań gorący oddech powiał zdala — i ujrzał przeciwko sobie idącą kupkę ludzi. Jeszcze w niej nierozpoznał nikogo, gdy już w sercu wiedział, że ma naprzeciw sobie tego, którego szukał.

W istocie pośrod gromadki, która szła powoli w cieniach kolumnady, ukazała się poważna głowa Apostoła,

spoglądającego smutnie na miasto i tłumy spieszące ku rozpuście, co noc im całą zająć miała.

Oczy jego i usta zdawały się modlić i błagać o opamiętanie.

Symon zadrżał — przyspieszył kroku, i zbliżywszy się stanął oko w oko Piotrowi.

Ale zjawisko to nie przestraszyło Apostoła ani chwilę, nie zadziwiło go nawet — jakby wprzódy wiedział kogo spotka, stał nieruchomy, czekając by Symon pierwszy usta otworzył.

— Otóż zeszliśmy się tu oba, na tej ziemi obcej — rzekł śmiejąc się Magus... — Piotrze! Piotrze! tu cię wyzywam do walki!

— Nie mnie ale Boga do boju wyzywasz... i on sam z tobą i duchem ciemności, który w tobie jest, walczyć będzie — ozwał się posłany. — Stanie się jakoś rzekł — dodał — jeśli zapragniesz wojny, od miecza zginiesz...

— Kto z nas dwóch? Piotrze! ażali wiesz jaką mam siłę?

— Wiem że ta siła nie jest z Boga, a co nie jest z niego upaść musi... — rzekł Piotr.

Idź drogą swoją Symonie!

— Więc przyjmujesz wyzwanie? nastawał stary chwytając za szatę Apostoła, który się cofnął unikając dotknięcia jego.

— Stanie się jakeś powiedział... — odparł Piotr, i w tłumie przechodzących znikł ze swojemi, a Symon pozostał ścigając go długo wzrokiem krwi i zemsty pełnym...

Piotr szedł dalej smutny, a uczniowie jego za nim, i przyszli tak aż ku górze, która się obok wielkiego Cyrku wznosiła, a gdy stanęli na niej, Piotr na kamieniu siadłszy, poglądał długo na miasto, jakby upatrywał przyszłość jego i milczał...

Naówczas Pudens stojący przy nim, Candidus i inni, widząc z oczów jego, że przyszłość mu była odkrytą, ciekawie jęli pytać coby widział, a Apostoł milczał jeszcze nie chcąc im odpowiadać.

Wreszcie powstał z kamienia i poglądając na sze-

roki Rzym, jął mówić o nim słowy Janowemi [1]), a gdy mówił, oblicze jego jasne było i pałało.

— „Upadła, upadła Babilon wielka i stała się mieszkaniem czartów i strażą wielkiego ducha nieczystego i przemierzłego ptactwa. Bo z wina gniewu poróbstwa jej piły wszystkie narody: a królowie ziemi wszeteczeństwa z nią płodzili i kupcy ziemscy z mocy rozkoszy jej bogatemi się stali. I słyszałem głos z nieba mówiący: Wynijdźcie z niej ludu mój, abyście nie byli uczestnikami grzechów jej, ażebyście nie odnieśli plag jej. Albowiem grzechy jej przyszły aż do nieba, i wspomniał Pan na nieprawość jej. Oddajcież jej jako i ona wam oddawała: a w dwójnasób dwojako oddajcie wedle uczynków jej.

„W kubku, którym nalewała, nalewajcie jej w dwójnasób. Jako się wiele wynosiła i w rozkoszach była: tyle jej dajcie męki i żałości, iż w sercu swem mówi: Siedzę królową, a nie jestem wdową i żałości nie ujrzę...

„Dla tego w jeden dzień przyjdą plagi jej, śmierć i smutek i głód i ogniem będzie spalona, iż mocny jest Bóg, który ją sądzi.

„I będą płakać i nad nią królowie ziemscy, którzy z nią wszeteczeństwo płodzili, i w rozkoszach żyli, gdy ujrzą *dym spalenia jej*...

„Zdaleka stojąc przez bojaźń mąk jej, mówiąc: Biada! biada! miasto ono wielkie Babilonia, miasto ono mocne, iż w jedną godzinę przyszedł sąd twój... biada! biada!... miasto ono wielkie, które było obelczone w bisior i w szarłat i w karmazyn i było ozłocone złotem i kamieniem drogim i perłami...

„Jednej godziny spustoszone są tak wielkie bogactwa i wszelki sternik i wszelki po jeziorze jeżdżący i żeglarze i którzy na morzu robią, zdaleka stanęli.

„I zawołali, widząc miejsce zapalenia jego, mówiąc — a któreż podobne miastu temu wielkiemu?!

„A jednej godziny spustoszało."...

Gdy tak mówił Piotr słowami brata w Apostolstwie

[1]) Apokalipsa R. VIII.

Jana, mrok począł padać na Rzym i światła po grodzie owym gorzeć zaczęły, a w sadach jego i skrytych galerjach domów, błysły lampy wieczorne, rozpaliły się ogniska i dźwięk pieśni i chóry biesiadne ozwały. A gromadka chrześcjan stała przypatrując się widokowi piękności stolicy, i w ciszy modlić się zdawała. A obraz to był wielmożny i straszliwy tej niezmiernej stolicy, jako maleńkie dziecię ciszą nocną spowitej i wśród pieśni spoczywającej po dziennym trudzie.... ale nie na łożu pokoju i wytchnienia — w barłogu rozpusty i swawoli.

Długo tak trwała owa cisza wskróś grodu, przerywana tylko brzękiem cytar, głosem fletów i chórami tanecznic, migotaniem świateł w ciemnościach ubrana.. Piotr patrzał i modlił się, jakby już wiedział co za chwilę stać się miało.

Noc i uczty przeciągnęły się do późnej godziny, oni jeszcze stali, czekając co być miało, bo duch proroczy zwiastował im przygodę wielką.

Wtem od Palatynu, jakby zastęp jakiś mignął w ciemności nosiący pochodnie, i rozbiegł się wśród cieni nocnych roznosząc płomię po ulicach góry Coeljus, Aventynie i dalej we wnętrzności grodu.

Nikt z ucztujących nie przeczuwał, że płomię Troi groziło stolicy Romula.

Wtem nagle, blizko stojących, część cyrku od góry Palatyńskiej i Coeljiusowej, zażegnięta stanęła w mgnieniu oka oblana płomieńmi, które wiatr rozdymając południowo-zachodni, niósł na miasto.

Tu stały sklepy i klecie i liczne stare domostwa, których dachy i wnętrza łatwą dla ognia mogły być pastwą.

Więc podniosło się płomię chciwe, rozkładając szeroko i szalejąc. A wtem i po innych częściach grodu buchnęły podłożone pochodniami niewolników ognie, i razem niemal cały Rzym stał jakby jednym wielkim stosem, w którego blasku, na górze Palatyńskiej, wśród kolumn złocistych, na wieżycy ukazał się Cezar uwieńczony, z lutnią w ręku.

„Biegąc z szalonym pędem, pisze Tacyt, pożar począł niszczyć nizkie naprzód budowy, potem się rzucił na wznioślejsze, a z nich znowu przypadając ku ziemi, swą szybkością oparł się ratunkowi wszelkiemu. Wzmogło go nagromadzenie domów olbrzymich, ciasne, kręte i nieregularne ulice starego Rzymu, krzyki i narzekania niewiast, słabość starców bezsilnych i dzieci; ścisk wybiegłych mieszkańców, tłoczących się by siebie lub drugich ratować, wlokących za sobą chorych, oczekujących na spóźnionych, wstrzymujących się w niepewności co począć mieli, przeciskających przez tłumy.

Zamieszanie to nie dopuszczało ratunku tak, że często gdy przed się patrzali, płomię ich z boków lub z tyłu chwytało, a gdy do sąsiednich usiłowali schronić się części, znajdowali je już pożarte od płomieni, i ogień gnał za niemi w ślady.... gdy jeszcze zdało się im, że jest zdala od nich. Wreszcie, nie wiedząc zkąd grozi niebezpieczeństwo, gdzie znaleźć schronienie, lud stał ściśnięty w ulicach, leżał na polach gromadami. Niektórzy stracili wszystko co mieli, na dzień następny chleba im brakło; inni przez miłość swych rodzin, których śmierci wydrzeć nie mogli, dobrowolnie z rozpaczy rzucali się w płomienie. Nikt ich wspierać nie śmiał; dokoła głosy groźne słyszeć się dawały zabraniające gasić.... widziano nawet ludzi latających i rzucających pochodnie.“

Ten gród potężny w płomieniach, które nawet część Palatyńskich gmachów łączącą Augustowe z Mecenasowemi ogrodami pożarły; ryczący rozpaczą na zwaliskach i głosem srogim wzywający pomsty bogów, błagający ratunku daremnie; te świątyń kolumny, wśród ognia jaśniejące, posągi, które wśród dymu i walających się ścian jak nieruchoma ludność przeszłości widniały niezwalczone i martwe; tarany, które mury blizkie Palatynu rozbijały z rozkazu Nerona, by się ich pozbyć co prędzej — zgiełk straszliwy, zamieszanie chaotyczne — wśród niego z jednej strony Neron śpiewający upadek Troi, któremu klaskają *Augustani* [1]), z drugiej

[1]) Klaskacze i dworacy Nerona.

Piotr, zwiastujący zagładę wszetecznego Babilonu — jakież to pióro obraz ten skreślić potrafi??

I palił się tak Rzym dzień jeden cały, weszło słońce czerwone na zgorzeliska, a płomień i dymy unosiły się dalej jeszcze, zaszła noc, na której szacie rozżarzone odbiły się łuny....

Pięć dni i pięć nocy żarły ognie pastwę swoją, Neron przypatrywał się nocami i bawił pożarem, jak widowiskiem niezwyczajnem; a wcześnie już w myśli budował gród nowy na ruinach i pałace na zwaliskach Romulowego i Tarkwinjuszowego miasta.

Aż piątego dnia pożogi przybiegli doń Augustani i poczęli przerażeni opamiętywać szaleńca....

W istocie samemu Cezarowi groziło niebezpieczeństwo, lud dochodził do rozpaczy: widziano niewolników wypadających z pochodniami z Palatynu, słyszano głosy zabraniające gasić, byli tacy, którzy Nerona z lutnią w ręku na wieżycy dostrzegli, wieść chodziła, że on był podpalaczem.... lękano się, aby tłuszcze głodne i zbolałe nie uderzyły na Palatyńską górę i nie wywlokły z niej oszalałego pana swego.

Potrzeba było radzić.

Zawołano do rady Symona Maga, który nie po to był przyszedł, ale by piękną Helenę Cezarowi przedstawił.

— Radzić? myśleć? — zawołał — fałszywie zowiący się chrześcjanami Rzym zapalili! oni wnieśli nań pożogę i zniszczenie!....

Ludowi to rzucić tylko! uwierzy!....

Neron uśmiechnął się, i blada twarz jego zarumieniła się gorączkowo.

Wydano wnet rozkazy, aby ratować nieszczęśliwych i zatrzymać ogień szerzący się, który już był pochłonął [1]) co Rzym miał najstarszych pamiątek, świątynie przez królów Rzymu poświęcone bóstwom opiekuńczym, wzniesione za wojen punickich i galijskich, Tuljuszową świątynię Luny, ołtarz Herkulesowy Evandra,

[1]) Swetonjusz.

Jupitera Statora Romulusowego, pałac Numy, świątynię Vesty, penatów Rzymu....

Były to nieodzyskane straty....

Domostw ubogich i wspaniałych zgorzała liczba niezmierna, a w gruzach ich zakazano odgrzebywać i szukać pozostałych szczątków, bo Cezar sam wszystek ten łup miał zagarnąć [1]). Obiecywał za to odbudować zwaliska i wskrzesić wspanialszem co ognie strawiły. Ludowi tymczasem otworzono pole Marsowe, dając mu za schronienie pomnik Agryppy, ogrody Palatyńskie i sąsiednie wille Cezara. Z Ostji przywieziono potrzebniejsze sprzęty i spichrze otwarto dla głodnych.

Siódmego dnia Rzym przedstawiał widok spustoszenia przerażający, jakby po nieprzyjacielskiej napaści, jak po rabunku okrutnym.... U stóp Esquiljnu czarne gruzy rozsypane i płomię dymiące jeszcze, świadczyło gdzie się wstrzymała pożoga....

Jeszcze raz potem ogień z mocą nową wzmógł się i rozdął wśród nocy od Tigellinuszowych domostw, by znowu przerazić mieszkańców — pod pozorem gaszenia, resztę murów i ścian niezwalonych rozbijano taranami i na ziemię rzucano.

Z czternastu części ówczesnego Rzymu, ocalały cztery tylko; trzech śladów prawie nie było, w siedmiu ledwie, gdzie sterczały resztki murów i wypadkiem o swej sile jeszcze wznoszące się kolumny ogorzałe, spękane, czarne.

Wśród jęków i narzekań ludu, który na Via Appia zbladły i wynędzniały chronił się w Columbarjach i otwartych grobowcach, w wyżłobionych pieczarach, z głębi których kamień na budowy brano, wśród rozsypki wielu nędzniejszych co poszli w góry i pustynie, ocalając resztkę żywota — jakby błyskawicą po Rzymie rozeszła się nagle wieść, że chrześcjanine byli pożaru przyczyną, że z nienawiści ku ludowi, podpalili gród i szerzyli tajemnie pożogę.

Boleść łacno temu dała wiarę. — Chrześcjaństwo

[1]) Swetonjusz.

krzewiło się między ubogiemi i niewolnikami, których się zawsze obawiano i podejrzywano — myśl ta, na rozdrażnienie rzucona, obudziła nienawiść i żądzę zemsty. Osobiści nieprzyjaciele nowej wiary szerzyli ją gorliwie; przyczyniał się do tego i Symon Magus i dwór Cezara, który pana bronił....

Neron zuchwały zwykle, drżał teraz usiłując odwrócić od siebie podejrzenie, które łatwo poprzeć było można świadectwem ludzi użytych do rozniecenia pożogi.

Wśród tej klęski chrześcjanie cudem prawie najmniejszej nie ponieśli szkody, lub wcale nie utyskiwali na nią, zgadzając się z woli Opatrzności. Przywykli do ubóstwa, do znoszenia wszelkiej nędzy, przygotowani do ofiar, szli cicho łamiąc się chlebem, wynosząc rannych z rumowisk, pocieszając płaczących i każąc do serc uciśnionych. Thermy i dom Pudensa, dwór Cellji, dwa główne schronienia i ołtarze ofiary, chociaż otoczone płomieniem i pozbawione ratunku, choć okopcone i w części poopalane, stały wszakże całe i dawały schronienie pobożnym rodzinom, które innego nie miały.

Pudens, sprzedawszy co miał kosztowniejszego, zboże sprowadził, i po całych dniach szaty, chleb i słowa pociechy między pogany i chrześcjan zarówno rozdzielał.

Piotr i uczniowie wszyscy wspomagali go w tem dziele świętem, które raz pierwszy na szerszą miarę okazało różnicę dwóch wiar, jak niebo od ziemi niepodobnych do siebie. Z jednej stronie poganie, wśród nieszczęścia zasklepieni w samolubstwie, walczyli o kawałek chleba na zwaliskach i gruzie — z drugiej, garść chrześcjan dobijała się aby podzielić z biednemi od ust odjętym pokarmem....

Słudzy Pudensa, dzieci, niewiasty pobożne, szli od rana na spalone i jęczącemi zasłane części miasta, niosąc żywność, owoce, wino w amforach, grosz jaki mieli; co wieczora dzieląc te dary między ubogich, i dziwu-

jąc się, jak Bóg ich w dłoniach pobożnych rozmnażał cudownie lada okruszynę.

Ta dobroczynność wszakże nawet przez nieprzyjaciół chrześcjan na złe tłumaczoną być mogła; mówiono, nie pojmując jej, że przelękli chcieli nią okupić zbrodnię swoją i utaić przed światem. Tak wszystko, cnota ich nawet, przeciwko nim się obracała.

XIII.

W nieszczęściu szczególniej człowiek jest łatwowiernym i zabobonnym; wierzy lada wieści, narzeka i szuka przyczyny złego we wszystkiem co się mu nastręczy. Rozpacz pogorzelców, zniszczenie, ubóstwo, głód, rozjątrzyły ich łatwo przeciwko chrześcjanom, którzy dotąd prześladowani nie byli.

Głuchy szmer groźby, jak huk zbliżającej się fali, zwiastował niebezpieczeństwo; gromadka wszakże uczniów Chrystusa stała niewzruszona wśród przybliżającej się nawalnicy.

A Symon Magus pracował z przyjacioły Neronowemi, przez piękną Helenę, aby co dzień nienawiść powiększyć, coraz ohydniejszemi, niebezpieczniejszemi chrześcjan uczynić. Oczyma już i sercem nienawistnem poszukiwano ich w tłumach. Nie mieli oni znaków zewnętrznych, któremiby się odznaczali, ale łacno wyróżnić ich było można, bo się nie ukrywali z nauką, która ich od całego odłączała świata. Nie znak krzyża, który na piersi kładli, ale uczynki ich wydawały przed pogany.

Wśród spalonego Rzymu, w domu Pudensa, którego wewnętrzne podwórce z otaczającemi je budowami ocalało, choć przyległe Thermy w gruzy upadły — wieczorem, przez kilka dni po ogniu wielkim, chrześcjanie ściągnięli się obyczajem swym na modlitwę. Klęski dni ostatnich, groźba prześladowania, widok cierpienia ludzi jeszcze ją gorętszą czyniły.

Piotr podniósł ręce, błagając Syna Bożego za świat cały, a wszyscy płakać poczęli widząc łzy w oczach jego. Wtem zapukano do drzwi i Syryjska wyzwolenica wbiegła cała wylękła i blada z załamanemi rękami....

— Cezar — zawołał głosem przerywanym — rozesłał żołnierstwo po mieście; pretorjanie z liktorami plądrują wszędzie, szukając chrześcjan, biorą ich, ścigają, pędzą, więżą.... i gnają ku ogrodom i pałacom Cezara.... Uciekajmy! uciekajmy!

Na pierwszy odgłos lud się ścisnął w gromadę i parł, jakby chciał ku drzwiom uderzyć, blade twarze i wyciągnione ręce zwrócił ku Piotrowi, który nań patrzał poważny i niewzruszony.

— Stójcie bracia! — zawołał po chwili — bez woli Bożej włos nie spadnie z głowy.... Próbuje nas Pan, chce ofiary i krwi.... bez której świat nie może być zbawion, bo wszakże i on sam krew swą świętą za nas przelał?... Ale przetoż uciekać? Wspomnijcie na męczeństwo Stefana i Jakóba i wielu już braci naszej! ażali nie pragniecie cierpieć jak oni dla miłości Chrystusowej? ażali dla męki wyprzecie się Boga i uciekniecie dla żywota doczesnego? Kto nie mocen duchem, niech odchodzi w pokoju, ale synowie Boży silni będą i dostoją, a nie ulękną się....

Zdala za domem, na pustym placu słychać było śmiechy i naigrywania się tłuszczy i uganianie i krzyki nadchodzących siepaczów — Piotr począł się modlić i wszyscy padli na kolana.... głuche milczenie zalegało atrium....

Hałas i wrzawa, które przed chwilą słyszeli, obeszły tylko domostwo, minęły drzwi i zdala niekiedy odzywając wybuchami przycichły, w dali zupełnie..... wierni uczuli się ocalonemi....

Trwali tak jeszcze na cichej rzewnej modlitwie chwilę, aż Piotr powstał i dał im znak błogosławiąc, że rozejść się mogą.

Cicho rozbiegli się wszyscy, a Pudens wdziawszy

togę, Candida z sobą namówił, by pójść w miasto, dowiedzieć co się stało.... gdyż nie wierzyli słowom przestraszonej niewiasty.

Wieczór powoli w noc się zamieniał; tłumy jakieś przez opalane i zawalone gruzem, złomami kolumn, stosami cegieł, uliczki ciągnęły ku Palatynowi; z rozmów ich łatwo miarkować było można, że się spieszyły na jakieś niezwyczajne igrzysko.

Już zdala po sadach Cezara rozpalone widać było ognie, przy których lud po kilka dni koczował, a u wnijścia do bram zewsząd naciskający się gmin, rycerstwo, senatorowie z kolei wpuszczani wchodzili....

Z tłumów niekiedy, szczególniej między niewolnikami, wyzwoleńcami i dwornią Cezara dawały się słyszeć okrzyki — że Neron sprawiedliwą na chrześcjan wymierzał karę.

Ogrody Palatyńskie dziwny przedstawiały obraz.

Stały wśród nich ocalone gmachy pałacu Cezarów, których część tylko od płomień bronić mogli niewolnicy; ulice i przejścia między niemi tysiącami zgromadzony lud zalegał, opowiadając sobie, jak Cezar wyszukał wreszcie winowajców, których napróżno dotąd, ofiary czyniąc bogom podziemnym i księgi Sybillińskie wartując, szukano u ołtarzów milczących Junony na Capitolu.

Między rozkosznemi gajami laurów i cyprysów i strojnemi peristylami, które błuszcz i wino oplatały, pozapalane widać było stosy oświecające wielką przestrzeń, poprzerzynaną sadzawkami, strojną w bijące wodotryski i posągi....

Straże pretorjanów pilnowały kupami tu spędzonych chrześcjan, bladych, ale spokojnie na modlitwie oczekujących męczeństwa....

Kapłani pogańscy tymczasem błagalne przed ołtarzami bóstw składali ofiary, a lud niecierpliwy wrzeszczał o krzyże dla winowajców.

Wtem zgiełków i wrzawa uciszyły się — Cezara na rękach wyniesiono z pałaców jego; jechał na karkach Germanów pleczystych, w stroju woźnicy, w barwie zielonych, z wieńcem na skroni i biczem w ręku.

W cyrku bowiem już nań wozy czekały. Tłum zobaczywszy pana zamilkł, a potem jednym głosem zemsty i gniewu począł wołać o śmierć chrześcjan.

— Tak! śmierć podpalaczom!... Niech giną od ognia, jak ogniem święty gród Romula zniszczyli! — zakrzyknął Cezar — niech ich rzucą na pastwę zwierza dzikiego.... bo nie warci zwierząt drapieżnych.

Ludu mój rzymski, daję wam ich na zemstę słuszną, na przebłaganie gniewu obrażonych bogów....

Cezar rad był, że mógł trochę się z deklamacją popisać, ale kaszel wątły głos przytłumił, zwrócił bladą znów twarz do siepaczów, potem do gladjatorów i mirmillonów zgrai twarzyszących mu, i szepnął: — Do cyrku?

W chwili jednej oprawcy, czyhając tylko na skinienie, z rykiem dzikich zwierząt rzucili się na bezbronnych chrześcjan.

Była to pierwsza krew niewinnych przelana w Rzymie; pierwsze nasienie rzucone na tę ziemię płodną — ale z jak straszliwem okrucieństwem rozbezstwione zgraje wpadłe na ofiarę swoją, tego żaden język nie wypowie.

Dziejopis tej epoki (Tacyt), który chrześcjan miał za winnych i godnych kary, z powodu ich obrzędów, sam pisze, że sposób, w jaki się nad niemi pastwiono — szyderstwo, jakie mu towarzyszyło, wzbudzały litość w najtwardszych sercach.

Ogrody Cezara zmieniły się w plac wymyślnego męczeństwa i niesłychanych okrucieństw.

Szał tłuszczy krwi chciwej dochodził do wściekłości, a spokój męczenników, znoszących go z majestatem stoickim, zwiększał jeszcze zapamiętałość jątrząc i drażniąc tych którzy jęków i boleści pragnęli.

Ciała obnażone starców, niewiast, mężów i dzieci oblewano smołą i zażegano jak pochodnie, a przy blasku tych ogni puszczano psy na odzianych skórami dzikich zwierząt chrześcjan, którzy z rękami podniesionemi do góry, modlili się za swych oprawców. Indziej zatapiano ich w naczynia płonące, w których wrzała smoła roztopiona; wieszano na drzewach, krzyżowano

u słupów... a wśród tej krwawej igraszki, nie słychać było tylko krzyki katów, bo lud Boży konał po cichu dla Chrystusa....

I w tej pierwszej wielkiej próbie nie było ktoby upadł i zaparł się prawdy.... poganie zdumieni, znużeni, przelękli, stali w osłupieniu.

Zdala, wśród dworu Cezara stał Symon Magus, okiem chciwem szukając w tłumach Piotra.... ale go tam nie było.

— Nie wszyscy tu są jeszcze — mówił do otaczających — daleko więcej Rzym kryje ich w sobie i głównego sprawcy nie pochwyciliście jeszcze... ukrył się lub uszedł....

Walka nie skończona! odżyją z tych stosów..... Patrzcie jako są silni.... cóż im daje tę moc? czary ich? Ażali może człowiek wycierpieć tyle i konać z takim spokojem, gdyby nie był wspomożon potęgą nam nieznaną?

Przelękły i blady, wymówił te słowa, które już były w myśli wszystkich, patrząc na dziecię piętnastoletnie, które z uśmiechem na ustach, z rozpuszczonym po piasku włosem, z rozdartą piersią, konało, jakby w niebiańskim zachwycie.

Tuż obok trup jego matki dogorywał u słupa nagięty jeszcze ku dziecięciu....

Gasły wreszcie te pochodnie żywe, które dzień otwartego boju pogaństwa z Chrystusem oświeciły, konali na krzyżach ostatni.... wywlekano trupy hakami, i tłum milczący, nie napasłszy zemsty, przejęty i zdumiony, stał niepokojąc się łatwem zwycięztwem.

Z cyrku w tryumfie niesiono Cezara, obwieszanego palmami i wieńcami.

Z ciekawością okrutną młody rozpustnik kazał się nieść między szczątki męczenników, na plac krwawych zapasów, dopytując ludu swojego czy rad był i czy się nasycił.... ale twarze gminu posępne były i zamyślone.... wszyscy czuli, że rozpoczęto bój z siłą nadziemską.

Cezar długo pił rozkosz tego widoku i zapach ciał

zgorzałych nozdrzami chwytał rozdętemi, wpatrując się w poszarpane zwłoki, w niedopalone szczęty trupów.

— Zwyciężeni — rzekł wreszcie z uśmiechem....

— Nie jeszcze — odparł Symon Magus — nie Cezarze! to mało! Spytaj jak śmierć ponieśli.

Neron zdumiony obejrzał się na siepaczy.

— Jeszcze nigdy nie widziano takiej śmierci — odezwał się ktoś z tłumu — w nich siła jakaś czarów nieznanych: nie było języków, ani miotania się i rozpaczy, nie zdawali się cierpieć nawet.... Marli i konali jak człek usypia po uczcie.... nie jeden uśmiechem witał śmierć i rzucał się na nią radośnie — nikt jej nie uląkł....

— Jakaż w nich siła? — zapytał Neron.

— Ten, który ją sprawia i wlewa w te tłumy, silen jest nad innych — odezwał się Symon — jego nie pochwycono....

A póki on wzięty nie będzie, chrześcjanie nie są zwyciężeni i być nie mogą.... Ja ci go Cezarze wyszukam i przywiodę....

Ale słów jego niesłuchał już roztargniony pan, który znużony wyścigami, kazał się nieść do łaźni i znikł z ogrodów Palatynu, które powoli ciemność nocy okryła....

.....

XIV.

Wybuch ten straszliwy, który tysiąc ludzi życie kosztował, nietylko nie powstrzymał szerzenia się wiary, ale urok jej i siłę powiększył.

Na placu męczeństwa, w tłumach, mnóstwo ludu nawróconego zostało siłą, która nań od stosów spłynęła... uczuli kędy jest prawica Boża, co człeka nad ziemskie podnosi męczarnie; zmienił się tylko obyczaj i swoboda z jaką wprzódy wyznawcy żyli i obrzędy swe odprawiali; musiano z imieniem i wiarą ukrywać się, szukać

schronienia i słabszych od nowego prześladowania zasłaniać.

Do koła przedmieść Rzymu, nad Via Appia, po ogrodach i willach otaczających Pomoerium, pełno było od najdawniejszych czasów wykutych w ziemi pieczar i ciemnych podziemiów, z których kamień i piasek brano do budowania gmachów. W te pieczary i jamy puste zrzucano czasem ciała zmarłych niewolników, którym pożałowano stosu... inne stały próżne....

Tu teraz, w głębiny opuszczone, wilgotne i niezdrowe, po wielkim pożarze Neronowym począł się lud chronić ubogi, wśród którego najwięcej było chrześcjan; — tu, po wielkiem męczeństwie, gdy noc skryła przed oczyma siepaczów resztki krwiożerczej biesiady, pilnujący w tłumach chrześcjanie, niepoznani — unieśli pierwsze ciała i kości męczenników swoich, nie mając gdzie ich zachować.

Potrzeba ukrycia tych ciał, uświęconych pierwszą za Chrystusa ofiarą, zagnała ich do Katakumb naówczas pustych jeszcze i nieznanych nikomu prócz fossorów, co z nich kamień i piasek wozili do miasta; — ztąd zrodziła się myśl owego podziemnego żywota, który jest jedną z kart najwspanialszych w pierwszych chrześcjaństwa wiekach.

I gdy na Palatynie Cezar co najśpieszniej wznosił swój Dom Złoty, biedni wyznawcy Chrystusowi, wśród cieniów podziemi ryli się co raz głębiej, szukając schronienia w ciemnościach od prześladowania i ucisku.

Katakumby poczęły się w jednym dniu z pałacem Cezara, ale go przetrwać miały, bo je budowała wiara, gdy tamten pycha wznosiła...

Dom ten Złoty Nerona, był jednym z najcudniejszych gmachów, jakie kiedy wzniosła ręką ludzka; Severus i Celer, dwaj architekci i ogrodnicy, pod których rozkazy oddano niewolników tysiące, przedsięwzięli to dzieło, mające zdumieć świat i zgasić wszystko co oglądały oczy człowieka. Od jeziora Avernu chciano wykopać kanał żeglowny do ujścia Tybru, przez puste pola i góry wyniosłe, aby wody dostarczyć ogrodom —

ale ta praca olbrzymia ledwie poczęta, nigdy dokonaną nie była. Z Tybru tylko i błot Pontyńskich potworzono stawy wśród zajętej na ogrody przestrzeni, poosadzano je drzewami, a wśród gajów umyślnie szerokie pola puste i zielone zastawiono łąki, strojąc je w kwiaty rozliczne, wodotryski i posągi... Rozszerzony plac otaczający pałace, obejmował w sobie wszystko cokolwiek gdzieindziej tworzy natura sama, sypane sztuką góry, przywożone zdala skały, kopane jeziora, sadzone lasy, a wśród nich wille, portyki, grody, oblane wodami rzek nowych i marmurami okutych sadzawek.

W pośród tych dziwów, jakby czarami dźwigniętych na pogorzeliskach, stanął pałac nowy, przenoszący wysokością swą świątynie i wieże Rzymu starego... a opierający się o górę Esquillinu.

W przedsieniach jego [1]) arcydzieło Zenodora [2]), stał u wnijścia posąg Cezara-Boga, na sto dziesięć stóp wysoki i cały złocony.

Portyki miały po trzy rzędy kolumn z najdroższych marmurów; błyszczał tu i biały góry Hymettu i Pentelicki i Frygijski czerwonemi poprzerzynany żyłami, i żółty z Koryntu, i Thessalijski zielony, i wyłamany z gór Caristus i Scyros i Lesbijski i Sigejski, i drogi ów czarny Lucullowym zwany, którego pierwszy w Rzymie użył Lucullus.... Głowy kolumn zdobił bronz i złoto, a długość tych dróg krytych, obsadzonych słupy różnobarwnemi, milę przechodziła. Ściany całe okryto blachami złocistemi, nasadzono drogim kamieniem i perłami.

Ogromne sale górne na zimę, chłodne a ciemne podziemia, skryte w sklepienach, rozciągały się do koła jezior przeźroczystych, wprowadzonych wewnątrz obejmujących je gmachów. Stropy tych sal, z desek słoniowych z otworami złocistemi, w czasie biesiady, na łoża ucztujących dozwalały rękom niewidomym sypać kwiaty i zlewać rosę wonną.

---

[1]) Swetonjusz.
[2]) Plinjus.

W pośrodku była krągła z kopułą komnata, której strop zasklepiony misternie, dzień i noc jak świat się obracał.

Do thermów Cezara wody sprowadzono z morza i źródeł Albuli...

Ale tego wszystkiego mało dlań jeszcze było, a Severus i Celer za całą nagrodę otrzymali wzgardliwy uśmiech i słowo:

— Przecież już teraz mieszkam po ludzku!

Gdy tysiące rąk dźwigało marmury, dniem i nocą, na to dzieło przepychu, w ciszy, przy modlitwie, motyka fossorów kopała pod Rzymem grób na męczenników ciała, domy modlitwy i przytułek, mający ochronić od mogącego codzień wybuchnąć prześladowania.

I tam ubodzy Chrystusowi słudzy starali się przystroić przybytek, w którym codzień straszliwa powtarzała się ofiara, i tam, po drobnym kamyczku, znoszono litostroty na posadzki, maluczkie okruchy na mozajkowe sklepienia; dźwigano szczątki marmuru ze spalonego Rzymu.... ale tylko na ołtarze Boga... do trumien błogosławionych Jego, do kaplic, w których klęczała modlitwa... Słońce patrzało na jasne dachy domu Cezara, noc wiekuista otaczała Katakomby wyrastające powoli — ale słońce i zburzenie tych gmachów widzieć miało i ich gruzy pokryte rdzą i pleśnią, a z podziemi wyszedł krzyż co światu i Rzymowi panuje.

XX.

Dwa lata upłynęły od wielkiej Rzymu pożogi, a chociaż prześladowanie chrześcjan nie miało już tego charakteru jaki mu Neron nadał w początku, broniąc siebie i zwracając winę swą potwarzą na niewinnych,

trwało ono przecie nie tylko w Rzymie, ale w państwie całem, gdyż poszukiwać ich, tępić i karać wszędzie rozkazano.

Liczby jednak nowych wyznawców nie zmniejszyło to wcale, owszem, zaledwie padli jedni, na ich miejsce rodzili się nowi nawróceni i zapełniali próżnie, a powołani byli ze wszystkich stanów, wieku i płci.

Przez dwa te lata, Neron szedł dalej drogą, którą już wcześnie przewidzieć było można, niepohamowany niczem i upojony swą władzą. Rzym nowy powstał z popiołów, piękniejszy może niż przedtem, cały z kamienia Alby i Galji... na błota Ostii wywieziono stary gruz i zwaliska... Ale szalonej rozrzutności zbytnika nie starczyło już wycieńczonego skarbu, wydartych przemyślnemi sposoby kontrybucyj i konfiskat; szukano wszelkich możliwych środków pomnożenia dochodów, nakładając coraz nowe i uciążliwsze podatki na Azję i Grecję, odzierając świątynie, topiąc posągi.

Acratus i Carinas, wyzwoleńcy Neronowi, wysłani po kraju na łupieże, niepowstrzymani niczem, szarpali ostatki; kraj cały wycieńczony; przelękły, z niebios już tylko wyglądał ratunku, a niebo same zsyłało klęski; — wiatr flotę rozbił w Mizenie, burze i pioruny niszczyły wioski, głuche wieści chodziły o potężnem sprzysiężeniu się na Cezara, do którego wszystkich stanów ludzie wpływali, nawet dawny ulubieniec Nerona, Senecjon.

Zdrada, słabość czy chęć przywłaszczania sobie jakiegoś w władzy udziału, podbudziły Milichusa do wydania spiskowych, którzy już wszystko do spełnienia swych zamiarów przygotowane mieli.

Spełzło na niczem to co Rzym oswobodzić mogło rychlej od Neronowego ucisku, a Epicharis, kobieta, wyzwolenica, dała, w męczarniach okrutnych któremi z niej imiona winowajców dobyć chciano, przykład męztwa i siły ducha niezłomnej.

Odwaga jej w obliczu śmierci świetniej odbija jeszcze przy słabości i bojaźliwości innych Lucana,

Senecjona, Quinctianusa, którzy spieszyli wydać najbliższych, sądząc że tem mizerne uratują życie.

Neron, dowiedziawszy się o liczbie spiskowych, przeraził się nią i otoczył strażami nietylko niedostępne pałace, ale Rzym cały, mury jego, morskie i Tybrowe brzegi.

Pretorjanie, niewolnicy jego, germańskie żołdactwo dzikie, przebiegało nieustannie ulice, wille, ogrody, łapiąc i chwytając kogo tylko podejrzanym sądzono, pędząc tłumy mniemanych winowajców, ściągając pogan i chrześcjan zarazem... Dość było widzieć, znać, spotkać się, zbliżyć do jednego z obwinionych, aby samemu winnym zostać...

Tigellinus, ulubieniec i zausznik Neronowy, Fenius i inni jego przyboczni, dawali dowody gorliwości, znęcając się nad niewinnymi. Pison i przyjaciele jego stracili odwagę i nieśmieli już odezwać się ani do żołnierzy, ani do ludu, który lada wymowne wystąpienie na rostrach pociągnąć mogło — woleli umrzeć.

Pisona charakteryzuje Tacyt, mówiąc o nim, że przyjaciół dobrał sobie w rozpustnikach, a żonę nierządnicę.

W spisek ten wreszcie i Seneca, który na ustroniu w Campanii Rzymskiej, zdala od dworu zamieszkał, aby być zapomnianym, — wmięszany został. Oddawna już, mimo najuroczystszych zapewnień i dowodów czułości Cezar pragnął się pozbyć nauczyciela, który choć nieśmiało i rzadko, odzywał się jednak z przestrogą, upamiętaniem. Imię Seneki zostało wspomniane w zeznaniach Natalisa, stosunki jakieś łączyły go z Pisonem.

Powracający z nad brzegów morza, z willi swej Seneca, z żoną Pauliną i dwoma przyjaciołmi znajdował się o cztery mile od Rzymu, gdy niespodzianie, wśród wieczerzy, żołnierze z Trybunem wysłani, otoczyli dom jego, i wszedł poseł zwiastun śmierci.

Starzec nie zmięszał się wcale co godzina spodziewanym wyrokiem.

Zarzucają Senece słusznie słabość charakteru w życiu,

mowę z czynami niezgodną, pragnienie bogactw, zepsucie... przy śmierci jednak dowiódł, że miał dość jeszcze siły rzymskiej i chrześcjańskiego hartu duszy, by się nie ulęknąć zgonu.

Na zapytanie o stosunki z Pisonem filozof mężnie ale chłodno odpowiedział, tłómaczeniem jasnem i wyraźnem, przypominając Neronowi, że często sam prawdę od niego słyszał, i że nic w świecie do kłamstwa zniewolić go nie może.

Gdy mu odpowiedź tę starego nauczyciela przyniesiono, Neron siedział właśnie z Poppeą i Tigellinem, radą swą zwyczajną, i spytał tylko: — Czy Seneka myśli umierać?

Trybun odparł, że wcale nie zdaje się przygotowywać do tego.

— Jedźże i powiedz mu aby umarł! — zawołał Neron.

Rozkaz ten tak się wydał zimno okrutnym i srogim, że Trybun sam go już zanieść nieśmiał starcowi: wysłał z nim jednego ze swych Setników (Centurionów), aby Senece wolę Cezara objawił.

Usłyszawszy wyrok ucznia, Seneca zażądał aby mu testament uczynić było wolno. Centurion surowy nie dopuścił go uczynić, domagając się śmierci.

— Przyjaciele — rzekł Seneca obracając się do towarzyszów — widzicie że niepodobieństwem mi nawet zawdzięczyć przyjaźń waszą. Cóż wam zostawię? chyba obraz życia mojego i śmierci, jedyne i najdroższe dobro jakie posiadam. Nie zapomnijcie o umarłym — dodał — przyjaźń stała cześć wam przyniesie!

Łzy stanęły na oczach przyjaciół, a Seneca począł to poważnie, to łagodnie gromić ich, opamiętywać i pocieszać.

— Gdzież filozofja wasza? — zapytał — gdzie rozum, który od lat tylu powinien był nauczyć przeciw wszystkim uzbrajać się wypadkom? Nie znacież Nerona i jego okrucieństw? — dodał — zabójca własnej matki i brata, mógłże starego nauczyciela oszczędzić?

Po tych słowach Seneca powstawszy, uściskał żonę i począł z kolei dodawać jej męztwa, widząc jak we łzach tonęła, zaklinając by powstrzymała boleść i w cnotliwego życia obrazie pociechy po jego stracie szukała.

Ale Paulina przerwała mu żywo:

— Ja z tobą chcę umrzeć! ja umrę z tobą! Żołnierzu — rzekła odwracając się do Setnika — dopomóż słabej kobiecie.

Seneca opierał się temu z razu, lecz myśl, że biedna a słaba niewiasta wystawioną być może na obelgi, zmieniła jego postanowienie.

— Więc umrzyjmy razem — rzekł ściskając ją — powiedziałem co cię do życia zachęcić mogło — wolisz umierać, nie będę ci tej zaprzeczał cnoty. Choćbyśmy oboje z równem skonali męztwem, zasługa twoja zawsze moją przewyższy.

Jednem żelazem natychmiast oboje sobie żyły otworzyli: krew młodszej Pauliny trysnęła strumieniem, przestrach czy starość wstrzymały ją w żyłach Seneki, który napróżno dla przyśpieszenia zgonu i skrócenia męczarni popodcinał sobie ręce i nogi. Starzec cierpiał okropnie, a lękał się by widok tych okropnych męczarni nie osłabił męztwa w żonie, przycisnął usta do jej czoła i polecił, by ją do drugiej przyniesiono izby.

Cały dwór, niewolnicy, wyzwoleńcy i domownicy Seneki zgromadzili się dokoła niego, chcąc pana pożegnać... Płacz stłumiony rozlegał się w mieszkaniu przed chwilą spokojnem...

Do końca pisarz dbały o swą sławę, Seneca, który już tabliczek i stylu w drżących rękach utrzymać nie mógł, kazał ostatnie swej myśli wyrazy wyzwoleńcowi spisywać.

Ale śmierć oczekiwana nie przychodziła, umrzeć nie mógł, krew upływała powoli, silne jeszcze życie wracało z pamięcią i cierpieniem.

Statius Annacus, przyjaciel i lekarz Seneki, stał przy nim i płakał.

Przyjacielu stary — rzekł filozof — pomóż mi jeszcze raz ostatni i przynieś truciznę.

W domach rzymskich musiała zawsze być ona na podoręczu, bo nikt się bez niej nie obszedł; Seneca miał napój, który dawano skazanym na śmierć w Atenach — była-li to cykuta, którą pił Sokrates? nie wiem.

Statius posłuszny, poszedł i przyniósł truciznę, a Seneca natychmiast ją wypił.

Ale w zastygłem już ciele i ona działać nie chciała — życie trwało... śmierć była nieubłaganą... żelaza się obawiał...

Niewolnikom więc dawszy się wieść pod ręce, brocząc zgęstniałą krwią posadzki, przeszedł starzec do przygotowanej dlań łaźni gorącej.

Drżącą dłonią zaczerpnął z niej kilka kropel wody i rzucił na cisnących się za nim niewolników.

— Libację tę — rzekł gasnącym już głosem — poświęcam Jowiszowi wyzwolicielowi (Jovi Liberatori).

To były słowa jego ostatnie; zanurzył się w wyziewach pary i skonał.

Dziwić się można tej śmierci, tak spokojnej, tak pogańsko-pięknej, obok życia, które jej nie odpowiada; lecz podobno dwóch ludzi w Senece widzieć potrzeba.

Nie ulega wątpliwości, że wpływ chrześcjański zmienił go pod koniec życia.

Tą tajemnicą tłómaczy się wiele ustępów pism jego i zgon tak mężny. Z razu poganin, widzi on w śmierci nicość i ustanie wszelakiego życia; [1]) później ogłasza nieśmiertelność i żywot drugi, który mu tylko nauka chrześcjańska wskazać mogła [2]). — Nauka ta i wiara sięgały już w tym czasie otaczających Nerona, pleniła się na jego dworze, wciskała między pretorjanów, i niema wątpliwości, że ów Seneca, którego Tertulian zowie często *naszym* [3]), a Ś. Hieronim wprost *naszym*

[1]) De Consolatione 19.
[2]) Tamże....
[3]) Saepe noster Seneca, Tertulian.

Seneką [1]) mieni, wziął z niej najpiękniejsze swe myśli i natchnienia. — Nie zmienił on wiary do końca, ale samo zetknięcie z prawdą uczyniło go większym, mężniejszym, silniejszym w obec śmierci.

Nic jaśniejszego nad tę zmianę w życiu człowieka, który nagle opuszcza dwór, wyrzeka się władzy, szuka spokoju, i w pismach już swoich naucza tego, co chrześcjanie dopiero z wiarą objawioną do Rzymu przynieśli. Śmierć więc tę filozofa, jak wiele ułomków z pism jego, do końca przerabianych i poprawianych, można poczytać za dowód wpływu, jaki nauka Chrystusa miała wówczas na potężniejsze umysły i mniej zepsute serca, na tych nawet, co ją całkowicie przyjąć się wahali.

Obydwa Apostołowie naówczas zgromadzali około siebie nie tylko powiększającą się coraz gminę chrześcjańską, ale pogan prawdy pragnących, a Paweł z ogniem wymowy niepokonanym wlókł za sobą tych nawet, którzy już wszelką filozofją i szkołą gardzili.

Prześladowania chrześcjan nie były tak srogie i częste jak w początku, po pożarze Rzymu; wszakże liczni z nich, po spisku Pisona, do więzienia wrzuceni zostali. Symon Magus, wciąż ścigający Piotra, znalazł nareszcie ślad jego, a trwożna gromadka, otaczająca Apostoła, dowiedziawszy się o tem, pobiegła mu zaraz zwiastować niebezpieczeństwo, błagając, by od niechybnej chronił się śmierci....

Nocą, gwałtem prawie zmuszono Piotra, by z Rzymu uchodził, choć się opierał, bo czuł, że tu był umrzeć powinien....

Ale ze łzami, na klęczkach prosili go uczniowie, Piotr wreszcie zmiękł i zezwolił.

Ciemno już było, gdy z domu Pudensa, po ostatniej modlitwie, wśród łez i łkania odprawionej, z pośrodka cisnących się, by wziąść jeszcze raz błogosławieństwo i ucałować szaty jego — Apostoł wyszedł

[1]) Noster Seneca. S. Hieronymus.

smutny, przeprowadzany sercami i oczyma w drogę, którą mu sam Bóg miał oznaczyć.

Rzym usypiał lub biesiadował, gdy Piotr przechodził ulice jego, w części nowemi już ustawione domostwy, częściami jeszcze puste; gdzieniegdzie z budowli otwartych, światła lamp zawieszonych nad mensami przekupniów, słabych jasności pasem uliczki przerzynały; cicho było, a w dali tylko słychać się dawało powolne koni i mułów stąpanie, spiew przerywany i ciężkie drzwi przymknięcie.

Im bardziej oddalał się od środka miasta ku Appijskiej zmierzając drodze, tem coraz stawało się ciszej, bezludniej; wiosenna noc gwiaździsta, ale czarna, rozciągała swe niebo wypogodzone, ciemne, głębokie nad Szymem w spoczynku.

I uszedł był już część drogi, zapuszczając się pomiędzy wille i ogrody, gdy nagle jasność potężna olśniła go... cofnął sie jakby piorunem rażony.

W pośrodku gościńca, naprzeciw siebie ujrzał stojącego Zbawiciela, w takiej postaci jasnej, w jakiej się niegdyś ukazał im przemieniony na górze, cały obleczon światłem. Białe miał szaty, a suknię podróżną, i iść się zdawał ku uśpionemu grodowi.

Piotr wylękły przykląkł przed panem, wołając:

— Panie! dokąd idziesz? *(Domine! quo vadis?)*

— Do Rzymu — dał mu się słyszeć głos — aby się dać drugi raz ukrzyżować!

I znikła światłość, a Piotr znowu obleczony nocą dokoła, pozostał wryty, na kolanach, z modlitwą na ustach i łzami na oczach. To ukazanie się Zbawiciela wyznaczało mu drogę, którą był pójść powinien — ale od miejsca w którem go ujrzał, oderwać się nie mógł.

I dzień wschodzący zastał go jeszcze w prochu na klęczkach, ze łzami na gorącej modlitwie.

A gdy się rozwidniać poczęło, na kamieniu przed sobą ujrzał Apostoł, jakby dla potwierdzenia i znaku widomego zjawienia się Chrystusowego, wyryte stopy Pana zwrócone ku Rzymowi.

— Nie ty, panie, ale ja pójdę umrzeć na krzyżu! — zawołał Piotr i ucałowawszy kamień, podniósł się rzeźko nazad Appijską drogą ku Forum.

A nie myślał wcale jako idzie dokąd, chcąc tylko cierpieć za prawdę, umrzeć za nią; ani się obawiał grożącego niebezpieczeństwa, ani go szukał.

Dzień był jasny, gdy mijając Palatyn i wchodząc na *Via Sacra*, gdzie kapłani właśnie stroili posągi i obmywali ołtarze ofiarne przed wizerunkiem bogów, — spotkał przed portykiem wracającego z nocnej wyprawy jakiejś Symona Maga.

Biesiadował on z Heleną razem, Cezarem, Bassusem i Vatiniusem u Tegellina, a Neronowi właśnie był nabił głowę Bassus tem, że skarby, które uciekająca z Tyru Dido [1]) zakopała w pustyń afrykańskich pieczarach, mogły być łatwo znalezione i odkryte. Symona użyć chciano, by je swoją sztuką ukazał.

Cesellius Bassus rodem Kartagińczyk, dziwak, marzyciel czy oszust [2]), przybył umyślnie do Rzymu z wieścią o tych skarbach, których jakąś część odkrył niby przypadkiem blizko swoich posiadłości, ale na nic więcej trafić nie mógł. Miały tam być jaskinie pełne pieniędzy, sztaby złota leżące stosami, złote kolumny od wieków pyłem i ziemią przysnute. Czary Symona mogły im łatwo ów skarb Didony ukazać.

Vatinius, który szedł z niemi razem, był wcale charakterystyczną, wiek swój dobrze malującą postacią. Niegdyś szewczuk odarty, winien był swą wziętość i zbliżenie się do Nerona rozpasanej gębie, która nie szczędziła nikogo, śmiechom na zawołanie i upodleniu, które znosił wesoło. Garbaty, krzywy [3]), śmiesznej postaci, z głową śpeczastą, naprzód wzięty był na dwór, by w czasie uczt swawolnemi zabawiać żartami. Rzucano nań pestkami, oblewano wodą, smalono włosy, lagrem smarowano policzki — znosił wszystko, sam

[1]) Swetonjusz 31.
[2]) Tacyt XVI 1.
[3]) Tacyt. XV. 34.

z siebie i z drugich szydząc ze śmiechem satyra; ale powoli tych uczt stał się konieczną przyprawą. Bez Vatinjusa nie było wesela ni wieczerzy, ni ochoty. Neron go potrzebował i oglądał się za nim — Vatinjus potrafił z tego korzystać.

W chwili upojenia przychodził z prośbami, za żart płacono mu sestercjami; potem donosić zaczął i część swoją z mienia obwinionych pobierać; wreszcie z Tigellinem razem stał się niezbędnym posługaczem Nerona. A że go nic w spełnianiu woli pana, ni litość, ni sumienie, ni wstyd nie wstrzymywały.... Cezar polubić go musiał.

W takich to dwóch ludzi towarzystwie powracał Symon Magus portykiem, gdy Piotra napotkał, a ujrzawszy go, wnet zawołał na Vatinjusa, aby swoim ludziom imać kazał przechodnia, jako spiskowego i chrześcjanina.

Piotr zawołany stanął, ani się odezwał, ani bronił.

— Mam cię nareszcie! — rzekł Magus ścinając usta — dasz mi swą władzę, lub życie.

— Władza ta nie jest moją, ale Bożą — odparł starzec spokojnie.

— A raczej nie masz jej, choć udawałeś, żeś ją posiadł! — zaśmiał się Symon — moja jest większą — dla czego mi się nie obronisz?

— Bóg sam obroni gdy zechce...

— Do więzienia! — krzyknął Vatinjus — do więzienia... chrześcjanin jest, nie zapiera się...

— Obaczemy twe cuda!

— Ujrzycie, ale cuda Boże! — odparł Piotr.

I w tejże chwili dwóch siepaczów schwyciło go, wiążąc mu ręce i zabierając się wlec go ku Mamertyńskim lochom.

Było to jedno z najstraszliwszych więzień Rzymskich, położone niedaleko wschodów, Gemoniae zwanych, od Capitolu wiodących.

Podanie mówiło, że loch ten wykuty został z roz-

kazu króla Ancusa Marciusa po nad Forum, aby postrach rzucał na miasto.

Król Servius Tullius głębiej jeszcze posunął część tej ciemnej pieczary we wnętrze skały. Żadne z więzień dzisiejszych dać nie może pojęcia straszliwej tej jamy, w jaką naówczas złodziejów i skazanych na śmierć *rzucano*...

Słowo to nie było próżnem: więzienia bowiem nie miały wnijścia, ale w górnem sklepieniu otwór tylko ciasny, przez który ciskano wewnątrz przeznaczonego na mękę zaduchy, ciemności, gnicia z trupami i konającemi. Górne więzienie Mamertyńskie jeszcze miało choć promyk dnia od izby, którą doń wchodzono i cząstkę powietrza; niższe otworem drugim takimże z niem połączone, było nocą i śmiercią.

Ze środka wschodów Gemonii, wejście było na przyciemnioną izbicę, w której straże i siepacze słuchały obojętnie jęków zamkniętych w ciemnicy więźniów. Za drzwiami żelaznemi, w tej komnacie, około dwóch stóp szeroki otwór stanowił wnijście do Mamertyńskiej pieczary; lecz niczem jeszcze była owa górna z olbrzymich głazów wzniesiona stara izba, okopcona i czarna, obok Tulliańskiej. W niej ostatek życia nie dawno przejęczał Sejan łysy... ztąd tylko słychać było brzęk łańcuchów, konających jęki, złowrogie miotania się występnych i straszliwe rozpaczy wołania.

Żołdacy przywlekli naprzód Piotra na wschody owe, których nikt nie przeszedł bezkarnie... i doprowadziwszy do izby siepaczy, oddali w ręce Procesowi i Martynianowi, dwom stróżom więzienia, które od dawna nigdy pustką nie stało, nakazując im od Tigellina, aby Piotra w Tulliańskie zamknęli ciemnie, jako przekonanego o chrześcjaństwo i zdradę.

Więcej naówczas nie było potrzeba nad takie spotkanie uliczne, nad rzuconą potwarz i obwinienie, aby życie postradać, lub gnić na dnie wilgotnej pieczary.

Gdy wiedziono Piotra przez Forum, mało kto się tam znajdował, jednakże Bóg chciał by przechodziła trafem Syryjska wyzwolenica Magdalena, dziś domownica Cellji i gorliwa chrześcjanka. Z załamanemi rękoma, przerażona, pobiegła natychmiast dać wiedzieć chrześcjanom, że Apostoł odprowadzony został do Mamertyńskiego lochu.

Napróżno go pytali o jego zbrodnię i winę Processus i Martinian, słowa nie rzekł obwiniony i dał się spuścić do ciemnicy modląc, a los swój widząc wcześnie, że umrzeć był powinien.

Ztąd Martinian, który się sam z nim na sznurze spuścił, niżej go jeszcze zrzucił, w drugą pieczarę z tą obojętnością kata, co się już ni łzów ni jęku, ni krwi nie lęka, bo codzień karmi się niemi...

W głębi ciemnicy wykutej w skale, na której Capitol stoi, do której nigdy promyk światła nie zajrzał, i lampa niezstąpiła nawet by rozbić mrok wiekuisty — Piotr, rzucony na twardą opokę, nic dostrzedz nie mógł z początku, usłyszał tylko po chwili jakby szept cichy, i imię Chrystusowe wymówione we wnętrznościach ziemi.

Prawie razem z tym pocieszającym głosem uczuł zbliżenie się człowieka i choć oczy jego okrywała ciemność głęboka, poznał w nim towarzysza swojego Pawła. Oba Apostołowie rzucili się sobie w objęcia, niemym witając uściskiem, a siła ich zdwoiła się, gdy poczuli się razem. I ciemności prysły z przed ich powiek, i ściany rozstąpiły szeroko, gdy dłonie połączone i usta jednobrzmiące na pomoc Pana wezwały.

W cichości siedli u wilgotnych murów Tulliańskich.

W górze, nad ich głowami, ściskały się coraz nowe ofiary i jęk ich a dziwne krzyki, ryk rozpaczy, śmiechy pijane, dziko w ich uszach dźwięczały wśród spokoju jaki ich otaczał.

Od czasu do czasu przychodził siepacz uciszyć wrzawę prętem, jakby dzikiemi władał zwierzęty — a wycie i krótka chwila osłupienia znowu w jęki i płacze przechodziła. Tylko na dole, w lochu Tulliańskim cicho było i spokojnie.

A Processus i Martinian dziwili się dni pierwszych milczeniu temu, i jeden z nich codzień zstępował tam,

by się przekonać, że więźniowie żyli, tak spokój ten niezwykły zadziwiał siepacza.

— Zaprawdę — mówili sobie dozorcy — jacyś to dziwni są ludzie, albo nie ludźmi być muszą — ani głód, ani postrach śmierci, ani ciemności straszne, ani męczarnie, które drugich o rozpacz przyprawiają, nie zamąciły ich pokoju... Są tak jakby byli u siebie, jakby z przyjacioły biesiadowali, a nocą słychać tylko szmer jakiś powolny i mowę ich cichą, jakby szelest spadającej wody... w jakimś dziwnym języku modlitwę.

Zaprawdę, jeśli to są, jak mówią, chrześcjanie, to siła w nich niezmierna i Bóg jakiś być musi z niemi.

I rzucali im chleb spleśniały, spuszczali dzban z zatęchłą wodą Tybrową, a nigdy żaden nie usłyszał prośby ani żebrania o litość.

— Nawet o śmierć nie proszą — mówili sobie — nawet umrzeć a oszczędzić sobie męczarni nie chcą — i cóż to są za ludzie?

A byli ci dozorcy żołnierze prości, starzy gladjatorowie niegdyś, których życie ubogie strzegło od ostatecznego zepsucia; i w duszach ich obudził się niepokój jakiś a ciekawość. Wszyscy stróże i żołnierze strzegący więzienia, zarówno z niemi wydziwić się nie mogli stałości dwóch męczenników.

A po upływie pewnego czasu zdarzyło się, że Martinian pierwszy spuścił się nocą z lampą do Tulliuszowego więzienia, aby na oczy swe widzieć jak znosili cierpienie mężowie nieznani.

I ujrzał ich siedzących obu przy murze, jakby pośrodku uczty, w pokoju wielkim odmawiających modlitwy z uśmiechem... aż stanął i zdumiał się.

Następnego dnia, gdy opowiedział towarzyszowi jak owi starcy cierpieli cudownie niewolę, poszedł i Processus z kolei i drudzy żołdacy za nim, nie mogąc się napatrzeć stałości ich, i poglądając na nią ciekawiej niżeli na tryumf Cezara.

Aż z litości jęli im nosić jadło i napój i wyzywać ich do rozmowy, a Paweł i Piotr poczęli odpowiadać im z kolei, nie tracąc zręczności ku nawróceniu...

I w ciszy tych lochów, wśród więzów i ciemności, szło dalej dzieło Chrystusowe... a gdy Rzym wielki i świetny bawił się z Cezarem w Cyrkach, ucztował po willach, śpiewał i rozkoszował — tu o głodzie i w nędzy, ubodzy ludzie, gmin pierwszy wszędzie przypuszczany do żłobu Jezusowego, jako najukochańsze dziecię, — dzielił z Apostołami niewolę ku odkupieniu.

Tymczasem wieść o uwięzieniu Apostołów rozeszła się w mgnieniu oka po mieście i chrześcjanie zaboleli wszyscy, przerażeni stratą wodza, którą przeczuli.

Linus i Klet i Pudens i inni słudzy młodego Kościoła, bez ustanku krążyli po Forum, podchodząc ku Germonjom, od ścian więzienia usiłując dowiedzieć się coś, posłyszeć, myśląc, że ratunek jeszcze był możliwy.

Bojaźliwsi kryli się w katakumbach świeżo wyżłobionych, obawiając nowego prześladowania, które głośno zapowiadał Symon Magus.

Tylko zaprzątnieniu tych dni, na przemiany okrucieństwy i szałem przeplatanych, winni byli Apostołowie, że się ich niewola przeciągnęła i prawie zapomnieni zostali.

A czas ten nie był dla nich stracony, gdyż Processus i Martinian i za ich przykładem co było żołnierza — przejęci duchem Chrystusowym, przerażeni, podbici, co dzień i co godzina silniejąc w nawróceniu rozpoczętem, skłaniali się już do chrztu przyjęcia.

Tak i w ciemnicy zapartej owi rybacy dusz jeszcze swój połów powiększali.

Niepoliczone dni biegły tak powoli w więzieniu, a gdy stróżowie ujęci stali się sługami, po całych dniach trwali u otworu więziennego i kładli się ucha nadstawiając nad próżnią ciemną, aby schwytać słowo wiary, które z kolei Piotr i Paweł niezmordowani im słali.

Oba oni zapomnieli już o śmierci, a nowych przysparzając uczniów byli szczęśliwi.

Aż dnia jednego przybiegł przerażony Martinian późno w nocy, oznajmując, że nazajutrz Piotra w więzach do Cyrku przywieść kazano, i płakał mówiąc to, bo był jeszcze chrztu nie odebrał, a lękał się by śmierć

Apostoła nie pozbawiła go przyjęcia do grona dzieci Chrystusowych.

Było to w głębi Tulliańskiego lochu, gdzie Processus i Martinian stali już nie jako stróże więzienni, ale jako towarzysze litości i zapału pełni, jako słudzy Apostołów. Maleńka lampka po raz pierwszy oświeciła wnętrze wilgotną rosą ociekłe, a u góry przez otwór widać było w cieniu przyglądających się twarze żołnierzy, których serca już wiara zniewalała.

Wstał naówczas Piotr potrząsając więzy swoje, i jął do tej rzeszy kazać... do leżących u nóg jego stróżów i do słuchających go z góry pretorjanów, ucząc ich a modląc się za nich razem, aby uprosić im zesłanie siły, którąby utrzymała wśród prób srogich, na jakie narażeni być musieli.

Radość z tego cudu Bożego, który straże obracał w więźniów dzielących z niemi męczarnie — łzy Apostołom wyciskała z oczów. A że nie było na podorędzie wody, którąby Piotr mógł pokropić gromadkę nawróconą i obmyć z grzechu, jął się modlić starzec, aby mu Bóg jak Mojżeszowi dla spragnionego ludu dał źródło wytrysnąć ze skały.

I skończywszy długą modlitwę, schylił się, łza z oczów jego padła na kamień, i ze łzy tej świętej strumień czysty popłynął na czarne kamienie.

Woda to była Piotrowego serca, której do dziś wieki wyczerpać nie mogły.

Naówczas u cudownego źródła począł się ten wielki a prosty obrzęd chrztu, przetwarzający ludzi i czyniący z nich istoty nowe, obrzęd który obmywał z grzechu i dawał moc stania się synami Bożemi synom ziemi.

Pokropieni naprzód powstali Processus i Martinian, z pogan przyobleczeni w szatę białą, a za niemi zeszło w głąb po odrodzeniu czterdziestu i siedmiu ze straży i żołnierstwa — do chrztu u podziemnej krynicy.

I trwali wszyscy na modlitwie aż do dnia białego.

Wstał dzień nareszcie i wrzawa głucha słyszeć się dała od strony cyrku.

XVI.

Po wielkim pożarze, w którym znaczna część gmachu cyrkowego zgorzała, z nową wspaniałością i przepychem a pospiechem największym odbudowano Arenę nową, plac na którym Cezar codziennie prawie uganiał się z wozami lub przypatrywał zapasom gladjatorów. Okopcone murów szczęty oblókł na nowo marmur i bronzy, drewniane stopnie zastąpiły wschody i ławy kamienne, nad głowami widzów powiewało znowu purpurowe velarium, a plac posypano piaskiem, który Nil do białości wypłukał. Nim Rzym potrafił się dźwignąć z gruzów, cyrk już był gotowy, i już w nim Neron wspanialsze niż dawniej sprawiał igrzyska.

Dnia tego właśnie lud na widowisko nadzwyczajne zwołano; nowy Ikar miał się w obec tłumów skrzydłami unieść w powietrze.

Był nim Symon Magus, który w oczach tysiąców chciał dać Cezarowi dowód swej umiejętności i potęgi. Dla cudu tego, niewidzianego dotąd jeszcze, wywleczono Apostoła z więzienia aby był świadkiem zwycięztwa i apoteozy nieprzyjaciela.

Gdy go wiedziono okutego łańcuchami ciężkiemi od Gemonji ku cyrkowi, otoczonego siepaczami, stąpającego spokojnie jakby szedł na tryumf nie na upokorzenie — lud wszelaki cisnął się by go ujrzeć i jedni z obelgami i wstrętem, drudzy z mało tajonem poszanowaniem i czcią go witali.

Z tłumu, mnóstwo niewiast i mężów przystępowało doń ukradkiem, ze łzami w oczach, całowali szatę zbrukaną długą niewolą; inni padali cicho na ziemię, zlewając łzami ślady stóp jego.

Cyrk pełen już był ludzi zniecierpliwionych i oszalałych; na ławach górnych kobiety drżały domagając się poczęcia krwawej zabawy, a ryk zwierząt w Carcerze za każdą razą wywoływał oklaski i wrzawę namiętną.

I płonęły im oczy zabiegając krwią, i pieniły się usta od wrzasku, a piersi dyszały jakby wyglądali stanowczej, wiekami oczekiwanej chwili życia.

Nareszcie ukazał się Cezar, wprowadzony na Spinę cyrku przez cały dwór swój, orszaki młodzieży i rozpasanych Augustanów; obok niego zasiadła Poppea; do koła wieńcem obiegli ich zwykli rozpusty i szałów wspólnicy, błaznowie, zausznicy, faworyci chwilowi, rzezańcy spanoszeni i wyzwoleńcy dumni wczorajszą dopiero swobodą. Neron, jak zwykle twarz miał bladą, wzrok obłąkany i dziki, ale dziś obietnica nieznanego dotąd nikomu widowiska utrzymywała go w gorączkowym niepokoju. Znać było, że pragnął czegoś niesłychanego, że nie wierzył cudowi i gotów był zawód doznany srogą odpłacić karą....

Wszystkich oczy zwracały się na płaski dach, pokrywający stronę cyrku od wnijścia Forum Boarium, bo z niego Magus miał wzlecieć w powietrze.... ale dotąd oczekiwany starzec nie ukazywał się jeszcze.

Z rozkazu Cezara, straże przywiodły tu Piotra i okutego więźnia postawiły przed Neronem na widoku, by zewsząd szyderstwa tłumu ścigać mogły pokonanego.

I wzrok niewiast i tłumu zwrócił się na chwilę ku męczennikowi, a choć teatr chrześcjan w sobie nie zawierał, wiele serc użaliło się losu nieznanego człowieka, sądząc że starzec przeznaczony był na pożarcie dzikim źwierzętom.... Inni przypatrywali mu się obojętnie, wnioskując tylko czy długo opierać się potrafi, a szydzili z Edylów, którzy tak bezsilnego zapaśnika wyznaczyli na igrzysko.

Na dachu wreszcie, białą odziany szatą, ukazał się Symon, i stanął szukając naprzód oczyma przeciwnika, aż znalazł go i z góry wpił weń źrenice....

Oczy Apostoła i czarownika spotkały się.... a Piotr nie zmrużył powieki i owszem, zdala, zmierzył śmiało wzrokiem zuchwalca.

I widać było na twarzy Maga jakby niepewność i pomięszanie. Wtem tłum naprzód, potem Cezar, który dzielił jego uczucia, okazywać zaczęli znaki niecierpliwości wielkiej — Symon podpadł.

U bark jego sterczały dwa niezmierne skrzydła jasne, w które wdziawszy ręce i spojrzawszy na Piotra raz jeszcze, począł robić niemi; biała szata rozwiała

się szeroko, a po chwili Magus, wśród niesłychanego oklasku, który zatrząsł cyrkiem całym, powoli wznosić się począł nad dach na którym stał.... stopy jego już nie tykały pokrycia, dźwignął się nad otaczające balasy złociste.

Skrzydła podnosiły go w powietrze coraz wyżej a wyżej, ale lot jego był ciężki, nieśmiały, wysilony.

Wzrok Piotra ścigał go wytężony i jasny. Magus począł coraz wyżej poruszać skrzydłami, wzleciał ku środkowi areny, po nad samą Spinę, zbliżając się ku siedzeniu Cezara....

Twarze, ręce, oczy, piersi wszystkich patrzących podniosły się za nim i w ciszy śledziły dziwny lot jego.... nikt odetchnąć nie śmiał.

Wtem Piotr rękami, na których ciężyły kajdany, zdala uczynił znak przerzynając powietrze na krzyż i Symon w tejże chwili zwinął się, głową ku ziemi zwrócony, opuścił ręce i padł z krzykiem przerażenia, jak kamień z procy ciśnięty.

Upadek jego był tak szybki i niespodziany, że nim go dojrzano prawie, już rozbity zalegał arenę, a krew z podruzgotanego ciała czerwonym tryskiem oblała jasne szaty Cezara i Poppei.

Zdumienie dziwne, milczące trwało chwilę..... lud ożył zaraz, i szemrać i krzyczeć i szydzić wnet począł okrutnie..... a niewolnicy już biegli szczątki trupa nieforemne wlec precz z zakrwawionej areny.

W tłumie różne były domysły, tłómaczenia, wnioski; sam Cezar upadek nagły i śmierć Symona przypisał temu znakowi, który okuty człowiek uczynił w powietrzu.

I uląkł się tej potęgi tak wielkiej, tak dlań niepojętej, której spętać żelazem nie było można, i szepnął coś wskazując aby Piotra odprowadzono nazad do więzienia.

— Chrześcjanie.... wszędzie ci chrześcjanie! — szeptał w duchu — jak się od nich uchronić? Rzym i wiara podkopane przez nich.... cóż za siłą jest z niemi?

Nie było wieku zabobonniejszego nad ten wiek nie-

wiary: lękano się wszystkiego, cześć oddawano coraz nowym Bogom, i lud a Cezar sądzili że z jednemi bóstwy siłą drugich walczyć było można, oprzeć się losowi wykrętem, omamić samo fatum, ofiarą lub kłamstwem od przeznaczenia wykupić.

Uczniowie też Symona, przyjaciele jego na dworze Cezara o śmierć tę obwiniali Piotra, i Neron zajadł się gniewem o nią, bo na Magu budował nadzieję odkrycia skarbów Didony, których potrzebował nienasycony na swe uczty, gmachy i dzieła mające go unieśmiertelnić. Gotowało się więc nowe na chrześcjan prześladowanie.

Nazajutrz, rozesłani szpiegowie Tigellinusowi, biegli po Suburrze, w przedmieściach, po tugurjach Rzymu szukając pastwy dla zemsty. A że w przedostatniej chwili znowu ośmieleni nieco przestali się prawie ukrywać chrześcjanie i publicznie z oznakami swej wiary niemal okazywali, opierając czci posągów i składaniu ofiar przed niemi, odróżniając skromnością szat, obejściem braterskiem z niewolnikami i wszelkiego pochodzenia ludźmi — łatwo było denuncjatorom wskazać ich zbory, mieszkania, nawet godzinę w której gromadnie odbywali modlitwy.

W wielu domostwach schwytano ich wśród Agapów wieczornych, w chwili gdy pożywali skromną cenę, poczynając ją od poświęconego chleba i wina.

Wszędzie gdzie się krzyż znalazł na ścianie, a śpiew i modlitwa niezwykła zabrzmiały, straże pędziły zagarnionych razem kapłanów, djakonów, djakonessy, lud, kobiety, dzieci ledwie chrzczone i gnały gromadami do więzień otwartych.

Ci tylko, którzy się byli schronili w podziemnych swych cmentarzach lub rozpierzchnęli pojedyńczo po willach i ogrodach, uszli tej pogoni, która dzień i noc trwała całą.

Neron chciał mieć wielkie igrzysko z samych chrześcjańskich ofiar złożone, a śmiał się dziko mówiąc, że ci co siłę mają tak wielką, pewnie dobrze walczyć potrafią.

Ta napaść niespodziana nie zatrwożyła chrześcjan,

nie rozpędziła ich i nie podzieliła; od pierwszej owej próby krwi w Neronowych ogrodach, duch ich potężnie się dźwignął widokiem siły i męztwa z jakiem konały w płomieniach ofiary kłamstwa Cezara. Nie obawiano się cierpieć, wyglądano męczarni jako środka, który miał sprowadzić łaskę, dać moc nową i pozyskać uczniów Chrystusowi.

A gdy przyszedł ten dzień ścigania i zaboru, ujrzano idących chrześcjan po ulicach w szatach białych i wieńcach na głowie, śpiewających hymny tak spokojnie i wesoło, jakby ich wiedziono na ucztę....

Tłum patrzał z niemem podziwieniem.

Wśród ścisku tego znajomi i nieznajomi, spotykając się jak bracia kładli sobie ręce na ramiona i całowali się, witając a zagrzewając wzajemnie do wytrwania.

A wśród tego orszaku, tak wesoło dążącego na śmierć były niewiasty słabe, były niedorosłe dzieci i starcy zgrzybiali, i tacy co rzucali rodzinę. Ale wówczas nie było sieroctwa, bo wszyscy jedną stanowili Chrystusową gromadkę, ojcami byli sobie i bracią, wszystkich serca jeden wielki święty węzeł spajał.

Gdy z różnych stron grodu poczęto tak spędzać pochwytanych i wydanych uczniów Chrystusa, a tłumy ich niezmierne w wielką zbiły się masę, mógł Neron i słudzy jego ulęknąć się, wejrzawszy jak wielka była owa ciżba i z jak różnego stanu ludzi złożona.

Obok niewolników stali tam patrycjusze, obok wyzwoleńców pretorjanie i sami słudzy Neronowi i barbarzyńcy i Rzymianie i gmin piętnowany żelazem i kobiety okryte szatami dostatku.

Poganie zadrżeli, widząc taką moc ludzi, którzy ani prosili miłosierdzia, ani rozpaczali, nie zdawali się lękać śmierci, nie drżeli na widok przemocy, a pędzeni śpiewali, modlili się i kazali.

Widok też ten był nasieniem nawrócenia dla wielu, bo już takiego męztwa, takiego pokoju nikt nie miał w sercu jak oni. W złych tylko budziły się zazdrość i zemsta.

Zarzucano publicznie schwytanym najdziwniej wy-

myślane zbrodnie, poczwarne rozwiązłości, nieposłuszeństwo prawom, pogardę bogów, spisek przeciwko całemu społeczeństwu, którego szkarad dzielić nie chcieli.

I wiedzionych ku więźniom miejskim lud obrzucał błotem i kamieniami, wołając i domagając się prędkiego nasycenia swej zemsty.

Przypisywano wszystkie klęski ówczesne, trzęsienia ziemi, burze, mór i głody, które niszczyły prowincje rzymskie, bogom obrażonym chrześcjańskiemi zabobony, wołano by ich krwią występnych przebłagać, by ofiarą tą odwrócić większe jeszcze plagi.

W tym tłumie schwytanych, byli i ci wszyscy których postacie już się przesunęły przed nami. Jeden dom Pudensa i Celji ocalał cudem jakimś wśród prześladowania, jakby dla tego, aby pobożne niewiast ręce mogły zebrać i zachować szczątki krwawe przyszłych męczenników. W obu tych domach czekano tylko siepaczy i gotowano się na śmierć, ale trwoga nie przerwała modlitwy, ani podniosła wywróconych ołtarzów. Może ród starca i jego siostry, może ich życie ustronne i ciche ocaliły na ten raz od śmierci.

Ale insulę, w której przebywali Candidus i Natalis u starego Heljosa, jedną z najpierwszych otoczyli wysłani żołnierze. Gmina żydowska, między którą najwięcej było chrześcjan, dla pogan nieodróżniających ich od Hebrejów, najpierwiej wystawioną została na prześladowanie: szukano w niej Nazarejczyków. W chwili, kiedy starzec siadał do skromnego stołu z Judą-Candidem, Natalisem i pięcią towarzyszami, niedawno nawróconymi, nagle drzwi łamać zaczęto gwałtownie i pretorjanie z setnikiem ukazali się w atrium.

Heljos wstał uczuwszy przychodzącą godzinę.

— Do Gomonij ich wlec! — wrzeszczało żołdactwo — na śmierć Nazarejczyków!... na krzyże Żydów i Chrześcjan plugawych!

Nikt się nie bronił; nikt nie rzekł słowa, tylko staruszka zgrzybiała, żona Heljosa, omdlała i padła, ale ją mąż otrzeźwił dodając ducha.

— Życie nasze krótkie — rzekł do przebudzającej się z krzykiem — dajemy je na świadectwo prawdzie.

Candilus i Natalis sami dobrowolnie podali ręce aby je sznurami skrępowano.

W tej chwili znajdowała się właśnie Marja, Syryjska niewiasta, w domu Heljosowym i choć łatwo jej było wnijść i powrócić do domu Celji, bo nikt na niewolnicę niezważał, dobrowolnie zatrzymała się wołając:

— I ja chrześcjanką jestem!

Żołnierze zdumieli się, setnik zwiesił głowę na piersi, nie wiedząc co począć, i milcząc dał znak tylko aby ich zagarnąć wszystkich.

Wywleczono ową garść, dopytując gdzieby więcej chrześcjan znaleźć można, ale na katowania i bicia nie odpowiedzieli jeno śpiewem i modlitwą.

— Pytacie o chrześcjan! — zakrzyknął wreszcie uderzony w głowę stary Heljos, dumnie czoło podnosząc — wszędzie są! pełno ich po pałacach i podziemiach, po wsiach i miastach, po świecie całym.... są wśród was samych.... otaczają matkobójcę.... i wkrótce o pogan spytać przyjdzie — kędy są?

A zwróciwszy się ku swoim, począł śpiewać pieśń Dawidową.

Nie byłoby starczyło więzień w Rzymie na spędzonych zewsząd chrześcjan, których Mamertyńskie i Tulljuszowe objąć nie mogły, ale niemi zawalono wschody Gemonij i przedsionki, i porozdawano ich gromadami pomiędzy patrycjusze i rycerstwo. Nie było bowiem naówczas domu, któryby nie miał więzienia podziemnego dla niewolników przestępnych; pod każdem prawie domostwem, kuty w skale lub z kamieni ogromnych sklepiony, z otworem u góry jak studnia, musiał być loch w którym jęczeli, często lata całe, zbrodniarze równo i niewinni.

Do tych to więzień w koło Forum zepchnięto nieszczęśliwych, a straże zdumione, słysząc w nocy śpiew wychodzących z ciemnic, który jak tryumfalna pieśń z głębin ziemi się rozlegał — trwogą jakąś zabobonną czuły się przejęte.

I noc ta nie w jednem z podziemiów połączyła siepaczów z ofiarami, a gdy dzień nastąpił, widziano ze zdumieniem pretorjanów, żołnierzy, dzikie straże germańskie i dackie, rzucające oręż i domagające się chrztu i męczeństwa... głosy wielkiemi.

Neron zadrżał zadumany i przelękły... nie pojmował tego pragnienia śmierci.

Jak dzień znowu był Cyrk pełen, a ze zwierzyńców od gościńca Tiburtyńskiego i obozu straży, wieziono w klatkach dzikiego źwierza, ryczące lwy i zgłodniałe panthery. Z więzień wydobywano skazanych, a wśród nich szli już odziani w zbroje nowi chrześcjanie i straże więzienne i ludzie co wczoraj urągali się Chrystusowi.

Do nich z tłumów przybywali nawróceni jednem wejrzeniem i jękiem, jednym uśmiechem i pogodą czoła.

Z więzienia Mamertyńskiego także wywleczono Pawła i Piotra, skutych obu, a gdy przyszło się rozstawać, Processus i Martinianus, rzuciwszy klucze ciemnicy i oręże swoje, a z niemi pół sotni żołnierzy, wybiegli przez wschody Gemonij, wołając, by ich także na śmierć prowadzono.

Trwoga rozszerzyła się po Rzymie całym, jak w dzień owego pożaru lub w godzinę odkrycia Pisonowego spisku; chrześcjan tłum tak był wielki, tak się co chwila pomnażał, iż już niewiedziano co poczynać z niemi; nie było dosyć źwierząt by ich pożarły, ani dość katów by ich pozabijali.

W ulicah co krok zdumiewały sceny rozrzewniające i dziwne, około których stawała gawiedź wzruszona, nie mogąc pojąć ich z razu.

Tu ojciec wyrywał się z objęć żony i dzieci by iść z hufcem skazanych, tam matka rzucała sieroty i biegła napróżno wstrzymywana chcąc się połączyć ze współwyznawcami. Dzieci ocalone przez krewnych, leciały doganiając tłumy, klękały przed żołnierzami i modliły się o więzy, wołając że już są mężami i potrafią cierpieć bez jęku.

Pierwszy raz Forum wśród tej wrzawy rozległo się

wielką pieśnią chrześcjańską, jakby tryumfu zwiastunką.

Zdało się, że co chwila zmieni się to widzenie straszne w jakieś zwycięztwo niespodziane...

W pośród gromad tych... dwaj starcy Apostołowie stali nieruchomi, żegnając się wzrokiem i błogosławiąc światu i miastu...

Aż z Palatynu przybiegli gońce wołający do cyrku i wszystek ten tłum zaczęto pędzić do Oppidum, gdzie zwykle stawały wozy, do Carcerów, w głąb areny, nie mogąc mu nastarczyć miejsca.

Cyrku ławy i stopnie puściejsze były niż zwykle; jakieś uczucie nieopisane trwogi, obawa strasznego jakiegoś cudu, przerażały nawet najchciwszych tych krwawych igrzysk; — dwór tylko Nerona, nierządnice, rzezańcy, gachowie, ulubieńcy i bledzi po wczorajszej uczcie nocnej młodzi pana towarzysze, zalegali podium i część górnych siedzeń do koła.

Naówczas, na znak chustą dany rozpoczęło się to krwawe igrzysko, którego żadne pióro opisać nie jest w stanie.

Miało się ono jeszcze sto razy powtórzyć, nim krzyż nad Rzymem podniósł się i rozpromienił.

Z hymnami tryumfu szły białe orszaki na męczeństwo, i padały jak kwiaty, które burza z łodyg otrząsa, na ziemię okrwawioną.

Wychodząc z ciemnicy, dwaj Apostołowie jeszcze raz dali sobie pocałunek bratni, i Paweł poszedł pod miecz kata poddać głowę, a Piotr zawisł przybity do krzyża, zawieszony w dół głową, konając w cichem zachwyceniu.

Za niemi wiedziono Candida i Natalisa i Heljosa starca, każąc im walczyć z dzikiemi źwierzęty. Ale ani bicz oprawców, ani wrzaski pijanej tłuszczy nie zmusiły ich do walki, do próby ocalenia życia, które już raz byli oddali na ofiarę. Klęcząc czekali by źwierz ich rozszarpał... i skonali wstrzymując jęki.

Heljos wyzionął ducha, nietknięty nawet przez lwa który ku niemu był puszczony, — nawiedzony śmiercią

bez męczarni; Natalis padł uduszony od panthery, Candid rozszarpany przez tygrysa...

Igrzysko to wreszcie naprzykrzyło się samym oprawcom, nie było w niem walki i boju którego pragnęli...

Posłano kapłanów i żołnierzy, aby namawiać do ofiarowania Bogom przed dymiącemi ołtarzami na Spinie u nóg Cezara; ale nikt prawie, oprócz kilku zesłabłych i spodlonych, nie dał się namówić na odstępstwo.

Niektórzy już idąc ku Pulvinarowi, nagle zakrywszy oczy z krzykiem nazad rzucali się w arenę, i wstydząc chwili słabości, padali sami pod dzikiego źwierza pazury.

W końcu stała się rzeź bezbronnych ohydna i sromotna... Kazano uprzątać arenę i wezwać gladjatorów, by zapłaconem szermierstwem trochę lud osłupiały orzeźwić.

Noc wreszcie nadchodząca i godzina łaźni zamknęła to widowisko... które po sobie zostawiło wspomnienie dziwne w sercach najtwardszych.

A gdy przyszły ciemności, z domków na Suburra, z Katakumb, z willi, z domu Pudensa, z Aventynu i Caeljuszowej góry, zstąpiły w cichości niewiast pobożnych gromadki, z lampami szatą pookrywanemi, i skierowały się ku cyrkowi, ku górom poblizkim, kędy ciała męczenników wywleczone zostały; — wśród ciszy nocnej poczęły swe dzieło miłosierdzia. W stosach ciał zżółkłych i prochem cyrku skalanych, wśród szczątków podartych na szmaty i do niepoznania zdruzgotanych, klęcząc jęły one zbierać krew świętą i napawać nią chusty, napełniać naczynia; okrywać ciała, przenosić uświęcone reszty aby je osobnym uczcić pogrzebem.

I jako mrowie wystąpili ludzie nowi, którzy wzięli na barki skarb drogi, i siecią ścieżek tajemnych unieśli do podziemnych cmentarzy, aby je złożyć w ołtarzach lub powierzyć ziemi.

Te trupów tysiące chroniąc od zniszczenia i splugawienia, ukrywano w cysterny domowe, w lochy skryte

i każde z tych miejsc, w których złożono zwłoki męczennika, stało się później świątynią i ołtarzem...

A gdy znowu zatlał brzask dnia, kapłani nowi odprawiali ofiarę ze łzami, otoczeni zwłokami tych z któremi wczoraj dzielili chleb ofiarny; i z prochów poległych wzrósł nowy zastęp rycerzy do boju gotowych.

Bój rozpoczął się dopiero... ale ofiara, pokora i miłość miały go cudownem zamknąć zwycięztwem... słabszego, pokonaniem na wieki i potępieniem siły bezrozumnej.

Wśród mnogich stron, któremi jaśnieje idea chrześcjańska — jedną z najświetniejszych jest to zwalczenie potęgi cielesnej siłą ducha.

XVII.

Epilog.

Dziejów tych pierwocin chrześcjańskiej wiary nie będziemy dłużej malować, pióro i pędzel nie wystarczyłyby zadaniu; jedno słowo i rys najprostszy nad najwyszukańsze obrazy silniej tu mówią, gdzie wszystko jest cudem. Wiara nowa rozkwita w latach następnych męczeństwy, krzewi się i rozplenia prześladowaniem samem, aż wreszcie potęga cielesna, siły państwa całego, które zwyciężyło narody i podbijało kraje, w walce olbrzymiej, długiej i upartej, ustępują przed mocą ofiary i niewidzialnem działaniem ducha.

Zwyciężają zwyciężeni, krzyż dźwiga się nad rozpadającem Państwem Rzymskiem.

My skończmy ten szereg obrazów rozpierzchłych, ostatnią sceną śmierci okrutnika, którego imię pozostało w dziejach najwyższym typem obłąkania i szału, jaki wyuzdana władza i rozpasane namiętności wyrodzić mogą.

W krótce po opisanych wypadkach, zabita kopnięciem nogi przez potworę, zmarła Poppea, wróciło znów panowanie wyzwolenicy Aktei i dawnych ulubienic Cezara; igrzyska następowały jedne po drugich, lud wystarczyć im nie mógł. Widziano wśród tych długich widowisk mdlejące niewiasty, umierających ludzi, których trupy na ławach podiów leżały, a nikt ich tknąć nie śmiał do nocy, bo nikomu drgnąć ni ruszyć się, gdy Cezar się bawił, nie było wolno. Okrucieństwa też mnożyły się i goniły bez przerwy, wywierając na najbliższych, najmożniejszych, najdroższych Rzymowi najstaranniejszych przez to dla Nerona.

Aż nareszcie wyczerpała się podłość ludzi, cierpliwość ofiar, i głuche wieści krążyć poczęły o spiskach, knowaniach o sprzysiężeniach i buntach, tak że zausznicy Neronowi musieli go namawiać, aby z igrzysk i tryumfów, po które wycieczki czynił na prowincją, co najrychlej do Rzymu powracał.

Powrót ten do stolicy, którym chciał zawsze godne nowości pospólstwo nasycić i rozerwać, był komedją tryumfu, jakby po zywycięztwach nad nieprzyjaciołami ojczyzny odniesionych.

Wywleczono z Palatynu tryumfalny wóz Augusta, rozbito stare mury Pomoerium i przez wyłom w nich wjechał poeta i śpiewak Cezar do Rzymu, obwieszany koronami i laury, wśród orszaku niosącego napisy świadczące, w ilu miastach, na ilu teatrach Cezar zdobył [korony. — Na wozie jechał sam tryumfator, w purpurowej szacie, w chlamydzie złotemi sypanej gwiazdami, w koronie olimpijskiej na czole, z pythyjską w dłoni. Za nim siedział muzyk Diodor, niby więzień, podbitego kraju władzca; dalej szły orszaki augustanów, wyuczonych klaskaczy, senatorowie i plebs wołając:

— Tyumfuje Nero-Herkules... Neron-Apollo.... Nero-Augustus.

A kędy przesuwał się pochód uroczysty, zabijano na ołtarzach ofiary, rozlewano wonie, sypano kwiaty, rzucano wstęgi, puszczano ptaki. Przez Cyrk, Velabrum

i Forum wjechał tak na Palatyn i ogłosił igrzyska.

Szał powrócił z Cezarem.

Ale ten dramat krwawy zbliżał się już do końca. Rzym znużony wyglądał odmiany. W Galii pretorem był Videx, człek wielkiego serca i silnej woli; on pierwszy powziął myśl oswobodzenia świata od okrucieństw i sromoty ostatniego z Cezarów.

Połączył się z nim Galba, rządzca Hiszpanji, który miał wielką u legionów powagę i władzę. Oni we dwóch rozpoczęli otwartą walkę z Cezarem, a Vindex powołał do niej wojska. Galba ogłoszony Imperatorem. Wieść o powstaniu w Galii doszła do Rzymu w samą rocznicę matkobójstwa; Neron przyjął ją z razu szydersko i tegoż dnia poszedł do Gymnazjum przyglądać się zapasom athletów. — Później ruszył obojętne w ulubioną Campanją, Neapolis u stołu biesiadnego napędziły go znów listy groźne... tą razą wybuchnął gniewem, wściekłością i zemstą; ale przywykły do zwycięztw łatwych, nie szukał nawet środków uniknienia niebezpieczeństwa. Wysłał tylko do Senatu listy gwałtownie obwiniające Vindexa, naznaczył cenę za jego głowę, i dalej bawił się po Campanii wędrując.

Tymczasem co chwila groźniejsze, bardziej naglące jedne po drugich nadchodziły wiadomości; — drżący, niepewien co począć, musiał Neron do Rzymu powracać ale po drodze natrafiwszy na grobowiec, na którym postrzegł płaskorzeźbę wystawującą Galla pokonanego przez Rzymianina, wziął to sobie za dobrą wróżbę. Nie naradzając się z Senatem, otoczony swoimi zausznikami, bawił się jeszcze w ostatnich chwilach nowym wynalazkiem naumachji, którą dlań wymyślono.

— Sam wystąpię na teatrze — wołał w chwilach ostatnich, dodając szydersko — jeśli mi Vindex pozwoli.

Wśród coraz nowych zabaw jednak bunt Gallów nie wychodził mu z myśli, a najróżniejsze plany, osnute płocho, mieniały się co chwila. Sam przecie począł się przeciwko swym legiom wybierać, naprzód jednak rozmyślając o tem jakby swe lutnie, cytary, muzyków

i tłumy nierządnic wieść z sobą... Stanęło na tem, że kobiety poprzebierane za amazonki, towarzyszyć mu miały w wyprawie.

Cezar chciał iść, stanąć przed zbuntowanemi i z rozczuleniem i łzami przemówić do nich nie wątpił o wrażeniu jakie uczyni wymową, że rzucić mu się do nóg muszą, zwyciężeni jego retoryką i wdziękiem przygotowanego słowa...

— Nazajutrz sam im zanucę hymn zwycięstwa! — dodawał.

Tymczasem nałożono nowe podatki na koszta wojny i wyprawy, pobierając je tylko monetą złotą i nową, co lud i wszystkie stany do rozpaczy przywiodło.

Głód przytem dawał się czuć w Rzymie, oczekiwano okrętów z Egiptu, a gdy lud na brzegach tłumnie zgromadzony, ujrzał przybywające nawy i rzuciwszy się na nie, znalazł w nich tylko piasek Nilowy na wysypanie areny w cyrku — powstały krzyki i wołania o zemstę okrutne i miasto całe zawrzało długo tajoną nienawiścią.

W tejże chwili nadbiegł goniec z wieścią o Galbie i Gilii, Neron osłupiał, zachwiał się i jakby uderzony piorunem, długo nie mogąc słowa wyrzec — pozostał odrętwiony. Nareszcie rzucił się, rozdarł szaty zawołał:

— Zgubiony jestem!

Ale wkrótce jakiś słuch nowy go orzeźwił, Cezar odżył i począł życie od śpiewów tryumfalnych i igrzysk ulubionych... poświęcając świątynię Poppei.

Wśród tych szybko po sobie następujących wypadków, żaden z rzezańców Nerona, w chwili gniewu jego osmagany, wybiegł z Palatynu roznosząc wieść, że Cezar ma myśl wyrznąć w pień wszystkich Rzymu mieszkańców, zapalić miasto znowu i wypuścić dzikie zwierzęta z klatek pretorjańskiego obozu, a sam uciec do Alexandryi

W mgnieniu oka wszystko co się go jeszcze trzymało, opuszcza Cezara; legje, straże pretorjan, germańskie pułki, Senat nawet powstaje groźny przeciwko upadłemu.

Na Palatyn bieży resztka niedobitków, oznajmując mu już wyrok śmierci i potępienie nieochybne. Neron chwyta złotą puszkę z trucizną z dawna przez Locustę przygotowaną, i z kilką ulubieńcami biegnie się ukryć w ogrodach Serviljusa.

Tu w gąszczy drzew zaczajony, coraz nowe przedsiębierze środki, chce uciekać, posyła do Ostii wyzwoleńców aby mu gotowano okręta, aby trybunów i setników na jego przeciągali stronę.... Ale go już nikt nie słucha, a jeden ośmiela się wyrzec z pogardą:

— Jest-że ci śmierć tak straszną??

Po chwili Neron myśli znów oddać się w ręce Partom, prosić Galby o litość, w żałobie wynijść do ludu, stanąć na trybunie oskarżając się i prosić miłosierdzia.... choćby w dalekim Egipcie przytułku. Mowę nawet w tym celu przygotowaną nakreślił na tabliczkach, które przy nim znaleziono.

Tymczasem noc nadeszła; Cezar znużony wysileniami usnął, ale się budzi miotany strachem, osamotniony, opuszczony od swych straży. Śle do przyjaciół nadaremnie, nikt nie przybywa. Sam jeden prawie wychodzi z kryjówki i wlokąc się od domu do domu, do drzwi zamkniętych kołacze a nikt otworzyć mu nie chce. Po chwili, strwożony powraca do izby, ale tu straże uciekające zabrały mu ostatnie okrycie i jego puszkę z trucizną. Przelękły, śle po gladjatora Spicillusa, aby go przyszedł zabawić, gdyż sam sobie zadać śmierci nie umie, on, co tylu słowem jednem zamordował! I tem nawet nikt dopomódz mu nie chce.

— Przyjaciela..... nieprzyjaciela nie mam nawet! — woła w rozpaczy — nikogo!!

Bieży do Tybru, chcąc się utopić, wraca nie mając siły odjąć sobie życia.

Wyzwoleniec Faon ofiaruje mu się wreszcie ukryć go w swym domu, między Salaryjską a Nomentańską drogą....

Błysła nadzieja ratunku, podają mu konia, siada nań bosy, okryty płaszczem ciemnym, z głową i twarzą osłonioną i jedzie ze Sporusem i czterma wyzwoleńca-

mi swymi, wśród burzy która huczy piorunami, wśród wycia wichru i drżenia ziemi kołyszącej się pod ich stopniami.

Przejeżdżając mimo obozu, słyszy miotane na siebie przekleństwa, spotyka co chwila ludzi szukających, dopytujących o Nerona... Koń jego pada, wiatr zrywa mu z twarzy zasłonę, i mijający pretorjanin go wita, a Cezar truchleje.

Nareszcie, ścigany piorunami i złorzeczeniami, przybywa do domku Faona ubocznemi drogi, oszarpany cierniem, odarty gałęźmi przez które przedzierać się musiał, i upada znużony, otworem wciskając się w podziemie wilgotne. Tu mu chleb czarny i liche jadło przynoszą, ale zgłodniały nawet w rozpieszczone wziąć go nie może usta.

Słudzy namawiają go na śmierć — on jeszcze się waha, boi, nie umie, nie chce.

I zwlekając ostatnią godzinę, każe wprzód dół kopać dla siebie, patrzy i woła zadumany:

— Umrzeć! umrzeć! co za strata! umierać, w kwiecie wieku tak wielkiemu artyście!

Nadbiega Faona posłaniec z wieścią, że Senat ogłosił Nerona nieprzyjacielem ojczyzny, że go szukają wszędzie dla spełnienia wyroku.

— Na cóż mnie skazano? — spytał.

— Nagi z szyją w widłach ściśniętą, na śmierć bitym być masz Cezarze!

Neron blednie, porywa dwa sztylety, próbuje ich ostrzów... i odłożył je znowu. Chwila ostatnia nie przyszła jeszcze.

— Sporus! rozpocznij przedśmiertne jęki... dajcie mi przykład — woła — o! nie mam męztwa! Nieprzystało to Neronowi!

Wtem wrzawa i tentent oznajmują pogoń przybywającą; Neron jeszcze wiersz z Iliady Homera znalazł na ustach pobladłych [1]).

Tentent szybkich rumaków uszy me uderza....

[1]) Illias, X. 535.

I z pomocą Epafrodita, sztyletem nakoniec gardło sobie przebija.

Konał jeszcze, gdy wchodzący setnik szyję mu połą sukni przewiązał, mimowolnie go ratując.

— Za późno! — zawołał Neron — i skonał ze straszliwie otwartemi oczyma, które przerażały patrzących.

Takim był zgon tej potwory, której wola tysiące ludzi gniotła i mordowała — zgon bezwstydnie podły, godzien haniebnego życia.

Ostatni z Cezarów rodu, nie miał nawet siły niewolnika, który w cyrku głowę w koło rozbiegłego wozu rzuciwszy, rozstrzaskał ją ze stoicką odwagą.

Jedna do ostatka wierna mu wyzwolenica, dziewczyna z ludu, Aktea, popioły jego pocichu złożyła w grobie Domitiusa.

Wiatr wieków rozwiał je po pustych Rzymu polach...

Na nim wygasł ród jego, półtora wieku panujący Rzymowi.

Tym obrazem sprawiedliwego sądu Bożego skończmy opowiadanie nasze... krwawo świtająca jutrzenka nowej ery wschodzi po tej nocy posępnej.

Żytomierz
d. 19. czerwca 1859.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.

MUZEUM JIK 4368